

Ludmiła Ulicka

## Przypadek doktora Kukockiego

Prawda leży po stronie śmierci

Simone Weil

1.

Wszyscy przodkowie Pawła Aleksiejewicza Kukockiego z linii męskiej już od końca XVII wieku zajmowali się medycyną. O pierwszym z nich, Awdieju Fiodorowiczu, wspominał Piotr Wielki w swoim liście z 1698 roku, skierowanym do profesora anatomii Ruyscha z Utrechtu, którego wykładów car pod przybranym nazwiskiem Piotra Michajłowa słuchał rok wcześniej. Młody władca rosyjski prosi w nim o przyjęcie na naukę \* na jego własną prośbę \* syna pomocnika aptecznego, Awdieja Kukockiego.

Dokładnie nie wiadomo, kiedy pojawiło się nazwisko Kukocki. Według przekazów rodzinnych Awdiej miał pochodzić z miejscowości Kukuj, gdzie za czasów Piotra I założono Niemiecką Słobodę. Od tamtej pory nazwisko to trafia się na listach osób odznaczonych lub też w spisach słuchaczy szkół, utworzonych w Rosji ukazami z 1714 roku. Służba po ukończeniu takich szkół dawała „niskourodzonym” możliwość zaliczenia ich do warstwy szlacheckiej. Po wprowadzeniu tabeli rang szlacheckich Kukoccy \* z uwagi na ich zasługi \* zostali zaliczeni do „starej, dobrej szlachty, z przysługującymi jej nazwiskami i przywilejami”. Jeden z Kukockich wymieniony

został na liście słuchaczy doktora Johanna Erasmusa ze Strasburga, pierwszego lekarza z Zachodu, który oprócz innych przedmiotów medycznych nauczał w Rosji o chorobach kobiecych.

Paweł Aleksiejewicz przejawiał od dzieciństwa głęboko skryte zainteresowanie budową organizmów żywych. Niejednokrotnie, zazwyczaj przed kolacją, gdy trafiał się wolny czas, udawało mu się przemknąć do ojcowskiego gabinetu, gdzie z zamierającym sercem wyjmował ze szwedzkiej oszklonej szafy trzy pełne tajemnic tomy głośnej w tym czasie encyklopedii medycznej Platena i zasiadał z nimi na podłodze w zacisznym kąciku pomiędzy szafą a piecem z holenderskich kafli. Każdy tom zawierał na końcu kartonowe, rozkładane na poszczególne elementy kolorowe tablice z postacią mężczyzny o zaróżowionej twarzy z czarnymi wąsikami i przystojnej brzemiennej kobiety z otwieraną dla obejrzenia płodu macicą.

Prawdopodobnie z powodu rysunku tej kobiety \* który niewątpliwie przez innych mógł być uznany po prostu za obraz gołej baby \* Paweł ukrywał przed domownikami swoje zainteresowanie, nie chcąc zostać posądzony o jakieś niezdrowe myśli.

Tak jak małe dziewczynki wciąż przebierają swoje lalki, tak Paweł godzinami składał i rozkładał tekturowe modele człowieka i jego poszczególnych organów. Z tekturowych postaci kolejno można było zdjąć skórę niczym odzież, potem warstwy różowych mięśni, wyjąć wątrobę, trzon tchawicy z rozgałęzionymi niby drzewo płucami, a w końcu szkielet o ciemnożółtej barwie, barwie prawdziwej śmierci.

Zdawać się mogło, że śmierć zawsze ukrywa się w głębi ludzkiego ciała, przykryta jedynie z wierzchu żywą tkanką \* ale o tym Paweł Aleksiejewicz zaczął rozmyślać znacznie, znacznie później...

Na zwykłym miejscu w kącie między biblioteką a piecem zastał go pewnego razu ojciec, Aleksy Gawryłowicz. Paweł spodziewał się porządnej bury, ale ojciec rzucił tylko okiem z wysoka \* był roslą mężczyzną \* zachrzakał i obiecał synowi pokazać coś ciekawszego. Po kilku dniach istotnie wręczył mu rzecz niezwykłą: traktat Leonarda da Vinci Dell'anatomia, zawierający na osiemnastu stronach dwieście czterdzieści pięć rysunków, wydany w końcu XIX wieku w Turynie przez firmę Sabasznikowa. Książka była wspaniała, wydrukowana jedynie w trzystu

ponumerowanych ręcznie egzemplarzach. Ojcowski egzemplarz zawierał dedykację od sławnego wydawcy \* Aleksy Gawryłowicz operował kiedyś kogoś z jego domowników...

Oddając traktat w ręce dziesięcioletniego syna, ojciec powiedział: \* Obejrzyj to sobie... Leonardo był najlepszym anatomem swojej epoki. Nikt nie potrafił rysować anatomicznych preparatów tak jak on.

Ojciec mówił coś jeszcze, ale Paweł już tego nie słyszał. Z kart otwartej książki poraziło go jakby ostre światło. Mistrzostwo rysunku podkreślało niewyobrażalne mistrzostwo przedstawianych obiektów \* czy była to ręka, czy noga, czy też przypominający kształtem rybę trój głowy mięsień piszczelowy, nazywany po cichu przez Leonarda „rybą”.

\* Tu na dole znajdziesz książki przyrodnicze, zoologię, anatomię porównawczą \* Aleksy Gawryłowicz zwrócił uwagę syna na dolne półki. \* Możesz tutaj przychodzić i sobie czytać.

Paweł spędził w gabinecie ojca najszcześniejsze chwile swego dzieciństwa i wieku chłopięcego. Zachwyty wzbudzały w nim zadziwiające połączenia kości \* stawy, przeguby, umożliwiające wielostopniowy proces poruszania nimi do wewnątrz i na zewnątrz. Wzruszał go prawie do łez schemat ewolucji systemu krwionośnego \* od prostej rurki z podłączonymi do niej cieniutkimi włóknami mięśni u dżdżownicy do cudu serca u człowieka z komorami, przedsionkami, zastawkami, tej wspaniałej umięśnionej pompy, w porównaniu z którą perpetuum mobile zdawało się być zagadką dla drugoroczniaków. Zresztą cały świat wydawał się chłopcu potężnym perpetuum mobile, czerpiącym z własnych zasobów energii, zawartej w pulsującym ruchu od istot żywych do martwych i od martwych do żyjących.

Ojciec podarował Pawłowi mały, wykonany z miedzi mikroskop, który umożliwiał pięćdziesięciokrotne powiększenie oglądanego przedmiotu, wobec czego to, co nie dawało się umieścić na szkiełku mikroskopu, przestało go interesować, chyba że pasowało do obserwowanych w mikroskopie zadziwiających obrazów. Zwracał, na przykład, uwagę na wzór tkaniny na obrusie, przypominał mu bowiem strukturę poprzecznie prążkowanych mięśni...

\* Wiesz co, Ewo \* Aleksy Gawryłowicz zwracał się do żony \* obawiam się, że Pawełek nie zostanie lekarzem. Jest bardzo zdolny, chyba raczej powinien zająć się nauką...

Sam Aleksy Gawryłowicz przez całe życie występował w podwójnej roli: pedagoga i lekarza. Kierował katedrą chirurgii, przystosowanej do warunków polowych i stale przeprowadzał zabiegi chirurgiczne. W krótkim okresie pomiędzy wojnami rosyjsko\*japońską i wojną 1914 roku z całym samozaparciem pracował nad stworzeniem nowoczesnej szkoły chirurgii polowej, starając się zwrócić uwagę Ministerstwa Spraw Wojskowych na oczywisty dla niego fakt, iż przyszłe wojny będą miały zupełnie inny charakter i że w tylko co rozpoczętym nowym wieku będą one występowały w innej skali, z nowymi rodzajami broni i będą wymagały innego podejścia do leczenia wojskowego. Według Aleksiego Gawryłowicza należało zmienić cały system szpitali polowych i położyć główny nacisk na możliwie szybką ewakuację rannych do zorganizowanych uprzednio centralnych szpitali specjalistycznych.

Wojna z Niemcami zaczęła się wcześniej, niż przewidywał to Aleksy Gawryłowicz, którego skierowano \* według ówczesnych określeń \* na obszar „teatru działań wojennych”. Mianowano go przewodniczącym tej samej komisji, o stworzenie której tak usilnie zabiegał w czasie pokoju. Teraz nie wiedział wprost do czego ręce przyłożyć \* ranni napływali szeroką falą, a jego projekty utworzenia szpitali specjalistycznych pozostały na papierze. Nie udało mu się przed wybuchem wojny pokonać barier biurokratycznych.

Po ostrym konflikcie z Ministrem Spraw Wojskowych Aleksy Gawryłowicz opuścił komisję i przenośne szpitale polowe. Zorganizowane w zmieniających wciąż miejsce wagonach pulmanowskich, szpitale te wycofywały się teraz poprzez Galicję i Ukrainę razem z niezdolną do działania armią. Na początku 1917 roku pocisk artyleryjski trafił w wagon, służący za salę operacyjną i Aleksy Gawryłowicz zginął wraz ze swoim pacjentem i pomagającą mu pielęgniarzką.

W tym samym roku Paweł rozpoczął studia na Wydziale Medycznym Uniwersytetu w Moskwie. Wypomniano mu jednak, iż jego ojciec był ni mniej ni więcej tylko

pułkownikiem w carskiej armii. Dopiero po roku, dzięki staraniom profesora Kalincewa, dawnego przyjaciela ojca, który kierował katedrą akuszerii i ginekologii, pozwolono Pawłowi wrócić na studia. Kalincew zaopiekował się nim i chronił. Paweł studiował z takim zapamiętaniem, z taką namiętnością, jaka ogarnia miłośnika gry w karty czy amatora alkoholu. Pochłonięty całkowicie zajęciami na Wydziale, zyskał sobie opinię dziwaka. W odróżnieniu od matki, kobiety rozpieszczonej i kapryśnej, nie zauważał prawie niedostatków materialnych. Wydawało mu się, że po stracie ojca już niczego więcej nie można było stracić...

Na początku 1920 roku lokal, zajmowany przez Kukockich, „zagęszczono” \* do ich mieszkania wprowadzono trzy nowe rodziny, pozostawiając wdowie i synowi jedynie dawny gabinet ojca. Profesorowie\*koledzy ojca ledwie sobie radzili w nowym ustroju i nie mogli pomóc, im wszystkim też dokwaterowano obcych. Zresztą nie przemiął jeszcze strach, spowodowany rewolucją \* bolszewicy zdążyli już zademonstrować, że życie ludzkie, o które zwykli byli walczyć ci „zgnili inteligenci”, nie warte jest nawet kopiejki.

Ewa Kazimierzówna, matka Pawła, przywiązywała wagę do przedmiotów i była oszczędna. Udało jej się wcisnąć do gabinetu prawie wszystkie jej warszawskie meble, naczynia, ubrania. Szacowny gabinet ojca, kiedyś przestronny i tchnący powagą, przekształcił się obecnie w jakąś składnicę. Prośby Pawła o pozbycie się niepotrzebnych rzeczy wywoływały łzy u matki i brak zgody: te przedmioty to było wszystko, co ocalało z jej poprzedniej egzystencji. Życie zmuszało jednak do wyrzeczeń i matka sprzedawała stopniowo na targowisku swoje nieprzebrane zapasy butów, kołnierzyków, serwetek, oblewając łzami ostateczne rozstanie z każdym drobiazgiem.

Stosunki między matką a synem po trochu się ochładzały i ulegały zakłóceniu. Po roku, gdy matka poślubiła znacznie od niej młodszego Filipa Iwanowicza Lewszyna, jakiegoś drobnego urzędnika na kolei, Paweł opuścił dom, zastrzegając sobie jedynie prawo do korzystania z ojcowskiej biblioteki. Rzadko jednak pojawiał się u matki. Studiował, pracował w klinice, pełnił dyżury, nocował gdzie się dało. Najczęściej w magazynie bielizny, do którego wpuszczała go stara magazynierka, pamiętająca nie

tylko jego ojca, ale nawet dziadka.

Paweł miał już 21 lat, gdy matka urodziła nowe dziecko. Nie omieszkał wypomnieć jej niemłodego już wieku, a ona chciała być młoda. Doszło do tego, iż dała synowi do zrozumienia, że jego obecność w jej domu jest niepożądana. Od tego momentu stosunki między nimi zostały zerwane.

Po jakimś czasie Wydział Medyczny został oddzielony od Uniwersytetu. Dokonano zmian personalnych. Zmarłego profesora Kałincewa zastąpił jakiś partyjniak, bez żadnego dorobku naukowego. Dziwnym trafem, do Pawła odnosił się przychylnie, pozostawił go w katedrze na asystenturze. Nazwisko Kukocki było znane w środowisku medycznym, nie mniej niż Pirogow czy Botkin.

Pierwsze swoje opracowanie naukowe Paweł poświęcił pewnym nieprawidłowościom w działaniu naczyń krwionośnych, powodującym samoistne poronienia u kobiet w piątym miesiącu ciąży. Nieprawidłowości dotyczyły najmniejszych naczyń włoskowatych i interesowały Pawła głównie z tej przyczyny, że jego ideą ówczesną były próby oddziaływania na procesy, zachodzące w sferach peryferyjnych układu krwionośnego i nerwowego.

Sądził bowiem, iż rzeczą prostszą mogłoby być oddziaływanie na te sfery, aniżeli na obszary wyżej zorganizowane.

Tak jak wszyscy asystenci, Paweł miał pod swoją opieką chorych w szpitalu i dwa razy w tygodniu przyjmował pacjentów w poliklinice. Właśnie tego roku, badając w poliklinice kobietę, skarżącą się na kilkakrotne poronienia w czwartym lub w piątym miesiącu ciąży, Paweł zdał sobie sprawę, że widzi u niej guz na żołądku z przerzutami \* bardzo wyraźnym w wątrobie i drugim, niewielkim w śródpiersiu. Badanie odbyło się jak zwykle, w sposób rutynowy. Paweł skierował kobietę do chirurga. Przez dłuższą chwilę siedział potem w gabinecie, nie prosząc następnej pacjentki i starał się pojąć, co się takiego z nim stało, skąd pojawił mu się przed oczami ten barwny obraz rozwiniętego w pełni nowotworu.

Od tamtego dnia Paweł posiadał jakiś szczególny dar, dziwny, a jednocześnie pomocny. Określał go jako „widzenie wewnętrzne”. Przez parę lat ostrożnie obserwował, czy któryś z kolegów nie przejawia podobnych zdolności, ale na żaden

ślad nie natrafił.

Z czasem jego spojrzenie, przenikające do wewrfałtr, nabrało mocy i zyskało wysoki stopień rozdzielczości. W niektórych przypadkach dostrzegał nawet budowę komórek, zabarwionych jak gdyby hematoksyliną Ehrlicha. Złośliwe zmiany nadawały im intensywnie liliowy odcień, miejsca aktywnego rozrostu pulsowały drobnoziarnistą purpurą... Ludzki zarodek już w pierwszych dniach ciąży przybierał w oczach Pawła postać świecącego jasnoblękitnego obłoczka.

Zdarzały się dni i tygodnie, podczas których „widzenie wewnętrzne” Pawła znikało. Niezależnie od tego Paweł pracował normalnie, badał chorych, operował. Nie opuszczała go nabyta w zawodzie pewność, ale w duszy zjawiał się lekki niepokój. Młody lekarz był, oczywiście, materialistą, mistyki nie znosił. Obaj z ojcem żartowali zawsze ze skłonności matki, która uczęszczała na seanse spirytystyczne z wirującym stolikiem lub na mistyczne eksperymenty z magnetyzmem.

Swój niezwykły dar Paweł traktował jak żywą, oddzielną od niego samego istotę. Nie zastanawiał się nad mistyczną Stroną tego zjawiska, przyjmował jako użyteczne wsparcie przy wykonywaniu zawodu lekarza. Stopniowo okazało się, że „dar” preferował ascetyczny tryb życia i nienawidził kobiet. Nawę I zbyt obfite śniadanie osłabiało „wewnętrzne widzenie”, Paweł więc nie jadał śniadań i pierwszy posiłek spożywał w czasie obiadu, a jeśli miał dyżur w poliklinice po południu, to dopiero wieczorem. Zbliżenia z kobietami usuwały całkowicie na jakiś czas „wewnętrzne widzenie”.

Jako doświadczony i dobry diagnosta, Paweł nie potrzebował wprowadzić takiej swoistej podpory, ale jego praca naukowa jak gdyby oczekiwała wsparcia. Skryta rola naczyń krwionośnych, zawierająca niejedną tajemnicę, lada moment miała się wyjaśnić...

Tak się złożyło, że życie osobiste Pawła stanęło niejako w sprzeczności z jego działalnością naukową. Po rozstaniu z dorywczo spotykaną sympatią, pielęgniarką z oddziału chirurgii o sprawnych, chłodnych rękach, Paweł unikał intymnych związków z kobietami, obawiając się z lekka ich agresywności. Przyzwyczyił się do wstrzemięźliwości. Nie było to dla niego zbyt dojmujące, jak wszystko, co wynika z

własnego wyboru. Od czasu do czasu podobała mu się jakaś pielęgniarzka czy młoda lekarka, wiedział, że każda z nich zjawi się, gdy tylko ją o to poprosi, cenił jednak sobie bardziej swój dar „wewnętrznego widzenia”. Zmuszony był bronić swej świadomie wybranej drogi „cnoty”: był samotny, w porównaniu z ogólnym poziomem życia \* bogaty, wyróżniał się w swojej profesji, być może nie był za piękny, ale męski i pociągający. Z tych wszystkich powodów \* a starczyłoby zapewne jednego \* każda kobieta zauważywszy cień zainteresowania w jego wzroku, rozpoczynała taki szturm, że Paweł Aleksiejewicz uciekał gdzie pieprz rośnie! Niektóre koleżanki podejrzewały go o jakiś męski defekt, wiążący się z jego zawodem. Jaki może mieć bowiem pociąg do kobiet mężczyzna, który każdego dnia z obowiązku delikatnymi palcami dotyka ciemnej tajemnej głębi w ciele kobiety...

2.

Oprócz wierności dla medycyny wśród mężczyzn w rodzinie Kukockich występowała jeszcze jedna wspólna cecha: zdobywali swoje żony niczym wojenne trofea. Pradziad Pawła ożenił się z wziętą do niewoli Turczynką, dziad \* z Czerkieską, ojciec \* z Polką. Według legend rodzinnych wszystkie one były nieprzeciętnie urodziwe. Domieszka obcej krwi nie wpływała jednak na zmianę wyglądu mężczyzn. Kukoccy byli rośli, odznaczeni się wystającymi kośćmi policzkowymi, wcześniej zaczęli łysieć. Portret Awdieja Fiodorowicza, wygrawerowany przez nieznanego autora prawdopodobnie z niemieckiej szkoły, zachowany do dziś u potomnych Pawła Aleksiejewicza, świadczy o sile rodu, który przez wiele pokoleń potrafił zachować cechy zewnętrzne.

Paweł Aleksiejewicz również zawarł ślub w czasie wojny, pośpiesznie i niespodziewanie. Żona nie była wprawdzie ani jeńcem, ani zakładniczką. W listopadzie 1942 roku w małym syberyjskim miasteczku, dokąd została ewakuowana jego klinika, ujrzał ją po raz pierwszy... na stole operacyjnym. Jej stan był bardzo ciężki. Paweł Aleksiejewicz zdawał sobie sprawę, że ocalenie życia kobiety, której twarzy nawet nie zdążył obejrzeć, nie leży w jego możliwościach. Przywiozła ją



Pogotowie Ratunkowe, ale za późno, o wiele za późno...

Nocą wezwała z domu Pawła Aleksiejewicza jego zastępczyni, wspaniały chirurg, Walentyna Iwanowna. Cieszyła się \* z wzajemnością \* pełnym zaufaniem Pawła Aleksiejewicza. Jej zdaniem, trafił im się jakiś nietypowy przypadek, nie potrafiła jednak sama go wyjaśnić.

Paweł, przygotowany do operacji, wszedł na salę w momencie, gdy Walentyna Iwanowna przecinała skalpelem wybrane miejsce na ciele chorej. Stał za jej plecami. Jego osobliwe widzenie włączyło się samoistnie. Widział teraz nie pole operacyjne, nad którym pochylała się Walentyna Iwanowna, ale całe ciało kobiece o rzadko spotykanym kształcie i lekkości

kręgosłupa, wąskiej klatce piersiowej z cienkimi kośćmi żebrowymi i nieco wyżej niż zwykle umieszczoną przeponą, zobaczył też powoli kurczące się serce, oświetlone zielonkawym, drgającym rytmicznie przezroczystym płomieniem.

Widział \* ale nikt nie mógłby tego zrozumieć i nikomu nie potrafiłby opisać tego wrażenia \* w pełni bliskie mu ciało. Nawet zaciemnienie na szczycie prawego płuca \* ślad po przebytej w dzieciństwie gruźlicy \* wydawało mu się miłe i znajome, niczym kształt plamy na tapecie nad łóżkiem, w którym co wieczór się zasypia...

Niezręcznie było przyglądać się twarzy tej młodej i tak prawidłowo zbudowanej \* patrząc od wewnątrz \* kobiety, Paweł jednak rzucił okiem ponad białe prześcieradło, przykrywające ją aż do podbródka. Zauważył długie brązowe brwi, zaczynające się kępkami włosów i wąskie nozdrza. I kredową bladość. Uczucie niezręczności było na tyle silne, że Paweł opuścił wzrok, zatrzymując go w miejscu, gdzie powinny znajdować się falisto ułożone jelita. Wyrostek robaczkowy był pęknięty, ropa wylała się do jamy brzusznej, nastąpiło zapalenie otrzewnej. To samo stwierdziła Walentyna Iwanowna.

Słaby żółtoróżowawy płomień, widziany tylko oczami Pawła, z jakimś zapachem rzadkich kwiatów, ledwie ciepły przy dotyku, podświetlał kobietę i był w istocie częścią jej samej.

Paweł zauważył jeszcze jak kruche były jej stawy biodrowe z powodu niedostatecznej wypukłości główek bioder... Właściwie mogło to grozić

wywichnięciem. I kość miednicy taka wąska, że przy porodzie można by oczekiwać rozciągnięcia czy nawet rozerwania spojenia łonowego. Ale macica w pełni rozwinięta, mająca za sobą poród. Widać, że raz się udało... Stan ropy objął już oba jajowody i pociemniałej barwy macicę. Serce pracowało słabiutko, ale miarowym rytmem, natomiast macica promieniowała przerażeniem. Paweł Aleksiejewicz wiedział o tym już od dawna, że poszczególne organy żywego organizmu przejawiają sobie tylko właściwe odczucia... Ale czy można było o tym mówić głośno?

Tak, rodzić już więcej nie będziesz miała okazji... \* pomyślał Paweł o umierającej kobiecie, nie przeczując z kim będzie łączył się ten fakt. Potrząsnął głową, odganiając od siebie jakieś upiorne obrazy... Walentyna Iwanowna, rozgarnąwszy zwój jelit, dotarła do wyrostka. Wszędzie było pełno ropy.

\* Wszystko to trzeba wyczyścić... wszystko usunąć...

Nie da się uratować. Przeklęty zawód \* pomyślał Paweł Aleksiejewicz zanim przejął instrumenty z rąk Walentyny Iwanowny.

Paweł był świadom, że komendant szpitala Ganiczew dysponował pewną ilością fiolek z amerykańską penicyliną. Ten złodziej i handlarz miał wobec Pawła Aleksiejewicza pewne zobowiązania... Może więc uda się wydostać to od niego?...

3.

Przez pierwszych kilka dni, kiedy to Helena nie umierała, ale i nie w pełni pozostawała przy życiu, Paweł Aleksiejewicz zaglądał do niej za kotarę w kącie sali, gdzie leżała i osobiście robił zastrzyki ze zdobytej penicyliny, przeznaczonej w zasadzie dla rannych żołnierzy i dwukrotnie im ukradzonej. Helena nie odzyskiwała przytomności. W krainie, w której przebywała, znajdowali się wypowiadający jakieś słowa ni to ludzie, ni to rośliny i coś się odbywało, w czym ona odgrywała jak gdyby główną rolę. Leżała na szeroko rozpostartym białym płótnie i po części sama była tym płótnem, na którym jakieś delikatne ręce jakby coś wyszywały, w każdym razie Helena czuła drobne ukłucia cieniutkich igiełek, co nawet sprawiało przyjemne uczucie.

Oprócz tych troskliwie haftujących obecni byli i inni, wrodzy, chyba Niemcy, a nawet gestapowcy i żądali nie tylko jej śmierci, ale czegoś gorszego niż śmierć. Przy tym coś jej podpowiadało, że ten obraz to przywidzenie, zjawa i niezadługo przybędzie ktoś, kto ukaże jej rzeczywistą prawdę. Domyślała się, że wszystko co się z nią dzieje, odnosi się do jej życia i śmierci, ale że poza nimi istnieje jeszcze coś bardziej ważnego, związanego ze zbliżającym się odkryciem ostatecznej prawdy, która jest ważniejsza od samego życia.

Pewnego razu usłyszała rozmowę. Męski, niski głos zwracał się do kogoś z prośbą o biochemię. Żeński, starczy \* odmawiał. Biochemia przybrała dla Heleny postać dużego szklanego pudła z kolorowymi, brzęczącymi rurkami w środku, które w niezrozumiały sposób pasowały jakoś do tego górzystego pejzażu, na tle którego wszystko się odbywało... A potem i sam pejzaż, i kolorowe rurki, i nierealne istoty, wszystko to zniknęło, a Helena poczuła, że ktoś postukuje ją w nadgarstek.

Otworzyła oczy. Światło było tak nachalne i ostre, że natychmiast je zmrużyła.

Człowiek, którego twarz wydała się jej znajoma, uśmiechnął się.

\* No, brawo, Heleno Georgijewno!

Paweł Aleksiejewicz zdumiał się: to był ten przypadek, gdy fragment wydaje się większy od całości \* jej ogromne oczy dominowały w drobnej twarzy.

\* To pana tam widziałam, prawda? \* zapytała Helena słabiutkim głosem jakby z cienkiej bibułki.

\* Bardzo możliwe.

\* A gdzie Tania? \* spytała raz jeszcze, ale odpowiedzi już nie usłyszała. Znow popłynęła dokądś wśród kolorowych plam i odzywających się roślin.

„Tania, Tania, Tania” \* zaśpiewały jakieś głosy i Helena uspokoiła się: wszystko było w porządku.

Po jakimś czasie odnalazła się w realnym świecie i wszystko stanęło na swoim miejscu: choroba, operacja, sala szpitalna. Troskliwy lekarz, który nie pozwolił jej umrzeć.

Zaczęła ją odwiedzać Wasilisa Gawryłowna, z bielmem na jednym oku, w ciemnej chustce na głowie, zawiązanej nisko na czole, tuż nad brwiami. Przyprawiała

Tanię.

Doktor z początku zaglądał do niej dwa razy dziennie, potem \* jak do wszystkich \* podchodził do jej łóżka tylko podczas porannego obchodu. Zdjęto oddzielając ją od reszty sali zasłonę. Helena zaczęła wstawać i samodzielnie docierała do umywalni na końcu korytarza.

W ten sposób spędziła trzy miesiące na oddziale Pawła Aleksiejewicza.

W tym czasie Helena wynajmowała kąt za kotarą w starym, zagrzybionym drewnianym domku na przedmieściu u wyjątkowo kłótlivej, z wyglądu też zgrzybiałej kobiety, która zanim wynajęła go Helenie, zdążyła wyrzucić kolejnych czterech lokatorów. To syberyjskie miasto, które przed wojną liczyło niespełna pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, teraz pękało w szwach z powodu ewakuowanych doń instytucji: zakładu zbrojeniowego, w którego Biurol Konstrucyjnym pracowała Helena, Instytutu Medycznego z wieloma klinikami i dwóch teatrów. Poza barakami dla więźniów pod miastem żadnych pomieszczeń mieszkalnych w okresie władzy sowieckiej nie zbudowano. Wszyscy jak kilki w puszcze poupychani więc byli w każdym kącie, każdej norze...

W przededniu wypisania Heleny ze szpitala Paweł Aleksiejewicz podjechał służbowym samochodem pod jej mieszkanie. Gospodyni, przestraszona widokiem samochodu z kierowcą, schowała się do komórki, drzwi otworzyła Wasilisa Gawryłowna. Na przywitanie owionął Pawła zapach pomyj i brudu. Nie zdejmując kożucha, Paweł zrobił parę kroków przed siebie, odchylił kotarę i zajrzał do ubożego kąta, gdzie w rogu obszernego łóżka, z wielkim białym kotem na kolanach siedziała Tania i patrzyła na niego z przestachem, ale i z zaciekawieniem w oczach.

\* Proszę szybko spakować rzeczy, Wasiliso Gawryłowno, przenosimy się do innego mieszkania \* powiedział Paweł nieoczekiwanie nawet dla siebie samego.

Nie sposób było zostawić w takim okropnym miejscu ciężko chorej kobiety, która cudem wyrwała się z objęć śmierci.

W ciągu piętnastu minut cały dobytek został spakowany do wielkiej walizy i tobołu, Tania była ubrana i trzy żeńskie istoty, włączając w to młodą kotkę, zasiadły na tylnym siedzeniu w samochodzie. Zostały

zawiezione do mieszkania, które zajmował Paweł Aleksiejewicz.

Klinika mieściła się w starej willi, mieszkanie Pawła znajdowało się tuż obok w podwórzu, w przybudówce. Kiedyś służyła ona za izbę czeladną i kuchnię dla służby. Teraz wyremontowano ogromny piec, na którym przygotowywane było jedzenie dla chorych, przegrodzono całe pomieszczenie i wygospodarowano dla Pawła Aleksiejewicza dwa pokoiki z oddzielnym wejściem. W jednym z nich umieścił więc przywiezioną rodzinę Heleny, przyszłą swoją rodzinę.

Już pierwszego wieczoru, gdy została sama z małą Tanią \* Helena miała wyjść ze szpitala nazajutrz \* Wasilisa po odmówieniu pacierza położyła się na twardej lekarskiej kozetce obok śpiącej dziewczynki i pomyślała: do czego to wszystko zmierza? Ech, Heleno, Heleno, przecież żyje twój mąż!...

Podejrzenia Wasilisy potwierdziły się już nazajutrz, gdy Helena, przemierzywszy podwórze, weszła do mieszkania Pawła Aleksiejewicza. Była bardzo słaba, prawie przezroczysta, uśmiechała się jakoś niewyraźnie, z zakłopotaniem, jakby ze skruchą czy poczuciem winy. Ale w tym dniu nie było powodów ani do podejrzeń, ani do przestróg ze strony Wasilisy Gawryłowny \* pojawiły się one później, po kilku dniach. A swoją drogą interesujące, co sprawiło, że ta stara panna, nie mająca najmniejszego doświadczenia w stosunkach z mężczyznami, tak łatwo od samego początku, wyczuła wibracje, jakie zaistniały między dwojgiem tamtych ludzi?

Przez cały luty trwały silne mrozy. W mieszkaniu Pawła Aleksiejewicza intensywnie palono w piecach, po raz pierwszy od wielu miesięcy kobiety ogrzały się więc na dobre. Być może, ciepło, płynące od palącego się drewna \* za którym tak się stęskniły \* podgrzewało uczucia Heleny, w każdym bądź razie ogarnęła ją taka miłość do Pawła Aleksiejewicza, jakiej dotąd nigdy nie doświadczyła. Dziś, gdy wiedziała znacznie więcej o miłości i o sobie samej, jej ślub z Antonem Iwanowiczem wydawał się czymś ułomnym, nierzeczywistym. Odpędzała od siebie pojawiające się mgliste myśli o mężu, odkładała z dnia na dzień moment, kiedy trzeba będzie sobie samej powiedzieć uczciwie pełne żalu słowa prawdy. Stan taki pogłębiał też fakt, iż prawie od pół roku od Antona nie przychodziły listy, ona sama zaś także nie pisała do niego już od miesiąca, nie mogąc zdobyć się ani na słowa

prawdy, ani na kłamstwo.

Rano o wpół do szóstej Paweł Aleksiejewicz przynosił ze szpitalnej kuchni całe wiadro gorącej wody \* to była niewyobrażalna rozkosz, niczym wanna pełna szampana! \* i czekał za drzwiami, aż Helena się umyje. Potem mył się sam i przynosił drugie wiadro z ciepłą wodą dla Wasilisy i małej Tani, podrzucał dREW do pieca, w którym paliło się prawie bez przerwy. Wasilisa siedziała w drugim pokoju, dopóki Paweł i Helena nie wyszli do pracy. Udawała, że śpi, ale Helena wiedziała, że jest z niej ranny ptaszek. Swoje modlitwy zaczynała szeptać przeważnie już w środku nocy.

Helena domyślała się, że stara kobieta nie wychodzi z pokoju, bo nie chce być świadkiem nieprzystojnego \* jej zdaniem \* zachowania Heleny. I uśmiechała się, rankami bowiem czuła się w pełni szczęśliwa i wolna. Wiedziała, że po drodze do pracy ten nastrój przygaśnie, a pod koniec dnia nie będzie już śladu po porannym szczęściu, zastąpi je nasilające się poczucie winy i wstydu, i będzie trwało aż do nocy, kiedy to Paweł Aleksiejewicz obejmie ją swoim mocnym ramieniem...

Paweł Aleksiejewicz miał już czterdzieści trzy lata, Helena \* dwadzieścia osiem. Była pierwszą i jedyną kobietą w jego życiu, której obecność nie tłumiła jego daru wewnętrznego widzenia. Po pierwszej nocy, spędzonej z nią, gdy się obudził w szarości przedświt, czując łaskotliwy dotyk jej włosów na swoim przedramieniu, powiedział sobie: „Wystarczy! Niech już nawet nigdy nie ujrzę niczego ponad to, co widzą inni lekarze, ale jej nie oddam...”.

Jego swoisty dar, choć nienawidził kobiet, dla Heleny uczynił jednak wyjątek. Tak jak dawniej Paweł Aleksiejewicz dostrzegał migotanie kolorów wewnątrz ludzkiego ciała, skryte w nim wewnętrzne życie.

„Prawdopodobnie i ON ją pokochał” \* zdecydowanie uznał Paweł Aleksiejewicz.

W sześć tygodni po pierwszej nocy, spędzonej z Pawłem Aleksiejewiczem Helena została zawiadomiona o śmierci Antona Iwanowicza Fłotowa, swego męża. Telegram przyniesiono rankiem, kiedy Helena była już w pracy. Wasilisa płakała przez cały ten dzień, wprawdzie nie lubiła Antona, ale obecnie wyrzucała sobie swoją niechęć do niego. Wieczorem położyła zawiadomienie przed osłupiałą Heleną. Ta długo

trzymała w ręku żółtawy, cienki kawałek papieru.

\* Boże, jak teraz żyć? \* Helena wskazała palcem na datę śmierci męża, napisaną dużymi, wyraźnymi cyframi. \* Widzisz, jaki to dzień?

To był ten sam dzień, kiedy została u Pawła na noc. Do tej pory postać Pawła Aleksiejewicza w zgrabnym kitlu chirurga, związanym tasiemkami na szyi i na szerokich plecach, zdążyła całkowicie przesłonić jej pozostały świat wraz z An tonem o chłodnym wyrazie oczu i zaciśniętych ustach na chudej twarzy, całkiem pozbawionej słowiańskiej miękkości.

Od tego momentu miłość Heleny do Pawła Aleksiejewicza została już na zawsze zaprawiona poczuciem winy \* nie do zmazania \* wobec Antona, zabitego akurat tego dnia, kiedy Helena go zdradziła...

Wasilisa dostrzegła w dacie śmierci jeszcze coś innego: oto minęło już od niej 40 dni.

\* Ani mnie się teraz modlić, ani tobie ogłaszać wdowieństwo! \* zapłakała żałośnie.

Po kilku dniach Wasilisa poprosiła o wolny czas \* chodziło jak zwykle o jej tajną jakąś wyprawę, o której raczej zawiadamiała, aniżeli prosiła, by ją zwolnić w tym celu. Helena, spędziła z nią wiele lat i znała dobrze te jej nawyki. Znikała na tydzień, dwa lub trzy, by potem nieoczekiwanie nagle wrócić. Tym razem jednak Helena nie mogła jej pozwolić na wolne dni: w Biurze Konstruktorskim, gdzie swoją delikatną ręką kreśliła robocze rysunki modernizowanej skrzyni biegów do nowego typu czołgów, zwolnień nie udzielano nikomu. Po drugie, obowiązujące w czasie wojny przepisy nie zezwalały na odbywanie podróży, nie było też z kim zostawić Tani.

4.

Paweł Aleksiejewicz jako bystry obserwator, wprawdzie pogrążony całkowicie w swoich zawodowych medycznych zajęciach, dostatecznie trzeźwo oceniał życie, jakie toczyło się wokół niego. On sam, co zrozumiałe, korzystał z pewnych przywilejów jako profesor i dyrektor dużej kliniki, ale widział ciężkie warunki, w jakich żył i pracował personel medyczny: brak żywności, nawet na oddziale położniczym, chłód, niedostatek opału, lekarstw, materiałów opatrunkowych...

Chociaż wszystkie te zjawiska występowały również przed wojną, teraz pojawiła się skądś nadzieja, że po wojnie wszystko to zmieni się na lepsze, będzie działało prawidłowo...

Prawdopodobnie na jego postawie wewnętrznej, na jego wielu opiniach odciskała się wykonywana przezeń profesja: stała, prawie codzienna obecność przy porażającym niczym błyskawicą fackie rodzenia się ludzkiej istoty z ociekającego krwią ujścia dróg rodnym, z ciemnej czeluści niebytu i jego poważny udział w tym swoistym naturalnym dramacie. Wiedział nie tylko o kruchości człowieka, ale i o jego ponadnaturalnej wytrzymałości, przekraczającej w znacznej mierze wytrzymałość innych organizmów żywych. Wieloletnie doświadczenie dowodziło, że możliwości adaptacyjne człowieka o wiele przewyższają takie możliwości u zwierząt. Ciekawe, czy problem ten próbowali badać wspólnie medycy i zoologowie?

„Jestem w pełni przekonany, że żaden pies nie wytrzyma tego, co człowiek” \* myślał w duchu Paweł Aleksiejewicz.

Paweł Aleksiejewicz posiadał jedną z ważniejszych cech uczonego: potrafił formułować właściwe pytania. Uważnie śledził wszystkie współczesne badania w dziedzinie fizjologii i embriologii, i wciąż doznawał zadziwienia nieustannym, ścisłym nawet co do drobiazgowym procesem, określającym życie przyszłego człowieka jeszcze w jego okresie płodowym. Zgodnie z tym procesem każde dające się uchwycić zjawisko zachodziło z niezwykłą dokładnością \* nie tylko do tygodni i dni, ale nawet godzin i minut. Mechanizm ten działał tak precyzyjnie, że w czasie siódmej doby istnienia zarodek, stanowiący zlepek jednakowych komórek, rozszczepiał się na dwa listki, wewnętrzny i zewnętrzny, z którymi zaczynały się dziać przedziwne rzeczy: to się wyginały, odrywały, wywracały, tworzyły węzłki i pęcherzyki, to część powierzchni przechodziła do wewnątrz i wszystko powtarzało się z niesłychaną dokładnością miliony i miliony razy pod rząd... Kto i jaką drogą wydaje rozkazy, według których odbywa się ten niewidzialny spektakl?

Najwyższa bezimienna mądrość sprawia, iż z jednej jedynej komórki powstałej z mało ruchliwej i z lekka rozpływającej się komórki jajowej, otoczonej dookoła wiankiem pęcherzykowatych komórek i z długonosego, o wrzecionowatej główce, ze



spiralnie skręconym, ruchliwym ogonkiem plemnika nieuchronnie powstaje istota ludzka o długości mniej więcej pół metra, krzyżująca, ważąca około trzech kilogramów, jakaś całkowicie niedorzeczna, a z niej \* zgodnie z tym samym prawem rozwoju \* wyrasta geniusz albo jakiś podlec, piękność albo przestępca czy też święty... Dlatego, iż Paweł Aleksiejewicz wiedział dużo, a właściwie wszystko, co w tej epoce było znane nauce w tej dziedzinie, wyobrażał sobie innych w świetle pozytywnym, mając świadomość, z jakiej kosmicznej warzelni wyłania się każda Katia i każdy Walerik.

W ojcowskiej bibliotece pełno było książek z historii medycyny. Paweł zawsze bardzo lubił te odległe ślady przeszłości: cieszyły go, wprawiały w podziw, a czasem wywoływały nawet śmiech, gdy chodziło o jakieś fantastyczne wyobrażenia jego dawno zmarłych kolegów, czy to starożytnych kapłanów egipskich, czy pierwszego w świecie wykształconego anatoma, czy też średniowiecznego mistrza, który dokonywał puszczania krwi, cesarskiego cięcia lub usunięcia nagniotków, biorąc taką samą opłatę za każdą z tych usług.

Jeszcze będąc całkiem młody, zapamiętał tekst babilońskiego kapłana i medyka Berososa, w którym ten wyjaśniał swojemu uczniowi, że oto już upływa trzydzieści lat od chwili, gdy gwiazda Tiszla weszła do gwiazdozbioru Sipparu i od tej pory chłopcy rodzą się więksi, bardziej agresywni, a rączki mają tak ułożone, jakby w nich trzymali kopię... „Nic więc dziwnego \* pisał dalej medyk \* że w ciągu ostatnich dziesięciu lat mamy nieustanne wojny. Ci bojowi malcy wyrosli i nie mogą poprzestać na oraniu pola. Zapewne opiekunka Lamassu przepisuje tablice ludzkich losów”.

Paweł Aleksiejewicz sprawdził w jakimś niemieckim leksykonie, co to za postać ta Lamassu, pilnująca losów pokoleń ludzkich. Okazało się, że jest boginią łożyska. Zdumiewające, nawet porażające było to nadawanie cech bóstwa poszczególnym organom ludzkiego ciała i poczucie kosmicznej więzi ziemi z niebem i z ludzkim ciałem, całkowicie utracone przez naukę w czasach nowożytnych. W samej rzeczy byłoby ciekawe \* abstrahując od tych wzruszających przesądów \* czy dane pokolenie wykazuje się jakimś wspólnym obliczem, podobnym charakterem? Czy

tylko czynniki społeczne wpływają na charakter pokolenia? A może naprawdę mają tu wpływ gwiazdy albo sposób odżywiania, czy skład chemiczny wody?... Przecież nawet mistrz samego Pawła Aleksiejewicza, profesor Kalincew, mówił o „hipotonicznych” noworodkach z początku wieku. Opisywał je jako wątłe, lekko ospałe, z woreczkami pod oczami, półotwartymi ustami i słabymi niczym u aniołków rączkami. Rzeczywiście, tamte nie były podobne do współczesnych, które przychodzą na świat z mocno zaciśniętymi piąstkami, podgiętymi palcami u nóg, napiętymi mięśniami. To hipertonia. I poza boksera \* zaciśnięte w kułak rączki chronią głowę.

To dzieci strachu. One zapewne będą bardziej odporne w życiu. Ale pytanie \* przed czym właściwie się osłaniają? Od kogo oczekują ciosu? Co by o nich powiedział babiloński uczonec Berossos, kapłan bogini Lamassu?

Rozmyślenia o pełnych strachu niemowlętach prowadziły Pawła Aleksiejewicza w innym kierunku. Zastanawiając się nad losami bliskich mu ludzi, Paweł stwierdzał, że wszyscy oni byli zatruci strachem. Większość z nich ukrywała wstydlivy jakby fakt swego pochodzenia czy pokrewieństwa albo nie mogąc tego zataić, żyła w ciągłym oczekiwaniu kary za niepopelnione przestępstwo. Jego asystentka Walentyna Iwanowna pochodziła z bardzo bogatej rodziny kupieckiej, kolega miał w żyłach \* niczym zarazek dżumy \* z połowę krwi niemieckiej, brat rejestratorki z kliniki wyemigrował jeszcze w osiemnastym roku, Helena, która tak niedawno pojawiła się w jego życiu, przyznała się, że oboje jej rodzice zginęli w łagrach, a ona sama uratowała się cudem tylko dzięki temu, że przed przymusowym przesiedleniem rodziców do Kraju Ałtajskiego babcia przysposobiła ją jako swoją córkę. Okazało się, że nawet Wasilisa Gawryłowna, całkiem prosta kobieta, żyła z jakąś jej tylko znaną tajemnicą. Każdy człowiek o czymś milczał, każdy obawiał się odkrycia tego, co musiał zatajać.

Z początkiem wojny ten nieokreślony, prawie mistyczny strach nieco zelżał.

Zastąpiła go bardziej realna obawa o życie tych, którzy poszli na front. Ich zabijali prawdziwi, odwieczni wrogowie Niemcy, a oni, ci walczący i ginący na froncie mężczyźni bronili nie tylko ojczyzny. W jakimś stopniu chronili też swoje rodziny

przed przedwojennym strachem: odpowiednie organy zapominały jakby o bogatych babciach w rodzinach, zbyt wysoko wykształconych dziadkach, o krewnych mieszkających za granicą... Przychodzące zawiadomienia o śmierci zrównywały wszystkich w nieszczęściu. Sieroctwo, głód i chłód dotykały jednakowo dzieci poległych żołnierzy, jak dzieci więźniów. Przyszłość dla wszystkich ludzi wiązała się ze zwycięstwem, marzenia ich nie sięgały dalej.

Miłość pozbawiona prawie słów, zrodzona w cichym szepcie przy dźwięku trzaskających w piecu drewna, tak mocno ogarnęła Pawła i Helenę, że oboje odsuwali na razie od siebie nieuniknione rozmyślenia o przyszłości. Strach nie miał jeszcze do nich dostępu.

5.

Paweł Aleksiejewicz zaadoptował Tanię zaraz po ślubie i jak określała to Wasilisa \* „przyjął ją do serca”. W niej widział te tysiące nowo narodzonych dzieci, którym pomógł przyjść na ten świat. Te, które wyciągnął, wyjął za pomocą skalpela, uchronił przed zamartwicą, urazem czaszki i innymi uszkodzeniami, trafiającymi się w czasie porodu.

Te obce dzieci pojawiały się przed nim za ledwie na kilka czy kilkanaście minut. Wymagały dużego wysiłku z jego strony i pracy, ale potem zniknęły z jego pola widzenia. Paweł nie miał już sposobności obserwować ich, tych chłopczyków i dziewczynek, gdy zaczynali się uśmiechać, zauważać swoje paluszki, rozpoznawać twarze najbliższych, swoje smoczki czy grzechotki.

Już w pierwszych godzinach życia nowej istoty Paweł Aleksiejewicz potrafił dostrzegać w niej cechy temperamentu: silną wolę lub bierność, upór czy też lenistwo. Bardziej dokładne rysy osobowości człowieka nie przejawiają się jednak w pierwszych dniach jego życia, kiedy to noworodek odpoczywa po tytanicznej pracy, związanej z urodzinami i przejściem do nowej formy istnienia. Paweł wiedział dużo o obcych niemowlętach, ale niczego właściwie nie wiedział o dziecku z jego własnego domu. Poznanie go okazało się zadziwiającą przygodą.

Tania skończyła zaledwie dwa lata, Paweł Aleksiejewicz z uwagi na swój wiek mógłby być jej dziadkiem. Jego serdeczny zachwyty dziewczynką, jaki w nim wzbudzała, nosił piętno starczej radości ze wszystkiego nowego co dzieje się z dzieckiem, a co nigdy nie dotyczy dorosłych. To zauważał fałdkę na przegubie jej rączki, to dołek w pasie, innym razem stwierdzał, że włosy jej nie mają jednolitego ciemnokasztanowego koloru, ale od strony szyi, za uszami są jaśniejsze i bardziej miękkie, jak gdyby były innego gatunku.

Nowe słowa, ruchy, cały rozwój umysłowy, zachodzący w tym dwuletnim małym człowieku, powodowały pełne serdeczności zainteresowanie Pawła Aleksiejewicza. Nigdy nie przychodziło mu na myśl, że jakaś inna kobieta mogłaby mu urodzić jego własne dziecko, może synka, który by odziedziczył nie te obce ciemne włosy, ale jego własne, jasne, ze skłonnością do łysienia, jego mocne szerokie dłonie z trójgraniastymi, ostro zakończonymi palcami, który kiedyś w przyszłości kontynuowałby, być może, jego zawód.

Nie, nawet gdyby Helena była jeszcze w stanie urodzić dziecko, Paweł nie był pewien, czy chciałby swoją miłość do Tani poddać takiej próbie, takiemu porównaniu. Powtarzał Helenie, że nie może sobie nawet wyobrazić innego dziecka i że Tania jest prawdziwym cudem.

Trudno odpowiedzieć na pytanie, co z czego wynika: czy dobry charakter u dziecka kształtuje się pod wpływem miłości, jaką bez miary, bezinteresownie otaczają je rodzice, czy też jest inaczej, dziecko dobre z natury powoduje, iż w duszach rodziców ujawniają się najlepsze przyrodzone im cechy. Tak czy inaczej, Tania rosła otoczona miłością i wszyscy troje byli bardzo ze sobą szczęśliwi. Wasilisa zaliczała się też wprawdzie do członków rodziny, ale w tym rodzinnym trójkącie pełniła rolę członka wspomagającego, stabilizującego.

Czasem, gdy Tania budziła się wcześniej niż dorośli, przemykała się do pokoju rodziców i w perkalowej koszulce wślizgiwała się jak rybka między nich oboje, żądając sennym, zadowolonym głosikiem, by ją „obojać i pocałunkować”. Bardzo wcześnie zaczęła mówić i to w pełni prawidłowo, ale to „pocałunkować” było dla niej żartem w stosunku do siebie samej \* na wzór osoby dorosłej.

\* Tutaj, tutaj i tutaj \* wskazywała paluszkami czoło, policzki i podbródek, a otrzymawszy żądane całusy niczym należną jej daninę, z całą powagą wyszukiwała miejsce na kłującym policzku Pawła, by go cmoknąć.

Ten poranny rytuał całowania przekształcił się później w pożegnalne pocałunki przed wyjściem Tani do szkoły. Te przelotne muśnięcia, zdawałoby się, bez większego znaczenia, stanowiły rodzaj mocnych spinaczy w powszednim życiu rodziny.

Paweł Aleksiejewicz, zamknięty w sobie jeśli chodzi o stosunki z ludźmi, nawet z własną żoną, bardzo opanowany w gestach i słowach, do Tani odnosił się ze starym wprost roztkliwieniem. „Słodka wisienka”, „tatusiowy wróbelek”, „czarnooka wiewióreczka”, „jabłuszko z uszkami” \* szeregiem epitetów z zielnika czy ze zwierzyńca obdarzał dziecko. Tani bardzo się to podobało i ze swej strony nie pozostawała dłużna, nazywając ojca „swoim najlepszym pieseczkiem”, „Hipopotamem Hipopotamiczem”, „wąsatym sumikiem”.

Paweł namiętnie rozpieszczał Tanię. Helena musiała czasami hamować jego zapędy. Zdarzało się, na przykład, że Paweł wchodził do sklepu z zabawkami i kupował całą skromną zawartość lady sklepowej. Ale Tani to jakoś nie szkodziło, nie było w niej właściwej dziecku zachłanności ani żądzy posiadania, nie znającej granic.

Pawłowi Aleksiejewiczowi wydawało się wciąż, że każda tkanina jest zbyt szorstka dla delikatnej skóry dziecięcej, że buciki ocierają nóżki, szalik uwiera w szyję.

Przenosił wzrok z Tani na żonę i widząc, jak jest krucha i wątła, przejmował się aż do bólu i pragnął je obie owinać w batystę, otulić puchem, futrem... Zachodziła dziwna sprzeczność pomiędzy ascetycznymi przyzwyczajeniami Pawła, surowym, jego twardym życiem chirurga, życiową postawą Heleny, by brać dla siebie jak najmniej i jak najskromniej, i to w sposób tak naturalny, że nikt i ego nie zauważał, skąpstwem i surowością Wazylisy w stosunku do dziecka, a pragnieniem Pawła, by umieścić żonę i córkę pod szklanym kloszem i uchronić je od przeciągów, ordynarności i trudów toczącego się obok życia.

Pod koniec sierpnia czterdziestego czwartego roku klinika Pawła Aleksiejewicza została przeniesiona z powrotem do Moskwy. Mieszkanie Heleny na Triochprudnym zaułku, na które liczyła, okazało się zajęte przez dwóch młodych enkawudzystów,

cała rodzina musiała więc pomieścić się w dawnym służbowym mieszkaniu Pawła, w którym wiódł on przed wojną samotne, skromne życie. Była to obszerna półsuterena, wilgotna i nieodpowiednia dla dziecka. Tania, jak gdyby chcąc udowodnić, że troska o jej zdrowie jej uzasadniona, często się przeziębiała i długo potem kaszłała.

Współżycie Pawła Aleksiejewicza i Heleny Georgijewny układało się na tyle szczęśliwie, że nawet obawa o zdrowie Tani zbliżała ich do siebie. Przez długi czas pierwszym trwożnym pytaniem, jakie zadawał Paweł po powrocie z kliniki, było „Czy kaszłała?”. Wasilisa wzruszała kościstymi ramionami: wielka mi sprawa, dziecko kaszle...

„Ale to nieczuła starucha!” \* dziwił się Paweł w duchu, zdejmując grube palto, pełne ulicznego chłodu i odganiając od niego Tanię, która pokazywała się w korytarzu.

6.

Paweł Aleksiejewicz, tak samo jak jego zmarły ojciec, posiadał niewątpliwie cechy obywatelskie. Wprawdzie nad jego karierą cieniem kładła się ojcowska ranga oficera w wojsku carskim, II wojna światowa poprawiła jak gdyby ten niedostatek w jego życiorysie: ojciec był oficerem, ale jako lekarz wojskowy zginął na wojnie z Niemcami. Obecnie, gdy kraj znów walczył z synami tychże Niemców, po cichu darowano mu ten mankament jego pochodzenia. Wkrótce po powrocie do Moskwy wezwano Pawła do Ministerstwa Zdrowia, gdzie polecono mu opracowanie projektu systemu opieki lekarskiej, w szczególności w zakresie macierzyństwa i opieki nad dzieckiem. Wojna miała się ku końcowi i chociaż komisja specjalna do tej sprawy nie była jeszcze powołana, zakładano, że z czasem Paweł Aleksiejewicz stanie na jej czele. Przekazano mu dane statystyczne, zebrane nieumiejętnie, często błędne i niepełne, ale wykazujące w pewnym stopniu przerażającą sytuację demograficzną kraju. Polegała ona nie tylko na nieodwracalnej stracie ogromnej liczby mężczyzn i związanym z tym zmniejszeniem liczby urodzin, ale głównie na wysokiej śmiertelności dzieci, zwłaszcza noworodków. Istniała też jeszcze jedna okoliczność, nie uwzględniana w oficjalnej statystyce, ale doskonale

znana każdemu praktykującemu lekarzowi: wielka liczba kobiet w wieku reprodukcyjnym umierała z powodu nielegalnych zabiegów aborcyjnych. Przeprowadzanie aborcji zostało oficjalnie zakazane jeszcze w roku trzydziestym szóstym, prawie jednocześnie z ogłoszeniem stalinowskiej konstytucji. Ten zakaz stanowił trudny aspekt pracy Pawła Aleksiejewicza: prawie połowa przeprowadzanych przez niego pozaplanowych operacji dotyczyła konsekwencji nielegalnie dokonywanych aborcji. Środki antykoncepcyjne w praktyce nie istniały. Lekarz miał obowiązek zawiadamiać o każdym przypadku nielegalnego przerwania ciąży u każdej, przywiezionej karetką Pogotowia Ratunkowego kobiety. Wiązało się to z dochodzeniem sądowym. Paweł Aleksiejewicz unikał takich zawołanych donosów i w wywiadzie lekarskim umieszczał słowa „nielegalne przerwanie ciąży” jedynie w przypadku, gdy pacjentka umierała. Gdy zaś życie kobiety udawało się uratować, chronił poszkodowaną i osobę, dokonującą zakazanego zabiegu przed znalezieniem się na ławie oskarżonych. Ileż bowiem setek tysięcy kobiet siedziało w łagrach za to przestępstwo!

Obszerny program, który miał za zadanie opracować Paweł, zawierał oprócz aspektów czysto medycznych, również uwarunkowania socjalne.

Projekt Pawła przypominał jeden z tych memoriałów, składanych w swoim czasie przez najlepszych "synów ojczyzny na

ręce Władzy Najwyższej. Wśród nich trafiali się romantycy i ludzie niespełna rozumu, całe spektrum bardzo interesujących postaci, od księcia Kurbskiego poczynając, a na Czaadajewie kończąc. Nawet jego rodzony ojciec, Aleksy Gawryłowicz Kukocki, był jednym z takich wizjonerów.

Paweł Aleksiejewicz przewidywał, że po wojnie wystąpią poważne zmiany w samej instytucji rodziny, oczekiwał pojawienia się wielkiej ilości samotnych matek, traktując to zjawisko jako nieuniknione, a z punktu widzenia społeczeństwa \* nawet pozytywne. Uważał za konieczne wprowadzenie szeregu ulg dla matek, samotnie wychowujących dzieci, ale przede wszystkim za pierwszy krok uznawał zniesienie zakazu z lipca trzydziestego szóstego roku, dotyczącego przerywania ciąży.

W miarę posuwania się pracy projekt Pawła rozrastał się i przybierał formę pełnej

utopii, choć zawierał wiele poważnych, rzeczowych myśli, znacznie wyprzedzających swój czas. Paweł przewidywał powołanie patronatu dla rodziców, zorganizowanie pracy oświatowej wśród młodzieży i stworzenie sieci domów sanatoryjnych dla dzieci, gdzie w oparciu o podstawy naukowe wychowywano by je na w pełni zdrowe fizycznie i psychicznie. Ten pomysł w pewnym sensie przypominał pedologię, zakazaną jeszcze w latach trzydziestych i z lekka nawiązywał do Czernyszewskiego. Paweł Aleksiejewicz nie pomijał też konsultacji medyczno\*genetycznych, których organizację chciał powierzyć swemu koledze z lat młodości, lekarzowi\*genetykowi Ilji Goldbergowi.

Ministrem zdrowia była w tym czasie niemłoda już kobieta, doświadczona funkcjonariuszka państwowa, partyjna od myszatego czubka głowy po zastarzałe odciski na stopach, przy tym jedyna kobieta w składzie rządu. Od dawna obdarzano ją przezwiskiem „Koniaga”, po części z powodu brzmienia jej nazwiska, a po części w związku z jej wytrwałością i rzadkim darem dążenia prosto w wyznaczonym kierunku, bez zbaczania z drogi. Przewisko nawet jej się podobało. Nieraz w wąskim gronie, po paru dobrych kieliszkach, lubiła sobie pogadywać:

\* Tak, tak, rosyjska kobieta to koń z jajami \* wszystkiemu podoła!

Niewątpliwie była najważniejszą kobietą w kraju, symbolem równouprawnienia i ucieleśnionym „Ósmym Marca”, jeśli nie liczyć mitycznych Róży Luksemburg, Klary Zetkin, Zoji Kosmodemiańskiej i wiecznie młodej Lubow Orłowej. Co ciekawe, wszystkie one, w tym i sama Koniaga, były kobietami bezdzietnymi...

Na początku, gdy projekt nowego systemu ochrony zdrowia zaledwie powstawał, Koniaga była wielką jego zwolenniczką, ale w miarę jak praca Pawła Aleksiejewicza nabierała rozmachu, jej stosunek do przedstawionych propozycji ulegał ochłodzeniu. I rzeczywiście, ogarnęła ją obawa. Projekt wydawał się zbyt radykalny, wymagał ogromnych środków finansowych i był ryzykowny. Pod wieloma względami ślepa i głuchoniema, Koniaga była wyjątkowo wyczulona na nastroje zwierzchnictwa, traktując je jako wyraz interesów państwa. Dzięki temu niezawodnemu „węchowi” czuła, że w obecnej chwili interes państwa nie leżał w poprawie sytuacji w dziedzinie położnictwa i ginekologii, a nawet macierzyństwa czy opieki nad dzieckiem, ale w



zupełnie innej, wyższej sferze.

Oto, na przykład, akademik Oparin wyjaśnił, w jaki sposób materia ożywiona powstała z nieożywionej przy okazji wyładowania elektrycznego, które się dokonało zgodnie z nauką Marksa\*Engelsa w kierunku pierwotnej masy poprawnych ideologicznie molekuł białka. Inny akademik, Łysenko, prawie podporządkował przyrodę swojej czarodziejskiej różdżce i przyroda zapewniła go o odpowiedniej reakcji na wszystkie manipulacje poparte raz kijem, raz marchewką. Trzeci akademik, Olga Lepieszyńska, kobieta o światowej sławie, w niecałe pięć minut pokonała starość i w niecałe dziesięć \* samą śmierć. Atom zgodził się na swój pokojowy charakter, rzeki były gotowe płynąć dokąd należy, a nie dokąd im się chce. Sowiecka nauka rozkwitała, zwłaszcza w dziedzinie medycyny, nawet bez zniesienia nieszczęsnego prawa o aborcji, a wielki wódz wszechczasów i wszystkich narodów, chowając lewą, nieco bezwładną rękę za pazuchę, w mocną prawą ujmował wiekopomny bukiet, podawany mu przez jasnowłosą dziewczynkę \* która później w śledztwie nagle okazywała się Żydówką \* i uśmiechał się w pełnym mądrości zamyśleniu...

A tymczasem łysiejący ginekolog przychodził co tydzień do ministerstwa i drażnił swoim dyżurnym pytaniem: czy jego projekt przekazano już zwierzchnictwu? Nie i nie! W obecnym czasie nie można było przesłać projektu wyżej. A jeśli tam pojmą go opacznie? Poza tym zazwyczaj nowe pomysły nie powstają na jakimś niskim szczeblu, a odwrotnie \* pojawiają się na górze i stamtąd dopiero są przekazywane na dół. O przebudowie systemu opieki zdrowotnej na razie zapomniano i to nie ona, Koniaga, powinna była o tym przypominać. Przetrzywała więc projekt w ministerstwie. Żadne nowe ustalenia nie mogły się obejść bez zatwierdzenia przez Komitet Centralny partii, a jej wyczulone serce wołało sprawę przeciągać. Paweł Aleksiejewicz naciskał. Po trwających ponad rok bezskutecznych rozmowach z ministrem, zdecydował się w końcu na krok \* w pojęciu urzędników i wojskowych \* nieetyczny: napisał oficjalne pismo do KC partii, na ręce zajmującego się problematyką społeczną członka Politbiura N., pomijając ministra zdrowia! Pismo zgodnie z przyjętymi normami zawierało na początku słowa „Pod kierunkiem...” i

napisane było poprawnym, staromodnym językiem, z dobitną argumentacją i porażającą w każdym sensie statystyką. Tym razem Paweł uściślił zadanie \* nie przedstawiał całego projektu, a tylko jego fragment, dotyczący najbardziej palącego problemu: pozwolenia na przerywanie ciąży.

Minęło kilka miesięcy, Paweł Aleksiejewicz przestał się już spodziewać jakiegokolwiek odpowiedzi. Nagle któregoś ranka o dziewiątej, podczas codziennej pięciominutowej odprawy zadzwonił telefon z placu Starego. Paweł przeprosił zebranych i z niezadowoloną miną wyszedł z gabinetu ordynatora. Ktoś naruszył przyjęty obyczaj: w czasie odpraw nie wzywano go do telefonu, ale w tym przypadku było to zaproszenie na audiencję do KC i to pilne. Po dziesięciu minutach służbowy samochód wyjeżdżał już z kliniki. Obok kierowcy w ponurym nastroju siedział Paweł Aleksiejewicz. Wezwanie go było zupełnie nieoczekiwane, a okoliczności nie wróżyły nic dobrego. Szczególnie nie podobał mu się zalecony pośpiech. Przed wyjazdem zdołał zrobić dwie niezbędne rzeczy: wypił szklankę rozcieńzonego spirytusu i zabrał ze sobą od dawna przygotowaną swoją teczkę. Po drodze w kierunku placu Starego pomyślał, iż źle się stało, że nie zajechał do domu, by pożegnać się z rodziną...

Samochód zatrzymał się przy szóstym podjeździe, gdzie Paweł został poproszony o pozostawienie teczki. W teczce znajdował się płaski szklany pojemnik z zalakowanym wieczkiem. Pojemnik miał odegrać decydującą rolę podczas rozmowy. Po dłuższych wyjaśnieniach i przekonywaniu pozwolono Pawłowi zabrać teczkę ze sobą. Długo prowadzono go po miękko wyścielonych korytarzach. Tej niezbyt przyjemnej wędrówce towarzyszył jakby cień jakiegoś nocnego koszmaru. Paweł Aleksiejewicz raz jeszcze pożałował, że nie wstąpił przedtem do domu. Dwaj „usłużni”, jeden z lewej, drugi z prawej strony Pawła, wskazali mu drzwi: \* To tutaj. Paweł wszedł. Sekretarka, niczym z płótna Renoira, świecąca różowoperłową twarzą, poprosiła by zaczekał. Usiadł na twardej drewnianej ławie i między kolanami umieścił swoją starą, jeszcze ojcowską teczkę, która była świadkiem wizyt u ministrów dawno już nie istniejącego rządu. Był przygotowany na dłuższe oczekiwanie, poproszono go jednak już po paru minutach. Do tej pory alkohol zdążył

dotrzeć do najdalszych włókien jego systemu nerwowego i rozlał swoje błogie ciepło i spokój. W długim, nieprzytulnym gabinecie, przy ogromnym biurku siedział człowiek mizernej postury, o obrzmiałej twarzy jakby ulepionej z kawałka mydła, jednej z tych twarzy, które na pierwszomajowych portretach łopocą na wiosennym wietrze.

„Nerki ma do niczego, szczególnie lewą” \* jakby automatycznie zauważył Paweł.

\* Zapoznaliśmy się z waszym pismem \* padły słowa partyjnego dostojnika niczym z wyżyn królewskiego tronu.

Zarówno dźwięk jego głosu, jak i ledwie zauważalny wyraz obrzydzenia na twarzy zapowiadały, że sprawa jest przegrana.

„Tym bardziej nie ma już nic do stracenia” \* pomyślał Paweł Aleksiejewicz i powoli rozpiął sprzączki od teczki. Dostojnik zamilkł, zapadło lodowate milczenie. Paweł wyjął z teczki czworograniasty, lekko zapocony szklany pojemnik, przetarł dłonią przednią ściankę i postawił go na biurku. Dostojnik, przestraszony, cofnął się w głąb fotela i wskazawszy grubym palcem preparat, zapytał nieprzyjaznym tonem:

\* Co mi tu przynieśliście?

W pojemniku znajdowała się wypreparowana macica kobiety, najgrubszy, o złożonej budowie mięsień w jej organizmie. Przecięta wzdłuż i otwarta, swoją barwą przypominała burożółty ugotowany burak pastewny, jeszcze nie straciła całkiem koloru, zatopiona w mocnym roztworze formaliny. Wewnątrz macicy widniała przerośnięta cebula. Niesamowita walka pomiędzy ludzkim płodem, oplatanym grubymi bladymi nićmi korzeni, a na wpół przezroczystym żarłocznym woreczkiem, przypominającym raczej ciało jakiegoś morskiego stwora aniżeli zwykłą cebulę, używaną do zupy czy sałatki \* była już zakończona.

\* Proszę obejrzeć. To płód w macicy z przerośniętą cebulą. Cebulę wprowadza się do szyjki macicy, gdzie ona próbuje rosnąć, jej korzenie przebijają się przez płód, po czym wszystko razem zostaje usunięte z macicy. W przypadku pozytywnym, oczywiście. Przypadki negatywne trafiają do mnie na stół operacyjny albo wprost na cmentarz w Wagańkowie... Tych ostatnich jest więcej...

\* To jakieś żarty \* cofnął się znów w swoim fotelu partyjny dostojnik.

\* Mógłbym wam przedłożyć z kilogram takich główek cebuli \* grzecznie odpowiedział Paweł Aleksiejewicz pobladłemu działaczowi partii. \* Oficjalna statystyka \* nie mogę tego ukrywać \* absolutnie nie odpowiada rzeczywistości.

Dostojnik natężył się:

\* Co was upoważnia... Jak śmiecie...

\* Śmiem, śmiem. Jeżeli po nielegalnym usunięciu ciąży udaje mi się kobietę uratować, muszę wpisywać do jej karty choroby „samoistne poronienie”, inaczej skazywałbym ją na więzienie. Albo jej sąsiadkę, która ma też małe dzieci, a przecież u nas i bez tego połowa dzieci wychowuje się bez ojca. Cebula, proszę mi wierzyć, to najsprytniejszy sposób przerywania ciąży, ale nie jedyny. Metalowe pręty, katetery, nożyce, wlewki domaciczne jakiegoś paskudztwa... jodu, sody, mydlanej wody...

\* Przestańcie, Pawle Aleksiejewiczu \* z błaganiem w głosie zwrócił się pobieleły na twarzy działacz partii, przypomniawszy sobie, że przed wojną jego żona też korzystała z jakiegoś takiego sposobu. \* Wystarczy. Czego ode mnie oczekujecie?

\* Potrzebny jest dekret o dopuszczalności przerywania ciąży.

\* Czyście zwariowali? Czy nie wiecie, co to jest interes państwa, interes narodu? Na wojnie straciliśmy miliony mężczyzn, występuje wielki problem zapełnienia tego ubytku. To dziecięca gadanina to o czym mówicie \* zdenerwował się funkcjonariusz. „Nie na próżno przyniosłem preparat” \* pomyślał Paweł.

Wydawało się, że rozmowa przechyliła się na jego korzyść. Prawidłowo ją rozpoczął i teraz trzeba było prawidłowo ją zakończyć.

\* Straciliśmy miliony mężczyzn, a teraz tracimy tysiące kobiet. Uczciwie dokonane przez lekarza przerwanie ciąży nie stanowi zagrożenia dla życia. \* Paweł Aleksiejewicz zmarszczył się. \* Wzrost dobrobytu, jak wiecie, sam z siebie będzie wpływać na podwyższenie liczby urodzeń... \* Paweł napotkał wzrok rozmówcy. \* Ile po nich zostaje sierot. Domy Dziecka też utrzymywane są z budżetu państwa... Trzeba zezwolić na aborcję, inaczej będziemy mieli na sumieniu...

Dostojnik wykrzywił usta, głębokie bruzdy na twarzy sięgnęły podbródka:

\* Proszę to zabrać... Tam trzeba rozmawiać \* wskazał ręką na niebo.

\* Zostawię wam preparat. Może się przyda? Gospodarz gabinetu zamachał rękami:

\* Zwariowaliście? Proszę to natychmiast zabrać... \* Według niepełnej, wielce niepełnej statystyki dwadzieścia tysięcy kobiet rocznie. Tylko w Rosji \* nasrożył się Paweł Aleksiejewicz. \* Wy za nie odpowiadacie!

\* Dużo bierzecie na swoje barki! \* warknął dostojnik i w tym momencie przestał przypominać swój pierwszomajowy portret.

\* Dlatego, że wy nie chcecie niczego wziąć na swoje! \* odciął się Paweł.

Na tym spotkanie się skończyło. Preparat pozostał na biurku wielmożnego działacza partii obok przyboru do pisania, ozdobionego żeliwną głową proletariackiego pisarza. Pierwsze powojenne lata były dla Pawła Aleksiejewicza pomyślne \* katedra, której pracę zawieszono na czas wojny, znowu odzyskała prawo do istnienia w pełnym wymiarze. Powróciło dwóch najlepszych uczniów Pawła, którzy na początku wojny przekwalifikowali się i na kilka lat odeszli od położnictwa i ginekologii. Ilość etatów w klinice wzrosła w dwójnasób. Nowych stawek za prace naukowe na razie nie stosowano, ale Pawłowi Aleksiejewiczowi nawet w najcięższym okresie udawało się prowadzić obserwacje i gromadzić wnioski, które czekały na odpowiedni moment, by je przedstawić. Uwagę jego zaprzętało leczenie jednego z rodzajów bezpłodności u kobiet, intensywnie zajmował się też kobiecymi chorobami onkologicznymi, a także zaobserwowanym związkiem pomiędzy ciążą a szeregiem szkodliwych procesów w organizmie kobiety, pojawiających się w tym okresie jej życia. Przemyśliwał nad leczeniem złośliwych nowotworów przy zastosowaniu inhibitorów wzrostu pochodzenia hormonalnego. Jego dar „wewnętrznego widzenia” nie przynosił odpowiedzi na wszystkie pytania, pomagał jednak widzieć jasno niektóre ogólne procesy, zachodzące w organizmie. Natomiast absolutnie niejasne wydawały się Pawłowi Aleksiejewiczowi procesy, przebiegające w życiu społeczeństwa, państwa. Pierwsze lata po wojnie tak jemu, jak wielu innym zdały się zapowiadać, że przedwojenne błędy znikną same przez się, a życie zostanie zorganizowane na zasadach rozsądku. Przygotowywany przez niego projekt miał przyspieszyć nadejście świetlanej przyszłości przynajmniej w tej dziedzinie, w której czuł się kompetentny.

Jednak sprawa, niezależnie od udanej \* jak mu się zdawało \* wizyty na wysokim szczeblu, nie posuwała się naprzód, Komisja wciąż nie była powołana, a on sam uparcie, metodycznie „objął progi” coraz bardziej czujnej Koniagi, udowadniając, że nadeszła pora na zmianę systemu ochrony zdrowia. Wysłuchiwała go łaskawie \* wieść, że wystąpił bezpośrednio do samej „góry”, dotarła do niej, a ponieważ nie otrzymała w związku z tym żadnych zaleceń, wołała być ostrożna w stosunku do Pawła. Nawet uznała za stosowne, by go udobruchać. Z jej inicjatywy w końcu czterdziestego siódmego roku przyznano mu tytuł członka \*korespondenta Akademii Nauk Medycznych i w tym samym czasie nowe mieszkanie w świeżo wyremontowanym domu dla wyższych sfer lekarskich. Była to jak gdyby zaliczka, obliczona na późniejsze dokonania. Zaliczka \* trzeba przyznać \* była wspaniała: trzypokojowe mieszkanie z siedmiometrową alkową przy kuchni. Najbardziej ze wszystkich cieszyła się Wasilisa. Pierwszy raz w życiu miała mieć własny pokój. Ujrzawszy go, aż zapłakała: \* Oto moja cela, daj Boże przeżyć mi tu aż do śmierci! Helena namawiała ją gorąco na zamieszkanie w dużym pokoju razem z Tanią, ale Wasilisa się nie zgodziła.

Według ówczesnych pojęć byli ludźmi bardzo zamożnymi. Zamożności dorównywała szczodrość Pawła Aleksiejewicza, w związku z czym w domu nigdy nie było pieniędzy w zapasie. Dwa razy w miesiącu Paweł otrzymywał wynagrodzenie i dwa razy po późnym obiedzie rozlegał się jego głos: „Lenoczka, podaj spis!”. Helena przynosiła listę osób, którym wysyłano finansowe wsparcie. Jeszcze od przedwojennych czasów Paweł pomagał swojej ciotecznej siostrzenicy, przybranej ciotce, starej pielęgniarce \*instrumentariuszce, z którą kiedyś rozpoczął swoją pracę i koledze z lat studenckich, Ilji Goldbergowi, który od trzydziestego drugiego roku stale przebywał to w łagrze, to na zsyłce, to znów w jakiejś zapadłej dziurze na prowincji.

Przed ślubem Paweł nie przygotowywał żadnego spisu potrzebujących, przypominał sobie o nich i wysyłał pomoc, teraz zaś, gdy jego młoda żona zaczęła sporządzać ów spis, dodając do niego swoich dalekich krewnych, szkolną koleżankę, która ugrzęzła

w Taszkencie i jakieś staruszki, bliskie Wasilisie, Paweł Aleksiejewicz zaczął z pewnym szacunkiem odnosić się do swoich wysokich zarobków. Ponieważ krąg potrzebujących stawał się dość liczny i zmieniał się z miesiąca na miesiąc, Paweł zaglądał niekiedy do spisu tych osób i pytał:

\* A Musia to kto? \* Wysłuchawszy wyjaśnienia, kiwał potakująco głową.

Helena podliczała całość potrzeb, a wtedy Wasilisa udawała się do gabinetu Pawła i przynosiła stamtąd starą skórzaną teczkę. Paweł wyjmował z niej i liczył banknoty. Nazajutrz Wasilisa zawijała w gazetę każdą oddzielną kwotę, wszystkie zaś zawiniątka \* nie wiadomo dlaczego \* w stary ręcznik i trzymając kurczowo w jednym ręku swój koszyk, a drugą wczepiając się w rękaw Heleny, szła na pocztę, gdzie dopiero przy okienku przekazywała Helenie pieniądze do wysłania. Wasilisa poruszała wargami, wydawało się, że liczy pieniądze. Ale ona odmawiała swoje ulubione modlitwy. Własnych słów znała niewiele, ze swoim Bogiem rozmawiała za pomocą urywków z psalmów czy modlitewnych formułek. Ale gdy miała wielką ochotę dodać coś od siebie, zwracała się do Przekrzystej Dziewicy: gołąbeczko, droga moja, spraw to i to, żeby było dobrze...

Świat Wasilisy był nieskomplikowany: w niebie Pan Bóg, Najświętsza Bogurodzica z aniołami, wszystkimi świętymi,

z matką\*przeoryszą pośrodku, potem Paweł Aleksiejewicz, a potem ona sama, cała rodzina i wszyscy pozostali ludzie \* źli po jednej stronie, dobrzy po drugiej. Paweł Aleksiejewicz w jej oczach był prawie święty: w swojej klinice udzielał pomocy \* tak, jak Pan Bóg \* i dobrym, i złym. Nawet najgorszym grzesznicom, zabójczyniom, pozbawiającym życia... To, że główną troską Pawła było zalegalizowanie pozbawiania życia, nie przychodziło jej do głowy.

7.

Po skończeniu pięciu lat Tania bardzo urosła, zatraciła dziecięcą okrągłość, rysy twarzyczki się zaostrzyły, a pod oczami pojawiły się błękitne cienie. Kaszel to się uspokajał, to powracał. Wezwany więc został Izaak Weniaminowicz Kecler,

przyjaciel i kolega ze studiów nieżyjącego ojca Pawła. Miał już ponad osiemdziesiątkę, od 1904 roku pracował w szpitalu dziecięcym w Rusakowce, a nawet po przejściu na emeryturę codziennie odwiedzał swój oddział, gdzie pozostawiono mu jego gabinet.

Izaak Weniaminowicz był słynny z powodu swoich uszu. Nawet z wyglądu były niepospolite: rozrośnięte ze starości, cienkie i suche niczym u słonia. Ze środka ucha sterczały mu grube kępki siwych włosów, a wydłużone płatki uszne marszczyły się i tworzyły podłużne fałdy. Przy tym wszystkim Izaak Weniaminowicz był głuchawy, ale tylko do momentu, w którym uzbrajał ucho w krótką czarną rurkę, a jej rozszerzony koniec przystawiał do dziecięcych pleców. Szczególnie zaś słuch mu się wyostrzał, gdy swoje starcze ucho przykładał do wzdrygającego się od łaskotek ciała małego pacjenta.

\* Mamy tu początkowy proces \* powiedział Izaak Weniaminowicz, dotykając Tanię palcem poniżej obojczyka. \* Prawy szczyt. Musicie udać się do Instytutu Pediatrii, tam doktor Chotimski zrobi zdjęcie... Na Solankę... na Solankę...

Paweł Aleksiejewicz kiwnął potakująco głową: znał dobrze ten stary budynek przy moście Ustjnskim, wzniesiony jeszcze w początkach XIX wieku jako Dom Opieki dla Podrzutków, przynoszonych tu przez zagubione w życiu wiejskie dziewczyny, pokojówki i szwaczki z moskiewskiego „Babilonu”, które nie potrafiły w porę pozbyć się kłopotu...

Paweł patrzył na rozebraną do połowy córkę swoim specyficznym wzrokiem, zogniskowanym na warstwie o kilka centymetrów głębszej od powierzchni jej młecznobiałej skóry, ale niczego nie odczuwał poza własnym nieopanowanym niepokojem.

\* Niestety, to teraz zjawisko masowe \* mamrotał Izaak Weniaminowicz, przesuwając palcami w okolicy ucha Tani, potem w dół po szyi, pod podbródkiem i w zagłębieniu pach. \* Węzły chłonne... Chyba nieco powiększona tarczycza. A jak z apetytem? Oczywiście, słabo, bo skąd ma być dobry. A wymioty? Wymioty zdarzają się? Heraus?

\* Bardzo często \* przytaknęła Helena. \* Wystarczy jedna dodatkowa łyżka i już ją



mdli. Nigdy jej nie zmuszamy do jedzenia.

\* Ano właśnie \* z zadowoleniem odezwał się stary doktor. \* Spastyczność. \* Przyłożył ucho do brzucha. \* A na bóle w żołądku skarżymy się, co? O, tutaj \* dotknął palcem jakiegoś miejsca. \* Coś tak silnie ciągnie, tak?

\* Tak, tak \* uradowała się Tania. \* Silnie ciągnie.

„Ach, to o to chodzi \* ucieszył się Paweł Aleksiejewicz. \* Uszy ma ten stary człowiek jakieś jasnowidzące. Nie oczy, nie palce, ale uszy...”.

Paweł sam pomimo wysiłków niczego tym razem nie widział. Nie rozpościerał się przed nim pojawiający się zazwyczaj obraz wnętrza człowieka, tajemniczy zarys jego organów, zakręty wewnętrznych cieków, mgliste zagłębienia, jamy, labirynt jelit...

Tym samym onieśmiałym wzrokiem popatrzył na Izaaka Weniaminowicza \* purpurowe światło rakowej narośli ogarniało żołądek. Ognisko znajdowało się wokół odźwiernika, a w śródpiersiu widniało odgałęzienie przerzutu... Paweł zamknął oczy.

Zrobiono Tani prześwietlenie, które wykazało coś niecoś. Analiza krwi potwierdziła wyniki. Zalecenia starego pediatry okazały się szalenie staromodne. Przepisał dziecku pobyt w Szwajcarii, w dostępnych oczywiście granicach, to znaczy w Szwajcarii Podmoskiewskiej. Długie spacerowanie, sen na świeżym powietrzu \* ku przerażeniu Wasilisy, która jako prosty człowiek ze wsi nie wierzyła w świeże powietrze. A także, co rozumiałe, odpowiednie odżywianie, tran. Słowem, Czarodziejską górę Tomasza Manna, o której istnieniu Izaak Weniaminowicz zapewne nie miał najmniejszego pojęcia. I żadnych lekarstw w rodzaju modnego aktualnie PAS\*u. Po co nadwierać wątrobę i obciążać nerki?

Paweł Aleksiejewicz potakiwał, kiwając głową, a potem zadał wprost pytanie, czy stary doktor nie zechciałby przebadać swego żołądka?

\* Kolego, w moim wieku wszystkie procesy są spowolnione, ja mam duże szansę umrzeć na zapalenie płuc lub pęknięcie serca...

„Wie o wszystkim. Ma rację” \* zgodził się Paweł w duchu.

Wynajęty więc został pod Zwienigorodem duży dom, należący do świetnego admirała, który za popełnienie drobnego grzechu wielkiego złodziejstwa ukarany został zaszczytnym zesłaniem do Kanady na stanowisko attache wojskowego przy

ambasadzie. Tej jeszcze jesieni przydzielano w Akademii domy letniskowe i proponowano Pawłowi Aleksiejewiczowi wystąpienie o taki przydział, ale on jakoś się nie zdecydował. Sam nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego, czuł jednak instynktownie: /.był dużo dają, czy potem nie zedrą z człowieka ostatniej skóry? Nie powiedział nawet Helenie o tej propozycji.

Na dacy zamieszkała Tania z Wasilisą. Paweł gorąco namawiał Helenę, by rzuciła swoją niewiele wartą pracę i pojechała razem z nimi na wieś, ale Helena odmówiła kategorycznie.

Nie chciała odchodzić z pracy, ani też zostawiać na cały tydzień Pawła samego w mieście.

Podmiejski dom był ogromny, piętrowy, obstawiony pseudogotyckimi kredensami i serwantkami z porcelaną i różnymi bibelotami. W dwóch największych pokojach na dole i na górze, pośród ciężkich foteli i krzeseł z rzeźbionymi oparciami stały fortepiany. Na górze \* czarny, koncertowy, na dole \* gabinetowy z drzewa palisandrowego z ozdobami z brązu i pękniętą deką. Był mocno rozstrojony, ale to okazało się później, gdy Paweł Aleksiejewicz ze stróżem wnieśli go do jednego z zajmowanych przez rodzinę pokoi \* dla Tani. Poproszono nauczycielkę ze Zwienigorodu i ta trzy razy w tygodniu przyjeżdżała do domu na lekcje z Tanią. Już po kilku tygodniach w niedzielne wieczory, napaliwszy uprzednio mocno w piecach, Paweł i Helena sadowili się w rzeźbionych niemieckich fotelach, od których, jak i od wszystkich przedmiotów w tym domu załatywało złodziejstwem, i słuchali nieśmiałych drobnych utworów, których Tania zdążyła się nauczyć w ciągu mijającego tygodnia.

Minęły tak dwa lata. Tania zapamiętała wyraźniej zimy, aniżeli czas letni. Może dlatego, że rosyjska zima trwa dwa razy dłużej niż lato. Swoje dzieciństwo Tania wspominała później jako przebywanie w bieli, nie pamiętała o chorobie. Poranna porcja słodkawego koziego mleka w białym porcelanowym kubku, zasypany oknami, na dole grube, puszyste i małe, okrągłe, jakby świątecznie rozłożone poduszki na świerkowych gałęziach u góry, białawy odcień klawiszy, do których Tania zbliżała się zaraz po śniadaniu, podczas gdy Wasilisa zmywała naczynia. Potem z rąk Wasilisy

dostawała drewnianą łopatkę i miała obowiązek odsnieżać dróżki w ogrodzie. Tania odgarniała śnieg, dopóki Wasilisa nie proponowała jej nowego zajęcia \* nakarmienia ptaków.

Działka była duża, Paweł Aleksiejewicz sporządził cztery karmniki i Tania mogła całymi godzinami obserwować, jak na drewnianym stoliku pod ukośnym daszkiem gromadziły się gile w czerwonopiórych kamizelkach i sikorki z żółtymi plamkami na główkach. Czasami obie z Wasilisą zabierały dwie bańki, dużą i małą, i szły do położonego o jakieś pięćset metrów źródła po dobrą wodę. Bliższe źródło wytryskiwało na samej granicy działki, ale zdarzało się, że śnieg je zasypywał i woda nie mogła wydostać się na powierzchnię. Codziennie chodziły też do wsi po kozie mleko do znajomej staruszki, która trzymała kozę i suczkę z czarnymi szczeniętami, baraszkującymi w sieni.

Tania stale była zajęta. Nie odróżniała zajęć od rozrywki. Do niczego nikt jej nie zmuszał. Nawet tran, którego na początku nie znosiła, zaczął jej smakować od momentu, kiedy Wasilisa zaniosiła czarnym szczeniętom chleb, polany tranem, i te rzuciły się nań jak na największy przysmak.

Pędząc szczęśliwe życie na wsi, Tania opuściła pierwszy rok szkoły. Program pierwszej klasy przerobiła jednak w domu. I I miała już dobrze czytać i rachować. Trudniej było z kaligrafią \* Tania denerwowała się, że nie udaje jej się pisać tak pięknie, jak we wzorze. Jej zdrowie całkiem się poprawiło, ale nie mógł już tego poświadczyć Izaak Weniaminowicz, zabrakło go wśród żywych.

Jesienią Tania wróciła do Moskwy i poszła do szkoły, od razu do drugiej klasy. Przygotowano ją starannie, z wielką gorliwością. Uszyto brązowy mundurek z kołnierzem\*stójką, białymi przyszywanymi kołnierzykami i mankietami, z czarnymi zarękawkami, dwa czarne fartuszki i jeden biały, odświętny, / plisowanymi falbankami na ramionach.

\* Jak u aniołka \* nabożnie westchnęła Wasilisa i zaczęła poważać Tanię z całej swej prostej duszy \* ona sama nigdy do szkoły nie chodziła. Mundurek, nie przerobiony z czegoś starego, a specjalnie uszyty z nowej wełny, wydawał jej się znakiem szczególnym. Myślała w duchu: „Tak pięknie ubrana, że choć do trumny...”. Ale nie

miała na uwadze niczego złego.

Ponadto został zakupiony plik niebieskawych nowych zeszytów z arkusikami różowej, miękkiej bibuły, pachnący drewniany piórnik z drogocenną zawartością: nowymi ołówkami,

gumkami, obsadkami do pisania. Nawet buciki dla Tani zostały zrobione na zamówienie w niedostępnej dla szerszej publiczności pracowni, z której usług dotąd nikt w rodzinie jeszcze nie korzystał.

Tania długo marzyła o szkole, obiecywano jej, że tam znajdzie przyjaciółki, których brakowało w suchotniczo\*szczęśliwym dzieciństwie w Zwienigorodzie.

Helena przyprowadziła córkę do szkoły pierwszego września. Znalazła nauczycielkę i zostawiła Tanię w klasie, samotną i zagubioną, z ciężką teczką i bukietem dorodnych astrów

o grubych łądygach. Dziewczynek, z którymi Tania zamierzała się przyjaźnić, było zbyt dużo. Zachowywały się głośno, ale z tym można było się pogodzić, najprzykrzejsze było, że wszystkie one dotykały Tani rękami, jedna jej warkocza, druga falbanki fartuszka, jeszcze inna białej skarpetki...

Klasa okazała się właśnie taka, jaką Tania sobie wyobrażała. Nauczycielka wskazała jej miejsce obok pulchnej dziewczynki z kukielkami warkoczyków nad uszami. W środku lekcji sąsiadka trąciła ją w łokieć i Tania zrobiła ogromnego kleksa na pierwszej stronie w zeszycie. Zdrętwiała. Zdarzało jej się to już wcześniej, w Zwienigorodzie, kiedy samotnie zapisywała swoje zeszyty, ale teraz się przeraziła.

Nie zdążyła jeszcze przyjść do siebie, gdy sąsiadka, nachylając się pod ławkę, boleśnie uszczypnęła ją w nogę. Tania zrozumiała, że potrącenie jej w łokieć też było umyślne i zaczęła płakać. Nauczycielka podeszła do niej i zapytała co się stało.

\* Czy mogę pójść do domu? \* wyszeptała Tania.

\* Do domu pójdziesz po czwartej lekcji \* twardo oświadczyła nauczycielka.

Pierwszy raz w swoim życiu Tania zetknęła się z cudzą wolą, z przymusem, zresztą w lekkiej formie. Dotąd życzenia otaczających ją osób i jej własne szczęśliwie pokrywały się ze sobą

i Tani nie przychodziło do głowy, że może być inaczej... Okazało się, że tak wygląda

dorośle życie: podporządkowanie się cudzej woli. Od tej chwili wydawało się, że na to by być szczęśliwą tak jak dawniej, trzeba samą siebie przekonać, że pragnie się właśnie tego, czego od siebie żądają dorośli. Oczywiście Tania tak wtedy nie myślała, raczej ta idea jej się nasunęła i zaczęła ją urabiać w takim kierunku.

Do końca czwartej lekcji Tania przesiadywała w ławce w osłupieniu, nie wychodząc nawet na przerwy. Dziewczynki, od których oczekiwała przyjaźni, okazały się złośliwymi małpkami: skakały wokół niej, ciągnęły za warkocze, szturchały palcami i szyderczo się śmiały. Tania usiłowała zrozumieć za co jej nie polubiły i nie mogła zgadnąć, że w ten sposób wyrażały jedynie swoje zainteresowanie. Nie mogła sobie wyobrazić, że po kilku miesiącach te same dziewczynki będą gwałtownie się kłóciły lub nawet biły o prawo tworzenia z nią pary, dyżurowania razem w klasie czy zwyczajnie spacerowania po korytarzu.

Tania, jak się to ujawniło, posiadała rzadką, trudną do określenia cechę: wszystko co robiła \* zawiązywała kokardę, okładała zeszyt, po myciu się strząsała z rąk krople wody swoim typowym zamaszystym gestem, unosząc dłonie do góry, uśmiechając się marszczyła nos \* każdy jej ruch był zauważalny, ujmujący, a ona sama stawała się obiektem do naśladowania. Nawet jej zwyczaj przytrzymywania zębami puszystego koniuszka warkocza, gdy wpadała w zamyślenie, przejęły wszystkie koleżanki, które miały warkocze.

Niezależnie od zaistniałego uwielbienia ze strony dziewcząt, Tania nigdy nie pokochała szkoły. Otoczona dziesiątkami koleżanek, usiłujących zdobyć jej zainteresowanie i przyjaźń, czuła się bardziej samotna, aniżeli w Zwienigorodzie. Jeszcze bardziej samotna była tylko Toma Połosuchina, zahukana dwójkowiczka z ostatniej ławki, z czerwoną, łuszczącą się obwódka wokół ust. Skulona, przygarbiona dziewczynka, z którą nikt nie chciał siedzieć...

Toma nie należała do wielbicielek Tani \* dzieliły je od siebie międzygwiazdne odległości...

Skromną, niezwykle skromną specjalność wybrała dla siebie Helena, ale nigdy tego nie żałowała. W pracy podobało się jej wszystko: specjalny, podświetlany stół, deska kulmanowska, rozmaite rodzaje papieru kreślarskiego \* zmętniała kalka koloru lodu, gruby, miękki półwatman, szaroniebieski, śliski papier światłoczuły. Lubiła zapach tuszu i odgłos ołówka, a nawet drobne, mało znaczące czynności, bez których nie da się obejść i które również wymagają umiejętności, jak na przykład ostrzenie rysika... Wszystkich tych podstawowych rzeczTj nauczyła się już na samym początku. Później, po przepracowaniu paru lat, polubiła też bardziej istotną, niezmiernie uspokajającą stronę cudownego zawodu kreślarza: każdy przedmiot pojawiał się tu w trzech wymiarach i to wystarczało, by został w pełni opisany, nie ukrywał w sobie żadnej tajemnicy, żadnego odosobnionego miejsca. Wszystko wyjawiało się tu, takjak istniało w rzeczywistości...

Czasami Helenie zdawało się, że wszystkie zjawiska, takjak przedmioty, można opisać w trzech pozycjach: en face, z profilu i z góry. Nie tylko detal motoru czołgu, ale i wiatr, i ból żołądka, i każde wypowiedziane słowo...

Jej nauczycielem był jej pierwszy mąż, Anton Iwanowicz Fłotow, wysoki specjalista w kreślarstwie, a właściwie \* mistrz w sztuce kreślenia. Poznali się w małym, ciemnym pomieszczeniu na kursach kreślarskich, gdzie Helena była słuchaczką, a on nauczycielem. Wyglądał staro, choć miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, ale był zadbany i szczupły. Ona świeżo skończyła siedemnaście i dopiero co wyrwała się z podmoskiewskiej wiejskiej komuny, bardzo dziwnego miejsca, gdzie spędzała dzieciństwo. Komuna była zorganizowana w duchu tołstojowskim, kierował nią ojciec Heleny, Georgij Iwanowicz Miakotin.

Dziewczyna, która wyrosła w tak osobliwych warunkach, nauczona czytania dzięki tołstojowskim książkom dla dzieci, od dzieciństwa zajmująca się dojeniem krów, ciężką pracą w polu

i we wspólnej kuchni, milkliwa słuchaczka toczonych na spotkaniach dyskusji o Vivekanandzie i Karolu Marksie, jak też / .godnego śpiewu ludowych i narodnickich pieśni \* w Moskwie czuła się samotna, otoczona przez obcy i niebezpieczny świat. Babcia Jewgienija Fiodorowna była jedynym człowiekiem, od którego Helena nie

stroniła.

Mocniej niż miłość połączyło Helenę z Antonem Iwanowiczem utajone poczucie irracjonalnej winy za jej wyobcowanie, nieprzystawalność do radosnej i zgranej wspólnoty ludzi niewinnych. Oboje zresztą odczuwali swoją „niepełnowartościowość” pod względem socjalnym, ale nie chronili się pod płaszczykiem aktywności politycznej z biciem się w piersi i przekleństwami pod adresem niezupełnie udanych rodziców. Należeli do innego typu ludzi \* pokornych, wybierających cichą egzystencję na peryferiach życia, gdzieś pod krzakiem, pod kamieniem, w zacienionym, nie rzucającym się w oczy miejscu.

Anton Iwanowicz pochodził z rodziny architektów i budowniczych, która w części wyemigrowała, w części została zgładzona. Całą spuściznę stanowił wyłącznie jego zawód kreślarza. Z powodu rewolucji nie zdążył zdobyć dyplomu inżyniera w niemieckiej szkole \* takie wykształcenie otrzymywali chłopcy w jego rodzinie. Był za to wspaniałym kreślarzem, pracował jako konstruktor w wielkiej fabryce i uczył kreślarstwa na przyfabrycznych kursach przyspieszonych dla robotników.

Anton Iwanowicz, ostrożny, baczny obserwator, przez cały rok przyglądał się Helenie zanim do niej podszedł, potem przez rok spotykał się z nią niedzielami i dopiero w trzecim roku znajomości ożenił się z nią \* bez jakiegoś płomiennego uczucia, ale z powagą i namysłem, jak wszystko co robił.

Rodzice Heleny nie byli na ich ślubie. Ojciec zajęty był kampanią siewną i matce też nie pozwolił pojechać. Georgij Iwanowicz proponował córce, by wraz z mężem przeniosła się do nich do Kraju Ałtajskiego. Sprawy w komunie układały się nieźle, a chociaż było sporo tarć z miejscowymi władzami, jej członkowie nie przypuszczali, że za rok czy dwa wszyscy zostaną aresztowani, wsadzeni do więzień i obozów lub zesłani do takich miejsc, gdzie ziemi nawet kilofem nie da się rozkopać.

Spokojnie i cicho żyło się Antenowi i Helenie w mieszkaniu babki. Zarobków starczało na skromne bytowanie, a innego Helena nawet nie знаła. Po spędzonym dzieciństwie w komunie życie w Moskwie wydawało jej się lekkie i swobodne.

Najbardziej zajmowała ją praca kreślarza. Zwierzchnictwo chwaliło ją, wyróżniało jako staranną i zdolną. Ponieważ w dokumentach widniało, iż pochodziła z komuny

(wyglądało to całkiem korzystnie, nie było bowiem zaznaczone, że to komuna tołstojowska), Helenie zaproponowano nawet dalszą naukę na kursach dla robotników, tzw. rabfaku, ale jej nie chciało się uczyć. Z przyjemnością zasiadała za swoim rajzbretem i nawet Antona Iwanowicza dziwił jej zapał do pracy.

Pewnego razu przyśniło jej się, że Anton Iwanowicz mówi do niej coś prostego, zwykłego, a ona widzi to zdanie nie tak jak zwykle na wprost przed sobą, ale jakby z profilu: zwężone niczym rybia głowa, dalej lekko pofalowane i wyciągnięte do góry w kształcie ostrego trójkąta. Po przebudzeniu żałowała jedynie, że nie potrafiła go sobie przypomnieć. Ale sen pozostał jej w pamięci, nie ulotnił się. Pozostało po nim też wrażenie, że każde zdanie posiada swój kształt geometryczny, trzeba tylko się wysilić, by go spostrzec.

Słowa zawierają w sobie jakieś elementy rysunku, myślała Helena. Takie elementy występują zresztą we wszystkim co istnieje, ale trudno je opisać.

Usiłowała porozmawiać o tym z Antonem Iwanowiczem, ale on pokręcił jedynie głową:

\* Ale masz wyobraźnię...

Takie sny powtarzały się od czasu do czasu. Były właściwie całkowicie niedorzeczne, nie zawierały niczego, co dawałoby się opowiedzieć, ale pozostawiały po sobie niejasne, przyjemne uczucie doznania czegoś nowego.

Jeszcze teraz, gdy minęło już tyle lat i Anton Iwanowicz już nie żył, a nawet jego fotografie Helena chowała gdzieś głęboko \* z obawy, żeby jej podrastająca córka nie dowiedziała się przypadkiem, że Paweł Aleksiejewicz nie jest jej rodzonym ojcem tylko ojczymem \* za każdym razem, gdy zasiadała do pracy i otwierała stare niemieckie pudło z okrętowymi przyborami kreślarskimi, wspominała Antona Iwanowicza. Nigdy nie zapomniała o swojej winie wobec niego. Śnił) się jej też czasami te jakby „kreślone” sny \* po co, dlaczego?

Paweł Aleksiejewicz nie lubił zajęcia Heleny: to męczące wysiadywanie w Biurze Konstruktorskim wydawało mu się bez sensu. Dziwił się jej. Helena tłumaczyła:

\* To ciekawa praca i ja się w niej dobrze czuję.

\* Ale co w niej ciekawego? \* szczerze pytał Paweł Aleksiejewicz.



\* Nie potrafię ci tego wyjaśnić. To jest piękne.

\* Załóżmy \* przewrotnie zgadzał się Paweł. \* Ale jakoś bardzo proste \* drażnił się.

\* Ach, co ty mówisz, Pasza! \* obrażała się Helena. \* Nic nie jest proste, czasami jest nawet bardzo skomplikowane.

Paweł łowił tę chwilę, kiedy zmieniał się jej zwykły, łagodny wyraz twarzy.

Potrząsała lekko głową, puszyste loki na obu skroniach, zawsze wysuwające się z upiętych na głowie włosów, podrygiwały, kąciki ust marszczyły się.

\* Mam na myśli to, że tam są same mechanizmy, nie występuje żadna tajemnica. W ludzkim palcu \* Paweł wyciągał swój palec wskazujący \* mieści się więcej tajemnego, aniżeli we wszystkich waszych wykresach.

Helena obejmowała dłonią jego palec:

\* Może to tylko w twoim palcu zawiera się jakaś tajemnica, .\ u innych ludzi \* nie.

Może w naszych wykresach nie tajemnica, ale prawda jest zawarta. Najistotniejsza prawda, nawet nie cała, a jedynie jej część. Jedna dziesiąta czy też jedna tysięczna. Ja wiem, że każda rzecz posiada również swoją głębszą istotę, nie wyrażającą się rysunkiem... Nie umiem tego wyjaśnić... \* wypuszczała jego rękę.

\* To już zostało stwierdzone wcześniej, przed tobą \* uśmiechał się Paweł. \* Platon to określił i nazwał eidos. To idea rzeczy, jej boska treść. Boski szablon, według którego stworzymy wszystkie nasze ziemskie przedmioty...

\* To nie dla mnie, to zbyt mądre \* przerywała Helena. Ale nie zapomniała słów Pawła. To była właśnie ona, filozofia.

o czymś podobnym mówiono w komunie, ale wtedy była za mała na takie rozważania i podczas nich po prostu zasypiała.

Paweł Aleksiejewicz patrzył na Helenę z zaprawioną dumą tkliwością: oto jaką ma żonę \* cichą, milczącą, mówi tylko to co konieczne, a jeśli już zmusi się do wypowiedzi, jej sądy są rozumne, wnikliwe, wykazują głębokie zrozumienie...

Helena miała niekiedy ochotę opowiedzieć mężowi o swoich wyobrażeniach o dającej się wykreślić linią strukturze świata, o swoich snach, w których pojawiały się od czasu do czasu wykresy słów, chorób, nawet muzyki... Ale nie, nie potrafiłaby tego opisać słowami...

Oboje „jasnowidzący” żyli obok siebie. Dla niego przejrzysta była materia żywa, przed nią \* otwierał się po części przejrzysty jakiś inny, niematerialny świat.

Ukrywali to przed sobą

i to nie z braku zaufania, ale z poczucia niewinności i wewnętrznego chroniącego zakazu, który prawdopodobnie dotyczy każdej tajemnej wiedzy, niezależnie od tego, jaką drogą ją pozyskujemy.

9.

Problemy naukowe, jakimi interesował się Paweł Aleksiejewicz, zawsze były związane z konkretnymi medycznymi zadaniami, jak walka z wczesnymi poronieniami, badanie przyczyn bezpłodności, nowe metody chirurgiczne usuwania macicy czy cesarskiego cięcia, gdy występuje nieprawidłowe ułożenie płodu. Nauka „burżuazyjna”, określenie coraz częściej pojawiające się w prasie, wywoływało jego pogardliwy uśmiezek. Dziedzina

nauki, której poświęcił wiele lat swego życia, nie miała absolutnie \* z jego punktu widzenia \* żadnego podtekstu klasowego.

Nieskazitelnie uczciwy w życiowym sensie tego słowa, Paweł Aleksiejewicz całe swoje życie zawodowe spędził w czasach stalinowskich i od dawna był przyzwyczajony do posługiwania się w swoich artykułach i opracowaniach monograficznych w pewnym sensie językiem umownym, z państwowymi utartymi zwrotami i frazeologią w typie: „W kręgu nauki epoki stalinowskiej...” albo „Dzięki nieustannej trosce partii, rządu i osobiście tow. Stalina...” i potrafił, utrzymując się w granicach tego „stylu”, wypowiadać swoje rzeczowe opinie. Takie zwroty stanowiły dla niego jedynie aktualne grzecznościowe formuły, w rodzaju „miłościwego monarchy” w przeszłości i zupełnie nie dotyczyły merytorycznej zawartości prac.

Na początku czterdziestego dziewiątego roku rozgorzała walka z kosmopolityzmem i po przeczytaniu w gazecie pierwszej publikacji na ten temat Paweł jak gdyby się obudził. To był nowy atak na poczucie zdrowego rozsądku i ubiegłoroczna sesja Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych im. W.I. Lenina, podczas której

uderzono w genetykę i eugenikę, przestała mu się już wydawać złowieszczym przypadkiem. Paweł Aleksiejewicz jako akademik i dyrektor Instytutu znajdował się obecnie na takim szczeblu, na którym wymagano dowodów lojalności. Należało wypowiedzieć się publicznie i podtrzymać choćby w słowach nowo rozpoczętą kampanię. Władze stanowczo dały mu do zrozumienia, że przyszedł na to czas. Wspomniano też niedwuznacznie o jego projekcie, który od kilku już lat leżał schowany pod suknem...

O takim wystąpieniu nie mogło być mowy \* dla Pawła Aleksiejewicza oznaczałoby to utratę własnej godności, przekroczenie granic zwyczajnej, jak najbardziej burżuazyjnej przyzwoitości.

Przy całym swoim stosunkowym liberalizmie Paweł był jednak wychowany tradycyjnie na wzorach niemieckich i cały jego proces myślenia przebiegał na niemiecką modłę. Takjakoś

zadecydowała historia, że w Rosji przyjmowały się wpływy raczej francuskie, jeśli chodziło o humanistykę, natomiast w dziedzinie nauki i techniki od czasów Piotra Wielkiego prym dzierżyli Niemcy. Dla Pawła Aleksiejewicza sama idea uniwersalizmu, rozumiana zgodnie z jej łacińskim znaczeniem, była pociągająca, tak więc w „kosmopolityzmie” nie dostrzegał również światowego zła.

W przeddzień wielkiej konferencji w Akademii, w jedną z ostatnich niedziel tej wiosny Paweł Aleksiejewicz pojechał do Małachowki, do swego przyjaciela Ilji Iosifowicza Goldberga, lekarza i genetyka, by się go poradzić. Trudno było o gorszego doradcę.

Żydowski Don Kichot, zawsze zatrzymywany w areszcie jeszcze zanim zdążono wszcząć proces przeciwko niemu i absolutnie nie za to, za co by się należało, Goldberg zdążył do tej pory odbyć dwa nieduże \* według ówczesnych pojęć \* wyroki i przygotowywał się do trzeciego. Pomędzy tymi wydarzeniami zdarzyło się kilka niezwykle dla niego szczęśliwych przypadków, kiedy to nie było go akurat w potrzebnym miejscu o potrzebnym czasie i bieda go ominęła.

Pierwsza przygoda miała miejsce w trzydziestym drugim za wystąpienie przed trzema laty, to jest w dwudziestym dziewiątym, na seminarium, zorganizowanym w

domu z resztkami dawno nie istniejącego Towarzystwa Wolnych Filozofów. Temat wystąpienia nie miał nic wspólnego z genetyką. Goldberg, który lubił myszkować po zachodnich czasopismach, wynalazł w „Nature” czy w „Science” artykuł Alberta Einsteina o czasoprzestrzeni. Artykuł niezmiernie mu się spodobał z powodu jego matematycznej ścisłości \* do tej pory nie spotykał prac, w których pojęcia filozoficzne byłyby interpretowane przez matematyków. I właśnie o tym artykule opowiedział słuchaczom.

Sprawa była całkiem bagatelna, dostał za to tylko trzy lata. A ile by dostał, gdyby sądzący go mogli wniknąć w to, czym on sam w tym czasie się zajmował, to znaczy populacyjną genetyką człowieka?

Po odsiedzeniu wyroku przez jakiś czas pracował w Instytucie Biologiczno\*Medycznym, gdzie zdażył opublikować kilka prac na temat genetyki poszczególnych populacji i „dryfowania” genów. Ale i tutaj jego nieznośny charakter pomógł mu uniknąć wielkich kłopotów \* niedługo przed nagłą likwidacją Instytutu pokłócił się śmiertelnie z jednym ze współpracowników, będącym na kierowniczym stanowisku. Poszło, oczywiście, o zasadnicze kwestie naukowe. Kłótnia była na tyle pełna emocji, że doszło do bójki. Świadkowie zdarzenia opowiadali, że trudno było wyobrazić sobie bardziej komiczne widowisko, aniżeli ta walka wręcz. Podczas tej gorącej naukowej polemiki Ilja Iosifowicz wybił zębem swemu oponentowi, a ten, skrzywdzony i poniżony, podał go do sądu. W wyniku \* Goldberga skazano na rok za chuligaństwo.

Po dwóch tygodniach aresztowany został dyrektor Instytutu, wybitny genetyk Lewit i kilku pracowników z kadry kierowniczej, wśród których znalazł się oponent naukowy Goldberga /. wybitym zębem. Lewit i wróg Ilji Iosifowicza w trzydziestym siódmym zostali rozstrzelani. A Goldberg \* o sowiecka nedorzecznosci nie z tego świata! \* został zwolniony równo po roku... Dla chuliganów władza była łaskawa... Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Ilja Iosifowicz wykręcił się i od następnego nieuchronnego aresztowania: po zwolnieniu wyjechał do Azji Środkowej, gdzie zajął się całkiem nową dla siebie dziedziną: genetyką i selekcją krzewu bawełnianego. chociaż obskurancki atak na naukę był już przeprowadzony na szeroką skalę \*

laboratoria genetyczne zostały zlikwidowane:, wielu pracowników naukowych aresztowano (nie wiadomo tylko jeszcze było, ilu z nich rozstrzelano) \* bawełna stanowiła problem wyjątkowy, był to bowiem surowiec dla przemysłu zbrojeniowego. Laboratorium, w którym zaczął się Ilja, okazało się na wpół tajne i czy to z powodu niedbalstwa, czy nieporozumienia, czy też tępoty administracji jakoś nikt się nie dobrał do nowego współpracownika... Przez ten krótki, stosunkowo spokojny okres Ilja zdążył się ożenić ze swoją laborantką, ładniutką Wałą Popkową, a w trzydziestym dziewiątym \* co za ironia losu! \* urodziły mu się jednojajowe bliźnięta, klasyczny obiekt badawczy dla genetyków. Wybrał dla nich wieloznaczące imiona: Witalij i Giennadij.

Cała rodzina przeżyła w strefie ochronnej przy tajnym laboratorium aż do początku wojny. A kiedy wojna wybuchła, pełen temperamentu Goldberg, który wraz z Pawłem Aleksiejewiczem ukończył medycynę na początku lat dwudziestych, ale w odróżnieniu od tego ostatniego leczeniem w praktyce nigdy się nie zajmował, zapisał się na przyspieszone kursy, przekwalifikował i trafił do pracy w szpitalu jako kierownik laboratorium klinicznego. W tym charakterze \* lekarza wojskowego \* przetrwał całą wojnę, od pierwszej do ostatniej chwili, nie był ranny, a nawet został odznaczony i to nie byle czym, bo Czerwoną Gwiazdą, którą mu przyznano za ewakuację transportu z rannymi z miasteczka, zagarniętego przez wojska niemieckie. Najkomiczniejszy był fakt, charakterystyczny dla Goldberga, że z powodu kłótni z komendantem szpitala pakował wyposażenie swego laboratorium jako ostatni, kiedy miasto było już w rękach niemieckich, o czym nawet nie wiedział, a jedynym rannym, którego ocalił, był pułkownik sztabowy, po którego miał przyjechać samochód, ale nie dojechał \* droga była już odcięta.

Kiedy Goldberg zakończył pakowanie, dostrzegł kolumnę czołgów niemieckich, doczekał więc zmroku, usiadł za kierownicą krytej ciężarówki z urządzeniami laboratoryjnymi i z pułkownikiem, i bez przeszkód wyjechał z miasta, nie przejawiając właściwego mu hałaśliwego bohaterstwa, lecz przeciwnie \* wyjątkowe opanowanie, zupełnie dla niego tak gwałtownego i zapalczego niecharakterystyczne. ^

Z łaski losu nie został aresztowany nawet wtedy, gdy pod sam koniec wojny napisał pełen gniewu list do któregoś z członków Rady Wojennej o spekulancie i masowym gwałceniu kobiet niemieckich, o niegodnym postępowaniu sowieckich żołnierzy, a nawet oficerów, noszących zaszczytne miano wyzwolicielei... Komendant szpitala, dowiedziawszy się o liście od samego prostodusznego, dyszącego sprawiedliwym gniewem autora, poprzez swego znajomego kapitana, wyłowił list z potoku przesyłek pocztowych i otrzymawszy go, zniszczył natychmiast, po czym postarał się o szybką demobilizację Goldberga i kazał mu wynosić się na cztery wiatry, byle dalej. Uczciwy Goldberg, nie mając pojęcia o tym wyczynie swego szlachetnego zwierzchnika, pisał ponownie do Rady Wojennej, żądając odpowiedzi na swój list.

Goldberg jednakże nie miał zamiaru chronić się gdzieś na głuchej prowincji, przyjechał do Moskwy, sprowadził rodzinę z Fergany i zaczął poszukiwać pracy w swojej specjalności. Po jakimś czasie przekonał się, że tak bardzo go pociągająca na\* nka aktualnie prawie nie istnieje. Przez krótki okres jakoś lawirował bez pracy, a potem dostał się pod skrzydła słynnej Margaryty Iwanowny Rudomino, która bezrobotnego genetyka umieściła jako starszego bibliografa w Bibliotece Literatury Obcej, gdzie prawie przez trzy lata zabawiał się katalogami, kartotekami, językiem niemieckim, angielskim, polskim, litewskim, a nawet łaciną, której nauczył się w Peter\*Paul Schule, luterańskiej szkole, ukończonej przez niego w Moskwie. Szkoła ta cudem przetrwała do połowy lat dwudziestych.

Pobył Ilji Iosifowicza w służbowym lokalu przy ulicy Razina, o pięć minut drogi od Kremla, w zakamarkach biblioteki prawie nie tkniętej przez cenzurę, wpłynął nieco na jego naukowe zainteresowania. Przeczytał całe stopy książek historycznych i zajął się fenomenem genialności i jej dziedziczeniem. < ienialność z trudem poddawała się określeniom, kryteriom formalnym, genetyka natomiast była dyscypliną ścisłą i zajmowała się zjawiskami jakościowymi, a nie ilościowymi. Jak bowiem ustalić granicę pomiędzy wielkimi, wybitnymi zdolnościami a genialnością? Goldberg porównywał encyklopedie wszystkich narodów, dotyczące wszystkich epok i na początek sporządził wiarygodny spis geniuszy \* na podstawie częstotliwości

występowania ich w encyklopediach. Stosując jakiś zręczny chwyt statystyczny, wykazał słusność takiego wyboru. Dalej już pracował nad swoimi wybranymi osobnikami, których ilość \* jak obliczał \* wynosiła około setki w każdym stuleciu. Poszukiwania rozciągnął tak szeroko, że objął nimi i Złoty Wiek w Atenach, i włoskie Odrodzenie, i okres szlacheckiej literatury rosyjskiej. Następnym etapem jego pracy było poszukiwanie jakiejś cechy, jakiegoś markera genialności. Był całkowicie przekonany o istnieniu takich markerów i zagadnienie sprowadzało się do tego, jak je znaleźć. Poszukiwał \* rzecz można \* czegoś w rodzaju dalekowzroczości i jej związku ze znamieniem na prawym ramieniu albo leworęczności z cukrzycą... I namiętnie badał biografie wielkich ludzi, śledząc skrupulatnie wszelkie wzmianki o chorobach, jakim podlegali ci geniusze, ich rodzice, dzieci, dane o szczególnych ich cechach fizycznych, defektach, odchyleniach od normy...

I byłby już przed dziesięcioma laty napisał swą wyjątkowo bałamutną książkę na ten temat, gdyby nie wlaź \* z własnej nieprzymuszonej woli \* na konferencję we Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych im. W.I. Lenina, gdzie w lekko zawołowany sposób wydarł się na stalinowskiego faworyta Trofima Denisowicza. Wykrzyczał swoje demaskatorskie wystąpienie, gęsto naszpikowane frontową, ordynarną mową \* nigdy przedtem i nigdy potem przez niego nie używaną \* i z miejsca został odwieziony bezpośrednio na Kanatczikową Dacę... Właśnie tam, pozostawiwszy na razie na wolności swoich geniuszy, przygotował opracowanie, szeroko umotywowane, z jasną, wyraźną argumentacją i druzgocącą krytyką pod adresem akademika Łysenko \* w celu przedstawienia go Wydziałowi Nauki KC, przeznaczając jeden egzemplarz osobiście dla towarzysza Stalina...

I znowu miał trochę szczęścia: ordynator Oddziału, na którym został umieszczony zaraz po przywiezieniu go tam karetką Pogotowia Ratunkowego, stary psychiatra Szubnikow poczuł zainteresowanie i sympatię do nieszczęsnego „bohatera” i postawił ratującą go diagnozę: „Schizofrenia”, dzięki czemu Goldberg mógł wyjść stamtąd jako inwalida III grupy...

Minęło kilka miesięcy od wysłania przez Iłję Iosifowicza jego trzystustronicowego

dzieła pod „wysokie adresy”, wrócił więc do swoich geniuszy i ich chorób dziedzicznych, i czekał na odpowiedź. Albo na aresztowanie. Właśnie w takim momencie, do znajdującego się w takim położeniu przyjaciela pojechał Paweł Aleksiejewicz, by zasięgnąć jego rady.

Goldberg mieszkał z rodziną w drewnianym, jednopiętrowym domu, wyglądającym jak barak. Kiedyś mieścił się tu hotel robotniczy, ale gdy fabrykę zamknięto i robotników wysiedlono, poszczególne mieszkania zostały sprzedane. Właśnie jedno z takich mieszkań, wróciwszy z frontu, kupił Goldberg. W rzeczywistości kupił je Paweł Aleksiejewicz. Ilja Josifowicz, niezmiernie skrupulatny w sprawach pieniężnych, robił wyjątek dla swego przyjaciela i pozwalał mu na dobroczynność i to na tej zasadzie, iż Paweł Aleksiejewicz \* w odróżnieniu od innych \* powinien był rozumieć, że pomagając Ilji pomaga całej ludzkości. Goldberg przywiązywał do swoich dociekań ogromne znaczenie. Według jego głębokiego przekonania nauka powstała by ocalić świat.

Wielki idealista w materializmie \* żartował z niego Paweł Aleksiejewicz podczas ich nielicznych spokojnych dyskusji. Spokojne dyskusje rzeczywiście były rzadkością. Ilja Josifowicz absolutnie nie znosił sprzeciwu, bronił swoich najbardziej nedorzeczných pomysłów z wielkim zapałem i szybko przekraczał granice poprawnego naukowego sporu. Nawet pobłażliwego Pawła Aleksiejewicza potrafił wyprowadzić z równowagi i ich spotkania kończyły się zazwyczaj kłótnią, krzykiem, trzaskaniem drzwiami. Ilja Josifowicz zarzucał Pawłowi oportunizm, ten zaś próbował się usprawiedliwiać: on ratował nie cały świat, a wiele dziesiątek, może nawet setek ciężarnych bab i ich przychówek, i według niego sprawa była tego warta. Dla Ilji Josifowicza było to zbyt mało, jego myśl ulatywała w najwyższe rewiry, prorokował pełną przebudowę świata za pomocą dobrze zorganizowanej genetyki. Przewidywał, że za dwadzieścia lat genami będzie można się posługiwać niczym cegłami, budować z nich nowy świat o wielokrotnie zwiększonych pozytywnych cechach roślin i zwierząt, i Ze samego człowieka można będzie skonstruować na nowo poprzez wprowadzenie tych czy innych genów i nadanie mu nowych jakości. \* Jakich jakości? \* interesował się Paweł AUksujewu /,.



\* Wszelkich! \* gestykulował Ilja Josifowicz, aż resztki jego cienkich włosów podnosiły mu się na głowie. \* Nauczymy się wyodrębniania z genomu poszczególnych genów, odpowiedzialnych za genialność i będziemy mogli tworzyć matematyków, muzyków, artystów malarzy w takiej ilości, jakiej i w Renesansie nie było!

\* Poczekaj, to właśnie jest eugenika \* temperował go Paweł. \* Nie potrzeba zbyt wielu geniuszy, inaczej będą ich zamykać i rozstrzeliwać.

\* Pasza, przeżywamy teraz okres inkwizycji, ale on na pewno minie, tak jak przeminął w Hiszpanii. Przyszłość należy do nas, do uczonych. Nie istnieje żadna inna siła, która mogłaby ocalić świat! \* Chude, długie ręce miotają się w powietrzu, wypukłe szare oczy świeciły niezdrowym blaskiem. Żółtawy krogulczy nos, wielka grdyka na pomarszczonej szyi, zgarbiona, koścista postać \* oto był zbawca świata! Paweł Aleksiejewicz kręcił głową, mrużył oczy, starał się milczeć: szaleniec, święty szaleniec, dać mu tylko brzytwę do ręki...

Tym razem dłuższa dyskusja nie była potrzebna. Ilja był zasepiony. Już po opróżnieniu pierwszej butelki wpadł w monolog:

\* Tracimy czas. Tracimy przewagę! W ostatnich latach w Ameryce ukazało się kilka prac o pierwszorzędym znaczeniu. Alfred Stertevant jest na najlepszej drodze do wyjaśnienia, jak powstają nowe geny! A gdzie jest nasz Kolców, gdzie Czetwierikow, Zawadowski, Wawiłow? Genialny Lew Ferri? Czy ty nie rozumiesz, że to szkodnictwo? Cała ta afera z Łysenką \* szkodnictwo! A teraz ta kampania przeciwko kosmopolityzmowi \* przecież ona jest na rękę imperialistom, Pasza! W taki chytry sposób oni chcą zniszczyć sowiecką naukę! Nauka powinna służyć ludzkości, a u imperialistów będzie służyła dorabianiu się, złotemu cielcowi...

Głos jego grzmiał z początku, potem przycichł, jakby wysechł, wilgoć napłynęła do jasnych, o nabiegłych krwią żyłkach oczu i spłynęła spod okularów.

Paweł Aleksiejewicz czuł się ogromnie niezręcznie z powodu tego patosu, obracał w palcach pusty kieliszek i wciąż nie potrafił się odezwać. W końcu, gdy Ilja Iosifowicz umilkł na chwilę i przeszukiwał kieszenie, by znaleźć chustkę do nosa, Paweł powiedział cichym głosem:

\* Myślę, Iljusa, że tak jak zwykle przesadzasz. Ich nie interesuje kosmopolityzm, sprawa jest o wiele prostsza: nasz gospodarz zamierza ukreć głowę Żydom... Wala, kiedyś szczuplutka dziewczyna, potem gruba baba, a teraz znowu chudsza, od czasu do czasu wsadzała swą kędzierzawą głowę przez drzwi do wąziutkiego pokoju męża, przypominającego raczej więzienną celę, gdzie odbywała się rozmowa przyjaciół i szeptała błagalnie: „Iljusa, dzieci...” albo „Iljusa, sąsiedzi...” albo po prostu „Błagam cię, ciszej...”. Przyjaciele wypili jeszcze jedną butelkę i tak jak zazwyczaj, przed rozstaniem się pokłócili. Ilja Iosifowicz stał murem za ogólnoświatową sprawiedliwością, kładąc nacisk na jej aspekt naukowy i gotów był dać za nią głowę. A Paweł nie wierzył w żadną sprawiedliwość, jego interesowały wyłącznie drobiazgi \* jakieś ciężarne pomywaczki, parszywe operacje, o których jeszcze Cyceon mówił w rzymskim senacie. O tym ostatnim właśnie Ilja Iosifowicz był uczynił wzmiankę. Paweł Aleksiejewicz się ożywił \* zawsze cenił niewyczerpaną erudycję przyjaciela:

\* A co mówił Cyceon?

\* A to \* krzychał Ilja \* że te baby trzeba karać, ponieważ one kradną państwu żołnierzy! Po tysiackroć miał rację!

W tym momencie Paweł pobladł, wstał i wciągając palto na ramiona, rzucił ze złością:

\* Mądry masz łeb, Ilja, szkoda tylko, że trafił się takiemu durniowi! Czy według ciebie baby po to mają rodzić, żeby te łajdaki miały kogo posyłać na rzeź?

Trzasnął drzwiami. Czort z nim, głupim! Ale o Cyceonie nie zapomniał, choć był mocno pijany.

Następnego dnia u Goldberga zrobiono rewizję i został aresztowany. Jak było widać, jego oskarżycielskie pismo dotyczące Łysenki doszło do adresatów.

O aresztowaniu Ilji Iosifowicza Paweł dowiedział się dopiero po tygodniu, kiedy to Wala po wielu wahaniach zdecydowała się do niego zatelefonować.

A w ten ostatni wieczór w Małachowce pijany Paweł Aleksiejewicz długo szukał stacji, do domu trafił sporo po północy, niewiele pamiętając z tego, co zaszło.

Nazajutrz czuł się na tyle podle, że rozcieńczył sobie pół szklanki spirytusu i popił.

Lżej mu się zrobiło na duszy, ogarnęła go nawet jakaś niecodzienna beztroska, niby promień słońca, nie znający krwiożerczej głupoty prasowych artykułów, ani ludzi, którzy je piszą i czytają.

Helena, wytrącona ze zwykłego trybu życia wczorajszym nocnym powrotem pijanego męża, nie spała z pół nocy. Wkładała w przedpokoju filcowe buty na stare pantofle, szykując się do pracy, gdy Paweł Aleksiejewicz w żołnierskiej bieliźnie, jaką nosił od wojny, wszedł do korytarza i rozłożywszy ręce zawołał:

\* Córeczko! Jedziemy do stajni! Do koników!

Helena, sądząc, że mąż jest pijany, spieszyła się. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie, zwłaszcza z rana.

\* Paszka, kochany, co z tobą?

Tania, która zdążyła już ubrać się w szkolny mundurek i uczesać włosy, zapiszczała z radości:

\* Tato, hurra!

I zawisła mu na ramieniu. Podtrzymał ją:

\* Dzisiaj wagarujemy! \* mrugnął porozumiewawczo do córki. \* Zadzwoń do biura, Lenoczka, powiedz im, że nie przyjdiesz. Zachorowałam, czy bierzesz dzień bezpłatnego urlopu, cokolwiek! Działo się coś niecodziennego, nowego. Paweł był tak niezawodny, nie było wątpliwości co do tego, że zawsze miał słuszość. Podporządkowywanie się jemu było przyjemnością i radością... Helena, uśmiechając się z zakłopotaniem, lekko się sprzeciwiała:

\* Jaka stajnia... jakie konie... Zapiszą bumelanctwo... \* Ale już wyciągała rękę po telefon, żeby zadzwonić do współpracownicy i uprzedzić, że dziś do pracy nie przyjdzie...

Paweł Aleksiejewicz zdejmował z niej szare kozie futerko i wyjaśniał:

\* Pojedziemy do Instytutu Hodowli Koni. Prokudin dawno mnie zapraszał, żeby popatrzeć na konie. Szybko, szybko, Taniu, wkładaj swój strój narciarski.

\* Tatku, naprawdę? \* upewniała się Tania.

Wasilisa, usłyszawszy krzątanie w korytarzu, wyjrzała z wnęki, prowadzącej do

kuchni.

\* Gawryłowna! Jajecznice po królewsku! \* przykazał Paweł Aleksiejewicz donośnym, radosnym głosem. W pełni zaskoczona Wasilisa poszła wykonać polecenie. Jajecznicę po królewsku \* w rzeczywistości znaczyło po wiejsku, ze smażoną cebulą, z kartoflami. Paweł jadał ją tylko w niedziele, w zwykłe dni tygodnia, tak jak przedtem, wychodził z domu bez śniadania.

\* I dla mnie po królewsku! \* ciesząc się na czekającą ją przygodę, przyłączyła się Tania.

Usiedli wszyscy i zjedli niedzielne śniadanie, choć tego dnia był najprawdziwszy poniedziałek. Paweł Aleksiejewicz wypił nawet szklaneczkę wódki. Helena patrzyła ze zdziwieniem: tak nigdy nie było, wódka z rana...

Coś niepokojącego majaczyło w tym porannym wydarzeniu i poddając się temu uczuciu, nie zastanawiając ani przez chwilę, Helena zapytała:

\* Paszka, przecież dziś masz konferencję w Akademii... Ty musisz...

\* Nic nie muszę! \* wykrzyknął Paweł. \* Wobec nikogo nic nie muszę...! Niech wszyscy idą do diabła!

Słowa, które wyrwały mu się z ust, były mocne i ważne, jak wszystko w nim. Płótno na aluminiowych guzikach koszuli przetarło się, przeświecał przez nie zmatowiały metal, rozpięty kołnierz ukazywał zarośniętą, posiwiałą pierś, na grubej szyi ciemniały napięte żyły...

Helena objęła go:

\* Spokojnie, kochany...

Uspokoił się i przygarnął ją do piersi:

\* Wybacz.

Gdy już ciepło ubrani, z saneczkami dla Tani stali w drzwiach, Paweł Aleksiejewicz polecił Wasilisie:

\* Jeżeli będą dzwonić, powiedz, że gospodarz popił sobie. Ta patrzyła, nie rozumiejąc.

\* Powiesz, że się upił.

Wasilisa nadal nie rozumiała, ale polecenie spełniła dokładnie. Pomysł okazał się

genialny. Paweł Aleksiejewicz nie był jedynym niedysponowanym tego dnia, wielu innych „zachorowało”. Ale jemu jednemu uszło to na sucho. Przez dwa tygodnie nie chodził do kliniki, a w Akademii nie pokazywał się przez cztery miesiące, dopóki nie utrwaliła się o nim opinia, że jest nałogowym pijakiem.

Poprzednio lubił trochę wypić na bankietach, urządzanych z okazji obrony prac naukowych, podczas uroczystości rodzinnych czy na stypach, ale teraz pił z innych okazji: za każdym razem gdy ogólny nastrój robił się gorący i żądano od niego zapewnień, podpisu czy wystąpień publicznych. Upijał się porządnie i Helena, która domyśliła się przyczyny jego niespodziewanego alkoholizmu, sama dzwoniła do Prezydium i delikatnie zawiadamiała, że Paweł Aleksiejewicz nie będzie mógł przybyć, ponieważ akurat \* rozumiecie \* przechodzi napad choroby alkoholowej... Tak więc Paweł Aleksiejewicz w szczególnie ciężkich okresach pozostawał w domu, wypijał z samego rana szklanekę wódki, bawił się z Tanią, uczył Wasilisę robić pielmienie albo po prostu snuł się po mieszkaniu, natykając się tu i ówdzie na małe karteczki, na których Helena notowała coś dla siebie. Były to wzruszające zapiski, zaczynające się zawsze od tych samych słów: nie zapomnieć... A dalej było \* kupić jabłka, oddać bieliznę do pralni, dać torebkę do naprawy... Zabawne było, że takich kartek trafiało się mnóstwo i zapisane na nich było wciąż to samo: jabłka, pralnia, naprawa...

Wiedział, że Helena nie była dobrą gospodynią i te jej starania, żeby o niczym nie zapomnieć, ze wszystkim zdążyć, rozrzewniały go. Jej zalety zachwycaly, a niedostatki \* rozczulały. To właśnie zwie się małżeństwem. Ich małżeństwo było szczęśliwe i dniem, i nocą, a wzajemne zrozumienie wydawało się tym pełniejsze, że oboje będąc ludźmi z natury i z wychowania skrytymi i milkliwymi, nie potrzebowali słownych zapewnień, które tak szybko powszednieją wśród ludzi wylewnych.

Okresy pijaństwa Pawła Aleksiejewicza, niezależnie od ich początkowego dyplomatycznego charakteru, nie były udawane. Helena, chociaż niepokoiła się o zdrowie swego niemłodego już męża, nie czyniła żadnych starań, by go zatrzymać na tej drodze. Jak zwykle, nie rozum, ale intuicja kobieca nią kierowała. Nie była świadoma natury pijaństwa, szczególnie pijaństwa w Rosji, kiedy to nie mająca

wyjścia z trudnej sytuacji dusza znajduje łatwo dostępną pociechę, bez kłamstwa i bez wstydu.

W takie alkoholowe dni Helena brała niekiedy urlop i jechała z Pawłem Aleksiejewiczem na wieś. Raz taki krótki urlop wypadł w jesieni, dwa razy podczas zimy. Nie było w jej życiu lepszego okresu, aniżeli te wakacje pod znakiem alkoholu, kiedy on odsuwał od siebie wszystkie swoje liczne troski i należał tylko do niej. Utracone przez nich oboje pierwsze gorące uczucia, nieskomplikowane odkrycia pozornej głębi bez dna, gdzie wszystko się kończyło \* o czym Paweł chciał zapomnieć i czasem mu się to udawało \* kilkoma miligramami wydzieliny i odmierzoną dozą tajemniczej substancji w otoczce z białka... I kiedy brakło już sił, by wyciągnąć rękę po szklanekę z wodą, w głębi pojawiał się chłód: wszystko na próżno, wszystko na próżno, pozostawała granica nie do przebycia, której we dwoje nie dawało się przekroczyć. Na to było tylko jedno lekarstwo: znowu i znowu próbować...

Gdy zbliżał się trzeci nawrót wzmożonego picia, Helena już wiedziała, że następujący po nim okres trzeźwości będzie dla niej próbą. Bała się, ale w duszy czekała na ten ranek, kiedy Paweł Aleksiejewicz wypiwszy pierwszą wyzwalającą szklanekę, poprosi:

\* Pakuj się, kochanie, pojedziemy na wieś...

W międzyczasie w Akademii odczepiono się od niego: reputacja pijaka stanowiła swego rodzaju indult. Opinia publiczna w naszym kraju do żadnej wady nie odnosi się tak pobłażliwie, jak do pijaństwa. Wszyscy piją \* carowie, archijereje, akademicy, a nawet tresowane papugi...

10.

Gdzieś po dwudziestym maja nastąpiły przedwczesne upały i wszyscy z tego powodu poczuli się trochę niezdrowo. Do końca roku szkolnego pozostawało jeszcze kilka dni, ale cały program był już przerobiony i stopnie \* i te okresowe, i roczne \* były już wystawione. Wiadomo też było, kto przeszedł z wyróżnieniem, kto zostanie na

drugi rok. Uczennice i nauczyciele cierpieli z nudów z powodu tego jałowego czasu i jego usypiającej atmosfery.

Galina Iwanowna, stara nauczycielka, spracowany koń z obwisłym zadem, przyszła do klasy w nowej letniej sukni, brudno\*beżowej w przerywane czarne pasy, które to znikwały, to się odnajdywały, wypuszczając krzywe odgałęzienia.

Galina Iwanowna prowadziła tę klasę już cztery lata. Uczyła wszystkiego co potrafiła: pisanie, arytmetyki, rysunków. W tym też czasie dziewczynki doskonale zapamiętały jej obie wełniane zimowe suknie, szarą i bordo, a także granatowy odświętny kostium, jakby przyprószony szarą kocią sierścią.

Od pierwszej lekcji przyszłe piątklasistki dyskutowały z zapalem o nowym stroju nauczycielki \* i pasek jakiś zwykły, bez sprzączki, i rękaw „kimono”. Jedenastoletnie uczennice były w tym nierównomiernym wieku, kiedy niektórym z nich zaokrąglało się ciało i pojawiały się kędzierzawe włosy w intymnych miejscach, a inne były jeszcze chudymi dziećmi bez szczególnego wyrazu, z obgryzionymi paznokciami i podrapanymi kolanami. Nowa suknia Galiny Iwanowny zwracała zresztą uwagę i jednych, i drugich.

Nie mniej uwagi poświęciła swojej sukni sama Galina Iwanowna, uszyła ją nie dlatego, że stara się zniszczyła, ale głównie z tej przyczyny, że akurat dziś, po lekcjach, miała się odbyć przy herbacie uroczystość z okazji 40\*lecia jej pracy nauczycielskiej. Na wielkiej przerwie Galina Iwanowna udała się nawet do ubikacji, by przejrzeć się w lustrze, poprawić kołnierzyk. Posiadała już tytuł „Zasłużonego Nauczyciela”, teraz więc marzyła w duszy o prawdziwej nagrodzie: medalu czy nawet orderze.

Ostatnią, czwartą lekcję poświęciła na czytanie na głos. Na początku dziewczynki czytały po kolei, ale wszystkie bez wyjątku robiły to źle. Jeśli się nie zacinały, to dukały tak bezmyślnie, że sensu nie można było pojąć. Galina Iwanowna przestała więc w końcu robić im uwagi, wzięła książkę do ręki i sama zaczęła czytać. Jej nieco nosowy głos, trochę zbyt cienki jak na tak postawną, tęgą postać, był wyrazisty. Zabrzmiął szczególnym przejęciem i współczuciem przy opisie cierpień Kasztanki,

zamarzającej na opustoszałej ulicy.

Do końca lekcji pozostawało kilka minut i najbardziej niecierpliwe uczennice po cichu pakowały teczki. Słońce grzało przez okna z całą mocą, dziewczynki pociły się w swoich wełnianych, wpijających się pod pachami mundurkach.

„W taki upał żadnego współczucia nie wywołuje zamarzający piesek” \* pomyślała Tania i w tej samej chwili usłyszała ciche chlipanie i zduszony rękawem płacz.

Galina Iwanowna przerwała czytanie, cała klasa obróciła się w stronę odległego kąta, gdzie przez cztery lata nauki przesiedziała na ostatniej ławce pozbawiona uczuć i na wszystko obojętna Toma Połosuchina. To właśnie ona zapłakała nad ciężkim losem zagubionej i ginącej z chłodu Kasztanki.

Zastukały pulpity w ławkach, dziewczynki powyskakiwały z miejsc.

\* Lekcja jeszcze nie skończona \* upomniała je Galina Iwanowna i z zawodowym uśmiechem w kącikach pobladłych ust zwróciła się do Tomy:

\* Co z tobą, dlaczego tak się przejęłaś? Nie przeczytałaś tego w domu? Dalej tam wszystko będzie dobrze \* uspokoiła dziewczynkę.

\* Nie będzie, nie będzie... \* zachlipała Toma, odrywając policzek od mokrej ławki i wycierając nos fartuszkiem.

Była najmniejsza, taki niedorostek, niepozorny, mało wart, jak wróbel albo listek babki przy drodze...

W końcu zadźwięczał dzwonek. Galina Iwanowna zdecydowanym ruchem zamknęła książkę. Senność ustąpiła u wszystkich jak ręką odjął, męczący, nie do zniesienia upał za oknami stał się dobrą, wspaniałą pogodą, dziewczęta drżały z niecierpliwości, wszystkie okropnie się śpieszyły na dwór, żeby poskakać na porysowanym kredą asfalcie albo przez sznurek, pojedynczo, dwójkami, czy też całymi grupami albo w ogóle poskakać bez żadnych przyborów, brykać, podskakiwać jak młode źrebięta czy koźlęta, fikać koziołki, popychać się i ganiać nie wiadomo za czym...

Toma jeszcze pociągała nosem, zbierając swoje wyszmelcowane podręczniki, kiedy podeszła do niej Tania. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła.

\* Co z tobą? \* zapytała Tania.

Tania to nie był wróbelek, ani listek przydrożnej babki, była czymś rzadko



spotykanym, jakąś królewską lilią czy też wielką przezroczystą ważką. I obie wiedziały doskonale kto jest kim...

Ale w tym dniu Tomie przydarzyło się coś ważnego i okropnego, czego nie było i nie mogło być u Tani, co je równało, a może nawet podnosiło Tomę ponad wszystkich świat i dlatego ona, nigdy niczego nie opowiadająca o sobie \* zresztą to nikogo nie interesowało \* powiedziała:

\* Moja mama umiera. Boję się iść do domu...

\* Odprowadzę cię \* bez żadnych obaw zaproponowała Tania. Gdyby się to stało wczoraj, Toma byłaby dumna i cieszyłaby się, że Tania ją odprowadza, ale dzisiaj było jej prawie wszystko jedno.

Przeszły przez rozdzwoniony okrzykami dziewcząt i połyskujący zielonkawym złotem dziedziniec szkolny, przedostały się przez dwa otwarte podwórza, w jednym miejscu przelazły przez ogrodzenie i stanęły przed wejściem do „chwatory”. Tak matka Tomy nazywała ich służbowe pomieszczenie, przydzielone jeszcze przed wojną jej mężowi, który zginął w czterdziestym czwartym. Poprzednio był to po prostu garaż z wyciętymi we wrotach drzwiami. Toma dreptała u wejścia, Tania zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi.

Pierwsze zaatakowane zostało powonienie. Zapach kwaśnej wilgoci, moczu i nafty, stęchły, zgniły, zalatujący śmiercią... Dwa sznury, przeciągnięte w poprzek, zawieszane były mokrą bielizną. W głębi pod wysoko umieszczonym oknem, wychodzącym na jakąś ceglana ścianę, stało ogromne łóżko, na którym, jak na rosyjskim piecu, sypiała cała rodzina: matka, Toma i jej dwóch młodszych braci. Z początku wydawało się, że łóżko jest puste, ale kiedy wzrok oswoił się z panującym półmrokiem, na poduszce ukazała się drobna głowa w grubej chustce. Obok łóżka stała miednica, pełna brudnych szmat. Dziewczynki zbliżyły się do łóżka, źródła okropnej woni.

\* Mamusiu, mamo \* odezwała się Toma. Spod chustki dał się słyszeć jęk.

\* Może coś zjesz albo wypijesz? \* płaczącym głosem spytała Toma.

Ale żadnej odpowiedzi nie było, nawet jęku.

Toma ściągnęła na bok śmierdzący koc \* kobieta leżała na prześcieradle czerwonego

koloru. Tania nie od razu zdała sobie sprawę, że to krew. Bure szmaty w miednicy też były skrwawione, tylko pociemniały wysychając.

\* Trzeba wezwać karetkę \* zdecydowała lania.

\* Ona nie chce karetki \* wyszeptała Toma.

\* Ale przecież to krew, krwotok! \* zdziwiła się Tania.

\* Tak, krwotok. Ona się przedziurawiła \* wyjaśniła Toma i nieprzekonana, czy Tania dobrze zrozumiała, dodała: \* Ona przyprawia tu mężczyzn, a potem się przebija.

Doczekała się...

Toma chlipała. Tania zmrużyła oczy: huk, zgrzytanie, wszystko się wali... Chwieją się ściany, przemieszczają całe płaszczyzny, rozwierają pełne smrodu przepaście...

Rozwaliło się całe życie i Tania pojęła, że od tej chwili już nigdy nie będzie tym, kim była dotąd...

\* Ja wezwę mojego tatę.

\* Powiedziała... że on do nas nie przyjdzie.

\* Czekaj, zaraz będę.

W ciągu pięciu minut Tania dobiegła do swego domu. Agatki nie było, drzwi otworzyła Wasilisa:

\* Co tak pędzisz jak oszalała?

Tania nie odpowiedziała, rzuciła się do telefonu, by zadzwonić do Pawła Aleksiejewicza. Długo nikt się nie zgłaszał, w końcu powiedziano, że jest na operacji.

\* Ale co się takiego stało? \* dopytywała się Wasilisa.

\* Ach, ty tego nie zrozumiesz! \* odcięła się Tania. Wydawało jej się, że przed nikim nie powinna ujawniać

swojej straszliwej wiedzy, ponieważ u każdego, komu się o tym powie, jego życie się rozwali, runie, jak u niej samej. Tę tajemnicę trzeba zachować...

\* Niedługo będę! \* krzyknęła już na progu i trzasnąwszy drzwiami, popędziła w dół po schodach.

Tania później już nie pamiętała, jak nie doczekawszy się trolejbusu, dobiegła do metra, jak dojechała do Parku Kultury, a potem biegła znowu po długiej ulicy

Pirogowa. Wydawało jej się, że biegła bez końca, przez wiele godzin. W portierni kliniki zatrzymano ją.

\* Ja do ojca... Pawła Aleksiejewicza...

Od razu ją wpuszczono. Pędem pobiegła na piętro i pchnęła oszklone drzwi. Z naprzeciwka, w białym kitlu i okrągłej czapeczce, siedł ojciec, otoczony chmarą lekarzy i studentów, siedł na przedzie, najwyższy z nich, najsilniejszy, z różową twarzą i szerokimi brwiami, zaprawionymi lekką siwizną. Ujrzał Tanię. Wydało mu się, że samo powietrze rozstało się przed nim.

\* Co się stało?

\* Matka Tomy Połosuchiny umiera. Przedziurawiła się! \* wypaliła Tania.

\* Co takiego? Kto ciebie tu wpuścił? \* zakrzyczał Paweł Aleksiejewicz. \*

Natychmiast na dół, do pokoju przyjąć! Tam na mnie czekaj!

Tania ruszyła na dół, łykając łzy.

Niezależnie od swej odwagi, Paweł Aleksiejewicz jednak się przeląkł. Wystarczy jeden donos i całe życie zamieni się w piekło...

Po trzech minutach Paweł Aleksiejewicz był już w pokoju przyjąć.

Tania rzuciła się ku niemu: \* Tato!

Powstrzymał ją wzrokiem:

\* Powiedz spokojnie, co się tam u was stało?

\* U Tomy Połosuchiny, tatku, prędko... jej matka umiera...

\* Czyja matka? Kto? \* chłodno zapytał Paweł.

\* Nasza stróżka, ciocia Liza. Oni mieszkają w garażu za naszym domem. Ona się przedziurawiła, tato, tam u nich tak strasznie, tyle krwi...

Paweł Aleksiejewicz zdjął okulary, potarł nasadę nosa. Słowo „przedziurawiła się” w ustach Tani...

\* Zrobimy tak. Natychmiast wracasz do domu. \* Jak?

\* Tak jak tutaj przyjechałaś, tak samo dojedziesz z powrotem.

Tania nie wierzyła samej sobie. Jej oj ca jak gdyby zamieniono. Nigdy z nią nie rozmawiał takim surowym tonem.

Skulona, wyszła na ulicę.

Po pół godzinie Paweł Aleksiejewicz wszedł do garażu Połosuchinów. Towarzyszył mu jego asystent Witia. Kierowca samochodu sanitarnego, którym tu przyjechali, nie wysiadł z kabiny.

Z pierwszego rzutu oka Paweł Aleksiejewicz zorientował się w sytuacji: to była ona, jego główna, nieszczęsna pacjentka. Wdowa po wojskowym czy samotna matka, nie stroniąca od wódki, być może, puszczańska... Dotknął szerokiej, zimnej dłoni drobnej kobiety, palcem odciągnął powiekę. Nie było tu już nic do zrobienia. Obok łóżka stała trójka dzieci, dwaj mali chłopcy i dziewczynka, i wpatrywali się w niego wielkimi oczami.

\* A gdzie Toma? \* zapytał Paweł Aleksiejewicz. \* To ja.

Paweł Aleksiejewicz popatrzył na nią uważnie: z początku wziął ją za siedmiolatkę, teraz, przyjrzawszy się, zrozumiał, że to ona jest koleżanką Tani z tej samej klasy.

\* Toma, zabieraj chłopców i idź do mieszkania numer dwanaście, w szarym domu, wiesz gdzie?

Toma przytaknęła, ale wciąż stała w miejscu.

\* Idź, idź! Otworzy wara Wasilisa Gawryłowna, powiesz, że Paweł Aleksiejewicz was przysłał. I poproś, żeby nakrywała do stołu. Ja zaraz przyjdę.

\* A mamę zabierzecie do szpitala?

Paweł Aleksiejewicz zagradzał swoją potężną postacią łóżko i nieszczęsna kobietę, która już nie istniała.

\* Idź, idź! Zrobimy wszystko co trzeba... Dzieci wyszły.

\* No, ale wpadliśmy w kałabanie... Do kostnicy ją trzeba wieźć \* na wpół pytająco powiedział asystent.

\* Nie, Witia. Nie możemy jej zawozić do naszej kostnicy. Ja zaraz tu przyślę Wasilisę Gawryłownę, ona wezwie karetkę Pogotowia, milicję... Nas tutaj nie było... \*

zmarszczył się Paweł Aleksiejewicz. \* Sam wiesz, gdyby żyła, to bym ją zabrał...

Witia wiedział o tym dobrze. Właściwie wszyscy lekarze wiedzieli, jak blisko w takich przypadkach znajdował się paragraf Kodeksu Karnego.

Śmierć Lizy\*dozorczyńi poruszyła całą ochrzczoną społeczność po nieparzystej stronie ulicy Nowosłobodzkiej, aż do samej stacji Sawiełowskiej, spowodowała

wybuch namiętności i wielu ludzi poróżniła ze sobą na zawsze. Po tym, jak Wasilisa Gawryłowna wezwała Pogotowie Ratunkowe i milicję, i skurczone ciało zmarłej zawiezione zostało do Zakładu Medycyny Sądowej w celu przeprowadzenia sekcji, skandal rozwijał się w dwóch kierunkach: mieszkaniowym i medycznym.

Do „chwatery” pretendowały trzy znaczące figury, pierwszą z nich był sam zarządca domu Kostikow, planujący umieszczenie w garażu swojej siostry, mieszkającej już trzeci rok wraz z córką w jego mieszkaniu i wciąż beznadziejnie oczekującej na mieszkanie z fabryki, gdzie pracowała. Od razu w dniu śmierci, nie tracąc chwili, Kostikow załatwił urzędowo dla siostry miejsce po zmarłej Lizie i liczył, że teraz mieszkanie mu nie umknie.

Drugim chętnym był elektryk z Zarządu Domu, Kostia Siczkin, który był już zmordowany mieszkaniem na dziewięciu metrach kwadratowych z trojgiem dzieci i z czwartym „w drodze”. Jeszcze był jeden człowiek, również żaden postronny \* milicjant dzielnicowy Kuriennoj, który zajmował największy pokój w hotelu milicyjnym, ale zamierzał się żenić i był nastawiony bojowo. Pozostały drobny narodek z baraków też nie był przeciwny, by polepszyły mu się warunki, ale kompletnie nie miał szans.

Pod względem medycznym sprawa wyglądała znacznie poważniej. Sekcja zwłok wykazała, że dozorczyni Liza umarła z powodu krwotoku na skutek perforacji ścianki macicy, a fatalna, kryjąca się w podziemiu ręka wyciągnęła przez ten przypadkowy otwór jakimś nieznanym instrumentem połowę jelit.

Kodeks Karny oceniał taką nieudaną interwencję na trzy do dziesięciu lat odsiadki, w zależności od kwalifikacji przeprowadzającego zabieg aborcyjny: lekarz w przypadku śmiertelnego zejścia dostawał dziesiątkę, dwa razy więcej niż amator.

Była w tym swoista sprawiedliwość.

Cała okolica знаła nazwiska dwóch kobiet, które zajmowały się tym niemiłym Bogu procederem: babka Szura Zudowa i Mołdawianka Dora Giergieł. Pierwsza działała w prostszy sposób i była tańsza. Coś wlewała i zakładała kateter. Zazwyczaj pomagało. Niekiedy u szczególnie mocnych kobiet lub takich, które nigdy jeszcze nie rodziły, zabieg się nie udawał. Wtedy Zudowa rozkładała ręce i pieniędzy nie brała.

Dora pracowała w służbie zdrowia i wszystko robiła zgodnie z zasadami nauki, bez „niewypałów”. Przeniosła się po wojnie z Kiszyniowa do Moskwy. Czarnowłosa, urodziwa, z gorejącymi oczami była brana przez podejrzliwych, ale niezbyt bystrych sąsiadów za Żydówkę. Odznaczała się wielkim sprytem: i za mąż potrafiła wyjść za majora, chociaż miała już dziecko, i gospodini była z niej zmyślna \* na nowym miejscu w Moskwie, nawet przy systemie kartkowym bardzo szybko zorientowała się, co i gdzie można dostać. I w szpitalu udało jej się zatrudnić w charakterze pielęgniarki, chociaż jej dyplom był jakiś podejrzany, nawet napisany nie po rosyjsku. Ona właśnie dokonywała u siebie w domu prawdziwych zabiegów aborcyjnych, nawet ze znieczuleniem, ale brała drogo. Chodziły do niej tylko osoby zamożniejsze, a Liza pewnie by do niej nawet się nie dowłokła. Podwórze więc orzekło bez wahania, że to Zudina tę sprawę tak fatalnie zmaistrowała.

Następnego dnia na podwórze przyszedł śledczy. W „chwaterze” zrobiono rewizję, ale nie znaleziono ani instrumentów, ani żadnych środków medycznych.

\* Szukajcie sobie durniów, na pewno wam coś zostawili! \* naśmiewało się podwórze.

Śledczy, młodzieńki chłopak o cienkiej szyi przepytывał sąsiadki i się czerwienił. Wszystkie milczały. Ale jak zwykle, donosicielka się znalazła. Najbliższa sąsiadka Zudiny, Nastia Grabia zza ściany nie wytrzymała. Była bowiem urodzoną bojowniczką o prawdę.

\* Czego nie wiem, tego nie powiem. Jak było z Lizą osobiście nie widziałam, ale innym ona wstawia rurki, nawet bardzo pomaga \* wyszeptała śledczemu prosto w ucho.

\* A wy sama, korzystaliście? \* zainteresował się śledczy.

\* Uchowaj Boże, mnie to dawno już niepotrzebne \* odpowiedziała Grabia.

\* To skąd wiecie?

W tym momencie Grabia podprowadziła śledczego do przegródki, wykonanej z dykty, stuknęła w nią paznokciem i natychmiast odezwał się głos:

\* Czego chcesz, Nastia?

\* Tak sobie zastukałam \* z tupetem odparła Grabia i cicho, prosto w ucho śledczego

zaszeptała: \* Przecież wszystko słycać, do ostatniej kopiejki! Przed sąsiadami nic się nie ukryje, nie można ani westchnąć, ani pierdnąć...

Śledczy zapisał coś w zeszycie i poszedł. Miał już jakąś wersję.

Duch śledztwa, kłótni i wrogich uczuć, był na tyle silny, że przeniknął nawet do spokojnego domu Pawła Aleksiejewicza. Zaczęło się to wieczorem tego dnia, kiedy zabrano Lizawietę. Dzieci Połosuchinów położono spać w pokoju Tani, a ją przeniesiono do sypialni rodziców.

Przy późnej kolacji zebrali się sami dorośli \* Paweł, Helena i Wasilisa, która acz niechętnie, siadała czasem z nimi do stołu. Zwykle zdarzało się to w okolicznościach szczególnych: w święta czy w związku z jakimś wydarzeniem, w rodzaju dzisiejszego. Na ogół wołała jeść w swoim pokoiku, w ciszy i przy modlitwie.

Skończywszy jeść, Paweł Aleksiejewicz odsunął talerz i powiedział, zwracając się do Heleny:

\* Teraz rozumiesz, dlaczego tyle lat tracę na uzyskanie tego pozwolenia?

\* Jakiego? \* zapytała Helena z roztargnieniem, zatopiona w swoich myślach. Los dzieci Połosuchiny nie dawał jej spokoju.

\* Na przeprowadzanie zabiegów przerywania < iaży. Wasilisa Gawryłowna omal nie upuściła czajnika: świat jej się zawalił. Szanowany przez nią Paweł Aleksiejewicz, jak się okazało, stał po stronie przestępców i zabójców, zabiegał o nich, o bezwstydną dla nich swobodę. I sam jest zabójcą... Tego wprost nie można było sobie wyobrazić... Jak to?...

Paweł potwierdził raz jeszcze swoją wypowiedź i wdał się w objaśnienia \* to był jego konik.

Wasilisa zacisnęła swoje ciemne wargi i milczała. Nie zaczęła pić herbaty, odsunęła filiżankę, ale do swojej izdebki nie poszła. Siedziała w milczeniu ze spuszczoneym wzrokiem.

\* To okropne, okropne \* Helena podparła głowę rękami.

\* Co okropne? \* z rozdrażnieniem zapytał Paweł.

\* Wszystko. I to, że ta Lizawieta umarła, i to, o czym ty mówisz. Nie, nie, nigdy z tym nie potrafię się zgodzić. Usankcjonowane dzieciobójstwo! To przestępstwo

jeszcze gorsze od zabijania dorosłych. Bezbronne, małe istoty... Jak można coś takiego legalizować?

\* No, oczywiście, pojawiła się tołstojowszczyzna, wegetarianizm i trzeźwość...

Helena poczuła się dotknięta wspomnieniem tołstojowszczyzny:

\* Co ma do tego wegetarianizm? Tołstoj nie to miał na myśli. Tam w pokoju Tani śpią trzy takie istoty. Jeśli aborcja byłaby dozwolona, one też zostałyby zabite. Tej Lizawie nie były tak bardzo potrzebne.

\* Coś ty, Lena? Jesteś upośledzona na umyśle? Może by ich nie było na świecie, ale nie byłoby teraz trzech nieszczęsnych sierot, skazanych na nędzę, głód i więzienie. Pierwszy raz w ciągu dziesięciu lat nadciągała poważna kłótnia między nimi.

\* Pasza, co ty mówisz? \* z przerażeniem odezwała się Helena. \* Jak możesz mówić coś podobnego? Ja mogę być upośledzona na umyśle, ale nie chodzi tu o umysł. Te kobiety przecież zabijają własne dzieci! Jak można na to pozwolić?

\* A jak można na to nie pozwalać? One zabijają także same siebie! A z tymi co zrobić? \* wskazał na ścianę, za którą spały godne politowania, mizerne, wątłe dzieci, ich matka w swoim czasie nie mogła ich się pozbyć. \* A co proponujesz zrobić z nimi?

\* Nie wiem. Wiem tylko, że zabijać ich nie wolno. \* Po raz pierwszy słowa męża wywoływały w niej sprzeciw, a on sam protest i rozdrażnienie.

\* Ale pomyśl o kobietach! \* krzyknął Paweł Aleksiejewicz.

\* Dlaczego mam myśleć o nich? To zbrodniarki, zabijają własne dzieci \* Helena zacisnęła usta.

Twarz Pawła jakby skamieniała. Helena zrozumiała, dlaczego tak boją się go jego podwładni. Takim go jeszcze nie widziała.

\* Ty nie masz prawa głosu. Jesteś pozbawiona tego organu. Nie jesteś kobietą. Skoro nie możesz zająć w ciąży, nie waż się sądzić \* powiedział ponurym głosem.

Całe szczęście rodzinne, naturalne, niewymuszone, z własnego wyboru, ich bliskość i bezgraniczne wzajemne zaufanie \* wszysdco to runęło w jednej chwili. Ale on chyba tego nie zrozumiał. Wasilisa wpiła w Pawła swoje jedyne oko.

Helena wstała. Drżącą ręką wstawiła filiżankę do zlewu. Filiżanka była stara,



pęknięta w poprzek. Dotknąwszy dna, rozpadła się. Helena zostawiła stłuczone połówki i wyszła z kuchni. Wasiłisa, opuściwszy głowę, wymknęła się do swej komórki.

Paweł Aleksiejewicz w pierwszym momencie chciał iść za żoną, ale się powstrzymał. Nie, niech to będzie bolesne. Dlaczego ona lituje się nad włóczącymi się kotami, a dla nieszczęsnej Lizawiey nie ma współczucia? Znalazła się sędzia... Niech się zastanowi...

Helena zastanawiała się przez całą noc. Płakała, myślała i znowu płakała. Obok niej na zwykłym miejscu Pawła leżała rozgrzana Tania. Paweł Aleksiejewicz nocował w swoim gabinecie.

Nie spała również Wasiłisa Gawryłowna. Nie rozmyślała, modliła się i płakała: Paweł Aleksiejewicz okazał się złoczyńcą.

Paweł budził się kilkakrotnie, męczyły go jakieś ponure sny. Przewracał się, ściągając śliskie prześcieradło /. obitej skórą kanapy.

Ruch w domu rozpoczął się bardzo wcześnie. Wasiłisa wyszła ze swojej izdebki, gdy tylko usłyszała, że Paweł nastawia wodę w czajniku. Oświadczyła mu, że odejdzie od nich. Było to co prawda nie po raz pierwszy. Zdarzało się, że Wasiłisa obraziwszy się nie wiadomo o co, prosiła o wypłatę. Zazwyczaj jednak, nagromadziwszy niezadowolenie, znikala na jakiś czas, ale szybko wracała.

Paweł Aleksiejewicz jeszcze pod wrażeniem wczorajszego dnia, burknął:

\* Róbcie, co się wam podoba.

Czuł się obrzydliwie. Otworzył kredens i przeszukał, żadnej butelki nie było. Nie chciał wysyłać na miasto Wasilisy, zresztą było za wcześnie. Nalał sobie herbaty i zabrawszy szklanę, wrócił do gabinetu. Helena wciąż się nie pokazywała. Wasiłisa pakowała rzeczy. Dzieci Lizawiey w pokoju Tani z hałasem przewracały nieznane sobie zabawki i czekały na śniadanie. Toma poleciła im, by się kłóciły ciszej.

Kiedy Helena przyszła do kuchni, żeby ugotować kaszę dla całej gromady dzieci, Wasiłisa Gawryłowna w nowej bluzce i w nowej chustce stanęła przy płycie kuchennej i z miną smutną, acz uroczystą oświadczyła:

\* Heleno, ja wyjeżdżam.

\* Jak możesz tak zrobić? \* jęknęła Helena. \* Jak możesz mnie zostawić?

Stały i patrzyły na siebie nawzajem, obie wysokie, chude, poważne. Jedna stara, na oko starsza niż w rzeczywistości, druga pod czterdziestkę, też już w latach, a z wyglądu \* wciąż te same dwadzieścia osiem wiosen.

\* Ty jak sobie chcesz, ale ja dłużej mieszkać z nim nie będę. Wyjadę \* odparła starucha.

\* A co będzie ze mną? \* błagalnym tonem zapytała Helena.

\* To twój mąż \* nastroszyła się Wasilisa.

\* Mąż, mąż... \* powtórzyła Helena.

Helena nie wyobrażała sobie życia bez Wasilisy, szczególnie teraz, w tej niespodziewanej sytuacji, z cudzymi dziećmi \* sierotami w domu. Uprosiła więc Wasilisę, żeby odłożyła wyjazd przynajmniej do czasu, aż się załatwi coś z dziećmi Połosuchinów.

\* Dobrze \* ponuro powiedziała Wasilisa. \* Jak pochowamy Lizawietę, to odejdę. Szukaj sobie innej pomocy. Ja z nim więcej przebywać nie będę.

Pogrzeb odbył się dopiero na szósty dzień, kiedy zakończono sekcję i w sposób naukowy sprawdzono to, co i tak było wiadome. Zjechała się rodzina, prawie same kobiety, matka, dwie siostry, kilka starych kuzynek o różnym stopniu pokrewieństwa \* od szwagierki do kумы. Jedyne zezowaty, niepozorny mężczyzna był jakimś szwagrem. Tania, która wraz z Tomą zajrzała raz do wnętrza „chwatery”, ze zdziwieniem przyglądała się tym ludziom i po cichu prosiła Tomę o wyjaśnienie, kto z kim i w jakim stopniu był spokrewniony.

Cała bliższa i dalsza rodzina Połosuchinów wywodziła się z guberni Twerskiej, ale z różnych wsi, matczynej i ojcowskiej. Rodzony ojciec Tomy zginął na wojnie, młodszy bracia nie byli jego synami, nie wiadomo właściwie czyimi, ale nosili jego nazwisko. Krewni ze strony ojca nie bardzo poważali za to Lizawietę.

Można właściwie powiedzieć, że z obu stron odnoszono się do siebie wrogo. Ludzie ci hałaśliwie kłócili się ze sobą, płakali, obwiniali się nawzajem o jakieś przedwojenne kradzieże, stratowane pola, wspominali o tajemniczej ośminie, jakiejś półtuszy... To wszystko brzmiało jak w innym, obcym języku. Tania odniosła

wrażenie, że odbywa się tu jakaś gra dla dorosłych, coś się dzieli na niby, dla żartu...  
Ale podziału dokonywano naprawdę.

Helena miała zamiar zabrać ze sobą Tanię na nabożeństwo żałobne i na pogrzeb, ale Paweł Aleksiejewicz nie pozwolił. Helena uważała, że Tania powinna pójść z uwagi na Tomę, po

prostu żeby być z nią razem w takiej chwili. Ta różnica zdań jeszcze bardziej pogłębiła rozdzźwięk między nimi. On nalegał, grzmiał, żądał, żeby Tanię zostawić w domu:

\* Ona jest wrażliwym dzieckiem! Po co wciągasz ją w to wszystko? To jakieś koltuństwo! Rozumiem, że pójdzie Wasilisa, ale Tania co ma tam robić?

\* A dlaczego ty uważasz, że masz prawo głosu? \* Łagodna i nie skłonna do zemsty Helena wymierzyła cios druzgocący. Sama nie wiedziała jak to się stało. \* Przecież nie jesteś ojcem Tani...

To była niecna zemsta. Cios trafił w cel. To był ten rzadki przypadek, kiedy obaj pojedynkujący się przegrywają \* nikt nie pozostaje przy życiu.

Na pogrzeb pomimo to Tania nie poszła, dostała gorączki i musiała zostać w łóżku. Następnego dnia starsza siostra Lizawiety, Niura, wyjechała, zabierając ze sobą dwóch siostrzeńców. Tomę według umowy miała zabrać młodsza, Fienia. Ale u niej coś tam się nie układało, musiała wymieniać jakieś wieńce i Tania, której wszystko to przekazywała Tomą, oczami wyobraźni widziała barwny wiejski korowód dorodnych dziewcząt, wymieniających między sobą splecione z chabrów i rumianków wieńce. Na czym polegały trudności z wieńcami \* Tania nie pojmowała.

Wkrótce przyszła sama Fienia, wysoka, czarna, przypominająca zmarłą drobną, płowowłosą Lizawietę chyba tylko swoją rzadko spotykaną brzydotą.

Długo siedziała w kuchni z Wasilisą i Heleną, płakała, potem z czegoś się śmiała, wypila dwa czajniki herbaty. Umówiły się, że na razie zostawi Tomę tutaj w mieście, a jak upora się z wieńcami, to ją zabierze. Przez cały czas ich rozmowy Tomą, skulona, trzymając oburącz swoje zimowe palto i spakowaną szkolną teczkę, stała w korytarzu, oczekując na decyzję.

Późnym wieczorem, gdy wszyscy się rozeszli, Tomą zakradła się do izdebki Wasilisy

\* ze służbą czuła się jednak swobodniej, aniżeli z pozostałymi członkami rodziny, łącznie z Tanią.

Toma zaglądała w jedyne widzące oko Wasilisy i ciągnęła ją za poję:

\* Ciociu Wasiu, ja mogę szorować podłogi i prac... i w piecu palić... Ja nie chcę być u Fieni, u niej tam pełno ludzi...

Wasilisa przygarnęła jej głowę do siebie:

\* Jaki z ciebie głuptas! Pieca u nas nie ma, podłóg się nie myje. Przychodzi człowiek i froteruje. Ale nie bój się, zajęć w domu wystarczy dla wszystkich...

Helena, zaabsorbowana pogrzebem, jakoś zapomniała o zapowiedzi odejścia

Wasilisy. Kłótnia z mężem w ciągu tych ostatnich dni jakby ostygła i pokryła się z wierzchu jakąś skorupą. Prawie ze sobą nie rozmawiali, jedynie z konieczności, gdy chodziło o jakieś sprawy domowe. Pierwszego wieczoru, kiedy u nich w domu zjawily się dzieci Połosuchiny, jeszcze przed kłótnią, Helena rozłożyła pościel dla męża na kanapie w jego gabinecie, a Tanię zabrała do siebie do sypialni \* wtedy to nie była jeszcze oznaka kłótni, ale zwyczajna konieczność: inaczej nie było gdzie położyć trójki obcych dzieci. I tak to trwało przez cały tydzień, do dnia pogrzebu Lizawiety.

Gdyby nie ta konieczność, być może, Paweł Aleksiejewicz znalazłby jakieś słowa czy gesty łagodzące obrazę, żona popłakałaby na jego szerokiej, owłosionej piersi, upewniwszy się co do mężowskich uczuć i wszystko potoczyłoby się zgodnie ze zwykłym porządkiem.

Nazajutrz po pogrzebie Helena zastała z rana w kuchni Wasilisę w jedwabnej chustce, podarowanej jej na Boże Narodzenie i w nowych pantoflach... Siedziała wyprostowana na krześle, nieopodal stała mała fibrowa walizka i leżał spory węzeł z bielizną i poduszką.

Helena usiadła obok i zaczęła płakać. Wasilisa opuściła na dół swoje jedyne widzące oko, ściągnęła usta, skrzyżowała ręce na piersi jak przed komunią. Milczała.

\* No i dokąd ty, Wasieńka? \* Helena nie spodziewała się u Wasilisy takiej stanowczości.

\* Skąd przyszłam tam i pójdę \* surowo odparła Wasilisa. \* Bóg z tobą, Heleno.

Wasilisa patrzyła teraz prosto. Jedno oko miała białe, drugie niebieskie. Spojrzenie nie było przyjemne.

„Czyżby nas w ogóle nie kochała?” \* przeraziła się Helena. Wyjęła z torebki pieniądze, jakie miała przy sobie i w milczeniu podała Wailisie.

Wasilisa skłoniła się, zabrała swoje rzeczy i wyszła... Tak po prostu. Jakby nie przeżyła razem z Heleną dwudziestu lat. Zniknęła, nie pożegnawszy się z Tanią, ani z Pawłem Aleksiejewiczem. Nawet się nie obejrzała.

11.

Wasilisa doskonale wiedziała skąd przyszła i dokąd pójdzie: z ziemi do ziemi.

Mówiąc językiem współczesnym, miała świadomość kogoś delegowanego, kto ma obowiązek wykonać poleczone mu zadanie i wrócić do miejsca stałego zatrudnienia.

Okoliczności jej ziemskiego życia od chwili urodzenia były takie, że jej rodzona matka mówiła o swojej nieoczekiwanej, późno przybyłej na świat córce: nieszczęsne biedactwo.

Starsi od niej brat i siostra, którzy dożyli dorosłego wieku i nie zniknęli w ziemi w niemowlęctwie, jak sześcioro czy siedmioro dzieci \* matka Wasilisy nie pamiętała dokładnej liczby \* zakopanych na wiejskim cmentarzu, dawno opuścili rodziców i wyjechali. Siostra Dusia była służącą gdzieś w Moskwie, a brat Siergiej ożenił się w sąsiedniej guberni.

Pierwsze nieszczęście przydarzyło się Wailisie bardzo wcześnie. Miała zaledwie dwa lata, gdy jedyny w rodzicielskim gospodarstwie kogut, niepokaźny, pozbawiony głosu, podskoczył i dziobnął ją w oko. Dziewczynka zapiszczała, ale nikt tego nie zauważył. Zaczęło pojawiać się bielmo i przed ukończeniem przez nią siedmiu lat całe oko pokryło się białawą błonką.

Rodzice Wasilisy biednieli z roku na rok, chorowali, a gdy Wailisie szedł już jedenasty rok, ojciec zmarł. Matka przebiedowała cały rok, po czym przeniosła się wraz z córką do starszego syna, który miał piękne gospodarstwo pod Kozielskiem. Jego rodzina odniosła się do nich jak do dodatkowych gąb do wyżywienia,

umieszczono je w starej łaźni, do stołu nie zapraszano. Wasilisa z matką pracowały w ogrodzie, karmiły się tym, co tam rosło, Siergiej przynosił im chleb w dni świąteczne albo gdy sobie łyknął wina i miał dobry nastrój.

O około czterdzieści wiorst od tego miejsca znajdował się chylący się już nieco ku upadkowi znamienity erem, Optina Pustyń. W tym czasie sprawy duchowe przekształciły się w pewnej mierze w popytany towar, było to szczególnie korzystne dla właścicieli zajazdów, traktierni, nie mówiąc już o klasztorach noclegowych. Z całej Rosji przyjeżdżały czy też przychodziły pieszo tysiące ludzi wszystkich stanów. Jedną z takich pielgrzymich dróg przechodziła również przez wieś, w której mieszkał brat Wasilisy. Ale on nie należał do tych sprytnych ludzi, którzy potrafili wyciągać zysk z korzystnego położenia swojej siedziby, wręcz przeciwnie, stale drażnili go najbiedniejsi pielgrzymi, którzy albo prosili o nocleg, albo żebrali, albo też nieraz potrafili ukraść coś po cichu. Przeważającą ilość w tym pielgrzymim potoku stanowili żebracy, półżebracy, zakonnicy i półzakonnicy \* ich wszystkich Siergiej nienawidził, uważał za hałastrę i zbiorowisko próżniaków. Sam nigdy nie był w sławnym miejscu, do wiejskiej cerkwi udawał się trzy razy do roku i ze wszelkich cerkiewnych przykazań przestrzegał jednego \* w wielkie święta nie pracował.

Wasilisa bała się brata, nigdy z nią nie rozmawiał. Jedynie od matki wiedziała, że w młodości Siergiej był pierwszy do śpiewania, do tańca, był też bardzo urodziwy, a usposobienie zmieniło mu się, kiedy dziewczyna, w której się zakochał, dała mu kosza. Matka litowała się nad nim, ale on sam nad nikim nie miał litości: ani nad swoją niesympatyczną żoną, ani nad własnymi dziećmi, ani tym bardziej nad jedyną Wasilisą. Zimą matka się przeziębila i umarła. Wasilisa znalazła się w dużej rodzinie, dla której stanowiła tylko zawadę.

Niedługo po śmierci matki sąsiadka zabrała Wasilisę na uroczystość do klasztoru Optina Pustyń. Wasilise zanim doszła, nogi odmawiały posłuszeństwa, ledwie stała przez całe długie klasztorne nabożeństwo, nie odczuwając ani radości, ani ulgi. Ale za to w drodze powrotnej stał się z nią jakiś cud, chociaż opisać go prawie nie sposób, tak był skromny i mało znaczący, akurat taki jak sama Wasilisa.

Współtowarzysze jej podróży postanowili odpocząć, ona położyła się w gęstych zaroślach leszczyny gdzieś o dziesięć metrów od drogi i zasnęła. Nie spała długo, zbudziły ją głosy, wzywające do dalszej drogi. Podczas gdy spała, szary, pochmurny dzień się przejaśnił i gdy spojrzała, akurat chmury się rozeszły i szeroki, potężny promień słońca przez dziurę w chmurze padł na polankę przed nią, formując na ziemi świetlisty krąg... I to było wszystko, cały cud. Wasilisa wiedziała jednak, że ten krąg to sam Jezus Chrystus, żywy, kochający ją. Była też w pełni przekonana, że to cudowne zjawisko widziała obu oczami, na tyle obraz był plastyczny i nie przypominał niczego, co oglądała dotąd.

Płakała przez całą drogę, pocziwa sąsiadka sądziła, że dziewczyna obtarła sobie nogę. Zdjęła więc z głowy chustkę i poleciła Wasilisie, by obwiązała nią stopę. Wasilisa nie oponowała. Okręciła nogę i przez całą drogę szła kulejąc, ponieważ łąpeć stał się za ciasny i uciskał boleśnie.

Zimę Wasilisa przeżyła jakoś tam u brata, a na wiosnę brat wyprawił ją do Moskwy, do siostry Dusii. Dusia chciała jej pomóc i znaleźć jakieś zajęcie. Umówiła się, że przyjmą ją na uczennicę do pracowni bielizniarskiej na Małej Nikitskiej, którą prowadziła litościwa kobieta, Niemka, Liselotta Michajłowna Klotzke. Gdy zobaczyła bielmo na oku Wasilisy, pojęła, że z dziewczyny z jednym okiem nie będzie dobrej szwaczki. Kobiety z obojgiem oczu w ciągu dwudziestu lat pracy psuły sobie wzrok. Ale nie odmówiła od razu i pozwoliła Wasilisie zacząć się uczyć.

Chociaż Wasilisa miała dopiero czternaście lat, jej palce zgrubiały na skutek życia i pracy na wsi, drobne igły, cienkie nici nie trzymały jej się w rękach. Wtedy przesunięto ją do prasowania, ale i to nie było dla niej proste. Inne dziewczyny maleńkimi, parowymi żelazkami prasowały fałdki, aż te robiły się sztywne i ostre niczym liście turzycy, omal że palec można było skaleczyć, a u Wasilisy co i rusz fałdki zaprasowywały się krzywo i trzeba było na nowo je zwilżać, podsuszać... Widząc, że nowa kandydatka przy całej swej gorliwości nie wykazuje się zdolnościami do robót ręcznych, właścicielka powierzyła jej sprzątanie pracowni.

Wasilisa nie dostrzegała brudu, trzeba jej było wszystko wskazać palcem, ale za to,

gdy już się upewniła, gdzie trzeba posprzątać, szorowała nie tylko do czysta, ale do upadłego... Nie wiedziała wprawdzie o takich najprostszych sprawach, że miotłę należy zamoczyć, a podłogę spryskać, zanim zacznie się zmiatać. Ale skąd miała wiedzieć, całe swoje życie spędziła na klepisku. Gdy ją o tym pouczono, spryskała podłogę tak obficie, że potem nie wystarczyło zamieść miotłą, trzeba było wodę zbierać szmatą. Tak, że i przy tej robocie okazała się mało użyteczna.

Nie mogła więc trzymać Liselotta Michajłowna Klotzke Wasilisy w pracowni, ale nie chciała jej wyganiać, żal było, dlatego postanowiła poradzić się swojej dawnej gimnazjalnej koleżanki, Jewgieniji Fiodorowny Nieczajewej. Zaprowadziła Wasilisę do Nieczajewej na Triochprudnyj zaułek. Było w Wasilisie tyle bezradnej potulności, że obie stare kobiety nie mogły o nią się nie zatroszczyć.

Przy dość wysokim wzroście, długich nogach i cienkiej talii, Wasilisa miała przykrótkie ręce, a mocne i grube dłonie stale trzymała złożone na piersi. Twarz podługowata, spojrzenie smutne i surowe, cienki nos, też wydłużony, cera smągła, różowa, tak gładka jak emaliowana... Słowem nie jakaś chłopska mordka, a bizantyjskie oblicze.

\* Szczególna twarz \* powiedziała Liselotta do Jewgieniji, gdy Wasilisa pożywiała się w kuchni \* zupełnie nierosyjska. Interesująca. Szkoda, że biedactwo, straciła oko... Pomyśl, Żeniu, do czego dałoby się ją przyuczyć, jest bardzo staranna, ale do mojej roboty się nie nadaje. Myślę że i służącą nie potrafiłaby być...

Przy kawie dawne przyjaciółki zdecydowały, że poproszą o pomoc jeszcze jedną koleżankę z ich klasy, Anieczkę Tatarinową, która zaraz po ukończeniu gimnazjum straciła narzeczonego, wstąpiła do zakonu i już od kilku lat jest przeoryszą w małym żeńskim klasztorze w N\*skiej guberni.

Wasilisa została na razie w domu Jewgieniji Fiodorowny. Po tygodniu trafiła się okazja: znajoma rodzina wybierała się w odwiedziny do przeoryszy. Poproszono ją o zabranie Wasilisy. Wasilisę zaopatrzone w list do przeoryszy Anatoliji, byłej Anieczki, napisany przez obie szkolne koleżanki. W liście zawarta była prośba o zajęcie się losem biednej sieroty. To sformułowanie „zajęcie się losem” trafiało się już po raz trzeci



i dziwnym zbiegiem okoliczności każdy z proszących nie doznawał zawodu... Pojechali pociągiem, dla Wasilisy też kupiono bilet do wagonu z przedziałami, posadzono ją na aksamitnej kanapce, którą przez pół drogi gładziła palcami, ciesząc się niezwykle delikatnym dotknięciem. Potem przyniesiono herbatę, również dla niej, ale ona niezgrabnie chwyciła za szklankę i szklanka się wywróciła, parząc jej nogę gorącym płynem. Ból na skutek oparzenia był niczym w porównaniu ze strachem, który ją ogarnął: szklanka się rozbiła... Uspokajali ją towarzysze podróży, ale ona siedziała zeszywniała, jak by to nie była szklanka, ale jakaś żywa istota, którą unicestwiła.

Pod wieczór przyjechali do N., pięknie ośnieżonego starego miasta, przenocowali w hotelu przy placu dworcowym i znów biedna Wasilisa aż omdlewała od niespotykanych cudowności. Na noc umieszczono ją razem z inną dziewczynką, wyglądającą nie całkiem po pańsku, ale i nie po wiejsku, i wskazano łóżko z tak białą bielizną, że Wasilisa bała się zabrudzić sobą poduszkę... Te wszystkie wspaniałości nie cieszyły jej, a przerażały...

Nazajutrz z rana wszyscy się zebrali i w dwie pary lubianych sań wyruszyli w dalszą drogę. I sanie, i konie były paradne, zupełnie niepodobne do tych ze wsi u brata. Jazda saniami była czymś, do czego się przywykło i była o wiele przyjemniejsza od pociągu. Klasztor znajdował się w odległości około dwudziestu wiorst, pogoda najlepsza z możliwych podczas zimy \* niewielki mróz szczypał nieco w nosie, a przygrzewające słońce oślepiło wzrok. Była akurat wigilia Święta Ofiarowania Pańskiego.

Konie biegły po ubitej drodze parskając wesoło, jak gdyby i im słońce przynosiło radość. Oparzone kolano mocno dokuczało, ale podniecenie Wasilisy było tak silne, że ból istniał jakby poza nią.

Za zakrętem ukazał się klasztor, stał na wzniesieniu niczym kutia na półmisku, cały w połyskującym, białym śniegu, sam też biały ze złotymi kopułami i prześwitującą dzwonnica, zręcznie wyrzeźbioną na jasnogranatowym, stężalym niebie... Na widok tego niespodziewanego piękna odrętwienie ustąpiło natychmiast i Wasilisa się rozpląkała. Łzy ciekły z obojga oczu. Lewe oko widzieć nie mogło, ale płakać

potrafiło...

Sanie zatrzymały się przed zamkniętymi wrotami. Wyskoczyła odźwierna, zamachała rękami, uśmiechnęła się: byli oczekiwani.

\* Tam w domu, w domu wam przygotowano... Matka\*przeorysza czeka na was już od wczorajszego wieczoru.

Odwiedzających umieszczano zazwyczaj w małym klasztorным domu noclegowym, ale ludzi bliskich, jak ta, tylko co przybyła rodzina i kilku innych krewnych, przeorysza lokowała w swoim skromnym domku obok cerkwi.

Kilkuletnia dziewczynka, gdy tylko wydostała się z sań, poprosiła o kisiel.

Odźwierna pogładziła ją po futrzanym kapturku:

\* Idź, dziecinko, idź do refektarza, matka\*przełożona kazała tam dla was zostawić kisiel i chleb...

Ale w tej chwili wyszła na ganek niewysoka, szczupła kobieta w czarnym aksamitnym kapturze i w luźnym płaszczu z grubej wełny. Wszyscy umilkli, nawet wiercąc się, rozpieszczona

dziewczynka. Wasilisa zorientowała się: to właśnie była matka\*przeorysza...

Przyjezdni, zabrawszy ze sobą Wasilisę, ustawili się gęsiego wzdłuż wąskiej, oczyszczonej ze śniegu ścieżki, prowadzącej do ganku. Wasilisa była ostatnia w tej kolejce. Przeorysza, witając się z krewnymi, prawie fizycznie odczuła dreszcz przerażenia, jaki emanował z biednie ubranej, jednookiej dziewczynki, ze złożonymi na piersi krótkimi rękami o zgrubiałych, czerwonych dłoniach.

Prawdopodobnie przywieźli ze sobą nową służącą \* pomyślała matka\*przełożona i wezwała dziewczynkę, by się zbliżyła. Jasne, widzące oko Wasilisy przymknęło się ze strachu, drugie świeciło bielmem. Przeorysza zdjęła z rąk czarne, grube, miękkie rękawiczki i podała je Wasilisie. Wasilisa niezgrabnie upuściła je na śnieg.

Siedmiolatka, stojąca obok, zaśmiała się, kryjąc twarz w futrzanym kołnierzu.

Tak więc jeszcze przed przeczytaniem listu polecającego ksieni z całą serdecznością zgodziła się na przyjęcie Wasilisy. Wasilisa rozpoczęła swoje zakonne życie mając czternaście lat, przez pierwsze dwa lata była robotnicą, potem stała się nowicjuską. Nowicjat polegał głównie na pracy w gospodarstwie: w kuchni, w oborze, na polu.

Próbowano dla niej i innych zajęć, ale do śpiewania w chórze nie miała dobrego głosu, do robót hafciarskich brakło jej zdolności. Tak jak poprzednio, uważała siebie za marną istotę, mało znaczącą, nie zasługującą nawet na jedzenie, które spożywała. To właśnie najbardziej wzdurzało przeoryszę, tak że w trzecim roku jej pobytu w klasztorze zajęła się bliżej nowicjuską, która w oczach innych nie posiadała żadnych zalet.

Przeorysza zaczęła uczyć Wasilisę czytania, najprzód po rosyjsku, potem po staro\*cerkiewno\*słowiańsku. Nauka przychodziła Wasilisie z wielkim trudem. Matka Anatolija, wiedząc, że przez całe życie wadą jej był brak cierpliwości, ćwiczyła się w pokorze, ucząc miłą, ale wyjątkowo niezdolną dziewczynę. Codziennie jedną godzinę zaraz po porannym nabożeństwie

Wasilisa spędzała na pokojach matki\*przełożonej. Kładła na krawędzi stołu niebieski zeszyt i patrzyła na matkę Anatoliję wzrokiem pełnym oddania i strachu. Przeorysza, mająca zamiłowanie do pracy umysłowej, którą zresztą sama uważała za grzeszną zabawę, od młodości posługująca się kilkoma językami, zdumiewała się dziwną różnorodnością cech ludzkich. Wasilisa niewątpliwie przedstawiała sobą szczyt niepojętności, żeby nie powiedzieć tępoty. Matka\*przełożona przedtem nie mogła sobie nawet wyobrazić, ile razy człowiek może powtórzyć ten sam błąd, zanim nauczy się prawidłowo pisać lub wymawiać dane słowo.

\* Wasiliso, co znaczy słowo „dziś”? \* matka Anatolija zaczynała zajęcia od tego pytania.

Wasilisa kierowała swoje jedyne oko ku pułapowi i niepewnie, po raz pięćdziesiąty powtarzała jedno i to samo:

\* Gdzieś?

Przeorysza przecząco kiwała głową.

\* Kiedyś? \* czerwieniła się w popłochu uczennica.

\* „Dziś” znaczy w tej chwili, teraz, tutaj... „Dziewica dziś Najprawdziwszego Boga rodzi...” \* powtarzała nauczycielka któryś raz, odganiając rozdrażnienie krótką modlitwą.

A Wasilisa z radością przytakiwała, by nazajutrz znowu z trudem szukać na niskim,

pobielonym pułapie odpowiedzi na pytanie, co znaczy „dziś”...

Przeoryszy, obserwującej powolność i ociężałość w jej myśleniu, wydawało się czasami, że ma do czynienia z jakimś niedorozwojem umysłowym. Spędziwszy do tej pory prawie dwadzieścia lat w klasztorach, wiedziała, że niedorozwój pod względem umysłowym, fizycznym czy duchowym jest zjawiskiem niezmiernie rozpowszechnionym, a człowiek w pełni zdrowy raczej stanów wyjątek od żalosnej reguły powszechnego, ogólnoswiatowego chorobliwego stanu.

W swojej nowej podopiecznej zauważała oprócz ociężałości umysłu niezmożoną ciemnotę i przywiązanie do najdzikszych zabobonów. Domyślała się, że w jej rzadko spotykanym uporze

kryje się szczególny rodzaj dążenia do określonego celu \* jak u rośliny, która wysyła swoje korzenie w dół, a liście w górę i zmienić tego nawyku nie sposób. Ale wszystkie te ujemne właściwości wynagradzały u Wasilisy jej rzadkie cnoty, które odkryła w niej matka\*przełożona. W duszy tej opóźnionej w rozwoju dziewczyny było nieustające źródło wdzięczności, pamięci o każdym, wyświadczonym jej dobru i puszczania w niepamięć każdej krzywdy. Było to dziwne, ale krzywdy i wszelkiego rodzaju obelgi, jakie ją spotykały, Wasilisa traktowała jako zasłużone.

W życiu klasztornym \* przeorysza wiedziała o tym od dawna \* kryły się niesłychane możliwości gnębienia, przemocy i grzechu. Wszystko to były szczególne, klasztorne grzechy,

o których ludzie świeccy, pochłonięci staraniami o chleb powszedni, nie mieli pojęcia. W klasztorze stosunki między ludźmi zyskują o wiele większe znaczenie i przybierają znacznie ostrzejsze formy. Sympatie i antypatie, zazdrość, zawiść, nienawiść duszą się w kleszczach obowiązujących surowych reguł postępowania. Przeorysza orientowała się też świetnie, że z Wasilisy inni się śmieją, obrażają ją, poniewierają, ale nigdy nie słyszała jednego słowa skargi od głupekowatej nowicjuszki, zawsze była to tylko wdzięczność. Matka Anatolija, sięgająca swoim doświadczonym wzrokiem w głąb jej nieskomplikowanego wnętrza, podziwiała, jakim istnym cudem była ta jednooka dziewczyna, nie obdarzona urodą ani zdolnościami, ale tak szczerze rzadką cechą okazywania wdzięczności. „Pokorna

dusza" \* uznała przeorysza

i przeniosła Wasilisę do grona sióstr jej posługujących.

Teraz Wasilisa sypiała w sieni, pod samymi drzwiami do pokojów matki\*przełożonej, na wąskiej ławce i przez pierwszy okres budziła się w nocy co dziesięć minut, niczym matka karmiąca, której się wciąż wydaje, że dziecko zapłakało. Obudziwszy się, rzucała się ku zamkniętym drzwiom przeoryszy, przewracając po drodze wiadro na pomyje lub rozrzucając stos drew na opał \* kaflowy piec w pokojach przeoryszy miał palenisko od strony sieni. Często budziła przeoryszę, która od młodości miała lekki, niespokojny sen. Ta uczyła Wasilisę, że skoro się budzi z uczuciem trwogi, to powinna najprzód odmówić trzy razy „Zdrowaś Mario”, a dopiero potem wstawać. Ale Wasilisa otrząsała się ze swego wiejskiego snu zazwyczaj już pod drzwiami przeoryszy, przestraszona spowodowanym przez siebie hałasem i dopiero wtedy przypominała sobie o poleceniu matki\*przełożonej...

Przy swoim ciężkim pomyślunku i niezdarności Wasilisa nauczyła się jednak i zmiatać kurz pstrym kurzym skrzydłem, i myć okna do brylantowego blasku, i nawet parzyć herbatę „po pańsku”.

W czwartym roku pobytu Wasilisy w klasztorze zmarł stary kapłan, batiuszka\*spowiednik, który wiele lat przeżył w tym miejscu. Pojawił się nowy kapłan zakonny Warsonofij. Jeśli chodzi o wiek, był młody, trochę po trzydziestce, wyglądał jednak staro: pofałdowane powieki nad ciemnymi, bizantyjskimi oczami, szarożółta skóra, wąskie wargi... Miał solidne przygotowanie, pozostawał w zakonie od młodych lat \* właśnie z takich ludzi wyrastali cerkiewni hierarchowie.

Ojciec Warsonofij wykładał w gubernialnym Seminarium Duchownym historię kościoła i liturgikę, w klasztorze bywał co jakiś czas, opuszczając tydzień czy dwa, jeśli trafiał się trudniejszy semestr. Przeorysza odnosiła się do niego z uwagą, nawet z szacunkiem i on, zazwyczaj zamknięty w sobie i małomówny, często z nią rozmawiał przy herbacie. Niezależnie od znacznych różnic pod względem pochodzenia i wychowania, matka Anatolija, wykształcona arystokratka, zbliżyła się z ojcem Warsonofijem, synem robotnika kolejowego i wieśniaczki. Oceniała wysoko nowego kapłana: nie często bowiem w zakonnym środowisku spotykało się człowieka,

interesującego się życiem za murami klasztoru.

Matka\*przełożona zachowała swoje świeckie upodobania: czytała świeckie książki, przyjaciółki przysyłały jej literackie czasopismo, w kręgach kościelnych uważano ją za osobę radykalną \* zawsze zachwycała się Filaretem z Moskwy, była zwolenniczką przekładu Biblii na język rosyjski, co znaczyło \* według opinii niektórych zwierzchników w kościele \* niepełne do niej zaufanie, jeśli chodziło o podejście do luterani^mu...

Młody kapłan w tym czasie wyznawał znacznie surowsze poglądy, na żadne ukłony w stronę luteranizmu nie pozwalał, wobec katolików był nieprzejednany, a pilnie śledząc nowe prace z dziedziny teologii, szczególnie negatywnie oceniał Władimira Sołowjowa i był jego wielkim przeciwnikiem.

Wasilisa, usługując do stołu, stawała się mimowolnym stałym świadkiem ich rozmów. Zebrawszy naczynia po herbacie, siadała na ławie u drzwi i zamierała od uczonych rozmów, nie mogąc się nadziwić, dlaczego Pan Bóg doprowadził ją do takiego godnego pozazdroszczenia, dostatniego, świętego miejsca... Dobrze pamiętała pracę nad siłą od samego dzieciństwa, darcie w rękach i w plecach, stały ból żołądka, na który cierpiała zanim nie trafiła do klasztoru, głód, a najważniejsze \* zimno, które nie opuszczało jej przez długie lata, z małą przerwą na szybko mknące dni lipca\*sierpnia...

Ostatniego lata przed wybuchem wojny ojciec Warsonofij opuścił klasztor na trzy miesiące \* pojechał na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Podczas gdy przebywał w Palestynie, rozeszła się wiadomość o rozpoczęciu wojny, ostatnim statkiem zdążył więc wrócić do kraju. Przyjechał pod wielkim wrażeniem, jakie wywarły na nim świątynie, jezioro Genezaret, które obszedł dookoła, odprawiając modły w każdym ze świętych miejsc, zachowujących od czasów starożytnych głównie swoją nazwę geograficzną...

Wasilisa, siedząc u drzwi, drętwiała z wrażenia: na własne oczy widziała tego, kto z kolei sam widział Jezioro Galilejskie, ruiny synagogi w Kafarnaum, gdzie przebywał Pan Jezus... Te oddalone i znane z ksiąg sprawy nabrały materialnego wymiaru i swoistego zapachu. Zapach zresztą, zalatujący od samego zakonnika, był wciąż ten

sam: woń niezbyt często mytego ciała, zmieszana z kadzidłem, którym nasycona była jego odzież,

wilgocią i zapachem pastylek od męczącego bólu zębów, które żuł nieustannie.

Wasilisa ukradkiem wyciągnęła z jego długiego podróżnego pałta starą nitkę, oskrobała podeszwy kaloszy, w których odbywał pielgrzymkę i zawinawszy to wszystko w srebrzysty papierek, chroniła jak świętość. Nawet do samej siebie zaczęła się odnosić z pewnym szacunkiem, jak do osoby, która widziała tego, co widział Ziemię Świętą...

Tak siadując przy drzwiach niczym zaczarowana mysz, Wasilisa przez następne dwa lata dowiedziała się o przebiegu historii Rosji: o nieudanych działaniach wojennych, o zrzeczeniu się tronu przez cara... Tutaj też na swojej ławie usłyszała o przygotowaniach do Soboru i ewentualnym wyborze patriarchy, i o dokonanej rewolucji...

Latem siedemnastego roku ojciec Warsonofij został wezwany do Moskwy. Nie zapomniał jednak o przeorysży, od czasu do czasu pisywał listy. Na początku osiemnastego roku przez okazję przysłał długi list, w którym opisał jesienne wydarzenia w Moskwie i w Petersburgu, wybory patriarchy i swoje usługiwanie nowo wybranemu Tichonowi w świątyni NikołaWorobjewskiej. Pobieźnie wspomniął o tym, że poprzedniego dnia został konsekrowany na biskupa. Tą ostatnią wiadomością przeorysza podzieliła się z Wasilisa.

\* Apostoł jest ważniejszy od biskupa? \* zapytała Wasilisa, sztywniejac z powodu swego zuchwalstwa.

\* Apostoł jest ważniejszy, dziecinko \* zmęczonym głosem odparła matka\*przełożona i któryś już raz zdziwiła się, że takie dziecinne pytania przychodzą Wasilisie do głowy.

Po kilku miesiącach matka Anatolija otrzymała od nowego biskupa gruby pakiet, w którym oprócz listu znajdowały się wydrukowane na lichym papierze, z dziwaczną ortografią informacje o rewolucyjnych przeobrażeniach.

Przeorysza nie potrafiła zrozumieć pełnego sprzeczności, nedorzecznego sowieckiego języka, chociaż uważnie prześledziła teksty za pomocą małych

okularów, zawieszonych na czarnym sznurku. W liście, napisanym dużymi, wykaligrafowanymi literami przeczytała między innymi: „Zaczynają się ostre prześladowania. Będziemy świadkami tych wydarzeń. Radujcie się!”.

Nazajutrz przeorysza osobiście wybrała się do arcybiskupa w N. po wyjaśnienia. Od niego dowiedziała się najnowszych wiadomości: o dekreście o oddzieleniu cerkwi od państwa, o zamieszkach w Piotrogradzie, o zabójstwie duchownego Piotra Skipietrowa i metropolity Władimira...

\* Zamkną wszystkie klasztory \* szepnął władyka, błogosławiąc przeoryszę na progu. Matka\*przełożona przeraziła się, nie całkiem w to uwierzyła, ale po powrocie zaczęła likwidować swoje gospodarstwo, przygotowywać klasztor do nieodgadnionych i oczywiście niezbyt radosnych zmian, których się spodziewała. Nie mogła jednak przewidzieć rozmiarów nadciągającego nieszczęścia. Coś niecoś zdążyła zrobić. W duchu ewangelicznym rozdała w pełnej tajemnicy posiadane zapasy chłopom, z wielkim namysłem pozostawiając w klasztorze tylko to, co niezbędné. Kazała w ołtarzu pod stołem ofiarnym urządzić skrytkę i postawiła tam okuty żelazem kufer ze świętymi przedmiotami. Cenne klasztorne archiwum wysłała przez umyślnego do biblioteki diecezjalnej. Z myślą o zamknięciu klasztoru zdołała się już jakoś pogodzić, ale tego, że zostanie również zamknięta starodawna cerkiew, nie mogła sobie wyobrazić.

Zebrała też nowicjuszki i zakonnice i zaproponowała, by zanim nastąpią ciężkie prześladowania, opuściły klasztor. Cztery nowicjuszki wróciły do domów rodzicielskich, ale zakonnice postanowiły pozostać. Przeorysza oświadczyła im, że czasy się zmieniły, że wielu będzie cierpiało za własne grzechy i grzechy bliźnich, że dla większości droga prowadzi przez zachowanie pokoju i żyjąc w pokoju niech będą siostrami dla siebie nawzajem, oddanymi bez reszty Chrystusowi.

Niczego więcej matka Anatolija zdziałać już nie zdążyła. Zabrano ją na kilka dni przed zamknięciem klasztoru. Zawieziono do więzienia w N. Wasilisa poprosiła, by mogła jechać z nią

razem i władze, pełne miłości do człowieka, wyraziły zgodę. Przeorysza szykowała się na najgorsze, ale zakomunikowano jej, że zostaje zesłana na trzy lata do guberni



Wołogodzkiej. Po tygodniu Wasilisa, przejawiając niespotykaną u niej bystrość, pojechała do klasztoru, zebrała tam resztki z gospodarstwa przeoryszy: dwie porcelanowe filiżanki, spirytusową maszynkę do kawy, trochę bielizny pościelowej, pocerowanej wzdłuż i w poprzek, i nawet poszewkę z monogramem matki\*przeoryszy, wyhaftowanym w pracowni Lisełotty Michajłowny Klotzke w zamierzonych czasach. Z tym dobytkiem więc wyjechały.

Podróż, co dziwne, była raczej przyjemna, w wygodnym wagonie, z czterema duchownymi: dwoma wiejskimi popami, którzy nie wiadomo czym narazili się nowej władzy, diecezjalnym bibliotekarzem i samym władzą, jeszcze niedawno uprzedzającym przeoryszę o możliwym zamknięciu klasztoru. Obstawę dla nich stanowił jeden jedyny czerwonoarmista, chłopak ze wsi, który nie zdążył przesiąknąć w pełni duchem rewolucyjnym. Do „przestępców” odnosił się z niewyżbytem jeszcze szacunkiem, należnym ich godności...

Trzy lata przekształciły się dla Wasilisy i matki\*przełożonej w lat jedenaście. Jedenaście surowych, wyczerpujących i bohaterskich lat dla starej przeoryszy i błogosławionych dla Wasilisy. Teraz, w znanych jej warunkach wiejskich, Wasilisa stała się dla nieprzygotowanej do takiego życia zakonnicy karmicielką, opiekunką, aniołem\*stróżem. Trzy razy zmieniano im miejsce osiedlenia, za każdym razem zsyłając coraz dalej na północ, aż wreszcie wygnano je do Kargopola, miłego, drewnianego miasta, gdzie matka Anatolija w końcu umarła, w siedemdziesiątym ósmym roku swego życia.

Na kilka dni przed śmiercią matka Anatolija w pożegnalnym słowie poleciła Wasilisie, żeby po jej pogrzebie nie zostawała w Kargopolu, a pojechała do Moskwy, do Jewgieniji Fiodorowny Nieczajewej na zaułku Triochprudnym. Pobłogosławiła i kazała niczego się nie bać. Wasilisa wykonała wszystko zgodnie z jej poleceniem: pogrzebała matkę Anatoliję, odczekała czterdzieści dni i pojechała. Miała ze sobą czerwoną, aksamitną sakiewkę z dwoma carskimi czerwonościami \* spadkiem po matce Anatoliji i srebrny papierek ze świętymi dla niej pamiątkami z Palestyny.

Na zaułek Triochprudnyj trafiła w końcu grudnia. Została przyjęta przez Jewgienię Fiodorownę. W Komitecie Domowym zasiadali jeszcze ludzie, pamiętający starego

budowniczego Nieczajewa. Jeden z takich pamiętliwych za dwa czerwonce wpisał jednooką inwalidkę Wasilisę do księgi domowej. Aksamitna sakiewka ze świętościami pozostała jej na pamiątkę.

Od tamtej pory Wasilisa żyła więc w rodzinie Jewgieniji Fiodorowny, z Heleną, a później przybył Anton Iwanowicz. Służyła, tak jak przywykła od rana do nocy, nie pozostawiając dla siebie ani okruszyny myśli, czasu, ani chwili odpoczynku. Służyła z początku Jewgieniji Fiodorownie, potem Helenie, Tani i wszystkim, których uważała za swoich dobrodziejów.

Miała tylko jeden dziwny zwyczaj: ze dwa razy do roku, pierwszy raz zwykle na wiosnę, po Wielkanocy, porzucała wszystko i znikła na tydzień albo i na dziesięć dni. Nie uprzedzając nikogo, niczego nie wyjaśniając...

\* Nasza Wasilisa zamarzyła o swobodzie \* żartował Paweł Aleksiejewicz.

To był jedyny zbytek, na jaki sobie pozwalała: wyjazd, dokąd ciągnęło jej duszę, do drewnianego miasta Kargopoł, na grób Anny Tatarinowej, mniszki Anatoliji, by tam wszystko wysprzątać, pomalować i porozmawiać z nią \* jedynym, bliskim jak rodzony, człowiekiem. Wszyscy inni byli dalecy, obcy...

12.

Zajęcia w szkole się skończyły, ustąpiły też przedwczesne upały. Przeszły chłodne deszcze. Trzeba było zbierać się do wyjazdu na daczę. Wasilisa, nie ulegając namowom Heleny, wyjechała i Helena czuła się kompletnie zagubiona \* całe życie bez Wasilisy się pokrzywiło, nie mówiąc już o przygotowaniach do wyjazdu. Zwykle wszystko zawczasu, po cichu organizowała Wasilisa, a teraz Helena nie miała pojęcia, ile trzeba zabrać ze sobą makaronu czy nafty, soli, cukru, w czym i jak to pakować...

Toma starała się z całych sił być użyteczna, wszystkim usłużyć, szczególnie Tani. Tania już wcześniej była w jej oczach stworzeniem wyższego rzędu, a teraz kiedy całe dni spędzały razem, czuła przychylność Tani i gotowa była wprost modlić się do niej.

Paweł Aleksiejewicz pojechał na wieś razem z całą rodziną, ale tego lata prawie tam nie przebywał, przyjeżdżał co sobotę. Pouczająca w zamierzeniu kłótnia z żoną, z początku nie wydająca mu się tak istotna, przekształciła się w całkowity rozdźwięk między nimi. Słowa Pawła Aleksiejewicza ojej nie pełnej wartości jako kobiety tkwiły jak zadra w sercu Heleny. Sytuacja okazała się nie do przewyciężenia \* Helena sypiała teraz na kanapce, stojącej na werandzie. Paweł, gdy przyjeżdżał, lokował się na górze w swoim gabinecie. Sypialnia stała pusta. On również czuł się niewymownie upokorzony: Helena swoją wypowiedzią jak gdyby pozbawiła go ojcostwa.

Oboje cierpieli, pragnęli się porozumieć, ale przeproszać nie mieli za co, każde z nich uważało, że miało słuszość i czuło się niesprawiedliwie skrzywdzone. Wzajemne wyjaśnienia nie leżały w ich zwyczaju, zresztą nie potrafili i nie chcieli omawiać intymnych stron życia. Obcość więc wzrastała.

W niedzielne poranki Paweł Aleksiejewicz wstawał wcześniej, budził dziewczynki i zabierał nad rzekę. Tam obie pluskały się aż do obiadu, a Paweł uczył je pływać. Potem wracali, jedli obiad. Toma starała się nie skrobać łyżką w talerzu, używać widelca i nie rzucać się łapczywie na chleb...

Niezależnie od zaistniałego rozdźwięku sprawy rodzinne toczyły się utartą drogą: Paweł przynosił do domu swoje nie policzone pieniądze, Helena odczytywała spisy potrzebujących i wysyłała przekazy i paczki, ale bez Wasilisy ten świąteczny, uroczysty rytuał jak gdyby tracił sens.

Dwa przypadkowe zdarzenia \* kłótnia rodzinna i przybycie do ich domu Tomy \* zbiegły się ze sobą i Helena z głęboko skrywaną niechęcią patrzyła na przypominającą szarą mysz dziewczynkę, ledwie sięgającą Tani do ramienia.

Pod sam koniec lata, jakby nigdy nic, wróciła Wasilisa. Zobaczywszy ją na ścieżce, wiodącej na taras, Helena się rozplakała. Zapłakała też i Wasilisa. Spalona słońcem, prawie czarna na twarzy, była chudsza niż zwykle. Nie wyjaśniała niczego, a Helena o nic nie pytała. Obie były szczęśliwe. Następnego dnia przyszedł list od ciotki Tomy: prosiła, żeby przetrzymać jeszcze siostrzenicę choćby tylko do Bożego Narodzenia. Helena odczytywała list, a Wasilisa kiwała swą wychudzoną twarzą w

takt jej słów. Zamilkły. Potem Wasilisa ugotowała kawę \* to była jej jedyna słabość, jeśli chodzi o jedzenie i w czasie swoich wędrówek, wydaje się, najbardziej właśnie stęskniła się za kawą... Nalała sobie do wielkiego kubka rzadkiego, brązowego płynu i pierwsza rozpoczęła rozmowę, która już od dłuższej chwili wisiała w powietrzu:

\* No i co, trzeba coś postanowić co z Tomka... To nie szczenię ani kociak. Fienia jej nie chce. Albo trzeba oddać do Domu Dziecka, albo zostawić...

\* Ja już o tym myślę \* zasepiła się Helena. Nie miała jakoś serca do tej dziewczynki. Ale wiedziała, że jej serce nie ma tu znaczenia, dziecko przyzwyczało się już do ich domu i nie ma innego wyjścia w tej sytuacji...

\* A ja myślę, trzeba zostawić. Za bardzo jest brzydka \* to była niezrozumiała logika Wasilisy.

\* Wasia, co ty mówisz? \* zdziwiła się Helena. \* Dlatego ją zatrzymać, że nie jest ładna?

\* Ano tak, a komu taka będzie potrzebna? Ni z pierza, ni z mięsa, uczy się ledwie, ledwie. A u nas będzie syta, ubrana, obuta. Dla Tani wszystkiego wystarczy, a tam dalej to Pan Bóg dopilnuje... Nie nasza sprawa...

\* Wychodzi na to, że trzeba przysposobić \* Helena przytaknęła z odcieniem beznadziejności w głosie.

\* A porozmawiaj z nim. \* Od swego powrotu Wasilisa nie wymawiała imienia Pawła Aleksiejewicza, używała formy „on”.

Paweł Aleksiejewicz, jak by to nie było dziwne, decyzję miał już w zanadrzu. Jeszcze wcześniej pomyślał o tym, że należy załatwić stronę formalną opieki nad Tomą.

„Oczywiście, że też sama się nie domyśliłam” \* cieszyła się Helena, która w żaden sposób nie mogła sobie wyobrazić siebie w roli matki mało sympatycznej dziewczynki. Cieszyła się też Wasilisa Gawryłowna, nie wchodząc w prawne zawilości różnicy między opieką a przysposobieniem.

Cieszyła się również Tania. Toma zajęła w jej życiu szczególne miejsce, coś na kształt gadającego pieska, o którego należy się troszczyć. Pod nieobecność Tomy nie brała do ust nawet kęsa, zawsze gotowa była oddać jej wszystko co najlepsze, ale czasami,

zmęczona jej milczącą, nieśmiałą obecnością wymykała się sama, by się pobawić czy odwiedzić sąsiadki. Toma nie obrażała się, ale chodziła za Tanią krok w krok, jakby się bała stracić ją z oczu.

Przed samym wyjazdem z letniska Paweł Aleksiejewicz osobiście zawiadomił Tomę, że zapraszają na pobyt w ich domu, dopóki nie podrośnie i nie zakończy nauki.

\* Dobrze, pobędę \* z godnością przyjęła propozycję Toma.

W głębi duszy była niezmiernie rozczarowana. Chciała bowiem, by Paweł Aleksiejewicz został jej prawdziwym ojcem, jak Tani.

Pod koniec sierpnia nastąpił powrót do Moskwy. Tomka była teraz oficjalnie przyjęta pod opiekę Kukockich i wszystko szło dalej zgodnie ze zwykłą kolejną rzeczy. Jedynie rodzinne szczęście Heleny Gieorgijewny i Pawła Aleksiejewicza znikło i zgasło.

Niezdarne próby ze strony Pawła przywrócenia małżeńskich stosunków nie zakończyły się sukcesem. A szczególnie ostatnia, kiedy to Paweł podczas jednego ze swoich okresów upojenia alkoholowego wszedł w nocy do sypialni, gdzie Lena pogrążona była w swoich samotnych, pouczających snach i nie zwracając uwagi na jej sprzeciw i odrazę, wziął ją siłą i dopiero rano, oprzytomniawszy, przeraził się swego nocnego wyczynu.

Próbował ją przeprosić, ale ona, nie podnosząc głowy, powiedziała jednostajnym głosem bez jakiegokolwiek intonacji:

\* Tu nie ma nic do roztrząsania. Ja tylko proszę, żeby to się nigdy nie powtórzyło.

Widział skręcony kosmyk włosów, zawsze wysuwający się z koka i zwisający jak pętka od czoła w kierunku ucha, widział kość policzkową i koniuszek nosa, i palił się ze wstydu i pożądania. Oddałby w tej chwili bez wahania wszystko, co posiadał, swój nienazwany dar widzenia \* żeby przywrócić pełną szczęścia prostotę i łatwość, z jaką jeszcze niedawno mógł dotknąć wskazującym palcem wgłębienia pod miękkim kokiem z włosów i przesunąć nim od szyi w dół po drobnym kręgosłupie, umieszczonym w równiutkim wyżłobieniu wzdłuż pleców, do lekko wypukłej kości krzyżowej (os sacrum \* kość sakralna... Dlaczego właściwie „sakralna” to właśnie ta?) i dalej rozchyliwszy silnie napięty Musculus glutaeus maximus i ominąwszy delikatnie pofałdowany, pączkowaty zwieracz, wśliznąć się w sekretną fałdę

Perineum, rozsunąć lekko ociężałe Labiun maius, bojaźliwe Labium minor, zastygnać w Yestibulum vaginae, dotknąć atlasowej, wilgotnej, śluzowatej powierzchni \* znał przecież jak nikt całą tę anatomię, morfologię, histologię \* popieścić palcem podługowate ziarenko Corpus clitoridis \* wolne przejście, szpara, palpacja serca... dalej, dalej \* przesunąć go po rzadko owłosionym wzgórku Mons pubis, przekroczyć kosmetyczny, podwójnie szyty szew \* nie wiedział wówczas, że robił to dla siebie \* posunąć w górę do maleńkiego, lejkowatego pępka, przejść pomiędzy rozpostartymi na obie strony, zaostrzonymi ku sutkom piersiami i zatrzymać się w zagłębieniu podobojczykowym, tak by pod dłonią czuć rozchodzące się Clavicula, klamrowo spojone obojczyki...

Zmarszczył się na całej twarzy i aż jęknął \* wszystko minęło, wszystko przepadło. W milczeniu wyszedł z sypialni, przeszedł do gabinetu, wyjął spoza zasłony nową butelkę i wyciągnął korek... Wypił i uśmiechnął się \* to mściła się na nim usunięta dziesięć lat temu chora, zaropiała macica. Gadzina.

Nie do pojęcia było, jak przyszły mu do głowy te niedorzeczne słowa, wypowiedziane w zapamiętaniu i rozdrażnieniu... Co go podkusiło, by jej powiedzieć: „nie jesteś kobietą”? Przecież ona to właśnie szczyt kobiecości, sama doskonałość. Stracona. Wszystko stracone. Wypił jeszcze pół szklanki i zdał sobie sprawę, że teraz nie zaśnie. Z dolnej szuflady biurka wyjął swoją ulubioną teczkę z granatowym napisem „Projekt” i otworzył. Przeczytał pierwszą stronę \* imię Stalina wymienione było dwa razy. I znów wstrząsnął nim dreszcz.

Jak mi się udało przeżyć do tego wieku w szczęśliwym przekonaniu, że jest ze mnie porządny człowiek?” \* sam sobie zadał surowe pytanie. Wyjął pierwszą stronę rękopisu, złożył ją we czworo i rozerwał dwukrotnie papier. Regularne strzępy wrzucił do kosza. Przejrzał rękopis do końca \* imię wodza więcej już nie występowało. Ziewnął, potrząsnął głową, ale nie mógł się pozbyć obrzydliwego ucisku w duszy i zrozumiał, że nie pozostaje mu nic innego jak zasnąć.

Paweł Aleksiejewicz nie niepokoił już więcej swojej żony. Nie usiłował również wracać do rozmów o tej nowej, smutnej sytuacji, jaka zaistniała między nimi.

Ostatni nocny epizod, który nie mieścił się w wyobrażeniu Heleny o własnym mężu,

w rzeczywistości niewiele zmienił. Doznana przez nią krzywda była na tyle głęboka, że już nic nie mogła na to poradzić. To tak, jakby wypowiedziane w podnieceniu przez męża zdanie zabiło w niej wszelkie pragnienia i zatrulo glebę, z której wyrasta potrzeba delikatnego dotknięcia, pieśczoły, nie mówiąc już o bliskości między małżonkami.

Krzywda z biegiem czasu nie stawała się ani większa, ani mniejsza. Istniała gdzieś w głębi i Helena żyła z nią, jak żyje się długie lata z pieprzykiem na ciele albo jakimś guzkiem.

Nawet zewnętrznie stopniowo Helena się zmieniała: schudła, rysy jej się zaostrzyły. Spokojne, okrągłe ruchy, miękki obrot pochylonej głowy, kocie przyzwyczajenie umieszczania się na kuszetce czy fotelu, wciskając się z łatwością w każdy kąt mebla \* dzięki swoistej, naturalnej elastyczności ciała, która tak pociągała zawsze Pawła \* to wszystko znikalo.

Ubranie, w którym poprzednio było jej do twarzy \* okrągłe kołnierzyki, marszczone rękawy i niewinne wycięcia, odsłaniające nieco zwiotczałą, długą szyję, stało się niemodne i Helena z przyjemnością przerobiła dla dziewczynek swoje jasne suknie w kwiatki, w wianuszki i bukieciki, i kupiła sobie kostiumy na lato i na zimę, przybierając wygląd szkolnej nauczycielki.

Paweł Aleksiejewicz, siedząc z rodziną przy niedzielnym obiedzie, analizował dochodzące zapachy \* pośród ostrych woni upitraszonych przez Wasilisę prostych potraw wyraźnie dawało się odczuć coś nowego: od Heleny zamiast poprzedniego kwiatowo\*cielesnego aromatu zalatywało wdowieństwem, kurzem i olejem. Prawie tak, jak od Wasilisy, ale u Wasilisy występowała jeszcze przymieszka może potu albo też starej, brudnej odzieży. Odwracał wzrok od żony i patrzył na Tanię, uśmiechał się do niej \* istne cudo, nie dziewczynka, kropla w kroplę podobna do matki, do Lenoczki... do dawnej Lenoczki...

Szczęśliwy okres w ich małżeństwie zakończył się. Teraz pozostawał zwykły związek, tak jak u wszystkich, a może lepszy niż u wielu. Wielu ludzi żyje przecież byle jak, z dnia na dzień, z roku na rok, nie zaznając ani szczęścia, ani radości, lecz dzięki zwykłemu przyzwyczajeniu.

Już nigdy \* rozumieli to oboje \* nie trafią do tego szczęśliwego nurtu, z którym płynęli przez dziesięć lat...

Spojrzenie Heleny wciąż napotykało chuderławą dziewczynkę z nawykami drobnego gryzonia, łagodną, potulną, nieskończenie godną politowania, pośrednią winowajczynią rozpadu rodziny, który okazał się dla Heleny cięższy od przeżytych wcześniej nieszczęść: śmierci rodziców, babci, męża, gorszy od jej śmiertelnej choroby, a nawet od samej wojny. Nie sposób było mieszkać razem z nią, ale też nie sposób było jej się pozbyć, odesłać do krewnych czy oddać do Domu Dziecka. I Wasilisa burczała po cichu, jak gdyby do ściany:

\* A ty myślałaś, że to będzie proste? Nic nie jest proste... Zadaj sobie teraz trudu... O, ho, ho... coś takiego nie łatwo przebłagać...

Jakie grzechy Heleny miała na myśli? Rachunek Wasilisy Gawryłowny był szczególnie, zawily, ale za tym rachunkiem jednak stała dziwna, może nawet głupawa prawda.

13.

Zapiski Heleny \* zeszyt pierwszy

Moje życie jest tak pozbawione znaczenia i ja sama na tyle nic nie znaczę, że nigdy do głowy by mi nie przyszło, żeby cokolwiek z niego notować, gdyby nie jedna okoliczność \* moja pamięć słabnie. Potrzebuje jakiegoś wsparcia z zewnątrz w postaci zapachów, dźwięków, przedmiotów, wywołujących wspomnienia, znaki i odsyłacze... Niech więc powstanie ten zeszyt z notatkami, bym mogła do niego zajrzeć, powspominać, gdy moja pamięć już całkiem się zatrze. Jakie to dziwne: człowiek dorasta, staje się mądrzejszy i minione wydarzenia nabierają zupełnie innego sensu i głębi, i chce się pojąć boskie zamysły i rozkopać niejako własne życie \* jak archeolog, który zdejmuje kolejne warstwy \* by zrozumieć, co właściwie takiego dzieje się ze mną samą i z moim życiem. Ku czemu ono zmierza, co daje do



zrozumienia. Ogarnąć tego nie mogę, nie potrafię. A najgorsze, że mój mózg jest cały popękany niczym stara filiżanka z porcelany. Myśli się krzyżują, gubią i długo trzeba szukać ich końca. Występują jakieś ubytki. Niekiedy wizerunek człowieka zaczyna być oddzielnym od jego imienia życiem. Bliski, znajomy i to od wielu lat, a imię jego gdzieś się zapodziało i rozstąpi się ziemi! \* znaleźć go nie sposób. A czasem jest na odwrót: pojawia się imię, ale poza nim nie ma nikogo.

Robię dla siebie notatki; nie zapomnieć o tym, o tamtym. Potem je gubię, a niedawno znalazłam karteczkę, zapisaną moją ręką i po prostu się przestraszyłam: Boże, jak nieortograficznie, to brak litery, to sylaby poprzestawiane...

W głębi duszy myślę sobie, że to początek jakiejś okropnej choroby. Napisałam to własnoręcznie i w pełni w to uwierzyłam. Ogarnął mnie strach. Nikt w mojej rodzinie nie chorował na coś podobnego. Chociaż babcia, zdaje się, miała starszą siostrę, która na starość całkiem zdziecinniała. Okropne, że w takim przypadku całe życie, które się przeżyło, traci sens. Jeśli człowiek niczego nie pamięta z własnego życia, ani rodziców, ani dzieci, ani miłości, ani żadnych radości czy nieszczęść \* to po co on żył? Ostatnio przypomniała mi się babcia Jewgienija, a imienia jej ojca nie pamiętałam. Uciekło mi kompletnie z pamięci. Bardzo się tym zdenerwowałam. Następnego dnia jednak imię wypłynęło z mroku \* przecież babcia nazywała się Jewgienija Fiodorowna.

Trzeba wszystko zapisać, dla siebie, a może dla Tani? Ona teraz przechodzi jakiś okres oddalenia, jest pochłonięta nauką, chce zostać biologiem, jest bardzo blisko z ojcem. Tak zresztą było zawsze, zawsze się uwielbiali nawzajem. On wprawdzie nie wyczuwa, co się z nią dzieje, równie głęboko jak ja. Gdy boli ją głowa albo brzuch, ja doskonale czuję ten ból... I to, że Tania nie interesuje się jak gdyby moim życiem, bardziej łączy do ojca, nie ma szczególnego znaczenia. Jestem przekonana, że będę jej jeszcze potrzebna. Będzie musiała wiedzieć o wszystkim, o czym ja wiem. Bo nie tylko wielkie, znaczące wydarzenia są ważne. Choć to dziwne, ale z jakichś powodów drobne, mało istotne sprawy z biegiem lat okazują się ważniejsze. Szczególnie sny...

Zawsze coś mi się śniło i to tak wyraźnie, że teraz najwcześniejsze wspomnienia i

sny z okresu dzieciństwa jakby się przemieszały, i nie zawsze jestem pewna, który obraz wywodzi się z rzeczywistości, a który ze snu... Trzeba, żeby Tania poznała wszystkie moje drobne przeżycia, zanim one całkiem nie utoną w mojej niepamięci. Na przykład, wydaje mi się, że pamiętam, jak po raz pierwszy szłam samodzielnie, bez niczyjej pomocy: byłam sama w dużym pokoju, plecami opierałam się o miękko wyściełaną zieloną kanapę. Przy dotyku czuję łaskotanie. Przede mną z przodu na ukos znajduje się biały piec z holenderskich kafli, chciałabym go dotknąć. Jest gładki i jakoś przyciągający. Zbieram więc siły, bardzo się boję iść bez niczyjej pomocnej ręki, ale wydaje mi się, że mogę podbiec. Mrużę oczy, odrywam się od kanapy i biegnę, prawie fruвам. Opieram się dłońmi o kafle, nieoczekiwanie są gorące. Krzyczę. Wysoka, wąsata kobieta o ciemnej twarzy pojawia się nie wiadomo skąd i chwyta mnie na ręce... Gdzie to mogło być? Najprawdopodobniej w Moskwie, w mieszkaniu babci. Mama opowiadała, że bardzo wcześnie zaczęłam chodzić, nie miałam jeszcze roku. Czy dziecko w takim wieku może coś pamiętać? A może to tylko sen? Nie ma kogo o to zapytać...

Mój ojciec Gieorgij Iwanowicz był człowiekiem nietuzinkowym, fantastą, obdarzonym rzadko spotykaną zdolnością przekonywania innych do jego idei, domorośłym filozofem. Za młodu uchodził za zawziętego rewolucjonistę, kontaktującego się nawet z terrorystami, ale po wydarzeniach dziewięćset piątego roku stał się tołstojowcem. Od tamtej pory zaczęły mu przyświecać inne ideały: praca na roli stała się jego religią. Nie mieszkał więcej w miastach, w różnych rejonach kraju organizował tołstojowskie komuny rolnicze, które później upadały jedna za drugą, oprócz ostatniej Tropariewskiej.

Ojciec w młodości był bardzo przystojny. Lekko garbaty nos, wyraziste czarne oczy. Zapewne posiadał domieszkę krwi greckiej czy kaukaskiej. Mama na odwrót, na młodzieńczych fotografiach nie jest zbyt urodziwa \* twarz ma pulchną, małe oczy, nos kartoflowaty. Ale w dojrzałym wieku, gdy zaczęłam coś niecoś rozumieć, mama wyładniała. Zeszczuplała, rysy jej się zaostrzyły, twarz nabrała wyrazu. Ojciec był człowiekiem pełnym namietności. Łatwo się kłócił, obrażał, wybuchał, ale był niezwykle dobry. A raczej należy powiedzieć nie dobry,

a bezinteresowny. Myślę, że w istocie był człowiekiem przyszłej epoki. Było w jego naturze coś wspólnego z PA. Nie dbał nigdy o własną korzyść, zdaje się, że nawet nie rozumiał co to takiego. Gotów był oddać wszystko, może z wyjątkiem książek, własnych właściwie nie posiadał, gdyż swoją bibliotekę traktował zawsze jako wspólną. Miał nawet ekslibris \* jakieś zawijasy ze słowami: „Biblioteka publiczna Georgija Miakotina"...

Był gorącym zwolennikiem niestosowania przemocy, zwalczał przemoc z całym zapalem jak wszystko co robił. Teraz wiem, że nie uznawał przemocy w życiu społecznym, w rodzinie bowiem był strasznym despotą. Obdarzony, jak już wspominałam, rzadką umiejętnością przekonywania do swoich idei, potrafił zarażać nimi innych, podobnie też jak Tołstoj miał wielu uczniów i zwolenników. Sądzę, że mama była w rzeczywistości ofiarą jego urzekającego charakteru. We wszystkim mu towarzyszyła, we wszystkim ufała. Bywało, że zmieniał swoje poglądy, a mama za nim nie nadążała. Jej przekonania były jednak dość powierzchowne, najważniejsze było, że kochała go bezgranicznie i dla niego zamieniła swoje życie skromnej nauczycielki muzyki w mieście na życie na wsi. A na wsi nie muzyką się zajmowała, ale gotowała jedzenie dla co najmniej dziesięciu osób, prała, doiła krowy.

Wszystkiego się nauczyła. Praca była ponad jej siły, ale robiła to ze względu na ojca, ponadto pragnęła być jego najlepszą uczennicą. Słuchała go we wszystkim, oprócz jednego na poród dziecka jechała do rodziców, do Moskwy. I zostawiała tam maleńkie dzieci, żeby podrosły. Ja byłam trzecim z kolei, ostatnim dzieckiem. Ojciec złościł się za to na mamę. Inni tołstojowcy wychowywali swoje dzieci na wsi. To była jedyna sprawa, w której mama nie podporządkowywała się ojcu. Mnie do czterech lat chowała babcia, a potem, pod naciskiem ojca, zostałam zabrana.

Od czasu rozpoczęcia kolektywizacji ze strony władz nastąpiły okropne ataki na komuny, choć mogłoby się wydawać, że właśnie komuna była tym idealnym kołchozem, jaki bolszewicy zamierzali wprowadzić w całym kraju. W pierwszym roku kolektywizacji zaproponowano ojcu, jako człowiekowi doświadczonemu w zarządzaniu komuną, organizowanie kołchozów i objęcie kierowniczego stanowiska, ale ojciec odmówił.

\* Nasze komuny są tworzone na zasadzie dobrowolności, dlatego istnieją, a wy proponujecie organizację przymusową, to się nie zgadza z moimi poglądami \* wyjaśnił partyjnym władzom.

Z początku zostawiono go w spokoju, ale było jasne, że nie na długo. Po namyśle i dyskusji członkowie postanowili szukać nowego miejsca dla komuny, gdzieś dalej od centrum, wieś Tropariewo leżała zbyt blisko stolicy. Zaczęto poszukiwania w trzydziestym, a w trzydziestym drugim nie tylko znaleziono miejsce u stóp Ałtaju, ale wzniesiono nawet pierwsze drewniane domy z bierwion. Przed samym wyjazdem mama ubłagała ojca, żeby pozwolił mnie zostawić w Moskwie. Miałam już piętnaście lat, babcia mnie przysposobiła, zaczęłam nazywać się Nieczajewa. Prawdopodobnie to ocaliło mnie przed aresztowaniem \* nazwisko babci.

Życie w Ałtajskim Kraju, w Sołonakcze, ułożyło się okropnie. Od tamtej pory nikogo z nich już nie widziałam. Brata Siergieja wezwano do wojska, ale on odmówił służby z powodu swoich przekonań, nie chciał brać broni do ręki. Postawiono go przed sądem, który go skazał na rozstrzelanie. On był taki sam jak ojciec, nieugięty. A Wasia był wrażliwym, delikatnym chłopcem. Nazywano go pastuszkciem. On jeden z naszej trójki rzeczywiście kochał ziemię i gospodarowanie na wsi nie w sposób abstrakcyjny, w oparciu o przesłanki teoretyczne, ale całym sercem. Bydło było mu posłuszne. Byk Miszka chodził za nim jak szczeniak. Wasia utonął w Obie, po pięciu dniach od otrzymania wezwania do wojska. Nazajutrz miał jechać do miasta, by stawić się w punkcie rekrutacyjnym. To był trzydziesty czwarty rok. Wkrótce aresztowano rodziców. Wyrok opiewał na dziesięć lat bez prawa korespondowania. Babcia próbowała ich odszukać, jeszcze przed wojną wystawała w różnych kolejkach, ale bez rezultatu. Po cichu uważała, że ojciec naraził całą rodzinę. Wszyscy tołstojowcy gdzieś znikli. Poszłam kiedyś na Marosiejkę, gdzie przedtem była wegetariańska jadłodajnia. Teraz nie można było poznać tego miejsca, żadnych wydawnictw, żadnej jadłodajni.

Ale chciałam opowiedzieć jeszcze o czymś innym \* oto obrazek z mego wczesnego dzieciństwa: siedzę przy wielkim stole, przede mną stoją ogromne miski pełne malin. Olbrzymich, każda jagoda prawie jak jajko. Wyciągam z każdej z nich gruby, biały

rdzeń i wkładam do dużej filiżanki, a maliny wyrzucam do wiadra, jako coś zbędnego, jako odpadki. A najcenniejsze są właśnie te białe niejadalne szypułki. Malinami tak pachnie, że wydaje się, iż powietrze jest lekko ubarwione ich czerwono granatowym blaskiem... Jakaś poważna i skomplikowana myśl krąży mi w głowie, że to co jest najważniejsze innym ludziom może wydawać się śmieciem, odpadkami. Czy to jakiś sen?

Pełno jest takich scen. Niosę miskę z posiekaną zieleniną dla młodych królików. Silne rzucają się pierwsze, a kilka małych, słabowitych nie może się przebić do jedzenia. Powinnam przenieść te słabeusze do innej klatki, żeby te silne ich nie zadeptały. Ta scena to chyba nie jest sen. A może jednak? Trudno sobie wyobrazić, żeby w naszej ubogiej komunie było miejsce na takie subtelności. Życie było tam bardzo surowe...

Barwne szczegóły z lekka przyćmiewają i w pewnym sensie zmiękczają obraz wspomnień. Położona pod Moskwą komuna Tropariewska, w której mieszkałam od czwartego roku życia, była niewielka, liczyła około osiemnastu\*dwudziestu dorosłych osób i z dziesięcioro dzieci w różnym wieku. Posiadała jednak własną szkołę. Czytać nauczyliśmy się z elementarza Lwa Tołstoja. Pierwsze książeczki też były, oczywiście, jego autorstwa. O pestkach od śliwek: nieładnie jest kłamać. O drewnianej misce dla dziadka: do rodziców należy się odnosić z szacunkiem. Jedzenia prawie zawsze brakowało, ale dzielić się nim należało po równo. A jeśli było go więcej \* tak też się zdarzało \* to wstyd było dużo brać dla siebie.

Nauki Chrystusa, przystosowane dla dzieci \* to pamiętam od najwcześniejszego dzieciństwa. Cztery Ewangelie przeczytałam daleko później, u babci. Ludzie dorośli w komunie kochali, a raczej ubóstwiali Lwa Nikołajewicza. A mnie znudzili od początku. W dzieciństwie i w młodości tak mnie częstowali jego artykułami i rozważaniami, że aż trudno się przyznać, iż jego powieści czytałam dopiero po wojnie, a przedtem ani Kozaków, ani Anny Kareniny, ani nawet Wojny i pokoju nie brałam do ręki.

Ale nie o tym chciałam powiedzieć, a o czym innym. Od najwcześniejszego dzieciństwa od czasu do czasu trafia mi się utrata świadomości tego, co mnie otacza

tu na ziemi. Mam wrażenie, że wielu ludzi spotyka się z tym zjawiskiem, ale z powodu ogromnych trudności w jego opisie, dla którego brakuje słów i odpowiednich pojęć w naszym ubogim języku, nikt nie próbuje dzielić się z innymi tego rodzaju doświadczeniem. Wiele razy obserwowałam, jak dziecko w czasie zabawy zamiera na chwilę, wzrok jego staje się oderwany, zamglony, a za sekundę znów popycha swój samochodzik czy przystraja lalkę. Gdzieś przebywało poza rzeczywistością. Jestem przekonana, że wszyscy znają to uczucie odrętwienia, związane z zanikiem czasu. Czy w ogóle można to opisać? Tym bardziej że nie jestem pisarzem. Wydaje mi się jednak z jakichś względów, że ważne jest, by spróbować o tym opowiedzieć. Być może z tej przyczyny, iż przestałam ufać swojej pamięci, która raz po raz mnie zawodzi.

Naj straszniej sze, co musiałam przeżyć w życiu i najtrudniejsze do opisania to przekroczenie granicy. I to tej granicy, która istnieje pomiędzy zwykłym życiem a innym stanem, który dane mi było poznać, ale który jest równie trudny do opisania jak śmierć. Przecież człowiek, który nigdy jeszcze nie umierał, nie może opowiedzieć o umieraniu! Mnie się wydaje, że za każdym razem, gdy przestajemy być obecni w zwykłym życiu, po trochu umieramy. Zapewne dlatego tak lubię swój zawód kreślarza, że w kreślarstwie istnieje ściśle sprecyzowana zasada, według której wszystko można zbudować. Jest po prostu klucz dla przejścia z jednej projekcji w drugą. A w życiu spotyka się przejście, ale nigdy nie wiadomo, według jakich reguł ono się odbywa i dlatego jest nam tak strasznie.

Miłosierny Boże, jakie to są podróże... Przeróżne... Najstraszniejsze co mi się przydarzyło, najstraszniejsze takie przekroczenie granicy przeżyłam zaraz po śmierci mego dziadka. Dla przybliżenia tego muszę jeszcze trochę opowiedzieć o mojej rodzinie.

Dziadka wszyscy się bali, i mama, i babcia. Ja też się go bałam, ale to nic dziwnego. W ogóle byłam dzieckiem bojaźliwym. Miałam siedem lat, gdy dziadek zmarł. To było w dwudziestym drugim roku. Pracował jako wykonawca budowlany i w swoim czasie był bardzo bogaty, ale jeszcze przed rewolucją wszystko stracił. Mało wiem o historii tych członków mojej rodziny, ale babcia mi opowiadała, że zawalił się

pawilon dworcowy, który dziadek budował, zginęło kilku ludzi, on sam też był poszkodowany: musiano mu amputować nogę. Później odbył się proces w sądzie i to go zrujnowało. Nie mógł się już po tym podnieść. Siedział zazwyczaj w głębokim fotelu, tyłem do półokrągłego okna, twarz jego, zwłaszcza w dni słoneczne, wydawała się ciemna. Babcia i dziadek mieszkali wtedy w zaułku Triochprudnym, w Wołockich domach, które dziadek sam budował, zdaje się, w jedenastym roku. Mieszkanie mieściło się na poddaszu, winda nie działała. Trzeba było długo wspinać się po szerokich schodach. Dziadek w ogóle nie wychodził z domu, cały czas niedomagał, chrypliwie dyszał, palił śmierdzący tytoń, po mieszkaniu chodził o dwóch laskach. Kul nie używał, trzymał je obok kanapy.

W tym czasie w naszej komunie hodowaliśmy krowy i z Tropariewa woziliśmy mleko do I Miejskiego Szpitala przy szosie Kałuskiej. Mieliśmy wóz i konia z komuny. Mama czasami zabierała mnie ze sobą i po dostawieniu mleka jechałyśmy od Kałuskiej Rogatki na Marosiejkę, do jadłodajni wegetariańskiej. Pamiętam dobrze herbatę z marchwi z sacharyną i sojowe kotlety... W tym samym domu mieściło się wydawnictwo i Towarzystwo Tołstojowskie. Ojciec nie był w najlepszych stosunkach z jego władzami. Choć to dziwne, ale o ile dziś mogę sądzić, tołstojowcy przez cały czas kłócili się ze sobą, spierali, coś udowadniali sobie nawzajem. Ojciec był namiętym dyskutantem. Ze swoim teściem, a moim dziadkiem pozostawał na nieprzyjaznej stopie z powodu jakichś problemów politycznych. A do babci Jewgieniji Fiodorowny odnosił się z lekkim lekceważeniem za jej wiarę i dopóki nie pokłócił się z nią ostatecznie, wciąż uczył ją, jak należy prawidłowo wierzyć, po tołstojowsku. Tak jak Tołstoj, nie uznawał żadnych cudów i żadnej mistyki, najważniejsze były dla niego zasady moralne. I Chrystus był ideałem moralnym. Teraz patrzę na to z pewnego rodzaju uśmiechem, ponieważ stale mam przed oczami naszą Wasilisę, która nie ma najmniejszego wyobrażenia o moralności, ale rozróżnia po prostu, że to jest po bożemu, a tamto nie po bożemu i nie zajmuje się myśleniem o dobru czy złu, rozstrzyga to zwyczajnie w swoim sercu. A u ojca wszystko to było podbudowane teorią.

Mama odwiedzała swoich rodziców prawie po kryjomu. W każdym razie ja jakimś

sposobem się orientowałam, że ojcu o naszych wyprawach na zaułek Triochprudny mówić nie należy. To była swego rodzaju nasza wspólna z mamą tajemnica. Jak zresztą i to, że kilka łyżek twarogu, którego mamie udawało się nie sprzedać, zawoziła rodzicom. Wyroby mleczarskie nie były przeznaczone do szerokiego spożycia. Jedynie chorym i małym dzieciom podawano mleko.

Babcia przyjmowała nas zwykle w kuchni, która znajdowała się tuż przy drzwiach wejściowych. Dziadek nie wychodził ze swego pokoju, nie rozumiałam wtedy, że babcia ukrywała przed nim nasze wizyty. Niechęć do mego ojca dziadek przeniósł na mamę i strasznie się złościł, gdy dowiadywał się, że mama bywała u nich w domu. Dziadek był bardzo srogi i nietolerancyjny, wnuków prawie nie znosił.

Mama opowiadała mi, że umierał długo i bardzo się męczył. Do ostatniej chwili pomstował i wszystkich przeklinał, bluźnił. Na jego pogrzeb mnie nie zabrano, był duży mróz. Za jakiś czas, nie mniej niż za półtora miesiąca, mama przywiozła mnie w Wielkim Tygodniu do babci i zostawiła u niej, ponieważ zachorowałam na wietrzną ospę. Dopóki byłam chora, spałam w dawnym pokoju dziadka. Położono mnie na jego sofie, która była postawiona tak jakos dziwnie w poprzek pokoju. Prawdopodobnie w ostatnich miesiącach jego życia, kiedy już nie wstawał, ustawiono ją w taki sposób, by z obydwu stron można było do niego podejść. Ważył sporo, babci samej trudno było zmieniać mu pościel...

Chorowałam ciężko przez trzy dni, a potem swędziała mnie tylko gojąca się skóra. Babcia dawała mi na to jakiś środek uspokajający i pamiętam, że po nim wciąż spałam i spałam, nie rozróżniając dnia od nocy. Pewnego razu nocą usłyszałam stuk, dochodzący jak gdyby od sąsiadów. Zdziwiłam się przez sen \* czy oni w nocy wbijają gwoździe? Stukanie stawało się coraz silniejsze, każde uderzenie czułam u nasady nosa. To dlatego, że śpię \* wyjaśniłam sobie sama. Trzeba się obudzić \* ale obudzić się nie mogłam. Później uderzenia jak gdyby zlały się w całość i niczym niewidzialna wiertarka pod wielkim ciśnieniem wpiły mi się w czoło... Wiertło wgryzało się coraz głębiej, wibracja stawała się nie do zniesienia i miałam wrażenie, że wciąga mnie aksamitno\*czarna wirująca przepaść bez dna. To nie był sen. To było coś innego. I trwało tak długo, iż zdążyłam pojąć dwie rzeczy: to co się ze mną dzieje



jest silniejsze od bólu, ale to nie jest cierpienie odczuwane fizycznie, jest ono jakieś inne. I drugą rzecz: ten czarny wir zaczyna się w mojej głowie, tworzy lej i wynosi mnie poza czas. Czułam jakieś szczególnie męczące mdłości, ale gdyby udało mi się wymiotować, to wymiocinami byłabym ja sama... Ból ogarniał mnie ze wszystkich stron, był większy ode mnie i istniał wcześniej niż ja. Ja stanowiłam ziarnko piasku w niekończącym się potoku i to co się działo, domyśliłam się, właśnie nazywało się „wiecznością”...

Te wszystkie wyjaśnienia są dzisiejsze. Ale wtedy jako dziewczynka nie znalazłabym żadnych słów, by to opisać. Do tej pory, gdy to wspominam, pod samo serce podchodzi mi wibrujące uczucie mdłości.

W końcu wiertarka ucichła. Leżałam na sofie dziadka, ale pokój vi z tapetą w pasy i półokrągłym miłym oknem nie było. Znajdowałam się w zupełnie nieznanym mi miejscu, niczego nie przypominającym. Pomieszczenie było niskie, oświetlone przyćmionym burym światłem, tak słabym, że sufit i ściany tonęły w mroku. Być może, nie było to żadne pomieszczenie, tylko jakaś ciasna przestrzeń ze zwisającą nad głową podobizną brudnego nieba. Było w niej bardzo nieprzyjemnie, ale nawet w tej chwili, po tylu latach nie chcę wysilać swojej pamięci, by przypomnieć szczegóły, bowiem przy tym wspomnieniu jeszcze dziś robi mi się niedobrze.

Tę przestrzeń wypełniały mgliste cienie ludzi, wśród których był również mój dziadek. Cienie przemieszczały się z trudem, bez celu, z lekka pomstowały na siebie nawzajem, na mnie natomiast nie zwracały uwagi. Nie pragnęłam zresztą, by mnie zauważyły. A szczególnie dziadek. Utykał na nogę jak w życiu, ale żadnej laski przy sobie nie miał.

Uczucie bezsilności i smutku było tak ciężkie, tak przeciwstawne życiu, że odgadłam \* to właśnie jest śmierć. Gdy o tym pomyślałam, zaraz ujrzałam siebie na tyłach naszego tropariewskiego domu w jasny, letni dzień, wśród blasków słońca i w cieniu. W poprzek dróżki leżała zwalona przez ostatnią wichurę wielka topola, a ja szłam po niej, omijając obłamane sęki, ześlizgując się z wilgotnego pnia i wciągałam silny zapach więdnącego listowia. Wszystko lekko sprężynowało, i pień topoli pod moim małym ciężarem, i warstwy usychających liści. To był sen, który mnie tam przeniósł.

A tu gdzie się znajdowałam nie było prawdziwego światła, ani cienia. Tam za domem, gdzie leżało powalone drzewo, gdzie podeszwy ślizgały się po aksamitnym pniu, były cienie, blaski, niezmiernie bogactwo barw. Tutaj wszystko było niewyraźne, ciemne, ale realne. Tam \* nierealne. Tutaj nie było cienia. Ciemność nie daje cieni, cienie pojawiają się tylko przy świetle...

Leżałam jak sparaliżowana, nie mogłam nawet poruszać ustami. Chciałam się przeżegnać, jak uczyła mnie babcia, ale byłam pewna, że ręki nie będę w stanie podnieść. Ale ręka łatwo się podniosła, uczyniłam znak krzyża i zaczęłam odmawiać „Ojcze nasz”...

Podszedł do mnie i zaczął się przyglądać człowiek w glinianej masce, podobnej do zwykłego garnka. W otworach maski widniały patrzące na mnie pełne wyrazu niebieskie oczy. Te oczy były jedyną rzeczą, jaka tu odznaczała się kolorem.

Człowiek uśmiechał się.

Moja modlitwa w sposób odczuwalny zawisała nad moją głową. Nie dlatego, by była słaba. Była nieskuteczna. W tej sytuacji uległa skasowaniu. To ciemne miejsce znajdowało się w tak znacznej odległości od bożego świata, w tak niewyobrażalnej głuszy, iż tutaj w ogóle światło nie docierało, a ja zrozumiałam, że modlitwa bez światła \* jak ryba bez wody \* umiera, gaśnie...

Docierał do mnie odgłos cudzej rozmowy, jakiejś smętnej, chorej, bez sensu. Pełnej rozdrażnienia, ospałej kłótni nie wiadomo o co. I głos dziadka: ja KAZAŁEM, ty KAZAŁEŚ, ja nie KAZAŁEM... Sednem sprawy było to KAZAŁEM...

Człowiek w glinianej masce nachylił się nade mną, coś powiedział, ale nie pamiętam co. Pamiętam natomiast, że jego język był nadspodziewanie ordynarny, prostacki, niepoprawny. Używał plugawych słów i wprost pastwił się nade mną. Jego mowa, tak jak bura glina na twarzy, też stanowiła maskę. Mógł używać innych słów. On mnie oszukuje, to oszust \* pomyślałam sobie. I gdy tylko wypowiedziałam to sobie w duchu, on zniknął. Wydaje się, iż jedną, jedyną swoją myślą go zdemaskowałam... Cienie ludzkie przechylały się to w tę, to w tamtą stronę i wszystko to trwało bez końca, do tej pory, aż się zorientowałam, że w tym pomieszczeniu nie ma żadnych ścian, że to tylko zagęszczona ciemność sprawia wrażenie zamkniętej przestrzeni, a

w rzeczywistości to ciasne i zaciemnione miejsce jest ogromne, nieograniczone, wypełnia sobą wszystko i poza nim nic nie istnieje. To pułapka, z której nie ma wyjścia. Przestraszyłam się, nie chodziło mi o mnie samą, ale o dziadka. Zawołałam więc: Dziadku!

Spojrzał jak gdyby w moją stronę, ale albo mnie nie poznał, albo nie chciał poznać, nadal mamrotał pod nosem, patrząc na mnie swymi wyblakłymi piwnymi oczami: ja KAZAŁEM, on KAZAŁ...

Nagle wszystko ruszyło z miejsca i zaczęło się oddalać. Tak jak cień obłoku przebiega po polu, tak ta ciemna przestrzeń zaczęła się zsuwać, a ja zobaczyłam na początku część ściany z pasiastą tapetą, a potem cały pokój dziadka w szarej mgle przedświt.

Nie obudziłam się, bo po prostu nie spałam. Poranna mgła, uciążliwa i nieprzyjemna w zwykłym dniu, teraz wydawała się żywym, perłowym światłem, pełnym obietnic, ponieważ nawet mrok nocy w naszym świecie to właściwie tylko odcień naszego ziemskiego światła. A to co mi pokazano to kompletny brak światła, żalosne, nieprzyjazne miejsce. Przedśionek śmierci... A kiedy skraj ciemności wypływał z pokoju i przemieszczał się gdzieś na północ, usłyszałam wyraźny, dźwięczny, niewątpliwie męski głos, który powiedział:

\* Pośredni świat.

Co to znaczy \* nie wiem do dzisiaj... Jednego jestem prawie pewna: wszystko to pokazano mi po to, żebym tam ujrzała w tłumie cieni mego kulawego dziadka z zasepioną twarzą.

Później, gdy podrosłam i przeczytałam Ewangelię i listy apostoła Pawła, wciąż wracałam myślą do tego wydarzenia, do tego spotkania po „tamtej stronie” i rozmyślałam: czy apostoł zdaje sobie sprawę, że nie wszyscy się zmienimy i że niektórzy w ogóle się nie zmienią i na zawsze zachowają swoje kalectwo i ponurość usposobienia, a co za tym idzie \* grzech. W żadnym wypadku nie osądzam mego dziadka, kto i kogo ma prawo sądzić w naszej rodzinie? Mama wygadała się jakoś pewnego razu, że kiedy odbywało się śledztwo w sprawie zawalenia się budowanego przez dziadka pawilonu dworcowego, to winy mu nie udowodniono, zarzucano mu

jedynie wykorzystanie złych jakościowo materiałów, co spowodowało zawalenie się nieszczęsnej budowli i śmierć robotników. Czy było to złodziejstwo, czy kwestia łapówki?... Zwykła historia w Rosji. No i jak to będzie, tak zostanie na zawsze, bez żadnego przebaczenia? Dlaczego apostoł obiecuje odpuszczenie grzechów tylko bezgrzesznym? Tego nie rozumiem...

A jeśli ktoś utraci pamięć? Jeśli ja sama zapomnę o grzechu? Tak często teraz o czymś zapominam, że najpewniej zapominam też o moich grzechach. A w takim razie w czym leży sens skruchy i przebaczenia? Jeśli nie ma winy, to i przebaczenia być nie może.

Istnieją takie momenty w życiu, które zatarły się całkiem, jakby je woda pochłonęła. Tworzą się takie puste miejsca, tak jak po obudzeniu się ze snu, kiedy się śniła jakaś bardzo ważna rozmowa z kimś nadzwyczaj rozumnym, a na jawie niczego nie daje się stamtąd wyciągnąć, nic się nie przedostaje i wszystkie ważne sprawy pozostają w tym śnie. Pojawia się pełne trwogi uczucie, że drogocenne przedmioty leżą w zamurowanym jakby pomieszczeniu i nie ma do nich dostępu. Czasem, co prawda, udaje się wrócić do poprzedniego snu i do poprzedniego rozmówcy, i nawet kontynuować rozmowę od chwili, w której została przerwana. I rozmówca odpowiada tak jasno, przejrzyście, a gdy się człowiek budzi \* znowu pustka. Taka właśnie „biała plama” utworzyła się w tym miejscu mego życia, kiedy dopuściłam się zdrady. Pamiętam o tym, ale tylko jak o samym fakcie. Od dawna nie odczuwam ani żalu, ani wstydu. Chyba sama sobie przebaczyłam. I jak łatwo do tego doszło \* bez jakiegokolwiek udręki czy wahań, a nawet rozmyślań. Mam na myśli zmarłego Antona. W czasie wojny był taki szalenie popularny wiersz Konstantina Simonowa: Czekał mnie,

a wrócę zdrów... Wiersz kończył się tak: Jak doprawdy pojąć im, że we krwawej mgle ty czekaniem cichym swym ocaliłaś mnie...?.

A ja go zgubiłam nieczekaniem.

Zakochałam się w PA nawet nie od pierwszego wejrzenia, ale tak, jakbym go kochała jeszcze przed moim urodzeniem i jedynie wróciła do dawnej miłości. Antona natomiast zapomniałam jak gdyby był zwykłym sąsiadem, kolegą z klasy czy

współpracownikiem. Nawet nie krewnym. A przeżyłam z nim całe pięć lat. I to był ojciec mojej jedynej córki, twój ojciec, Taniu. Nie widzę w tobie niczego z charakteru Antona, ani z jego wyglądu. Jesteś rzeczywiście podobna do PA. I czoło, i usta, i ręce. A o gestach, wyrazie twarzy, mimice, przyzwyczajeniach nawet nie ma co mówić. Nie sposób ci powiedzieć, że PA nie jest twoim rodzonym ojcem. Wychodzi na to, że Antona najprzód zdradziłam, a potem ograbiłam, odebrałam mu córkę. Czy będziesz mogła mi to wybaczyć?

Jestem przekonana, że PA dla Tani znaczy więcej, aniżeli ja. Ale i dla mnie znaczy więcej niż ja sama. Nawet i teraz, kiedy wszystko między nami tak beznadziejnie się zepsuło, muszę przyznać otwarcie, że szlachetniejszego, mądrzejszego i lepszego człowieka nigdy nie spotkałam. I nikt na całym Bożym świecie nie potrafi mi wytłumaczyć, dlaczego najlepszy z ludzi przez tyle lat służył najgorszemu złu, jakie istnieje na ziemi. I jak to w nim się mieści? Moje serce wszystko przeczuwało, wiedziało zawczasu, jeszcze podczas ewakuacji, kiedy to zabrał kocięta od Romaszkinów. Z początku nie mogłam uwierzyć, że je utopił. Teraz już wierzę we wszystko. Przecież potrafił jednym zdaniem przekreślić naszą miłość, naszych szczęśliwych dziesięć lat! Wszystko zniszczył. I mnie zniszczył. Czy to okrucieństwo? Nie mogę zrozumieć. Ale tego akurat nie chcę wspominać. Teraz jest dla mnie ważne, by wskrzesić to, co się oddała ode mnie, a co zawsze, jeszcze przed pojawieniem się PA w moim życiu odgrywało tak ważną rolę \* moje sny i najwcześniejsze wspomnienia.

To co widzę w snach \* o czym mi się opowiada lub pokazuje \* jest o wiele bogatsze i bardziej znaczące od tego, co potrafię przenieść na papier. Posiadam wspaniałą wyobraźnię przestrzenną, w pewnym sensie zawodową. Prawdopodobnie jestem szczególnie wyczulona na przestrzeń i z tej przyczyny trafiałam do tajemniczych jej zakątków, w rodzaju tamtego „pośredniego świata”. Z drugiej strony, nic mnie tak nie raduje, jak moje ulubione kreślarstwo, gdzie każda konstrukcja jest dokładnie, doskonale przezroczysta.

Sny, które mnie nawiedzają, zależą w jakimś stopniu od zwykłego, rzeczywistego świata, ale nie potrafię określić bliżej tej zależności. Istnieje niewątpliwie logika

przejścia, ale ona zostaje po tamtej stronie i nie przedostaje się do świata jawy. Mam pewność, że moje wędrówki do różnych dziwnych miejsc po tamtej stronie są może nielegalne, ale przebywanie tam jest nie mniej realne, aniżeli to wszystko, co nas tu otacza, gdzie ja piszę wiecznym piórem w grubym brulionie, zaczęty przez Tanię i zaraz wyrzuconym w związku z końcem roku szkolnego. Nie mniej realne, niż tutejsze domy, ulice, drzewa, filizanki.

Ale znowu, klucz od wszystkiego tamtego leży gdzieś w zamurowanym pokoju, pokoju bez drzwi. W ogóle z drzwiami i oknami w moich snach wiąże się wiele rzeczy. Pierwsze, prawdopodobnie najgłośniejsze drzwi ujrzałam bardzo dawno, ale nie było to w dzieciństwie, byłam już podlotkiem. Nie mogę powiedzieć dokładnie, kiedy to było, ponieważ temu obrazowi zawsze towarzyszy wrażenie spotkania z czymś już wcześniej widzianym. To tak, jakby można było wcześniej coś zapamiętać, a dopiero później już z tą pamięcią przyjść na świat.

Te drzwi były w skale, ale przedtem zobaczyłam skałę z oślepiająco białego wapienia, tak szeroko i szczerze oświetloną słońcem, że wszystkie szczegóły jej szorstkiej faktury, wszystkie chropowatości \* utrwalona pamięć pracowitej, dawno wymarłej cywilizacji małych skorupiaków \* były widoczne jak pod lupą. Później mój wzrok jakby się przestawił, podkrecona została jakaś śrubka, lekka fala przemknęła po powierzchni i zobaczyłam wykute w skale drzwi z umieszczoną na nich płaskorzeźbą. Rysunek był bardzo wyraźny, ale nie tworzył zrozumiałego obrazu. Płynne linie krzyżowały się, zwiły, wpadały jedna w drugą, zdążając naprzeciw, dopóki moje oko się nie przystosowało. Wtedy pojęłam sens obrazu, ujrzałam wysokie łoże z miętko spływającym z podgłówka ciałem, pokornie złożone cienkie rączki, pochylone dokoła głowy Hebrajczyków o wydatnych czołach, a nad nimi wszystkimi \* samotną figurę Syna z dzieciątkiem\*Matką na rękach...

Drzwi gotowe były się otworzyć \* nawet jakiś cień przebiegł po szczelinie w otworze drzwiowym \* proponowano mi wejście. Aleja się bałam, a drzwi, które wyczuły mój strach, przemieniły się z powrotem w relief na białej skale i pod moim wzrokiem relief się spłaszczył, zarastał białym kamieniem, aż całkiem zniknął.

Nie byłam gotowa na to, by tam wejść. Ale nie było w tym niczego bezpowrotnego, straconego ostatecznie. Po prostu \* nie byłam gotowa. Jeszcze nie gotowa.

Powiedziano mi jak gdyby \* wyjdź. Niech twój strach wyczerpie się w powszednim doświadczeniu życiowym. A kiedy twój ból, smutek, pragnienie zrozumienia będą silniejsze od strachu, przyjdź znowu. W przybliżeniu coś takiego usłyszałam pod drzwiami. Powiedziane to zostało łagodnie. Zresztą prawie zawsze rozmowy ze mną prowadzone są łagodnie.

Z drzwiami był też inny przypadek. Prowadziły z jednego pomieszczenia do drugiego. Przy czym nie było ścian, ani innych elementów, stanowiących przegrodę między tymi pomieszczeniami. Tylko drzwi, a dokładniej \* otwór drzwiowy. Ale wszystko, co widniało w tym otworze, było zupełnie inne:

i powietrze, i woda, i ludzie, którzy tam przebywali. Natychmiast miało się ochotę tam wejść, ale przestrzeń, objęta otworem, była jakaś wroga i nie przepuszczała.

Wrogość była na tyle silna, że nie warto było próbować. Odeszłam więc. Ale za moment przyszło olśnienie: trzeba popróbować, postarać się... Odwróciłam się.

Otworu drzwiowego już nie było i nie było żadnej przestrzeni. Jedynie drobne fale w powietrzu, spowodowane utraconą szansą.

Pamiętam też śmierć babci. Jak to bywa ze świątobliwymi ludźmi, o dniu swego odejścia wiedziała wcześniej. Wasilisa na krótko przed jej śmiercią wyjechała nie wiadomo dokąd, nagle ją przypiliło, wiesz Taniu, że tak bywa z nią do tej pory.

Wróciła jednak w przeddzień. Babcia już od tygodnia nie wstawała z łóżka, nie jadła, piła tylko trochę wody. Nic ją nie bolało, tak mi się przynajmniej wydawało. Żadnych skarg przez całe życie nikt od niej nie słyszał. Leżała milcząc, nie odpowiadała na pytania, ledwie dawała znaki głową \* na nie. Na wszystko \* nie. Wasilisa siedziała obok i odmawiała jakieś modlitwy. Teraz myślę, że to była formułka, przewidziana na okoliczność odejścia duszy. Ale może coś innego. Babcia miała już sporo po osiemdziesiątce, z wyglądu \* starowina, wprost mumia egipska. Niezależnie od tego, iż była przerażająco chuda, była piękna. W ostatnich dniach nie otwierała oczu, ale twarz jej nie była bez wyrazu, przeciwnie, była twarzą człowieka, skupionego na czymś ważnym i odpowiedzialnym.

W przeddzień śmierci przyszła do nas młodziutka sąsiadka z prośbą o pożyczenie kieliszków \* obchodziła dzień urodzin. Otworzyłam kredens i wyjęłam kilka kieliszków, każdy inny, a wśród nich jeden bardzo stary, piękny, ze startym złotym malowidłem. Sąsiadka zaczęła go oglądać, zachwycając się. Mówiła dość głośno i jej zachwyt pięknym szklanym przedmiotem był bardzo nie na miejscu \* w tym samym pokoju leżała umierająca babcia.

\* Ależ piękny, jak to umiano dawniej! Teraz już nikt tak nie potrafi! A wystarczyłoby...

I w tym momencie wyraźnym, dość dźwięcznym głosem, nie otwierając oczu, babcia powiedziała w pełni przytomnie i bardzo surowo:

\* Dziecko, ty mi przeszkadzasz...

Przez dwa tygodnie babcia nic nie mówiła, a przez trzy ostatnie dni, jak nam się zdawało, leżała bez przytomności... Nie wiem, w czym jej przeszkodziłyśmy, od jakiego ważnego zajęcia oderwałyśmy...

Po upływie następnej doby, o zachodzie słońca, kiedy z Wasilisą i Antonem Iwanowiczem siedzieliśmy przy stole, nagle rozległ się jej wyraźny, donośny głos \* po zalegającej przez tydzień ciszy:

\* Drzwi! Drzwi!

Wasilisa rzuciła się przez długi korytarz ku drzwiom wejściowym, stukając zsuwającymi się z nóg starymi pantoflami, szcęknięła zamkiem i otworzyła drzwi. Natychmiast od otwartego lufcika przepłynął prąd powietrza ku drzwiom, lekki przeciąg owionął Wasilisę...

Odwróciłam się w stronę babci: wypuściła z płuc powietrze, ale już go nie nabrała. Przeciąg jak gdyby uderzył silniej, powracając. Drzwi wejściowe same się zatrzęsnęły, szeroko otwartym lufcikiem szarpnęło. Słoneczna plama przeskoczyła z twarzy babci na kołyszącą się szybę lufcika. Żłocisty promień był mocny, zamigotał na czysto wymytm szkłe i nagle rozległ się trzask lufcika i słaby dźwięk pękającej szyby.

Anton Iwanowicz popatrzył na lufcik i pokiwał głową. Wasilisa, poczuwszy od razu co zaszło, przeżegnała się. Ja podeszłam do babci, nie całkiem wierząc, że to koniec.



Śmierć była cichutka. To właśnie była śmierć „chrześcijańska, spokojna, bez bólu, świetlana”. Wtedy nie wiedziałam, że tak się ją określa. Wiedziała Wasilisa.

Twarz babci przybrała wyraz uroczysty i szczęśliwy. Poprzez błękitną, rzadką siwiznę przeświecała bladoróżowa skóra głowy, czoło i nos stwardniały, zastygły jak wyrobione z porcelanowej masy, zmarszczki się wygładziły, sobolowe brwi z kępkami włosów widniały u nasady nosa. Właśnie w tamtej chwili wyraźnie sobie uprzytomniłam, że jestem do niej bardzo podobna... Biała kotka Motia, która od chwili, gdy babcia przestała wstawać z łóżka, leżała u jej nóg, wstała, przeszła do krawędzi łóżka i zeskoczyła na podłogę.

Anton zbliżył się do okna, by zobaczyć co się stało z lufcikiem. Wciąż jeszcze nie miał świadomości, że babcia umarła.

\* Przeciąg rozbił szybę \* skonstatował ze zdziwieniem, odłupując kawałek zeschniętego, starego kitu. \* Na kuchennych schodach stoi duża rozbita szyba, można z niej wyciąć kawałek na lufcik... Dobrze, że potrzebny jest prostokąt, z szybami innego kształtu można by się zamęczyć przy wstawianiu...

Okno rzeczywiście było półokrągłe u góry, podzielone na asymetryczne części, prawie wszystkie szybki były w nim ukośne. Dom, zbudowany jeszcze przez dziadka w dobrych czasach, reprezentował styl modernistyczny...

Okna i drzwi... Okna i drzwi... Nawet dziecko pojmuje tę różnicę: drzwi stanowią granicę. Za drzwiami \* inne pomieszczenie, inna przestrzeń. Gdy człowiek przez nie przechodzi \* zmienia się. Nie sposób się nie zmienić. A okno jedynie udostępnia swój widok na chwilę, człowiek rzuca przez nie okiem i zapomina. Ale to już dotyczy moich snów.

Wtedy, w dniu śmierci babci Wasilisa miała „swoją godzinę”. Ona wiedziała wszystko o śmierci. Co i jak należy. Umyć, przystroić, opłakiwać. W co ubrać, jakie modlitwy odmawiać, co jeść i czego nie jeść. Podporządkowałam się jej całkowicie, bez żadnego wahania. I nie tylko ja, ale i Anton. Przyjęła, że tak być powinno, wydawała rozporządzenia, a my byliśmy jej posłuszni.

Pod wieczór babcia została umieszczona na rozłożonym stole jadalnym, z rękami łagodnie skrzyżowanymi na piersi, podwiązany starą pończochą, złożona we

czworo chustka, związana na kształt chomąta, podtrzymywała podbródek, na powiekach leżały wielkie, starte pięciokopiejkówki, które Wasilisa wygrzebała nie wiadomo skąd. Może sama przyniosła je kiedyś. U wezłowia płonęła lampka oliwna, przed ikoną Wasilisa powoli odmawiała modlitwy po cerkiewno\*słowiańsku. Ja siedziałam na taborecie obok stołu, żegnałam się z babcią.

Miałam dwadzieścia cztery lata. Zarówno moi bracia, jak i rodzice już nie żyli, ale o śmierci rodziców dowiedziałam się wiele lat później, w tamtym czasie jeszcze nie rozumieliśmy, co oznaczał wyrok „dziesięć lat bez prawa do korespondencji”...

To była pierwsza śmierć, jaką widziałam. Nie mogę powiedzieć, bym odczuwała strach. Czułam najgłębszy szacunek wobec tego niepojętego wydarzenia i ze wszystkich sił starałam się je zrozumieć. Zrozumieć nie poddając się rozumowi ani uczuciu otchłań, która oddziela żywych od martwych, a w szczególności ten moment, w którym żywa, ciepła babcia przeistoczyła się w dziwną niepotrzebną rzecz, którą należało jak najszybciej usunąć z zasięgu wzroku, schować jak najgłębiej w ziemi. To wszystko, co uroczyście, nie śpiesząc się czyniła Wasilisa, było uspokajające właśnie dlatego, że bez jej wszelkich, niezrozumiałych poczynań nie można było zabrać tego zimnego przedmiotu. Śmiertelna biała koszula, nowe skórzane pantofle \* którym Wasilisa przyglądała się krytycznym okiem \* jak gdyby babcia rzeczywiście potrzebowała do swoich wędrówek po jasnych pozagrobowych drogach tej lekkiej pary nowego obuwia z zaokrąglonymi noskami i okutymi metalem dziurkami na sznurowadła...

Anton Iwanowicz poprosił, by nie wystawiać trumny w cerkwi, ale zaprosić kapłana do domu. Obecnie wszyscy znajdowali się pod obserwacją, bali się. Wasilisa zacisnąwszy usta, kiwnęła głową i późnym wieczorem w przeddzień pogrzebu przyprowadziła staruszka drobnej postury, któremu mogła powierzyć pożegnanie swojej dobrodziejki. Anton Iwanowicz wyjechał na ten czas do krewnych, nie chciał nawet wiedzieć o uroczystościach pogrzebowych: miał dobrą pracę w fabryce, a przy tym nie najlepszy rodowód.

Staruszek, który przyszedł do domu, przypominał z wyglądu zwykłego nędzarza. Jednakże, gdy wyjął z torby swoje szaty, stułę, włożył krzyż, przemienił się w

kapłana. Na świeżo sprzątniętym przez Wasilię biurku z największym pietyzmem rozłożył kawałek wyszywanej tkaniny. Był to antymins z relikwiami świętych \* na nim dokonał przeistoczenia eucharystii. To był pierwszy w moim życiu obrzęd liturgiczny. Do cerkwi nigdy nas nie zabierano \* \* to był warunek ojca, od którego uzależniał swoją zgodę na nasz pobyt u babci. Po powrocie od babci, gdy mieliśmy po trzy, cztery lata rodzice wychowywali nas w tołstoj owskiej odmianie chrześcijaństwa, która całkowicie odrzucała stronę obrzędową religii, nie uznawała ani cerkwi, ani Bogarodzicy, ani ikon, ani świętych... Tym razem bardzo pragnęłam przyjąć komunię świętą, ale nie odważyłam się o tym powiedzieć. Później kapłan odprawił modły nad umarłą. Po zakończeniu tego tajnego nabożeństwa staruszek niepostrzeżenie zniknął w środku nocy. Nigdy go więcej nie spotkałam.

Po pogrzebie obudziłam się w nocy i poszłam do kuchni. Nie wiem po co, może chciało mi się pić. W kuchni na swoim stałym miejscu siedziała babcia w swojej granatowej odświętnej sukni z nakrochmalonym koronkowym kołnierzykiem. Przed nią stała szklanka, umieszczona w podstawce. Babcia piła herbatę. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie, że zaczęłam wątpić, czyjej śmierć mi się nie przyśniła. \* Wypijesz herbaty? \* zaproponowała. Kiwnęłam potakująco głową. Czajnik był gorący. W imbryczku znajdowała się świeżo zaparzona herbata, niezwykle aromatyczna. Nalałam sobie herbaty i usiadłam obok.

\* To znaczy, że nie umarłaś? \* zapytałam. Uśmiechnęła się, błysnęły równe, białe zęby. Wstawiono jej nowe zęby, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam, żeby jej nie peszyć.

\* Umarłam? Śmierci nie ma, Lenoczko! Śmierci nie ma, niedługo o tym się dowiesz. Dopiliśmy herbatę. Milczałyśmy. Było nam bardzo dobrze.

\* Idź spać \* powiedziała babcia. Wyszłam z kuchni, o nic nie pytając.

Położyłam się obok Antona, który coś zamamrotał przez sen. Zasnęłam w jednej chwili.

Co to jednak było? Czy to sen? Nie sen? Ani to, ani tamto. Coś trzeciego, nie wiem, jak to nazwać. To jakaś trzecia forma istnienia, od której i sen, i jawa są równie dalekie.

Teraz po tylu latach podejrzewam, że oprócz tych krótkich paru słów babcia powiedziała mi coś więcej, ale nie zachowałam tego w pamięci. Na całe życie pozostało mi tylko bardzo mocne przekonanie, że kiedy człowiek znajduje się w głębi snu, całe zwyczajne życie przekształca się w sen... Jawa i sen to jakby prawa i lewa strona tej samej tkaniny. A jak rozumieć ten trzeci byt? Czy to jak w kreślarstwie jest widok z góry?

Z biegiem lat, gromadząc doświadczenie, nauczyłam się prawie bezbłędnie odróżniać jedno od drugiego. W zwykłym, codziennym życiu przedmioty są kompletnie pozbawione tajemniczości i rzeczywistej treści. Chociaż cenne filiżanki się tłuką i żal bierze, kiedy ulubione rzeczy się psują, w naszej rodzinie z powodu biedy i dla tradycji sklejano filiżanki, naprawiano połamane przedmioty, cerowano i łątano zarówno palta, jak i garnki, ale gdy rzecz stawała się już całkowicie bezużyteczna, po prostu ją wyrzucano. Przedmioty we śnie nie są w pełni rzeczywiste: filiżanka nie zawsze potrafi pomieścić w sobie wodę, jak gdyby jej tego nie nauczono i w ogóle przedmioty pojawiają się nie same z siebie, ale wtedy, kiedy są potrzebne, a kiedy potrzeba znika, natychmiast się ulatniają. Stanowią abstrakcję, dopóki człowiek się nie zainteresuje: a jaki wzór ma ta filiżanka? Wtedy wzór się ujawnia. Rzeczy same z siebie tam się nie starzeją i nie psują, są pozbawione samodzielnego bytu \* do tego doszłam w moich rozmyślaniach.

Zupełnie inaczej mają się sprawy w obrębie trzeciej formy istnienia. "Właśnie według tego, jak zachowują się przedmioty, najłatwiej jest odróżnić sen od tego stanu, który nazywam trzecią formą bytu. Na przykład, szklanka, którą babcia Jewgienija Fiodorowna trzymała w ręku, nie była szklanką w ogóle. Ona posiadała osobowość, jak sama babcia. Być może, miała jakieś imię, mnie nie znane. Była duża, jakiejś szczególnej wielkości, tego samego rozmiaru, co rzadko spotykana wielka podstawka. Oba te przedmioty musiały być zrobione na zamówienie. Podstawka jest wyrobem specyficznym rosyjskim, nigdzie jej się nie używa poza Moskwą, ale tamta podstawka była szczególnie rosyjska, z grubego srebra, w kształcie pnia drzewa, srebro imitowało korę, miała też uszko w formie siekiery, wbitej w zagiętą do góry gałąź,

oblepioną drobnymi listkami i ogonkami od liści, które gdzieś znikły prawdopodobnie na skutek przygód w kuchni lub też z woli czeladnika z fabryki Faberge, gdzie tę podstawkę wykonano. Mieszcząński, natrętny przedmiot z gatunku podarunków, rzucających się w oczy, drogocenny, z wypolerowanym miejscem na wygrawerowanie: „Drogiemu Wasylowi Timofiejewiczowi...”.

Babcia uśmiechała się przelotnie, piła aromatyczną ciemnozłocistą herbatę ze szklanki dziadka, ale dedykacji na podstawce nie było. Gdzie mogła się podziać ta napisana przez kolegów rymowanka: „Przepadam za herbaty kropelką, z konfiturą, miodem czy precelkiem \* jak wujek Wasia"... Przy uważnym oglądzie podstawka okazała się bardziej szlachetna niż jej oryginał, który przypadkiem ocalał jakoś do tej pory. Tam, w tej trzeciej formie istnienia wyglądała jakby lepiej i odróżniała się od siebie takiej zwykłej, codziennej, tak jak i jakaś egzotyczna, pachnąca herbata odróżniała się od zwykłej, żółtawej lury, którą babcia Jewgienija Fiodorowna piła przez całe życie, nawet kiedy mieszkała w bogatym ojcowskim domu... Nie lubiła mocnej herbaty...

Ten sam proces w przybliżeniu zachodził ze wszystkimi przedmiotami, które ukazywały się oczom nie we śnie, nie we wspomnieniach, ale właśnie w tej trzeciej formie istnienia. Przedmioty bywały może nie szlachetniejsze, ale jednak wykazywały pewien stopień doskonałości. Jak gdyby niewidzialny mistrz przyłożył się do tego, by przywrócić im dostojność i ich oryginalny charakter. W każdym bądź razie o babcinej odświętnej sukni można było to powiedzieć z pewnością.

Nazajutrz, obudziwszy się w całkiem zwyczajnym, codziennym życiu, pierwsze kroki skierowałam do jej szafy i wyjęłam tę suknię na światło dzienne: na ramionach była lekko spłowiała, a na cienkim kołnierzyku w kilku miejscach widniały cery. Zaręczam, że w nocy ta suknia była nowa, a kołnierzyk uroczyście usztywniony... I czajnik na płycie kuchennej był jeszcze ciepły...

Następnym razem babcia przywołała mnie na herbatę wiosną czterdziestego pierwszego roku. Ty, Taniu, miałaś zaledwie dwa miesiące, byłaś słabym, krzykliwym dzieckiem i my obie z Wasilisą z tego powodu padałyśmy z nóg. Tamtej nocy Wasilisa spała z tobą, żebym mogła odpocząć. Obudził mnie zapach herbaty, ten

sam, od razu go sobie przypomniałam. Poszłam do kuchni. Babcia siedziała przy stole. Czajnik był gorący, srebrna podstawka do szklanki stała przed nią, ale babcia nie piła i mnie nie zaproponowała herbaty. Była dziwnie ubrana \* w berecie na głowie, przykrytym dużą wiejską chustką, w palcie z wielkimi, regularnymi łatami i dziurkami, obszytym nowym materiałem. Gdy tylko weszłam, babcia wstała, w rękę trzymała duży worek. Rozłożyła go i pokręciła głową:

\* Nie, ten za duży.

Worek sam z siebie stał się mniejszy. Nie wywołało to mego zdziwienia, wystarczyło jedno słowo, a wszystko odbywało się tak jak trzeba. Do tego zmniejszonego worka babcia zaczęła wkładać naczynia kuchenne, uważnie oglądając każdy przedmiot.

Trzy łyżki, trzy filiżanki, trzy talerze. Rondelek, patelnię i łyżeczkę czerpakową do kaszy dla dzieci. Później dodała jeszcze sól i kaszę.

Twarz jej miała wyraz surowy i smutny. Potem wzięła do ręki podstawkę ze szklanką, wyjęła z niej szklankę i wylała herbatę do zlewu. Świeżą, mocno zaparzoną, aromatyczną herbatę. Później rozpięła palto, odczepiła od kołnierzyka złotą broszkę w kształcie strzały z dwoma szmaragdami, włożyła ją do podstawki i wsunęła razem do worka. Wydawało się, że chciała mi coś powiedzieć, ale się nie odezwała, tylko wskazała na wypchany woreczek.

Opowiedziałam o tym Wasilisie, która się przeżegnała i mocno pokiwała głową:

\* Oj, Heleno, wywiozą nas, wywiozą...

Ale nas nie wywieźli. Przypomniałam sobie o tym, gdy po trzech miesiącach zaczęła się ewakuacja fabryki. I o woreczku, i o broszce. Wasilisa wszystko miała już przygotowane. Wiedziała, co to są przedmioty pierwszej potrzeby. Dziwne tylko, dlaczego babcia uznała za stosowne pojawić się przede mną, a nie przed Wasilisą. Wasilisa była znacznie bardziej pojęta ode mnie i miała duże doświadczenie, chociaż w tym czasie niczego mi jeszcze nie opowiadała o swoim skrytym, bohaterskim, nieprawdopodobnym życiu.

Anton był przekonany, że nie dostanie wezwania na front. Był konstruktorem, prawie wszyscy fachowcy tego typu otrzymywali nakaz pracy, zwalniający ich od służby wojskowej. Ale w chaosie i z głupoty właśnie jego zmobilizowano, a ludzie gorzej od

niego przygotowani zostali w fabryce. Być może miało to jakiś związek z jego samotniczym charakterem: z nikim się nie przyjaźnił, nikomu się nie zwierzał. Prawdę mówiąc, nie widzę między wami, Taniu, ani jednej wspólnej cechy... Nawet nie zdążyliśmy z Antonem pożegnać się jak należy \* w fabryce zapanowała straszna panika. Jeszcze w końcu czerwca rozeszła się wieść o ewakuacji, trzeba było część bieżących prac oddać do archiwum, a cały oddział został zawałony papierami i wykresami. Liczbę pracowników zmniejszono o połowę, wszystko było wywrócone do góry nogami i beznadziejnie poplątane. Do tego jeszcze ty zachorowałaś, Taniu i Wasilisa przynosiła cię dwa razy dziennie do portierni, dokąd schodziłam i karmiłam cię piersią, ale mleka miałam mało i bardzo się denerwowałam, bojąc się, że w ogóle je stracę.

Tak więc skłopotani chorobą dziecka, rozstaliśmy się z Antonem i dopiero po jego odejściu \* punkt zborny wyznaczony był z jakiegoś powodu na ulicy Mytnej, Anton zaś zabronił mi go odprowadzać i zamiast mnie poszła Wasilisa \* zrozumiałam z całą wyrazistością co zaszło.

Przeplakałaś całą noc i w końcu usnęłaś, a ja zwałam się obok. Był upał. Mieszkanie nasze znajdowało się tuż pod dachem, latem zawsze trudno było w nim wytrzymać. A tu rzeczywiście wokół było gorąco, a ponadto śnił mi się żar. Ziemia \* nie ziemia, coś absolutnie nieznanego. Czerwonawa, sucha gleba, kamienista, pyłaca się. Na niej dziwne rośliny, podobne do kaktusów, ale wysokie jak drzewa. Pełno na nich kolców jak gdyby z ciemnoniebieskiego żelaza, ostrych, ruchomych. Drzewa oddychają poprzez te kolce, które to się wysuwają, to chowają, jak to się dzieje z pazurami u kotów podczas snu. Z przodu pomiędzy tymi kolącymi drzewami brnie z trudem Anton Iwanowicz, nie oglądając się za siebie. Jest w mundurze, ale mundur ma jakiś staroświecki, obcisłe skórzane spodnie, krótka kurteczka, a sam Anton Iwanowicz jest smukły i chudy jak chłopczyk. Jeśli jest między wami coś wspólnego, to może w figurze. Wąskie biodra, wyciągnięta szyja i podbródek. Tak, chyba tyle. Wcześniej nie przychodziło mi to do głowy.

Tak więc on się oddala, ja śpieszę za nim i dziwię się, dlaczego się nie zatrzymuje i

nie czeka na mnie. Tym bardziej że kaktusy \* choć stoją w miejscu jak normalne rośliny \* zaczepiają mnie i drapią swoimi kolcami, pomimo iż usiłuję trzymać się od nich z daleka... Odległość między Antonem i mną wciąż się zwiększa, chociaż ja idę szybko, a on powoli. A wołać nie wolno. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że to niemożliwe, zabronione. On wciąż się oddala i w ostatnim momencie widzę, że nie jest już piechurem, ale jeźdźcem, który bardzo zręcznie przeskakuje pomiędzy drzewami, aż znika ostatecznie. Wtedy dostaję jak gdyby zezwolenie na powrót, kaktusy wciągają swoje żelazne pazury i stają się coraz mniejsze, przybierają całkiem zwyczajną postać w rodzaju tych aloesów i collancho\*esów, które stoją w doniczkach na parapetach okien, ziemia traci swój czerwony kolor, staje się zwyczajna i trawa zwyczajna, jedynie bardzo miękka i pieszczotliwa...

Wasilisa czasami potrafi tłumaczyć sny. A tym razem powiedziała tylko:

\* Każdy idzie przeznaczoną mu drogą...

O rym wiedziałam nawet bez niej. Oczywiście, pierwsze, co mi przyszło do głowy, to to, że Anton zginie na wojnie. Bo dlaczego był w czarnym mundurze, po co te kaktusy, kolce... Dlaczego nie wolno było krzyknąć? Tutaj zawierał się główny sens. Najdziwniejsze, że w końcu kiedyś wszystko to się wyjaśni. Jestem przekonana, że niczego przypadkowego ani zbędnego w snach nie bywa...

Ale niezrozumiałych rzeczy pojawia się całe mnóstwo. W naszej powszedniości dla wszystkich jest jasne, że życie człowieka w sposób logiczny nieodwracalnie dzieli się na przeszłe, obecne i przyszłe. Do tego cyklu dostosowane są nasze myśli i uczucia. Nawet nasz język z jego gramatyką. Przy tym porażająca jest jedność każdej danej chwili, kiedy dwoje ludzi przebywa razem, załóżmy, że po prostu w jednym pokoju i oboje mają za sobą różną przeszłość, a przyszłość \* gdy tylko któreś z nich opuści pokój \* również inną i jedynie teraźniejszość \* to krótkie mgnienie \* jest wspólna. Takie chwile nie są rzadkie. I zapadają w pamięć bardzo mocno. Kiedy się je wspomina, jakby się odnawiają, ale powstaje przy tym jakaś nowa gramatyka, nie istniejąca w naszym języku... To tak trudno wyjaśnić, nie umieć tego zrobić... Pokazano mi wiele takich zjawisk, których nie potrafię ani zrozumieć, ani objaśnić. Na przykład, jeszcze na Syberii, kiedy leżałam w szpitalu po operacji, nie wiadomo



było właściwie, czy byłam jeszcze żywa, moja świadomość gdzieś pływała, w czymś wilgotnym, ale nie w wodzie. I ktoś mnie stamtąd wydostał \* i nagle znalazłam się na pomalowanym na biało żelaznym łóżku i pojawił się PA. I natychmiast stało się oczywiste, że całe to nagromadzenie jakichś wód, w których tylko co pływałam, to przeszłość, a ten łysy człowiek z wypukłym czołem i szeroko rozstawionymi oczami jest mi znany od zawsze. I w przeszłości, i w przyszłości. Ale on sam należy do terażniejszości. Nawet teraz, gdy to wspominam, czuję siebie w terażniejszości i to silniej, niż kiedykolwiek. Dlatego, że PA dysponuje jakąś szczególną siłą przebywania w terażniejszości, w czasie obecnym.

Ale jak różnorodne jest to, co przeżywamy w terażniejszości! Wiele rzeczy prześlizguje się przed nami bez śladu, zupełnie się nie zaznaczając, przemyka jakby nigdy ich nie było, a inne przesuwają się powoli, wyraźnie, w znaczący sposób \* tak jak gdyby słabemu uczniowi zalecono, by się nauczył po drodze wszystkiego na pamięć, niczego nie opuszczając, do ostatniej literki. W ostatnim czasie często ogarnia mnie strach, że o najważniejszych sprawach mogę zapomnieć. Piszę więc coś gorączkowo, rozumiejąc doskonale, że i tak zapomnę, a przede wszystkim utrwale jedynie odblask tego, co widzę i czuję...

Do dziedziny najważniejszej, ale zupełnie nie należącej do terażniejszości, odnoszą się moje przeżycia \* a może moje widzenie, czy to, co umownie nazwałam trzecią formą istnienia \* związane z Wielką Wodą. Nazwę to tak, gdyż trzeba znaleźć jakieś słowa na określenie tego stanu czy wydarzenia, co zresztą znaczy prawie to samo... PAjeszcze nie istniał, to było przed jego pojawieniem się. W ogóle zanim się pojawił, zdążyłam być w wielu miejscach, w tej liczbie i w Wielkiej Wodzie... Ale moje JA było wtedy czymś innym, niż obecnie: czymś niewyraźnym, małym, czymś dziecięcym czy niedorozwiniętym. I wydaje się, że ślepym, ponieważ nie zachowały mi się w pamięci z tamtego miejsca żadne obrazy, żadne kształty. W tamtej krainie nie było niczego twardego, ostrego, kanciastego, jedynie jakaś osnuwająca albo lejająca się miękka wilgoć. Samą siebie odczuwałam raczej jako istotę z wilgoci, anizeli cielesną. Ta wilgoć jednak się nie rozplýwała, stanowiła jakąś formę w rodzaju grudki krochmalu w rzadkim kisielu czy meduzy w przybrzeżnej pianie.

Bogactwo wrażeń w tym „ślepych” okresie było ogromne, ale wszystkie one dotyczyły powierzchni mojego, nie całkiem określonego w swoich granicach ciała, a moje JA było gdzieś w środku, ukryte głęboko... Wrażenia koncentrowały się głównie na smaku \* smaczne, niesmaczne, delikatne, grudkowate, gęste i kleiste, niekiedy słodkie i tak ostre, że wywoływało drżenie, nawet dreszcze, innym razem po prostu słodkie i szczególnie słodkie, od tej słodyczy nie można było się oderwać, ona wsysała jakby mnie całą i dokądś wiodła. Istniały też ruchy różnego rodzaju, coś podobnego do pływania, ale bardziej chaotyczne, .z wielkim wysiłkiem i były podczas tych poruszeń spotkania z różnorodnymi strumieniami, które omywały mnie pieszczotliwie lub bardzo energicznie, niczym przy masażu. Gładziły, dotykały laskotliwie, delikatnie wsysając i wypuszczając...

Najważniejszym odczuciem było zaspokojenie. Głodu, pragnienia, potrzeby dotyku, wzajemnego oddziaływania cieczy. Prawdopodobnie było ono pierwotnym zaspokojeniem seksualnym, ale nie związanym z jakąś określoną inną istotą.

Środowisko było pieszczące, płodne, wszystko w nim pęczniało, wynurzało się i częściowo rozpuszczało mnie w czymś innym, a to coś we mnie...

To był stan błogości. Wprawdzie długie, rzadkie nici bólu czasami wplatały się w ten stan i pobudzały do ruchu, ale nowy ruch powodował nowe poczucie błogostanu...

Tak w przybliżeniu się to działo...

A później nastąpiło coś zupełnie nowego i okropnego. Jeśliby dotąd nie panowały absolutne, nieprzeniknione ciemności, można byłoby powiedzieć \* nadszedł Mrok.

Przekraczał wszelką świadomość, docierał wszędzie niczym woda lub powietrze, był niepowstrzymany jak żywioł. I moje maleńkie JA w centralnym punkcie mego chybotliwego ciała skurczyło się całe w męce strachu.

To nie był ból na miarę człowieka, mający swoje stadia: początek, koniec, narastanie, zmniejszanie. Męka, którą odczuwałam, nie miała rozległości, była kompletna jak punkt geometryczny i cała skierowana we mnie. Czegoś podobnego doświadczyłam w dzieciństwie, gdy trafiłam do miejsca, gdzie przebywał mój zmarły dziadek.

Odczuwałam szczególnego rodzaju mdłości, ale to nie wywracał się mój żołądek, ani jego treść, to moje JA wrywało się z ciała, nie znajdowało wyjścia, wstrząsały mną

konwulsje. Moja nietykalna, tajemna, drogocenna, najgłębsza istota, chroniona warstwą mego rzadkiego ciała od zewnętrznych prądów, chłodu, ciepła, kwaśnej ostrości i nachalnej słodyczy drżała coraz silniej i bardziej męcząco, a ciało z jego galaretowatymi naczyniami, czułymi delikatnymi ujściami, wchłaniającymi w siebie gęste, kwaskowate płyny i z palczastymi wyrostkami różnego rodzaju, umiejącymi wydzielać własne płyny, powstające na nowo wewnątrz mego ciała, całe to o tak złożonej budowie ciało pragnęło zmniejszyć się, uciec, schować się przed potworem z wilgoci, który przykrywał niczym ocean całą moją powierzchnię... Ciało jakby wiedziało, że ten potwór przeniknie na wskroś, a nie tylko rozleje się po powierzchni...

Krzyżowały się dwa pragnienia: najgłębsza istota, przepojona przerażeniem od wewnątrz, wrywała się na zewnątrz, a ciało, dążąc do ukrycia się przed zgrozą z zewnątrz, usiłowało wejść do wewnątrz \* i w chwili, gdy stało się to nie do wytrzymania, moje jestestwo się skurczyło, zmniejszyło i prawie przestało istnieć... Chociaż konwulsje i skurcze rozrywały mnie na części, ten piekielny ból zawierał w sobie posmak rozkoszy.

Drobna wibracja, która na początku była ledwie odczuwalna i stanowiła zaledwie tło, nasiliła się, przyjęła formę krętej muszli i rozpoczęło się wsysanie, na skutek którego mrok, zgęstniały, wydawało się, do granic możliwości, zgęstniał o jeszcze jeden stopień. I wtedy moja istota nie wytrzymała, coś się szarpnęło wewnątrz i przesunęło \* zaczęłam wywracać się jakby na lewą stronę i od razu odgadłam, że wraz ze mną wywraca się cały świat...

To było męczące, ale przynoszące nadzieję. W tym wywracaniu brałam już udział, prawie jak położnica, fizycznie i duchowo pomagająca procesowi, który i tak się odbędzie nawet bez jej pomocy... Będzie tylko trwał dłużej i będzie trudniejszy. I ja właśnie tak jak położnica starałam się wywrócić jak najlepiej, chowając do środka wszystkie moje wydłużone części ciała, poprzednio swobodnie zawieszony w wodzie, wypychając na zewnątrz moje najskrytsze tajemnice. Czułam, że mi się to udaje. Siły mnie opadały, przerażenie prawie ustąpiło, teraz jednak zaistniało nowe, przedtem zupełnie mi nieznanne uczucie \* musiałam się śpieszyć. W tym nowym,

jeszcze nie w pełni urzeczywistnionym kształcie już tykał, już odmierzał niewidzialne granice nowy pomiar \* pomiar czasu. Postarałam się przyśpieszyć \* jakaś niewidoczna powłoka pękła nagle z ogłuszającym dźwiękiem. Wykręciłam się, wyrwałam na zewnątrz.

Błogość \* to stan bez bólu. Dopóki nie znałam bólu, nie mogłam sobie wyobrazić błogości. Ani przerażenia, ani bólu i jego odmian więcej nie było. Cały świat się odmienił i ja zostałam odmieniona. Zaledwie mała część mojego JA pozostała niezmieniona, ale była ona na tyle mała, że ledwie utrzymywała się sama w sobie, na krawędzi rozplynięcia się, na krawędzi zniknięcia.

Ogromna nowość polegała na tym, że ciało, dotąd rozmieszczone wokół swego nieokreślonego centrum, obecnie całe znalazło się wewnątrz, a moje tajemne wnętrze \* na zewnątrz i odczuwało słaby przepływ, lekkie poruszenie swoją nowo powstałą powierzchnią. Prawdopodobnie moje ciało, przyzwyczajone do czerpania ze świata zewnętrznego wszystkiego, co było mu potrzebne do własnej rozbudowy i do ruchu, nie całe pozostało wewnątrz, przynajmniej jedno ujście znalazło się na powierzchni i otworzyło się samo przez się. Nie wilgoć, ani woda, lecz powietrze nappełniło od wewnątrz moje ciało, ono z lekka się rozdeło, a potem znów opadło. Zaczęło się oddychanie. Nie zdążyłam nawet przemyśleć tego, że w każdym błogostanie, tak jak w bólu, istnieje zawsze wyższy poziom, a na mojej nowej powierzchni coś się rozkleiło i otworzyło, pojawiły się nowe ujścia \* zobaczyłam światło. Czyżby moje JA przejrzało? Czy też w świecie zaszło coś takiego, czego w nim przedtem nie było? Nie wiem. Powstało Światło. I powstały Oczy. Zamknęłam je, gdyż na szczycie błogostanu zaistniał ból...

Dla kogo i po co piszę te Zapiski obłąkanego? Kto mi uwierzy, jeśli ja sama sobie nie w pełni wierzę? Czy przeczytasz to wszystko do końca? Czy w ogóle ktokolwiek to przeczyta? I po co?

Może wcale to nie jest potrzebne?... Zwracam się niby do ciebie, Taniu, ale niekiedy o tym zapominam i piszę co mi przychodzi do głowy, byle tylko się nie rozplynęło w niepamięci.

Wczoraj, gdy wróciłam z pracy, Wasilisa powiedziała mi, że dzwoniła do mnie... Po

pięciu minutach już nie pamiętałam, jakie nazwisko wymieniła. Pytałam raz jeszcze i raz jeszcze Wasilisa mi je podała. A dzisiaj rano znowu tego nazwiska nie pamiętam. Jeszcze więcej \* wydaje mi się, że wczoraj rozmawiałam przez telefon z którąś z koleżanek, ale nie mogę sobie przypomnieć z którą... Jakieś dziwne roztargnienie, kompletny brak uwagi. Staram się, by tego nie zauważono. Mam wrażenie, że podczas pracy ten stan przejawia się w najmniejszym stopniu. Tam o niczym nie zapominam, niczego nie płaczę. Go prawda, w żaden sposób nie mogłam zapamiętać imienia nowej kreślarki. Musiałam zapisać na kartce „Waleria”, a kartkę wrzucić do pojemnika na ołówki. Ale od razu zapamiętałam. Teraz przypominałam sobie w końcu, kto wczoraj telefonował \* to była Wala, żona Ilji Goldberga. Dzwoniła z ulicznego automatu, było jakoś niewyraźnie słyhać, nie zrozumiałam dobrze o co jej chodziło. Prosiła, żeby PA wziął w coś udział. Zapomniałam mu to przekazać... Wydaje mi się, że PA zauważył, że ze mną coś nie jest w porządku. Czasami łowię na sobie jego „medyczne” spojrzenie. Od śmierci Lizawiety\*stróżki przed pół rokiem nasze stosunki całkiem się popsuły. On próbował kilka razy ze mną się rozmówić, widzę, że cierpi z tego powodu, ale ja nie mogę nic na to poradzić. Słowa, które wówczas wypowiedział, wciąż stoją między nami, nie wiem, czy potrafię kiedykolwiek je zapomnieć. „Nie jesteś kobietą, nie masz tego narządu.” To prawda. Ale dlaczego jest to tak znieważające?

W domu zrobiło się źle, wszystkim źle. Tylko mała nasza podopieczna czuje się świetnie. Posypuje sobie cukrem biały chleb z masłem i zjada codziennie batonik ze szczęśliwą, pełną uniesienia miną. Ale patrzy przy tym koso, ukradkiem, z poczuciem winy. Poprawiła się w sobie. Tania podciągnęła ją

w nauce. W rezultacie \* to wprost nie do pojęcia \* z jej powodu straciłam PA.

Taniu, po co ci to piszę? Masz zaledwie dwanaście lat! Ale ty dorośniesz i pokochasz kogoś, a wtedy wybaczysz mi te wszystkie głupstwa.

On dużo pije, przez cały czas czuć od niego wódkę lub w ogóle alkohol. Chodzi ponury. Jestem przekonana, że tu nie tylko o mnie idzie.

Na „stary” Nowy Rok Wasilisa, która uznaje tylko stary kalendarz, przygotowała stół, upiekła swój niezbyt udany pieróg z kapustą grubości nogi, zrobiła sałatkę z kielbasy

z kartoflami. Ugotowała studzieninę z nóżek. Przez cały dzień w domu utrzymywał się zapach jej wyczynów kulinarnych. Skończył się dla niej na krótko niekończący się post. Wieczorem PA podszedł do stołu i położył przede mną gazetę. Podkreślony był artykuł o lekarzach\*zabójcach. Spojrzałam na zawarte w nim nazwiska \* połowa jego przyjaciół. W większości Żydzi. PA nalał sobie szklankę wódki, zagryzł pierogiem. Potem mrugnął porozumiewawczo do Tani, pogładził po głowie Tomę \* ta cała „rozkwitła” \* i poszedł do swego gabinetu... Bardzo chciało mi się z nim porozmawiać, ale nie było możliwości.

Położyłam się spać i przed snem poprosiłam, aby mi wytłumaczono, co to się dzieje, co będzie z nami wszystkimi. Ale we śnie niczego mi nie pokazano.

14.

Od 13 stycznia 1953 roku Paweł Aleksiejewicz przechodził kolejny nawrót pijaństwa. Tym razem nie było jednak ani wesołej hulanki, ani daczy. Był zasepiony, milczący, nie podchodził do telefonu. W klinice pokazywał się zaledwie trzy razy w tygodniu i o drugiej po południu już wracał do domu. Tania, z którą zazwyczaj spędzał dużo czasu, teraz przebywała wciąż w towarzystwie Tomy.

Oboje krępowali się zostawiać Tomę samą, robić jej przykrość, dlatego też jedynie z samego rana Tania zaglądała na kilka minut do ojcowskiego gabinetu, aby poszeptać, pochichotać, powiedzieć mu do ucha jedno z dziecięcych przezwisk.

Jeszcze innych dwoje dzieci pojawiała się w ich domu: to synowie Ilji Goldberga. Giennadij i Witalij, chudzi, niezgrabni, pryszczaci, o łamliwych głosach. Przyjeżdżali prawie codziennie na obiad. Zaprosiła ich Helena, wiedząc, jak im ciężko się żyje: Goldberg przebywał w więzieniu jeszcze od tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, a teraz Walę, która pracowała w laboratorium lekarza\*Żyda, aresztowanego ostatnio, zwolniono z pracy z dnia na dzień. Pozostawiona bez pracy \* rozchorowała się. Z jednego ataku serca przechodziła w drugi, korzystając z krótkiej przerwy, by pojechać do męża z paczką. Wciąż nie mogła się nadziwić, od czego stała się taka chorowita...

Wasilisa, przez której zdeformowane, dobroczynne ręce przeszły setki przekazów pieniężnych i przesyłek, była niezadowolona z tych obiadowych wizyt: według niej, jałmużnę należało dawać w postaci chleba albo drobnych pieniędzy, ale nie pańskich kotletów. Helena domyślała się przyczyny jej niezadowolenia, ale milczała...

W całym kraju odbywały się zebrania oburzonych obywateli, a w ochronie zdrowia przedsięwzięcia tego rodzaju organizowane były ze szczególnym zapałem. Wszyscy, zajmujący znaczniejsze stanowiska, byli obowiązani się wypowiedzieć i potępić przestępców. Po raz pierwszy Pawła Aleksiejewicza oświeciła prosta myśl, że wszystkich lekarzy, co do jednego, wciąga się we współudział w haniebnym oskarżeniu. On sam nie miał najmniejszych wątpliwości co do całkowitego braku winy lekarzy. Paweł wpadł w głęboką depresję i po raz pierwszy w życiu zaczął myśleć o samobójstwie. Gruby, oprawny w czerwoną skórę tom Mommsena z jego starannie opracowaną historią Rzymu stale leżał na biurku Pawła i podpowiadał: w postantycznym świecie, tak bardzo cenionym przez niego, samobójstwo nie było traktowane jako grzech, ale jako odważne wyjście z beznadziejnej sytuacji dla zachowania honoru i godności. Do tej kuszącej myśli Paweł Aleksiejewicz próbował się przymierzać...

Dreńczyły go nieporozumienia z żoną, które nie dawały się załagodzić, a raczej się pogłębiały. Ukochana córka była za mała, by traktować ją jako powiernika. Najbliżsi przyjaciele zostali aresztowani: genetyk Ilja Goldberg, patoanatom Jaków Szapiro, oftalmolog Pietia Kriwoszejn... Oprócz jednego chyba Saszy Makłakowa, dawnego kolegi uniwersyteckiego, który dawno temu odszedł od praktykowania medycyny, stał się urzędnikiem i zupełnie niespodziewanie znalazł się obecnie w gronie zajadłych prześladowców Żydów...

Największa jednak niespodzianka oczekiwała Pawła Aleksiejewicza w jego własnym domu \* Wasilisa, dogłębnie nienawidząca władzy sowieckiej, pierwszy raz w życiu z pełnym przekonaniem dała się złapać na haczyk: sprawa ukrytych wrogów, podstępnych lekarzy, Żydów \* diabelskich czarowników \* znalazła odzew w jej tkwiącej w średniowieczu duszy. Układał się jej ogólny obraz życia: Żydzi dokonali rewolucji, Żydzi zabili cara, Żydzi zniszczyli cerkiew. Czegóż jeszcze można

oczekiwać od tych, co ukrzyżowali Chrystusa?

Wasilisa była przerażona, wzdychała głośno, modliła się. Z ulicy, z kolejek do sklepu przynosiła najbardziej nieprawdopodobne historie o lekarzach, którzy zarażali chorych trupią krwią, oślepiali noworodki, zaszczepiali raka rosyjskim pacjentom z odstającymi uszami. Pojawiła się ogromna liczba świadków i ofiar. Ludzie odmawiali leczenia się u lekarzy żydowskiego pochodzenia, nastąpiła masowa psychoza strachu przed otruciem czy uszkodzeniem... Zmniejszano etaty, przeprowadzano czystki, zmieniano regulaminy... Demaskatorka tajnej bandy Lidia Timaszuk otrzymała Order Lenina...

W tym czasie Wasilisa, mimo woli, stała się jedyną rozmówczynią, a właściwie słuchaczką Pawła Aleksiejewicza. Helena wychodziła do pracy, dziewczynki do szkoły. Wasilisa po odbyciu swego porannego rajdu po sklepach wracała do domu i zastawała w kuchni Pawła, oczekującego na nią z zaparzoną kawą. Paweł przejawiał najwyższy stopień braku wrażliwości i absolutnie ignorował jej oczywisty brak zainteresowania i całkowitą niezdolność do podtrzymywania rozmowy. Podczas gdy ona rozpakowywała połatane koszyki, rozsiadał się z herbatą albo czymś mocniejszym i zaczynał niespieszny wykład... Wykład właściwie był przeznaczony dla innego audytorium, bardziej oświeconego i licznego, ale takiego nie było. Trudno było opowiadać studentom o historycznych poszukiwaniach, dotyczących tym razem nie problemów medycznych, a historii antysemityzmu i jego religijnych i ekonomicznych korzeni. Pierwotnym źródłem był Mommsen, potem Paweł Aleksiejewicz wertował Józefa Flawiusza i innych autorów starożytnych, zaczytywał św. Augustyna, niektórych ojców kościoła... Nastawił się na średniowiecze... Ku jego zdziwieniu, antysemityzmem grzeszyła cała cywilizacja chrześcijańska.

Wasilisa z zasepioną twarzą kroїła energicznie nożem marchewkę, przebierała kaszę jaglaną i tatarkę, szatkowała kapustę. Nie można powiedzieć, żeby nie słyszała Pawła Aleksiejewicza, ale świetne jego wykłady były dla niej jakby w obcym języku.

Wyciągnęła z nich tylko pewien ogólny wniosek, że Paweł nie wierzy w podstępność Żydów, a przeciwnie, potępia tych, którzy ich atakują. Paweł Aleksiejewicz,



zapalając się, cytował coś po łacinie i po niemiecku, czym wprawiał biedną Wasilisę w jeszcze większe pomieszanie. Czy przypadkiem on sam nie jest Żydem? Jeszcze niedawno wierzyła w Pawła Aleksiejewicza jak w Pana Boga, ale po nieszczęsnym odkryciu, po jego przyznaniu się, że stara się ze wszystkich sił, by państwo zalegalizowało zabijanie dzieci, nie wiedziała, jak do niego się odnosić. Ile rozdał dobra, nie rachując, ilu ludziom pomógł, nie znając nawet ich nazwisk \* a dzieci wyrzyna z brzucha, zabija te maleństwa... A może to antychryst? Wszystkich odcieni pomiędzy czarnym i białym, nie mówiąc już o różowym i zielonym, Wasilisa jakby nie zauważała, dlatego też, zacisnąwszy usta, smażyła cebulę i zachowywała pełne, nieprzyjazne milczenie.

Dopiwszy do dna podczas dwugodzinnego monologu butelkę wódki, Paweł Aleksiejewicz zauważył, że Wasilisa nie tknęła zaparzonej przez niego własnoręcznie kawy.

\* Wasiliso, a czemu to Wasilisa nie wypila kawy? Boi się trucizny, czy co? \*  
zażartował.

\* A może i tak \* burknęła Wasilisa.

Paweł zaśmiał się, ale śmiech uwiązł mu w gardle. Jego nastrój, jak to bywa po wódce, natychmiast się zmienił. Ogarnęło go obrzydzenie do życia. Sposepniał, oklapnął:

\* Taki wielki naród, czort by go wziął...

Wasilisa przeżegnała się i zaczęła szeptać modlitwę o pomoc: Paweł Aleksiejewicz w jej oczach stał się jakiś podejrzany.

15.

Epoka stalinowska skończyła się piątego marca, ale ludzie długo jeszcze tego się nie domyślali. Wczesnym rankiem ogłoszono przez radio komunikat o śmierci wodza. W rzeczywistości nie żył już od kilku dni, ale zakłopotanie tych, którzy powinni teraz byli dowodzić sowiecką nawą, było tak ogromne, że postanowili zawiadomić świat najprzód o jego chorobie. Fałszywe biuletyny informowały nie tylko o stopniowym

pogarszaniu się już nie istniejącego zdrowia, ale cytowały terminy medyczne i cyfry, które same w sobie nic prawie nie mówiły zwykłym ludziom, ale sam zestaw słów „Analiza moczu w normie” oznaczał, że niebianie również rozpinają rozporek, wydostają dużym i wskazującym palcem członek i oddają trochę moczu. Niechby nawet najlepszej jakości, ale moczu! To był pierwszy, druzgocący cios w kult jednostki. Nowi rządzący potrzebowali czasu na oswojenie się z myślą, że najbardziej nieśmiertelni w końcu jednak również umierają.

Ludzie w kraju reagowali gwałtownie: szlochali, mdleli, dostawali zawału serca. Inni oddychali z ulgą, radowali się w sekrecie i po cichu triumfowali. Ale nawet skryci wrogowie zmarłego wodza \* jawnych nie było już od dawna \* czuli się dezorientowani: jak teraz żyć bez niego?

W rodzinie Pawła Aleksiejewicza można było dostrzec całe spektrum możliwych reakcji. Toma, która zadziwiła wszystkich rzeczowym chłodem na pogrzebie własnej matki, tym razem dławiała się od płaczu. Przez całe dwa dni szlochała \* z małymi przerwami najedzenie i sen. Chleb, który jadła, niczym w biblii oblewała milcząco Izami.

Tania odczuwała wielki niepokój i niezręczność: nie znajdowała w sobie niczego, co można by porównać do gorących uczuć Tomy. Było jej wstyd za własną nieczułość i na ile potrafiła, dzieliła smutek Tomy. Ta płakała tak słodko i tak zapamiętała, że Tani właściwie z żalu nad nią udało się uronić kilka łez, ale nie z tego ogólnego powodu.

Paweł Aleksiejewicz odczuł ogromną ulgę: będą zmiany, teraz muszą być zmiany. Absurdalną sprawę lekarzy \* według niego \* powinno się zaniknąć. Liczył na zniżenie kursu i nawet wyjął z biurka zleżalą kartonową teczkę z wyraźnym granatowym napisem „Projekt”...

Natomiast Wasilisa, dawny zajadły przeciwnik władz, która ze złośliwą satysfakcją przyjęła wiadomość o śmierci Stalina, nazajutrz spochmurniała, wpadła w otępienie i wciąż powtarzała, kręcąc nieustannie głową z małym koczkiem pod czarną kosynką:  
\* No i co teraz będzie?

Paweł Aleksiejewicz, obserwując jej zdesperowanie, uśmiechał się:

\* Przeżyjemy to z Bożą pomocą!

Helena, usłyszawszy odpowiedź Pawła, też się uśmiechnęła: wydało jej się bardzo zabawne, że niewierzący Paweł przypomina Wasilisie o Bożej pomocy.

„Gdy tylko sprawa trochę przycichnie, jeszcze raz spróbuję odnaleźć moich” \* postanowiła Helena.

Los jej rodziców już od trzydziestego ósmego roku był okryty ścisłą tajemnicą. Dawno skończyło się dziesięć lat bez prawa do korespondencji, ale w odpowiedzi na swoje zapytanie, złożone jeszcze w czterdziestym dziewiątym, otrzymała pismo, z którego wynikało, że nie będąc krewną, nie ma prawa pytać o matkę i ojca.

Wymuszone okolicznościami przysposobienie Heleny przez babkę uchroniło ją przed represjami, ale teraz pozbawiało prawa do wyjaśnienia losu zaginionych w Kraju Ałtajskim prawdziwych rodziców...

\* Jeszcze gorzej teraz będzie, jeszcze gorzej \* mruzczała Wasilisa.

A Helena, cicha jak zwykle, kręciła głową:

\* Nie będzie gorzej, nie będzie...

Nauka i praca w dniach ogólnonarodowej żałoby wydawały się bluźnierstwem.

Pracownicy przychodzili do swoich zajęć, ale zabierano ich na mityngi.

Zwierzchnicy wszystkich szczebli \* wysokiego, średniego i całkiem niskiego, a także zwykli ludzie sowieccy wypowiadali bezładnie zaprawione żalem słowa \* coś w rodzaju mannej kaszy na wpół z konfiturami \* płakali, wysyłali pełne żalości telegramy pod najwyższy adres: Moskwa, Kreml... Potem pili herbatę z markotnymi twarzami, palili aż do odurzenia i znowu wypowiadali te same słowa, koślawe i szczere, i znowu płakali, ale już nie na trybunie, a w palarni... Niektórzy, inaczej myślący, wstydliwie odwracali wzrok, nie znajdując w sercu współczucia, ani łez w woreczkach łzowych.

Dzieci gromadzono w szkołach, ale lekcji nie było, zamiast nich trwała jakaś męcząca, nerwowa bezczynność. Czytano wiersze o Stalinie, słuchano Beethovena z czarnego aparatu radiowego... Tania dobrze zapamiętała te puste, wlokące się godziny, pełne duchoty i powstałej ze zwykłej szkolnej nudy jakiejś nudy infernalnej. Przy gipsowym popiersiu, udekorowanym gałązką wiecznie zielonego ostrokrzewu i sztucznymi kwiatami, pełniły honorową wartę zapłakane pionierki, prawie tak

bladogipsowe, jak sam zmarły przywódca. Chudziutka Sonia Kapitonowa, zajmująca zwykle najwyższy rząd w gimnastycznej piramidzie i jeszcze niedawno wykrzykująca z wyżyn żywej wieży \* stojąc na chwiejnych ramionach swoich bardziej krzepkich koleżanek z niższego rzędu \* „Dziękujemy towarzyszowi Stalinowi za nasze szczęśliwe dzieciństwo”, padła zemdlona u podnóża popiersia i uderzyła skronią o masywne podium. Dzielny nauczyciel wychowania fizycznego, prawie jedyny mężczyzna w tym gronie pedagogicznym, zaniósł ją na rękach do gabinetu lekarskiego, ku nieskrywanej zawiści uczennic ze starszych klas.

Nauczycielki zaczęły biegać, wezwały pogotowie, tłum podnieconych dziewcząt kłębił się pod gabinetem lekarza, a Tania stała u okna w przedsionku do ubikacji, patrzyła na śnieżną mgiełkę na dworze i znowu wyrzucała sobie swoją nieczułość.

Już stało się wiadome, że pożegnanie z całym narodem zacznie się nazajutrz o dwunastej, w Sali Kolumnowej Domu Związków Zawodowych. Dyrektorka powiedziała, że wszystkie uczennice pójdą ustawione szeregami, ale nie w pierwszy dzień. Dziewczynki denerwowały się, że zostaną oszukane i nie będą poprowadzone w ogóle. Toma była zdecydowana, żeby spenetrować wszystko wcześniej i pójść samej wczesnym rankiem, by zawczasu zająć kolejkę. Była przekonana, że ze szkoły pójdą tylko uczennice starszych klas i przodownice w nauce.

Toma uczyła się dość słabo, chociaż podciągnęła się z pomocą Tani, ale miała bardzo dużo życiowego sprytu, aż nadto. Toma znalazła Tanię w ubikacji, przyciągnęła do siebie i szepnęła do ucha:

\* Nadieżda Iwanowna powiedziała, że jutro wszyscy pójdą do Sali Kolumnowej.

Tam wystawiono trumnę, kto chce, może iść popatrzeć. Pójdziemy, co?

\* Nas nie puszczą \* pokręciła głową Tania. \* Tata za nic nam nie pozwoli.

\* A my jemu nic nie powiemy. Pójdziemy niby to do szkoły i nie powiemy...

Tania zamyśliła się \* propozycja była kusząca. Bardzo jej się chciało zobaczyć martwego Stalina. Przypomniała sobie przy okazji, że jej nie zabrano na pogrzeb matki Tomy. Z drugiej jednak strony nie umiała okłamywać domowników...

Wyszły razem ze szkoły. Na ostatnim zakręcie w kierunku domu Toma stanęła jak mała kózka i oświadczyła stanowczo:

\* Ty jak sobie chcesz, a ja teraz prosto pojedę do Sali Kolumnowej i o wszystko się dowiem...

To się zdarzyło po raz pierwszy w ciągu ich prawie rocznego wspólnego życia, że Toma podjęła własną, niezależną decyzję. Zwykle we wszystkim podporządkowywała się Tani. Tania podreptała w miejscu \* i obie rozeszły się każda w swoją stronę: Tania zawróciła, jak zwykle, do domu na Nowosłobodzką, a Toma poszła w dół ku centrum po Kalajewskiej.

W domu obecna była tylko Wasilisa, która nie zapytała o Tomę. Toma wróciła przed szóstą. Jej nieobecność przeszła niezauważona. Przed snem dziewczynki długo ze sobą szeptały. Dzięki swojej wyprawie Toma wiedziała to, o czym nie wiedziała większość mieszkańców miasta: że centrum jest otoczone, wozy ciężarowe i żołnierze zagradzają wszystkie przejścia i ludzie już wieczorem zaczęli się ustawiać w długie kolumny...

Tania źle spała: męczył ją jakiś niekończący się sen, z którego chciała się obudzić, ale jej się to nie udawało. We śnie była owładnięta uporczywym poczuciem obowiązku i jakąś dręczącą ideą, że jeśli się obudzi, to się uchyli od spełnienia tego obowiązku... Obowiązek polegał na tym, iż należało dokądś odnieść coś ważnego. Co to było \* w pamięci Tani się nie zachowało, ale było to coś małego, nie większego niż pięść, nie dającego określić się bliżej i niewidzialnego. Przez całą noc biedna Tania wdrapywała się na jakieś puste schody, szukała przejść i windy. Musiała znaleźć jakiś adres, ale nie było widać żadnych numerów, nawet na drzwiach, gdzie te numery powinny być napisane. A przy tym bardzo się śpieszyła, bo w podyktowanych we śnie warunkach podkreślona była pilność dostawy. Wszyscy, których spotykała po drodze albo się jej bali, albo jej szkodzili \* nikt nie chciał z nią rozmawiać...

Toma obudziła Tanię bardzo wcześnie. Ona rano zawsze łatwo wstawała z łóżka, jak na wsi. Dziewczynki przemknęły się do kuchni. Wasilisa pozostawała jeszcze w swoim pokoiku, nie było więc, prawdopodobnie, nawet wpół do siódmej.

To miał być spiszek, ucieczka, wagary plus wyprawa do miasta. Tania przygotowała kanapki i zawinęła je w kawałek kalki kreślarskiej z matczynej pracy, w którą zawsze wszystko pakowano. Ojciec zabierał zazwyczaj na dalsze spacerzy termos, ale Tania

nie wiedziała, gdzie był schowany. Toma zagotowała wodę, wypity więc po szklance herbaty z wczorajszą esencją. Tania nadśluchiwała \* z pokoiku obok dochodziło jeszcze mamrotanie, ale trzeba było się śpieszyć, przed siódmą Wasilisa kończyła swoje obowiązkowe modlitwy.

\* Zawiadomienie ty napiszesz \* ze skrytą rozkazującą intonacją powiedziała Tania, podając Tomie kawałek papieru.

\* A co napisać? \* spytała Toma.

\* Że dziś musimy wcześniej wyjść do szkoły.

\* Sama napisz, ty piszesz lepiej \* uprzykrzała się Toma. \* Jeśli ja napiszę, oni zaraz się domyśla, że ja kłamię \* Tania wsunęła w rękę Tomy ołówek. \* Pisz, pisz!

Włożyły palta, Toma nowe, niedawno dla niej kupione. Tania \* stare, nadsztukowane kawałkiem baranka. Toma wsunęła na nogi walonki i kalosze. Tania sznurowane, wysokie buciki, obszyte puszystym futerkiem, dumne czerwone buciki, uszyte na zamówienie w niedostępnej dla szerokiej publiczności pracowni. Nikt takich nie miał. Paweł Aleksiejewicz był niezadowolony, gdy zobaczył ten nowy zakup \* nie jest dobrze wyróżniać się w tłumie. Tamtego dnia wszystkie szczegóły miały znaczenie, nawet te godne zazdrości buciki...

W ciągu pięciu minut zbiegły na dół, schowały za kaloryferem swoje szkolne teczki, przełożywszy uprzednio do kieszeni przygotowane kanapki i poszły w kierunku metra. Dojechały tylko do stacji Biełorusskaja. Przejście do kolejki w kierunku centrum było zamknięte, gdy wyszły na górę, spostrzegły, że ulica Gorkiego jest zagrodzona. Zobaczyły morze czerwono\*czarnych flag. Toma, osoba praktyczna, zastanawiała się, kiedy taką ilość zdążono uszyć. Potem piechotą wróciły na Nowosłobodzką i przez Kalaj ewską wyszły na ulicę Czechowa.

W miarę zbliżania się do placu Puszkina ludzi było coraz więcej i chociaż komunikacja miejska została wstrzymana, i ludzie szli po jezdni, przy placu utworzył się ogromny korek, przejście do ulicy Gorkiego było zastawione ciężarówkami i ochraniane przez żołnierzy. Toma, która znała miasto znacznie lepiej od Tani, pociągnęła ją gdzieś w lewo, aż znalazły się na ulicy Puszkina, w zbitym tłumie milczących ludzi.

W mieście, przyzwyczajonym do kolejek, tak ogromnej kolejki nigdy jeszcze nie widziano. Na razie zachowywała ona swój typowy charakter: poruszała się, przesuwała nieco do przodu, falowała, wymyślała sobie, cuchnęła i jak się zdawało, spełniała swoją rolę, by w pełnym porządku, sprawiedliwie, dać każdemu po kawałku tego, czego pragnie, w tym przypadku fragment widowiska, o którym każdy z uczestników do końca swego życia będzie mógł opowiadać... Była jednak w tej kolejce szczególna osobliwość, która czyniła ją jedyną i niepowtarzalną w całym życiu sowieckim: ludzie przyszedli tu z własnej woli, a nie zmuszeni koniecznością dnia codziennego, żeby wyrwać rację chleba, kawałek mydła, litr nafty czy pud kaszy jaglanej... Ludzie ci stali od nocy, by spełnić obywatelski obowiązek, oddać cześć, wspólnie dać wyraz bóleści, wypowiedzieć swój smutek... I jeszcze \* coś żywołowego, wspólnego ludziom i zwierzętom, tak jak przecucie trzęsienia ziemi czy dochodzący zapach płonącego lasu, wyгнаło ich z domu i skupiło w ciasne, jednolite stado. Kto nie mógł, tak jak mała Tania, odszukać w głębi duszy tego niepokonanego wezwania, pozostał w domu... Tanię jednak przyprowadziła prostoduszna Toma, dziecko podwórkowych wspólnot miejskich, bardziej podatne na prawa, rządzące stadem.

Nikt nie organizował tego pogrzebowego pochodu wzorem wszelkich innych demonstracji. Milicja, sparaliżowana po części wprowadzeniem wojska, po części zbity z tropu różnymi, wzajemnie się wykluczającymi zarządzeniami władz miejskich, nie mogła w żaden sposób dać sobie rady z tymi pokornymi kolejkami, powoli, nieuchronnie napierającymi jedna na drugą.

Dziewczynki przeciskały się między ludźmi, ominęły teatr, dokąd jeszcze niedawno przyprowadzono je na Jezioro łabędzie, a teraz trudno było sobie wyobrazić, że na świecie istnieje coś tak zdumiewająco głupiego jak balet... Przedarły się do rogu Stolesznikowa i zatrzymały przy małej kwiaciarni na narożniku. Witryna mieszczącego się w półsuterenie sklepu znajdowała się tak nisko, że gruba rura wodociągowa, wbita w ścianę domu, odgradzała zagłębione na pół metra szkło witryny. Rządka metalowa siatka zakrywała prostokątny włącz pod oknem. Powolny, zgęszczony tłum jak gdyby został przyhamowany, a potem nagle, gdzieś z dołu od

ulicy Puszkina rozległ się dziwny, nabierający mocy dźwięk \* coś pomiędzy szumem a zawodzeniem, przeciągłym jękiem i zduszonym krzykiem...

Ten dźwięk się przybliżał, narastał i wydawał się być czymś odrębnym od tłumu, czymś w rodzaju wiatru czy deszczu. Dziewczynki, trzymające się za ręce, zwały się jeszcze mocniej ze sobą. Tłum, zatrzymany na chwilę, ruszył i popchnął je prosto na rurę, ogradzającą witrynę. Stojąca przed nimi kobieta w dużym kołnierzu ze srebrnego lisa upadła i dziko zawyła. Rura jak gdyby przełamała ją na pół. Przez mgnienie oka kobieta wisiała na rurze, a potem naciskający ludzie wepchnęli dolną połowę jej ciała we właz pod oknem i biedaczka wpadła tam z głośnym łoskotem... Podczas upadku już nie żyła, takjak lis jej na ramionach. Tłum pchnął dziewczynki obok rury i powlókł aż na drugą stronę ulicy, prosto na jedną z ciężarówek, ustawionych rzędem jedna obok drugiej. Widziały jak przed momentem kobieta została rozgnieciona o rurę, zdawały sobie sprawę, że nie zdołają się uratować, jeśli zostaną wciśnięte w bok ciężarówki.

\* Pochyl się! \* krzyknęła Toma. To był jedyny ruch, możliwy do wykonania \* pochylić się ku dołowi. Popchnięto je prosto pod samochód. Tutaj pomiędzy kołami, wśród rozrzuconych, pojedynczych kaloszy padły na ziemię. Ściśnięte ludzkie nogi i poły ubrań zasłaniały światło z lewej i z prawej strony. Było duszno i strasznie. Toma zaczęła płakać.

\* Nie płacz \* powiedziała Tania. Toma zwróciła ku niej pobladłą twarz.

\* Żal Stalina...

\* Ale jesteś głupia \* dorosłym, zmęczonym głosem dodała Tania.

Jej nie było go żal ani trochę. Czuła się paskudnie jak to po dokonaniu złego uczynku. Na pewno z tego powodu, że obie opuściły szkołę. Jaki to wstyd, jak przykro, że skłamała... Szczególnie wobec taty... Rodzina już na pewno wie, że obie z Tomą nie były w szkole. Wasilisa czeka z obiadem, zdumiona, że gdzieś przepadły... Przeleżały dość długo pod ciężarówką. Śmierdziało tam publiczną toaletą, smarem i benzyną. W jakimś momencie las butów, wystrzępione spodnie i poły długich palt poruszyły się, przesunęły z miejsca i jak gdyby się rozrzedziły.

\* Chodź, spróbujemy się wygramolić \* Tania pociągnęła Tomę spod ciężarówki.



W tej chwili utworzył się jakiś prześwit, wysliznęły się na zewnątrz ze swej kryjówki. Leżąc pod ciężarówką, zdążyły zapomnieć jak łatwo zgubić się w tłumie: wzajemny uścisk osłabł, ręce się rozczepiły i obie z Tomą zostały natychmiast powleczone w różne strony... Zaczęły rozpaczliwie krzyczeć, ale jeszcze słysząc nawzajem swoje głosy, popłynęły w nieznanym kierunku jak dwie drzazgi w rwącym potoku...

Gdy się zgubiły, silny, ale jednak zwyczajny strach zamienił się w paniczne przerażenie. Tomę tłum przewracał i ciągnął ku ścianie domu, którego witryny na parterze, gdzie mieścił się komis z futrami, zdążono zabić deskami. Deskami zabezpieczono też od wewnątrz podwójne drzwi wejściowe z ulicy. W dole, na wysokości piersi Tomy część drewnianych drzwi była wybita, deski się ruszały. Kiedy Tomę przyparto do tych desek, nacisnęła jedną z nich ramieniem, deska się obsunęła i Toma wpadła w ciemną przestrzeń pomiędzy drzwiami, jak do szafy. Usiadła w kucki i ucichła.

Toma nie pamiętała, ile minut czy nawet godzin przesiadziała skurczona, obserwując przez szeroką szczelinę w drzwiach powoli idące jedna za drugą nogi w rozdeptanych butach... Aż do chwili, kiedy ujrzała znany sobie czerwony bucik. Poderwało ją. Odchyliła deskę, wczepiła się w nogę powyżej futerkowego obszycia i zawołała ze wszystkich sił:

\* Taniu! Taniusiu!

Tani wydało się, że pies ją złapał za nogę. „Skąd mógłby tutaj znaleźć się pies?” \* przemknęło jej przez głowę i wtedy usłyszała głos Tomy:

\* Taniu! Właż tutaj, na dół!

Nie puszczając nogi Tani, Toma całym ciałem nacisnęła na ruchomą deskę, która posłusznie się odchyliła i Tania, przysiadłszy, wcisnęła się w wąską przestrzeń między podwójnymi drzwiami. Te ruchy ku dołowi, ku ziemi, które tylu ludzi zgubiły tamtego dnia, ocaliły obie dziewczynki.

Przyłgnęły do siebie jak rozłączeni zakochani, objęły się nawzajem i zastygły w bezruchu. Właśnie wtedy stały się prawdziwymi siostrami. Wszystko, co istniało przedtem, pozostawało nadal: i Tani niekwestionowana wyższość, wyrozumiała

opiekuńczość, i Tomy uniżone poszanowanie i poddańcza wdzięczność, i jej wewnętrzna przypochebna zależność \* ale ich wymuszone okolicznościami siostrzane stosunki, do tej pory wątpliwe, nawet fałszywe, stały się rzeczywistością. Przez całe życie pamiętały potem tę chwilę. Nie zwietrzało wspomnienie pozostawania w objęciach przez dłuższy czas zaledwie o dziesięć centymetrów od zdeptanego tłumu, od samej śmierci, którą wyobrażały sobie obie od tamtej pory jako ciasne, ciemne, smrodliwe miejsce, gdzie nieszczęśni uwięzieni zostają zduszeni, sprasowani do takiego stopnia, że nie da się już rozróżnić ich twarzy, kończyn, a nawet dusz...

Nagle Toma wykrzyknęła:

\* Taniu, a nasze teczki gdzieś za kaloryferem leżą w sieni!

\* A kanapki, kanapki! \* przypomniała sobie Tania i wyciągnęła z kieszeni pokruszone doszczętnie kawałeczki chleba.

I wybuchnęły śmiechem \* nie wiadomo dlaczego. Najprawdopodobniej dlatego, że śmiech był potrzebny ich wyczerpanym strachem dziecięcym sercom...

Tymczasem Wasilisa biegła po ciemnych okolicznych podwórkach, wzywając rozpaczliwie:

\* Taniu! Tomo! Do domu!

Helena Gieorgijewna stała w korytarzu przy telefonie i zdrętwiałym palcem kręciła czarną tarczę aparatu: wszędzie linie były zajęte \* i w milicji, i w kostnicy, i w Pogotowiu Ratunkowym... Paweł Aleksiejewicz, który zaraz po trzeciej wyszedł na poszukiwanie dziewczynek, sam gdzieś przepadł. Wsunąwszy do kieszeni palta manierkę wojskową z rozcieńczonym spirytusem, chodził od przejścia do przejścia w kierunku centrum, ale wszędzie napotykał na milicyjne i wojskowe zapory i nie mógł się nadziwić, że organizatorzy pogrzebu potrafili urządzić Chodynkę w samym centrum stolicy, poprzecinanych ulicami, zaułkami, otwartymi podwórkami, a nawet linią metra. W żaden sposób nie mógł znaleźć miejsca, przez które wyciekałby choćby najmniejszy strumień z otoczonej łańcuchami masy ludzkiej. O tym, żeby znaleźć dziewczynki \* a Paweł Aleksiejewicz nie wątpił, że wymknęły się z domu na uroczystości pogrzebowe \* nie było mowy.

Stał na skrzyżowaniu Kalajewskiej i zaułka Orużejnego, oparty o ścianę sklepu nabiałowego. Pamiętał, że na dzień manierki pozostał jeszcze ostatni łyk, wypił i schował pustą manierkę do kieszeni. W tym momencie poczuł, że ktoś go ciągnie za rękaw. Cwany chłopczek z wylupiastymi oczami z dołu zaglądał mu w twarz:

\* Wujku, chcesz, to cię przeprowadzę?

\* Dokąd? \* nie od razu zrozumiał Paweł Aleksiejewicz.

\* Znam przejście \* chłopak wykonał nieokreślony ruch w kierunku zaułka Karetnego.

Paweł machnął ręką i oddalił się. Był w okropnym nastroju. W okolicy dworca Białoruskiego spostrzegł całą kolumnę samochodów Pogotowia Ratunkowego... Samochody ugrzęzły wśród ciężarówek, odgradzających centrum.

\* Hekatomba, dosłownie hekatomba \* nieoczekiwanie dla siebie samego głośno powiedział Paweł. Mówiąc to w tej chwili, nie wiedział jeszcze, jak bardzo miał rację.

16.

Paweł Aleksiejewicz właściwie nigdy się nie dowiedział, co zrobiono z niesamowitym preparatem, który zaniósł kiedyś na plac Stary, do gabinetu wysokiego działacza partii. Ostrożny funkcjonariusz, chociaż pozostał pod dużym wrażeniem po spotkaniu z szalonym medykiem i obejrzeniu sławetnego preparatu, nie odważył się przedstawić w Politbiurze tak drażliwego problemu.

Przez kilka lat szklany słowik, owinięty w papier, stał na dolnej półce w wielkiej szafie, a potem przed kolejnym świętem 1 Maja, w zapale przedświątecznych generalnych porządków został wyrzucony do wielkiego pojemnika na śmieci, stojącego w piwnicy.

„Mydlana” twarz, jak by to nie było dziwne, okazała się wrażliwa i po kilku miesiącach od śmierci przywódcy narodu projekt ustawy, zezwalającej na aborcję, był rozpatrywany i dyskutowany. Państwo, które w ciągu 35 lat swego istnienia zabiło niezliczone miliony swoich obywateli, zezwoliło kobietom na decydowanie o

anonimowym życiu, które rodziło się w ich wnętrzu bez ich wyraźnej woli. Pod aktem umieszczono kilka podpisów znanych półbogów, otwarto najwyższy zawór i do instytucji medycznych zostały rozesłane odpowiednie okólniki, zezwalające na sztuczne przerywanie ciąży.

Były wysoki urzędnik partyjny, który zakończył swoją olimpijską wspinaczkę \* wyżej bowiem już nie było dokąd iść, do swojej śmierci, która zresztą nastąpiła wkrótce, uważał się za dobroczyńcę ludzkości, a Paweł Aleksiejewicz nawet nigdy się nie dowiedział, jaką rolę odegrał nieszczęsny słoik, przywieziony przez niego na plac Stary...

Los nieszczęśliwych zakładniczek płci nie przestawał zajmować Pawła Aleksiejewicza. Tak jak poprzednio, nadal występował na wszelkich konferencjach, związanych z ochroną dziecka i macierzyństwa. Nie uważał, by osiągnął sukces \* stan izb porodowych i oddziałów dziecięcych, jego zdaniem, był katastrofálny. Powrócił do swego najważniejszego projektu, bezskutecznie starał się przekonać kierownictwo kraju o konieczności zmiany zasad finansowania ochrony zdrowia, wygłaszał płomienne mowy na temat ochrony środowiska i wielu czynników, wpływających negatywnie na stan zdrowia przyszłego pokolenia... Terminu „ekologia” wtedy jeszcze nie używano.

Gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych zainteresowania naukowe Pawła Aleksiejewicza poprowadziły go w nieoczekiwanym kierunku. Badając niektóre postaci bezpłodności u kobiet, Paweł odkrył nieznanne dotąd fazy miesięcznego cyklu. Zwrócił szczególną uwagę na kobiety, które rodziły dziecko po kilkuletnim okresie bezpłodności. Takie dzieci nazywał „dziećmi Abrahamowymi”. Dokładnie badał, obserwował kobiety, które po długiej bezdzietności rodziły pierwsze dziecko w wyniku pierwszej ciąży...

Równoległe z tym, poprzez prace znakomitego Czyżewskiego zajął się rozważaniem naturalnych cykli kosmicznych i w konsekwencji \* biorytmami. Z badań embriologicznych wynikało, że podział komórek zarodka odbywa się z dokładnością godzinowego mechanizmu. Porównując dobową aktywność ludzi z prędkością procesów, zachodzących w organizmie kobiety, z punktu widzenia czysto

teoretycznego doszedł do wniosku, że istnieje pewien procent kobiet, które nie mogą zajść w ciążę w godzinach nocnych.

W jego myśleniu zawarta była duża doza intuicji, nie poddająca się weryfikacji na obecnym poziomie badań naukowych, ale u podstaw leżało domniemanie, że istnieją komórki jajowe o niezwykle krótkiej fazie aktywności.

Pod koniec pięćdziesiątego trzeciego roku do gabinetu przyjęć Pawła Aleksiejewicza w poliklinice przyszło niemłode już, ale porywającej urody małżeństwo, Azerbejdżanie z Karabachu. Mąż był malarzem ze znanej rodziny tkaczy kobierców, o subtelnych rysach, smagły, siwiejący, szczupły. Żona przypominała męża jakby była jego pomniejszoną kopią \* taka sama szczupła figura, takie same perskie rysy twarzy. W czerwono\*liliowej jedwabnej sukni, szmaragdowym szalu, przybrana biżuterią ze starego, pociemniałego srebra...

Analizy obojga nie wykazywały żadnych odchyleń. Dwoje zdrowych ludzi, którym nie udało się spłodzić przez dwadzieścia lat małżeństwa żadnego dziecka... Ku nieszczęściu i hańbie kobiety...

Paweł Aleksiejewicz przypatrywał im się nieprzyzwoicie długo i wciąż wsłuchiwał się w siebie: jego sekretny doradca nalegał.

\* Proszę kłaść się z żoną do łóżka, kiedy słońce będzie w zenicie \* powiedział w końcu poważnym głosem. \* Za rok proszę przyjechać...

Małżeństwo przyjechało nie po roku, ale po półtora. Kobieta miała napięty, wysoki brzuch, jak się później okazało, z ładniutką maleńką dziewczynką wewnątrz, którą na świat przyjął sam Paweł Aleksiejewicz, a później, po dwóch latach również chłopczyka...

Pierwsi pacjenci przyjeżdżali z Azerbejdżanu, Armenii, Azji Środkowej. Potem pojawili się również Rosjanie. Prawie połowa z nich to były przypadki beznadziejne, Paweł Aleksiejewicz zdawał sobie od razu z tego sprawę i oświadczał, że nie może pomóc. Kilku parom zalecił jednak wyjazd na parę lat na wschód, do Nowosybirsk czy nawet Chabarowska \* to była konsekwencja jego rozmyślań o wpływie na człowieka naturalnych rytmów w przyrodzie i stref czasowych... Teraz jego biurko pokrywały jakieś niezrozumiałe wykresy, przypominające raczej karty astrologiczne,

aniżeli drukowane wyniki analiz.

„Abrahamowych” dzieci wciąż przybywało. I o każdym z nich Paweł myślał w głębi duszy \* teraz to ja cię urodziłem... Dziecko południowej pory dnia, dziecko świtu, dziecko zachodu słońca... Jego skromny dom zaczęły wypełniać wspaniałe prezenty \* drogocenne dywany, chińskie wazy, francuskie brązy... Paweł nigdy nie określał swojego honorarium, ale nie odmawiał przyjmowania darów. Od wieków lekarze i kapłani pobierali zapłatę za swoje usługi w postaci naturalnej. Jego pacjenci, z reguły, byli ludźmi zamożnymi, którym do pełnego szczęścia brakowało jedynie dziecka. Biedni albo nie byli bezdzietnymi, albo też nie chodzili do lekarzy...

Książki medyczne, te najbardziej współczesne zachodnie i klasyczne, przestały go interesować. Spędzał obecnie wiele czasu w bibliotece historycznej lub literatury zagranicznej, gdzie czytał średniowieczne traktaty, starożytne „białe kruki”, przekłady starodawnych tekstów kapłanów... Coś tam wynajdywał w tych sybilicznych alegoriach... Tajemnica poczęcia \* oto co go interesowało. Ni mniej, ni więcej.

Jego własna żona szczelnie zamknęła przed nim drzwi sypialni na wszystkie godziny doby. Od dawna już zresztą nie starał się przywrócić przerwanych stosunków małżeńskich. Po pamiętnym znieważeniu ona jakby rzeczywiście przestała się czuć kobietą. Miała trochę po czterdziestce, uroda jej z biegiem lat stawała się coraz wyrazistsza. Jej twarz obecnie wydawała się narysowana na nowo \* przez jakiegoś artystę bardziej surowego, bardziej doświadczonego. Zniknęła obrzmiałość ust i policzków, w oczach pojawił się nowy wyraz \* napiętej uwagi, skierowanej nie na zewnątrz, ale do wewnątrz... Niekiedy Paweł Aleksiejewicz sądził, iż nawet odpowiadając na jego rzadko zadawane pytania, Helena myśli o czym innym... Stosunków między małżonkami nie można było określić jako złe, oboje, tak jak przedtem, odgadywali nawzajem swoje życzenia, nieraz nawet myśli, ale starali się nie spotykać wzrokiem. Ona patrzyła na jego szyję, on \* na jej nasadę nosa...

Tania była wielką pociechą rodziców. Paweł Aleksiejewicz, pieszcząc córkę i dogadzając jej, wyrażał tym samym również skrytą miłość do żony. Helena czuła to, była mu wdzięczna, ale jakimś dziwnym trafem odpowiadała mu tym, że ze szczególną uwagą i staraniem odnosiła się do Tomy. W ten sposób była zachowywana jakaś równowaga emocjonalna, Wasilisa urzeczywistniała ogólną surową sprawiedliwość, rozkładając na talerzach równe porcje. Od dawna nie miało to już sensu, jedzenia było pod dostatkiem i wszyscy oprócz Wasilisy zapomnieli o racjonowaniu, kartkach żywnościowych i rozdzielnictwie.

Z Tani wyrosła ładna dziewczynka, bardzo żywa i zdolna do wszystkiego \* do muzyki, rysunku i do nauki.

W szkole zbliżał się koniec IX klasy i trzeba było już myśleć o zawodzie, ale Tania wciąż się wahała. Do pojawienia się Tomy w ich domu wybierała się do szkoły muzycznej, ale gdy Toma zamieszkała u nich, ku wielkiemu żalowi Pawła Aleksiejewicza, Tania zarzuciła muzykę. Dla niego nie istniały przyjemniejsze chwile w domu od tych, podczas których mógł obserwować jej smukłe plecy z ruszającymi się pod swetrem szczupłymi łopatkami, kiedy zasiadała do nowego, kupionego specjalnie dla niej instrumentu. Paweł niejednokrotnie chciał się dowiedzieć, dlaczego Tania kategorycznie odmówiła chodzenia do szkoły muzycznej, ale ona milczała, a potem obejmowała go za szyję, gładziła za uszami, mruczała coś o Uszatym Słoniku, śmiała się, piszczała \* i nie wypowiadała ani jednego wyraźnego słowa.

Znacznie później i Paweł, i Helena zrozumieli, na czym ta niechęć u Tani polegała: prawdopodobnie przypuszczała, że jej sukcesy muzyczne będą sprawiały przykrość Tomie, która od urodzenia nie zetknęła się z inną muzyką niż radiowa...

Tanie coraz bardziej interesowała ojcowska biblioteka. Paweł jak zwykle dużo pracował, późno wracał z kliniki i w domu, po szybko zjedzonej kolacji w towarzystwie milczącej Wasilisy, lub powściągliwej Heleny, coraz częściej zastawał Tanię w swoim gabinecie, wygodnie siedzącą wśród pledów i poduszek z kanapy, z kotem i książką w ręku. W pobliżu umieszczała się bez jakiegokolwiek komfortu, na brzeżku krzesła Toma, wciąż takiego samego wzrostu jak w wieku dwunastu lat, ale

znacznie grubsza. Wyszywała podwójnym bułgarskim ściegiem krzyżykowym poduszkę za poduszką, tworząc na naciągniętym w ramie materiale to gęstą gałązkę bzu, to koszyk z niezwykle wielkimi owocami. Dawno zapomniany i zdawałoby się zaspokojony głód pobudzał w niej zamiłowanie do tych przedmiotów zbytku \* w pojęciu biednych ludzi...

Dziewczynki były bardzo do siebie przywiązane, ale w tym przywiązaniu zawierało się też zdziwienie. Tania nie mogła pojąć, jaką przyjemność daje przeciąganie nitek przez sztywną kanwę, a Toma nie rozumiała, jak można spędzić pół dnia nad nudną książką.

Paweł Aleksiejewicz obserwował obie tak różniące się między sobą dziewczynki \* ubóstwianą Tanię i pozbawioną uroku Tomę, marniutką dziczkę, przygnaną złym losem do ich domu, a będąc wierny swojej manierze rozpatrywania wszelkich zjawisk wyłącznie z naukowego punktu widzenia i w tym przypadku wpadał w teorię, i tutaj zauważał przejawy wielkich praw natury, być może jeszcze nie sformułowanych, ale istniejących obiektywnie.

Analogicznie do tego, jak ludzki zarodek od momentu powstania przechodzi wszystkie etapy swego rozwoju ściśle według mijających minut i godzin, tak samo \* sądził Paweł Aleksiejewicz \* bardziej skomplikowane funkcje psychofizyczne pojawiają się u dziecka w ściśle określonych terminach, w ściśle określonej kolejności. Odruch żucia nie może wyprzedzać odruchu ssania. Stymulacja tych odruchów przychodzi z zewnątrz: dotyk sutka lub nawet przypadkowego przedmiotu \* skraju pieluszki czy własnego palca \* pobudza ssanie już w pierwszej dobie życia, a twardszy kawałeczek w pokarmie, trafiający na opuchnięte od wyrzynających się zębów dziąsła

\* żucie już u półrocznego dziecka. W taki sam sposób są stymulowane procesy, zachodzące w wyższej sferze nerwowej \* myślał Paweł, obserwując dorastające dziewczynki w jego rodzinie. Potrzeby, budzące się w określonym wieku, jeśli nie otrzymują podtrzymującego wsparcia z zewnątrz, z otaczającego środowiska, słabną, a być może \* zamierają. Potrzeby wyprzedzają więc konieczności.

„Oskarżają mnie o lamarckizm” \* uśmiechał się do siebie Paweł Aleksiejewicz.



„Być może, szept zrodził się zanim powstały usta i w bezdrzewnej pustyni już krążyły liście...” \* to kiedyś zostało napisane i autor tych zdań już zdążył zginąć w łągach, a do Pawła nigdy one nie dotarły. Ale nie istniał inny człowiek, dla którego to genialne poetyckie, przenikliwe spostrzeżenie byłoby tak zrozumiałe \* jako przekład istotnej myśli z języka poznania na język liryki...

Oto dziecko chce usiąść, dokuczyło mu leżenie, kręci się, jest niespokojne. Gdy poda mu się palec, ono go uchwyci i zrobi to, czego pragnie, ale o czym nie ma jeszcze pojęcia \* usiądzie. Tak samo gdy dojrzeje do chodzenia \* wystarczy dać mu możliwość zrobienia pierwszego kroku. Inaczej, tak jak dziecko chowane wśród zwierząt, nie nauczy się chodzić na dwóch nogach, a będzie jak zwierzątko przemieszczać się na czworakach.

Trzeba dać dziecku muzykę, kiedy pojawia się w nim potrzeba tańca, ołówek, kiedy chce mu się rysować, książkę \* kiedy już dojrzało do tej formy przyswajania sobie informacji... Jak tragiczna wytwarza się sytuacja, kiedy nowa umiejętność, nowa potrzeba dojrzeje wewnątrz, a świat zewnętrzny nie wychodzi naprzeciw tej potrzebie, czas mija. I wtedy pojawiają się zahamowania, pełna blokada...

Na przykład, Tomka. Matka zostawiała ją owiniętą w pieluszki w łóżeczku do wieku dwóch lat, ponieważ sama musiała iść do pracy i nie było komu przypilnować dziecka. Nie istniały żadne przedszkola w zaciemnionej, ewakuowanej Moskwie. A kiedy Tomę puszczono na podłogę, jej już się nie chciało chodzić. Siedziała w kącie na kupce szmatek i tymi szmatkami się bawiła. Pierwszą książkę zobaczyła dopiero w szkole, gdy miała już siedem lat. Wszystko się opóźniało w jej życiu, wszystko było zahamowane. Biedne dziecko...

Toma nie czuła się nieszczęśliwa. Przeciwnie, była całkowicie przekonana, że wyciągnęła szczęśliwy los na loterii. Po rocznym pobycie w domu Kukockich, na prośbę ciotki Fieni Tomę wysłano na lato na wieś. Toma, która za życia matki nieraz spędzała lato w domu Fieni, tym razem znienawidziła do głębi życie na wsi.

Przerażała ją bieda, brud, a przede wszystkim trudy dnia codziennego, kiedy to nie miała w ogóle czasu na odpoczynek, jak byłoby to u Tani na dacy, ale musiała od rana do wieczora a to karmić prosięta, a to niańczyć trzymiesięczną córeczkę Fieni, a

to prac w zimnej wodzie brudne szmaty... Spełniała to wszystko w milczeniu, wbrew sobie, nigdy nie okazując Fieni nieposłuszeństwa. Dwa razy jeździła autobusem do odległej wioski w odwiedziny do swoich braci. Bracia wywarli na niej wrażenie okropne \* stali się typowymi wiejskimi chłopcami, oberwanymi, bosymi, umorusanymi, którzy bili się ze sobą i przeklinali jak dorośli mężczyźni. Toma na ich widok nie poczuła ani współczucia, ani żalu, a o miłości w ogóle nie mogło być mowy.

Przed powrotem do miasta Toma postanowiła zdecydowanie, że nigdy w życiu nie przyjedzie więcej do ciotki i zrobi wszystko co możliwe, żeby na zawsze pozostać w rodzinie Kukockich.

Toma nie myślała o tym, czy jest lubiana w nowej rodzinie. Miała tam swoje miejsce, przypominające nieco miejsce domowego zwierzaka. Nie było w tym zresztą niczego obraźliwego: w wielu domach cały porządek dnia dostosowywano do pieska, którego z rana trzeba wyprowadzić lub kotka, który je tylko określony gatunek ryby.

Toma miała własne łóżko we wspólnym pokoju z Tanią, swoje stałe miejsce przy stole między Tanią a Heleną i mnóstwo przedmiotów, których przedtem, za życia matki nigdy nie posiadała: własny grzebień i szczotkę do zębów, własne ręczniki w łazience, nocną koszulę, o której istnieniu nigdy przedtem nawet nie słyszała. I za to wszystko niczego od niej nie żądano. Jak by to nie było dziwne, ale wymagania w stosunku do Tani były znacznie większe \* nie znajdowały aprobaty jej figle, późne przychodzenie ze szkoły, nieporządek, którym, Tania stała grzeszyła. Toma kryła Tanie. Niekiedy wycierała za nią mokrą podłogę w łazience lub myła zostawioną na stole filiżankę po herbacie, czasami też, kiedy zostawały dłużej w szkole, brała winę na siebie za spóźnienie.

\* Ciociu Wasiu, kazano mi zostać i poprawić zadanie, a Tania na mnie czekała...

I Wasilisa, po raz drugi przygrzewająca obiad dla dziewczynek, przestawała gderać. Nawet nie robiła uwag Tomie, chociaż była spostrzegawcza i doskonale rozumiała wszystkie te małe oszukaństwa...

O nauce nie było co mówić. Tania była prawie prymuską. Brakowało jej tylko próżności, a mogłaby mieć same piątki. Toma przez okres pobytu u Kukockich stała

się uczennicą trójkową. A niezręczność polegała na tym, że z czwórek Tani domownicy nie byli zadowoleni, a z rzadkich dobrych ocen Tomy się cieszyli. Od wszystkich domowników oczekiwano delikatności i stałej pamięci o tym, że równość jest zasadą wyjądkowo teoretyczną i nawet w takiej praktycznej dziedzinie jak wychowanie nie może być traktowana bardzo poważnie. Idee równości zaprzętały nieco uwagę Heleny, były to reminiscencje jej tołstojowskiego dzieciństwa. Wasilisa nie robiła sobie z tego wiele:

\* Tania \* to jedno, a Tomka \* to zupełnie co innego. Dlatego też po prostu mówiła Tomie:

\* Chodź, poduczę cię, jak się kisi kapustę, jak piecze oładki i innych rzeczy, ja przecież kiedyś umrę, a ty niczego nie będziesz umiała...

Brak umiejętności tego rodzaju u Tani nie trwożył Wasilisy, Tomę bowiem uważała za swoją następczynię, jeśli chodziło o jej nieokreśloną domową funkcję, którą pełniła cierpliwie

i nawet z pewną dumą. Właśnie też z Tomą Wasilisa mogła rozmawiać o najważniejszej, tajemnej części swego życia, o tym \* co zgodnie z przykazaniem Pawła Aleksiejewicza \* było głęboko ukryte w jej pokoiku. Paweł jeszcze we wczesnym dzieciństwie Tani zabronił Wasilisie prowadzenia z nią jakichkolwiek rozmów o Bogu. Dlatego to Tomę, a nie Tanię Wasilisa nauczyła dwóch podstawowych modlitw i poleciła, by ze wszelkimi trudnymi sprawami zwracała się do Matki Bożej.

\* A w sprawie matematyki też? \* prostodusznie spytała Toma, gdy Wasilisa wyjaśniała jej, że opiekunką jej i orędowniczką jest Bogurodzica, która sprawuje pieczę nad wszystkimi sierotami.

\* A co ze świętą królową Tamarą? \* przypomniała Toma, której jeszcze przedtem Wasilisa opowiadała o jej patronce, królowej Tamarze, na cześć której otrzymała swoje imię na chrzcie.

Wasilisa złościła się i niezbyt jasno, ale z przekonaniem tłumaczyła:

\* Jak możesz tego nie rozumieć, to jedno, a tamto to drugie...

W rodzinie Kukockich Toma zachowywała się odpowiednio do swej pozycji

przybranej wychowawicy. Bardzo sobie ceniła życiowe dobra, jakie jej przypadły w udziale, bała się je utracić i starała się, żeby jej pobyt w tym domu był przyjemny i pożyteczny. Chociaż pewien odcień przypoehlebiana się był zawsze obecny w jej manierach, to wynagradzała to tym, że ubóstwiała Pawła Aleksiejewicza, szczerze zachwycała się Tanią, a jedynie Heleny Georgijewny \* nie wiadomo dlaczego \* bała się w głębi duszy.

Wzajemne stosunki Tomy z Wasilisa były o wiele bardziej złożone. Z jednej strony istniało podobieństwo \* Wasilisa również nie pochodziła z pańskiej sfery, a z drugiej \* Wasilisa widziała Tomę na wylot i nawet jej spojrzenie sponad podwiązanych sznurkiem okularów nie było przyjemne, jak gdyby Wasilisa знаła jakąś tajemniczą i bardzo przykrą sprawę, dotyczącą Tomy. A przy tym wszystkim istniała pomiędzy starą służącą a małą przybraną dziewczynką szczególnego rodzaju bliskość. I Wasilisa całkowicie błędnie usiłowała stworzyć sobie z Tomy następczynię nie tylko w zakresie gospodarstwa domowego, ale i w sferze duchowej. To jej się nie udało. Jeśli na początku skłonna do posłuchu Toma nauczyła się najważniejszych modlitw i z senną uwagą wysłuchiwała zawiłych opowieści Wasilisy, to gdy zbliżała się do wieku piętnastu lat, zaczęła Wasilisie się wymykać, prawdopodobnie zdała sobie sprawę z tego, że nie potrzebuje tych skrywanych skarbów duchowych i kręciła się wyłącznie wokół Tani. Ta zaś grzebała się w ojcowskich książkach, ciągnęła ją do kina, do teatru i na koncerty, a te wyprawy nie miały wyłącznie na celu zapoznawania się z kulturą \* brali w nich udział także chłopcy, co Tomę nadzwyczaj podniecało. Przy Tani Toma odgrywała skromną rolę, ale właściwie nie potrzebowała adoratora dla siebie, całkowicie zadowalała ją sama atmosfera wyprawy z młodymi ludźmi dokądkolwiek. Tak jak w swoim czasie rozkoszowała się niezliczonymi kanapkami z masłem, posypanymi cukrem, szczotką do zębów czy nocną koszulą, tak teraz cieszyła się, że chłopcy kupują im bilety, prowadzą do bufetu i częstują lemoniadą i ciastkami...

Młodzi ludzie nie zamierzali ukrywać przed Tomą, że reprezentuje sobą przymusowy element w radosnych wyprawach z Tanią, dokądkolwiek by to było. Toma jednak tym się nie martwiła: żaden z nich nie był jej potrzebny jako taki, ale wszyscy razem

stanowili dowód, że Toma zajmuje w towarzystwie odpowiednią pozycję, ponieważ była już w Teatrze Bolszoi i w Małym, i w Chudożestwiennym, a przy tym częstowano ją i goszczono na ich koszt...

Wśród młodych ludzi, których przyciągała wesołość Tani, jej zauważalna uroda, kręjące się włosy, stałymi i najbardziej wiernymi bywalcami byli bracia Goldbergowie, którzy Ignęli do Tani od pamiętnej zimy pięćdziesiątego trzeciego roku, kiedy to zaczęli przyjeżdżać do domu Pawła Aleksiejewicza na podkarmianie. Podkarmianie, prawdę mówiąc, trwało nadal od tamtej pory, matka chłopców umarła bowiem zaraz po wypuszczeniu z więzienia Ilji Iosifowicza, a stary genetyk, który dzielnie zniósł ostatnie aresztowanie i nie podpisał ani jednego fałszywego papierka, śmiercią czterdziestoletniej żony został kompletnie powalony. Podupadł fizycznie, schudł do takiego stopnia, jakby nadal był w obozie. Ratowała go jedynie praca, którą bez opamiętania brał na swoje barki. Publikował artykuły we wszelkich możliwych czasopismach, gdzie chciano mu je drukować i wciąż przygotowywał swoją genialną książkę o genialności. Jego życie domowe też znalazło się w rozsypce. Zmieniały się wciąż pomoce domowe, bo jedna kradła, inna piła. Trzecią, inteligentną Żydówkę, która przychodziła do pracy trzy razy w tygodniu, Goldberg podejrzewał, iż została nasłana przez KGB. Słowem, kotlety ze smażonymi kartoflami, ulubione danie Ilji Iosifowicza, pod nieobecność zmarłej Wali albo w ogóle się nie pojawiały, albo też były zatrute jadem podejrzeń, dla życia może nie niebezpiecznym, ale nie sprzyjającym trawieniu.

I znowu, któryś już raz Wasilisa wykazała się wielką przenikliwością i pierwsza zwróciła uwagę na to, że Tania stanowi konkurencję dla domowych kotletów i że trzeba dobrze się przyjrzeć, dlaczego to chłopcy nabrali zwyczaju przychodzenia w każdą niedzielę, a niejednokrotnie jeszcze parę razy w ciągu tygodnia...

Bracia Goldbergowie byli tak do siebie podobni, że trudno było ich rozróżnić. Tania wyraźnie wolała tego z nich, który był studentem medycyny. W niedzielne popołudnia zostawali nieraz od obiadu aż do kolacji i Witalij, entuzjasta medycyny, dolewając oliwy do ognia, opowiadał o porywającej, złożonej wiedzy medycznej, o pasjonującej anatomii i tajemnicach fizjologii... Jego brat Giennadij, zainteresowany

fizyką, zadowalał się obserwacją tej żywej rozmowy, milczał i z rzadka odpowiadał na niejasne pytania, zadawane mu przez Tomę, przekonaną, że w tej sytuacji po sprawiedliwości Giena przypada na nią...

Dobiegała końca nauka w IX klasie. Ostatnie szkolne wakacje dziewczynki z rodzicami miały spędzić w sanatorium w Jałcie. Paweł Aleksiejewicz zamierzał pojechać tam razem z rodziną, ale w ostatniej chwili przeszkodziła mu nieoczekiwane podróże służbowa do Szwajcarii, na konferencję o problemach bezpłodności. Paweł uśmiechał się w duchu \* bezpłodność interesowała właśnie Szwajcarię, najbogatszy kraj świata, a nie Chiny, nie Azję czy też Afrykę... Zgodził się na wyjazd do Zurychu, a zamiast niego do Jałty miała pojechać Wasilisa. Nie chciała jechać, nawet z lekka pokłóciła się z Heleną z tego powodu, potem jednak ustąpiła pod warunkiem, iż jeszcze przed podróżą do Jałty opuści dom na parę dni dla załatwienia spraw osobistych. Pojechała więc...

Wasilisa nie wróciła jednak w umówionym dniu i z tego powodu wszystkie spóźniły się o całą dobę na początek sanatoryjnego turnusu. Ale to opóźnienie zostało zrekompensowane poprzez wprost boski zachwyty, jaki Wasilisa okazywała przez pozostałe dwadzieścia trzy dni, spędzone nad Morzem Czarnym.

Wszystkie pensjonariuszki zobaczyły morze po raz pierwszy w życiu. I każda przeżyła to po swojemu. Wasilisa otrzymała dowód wielkiej Bożej mocy i mądrości. Góry wywarły na niej większe wrażenie, aniżeli morze, ale i jedno, i drugie wywoływało zachwyty dla Stwórcy, który stworzył cały ten olbrzymi świat. Nieskłonna do płaczu i dość oschła, często ocierała pogniecioną chusteczką pojawiające się nie wiadomo czemu łzy. Zwykłym jej zajęciem \* tutaj nie musiała gotować, prać ani sprzątać \* stało się przesiadywanie na werandzie, zwróconej w stronę gór, z nieruchomą twarzą i utkwionym wzrokiem, jak gdyby tam za górami były jeszcze inne, dalsze, widzialne jedynie przez nią... Od czasu do czasu wpadała w jakieś ekstatyczne mamrotanie i Helenie, która od dawna znała jej modlitewny „repertuar”, udawało się usłyszeć urywki Psalmów \* Wasilisa znała dobrze jedynie pięćdziesiąty, a pozostałe urywkami, fragmentami, pojedynczymi zdaniami, ale umiała je łączyć w uduchowiony szept... Wstąpię na niebiosy \* jesteś tam, zejść do

podziemi \* i tam jesteś, wezmę skrzydła od zorzy i przemieszczę się na skraj morza \* i tam jesteś... Z mowy niemowląt i tych najmniejszych stworzyłeś dla siebie chwałę, o Panie... Szczodry i miłościwy jest Pan, bardzo cierpliwy i łaskawy... On rzecze i na Jego rozkaz podnosi się wielki wiatr...

W sanatorium jedzenie było zbyt obfite, jakoś obrażająco dla Wasilisy, gdy tylko więc trochę się oswoiła, przestała przychodzić na śniadania i obiady, a zjawiała się razem ze wszystkimi na kolacji, zajmując miejsce przy wyznaczonym dla nich oddzielnym stoliku i ciesząc się, że jest obsługiwana. Kelnerki przynosiły jej jedzenie, pytały, dlaczego nie była na obiedzie i czy nie podać jej czegoś jeszcze... Równoległe z zadowoleniem Wasilisa odczuwała pewien niepokój, ponieważ jej niewielki, ale spostrzegawczy umysł podpowiadał jej, iż jeśli u kogoś występuje nadmiar, to u kogoś drugiego musi występować dotkliwy niedostatek... I jej chrześcijańska dusza, niezależnie od rozkoszy, jaką przynosił odpoczynek, odczuwała pewien wstyd. W końcu powiedziała kiedyś Helenie, że jeśli w rajku będzie właśnie tak samo, to będzie zmuszona poprosić o jakieś inne dla niej miejsce, gdyż inaczej będzie jej wstyd.

Tomie nie było wstyd. Obie z Tanią cieszyły się ze słońca i z morza jak szczenięta, bez żadnych rozważań pluskały się, pływały, opalały. Przy okazji wyszło na jaw, że Tania cieszy się sympatią wszystkich młodych i nie tylko młodych mężczyzn \* od sprzedawców na rynku, na który rodzina zaglądała od czasu do czasu, by kupić jakiś egzotyczny produkt w rodzaju sera domowej roboty, kaukaskich lepiących się słodczy czurczcheły lub wiązki nieznanych ziół \* po odpoczywających w sąsiednim sanatorium młodych kapitanów.

Wieczorami dziewczynki chodziły na tańce do sali jadalnej lub na nabrzeże. Tania tańczyła, Toma siedziała na krześle pod ścianą albo stała, jeśli krzesel nie było, w towarzystwie dwóch, trzech dziewczyn, które nie miały powodzenia. Toma przychodziła tu wyłącznie ze względu na Tanię, z własnej chęci za nic by nie przyszła, żeby cierpieć tę zawstydzającą, nudną sytuację. Po części dziwiła się mądrej Tani: co ona znajduje takiego w tańcu „szybki foxtrot” albo „powolne tango”?

O jedenastej wieczorem Helena Gieorgijewna odnajdywała je w tłumie na parkiecie i zabierała do spania. Niekiedy Tania umawiała się przedtem na spotkanie z którymś ze zręcznych tancerzy, wychodziła przez okno i znikwała na pół nocy. Cała rodzina zajmowała dwa dwuosobowe pokoje, dziewczynki spały w tym, który nie miał werandy.

Pełna ufności Helena okazała się nieprzygotowana na taką przewrotność córki i ani razu nie spostrzegła nocnych przygód Tani. Pierwsze pocałunki nie wywoływały u Tani szczególnego wrażenia, pachniały jakimś specyficznym zapachem mydła do golenia, niezapomnianym „Chyprem”, zalatywały pastą do butów i wojskiem. Tanię ogarniał śmiech, młodzi mężczyźni i bez tego onieśmieleni jej dziewczęcą urodą, rejterowali obrażeni. Słowem, Tania nie przeżyła żadnej romantycznej przygody podczas tego wyjazdu na południe. Ale było jej dobrze, jak nigdy w życiu.

Natomiast swoją głęboką, dożywotnią miłość znalazła na Krymie Toma. Tutaj podczas wycieczki do Nikitskiego Ogrodu Botanicznego spłynęła na nią łaska: zakochała się w botanice, tak jak dziewczyny zakochują się w księciu. To się stało pod sam koniec ich pobytu na Krymie, na dwa dni przed wyjazdem. Wycieczka na ogół nie była udana, w drodze zepsuł się autokar, długo go naprawiano, potem popsuła się pogoda i chociaż deszcz się nie pojawił, słońce w środku dnia jakoś się zasnęło i pełen połysku, strojny południowy brzeg morza zamglili.

Przed wejściem do Ogrodu Botanicznego trzeba było poczekać na przewodnika, który z powodu opóźnienia przyjazdu wycieczki oddalił się do innych zajęć'.

Wszyscy stali przy ciemnej tablicy z brązu, na której wyryty był napis: „Ogród Botaniczny został założony w 1812 roku przez Ch.Ch. Stewena, absolwenta Akademii Medycznej w Sankt\*Petersburgu...”. Nie było obok nikogo, kto mógłby powiedzieć, że Christian Christianowicz Stewen to nie ktoś obcy, a najbliższy przyjaciel Nikity Awdiejewicza Kukockiego, przodka w prostej linii Pawła Aleksiejewicza i że początek temu przedsięwzięciu został nadany w czasie ich pierwszej wspólnej podróży po Kaukazie w 1808 roku i że Nikita Awdiejewicz wielokrotnie odwiedzał swego przyjaciela tutaj na Krymie, że razem odbywali wspaniałe wielodniowe wycieczki i że wśród siedmiu tysięcy arkuszy wielkiego



herbarium flory z Taurydzkiej guberni wiele eksponatów zostało zebranych własnoręcznie przez Kukockiego...

Wreszcie przyszedł przewodnik, gruby facet w ukraińskiej wyszywanej koszuli i w okularach w złotej oprawce, przypominający nieco Nikitę Chruszczowa w jego dobrodusznej postaci i poprowadził ich w dół po cienistej alei. Było chłodnawo i tajemniczo. Przewodnik opowiadał o niezmiernie bogatej roślinności Krymu, o rzadkich roślinach endemicznych, żyjących wyłącznie w tamtejszych okolicach, o starożytnych mitach, związanych z roślinami...

Toma była dzieckiem z miasta, nienawidziła wsi, można powiedzieć, z przyczyn osobistych. Spędzając letnie miesiące na wsi jako dziecko, nie zauważała tam przyrody, wszystko wydawało jej się zwyczajne i żałośnie biedne. Las, pole, staw łączyły się w jej wspomnieniu z ciężką pracą: do lasu posyłano ją po jagody na sprzedaż, w pole \* do pomocy przy sprzęcie zboża, nad staw \* do płukania bielizny. Tutaj na Krymie, w Ogrodzie Botanicznym przyroda była bezinteresowna, nie wymagała od niej żadnego wysiłku. Nawet morze ze słoną wodą, której nikt nie musiał nosić w wiadrach ze źródła, stworzone było wyłącznie do pełnego radości pływania i nurkowania.

Toma gładziła ukradkiem lśniące i kosmate, suche jak stary papier i iglaste, szpilkowe liście krzewów, rosnących przy ścieżkach Ogrodu i poprzez palce odczuwała nieznaną sobie dotąd radość. Nie pieszczona w niemowlęctwie, nie znająca przytulania w okresie dzieciństwa, a teraz, choć posiadała wszystkie potrzebne jej rzeczy, nadal była pozbawiona serdecznego kontaktu, czulego dotknięcia z pełną miłością, bez którego każde żywe stworzenie cierpi, choruje, marnieje... Być

może, przyczyną jej niskiego wzrostu był brak pełnego czułości dotyku, bez którego trudno rosnać, jak bez jakiejś specjalnej, nieznannej witaminy...

Chruszczowo\*podobny przewodnik miał czarujący głos i to, o czym mówił, stawało się prawdziwą bajką.

\* To jest akacja \* wskazał na niewysokie drzewo, kwitnące słodko pachnącymi żółtawymi kwiatami. \* Jest jednym ze sławnych drzew. Egipska bogini Hathor,

Wielka Krowa, rodząca \* według wierzeń starożytnych Egipcjan \* słońce i gwiazdy, miała także postać akacji \* Drzewa Życia i Śmierci. Akacja była wyrocznią jednej z wielkich bogiń płodności w Przedniej Azji i nawet starodawni Żydzi, którzy odrzucali bałwochwalstwo, zostali skuszeni przez akację \* nazywali ją drzewem „sit\*tim” i w starożytności zbudowali z niej Arkę Przymierza...

Z tego, co mówił przewodnik, Toma знаła dobrze jedno słowo \* krowa. Wszystko inne było niezrozumiałe, ale cudowne. Okazywało się bowiem, że każde drzewo, każdy krzak i najmniejszy nawet kwiatek \* wszystkie one mają obco brzmiącą nazwę, swoją historię, geografę, a co najdziwniejsze \* legendę swego istnienia w świecie. A ona, Tamara Połosuchina, niczego takiego nie ma, a w porównaniu ze świerkiem czy kwiatkiem rumianku nic nie znaczy...

Pojawiło się w niej uczucie \* Toma nie miewała sformułowanych myśli, tylko jakieś uczucia, przyprawione myślą \* wzajemnej sympatii z roślinami i równości z nimi pod względem braku znaczenia.

„Na pewno wśród tych roślin jest jakaś jedna, zupełnie taka jak ja... Gdybym ją zobaczyła, od razu bym poznała” \* myślała Toma, dotykając po drodze rododendronu i bukszpanu...

Tania z Tomą prawie nigdy nie myślały, ani nie czuły jednak, a jeśli tak się zdarzało, to jedynie dzięki temu, że Toma potrafiła dostosować się do Tani. Tym razem jednak obie myślały o tym samym: a gdybym ja była rośliną, to którą?

Z kieszonkowego, które Tania wydawała natychmiast bez głębszego namysłu, a Toma raczej oszczędzała, kupiła w kiosku przy wyjściu z Ogrodu dwa zestawy pocztówek z rodzajami miejscowych i śródziemnomorskich roślin, jak też nudną książkę Flora Krymu.

Problem wyboru odpowiedniego zawodu dla Tomy, nad którym zastanawiali się i Helena Georgijewna, i Paweł Aleksiejewicz, a jedynie Wasilisa była całkowicie pewna, że Toma powinna pójść w jej ślady \* tego dnia został rozwiązany.

Przed nią była jeszcze dziesiąta klasa, cały rok, by wszystko zdecydować szczegółowo i przygotować się do egzaminów. Tania nastawiła się na Wydział Biologii, ku zdziwieniu Pawła, który nie wyobrażał sobie dla córki innej drogi, niż

medycyna. Ale Tania szczebiotała coś o najwyższej sferze funkcji nerwowych, o badaniu świadomości \* pierwsze amerykańskie książki science\*fiction już zostały przełożone i młodzi Goldbergowie sumiennie Tanię w nie wyposażali. To było bardzo romantyczne, znacznie bardziej romantyczne, aniżeli codzienna rutynowa praca lekarza. Co się zaś tyczy Tomy, to Paweł Aleksiejewicz zawiózł ją do Akademii im. Timiriaziewa, gdzie ich przywitano z wielkim szacunkiem, należnym Pawłowi Aleksiejewiczowi, pokazano poletka doświadczalne z kukurydzą i z soją, i laboratoria. Toma była pod wrażeniem laboratorium sztucznego klimatu i oranżerii z południowymi roślinami, pozostałe rzeczy przypominały jej szare, kołchozowe życie, z płodozmianem, połajankami w zarządzie i wiejską nudą. W drodze powrotnej powiedziała Pawłowi Aleksiejewiczowi, że Akademia im. Timiriaziewa niezbyt jej się spodobała, bo ona pragnęłaby trafić do takiego miejsca, gdzie ma się do czynienia z roślinami z południa. Paweł Aleksiejewicz starał się jej wytłumaczyć, że po zdobyciu wykształcenia będzie mogła pracować w Ogrodzie Botanicznym czy w Instytucie Roślin Leczniczych, bądź też w jakiejś innej instytucji. Toma zamilkła, nie rozumiała bowiem, po co jej wykształcenie, jeśli do Ogrodu Botanicznego i bez tego mogłaby pójść do pracy. Wszystko, czego pragnęła, to podziwiać piękne rośliny, troszczyć się o nie, czasem dotykać ich rękami, wdychać ich zapach... Póki co, postawiła na parapecie całą rodzinę glinianych doniczek wszelakich rozmiarów i mozoliła się nad nasionami cytryn i mandarynek.

18.

Tak więc się stało, że w następnym roku Tania zdawała egzamin wstępny na uniwersytet, pokonując silną konkurencję i własną, ujawnioną nagle nie wiadomo skąd nieśmiałość, a Toma zgłosiła się po prostu na kursy zazieleniania przy Moskiewskim Miejskim Komitecie Wykonawczym, żeby równiutko za pół roku otrzymać zaświadczenie, stwierdzające zdobycie przez nią zawodu.

Tani zabrakło jednego punktu, żeby mogła dostać się na studia dzienne. Przyjęto ją na wieczorowe. Teraz powinna była popracować gdzieś w wybranej przez siebie

specjalności, żeby móc przedstawić pierwszego września odpowiedni dokument. Paweł Aleksiejewicz, który nie uznał za możliwe udzielenie pomocy Tani w dostaniu się do uczelni poprzez telefon do któregoś z uniwersyteckich tuzów, równych mu rangą, obecnie wziął słuchawkę do ręki i zadzwonił do swego dawnego kolegi, profesora Gansowskiego, lekarza i naukowca, kierownika kliniki zniekształceń mózgu u dzieci i laboratorium badawczego rozwoju mózgu. Prośba Pawła Aleksiejewicza była skromna \* prosił o przyjęcie do pracy w charakterze laborantki swojej córki, przyszłej studentki wieczorowego wydziału biologii. Profesor Gansowski chrząknął i powiedział, że oczekuje ich choćby nazajutrz. Paweł Aleksiejewicz przyprowadził swój skarb po paru dniach. Tania знаła ten budynek przy Ustjinskim moście jeszcze z dzieciństwa: tutaj przywożono ją na prześwietlenie albo do dziecięcego kardiologa... Teraz wchodziła do budynku przez tylne, odrapane drzwi, przez portiernię z czarną deską, zawieszoną numerkami. To było już zupełnie inne odczucie. Szła, by przyjęto ją do pracy.

Profesor Gansowski prawie przez okrągły rok mieszkał na daczce, nie przyjeżdżał do pracy codziennie, ale na ten dzień wyznaczył spotkanie, z Pawłem Aleksiejewiczem również z tego powodu, że jedna z jego współpracownic, Marlina Siergiejewna Konyszewa, przygotowała rękopis swojej pracy doktorskiej i miała przynieść mu do przeczytania ten opasły tom.

Starego profesora łączyły z jego współpracownikami stosunki urozmaicone. On miał już ponad siedemdziesiątkę, łysina mieniła mu się wesołym odcieniem chny na wpół z basmą, obrzeżające zaś ciemię od ucha do ucha włosy nosiły kolor ciemnokasztanowy. Brwi pozostawały czarne i cały jego rozplotkowany zespół wciąż się zastanawiał: farbuje brwi czy nie farbuje, a jeśli tak \* to czym. Niezależnie od nie pasującej do jego płci kokieterii, był bez wątplenia na tyle męski, że malowanie się, świadczące albo o postawie bojowej, albo też gotowej na gody, wywoływało raczej irytację, aniżeli kpiny. Niezbyt wysoki, o szerokiej piersi, z dużymi znamionami na policzkach przypominał starego sportowca\*boksera, a nawet psa tej rasy. Był panem i władcą w swoim pełnym kobiet laboratorium i wszystkie pracownice, z wyjątkiem sprzątaczkii Marii Fokowny, sanitariuszki Raiski i dwóch aspirantek (jedna to

Osetynka, druga \* Turkmenka, skłonne traktować obojętność szefa jako dyskryminację), przeszły przez jego mocne, nieproporcjonalnie długie ręce i trzeba to przyznać \* niezadowolonych nie było. Paweł Aleksiejewicz nie znał tych wszystkich pikantnych szczegółów biografii Gansowskiego \* żeby znać plotki, trzeba nimi się interesować. Paweł nie wiedział nawet, że pierwsza żona Gansowskiego przez cały czas pracowała u niego w laboratorium, że druga, młodsza, ukończyła tutaj aspiranturę i została ordynatorem w klinice i że jeszcze była jedna, która wprawdzie nie weszła do klanu żon, otyła, pełna wdzięku laborantka Zina, już niemłoda, której Gansowski przez całe życie pomagał wychowywać syna, a także Gala Rymnikowa, wysoka jak tyka, z lalkowatą głową, która przepracowała dwa lata jako jego osobista laborantka, a potem odeszła z ledwie załagodzonego skandalem. Paweł nie znał wielu jeszcze szczegółów, interesujących przede wszystkim uczestników tego wieloletniego spektaklu. Natomiast znał znakomite prace Gansowskiego o embriogenezie mózgu i na tej podstawie uważał go za odpowiedniego nauczyciela dla Tani.

Wprowadzono Tanię do gabinetu. Tutaj stały szafy ze wspaniałymi książkami, dwa brązowe popiersia, przedstawiające nie wiadomo kogo, kilkanaście szklanych słoików z preparatami mózgu o zwojach koloru dziecięcego mydła... Na ścianach między oknami wisiały czerwono\*czarne tablice i fotografie podbarwionych pejzaży, gdzie rzeki były mikronowymi kapilarami, brzegi \* włóknami poprzecznie prążkowanej muskulatury, piętrzyły się góry, rozpościerały wgłębienia, a cały ten geologiczny na pozór krajobraz był ogromnym jakimś mikroskopowym powiększeniem...

\* Przekażę panią, Tatiano Pawłowno, w ręce mojej studentki Marleny Siergiejewny. Ona nauczy panią podstawowych prac z zakresu histologii. Jest wielkim specjalistą w przygotowywaniu preparatów. Od tego zaczniemy... A potem zobaczymy... I Profesor wstał z miejsca. Miał krótkie nogi, o pół głowy był niższy od Tani, ale poruszał się szybko i zdecydowanie, niczym piłka tenisowa. Wskazał ręką, żeby iść za nim... Laboratorium mieściło się w starym budynku, zajmowało dwa piętra i jakieś zakątki pomiędzy piętrami z oknami tuż przy podłodze lub gdzieś pod sufitem, jak gdyby z

dwóch poziomów wykrojono trzeci. Dwóch szacownych akademików prowadziło ze sobą smukłą, kędzierzawą dziewczynę, a jej serce zamierało \* od zapachów wiwarium, czegoś chemicznego, gotowanego, gorącego, obrzydliwego, zniewalającego. Takich samych uczuć doświadcza zapewne młoda adeptka teatru, kiedy po raz pierwszy wchodzi za kulisy...

Korytarz zakręcił raz jeszcze obok węża pożarniczego, zwiniętego w kłębek za szklanymi drzwiczkami i wszyscy znaleźli się w najświętszym miejscu... Tak kryształowo świeciły się szkła, było przejrzyste i pięknie. Stary stół laboratoryjny z marmurowym blatem, w pełni nadającym się na nagrobek, potężna szafa z ciężkimi, przesuwanymi szybami, przezroczyste szafki z połyskującymi wewnątrz instrumentami, stojaki z wysterylizowanym szkłem laboratoryjnym. Piękny zestaw małych probówek, kulistych i stożkowatych kolb...

Na zwykłych biurkach stały mikrotomy na niskich żeliwnych podstawkach z przedmiotowymi stolikami i dziwaczными trójkątnymi ostrzami, o powierzchni tnącej ostro jak brzytwy. Mikroskopy z błyszczącymi miedzianymi detalami i różnymi pokrętłami prezentowały się dumnie. Pod okrągłym przezroczystym kloszem ze szkła, coraz grubszym ku dołowi, świeciła izotopowa waga... Oprócz tego było mnóstwo nieznanymi przedmiotów, które przyciągały oczarowany wzrok Tani. Przy stole laboratoryjnym stała wysoka, nie grzesząca urodą kobieta, ze szpakowatą grzywką, wąskimi oczami i zbyt krótką odległością między końcem nosa a górną wargą. Z jej twarzy można było wyczytać obrzydzenie, akuratność, uczciwość i jeszcze coś szczególnie dla Tani pociągającego \* może pewność siebie czy też nieskazitelność... Jej kitel świecił śnieżną białością, ręce miała czysto wymyte niczym u chirurga, palcami wykonywała jakieś mikroskopijne ruchy.

Odwróciła się na chwilę, ale zaraz z powrotem zajęła się swoją jubilerską robotą, przepaszając, iż potrzebuje jeszcze kilku minut by dokończyć.

\* Stara niemiecka aparatura \* ze zdziwieniem zauważył Paweł Aleksiejewicz.

\* Tak, przedwojenna. Wywieziona przez nas z Niemiec. Ale dotąd niczego lepszego się nie produkuje. Optyka z Jeny, solingenowska stal... \* uśmiechnął się Gansowski.

\* Sam to przywoziłem. To nasze wyposażenie pochodzi z Uniwersytetu im.

Humboldta...

Tania nie słyszała tej rozmowy. Nie spuszczała wzroku z tego, co robiła Marlana Siergiejewna. Miniaturowymi nożyczkami specjalnego kształtu i cieniutką pincetką dotykała atlasoworóżowego okrągłego pęcherzyka, leżącego na szkiełku.

Obok, na marmurowym blacie stołu leżał cały szereg takich szkiełek z różowymi pęcherzykami i stała odpychająco wyglądająca dentystyczna rynienka.

\* Marleno Siergiejewno, przyprowadziłem do pani córkę naszego szanownego doktora Kukockiego. To młodziutki biolog, do pani na praktykę \* nieprzyjemnie zacharczał profesor. \* Proszę z nią porozmawiać, a ja przez ten czas oprowadzę Pawła Aleksiejewicza po laboratorium...Mężczyźni wyszli, Tania została.

Marlena Siergiejewna kiwnęła na nią:

\* Podejdź bliżej i przyjrzyj się temu, co robię...

Tania zobaczyła. Uczona dama, która na kilka lat miała stać się bożyszczem Tani, nożyczkami do manicure'u nacięła różowy pęcherzyk, który okazał się być maleńką główką nowo narodzonego szczura, odgięła oba brzegi nacięcia pincetką i bardzo dokładnie zdjęła cieniutką niczym paznokiec u dziecka płytkę kości czaszki, starając się nie uszkodzić delikatnej, białej substancji, najbardziej złożonej ze wszystkiego, co stworzyła przyroda \* tkanki mózgu...

Poddawszy płytki kostne u podstawy, Marlana Siergiejewna lekkim ruchem pincety zdjęła je, a wtedy ukazały się nieco wydłużone dwie półkule i najprzód dwa płaty węchowe. Ani jednego zadrapania, ani jednego cięcia nie było widać na tym podwójnym ziarenku. Mózg błyszczał perłowo. Cienką pincetą Marlana Siergiejewna odcięła mózg w miejscu, w którym łączył się on z rdzeniem kręgowym, specjalną łopatką uniosła tę świecąca perłę i w tej chwili, kiedy mózg rozpostarł się na łopacie, Tania zauważyła drobnusieriką sieć naczynek, ledwie dostrzegalnych gołym okiem. Przed chwilą mózg znajdował się jak w misce, w swoim przyrodzonym miejscu i wydawał się jakąś architektoniczną konstrukcją, a teraz jak ciężka kropla ześliznął się z chromowanej łopatki do szklanego naczynia, napelnionego przezroczystą cieczą... W naczyniu leżało już kilkanaście takich samych drobin, które już zdążyły nieco się skurczyć...

\* Tutaj potrzebna jest napięta uwaga i wielka dokładność \* powiedziała Marlena Siergiejewna. \* Właściwie drobne nacięcia z boków są dopuszczalne, nas bowiem interesują nie wierzchnie, ale głębsze płaty mózgu...

Rozmawiając, wzięła z rynienki zawiniątko z kawałka gazy, w nim ruszało się kilka świeżo urodzonych szczurów, zmieszanych z tułowiami, pozbawionymi główek, które to główki poszły na ofiarę dla potężnego, krwiożerczego boga nauki... Od tego przerażającego pomieszania \* wbrew naturze \* istot żywych, ruszających się na ślepo, ciepłych i ufnych, i martwych, bez głów, „dekapitowanych” \* jak określała to Marlena Siergiejewna \* mdłości z żołądka podeszły Tani do gardła. Tania przełknęła ślinę...

\* Moje szczurki \* zaszczebiotała uczona dama, wzięła jednego, żywego, w dwa palce, pogładziła po wąziutkim grzbiecie i wielkimi nożycami, leżącymi z prawej strony rynienki, pewnym ruchem, dokładnie, obcięła mu główkę. Ciało lekko się wzdrygnęło i zostało wrzucone do rynienki, a główkę Marlena Siergiejewna położyła troskliwie na laboratoryjnym szkiełku. Po czym spojrzała badawczo na Tanię i zapytała z odcieniem dziwnej dumy w głosie:

\* No, a ty byś tak potrafiła?

\* Potrafiłabym \* nie zwlekając ani chwili, odpowiedziała Tania. Ale wcale nie była pewna, czy rzeczywiście mogłaby to zrobić.

Trzeba \* powiedziała sobie w duchu i mężnie pokonawszy tendencję do wymiotów, wzięła lewą ręką delikatne, atlasowe paskudztwo \* świeżo urodzonego szczura, który w dotyku okazał się bardzo ciepły, a w prawą \* chłodne, dokładnie do ręki dopasowane nożyce i zdusiwszy oświeconym, rwącym się ku nauce rozumem głupią, nieśmiertelną duszę, nacisnęła dużym palcem górny uchwyt. Chrupnęło \* i główka spadła na szkiełko.

\* No, zuch! \* z uznaniem odezwał się miękki kobiecy głos. Ofiara została przyjęta. Tania przeszła ciężką próbę i została zaliczona w poczet młodych kapłanek.



Z biegiem czasu Paweł Aleksiejewicz znajdował coraz więcej satysfakcji przy czytaniu starożytnych historyków.

\* To jedyna rzecz, która godzi mnie ze współczesnymi gazetami \* postukiwał twardym paznokciem w ciemnej obwódce od jodyny w skórzaną oprawę Dwunastu cesarów.

Wasilisa sprzątała jego gabinet, on siedział więc w pokoju dziewczynek, czekając na zakończenie tej comiesięcznej operacji. Tania ze zdziwieniem podniosła cienkie brwi z dziedziczną kępką włosów u ich nasady:

\* Nie widzę tu żadnego związku, tato.

\* Jak ci to wyjaśnić? Juliusz Cezar był o całe niebo bardziej utalentowany od Stalina jako wódz, August sto razy mędrszy, Neron bardziej okrutny, a Kaligula bardziej pomysłowy jeśli chodzi o wszelkie nikczemności. I to wszystko, dosłownie wszystko, i sprawy najbardziej krwawe, i najbardziej wzniosłe, stały się później wyłącznie dorobkiem historii.

Tania uniosła się na poduszce:

\* Ale jakoś smutno myśleć, że wszystko jest bez sensu i wszystkie ofiary są daremne.

Paweł uśmiechnął się i pogładził szagrynową okładkę: \* Jakie ofiary? Nie ma żadnych ofiar. Istnieje tylko instynkt samousprawiedliwienia, usprawiedliwienia działań, czasem głupich, czasem bezsensownych, a najczęściej złych i

interesownych... Za jakieś tysiąc lat, Taniu, a może za pięćset stary ginekolog jak ja \* naszego zawodu bowiem nie zlikwiduje żaden postęp \* będzie czytał dawną historię Rosji XX wieku i tam znajdzie dwie stronic

o Stalinie i dwa akapity o Chruszczowie. I kilka anegdot...

Tania uśmiechnęła się:

\* No, nie, tato. Ludzie będą znać Achmatową, Cwietajewą

i Pasternaka, a o Stalinie czy Chruszczowie będą pamiętać tylko dlatego, że oni prześladowali tamtych.

\* To będzie już za komunizmu \* marząco odezwała się Toma, która starannie zmywała liście chorującego filodendronu.

Paweł Aleksiejewicz był w dobrym nastroju, więc zażartował:

\* Nie, Tomko, to będzie już po...

„Trzeba będzie później zapytać Tanię, co on miał na myśli” \* postanowiła Toma. Co nastąpi po komunizmie, tego jej nigdy nie mówiono. W końcu, co za różnica, nas już i tak nie będzie... Toma miała poważny kłopot \* jasne plamy pojawiły się u nasady liści, a ich powierzchnia stała się jakby nieco rozmiękła. Przesunęła delikatnie końcami palców po powierzchni liści \* tak, jakieś miękkie. Wydaje się, że podobne plamy wystąpiły też u drogocennej jukki... „Czyżby to jakiś wirus?” \* przeraziła się Toma i na zawsze zapomniała o komunizmie.

W tym czasie była już w miarę doświadczoną pracownicą Moskiewskiego Miejskiego Wydziału Zieleni i dwa razy zetknęła się z wirusowymi chorobami roślin, ale to były rośliny państwowe, za pierwszym razem na skwerku przy Teatrze Bolszoi, zaś za drugim \* w cieplarni, skąd przysyłano im sadzonki. W obu tych przypadkach nie udało się zwalczyć wirusa, zginęły i aksamitki, i lewkonie. Tutaj miała do czynienia z własnymi, lubianymi kwiatami. Toma wsunęła do ust wielki palec lewej ręki i zaczęła w skupieniu obgryzać doszczętnie paznokcie... Obgryzła odrobinę i wzięła się za dokładne sprawdzanie swojej dżungli \* pod koniec lat pięćdziesiątych dzięki jej zabiegom mieszkanie Kukockich przybrało całkowicie inny wygląd: nie było ani jednej powierzchni, nie obstawionej doniczkami lub słoikami z wieczniezieloną roślinnością.

Z początku ostra zieleń cieszyła oczy Heleny, potem Helena wszczęła jednak słabą walkę z metalowymi puszkami po konserwach i starymi garnkami, do których Toma wsadzała swoich wychowanków. Helena kupowała doniczki i cachepoty, ale paskudnych puszek wciąż przybywało. Parapety były gęsto zastawione i armia o glansowanych liściach przedzierała się na stół jadalny, na biurka, spuszczała na podłogę. Pokój dziecinny Tani sprzed lat teraz wyglądał jak pomocnicze pomieszczenie kwiaciarni.

Ta obfitość roślinności nie obchodziła specjalnie Tani, która prawie nie bywała w domu. Wczesnie rano biegła do pracy, do swoich szczurów i królików, operacji i preparatów, z roboty pędziła na uniwersytet i wracała o wpół do dwunastej w nocy, padając z nóg. W dni wolne od nauki też gdzieś znikwała, to chodziła w odwiedziny, to

na jakieś rozrywki. Toma stopniowo przestała uczestniczyć w wieczornych imprezach Tani. Tania miała jakichś nowych przyjaciół, młodzi Goldbergowie ustąpili miejsca innym, bardziej interesującym młodym ludziom, którzy w domu się nie pokazywali.

Helena wracała zwykle z pracy po szóstej i zamiast Tani zastawała Tomę z dziecinną polewaczką w rękach, buszującą wciąż wśród swoich doniczek. Toma kończyła pracę wcześniej, już o wpół do piątej wracała do domu. Wasilisa, zręcząc, musiała każdego karmić oddzielnie.

Paweł Aleksiejewicz harował jak robotnik wydziału obróbki metali na gorąco: na dwie zmiany. Oprócz pracy w Instytucie i w klinice, zaczął wykładać na kursach podnoszenia kwalifikacji dla lekarzy. To dziwiło i denerwowało wielu, nie było to bowiem zadanie dla akademika: prowadzenie trzy razy w tygodniu do późna wykładów dla prowincjonalnych akuszerów i starych położnych, którzy jeśli nawet kiedyś otrzymali jakieś wykształcenie medyczne, to już sami nie pamiętali, na czym ono polegało. Swoje obowiązki jako akademika Paweł Aleksiejewicz lekceważył. Jak uczeń opuszczał posiedzenia Prezydium, unikał zwierzchników. Do opinii o nim, iż jest alkoholikiem, dodawano jeszcze i to, iż zachowuje się dziwacznie.

Dawno temu zmieniło się kierownictwo ministerstwa. Na miejscu Koniagi zasiadał najprzód stary funkcjonariusz KGB, / wykształcenia weterynarz, później świetny chirurg, bezwzględny karierowicz i złodziej. Paweł Aleksiejewicz bez żalu pożegnał się ze swoim wielkim projektem reformy ochrony zdrowia i reforma ta odbywała się bez jego udziału, chociaż zapomniane przez niego już od dawna materiały leżały w sejfie nowego ministra, a ten z rzadka rzucał na nie okiem \* nie bez pożytku...

Paweł Aleksiejewicz, niezależnie od oziębłych stosunków ze zwierzchnikami, wywierał szeroki wpływ na ogólny stan wiedzy medycznej. Wszystkie te babki z prowincji, przyjeżdżające z najdalszych zakątków ogromnego kraju, uczyły się u niego i dawnych sposobów, stosowanych w położnictwie, i nowego podejścia do zachowania ciąży, leczenia procesów zapalnych i komplikacji poporodowych...

Napisał kilka podręczników dla średniego personelu medycznego, który uważał za niezasłużenie traktowany lekceważąco, opracował też monografię problematyki

bezpłodności. Ale najważniejszą dla niego sprawą zawsze była chora, brzemienna pacjentka, przychodząca do niego z jakąś skazą, zaburzeniami, z niepokojem. Odbywał więc przyjęcia na różnych szczeblach \* cotygodniowe konsultacje, konsultacje prywatne, przyjęcia na prośbę znajomych. Chociaż od dłuższego już czasu funkcjonował Szpital Kremłowski, jednak do niego zwracały się często żony i córki pierwszych osób w państwie \* jedne miały rodzić, inne poddawać się operacjom...

Jeden z oddziałów kliniki o eufemistycznej nazwie „Diagnostyczny” zajmował się skrobankami, wśród których zdarzały się przypadki rzeczywiście wymagające diagnozy... To było chyba jedyne miejsce w całym mieście, gdzie zabieg wykonywano ze znieczuleniem. W innych placówkach grzech karany był okrutnie \* zuchwała decyzja pozbycia się niechcianego dziecka prawie automatycznie zakładała przejście próby bólu... Czterech chirurgów i cztery wykwalifikowane pielęgniarki miały pełne ręce roboty. Anestezja najprostsza \* miejscowe znieczulenie, nowokaina, dwadzieścia pięć minut pracy, worek z lodem na brzuch i... następna.

Paweł Aleksiejewicz rzadko zaglądał na ten oddział. W sensie moralnym sztuczne przerwanie ciąży uważał za najtrudniejszy zabieg ginekologiczny tak dla kobiety, jak i dla lekarza... Ale czy to właśnie nie tu przebiega istotna granica między człowiekiem a zwierzęciem, możliwość i prawo wyjścia poza twarde reguły prawa biologicznego \* wydawania na świat

potomstwa nie według rytmu, narzuconego przez naturę, a według własnej woli? Czy to nie w tym przypadku realizuje się wolny wybór człowieka, wreszcie jego prawo do wolności?

Stanowisko krańcowo przeciwstawne reprezentowała Wasilisa. Od tej pory, kiedy przestała ubóstwiać Pawła Aleksiejewicza i przeszła na pełną negację jego osoby, Paweł zaczął jakoś poważniej do niej się odnosić. Okazało się, że poglądy Wasilisy \* z jego punktu widzenia nedorzeczne, mocno ograniczone, nieludzkie \* były na swój sposób wysoce moralne. Szkoda tylko, że Wasilisa swoim obskuranckim strachem przed aborcją zaraziła Helenę i przekonała \* zgodnie z duchem kościoła chrześcijańskiego \* o jej niedopuszczalności. Ignorancja Wasilisy i jej poglądy w tej

sprawie harmonizowały ze sobą. Ale Helena? Jak jej wytłumaczyć, że on, Paweł Aleksiejewicz, nie służyjakiemuś tam Molochowi, ale nieszczęśliwym ludziom na tym podle urządzonym świecie... Trzeba powiedzieć, że on sam w praktyce nigdy nie zajmował się sztucznym przerywaniem ciąży. Prawdopodobnie jedynym zagadnieniem, jakie go od strony teoretycznej interesowało w tym całym procederze było wykorzystanie najcenniejszych biomateriałów, jakie się pojawiają w tym przypadku i jakie traktowane są jako odpady. Ale ten problem opracowywali hematolodzy, całe laboratorium, na którego czele stał jego inteligentny uczeń... Istniał jeszcze jeden zajmujący aspekt, który Paweł Aleksiejewicz zalecił do przemyślenia jednemu ze swoich współpracowników, a mianowicie hormonalne konsekwencje przerywania ciąży, to znaczy nie zbadany dotąd zupełnie proces: jak organizm kobiety przeżywa sztuczne przerywanie ciąży, jakie zachodzą w nim zmiany hormonalne na skutek takiego zabiegu i jak pomóc organizmowi, by wyszedł z tej sytuacji z jak najmniejszymi stratami...

Ten rozdźwięk pomiędzy jego racjonalnie traktowaną działalnością zawodową a murem negacji, z jakim spotykał się w domu \* oczywiście, chodziło o żonę, a nie durnowatą Wasilisę \* pobudzał go do rozmyślań. Jakby się usprawiedliwając, Paweł Aleksiejewicz stale pisał na ten temat uwagi, notatki, przywodził przypadki medyczne z najbardziej abstrakcyjnymi przypuszczeniami, słowem tworzył całą domorosłą filozofię medyczną. Tych różnorodnych myśli nie starał się nawet zebrać w coś konsekwentnego, przejrzystego... Ilja Iosifowicz Goldberg, który stale produkował niezliczone, wypełnione drobnym pismem kartki papieru i za każdym razem informował przyjaciela, jakie to ma wielkie plany naukowe, całkowicie zabił w Pawle Aleksiejewiczu ochotę do konstruowania wszechogarniających koncepcji i układania kosmicznych planów...

W odróżnieniu od Goldberga, który zapalał się jak suchy chrust na każdym nowym zakręcie myśli naukowej, Paweł Aleksiejewicz przez całe dziesięciolecie zgłębiał jeden i ten sam problem, ubraną w gumę lewą ręką rozchyłał blade skrzydełka sekretnej otworu, wprowadzał lusterko na zagiętej rączce i uważnie przyglądał się bezdennej dziurze świata. Stamtąd przyszło wszystko co żywe, to rzeczywiste wrota

wieczności, nad czym absolutnie nie zastanawiały się te wszystkie dziewczyny, ciotki, babki, damy, które z ufnością rozkładały przed nim uda.

Nieśmiertelność, wieczność i wolność \* wszystko było związane z tym miejscem. Wszystko tu się załamywało łącznie z Marksem, którego Paweł nigdy nie był w stanie przeczytać, Freudem z jego genialnymi, fałszywymi teoriami i nim samym, starym lekarzem, który odbierał i odbierał własnymi rękami setki, tysiące, nie kończący się potok mokrych, wrzeszczących istot...

Kiedy Ilja Iosifowicz, dawno zwolniony z przedostatniej \* jak się później okazało \* odsiadki, natchniony rozwojem swojej ulubionej dziedziny nauki, a obecnie pochłonięty genetyką molekularną rozprawiał o tajnym szyfrze życia, odkrytym w DNA przez parszywych „Aglikanów”, jak nazywał J.D. Watsona i F.H.C. Cricka, i oburzał się, że nas, to jest uczonych sowieckich, tak zdołali oni wyprzedzić, Paweł Aleksiejewicz, opierając się podbródkiem o splecione swoje duże dłonie, temperował jego zapalczywość:

\* Iljuszka, z ciebie uczony „na wszystkie strony”, a ze mnie zwykły rzemieślnik od damskich części i nie bardzo rozumiem, dlaczego tak się gorączkujesz? Jasne, że te bisurmany odkryły twój łańcuch genetyczny, ale oni mają potężne środki. A powiedz mi, z którego roku u mnie w klinice jest aparatura szwajcarska? Z tysiąc dziewięćset czwartego. A u ciebie w laboratorium, powiedz, proszę, wirówka jaki ma rok produkcji?

\* No właśnie, w tym cała rzecz, Pasza. Gdybyśmy mieli ich pieniądze, zapędzilibyśmy wszystkich w koziego róg! Młodzież mamy niezwykle uzdolnioną, to ogromny potencjał! \* jego troska w głosie na moment ustąpiła cieplejszej barwie. \* Wiesz, okazało się, że Witalij ma łeb na karku i to jaki! Szkoda, że go ciągnie w stronę jakiejś biofizyki. Blum jego kusi... Rozumiesz więc, Pasza, gdybyśmy mieli ich pieniądze...

\* A skąd u nich biorą się pieniądze, co Ilja? \* poduszczał go z lekka Paweł Aleksiejewicz. Tamten łapał to natychmiast.

\* Kolonie, Pasza, brytyjskie kolonie, imperializm, niespotykana eksploatacja. Ty pytasz zupełnie jak dziecko, aż dziw bierze.

Paweł kiwał głową:

\* Dziecko, dziecko. Sam jesteś jak dziecko, Iljusza. Masz chyba napad starczej wietrznej ospy. Zalecam ci Spiritus vini trzy razy dziennie po sto pięćdziesiąt gramów. Jakim sposobem po ośmiu latach łagrów twój język jest jeszcze w stanie wymawiać to okropne słowo im\*pe\*ria\*lizm?

Paweł Aleksiejewicz bardzo skrupulatnie nalewał sto pięćdziesiąt gramów do szklanki i kładł gruby kawałek słoniny na sporą pajdę chleba \* Wasilisa lubiła tak krajać, nie żałując... Tym razem pili u Pawła w gabinecie. Goldberg dość często zachodził w tym czasie do Kukockich, do domu w Małachowce miał daleko, w laboratorium przesiadywał zazwyczaj do późna, więc nieraz nocował u moskiewskich kolegów.

Goldberg zrywał się, przewracał krzesło lub zwał lampę, albo przynajmniej strącał talerz ze stołu.

\* To przez takich jak ty, przez takich jak ja... \* wrzeszczał rozjuszony Goldberg. \* Mój ojciec miał konto w banku szwajcarskim, był kupcem drzewnym! Dom na Mojce, dom na Łubiance, dacza wJalcie! Ja pod względem pochodzenia społecznego jestem zero, trup. Nie mogę im powiedzieć, że naruszają zasady leninizmu. Kto by mnie słuchał? Na mnie ciężą winy wobec tego kraju po kres mego życia.

\* No, dobrze, ty jesteś winien. A ja to w czym zawiniłem? \* pytał Paweł Aleksiejewicz, chociaż doskonale wiedział, jaki zarzut postawi mu jego najlepszy przyjaciel.

\* Jak to? Twój ojciec był generałem! Od niego wiele zależało...

Paweł ziewał, kręcił głową i w końcu prosił Helenę o rozkładane łóżko i pościel.

Wszystko to było już przygotowane. Helena lubiła Ilję Iosifowicza i litowała się nad nim.

Ilja Iosifowicz chrapał na rozstawionym łóżku, pokonany przez zmęczenie i alkohol, a Paweł Aleksiejewicz z powodu tej nosowej, wznoszącej się i opadającej trzyschodkowo muzyki, długo nie mógł zasnąć i poddawał się trzeźwym, nocnym rozmyślaniom: jak wielkie poczucie moralne i jaka nieprzemijająca głupota potrafią mieścić się w jednym człowieku! Dżygit żydowski! Co to jest, czy to jakaś

szczególnej żydowskiej chorobie ten syndrom rosyjskiego patriotyzmu? W rodzaju łuszczycy czy też splenomegalii typu Gauchera?

Pawłowi przypomniawszy się niedawna pacjentka, młoda Żydówka, która urodziła drugie dziecko z chorobą Gauchera. To choroba dziedziczna... Goldberg coś tam mówił o nagromadzeniu się recesywnych genów u starożytnych narodów, wśród których często miały miejsce małżeństwa pomiędzy krewnymi. I napisał coś o uzdrowieniu ludzkości poprzez małżeństwa mieszane. Omal że bredził o powstaniu nowej rasy ludzkiej... W rzeczywistości, gdyby się tak dobrze przyjrzeć, wszyscy chorują, wszyscy wokół są chorzy. Pełniący aktualnie funkcję asystenta Gorszkow jest chory z nienawiści do teściowej. Kiedy o niej mówi, zmienia mu się nawet tembr głosu. A co można o niej powiedzieć \* kłótniowa staruszka, chora na serce, ma cukrzycę. Pielęgniarka Wiera Antonowna jakaś pomieszana na tle drobnoustrojów \* własną bieliznę wyparza w autoklawie...

A Lena z jej snami?... Oczy patrzą do wewnątrz... Co ona tam widzi? Gdy ją o cokolwiek zapytać, budzi się jak gdyby. Na twarzy wyraz przerażenia, napięcie. Toma rozmawia szeptem z kwiatami z doniczek, Wasilisa robi znak krzyża nad kuchnią zanim ją zapali... Cały dom obłąkanych. Tylko Tania to zdrowy człowiek z normalnymi reakcjami. W ostatnim czasie źle wygląda, jest blada, oczy podkrążone. Albo jest przemęczona, albo... Może zrobić roentgen? „W niedzielę z nią porozmawiam” \* zdecydował Paweł.

Niedzielne poranki zazwyczaj należały tylko do nich obojga. Wasilisa jeszcze w sobotni wieczór wyjeżdżała dokądś za miasto na pielgrzymkę. Helena, która wcześniej nie chodziła do cerkwi, w ostatnim czasie również stała się bardzo pobożna, jak gdyby na złość Pawłowi. Uczęszczała wprawdzie gdzie indziej, nie razem z Wasilisa. W starej moskiewskiej cerkwi na Ostożence znalazła jakiegoś duchownego, byłego architekta, z którym omawiała swoje kreślone wizje senne. Toma szła przywitać rododendrony i oleandry w Ogrodzie Botanicznym.

Bezapelacyjnie niedzielne poranki należały do Tani i Pawła Aleksiejewicza. Jedli razem śniadanie, potem ze dwie godziny dyskutowali o wszystkim \* o pracy, o literaturze, o polityce. W późnych godzinach wieczornych Paweł pilnie słuchał przez



swój stary odbiornik lampowy Telefunken wszelkich wrogich głosów, które przebijały się poprzez zagłuszanie, Tania zaś czytała od czasu do czasu pierwsze wydania „samizdatu” \* nieznane wiersze znanych poetów i jakichś nowych, debiutujących. Niekiedy podsuwała ojcu coś, co szczególnie jej się podobało. Było dla nich ważne, by o wszystkim sobie nawzajem opowiadać. Polityka interesowała ich do pewnego stopnia, ale dla obojga znacznie bardziej zajmujące były naczynia krwionośne, kapilary...

Tania opanowała śpiewająco zawód laboranta histopatologii, pracę żmudną, precyzyjną, w której wszystko jej się podobało. Do jej zadań należało przygotowywanie barwników \* liematoksylin i to według dawnych, omal że nie średniowiecznych receptur. Całymi godzinami odparowywała, klarowała, filtrowała, destylowała. Opowiadała Pawłowi Aleksiejewiczowi o swoich osiągnięciach, a ten uśmiechał się \* nic się nie zmieniło, wszystko odbywa się tak samo. I za jego studenckich czasów badało się preparaty, zabarwione w ten sam sposób. Hematoksylina Ehrlicha, płyn Kulczyckiego...

Tani podobała się cała procedura przy przygotowywaniu preparatu, poddana surowym regułom już od chwili, kiedy szurzy mózg płynnie ześlizgiwał się do utrwalającej cieczy, aż po wykrawanie ciężkim, mikrotomowym nożem matowego parafinowego sześcianiku, zawierającego wewnątrz równomiernie obłany parafiną mózg. Na nożu pozostawały mikronowe skrawki i Tania cienkim pędzelkiem zmiatała je na szkiełko, przyklejała, umocowywała i zabarwiała hematoksyliną, którą sama przygotowywała przedtem przez trzy dni. Tylko stara Wikkers, osobista laborantka Gansowskiego, robiła preparaty lepiej od Tani. Ale Wikkers nie robiła niczego innego przez całe pięćdziesiąt lat. Przy tym Karolina Iwanowna samodzielnie nie potrafiła przyswoić sobie żadnej nowej metody, podczas gdy Tania z rozkoszą, namiętnie uczyła się każdej nowości.

Tania opowiadała ojcu ze szczegółami, jaką delikatną i zmyślną operację nauczyła się przeprowadzać wspólnie z Marleną Siergiejewną. Z uśpionej eterem szurzyicy wyjmowały dwurożną macicę wraz z płodem, wyprostowywały prawy i lewy róg po obu stronach wygolonego brzuszka i poprzez

lśniąca błonę przekłuwały płód, usiłując trafić w samo ciemiaczko, tam gdzie w rozwidleniu, powstałym pomiędzy dwiema półkulami mózgu i mózdzkiem, w głębi znajduje się jakiś sekretny gruczoł. Jeśli przekłucie się udawało, to w taki sztuczny sposób można było zahamować przepływ płynu mózgowo\*rdzeniowego i wywołać eksperymentalne wodogłowie, to znaczy puchlinę mózgu... Oczywiście, pod warunkiem, że operacja została wykonana bezbłędnie i że szurzyca nie poroniła i nie pożarła swego upośledzonego potomstwa, a urodziła je o czasie. Te wszystkie zabiegi miały doprowadzić najprzód do zrozumienia przyczyn powstawania tego schorzenia, a w ostatecznym rachunku wybawić ludzkość od ciężkiego, choć na szczęście dość rzadko spotykanego cierpienia. Tania rozkoszowała się nowym dla niej poczuciem profesjonalizmu, kiedy oczy i ręce pracują zgodnie, nie czekając na polecenia, ani na nadzór wyższej instancji, wykonują swoją pracę samodzielnie, autonomicznie, a praca lgnie do rąk, jak gdyby ciesząc się z powstającego dzieła... Z zachwyconych westchnień Tani, z pełnych entuzjazmu jej opowiadań właśnie o szczegółach, Paweł Aleksiejewicz wnosił, że jest z niej człowiek podobnej mu natury \* człowiek poważny.

Paweł Aleksiejewicz słuchał z największym zainteresowaniem \* tak dobrze był mu znany ten naukowy zapał... Tania kończyła dopiero drugi rok biologii, ale już pograżyła się po uszy w naukowych dociekaniach, co dla niego było tak zrozumiałe. „Żal jednak, że nie poszła na medycynę. Ma zdatne ręce, a będzie musiała przez całe życie patroszyć szczury" \* myślał stary lekarz.

W swoich najskrytszych nocnych zapiskach z tamtego czasu zanotował: „Namnożyło się teraz tylu gadułów, czego przedtem nie było. Pojawiła się cała masa ludzi, których zajęciem jest pusta, a nawet nikczemna gadanina. Cały naród bardzo wyraźnie się podzielił na tych, co tylko gadają i na tych, co robią coś konkretnego. Całe instytucje, specjalne funkcje \* to zalew pustosłowania, tej zarazy. Jakie to szczęście, że Tania jest z natury człowiekiem czynu. Konkretna robota, zawód \* to jedyne punkty oparcia. Wszystko pozostałe jest nader chwiejne”.

Laboratorium badało strukturę i rozwój mózgu. Morfologowie i histologowie śledzili przez szkła prymitywnych mikroskopów rozwój naczyń włoskowa tych mózgu,

obserwowali tajne procesy tworzenia się nowych dróg przewodzenia w mózgu w miejsce porażonych lub upośledzonych. Często wykorzystywali eksperymentalne wlewanie tuszu do systemu naczyń krwionośnych. Tusz stopniowo zastępował krew i na przygotowanych później preparatach można było oglądać wyraźne, ciemne rozgałęzienia, wypełnione jakby ciemnoszarą ziarnistą ikłą \* tak wyglądał tusz pod mikroskopem. Najlepsze efekty metoda ta dawała wtedy, \* kiedy wlewki stosowano w organizmie żywym. Serce zwierzęcia biło, nie czując, iż zamiast krwi pompuje tusz i dopiero stopniowo, tracąc siły z powodu braku tlenu, spowalniało swój rytm i przestawało bić. Częściej jednak wlewki praktykowano na martwym zwierzęciu, które wcześniej było poddawane różnym naukowym eksperymentom. Był to zabieg prostszy, ale naczynia krwionośne nie wypełniały się tuszem dokładnie. Zestawy instrumentów, niezbędnych do dokonywania tych doświadczeń, różniły się nieco między sobą \* różnice te spowodowały w przyszłości zasadniczy zwrot w życiu Tani.

Którejś niedzieli Tania z dumą oświadczyła, że została wyznaczona do roli osoby odpowiedzialnej za salę chirurgiczną i w jej ręku od tej pory będą się znajdowały klucze od szafki ze wszystkimi laboratoryjnymi instrumentami. Teraz każdy, kto miał coś do wykonania w sali operacyjnej, mieszczącej się w półsuterenie, musiał zwracać się do Tani o wydanie mu kleszczy, zacisków, skalpeli i piłek \* strasznych, ale pięknych narzędzi do przecinania i piłowania tkanek kostnych. Tam na dole, w sali operacyjnej przeprowadzano doświadczenia nie tylko na szczurach, ale i na kotach, psach, królikach... Podstawowym zajęciem Tani było nadal przygotowywanie możliwie najcieńszych preparatów histologicznych i ta robota szła jej bardzo dobrze. Na wiosnę sześćdziesiątego roku Tania zdała doskonale wszystkie przepisane egzaminy, zaproponowano jej więc przejście na studia dzienne. Ona jednak odmówiła, nawet nie zasięgając rady rodziny. Choć nauka na studium wieczorowym rzeczywiście była uciążliwa, Tania nie chciała porzucać laboratorium. Jej całe obecne życie związane było właśnie z tym miejscem, z kolbami, szczurami, w bliskiej współpracy z Marleną Siergiejewną. Sam profesor Gansowski ją obserwował. Stara Wickers wybierała się na emeryturę i przychodziło mu do głowy, czy nie zastąpić jej

Tanią. Marlena Siergiejewna, odgadłszy jego zamiary i nie chcąc tracić Tani jako laborantki, na wszelki wypadek zawiadomiła go, że Tania zamierza przejść na studia dzienne. Zawiązywała się drobna, ale klasyczna intryga, a Tania \* jak to zwykle bywa \* nie miała o tym pojęcia.

Klinika dziecięca, istniejąca przy laboratorium, zwijała niektóre oddziały podczas letnich miesięcy, pozostawiano jedynie ostrą patologię i oddział rozwoju, w którym przebywały zdrowe dzieci, najczęściej pozostawione w izbach porodowych przez swoje matki, nie chcące ich zabierać. Trzymano je tu do wieku trzech lat pod nadzorem pediatrów i fizjologów, którzy obserwowali rozwój „normalnego” dziecka, później przekazywano je do Domów Dziecka. W tym okresie, kiedy klinika była prawie zamknięta, aspiranci i pracownicy naukowcy mieli możliwość skoncentrowania się nad doświadczeniami, które następnie w rozprawach doktorskich wchodziły w zakres „Części eksperymentalnej”. Życie w laboratorium przybierało na intensywności, w sali chirurgicznej praca trwała każdego dnia według ściśle określonego podziału godzin i kolejności. Przybywało pracy i dla Tani \* oprócz wydawania instrumentów musiała również zajmować się ich sterylizacją. Zdarzenie, które w najbardziej znaczący sposób wpłynęło na jej życie, było niepozorne i całkiem zwyczajne. Miła z wyglądu, utykająca na nogę z powodu przebytej choroby Heinego\*Medina laborantka Rają, trzymając mocno z rękach rynienkę, pokrytą żółtym nalotem na skutek wielokrotnych sterylizacji, poprosiła o wydanie jej kompletu instrumentów, potrzebnych do wlewki tuszu.

\* Co będziesz zalewać? \* rzeczowo zapytała Tania.

\* Ludzki płód \* powiedziała Rają.

Zadzwęczał klucz i Tania otworzyła oszkloną szafkę z drobnymi metalowymi, drogocennymi przedmiotami, wyjęła /, puszki pincety, skalpele, utrwalacze, przeliczyła je dokładnie i dobierając zaciski spytała:

\* Żywy czy martwy?

\* Martwy \* spokojnie odparła sympatyczna Raj a, pokwitowała w zeszycie pobranie instrumentów i zaczęła po stromych schodkach schodzić na dół do półsutereny...

Zdażyła już doczłapać się na miejsce i szurała ręką po ścianie, szukając wyłącznika,

gdy do Tani dotarło, o co zapytała Raję... Zrozumiawszy to, położyła na miejscu klucz od sali operacyjnej, zdjęła swój biały kitel, powiesiła go na wieszaku i wyszła z laboratorium. Więcej tam już nie wróciła. Nie wróciła również na uniwersytet. Jej romans z nauką zakończył się w tym momencie i to na zawsze.

20.

Przez cały tydzień Tania milczała. Z rana, jak zwykle, wychodziła z domu i szła dokąd oczy poniosą \* albo do centrum, albo do Lasku Maryjskiego, albo do Akademii im. Timiriaziewa. Od urodzenia nie przeżywała takich pustych dni. Lato w tym roku było późne i chociaż nadszedł już koniec czerwca, zieleń w parkach była jeszcze świeża, lipy kwitły z opóźnieniem. Szczególnie pełne uroku były zaułki, stare podwórka, drewniane domy, które stwarzały jakąś miłą, swojską atmosferę. Tania wędrowała aż do uczucia zmęczenia, potem kupowała trochę chleba, topiony serek, butelkę ciepłej lemoniady i siadała gdzieś w zacisznym kąciku, obok drewnianych szop, na skarpie jakiejś nieczynnej boczniczy kolejowej czy w parku na ławce... Znajdowała się w dziwnym stanie jakiegoś rozdwojenia. Wydawało się, że nie myślała o niczym, tylko się przechadzała i rozglądała wokół, ale myśl tkwiła gdzieś w głębi niej i wciąż ja nurtowała, raz tak, raz inaczej. Nie była to nawet wyraźna myśl, ale to porażające głęboko wydarzenie, że ona, Tania Kukocka, zapytała Raję Paszczenkową, czy płód był żywy, to znaczy, czy dziecko było żywe, a jeśli byłoby tak, to wydałaby Rai potrzebne instrumenty do wprowadzenia tuszu do żył i zabicia żywego dziecka... Nie małego szczura, ani kotka, ani królika, ale istoty noszącej imię, nazwisko, mającej określoną datę urodzenia... Czy naprawdę każdy człowiek znajduje się o krok od dokonania zabójstwa, czy też stało się coś szczególnego, co przydarzyło się tylko jej?

Przepędziwszy czas w mieście od rana do wieczora, Tania wracała do domu, jadła kolację i kładła się spać. Zasypiała szybko, ale zaraz się budziła i sen już nie wracał. Pewnego razu w nocy, nie wytrzymując swojej bezsenności, ubrała się i po cichu wyszła na ulicę. Przeszła się po okolicznych znajomych podwórkach, które w nocy

przeobrażyły się w jakieś ogromne teatralne dekoracje. Ukazał się księżyc, który szybko przesunął się po niebie i schował gdzieś za gmachem więzienia na Butyrkach. Potem powiał wiatr, niebo pojaśniało, nowa stróżka, która zajęła miejsce zmarłej Lizawiey Połosuchiny, zaczęła suchą miotłą zamiatać podwórze, podnosząc kłęby kurzu...

Około wpół do siódmej Tania wróciła do domu, położyła się do łóżka i zasnęła.

Kiedy Toma usiłowała ją obudzić, burknęła tylko, że nigdzie dziś nie idzie... Później Helena pochyliła się nad nią:

\* Taniusiu, co się stało? Jesteś chora?

Naciągnąwszy prześcieradło na głowę, Tania odpowiedziała impertynencko:

\* Nie jestem. Śpię. Zostawcie mnie w spokoju.

Helena zdziwiła się tonem jej odpowiedzi. To do Tani nie było podobne.

Tania obudziła się przed obiadem. W domu nie było nikogo, nawet Wasilisa dokądś wyszła. Tania ucieszyła się, że nikomu niczego nie będzie musiała wyjaśniać i znów wyszła z domu, by przemieszczać się bez celu i bez sensu... Palicha, Samotieka, Mieszczańskie... Drewniane domy, resztki slobodzkiej zabudowy...

Właściwie była już gotowa do rozmowy z ojcem, chciała usłyszeć, co powie jej ten najważniejszy, najmędrszy, najbardziej wykształcony człowiek... Ale ojca nie było, przebywał na jakiejś ważnej delegacji i Tania złościła się na niego i przygotowywała do wygłoszenia zjadliwej uwagi: kiedy jesteś potrzebny, to zawsze jesteś albo na operacji, albo na konsultacji, albo w Pradze, albo w Warszawie...

Można było jeszcze porozmawiać z Witalkiem Goldbergiem, ale on obijał się gdzieś w kołchozie w Kostromskim okręgu. A rozmawiać z matką, z Tomą czy z Wasilisą, to to samo, co naradzać się z kotem...

Gdy Tania wróciła do domu, Toma już spała, matki z jakiegoś powodu nie było, a Wasilisa siedziała w kuchni i przebierała kaszę.

\* Będiesz coś jadła? \* spytała Wasilisa.

Jeść jej się nie chciało. Nalała sobie herbaty, usiadła naprzeciwko Wasilisy i zaskoczyła ją pytaniem:

\* Wasiu, jak myślisz, kiedy dusza zagnieżdża się w dziecku, zaraz przy poczęciu, czy

dopiero przy narodzinach?

Wasilisa wylupiła na nią swoje jedyne widzące oko i bez najmniejszego wahania odparła:

\* Wiadomo, że przy poczęciu, a jak mogłoby być inaczej?

\* Czy to cerkiewna nauka, czy ty sama tak myślisz? Wasilisa zmarszczyła czoło.

Miała tę słabość, że jej własne

myśli wydawały się jej nauczaniem kościoła, ale teraz nagle ogarnęła ją wątpliwość \* drugie pytanie było trudniejsze od pierwszego.

\* A co ty mnie tu nękaś, ojca zapytaj, on lepiej wie \* rozzłościła się nagle Wasilisa.

\* Zapytam, kiedy wróci \* Tania wyszła, zostawiając na stole filiżankę po herbacie.

Wasilisa zamknęła oko i zamyśliła się: pewnie nie bez powodu Tania nagle chce o tym wiedzieć! Może szepnąć coś Helenie? Ale i sama Helena w oczach Wasilisy pod tym względem nie była całkowicie godna zaufania.

21.

Paweł Aleksiejewicz przyjechał z Polski z całą walizą prezentów. Zgodnie ze swym zwyczajem, wszedł do pierwszego sklepu, na jaki natrafił i kupił wszystko łącznie z walizką. Sklep przypadkowo okazał się sklepem dla nowożeńców, dlatego też wszystkie rzeczy, zakupione przez Pawła, były białe, koronkowe, banalne. Wasilisa wraz z Tomą wydawały okrzyki zachwytu, a Tania uśmiechała się znacząco do matki... Ojciec przesadził tym razem... Zresztą białe pantofle przydały się i Helenie, i Tani...

Minęły jeszcze trzy dni, zanim nadeszła niedziela, której Tania tak oczekiwała. Do tej pory podczas swych spacerów bez celu wymyśliła całą teorię odrzucenia świata, głupiego, niedorzecznego, najpodlejszego świata, według zasad którego zdecydowanie nie chciała żyć.

Przy śniadaniu opowiedziała ojcu zwięźle i precyzyjnie, co zaszło. Nie musiał długo słuchać, natychmiast pojął sedno sprawy.

\* Czy rozumiesz, o czym chcę z tobą porozmawiać? \* Tania zakończyła pytaniem

swoją opowieść.

Paweł Aleksiejewicz siedział milcząc, ona też milczała. Czekwała na to, co powie. A on wspominał ją, gdy miała trzy lata, potem pięć lat i przymierzał do niej \* dorosłej, młodej kobiety ze smutną twarzą \* wszystkie jej dziecinne naiwne nazwy: wiewióreczki z wyrazistymi oczkami, wisienki, koteczka... Czyżby i w tym przypadku oczekiwała go klęska?

\* Czy chcesz rozmawiać o profesjonalizmie? \* zapytał.

\* Właśnie tak \* kiwnęła głową Tania.

\* Widzisz, profesja, zawód \* to kął widzenia. Fachowiec bardzo dobrze widzi jeden wycinek życia i może absolutnie nie zauważać innych spraw, które z jego zawodem się nie stykają.

\* Tato, ja czytałam o esesowskich lekarzach. Oni przeprowadzali doświadczenia, dotyczące, zdaje się, oddziaływania na człowieka niskich temperatur czy też jakichś substancji chemicznych. Robili te eksperymenty na więźniach, skazanych uprzednio na śmierć, na zagładę.

\* Tak, tak. Wiem, to straszne. Potem ich sądzono na procesie w Norymberdze. Masz rację. Konflikt co do zasad istnieje.

\* Paweł potarł oczy, które naraz uległy zmęczeniu od tej rozmowy. \* Nie zapominaj jednak o tym, że wyrok w pewnym sensie wydany jest zawczasu i na lekarzy, i na pacjentów. Tania uniosła brwi:

\* Chcesz powiedzieć, że wszyscy ludzie są śmiertelni? Jeżeli to brać pod uwagę, to staje się jeszcze gorzej. Jeszcze bardziej nikczemnie. W niczym nie ma ani okruszyny sensu. U nas na patologii leży w tej chwili dziecko \* ciało drobniutkie, a głowa ma dziewięćdziesiąt centymetrów średnicy. Rozciągnięta błona skóry na wodnistym pęcherzu. I żadne szczury go nie uratują! Czy to znaczy, że lepiej je zabić, poddać ostrym eksperymentom?

\* Tego w ogóle nie bierze się w rachubę. To idiotyczne rozumowanie \* Paweł Aleksiejewicz wzruszył ramionami. Nasłuchała się rodzinnych przesądów \* pomyślał z rozdrażnieniem, ale zdecydował, że rozmowę należy doprowadzić do końca. \* W naszej dziedzinie, Taniu, fachowcem jest ten, kto bierze na siebie odpowiedzialność,



z istniejących możliwości wybiera najbardziej odpowiednią. Czasem jest to wybór pomiędzy życiem a śmiercią. Medycyna posiada własną etykę. Weź Hipokratesa, przeczytaj, już on o tym pisał. Istnieją uznane zasady: w moim zawodzie, gdy trzeba wybierać między życiem dziecka a życiem matki, zazwyczaj wybiera się życie kobiety. To zdarza się nie tak znów rzadko. Co się zaś tyczy twojej historii, to zagadnienie jest dość abstrakcyjne: przez chwilę wydawało ci się, że możesz się stać zabójcą...

Tania przerwała ojcu:

\* Tato, mnie się nie wydawało. Co ja robiłam przez te dwa lata? Zabijałam szczury, całą masę szczurów. To okazało się bardzo proste. Ciach, ciach... A w rezultacie jakaś bariera zanikła...

\* Nie, nie, nie. To dobre dla mamy, o barierach ja nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. Istnieje określona hierarchia wartości i życie człowieka zajmuje w niej najwyższe miejsce. I jeżeli po to, by ocalić życie jednemu człowiekowi, by nauczyć się leczyć jedną tylko chorobę u ludzi trzeba zgładzić w laboratoriach sto tysięcy czy nawet więcej zwierząt, nie może być żadnych wątpliwości.

\* Tatku, ty nie rozumiesz. Ja mam na myśli co innego. Bóg z nimi, ze szczurami. Ja mówię o sobie. Co ze mną samą się stało? \* Tania wyciągnęła przed siebie swoje szczupłe ramiona.

\* Nie dostrzegam tu tragedii. To był zawodowy tok myślenia, który spowodował zacięcie się, zatrzymanie. To się zdarza.

\* Proszę bardzo! Tylko myśl się zacięła! Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Ja kroję, kroję te szczury, mam pełne kosze padliny, żeby osiągnąć jakiś rezultat, żeby czegoś się dowiedzieć, coś tam wyleczyć, a przez ten czas ze mną samą dzieje się coś takiego, że zatracam podstawowe pojęcia, zatraciłam poczucie różnicy między życiem człowieka i szczura... Ja nie chcę dłużej być porządną dziewczyną, która zabija szczury! \* Tania prawie krzyczała, a Paweł Aleksiejewicz wciąż coraz bardziej posepniał, aż zmarszczki zgromadziły mu się na łysiejącej głowie i sięgały prawie do karku.

\* Wybacz, dziecko, a kim ty właściwie chcesz być?

Tania już nie mogła powstrzymać łez. Paweł Aleksiejewicz nie znosił takiego widoku.

\* Chcę być złą dziewczyną, ale która nikogo i niczego nie zabija!

\* Porozmawiaj z Ilją Iosifowiczem. On jest filozofem i udowodni ci, że wszystko jest materią. I my z tobą, i szczury, i drozofile, wszystko stanowi materialną jedność.

Mnie filozofia nie interesuje. Ja się zajmuję praktycznymi zagadnieniami \*

odpowiedni obrót noworodka, podwójny skręt pępowiny... Nie podejmuję się

rozstrzygać zagadnień o znaczeniu światowym. U nas dotychczas i tak połowa ludzi tylko tym się zajmuje... To nie pociąga za sobą odpowiedzialności. Natomiast każdy, kto robi coś rozsądnego \* ponosi odpowiedzialność. Większość ludzi usiłuje w ogóle nic nie robić...

\* Nie chcę takiej odpowiedzialności! \* łzy już ciekły Tani po twarzy. Oczekiwała od ojca współczucia i zrozumienia, ale niczego takiego w nim nie znalazła. Paweł Aleksiejewicz patrzył na nią obcym i nieprzychylnym wzrokiem:

\* Trzeba było w takim razie zostać pianistką, albo przesadzać kaktusy. Albo, na przykład, wykonywać prace kreślarskie, a nie zajmować się nauką...

\* A ja niczym takim już się nie zajmuję. Koniec. Rzuciłam wszystko \* wykonując powolne ruchy, jakby niepewne, Tania sprzątnęła ze stołu filiżanki i wstawiła je do zlewu...

Paweł Aleksiejewicz patrzył na jej ściągnięte plecy z przykrym uczuciem, że już kiedyś przeżywał coś podobnego. Oczywiście, uraził, uraził córkę, stary dureń! Tak jak Lenoczkę... I znieważona Tania takimi samymi powolnymi, niepewnymi ruchami zbiera filiżanki ze stołu...

Schwycił ją za chude ramiona i objął:

\* Taniu, nie wolno robić tragedii z eksperymentu. Smukła, młoda kobieta, tak podobna w tej chwili do swojej

matki, że Pawłowi aż serce się ścisnęło, obróciła ku niemu zalaną łzami złą twarz i powiedziała ściszone głosem:

\* Nawet ty, tak jak wszyscy... niczego nie rozumiesz... Wyszła z kuchni, głośno trzasnąwszy drzwiami, zostawiając

Pawła Aleksiejewicza głęboko zasmuconego i zdumionego: co takiego nedorzecznego jej powiedział, czym uraził swoją kochaną dziewczynkę? Usiadł na swoim stałym miejscu przy stole, oparłszy głowę na rękach. Zamyślił się... Istnieje wiele przyczyn, które powstrzymują ludzi przed wzajemnym zbliżeniem: wstydliwość, obawa przed mieszaniem się w cudze sprawy, obojętność, wreszcie wstręt fizyczny. Ale istnieje również coś przeciwstawnego, jakiś czynnik przyciągający, aż do pełnej możliwej bliskości. Gdzie leży granica? Na ile jest realna? Zakreśliwszy umowny, większy lub mniejszy krąg magiczny wokół siebie, każdy żyje w ograniczonej przez niego samej klatce i odnosi się do tej abstrakcyjnej przestrzeni w różny sposób. Jeden ceni ją ponad wszystko, drugiemu ona ciąży, jeszcze inny pragnie włączyć do niej swoich wybranych, kochanych, a usunąć tych, którzy się doń napraszają...

Pośród wielu ludzi, znanych Pawłowi Aleksiejewiczowi, większość nie wytrzymywała jakiegokolwiek izolacji, ludzie ci bali się zostawać sami ze sobą i byli gotowi z byle kim pić herbatę, rozmawiać, robić cokolwiek, byleby nie pozostawać w samotności. Gotowi byli na niewygody, ból, cierpienie byleby to odbywało się przy innych, publicznie. To oni wymyślili przysłowie: „Wśród ludzi i śmierć miła”... Ale ludzie myślący, coś tworzący, w ogóle czegoś wari zawsze odgradzają się strefą ochronną, przestrzenią oddalenia... Jaki to paradoks! Najcięższe krzywdy wynikają właśnie z tego, że najbliżsi sobie ludzie mają inaczej zakreślony zasięg zewnętrzny i wewnętrzny swojej osobowości. Ktoś jeden potrzebuje, żeby żona pytała go pięć razy, dlaczego dziś jest blady i jak się czuje, ktoś inny nawet zbyt uważne spojrzenie odbiera jako zamach na jego wolność...

„Jaka dziwna, wyjątkowo dziwna ta nasza rodzina \* stwierdzał w myślach Paweł Aleksiejewicz. \* Może to z tego powodu, że tylko dwie osoby, to znaczy Helenę i Tanię łączą więzy krwi... pozostali znaleźli się tu z woli losu. Niepojęte wiatry przygnały do ich domu posepną Wasilisę, niezdatną Tomę z jej wiecznozielonymi radościami... Helena jest wciąż smutna, Tania buntuje się nie wiedząc czemu... A każdy jest zamknięty w swojej klatce, osobny, nieprzenikniony i każdy pozostaje ze swoją jakąś nieskomplikowaną tajemnicą...”.

Paweł Aleksiejewicz planował na dzisiejszy dzień trochę pracy. Zamierzał przejrzeć amerykańskie czasopisma, sporządzić opinię o rozprawie, która czekała już od dwóch tygodni... Nie miał jednak nastroju, nie miał ochoty na czytanie jakiejś miernej pracy czyjegoś tam syna. Otworzył kredens, butelka stała na zwykłym miejscu, zdjął metalową nakrętkę... „Wszystkiemu jestem winien ja sam, stary dureń. Uraziłem je wszystkie: Helenę, Tanię, Wasilię...”.

22.

Tania wybiegła z domu i popędziła w kierunku stacji Sawiełowskiej, potem ruszyła w prawo, w lewo, przebrnęła przez poplątane zaułki i jakieś otwarte podwórza, i znalazła się na tyłach rynku Minajewskiego. Rozbity stragan z desek, którego jeszcze nie zdążono spalić, góry śmieci \* zgniłych warzyw, kawałków szkła...

Słońce przygrzewało z ostatnich przed zachodem sił. Łzy i złość jakoś wywietrzały.

Tania usiadła pod ścianą jakiejś szopy. Obok trzech małych, może siedmioletnich chłopców, grało w karty. Jeden z nich miał zajęczą wargę, drugi \* kikut zamiast prawej ręki, trzeci wyglądał w miarę normalnie, tylko twarz miał pokrytą wielkimi pryszczami.

Głośno plaskali kartami i klęli siarczyście. Było niezręcznie patrzeć w ich kierunku.

Z drugiej strony siedziała upojona alkoholem para. Oboje byli niewyobrażalnie brudni i niezwykle radośni, jakieś dziwne dwie istoty, zbyt grubo ubrane jak na letni dzień \* w spodniach od dresów, w zimowych, rozpadających się bucikach. Płeć było trudno rozpoznać. Przed nimi stała pusta butelka. Widać, czuli się dobrze. Poszarzały kawałek bułki i topiony serek leżały obok na tekturce. Zadowolenie wprost unosiło się nad nimi niczym różowy opar. Spoglądali na Tanię i o czymś rozmawiali. Jedna z tych nieokreślonych istot kiwnęła zachęcająco na Tanię i gdy ta zrobiła ruch w ich stronę, wyciągnęła z obszarpanej torby nie rozpoczętą butelkę taniego wina, mrugając porozumiewawczo...

Narciarskie wełniane czapki, z powodu brudu nie wiadomo jakiego koloru, były naciągnięte głęboko, włosów więc nie było widać i jedynie dobrze się przyjrzawszy,

po nieogolonych policzkach istoty, która wydawała się drobniejsza, Tania poznała, że to musiał być mężczyzna.

\* Chodź, naleję ci \* zaproponowano Tani.

Teraz się wyjaśniło, że druga istota to kobieta. Twarz miała ospowatą, pod okiem widniał ślad starego siniaka.

Tania podeszła bliżej. Kobieta starannie wytarła czarną ręką szklanę i nalała prawie do pełna. Tania wzięła szklanę i wypła jednym haustem. Kobieta zaśmiała się z zadowoleniem:

\* Ano, dobrze, a on mówił, że ty nie wypijesz, a ja mówiłam: nikt nie odmówi!

Tania poczuła się jak ofiara eksperymentu i w odpowiedzi zaśmiała się wesoło. Wino wydało jej się bardzo smaczne, od razu nią owładnęło i po raz pierwszy od chwili opuszczenia laboratorium Tania poczuła ulgę...

\* Dziękuję, bardzo dobre wino \* powiedziała Tania, zwracając szklanę.

Pijaczka ożywiła się:

\* Ty nia pij wina, dziecko.

Jej akcent nie był akcentem moskiewskim, zamiast „e” wymawiała czasami „a”.

\* A ja nie piję \* odparła Tania.

\* Widać, jak nie pijesz! Całą szklanę wytrąbiłaś i nie udławiłaś się! \* dobroduszny z wyglądu facet rozzłościł się nagle.

\* Nia zwracaj na niego uwagi, on jest głupi \* znów porozumiewawczo mrugnęła kobieta, ale jej towarzysz rozzłościł się jeszcze bardziej, powoli wyciągnął swoją posiniałą łapę, usiłował złożyć ją w kulak \* nie udawało mu się, spuchnięte palce nie chciały się zgiąć, sterczały oddzielnie \* i podsunął kobiecie pod nos...

Ta z nieoczekiwaną kokieterią płaśnęła go po rękę:

\* Oj, jaki odważny!

\* Uważaj, bo cię nauczę... \* pogroził jej.

\* Na, masz tu \* kobieta łagodząc sytuację, wycofała się. Napełniła zręcznie brudną szklanę i podała mu.

\* A tak, to co innego \* wziął szklanę koślawą ręką i wypła. Później, jakby w zamyśleniu, powolnym ruchem postawił pustą szklanę obok resztek jedzenia i

zwrócił się do Tani:

\* Zamiast tak siedzieć, poszłabyś i jeszcze byś przyniosła. Tania posłusznie wstała:

\* A jakiego?

\* Jakiego! \* przedrzeźnił ją. \* Może szampana, co? Na jakie ci starczy, takie i kup...

Czy wiesz, dokąd iść? Do drewniaka, sklepy wszystkie są zamknięte.

Na początek Tania kupiła butelkę wytrawnego wina Gurdzaani, ale zakup okazał się nieudany. Facet aż rozłożył ręce z oburzenia. Tym niemniej butelka została opróżniona. Później, już przed samym zamknięciem, Tania poszła i kupiła jeszcze dwie butelki portwajnu. Tym razem utrafiła w gust. Pomiędzy Gurdzaani i portwajnem zjawiał się milicjant i wszystkich przegnał. Umieścili się więc nieopodal, w przytulnym, zarośniętym łożuchami kącie podwórza, między trzema walącymi się budynkami, które nawet nie przypominały domów... Rozkoszna atmosfera nasilała się. Para nie zwracała uwagi na Tanię. Facet przez cały czas oprócz wykrzykników wypowiedział tylko trzy normalne słowa:

\* Latem dobrze, ciepło...

Spod wełnianych czapek lał im się na brudne twarze obfity pot, letni dzień wciąż trwał. Nie było to lenistwo, ani bezczynność \* to był odpoczynek.

Przez całe swoje prawie dwudziestoletnie życie Tania nigdy nie trafiła jeszcze do tak szczęśliwego miejsca, gdzie nie istniały praca, troski, obowiązek, pośpiech. Ta zapijaczona para dysponowała taką porcją wolności, że wystarczało jej i dla Tani.

Kobieta zdjęła obuwie, wyciągając z jego resztek brudne, bose stopy. Rozkraczyła się i stanęła na ciepłej trawie. Przyjemnie... Potem odeszła na bok o parę kroków, spuściła majtki. Zaświeciła niespodziewanie białym tyłkiem. Facet z błogością skomentował:

\* Siknęła sobie, suczka...

I sam się namyślił. Wstał, odciągnął gumę od kilku par nałożonych na siebie portek, wyciągnął drobny członek i liść łożucha zatrząśł się pod lecącym z góry silnym strumieniem.

Tania czuła się bardzo dobrze i w miarę, jak stawała się bardziej pijana, czuła się coraz lepiej. Wreszcie zasnęła na miejscu w cieniu łożuchów.

Obudziła się, gdy było już ciemno, z uczuciem silnych mdłości. Nie od razu się zorientowała, gdzie jest. Poruszyła się i uniosła na kolana. Chwyciły ją silne wymioty. Wytarła usta kawałkiem liścia. Para pijaków zniknęła. Trzeba było wracać. Próbowała wstać i znów zaczęła wymiotować. Tym razem aż z niej chlustało, a żołądek rwał się jak gdyby na kawałki. Gdy zrzuciła już wszystko, poszła przez ciemne, oświetlone tylko światłem z okien podwórka. Minęła jedno, drugie, trzecie. Gdzieś blisko zadźwięczał tramwaj \* poszła więc w tym kierunku. Ulica okazała się znajoma \* to Tychwińska, blisko domu.

Znów poczuła się dobrze, jakby przytrafiło jej się coś wspaniałego. A tamte łązgi... sympatyczni, wolni od wszelkich trosk ludzie...

Życie jest przedziwnie proste! Coś takiego ze sobą zrobiłam \* ciach, ciach! Więcej już nie chcę żadnych zapłodnionych szczurów, żadnego wodogłowia, żadnych rosnących kapilarów!

Na Tanię spłynął ten niezmacony spokój, rozkoszna chwila zadowolenia i radości, która promieniowała od pary pijanych włóczęgów...

23.

Helena siedziała na wąskiej drewnianej ławce z tyłu cerkiewnej skrzynki na ofiary i czekała na znajomego kapłana. Nabożeństwo już się zakończyło i wierni się rozeszli. Sprzątaczką podzwaniała wiadrem. Te drobne dźwięki w ciszy świątyni rozlegały się donośnie... W refektarzu duchowni wraz z cerkiewnym starostą i dyrygentem chóru spożywali obiad i do Heleny docierał zapach smażonej cebuli. Oświetlenie wewnątrz cerkwi było prawdziwie teatralne: grube snopy słonecznych promieni, docierające z wysoko umieszczonych okien, przecinały półmrok, a pojawiające się w słonecznym świetle ikony świeciły wyczyszczonymi sukienkami, błyszcząły miedziane lichtarze, a w miejscach, do których światło nie docierało, można było spostrzec tajemnicze migotanie, odbłaski, kołyszące się ognie dopalających się świec... Helena odczuwała w duszy spokój i ciszę. Dla takich właśnie chwil przychodziła tutaj: kłopoty wydawały się wtedy mało znaczące, problemy \* nieistotne, a oczekiwana rozmowa

niezręczna i fałszywa... Może niepotrzebnie poprosiła ojca Władimira o spotkanie? Może nie trzeba niczego nikomu opowiadać? I jak opowiadać? Tak, świat rozpada się na kawałki. Ale przecież ona sama rozumie doskonale, że rozpada się nie świat, a jej świadomość, z której wypadają drogocenne odpryski wiedzy, wspomnień, przyzwyczajęń... Poszłaby do neurologa czy psychiatry, a nie do duchownego, gdyby poprzez szczeliny rozdartej świadomości nie przenikało coś postronnego, dokładniej \* coś z tamtej strony życia, jakieś głosy, twarze, coś niezmiernie, zatrważającego, czasami niewyraźnie pięknego. Jakies cudowne zjawisko? Złudzenie? Jak to określić?

Duchowny już szedł w jej kierunku, wycierając po drodze kraciastą chusteczką usta, skryte gdzieś wśród wąsów i brody...

\* No, moja droga, jestem do pani usług \* powiedział całkiem po świecku, jak w dawnych czasach, kiedy pracował jeszcze w Mosprojekcie, a Helena wykonywała dla niego od czasu do czasu roboty kreślarskie. \* Ma pani jakieś problemy?

Nie było takich problemów, które Helena mogłaby omawiać takim rzeczowym i zdecydowanym tonem.

\* Kłopoty z córką... \* wydusiła z siebie Helena.

Nie miała zamiaru rozmawiać o Tani, ale problem Tani był konkretny, jasny do zrozumienia, więc opowiedziała o niej. Zawładnęło ją jednak uczucie jakiejś zdrady

\* Tania nie upoważniła jej do omawiania z kimkolwiek jej spraw \* ale już się stało i Helena kontynuowała:

\* Ona jest bardzo zdolna, świetnie się uczyła, a teraz nagle porzuciła pracę, nic nie robi, gdzieś włóczy się od rana do nocy i nic nie mówi...

\* Ile ma lat, dwadzieścia? \* ojciec Wladimir z żalem pokiwał grubaśnym nosem, oczy spod zrośniętych u nasady nosa brwi patrzyły ze współczuciem. \* Z moimi to samo... Kola opuścił instytut, Natka rzuciła męża... Wychowaliśmy nasze dzieci bez kościoła i stąd takie żalosne rezultaty...

Helene ogarnęło potworne znudzenie, ale nie mogła odejść tak od razu, więc jeszcze ze dwadzieścia minut trwała rozmowa o szkodliwości wychowania ateistycznego, o konieczności przyprowadzania dzieci do cerkwi już od najmłodszych lat, o pożytku z



czytania Ewangelii, o modlitwie i innych słusznych i pozytywnych sprawach.

Rozmowa \* co dziwne \* przypominała to, co swoimi słowami, daleko mniej składnie, zawsze mówiła Wasilisa.

Po godzinie trzeciej Helena wyszła na ulicę. Słońce wciąż świeciło i wciąż jeszcze trwało lato, ale miejsce wydało się jej zupełnie nieznane i nagle obleciał ją dziki strach, jaki odczuwa dziecko, gdy zgubi matkę w tłumie na dworcu... Stała chwilę, poczekała, aż to minie... Tak się już z nią zdarzało, taki rodzaj zaćmienia, ale tylko na moment. Teraz ten stan się przedłużał i należało jakoś się do niego przystosować... Jestem w mieście \* powiedziała do siebie Helena. \* To Moskwa. Przyjechałam tutaj metrem albo trolejbusem... Trzeba zapytać, gdzie jest najbliższa stacja... Koło mego domu przebiega metro. Nie pamiętam, jak się nazywa tamta stacja. Ma szklane kolorowe witraże... Ja mam dom, w domu jest telefon... Ale nie pamiętam numeru... Trzeba o to spytać tę osobę, z którą tylko co rozmawiałam... Nie mogła jednak sobie przypomnieć z kim, ani o czym rozmawiała przed chwilą...

Wysoka kobieta w jasnym kostiumie, wjedwabnym w szarobłękitne wzory szaliku na siwiejących włosach, stała na cerkiewnych schodkach, próbując odnaleźć jakąkolwiek chropowatość na pustym zwierciadle świata, świata, który jeszcze przed chwilą był pełen kolorowych, różnorodnych przedmiotów, a każdy z nich miał swoją nazwę, swoje imię... Powoli poszła zaułkiem. Długo szła, mijając nieznane miejsca, raczej nawet przyjemne, ale zupełnie nierozpoznawalne. Starła się nie przechodzić przez jezdnię \* bała się. Zmęczyła się, posiedziała więc na ławce na jakimś skwerze. Zapragnęła zapytać siedzącą obok kobietę o godzinę, ale nie potrafiła tego zrobić \* nie dawało się ułożyć odpowiednich słów, ani ich wypowiedzieć. Później ktoś znajomy dotknął jej ramienia:

\* Helena Gieorgijewna? Czy coś się pani stało?

To był kobiecy głos, pełen współczucia. Do kogo należał, Helena nigdy sobie nie mogła przypomnieć. Ten anioł zaprowadził ją do domu, pomógł otworzyć drzwi kluczem. Był już, nie wiadomo czemu, późny wieczór. Gdzie się podział czas dnia, było kompletnie niezrozumiałe. Helena usiadła w swoim fotelu w kuchni i siedziała tak długo, długo, aż usnęła... W domu spały jeszcze dwie osoby: Paweł Aleksiejewicz

w swoim gabinecie i Toma w pokoju dzieciennym. Obok kanapy Pawła stała opróżniona butelka po wódce. Toma spała z nieumytymi, zabrudzonymi ziemią rękami, przy niezgaszonym świetle. Wasilisa tego wieczoru nie wróciła do domu, tak samo zresztą jak Tania... Ale Helena tego nie zauważyła...

## CZĘŚĆ 2

1.

Piasek, podrywany prądem powietrza, cichutko podzwaniał o suche, prawie przezroczyste źdźbła kruchych roślin. Horyzont dookoła był przesłonięty mgłą, na niebie nie widać było żadnych świetlistych punktów. Drobne wiry krążyły wokół niedużych pagórków, chwilami słabnąc, to znów się nasilając. Piasek powoli przesuwał się z miejsca na miejsce, niczym sucha woda, ale nie zmieniało to prawie zarysów tego pozbawionego barw terenu.

Na jednym z płaskich wzniesień leżała kobieta, prawie do połowy zasypana piaskiem. Miała oczy zamknięte, ale palcami rąk dotykała piasku, nabierała jego garść i delikatnie przesypywała cienkimi strumyczkami.

„Chyba już mogę otworzyć oczy” \* pomyślała kobieta. Chwilę jeszcze poczekała i podniosła powieki. Nieostre, zmierzchające światło było przyjemne. Kobieta poleżała trochę i uniosła się na łokciu. Później usiadła. Piasek zachrząścił, zsypując się z jej ubrania. Popatrzyła na rękaw swojej białej koszuli w zielone kwiatki.

„Nowa, pakistańska. Podarowano mi ją, taką samą kiedyś kupowałam” \* powiedziała do siebie i poczuła, iż uwierają zawiązana po wiejsku pod brodą biała chusteczka.

Uśmiechnęła się i zdjęła chustkę. Usiadła, podciągając kołana prawie do podbródka: ach, jak dobrze... jak lekko... Przesunęła dłońmi po nogach poniżej koszuli \* były chropowate. Dotknęła łydek, z których osypał się piasek. Uniosła podolek koszuli i zdziwiła się na widok swoich nóg \* całe były popękane. Skóra wokół pęknięć zwijała się w różowe, zeschnięte trąbki. Dotknęła ich ręką, a one odpadły zupełnie jak stara

farba z manekinu. Zaczęła więc zeszkrobywać tę zeschniętą farbę, a spod niej sypał się brudnoszary gipsowy proszek. Dopiero pod nim ukazywała się nowa, młoda skóra. Szczególnie przerażająco wyglądały duże palce u nóg, z szarozółtymi naroślami, z których sterczały olbrzymie paznokcie, niczym huba drzewna.

„Fuj, jakie to paskudne!” \* potarła z niejakim obrzydzeniem narośle, a te, jakby z wapna, lekko się oddzieliły, spadły na piasek i natychmiast się z nim zmieszały. I ukazały się nowe, różowe palce nóg, jak u niemowlęcia. Skądś pojawiły się też oliwkowe pantofelki z brezentu, z kościanymi guziczkami, takie znajome... Ależ tak, oczywiście, babcia kupiła je w sklepie Torgsinu dla cudzoziemców za złoty łańcuszek i pierścionek \* pantofle dla niej, a wełniany niebieski sweter dla mamy.

Ręce też pokrywała jakaś sucha, pyłaca się warstwa. Potarła je więc i naraz ukazały się długie, cienkie palce, bez zgrubień na stawach, bez nabrzmiąłych, ciemnych żył \* jakby wyjęte prosto z rękawiczek...

„Wspaniale \* pomyślała kobieta. \* Teraz jestem jak nowa.

Nie była zdziwiona. Stała i poczuła, iż stała się wyższa. Resztki starej skóry opadły na ziemię. Przeciągnęła dłonią po twarzy, po włosach \* to jej twarz i jej włosy, ale też odmienione. Piasek chrzęścił pod nogami, obcasy grzęzły. Nie było ani zimno, ani gorąco. Nie przybywało i nie ubywało światła \* taki wczesny zmrok. Wydawało się też, że na żadną zmianę się nie zanoszą.

„Zostałam zupełnie sama” \* przemknęło jej przez głowę. W tej chwili poczuła jakiś ruch wokół nóg \* szara kotka z wijącymi się ciemnymi prążkami po bokach dotknęła jej gołych łydek. To jedna z tych niezliczonych Murek, które zawsze ją odprowadzały. Nachyliła się i pogłaskała wygięty grzbiet. Kotka zamruczała w odpowiedzi. I nagle wszystko się zmieniło: okazało się, że powietrze wokół jest ożywione. Przebiegały w nim fale ciepła, przepływały jakieś substancje, których nie umiała określić... Nie były wobec niej obojętne, raczej, zdawało się, życzliwe... wciągnęła powietrze do płuc \* pachniało czymś znajomym, przyjemnym, ale niejadalnym. Skąd nadeszło to wspomnienie, nie było wiadomo.

Stała na jednym ze wzgórków i ujrzała całe mnóstwo podobnych płaskich wzniesień.

„Dosyć tu monotonie" \* i poszła naprzód, nie widząc żadnych punktów orientacyjnych, których zapewne w ogóle tu nie było, bez określonego kierunku, po prostu dokąd oczy poniosą. Kotka dreptała obok, grzęznąc łapkami w suchym piasku. Dobrze się szło, lekko. Była teraz młoda i sprawna. Wszystko było jak należy, chociaż zupełnie nie przypominało tego, do czego tak długo się przygotowywała. Wszystko, co się odbywało, nie odpowiadało jej zapomnianym w tej chwili oczekiwaniom, przeczyło jarmarcznym obrazkom bogobożnych staruszek, złożonym konstrukcjom różnych mistyków i wizjonerów, ale za to pasowało do wczesnych, dziecięcych przeczuć. Wszystkie jej dolegliwości \* opuchnięte, zeszywniałe stawy, skrzywiony, zdeformowany kręgosłup, brak zębów, słaby słuch i wzrok, niewydolność jelit \* zniknęły bez śladu. Radowała się lekkością swoich kroków, ogromem pola widzenia, dziwną zgodnością jej ciała z otaczającym ją światem.

„A co tam z nimi?" \* pomyślała, ale słowo „tam" właściwie oznaczało pustkę. „No i dobrze" \* zgodziła się z kimś, kto, widać, nie chciał podsuwać jej przed oczy żadnych obrazów. Słowa „z nimi" też nie dawały się odnieść do pojedynczych osób... Trzymała coś w ręku. Spojrzała \* była to czarna, trójkątna, koronkowa chustka na głowę, z widocznymi załamaniem pozostałymi po złożeniu, ale sztywna, jak nowa. Gdy ją rozwinęła, ukazał się znajomy wzór: ni to dzwony, ni to kwiaty\*dzwoneczki, splecione ze sobą wijącymi się wężami. Na chwilę pękła jakby niewidzialna ściana i przebiło się skądś wspomnienie. Kobieta uśmiechnęła się: w końcu się znalazła... To była właśnie ta chustka, której długo szukała, gdy umarła babcia. Babcia prosiła, by w tę chustkę ubrać ją na pogrzeb, ale schowała ją gdzieś tak głęboko, że nikt nie mógł jej znaleźć. Babcię pochowano więc w białej chusteczce... Kobieta włożyła czarną chustkę na głowę i związała ją z tyłu na szyi.

Długo szła. Nie zmieniało się nic ani w pejzażu, ani w czasie. Nie czuła zmęczenia, tylko nagle zrobiło jej się tęskno. Zauważyła, że kotka zniknęła. I wtedy spostrzegła ludzi, siedzących przy niedużym ognisku, którzy nie wiadomo skąd się wzięli. Przezroczysty, białoniebieski płomień był prawie niewidoczny, ale wokół niego zauważyć można było falowanie powietrza.

Kobieta podeszła ku nim \* na jej widok podniósł się z miejsca z radosnym

uśmiechem, skierowanym wyraźnie do niej, wysoki, chudy, połyskujący łysiną mężczyzna o wyraźnie semickich rysach.

\* To Jaknowa \* powiedział uprzejmie. \* Chodź tutaj, chodź! Czekamy na ciebie.

Siedzący wokół ogniska poruszyli się i zrobili dla niej miejsce. Zbliżyła się i usiadła na piasku. Żyd stał obok i uśmiechał się jak do dawnej znajomej. A ona czuła się niezręcznie, gdyż nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go już przedtem spotkała. Położył jej rękę na głowie ze słowami:

\* A więc dobrze, dobrze...Jaknowa...

Kobieta zrozumiała, że Jaknowa to jej obecne imię. A on nazywał się Juda. Przy ognisku siedziało około dziesięciu wędrowców, byli to mężczyźni i kobiety.

Niektórzy mieli znajome twarze, ale ona od tak dawna przywykła odganiać od siebie wrażenie czegoś znajomego i znikającego z pamięci, tak bezskuteczne były jej usiłowania przypomnienia sobie, odkopania chociaż jednej nitki wspomnienia i związania jej z tkanką terażniejszości, z przyzwyczajenia więc zrezygnowała z tych zabiegów. „Oni też nie mogą sobie przypomnieć” \* domyśliła się Jaknowa, zauważywszy z jaką napiętą uwagą patrzy na nią dobrze zbudowany mężczyzna z ogoloną głową, siedzący nieopodal po turecku. Były tam jeszcze dwa psy i jakieś dziwne zwierzę, które kobieta widziała pierwszy raz w życiu.

\* Ty sobie posiedź, odpocznij \* poradził Juda. Wokół ognia odbywało się coś, czego przedtem nie знаła. Wyglądało na to, że ludzie ci się opalają \* w półmroku, przy świetle małego ogniska... Wielka, nalana kobieta, owinięta od stóp do głowy bajowym szlafrokiem, poruszyła się i obróciła bokiem do ognia, starzec o mrocznej twarzy wyciągnął ręce dłońmi do góry. Wysoka staruszka w czarnym kapturze, zakrywającym twarz, garnęła się do ognia... Od ogniska, oprócz ciepła, promieniowało coś jeszcze, coś przyjemnego... Pies przewrócił się na grzbiet i grzał sobie rzadko porośnięty białą sierścią brzuch. Na pysku malował mu się wyraz błogości. Drugi pies, kosmaty owczarek, siedział ze skrzyżowanymi przednimi łapami, zupełnie jak człowiek.

Wszyscy jakiś czas milczeli. Potem Juda wyciągnął rękę i uczynił taki ruch dłonią nad ogniskiem, jakby coś w niej dusił. Ogień zgasł. Na miejscu, gdzie przed chwilą

płonął, Jaknowa zauważyła nie popiół, nie węgle, a lekki, srebrzysty pył, który w okamgnieniu zmieszał się z piaskiem.

Ludzie podnieśli się z ziemi, otrząsnęli piasek z odzieży. Juda szedł pierwszy, za nim pojedynczo i parami pociągnęli pozostali. Jaknowa wciąż siedziała na piasku, obserwując ich od tyłu: na wszystkich odciskało się dziwne poczucie wyraźnego kierunku i skupienia, przy pełnej nieokreśloności ruchów... fako ostatni, utykając, posuwał się Jednonogi, opierający się o laskę. I laska, i noga grzęzły w piasku, ale pomimo to ostatni nie odstkwiał od reszty...

Byli już dość daleko, gdy Jaknowa zdała sobie sprawę, że nie chce zostać sama i szybko dopędziła rozciągnięty pochód, minęła Jednonogiego, Staruszkę w kapturze, Wojaka w dziwnym mundurze, zdjętym jak gdyby z kogoś innego, dziwaczne stworzenie, które jednak było bardziej człowiekiem niż zwierzęciem, a już na pewno nie małpą \* i zrównała się z Golonogłowym.

\* No i dobrze \* powiedział.

2.

Czas zaznaczał się tutaj, jak zorientowała się później Jaknowa, nie poprzez mijanie kolejnych dni i nocy, ani też pór roku, a wyłącznie przez posiadany u ogniska i następstwo różnych zdarzeń. Na początku każde z nich wydawało się jej dziwniejsze od drugiego. Ale nikt nie wymagał od niej oceny tego, co zachodziło, stopniowo więc przestała oceniać te różnorodne i dziwne wydarzenia, a jedynie je obserwowała i niekiedy brała w nich udział. Nie zawsze rozumiała istotę tego, co się odbywało, ale nigdy nie musiała niczego robić wbrew woli. Czasami zdarzały się sytuacje, wymagające pewnego napięcia, ale ogólny rytm był taki, że posiadany przy ognisku wypadały właśnie wtedy, gdy przychodziło jej na myśl, że warto by było odpocząć. Dawno już rozumiała, że zmęczenie w tamtejszym świecie nie wynikało z samego wędrowania przez płaskie, piaszczyste pagórki, zresztą w powolnym tempie, ale z braku szczególnego rodzaju ciepła, którym emanowało bladawe ognisko.

Krajobraz był monotony i stopniowo można było odnieść wrażenie, że wyraźny

kierunek to jedynie zamaskowane krążenie dookoła.

Coś tu nie jest w porządku z układem współrzędnych \* domyśliła się któregoś razu Jaknowa i uradowała się, jak radowała się zawsze, gdy w jej obecnej egzystencji wplatała się jakaś nić z przeszłości, która stale gdzieś majaczyła w pobliżu, ale znajdowała się jakby pod zamknięciem, raczej jako element wiary aniżeli rzeczywistości w rodzaju tutejszych suchych roślin czy w pełni dotykającego drobnego piasku, który od czasu do czasu wpadał do oczu i przez czas dłuższy podrażniał błonę śluzową.

Pewnego razu Juda usiadł obok niej i położył jej rękę na ramieniu. Miał zwyczaj \* jak to zauważyła Jaknowa \* dotykać dość często wędrowców \* a to głowy, a to ramienia, czasem czoła...

\* Czy chcesz mnie o coś zapytać?

\* Tak. Czy tutaj istnieje jakiś inny układ współrzędnych? Popatrzył na nią zdziwiony:

\* Całkowicie inny.

\* To znaczy... Nie trójwymiarowy?

\* Tutaj jest wielowymiarowy, dla każdego inny \* uśmiechał się cienkimi wargami, wiatr targał mu resztki szarych włosów, rosnących nad uszami i z tyłu głowy, pod wyłysiałym ciemieniem.

\* Czy to znaczy, że każdy z nas znajduje się w swojej własnej przestrzeni, oddzielnej, z własnymi współrzędnymi?

\* Nie, nie każdy. Ja wiem, gdzie się znajdujesz ty, albo on \* wskazał na Golonogłowego \* a wy na razie nie wiecie, gdzie mieści się moja przestrzeń... Ale to nie jest ostateczne. Tutaj zresztą nie ma nic ostatecznego. Wszystko jest bardzo zmienne i zmienia się z wielką szybkością...

\* Aha, to znaczy, że czas istnieje...

\* A ty jak myślałaś? Oczywiście, że istnieje i to niejeden. Czasów jest kilka, są różne: czas gorący, czas zimny, czas historyczny, metahistoryczny, osobisty, abstrakcyjny, akcentowany, odwrotny i wiele jeszcze innych... \* Juda wstał. \* Przyjemnie z tobą się rozmawia...

I odszedł. Jaknowa siedziała, wchłaniając swoim ciałem promieniowanie i

napełniając swoje wnętrza siłą. To marne ognisko duchowo żywiło wszystkich... Pustynne miejsce, takie ubogie, \* biedne, okazywało się daleko bardziej zajmujące, niż mogło się to wydawać na początku. Samo wędrowanie też stawało się coraz bardziej interesujące. To, co Juda powiedział o czasie, było dość zagadkowe, pomimo to odniosła wrażenie, że ona wiedziała już kiedyś o tym, ale zapomniała. Ta myśl omal jej nie poraziła, na tyle była przykra.

Jaknowa rozejrzała się: drobniutki piasek, małomówni ludzie, pejzaż, który już się sprzykrzył... „Znałam inne miejsca, innych ludzi, wiele innych rzeczy, ale o wszystkim zapomniałam, niczego nie mogę sobie przypomnieć. Być może, wypadłam poza ten czas, w którym działo się to wszystko inne, wcześniejsze?” Zamknęła oczy. Jedyne co jej pozostało, to rozkoszowanie się ciepłem i wędrowka bez końca po miążskim piasku...

Niektórzy z wędrowców byli na tyle zamknięci w sobie i niekomunikatywni, że przypominali Jaknowej pacjentów ze szpitala psychiatrycznego. Ledwie spełniali rzadkie polecenia Judy, który obchodził się z nimi jak z dziećmi \* serdecznie i stanowczo. Większość z nich znała się nawzajem, chociaż mało i niechętnie obcowała ze sobą. Ale byli i tacy, którzy wykazywali wzajemną sympatię i przy ognisku cicho rozmawiali.

Czasami pojawiały się nowe osoby, inne zaś znikwały. Znikały zazwyczaj niezauważenie. Tylko pewna kobieta, szara jak myszka, o wyjątkowo krzywych nogach, objuczona dwiema torbami i workiem na plecach, odeszła jawnie na oczach wszystkich. O jakiejś umownie porannej godzinie, gdy wszyscy zbierali się do drogi i ognisko było już zgaszone, kobieta ta podeszła do Judy, ściągnęła z pleców swój szmaciany worek, postawiła na ziemi obie wypchane torby i skłoniwszy się, pocałowała go w rękę.

On cofnął rękę, przyjaźnie, mocno poklepał ją po ramieniu i z poważną twarzą mruknął:

\* No, idź, idź... Tam nie mogą się już doczekać... Idź za głosem rozumu, niczego się nie bój...

Ci, którzy nie omieszkali podnieść głowy, ujrzeni, jak dwie zielone, świąteczne smugi



zawisły nad nią, rozległy się jakieś dźwięki na kształt muzyki \* coś pomiędzy krótkimi wywoławczymi sygnałami nieznanej radiostacji i wprawkami muzyka, rozpoczynającego grę na nieznanym świecie instrumencie i kobieta znikła, a na jej miejscu pozostały zrzucone przez nią torby i powoli zmniejszał się płynny lej, wytworzony ruchem powietrza. Kundel zaniepokoił się, zaszczekał, rzucił się ku drżącemu jeszcze miejscu, raz jeszcze szczeknął pytająco, podniósłszy jasny pysk ku górze... Drugi pies, duży, kudłaty, westchnął i zakrył łapą oczy...

Wkrótce wszyscy szli w nieokreślonym kierunku, a wiatr, niosący piasek, zasypywał nikomu niepotrzebne, jak się okazało, pozostawione przez kobietę ciężkie rzeczy... Bardzo szybko po tym wydarzeniu, na następnym „popasie” pojawił się nowicjusz \* młody człowiek o długich włosach. Do momentu spotkania kompletnie samotny, długo brnął przez białawą, nagą pustynię, głęboko zapadając w piach w swoich rudych, kowbojskich butach. Miał przy sobie dziwną walizeczkę i z chłodną ciekawością poszukiwacza wszelkich egzotycznych drobiazgów rozmyślał o tym, co go podkusiło, by tutaj się znaleźć. Pamięć całkowicie odmówiła mu posłuszeństwa. Nie wiedział co najmniej trzech rzeczy: gdzie się znajduje, dlaczego taszczy ze sobą tę nieporęczną, ciężką walizkę o takim kształcie, że nie daje jej się postawić, można ją tylko położyć na bok i najprzykrzejszej \* co to za ciemny orkan powietrzny od czasu do czasu pojawia się nad nim... Ten jakby żywy potok powietrza stroszył mu włosy, wpadał pod ubranie, był albo zbyt gorący, albo zbyt zimny, nieprzyjemnie dokuczliwy i czegoś od niego żądał, prosił, o coś skomlał. Oprócz tych bardziej lub mniej określonych odczuć, z których zdawał sobie sprawę, miał dość mgliste poczucie ogromnej straty. Strata o wiele przewyższała to wszystko, co w tej chwili posiadał. W ogóle wszystko, co występowało w jego bliskości, wydawało się znikome w porównaniu z tym, co utracił. Ale co właściwie utracił \* tego nie wiedział. Dokuczyła mu już wędrówka, spoczął więc na ziemi, potrząsnął «głową \* z włosów posypał się biały piasek. Pod głową umieścił walizeczkę. Piasek chrzęścił w zębach, kłuł pod ubraniami. Skądś z prawej strony znów nadleciał ciemny orkan, zakotłował się w pewnej odległości i ruszył ku niemu. Długowłose poczuł męczące

rozdrażnienie i wypowiedział w duchu:

\* A zgiń ty, przepadnij!

Orkan zachybotał się i zatrzymał. Wtedy młody człowiek domyślił się, że jest on wyczulony na jego nastrój i że siłą wewnętrzną można go odegnąć. Chyba była to pierwsza przyjemna myśl w ostatnim czasie. Starł ręką piasek z walizeczki i zamknął oczy. Nie zasnął \* raczej wpadł w jakieś odrętwienie. Zanim to nastąpiło, wydał sobie samemu polecenie: tam więcej nie chcę, tam więcej nie trzeba... Niekiedy takie rozkazy, wydawane samemu sobie, pomagały, miał już w tym doświadczenie.

Gdy się ocknął, nic jednak nie zostało zmienione, opuchła mu tylko szyja od twardego, niewygodnego przedmiotu, który miał pod głową. Roztarł sobie szyję i poleżał jeszcze jakiś czas, a kiedy już na dobre otworzył oczy, ujrzał, że wokół siedzieli milczący ludzie, którzy wydali mu się ponurzy i niezgrabnie ukształtowani. Jeden z nich był bardziej zauważalny \* łysy, wysoki, stał do niego bokiem, pochylony nad garścią zeschniętych łądyg. Wyciągnął rękę ponad te wysuszone trawy i w tym momencie pojawił się płomyk ognia, sam z siebie, bez zapalniczki czy zapalniczki. To trochę uspokoiło młodego człowieka: bywał już w takich miejscach, gdzie woda, ogień i wiatr drwią sobie jedynie z ambicji małych istot, którym się wydaje, iż poskromiły wszystko na świecie za pomocą słabych więzów, nazywanych związkami przyczynowo\*skutkowym...

Ten Żyd, który tak sobie poczyną z ogniem, jest tu najważniejszy \* domyślił się Długowłosy.

Juda podszedł do niego, postukał w czarną walizeczkę i od razu wykazał się głęboką świadomością:

\* Wątpię, by to ci się tu przydało.

\* Nie będę przecież wyrzucał \* wzruszył ramionami Długowłosy.

\* To oczywiste...

\* A co w niej takiego? \* po raz pierwszy przyszło do głowy Długowłosemu. \* Co w niej jest takiego, że ją dźwigam ze sobą?

\* Otwórz i zobacz \* poradził Juda.

Długowłosy popatrzył na swego rozmówcę zdumiony, że też wcześniej nie przyszło

mu to do głowy! Ale nie przyszło. W pewnym sensie było to nawet pocieszające, przypominało zwyczajny sen, który śni się nawet kotom: śniącemu chce się podnieść, biec, uciekać lub po prostu wziąć szklanekę z wodą, a ciało go nie słucha, nie sposób poruszyć ani jednym mięśniem...

Walizeczka była zamknięta na dwa zamki, Długowłosa nie od razu się zorientował, jak je otworzyć. Gdy się zastanawiał nad konstrukcją tych zamków\*zatrząsków, ręką natrafił na boczną klamrę i walizeczka nagle się otworzyła. Okazało się, że nie była to walizeczka, ale futerał na przepiękny przedmiot. Na sam jego widok Długowłosa wstrzymał oddech: była to metalowa trąbka z tubą ze szlachetnego złotego metalu, ani z ciepłego złota, ani z chłodnego srebra, ale miękko, świetliście połyskująca. Na owalu wydłużonymi literami napisano SELMER, Długowłosa od razu odczytał ten napis. Powtórzył szeptem to słowo i w ustach zrobiło mu się aż słodko... Palcami dotknął drewnianego ustnika. Był matowy, delikatny niczym dziewczęca skóra. Kształt trąbki tchnął taką kobiecością, że Długowłosa zmieszał się, jak gdyby przypadkiem ujrzał nagą kobietę.

\* Ale piękna... \* zawahał się przed bliższym określeniem: zabawka, instrument, rzecz? Odrzucił te niepasujące słowa i powtórzył z ostateczną intonacją: \* Jaka piękna!

Coś chciał z nią uczynić, ale nie wiedział co... Oderwał z dołu kawałek swojej kratkowanej, wełnianej koszuli i chuchając, zaczął przesuwać czerwono\*zieloną szmatkę ffb wygiętej złocistej powierzchni.

Dalej wędrował z pozostałymi i to przemierzanie szlaku dookoła, które komuś innemu mogło się wydawać bezsensownym albo też jednostajnym, dla niego nabrało sensu: niósł dainny przedmiot w czarnym futerale, naśladowanym z grubsza gładki, lekki jego kształt, strzegł przed wszelkimi możliwymi niebezpieczeństwami, szczególnie zaś przed złym, ciemnym orkanem, który w jakimś oddaleniu ciągnął za nimi, upatrując chwili, kiedy będzie mógł ich dopaść swoim żalonym wyciem i przykrym dotykiem... Wydawało się, że orkan jakoś specjalnie interesuje się czarnym futerałem, ponieważ usiłował dotknąć i jego. Długowłosa pochmurniał, wypowiadał zaklęcie „a kysz!” i orkan z przestachem odskakiwał w bok. Na posiadach

Długowłosey wydostawał z tylnej kieszeni dżinsów kraciastą szmatkę i przez cały czas, dopóki wszyscy siedzieli, z czułością przecierał metalową trąbkę...

Niekiedy łowił na sobie wzrok wysokiej, chudej kobiety w czarnej chusteczce na wspaniałych włosach. Uśmiechał się do niej, tak jak przywykł uśmiechać się do wszystkich sympatycznych kobiet. Jego spojrzenie potrafiło obiecywać pełne szczęście, miłość aż po grób i wszystko, czego się zapragnie... Ale twarz kobiety, niezależnie od miłego wyglądu, wydawała mu się zbyt przygaszona smutkiem...

3.

Wspięli się na kolejny pagórek. Juda zatrzymał się, długo patrzył na ziemię w miejscu, gdzie stanął, potem przysiadł i zaczął rozbijać piasek. W piasku leżała ludzka figura, szary manekin, grubo ociosany, uszkodzony w niektórych miejscach. Z dziurawej piersi wychodził jakiś ciemnogrnatowy sznur. Juda nacisnął palcem pierś figury, dotknął szyi, przytknął palce do ledwie zaznaczonych oczodołów i rzucił na twarz figury garść piasku. Wszyscy pozostali sypnęli również po garści, a potem w milczeniu zebrali się w gromadę.

\* Może by jednak spróbować? \* zapytał Judę Golonogłowy.

\* Nie da rady, nie wyciągniemy \* odparł Juda.

\* Trzeba spróbować. Jest nas dużo, może się uda \* nie ustępował Golonogłowy. \* Co pani na to, Matuszko? \* z nadzieją w głosie zwrócił się do chudej staruchy.

Matuszka, nie zdejmując kaptura z głowy, z żalem pokręciła głową:

\* Według mnie jest niedojrzały.

Jaknowa zapragnęła raz jeszcze rzucić okiem na ludzką figurę, ale piasek zdążył już ją przykryć.

\* A ty jak myślisz? \* Juda niespodziewanie zwrócił się do Jaknowej.

\* Ja bym rozkopała \* powiedziała, pamiętając, jak sama podobnie leżała na szczycie zimnego pagórka.

\* I wzięłabyś to na siebie? \* Juda śmiał się, ale śmiech jego był przyjacielski, nieobraźliwy.

\* No, jak ci nie wstyd! \* zganiał go Golonogłowy. \* Twoje żarty, jak zwykle, są głupawe...

\* No, dobrze, już dobrze. Nastaw swoją latarnię i sprawdź. \* Juda przysiadł i szybko, niczym pies łapami, zaczął rozkopywać suchy piasek... \* Ale uważaj, jeśli się nie uda, będzie na twoim sumieniu.

Golonogłowy popatrzył w bok jakimś obcym wzrokiem i burknął:

\* A wodorosty Volvox od czego? W końcu to w pełni możliwe... Nas jest wielu. Matuszka przyciskała ręce do piersi i omal nie płakała. Jaknowa przysiadła obok Judy i zaczęła kopać ziemię w pobliżu nóg. Golonogłowy odgarniał piasek przy głowie...

Nogi, które wkrótce wyłoniły się z piasku, były popękane, całe w resztkach obłazącej farby, zupełnie takie, jak jeszcze niedawno u Jaknowej.

Spróbowała zeszkrobać farbę \* pod nią<sup>^</sup>ajdowała się warstwa gęstej substancji, ale wilgotnej, gliniastej, zupełnie niepodobnej do tej nowej, różowej skóry, którą Jaknowa niedawno odkryła u siebie pod swoją zniszczoną powłoką. Golonogłowy mozolił się nad głową figury, zdejmując z niej jakieś strzępy ni to skóry, ni to papieru.

\* Dawajcie, ja go nieco podgrzeję \* Juda odsunął delikatnie Golonogłowego.

\* A to słusznie \* przytaknął Golonogłowy. \* Wojaku, zbierz dla nas suchej trawy...

Człowiek, ubrany w mundur, kiwnął głową na znak zgody, a później pojawił się z wiązką suchych gałązek i ułożył je na przemian. Juda zbliżył się, wyciągnął rękę, lekko zgiętą w nadgarstku, poruszył cienkimi wargami \* i gałęzie zapłonęły sinobiałym płomieniem. Figura była odkopana. Wykonano ją niezbyt dokładnie, ze źle zarysowaną twarzą, topornymi rękami i nogami. Wyraźnie tylko oznaczono płeć, cała budowa ciała miała wyraziste cechy męskie: szerokie bary, a dłonie, stopy i członek nieproporcjonalnie duże. Figura nie przejawiała najmniejszych oznak życia.

\* Volvox \* rzucił w powietrze Golonogłowy, do nikogo specjalnie się nie zwracając.

Juda troskliwie obmacał szyję figury, dotknął brzucha i zmarszczył się:

\* Nie mamy większego doświadczenia. Marna sprawa. Wszyscy stracimy stopień i niczego nie osiągniemy.

Golonogłowy zamilkł, pomyślał chwilę i powiedział cicho, tak żeby nie usłyszała go Jaknowa:

\* Ty ze swoją żydowską ostrożnością przeszkadzasz mi wykonywać moje zadanie. Przecież, bądź co bądź, jestem lekarzem... Mam obowiązek robić wszystko, by ratować chorego.

Juda zaśmiał się i lekko trącił kułakiem Golonogłowego w brzuch:

\* Głupiś! Mówiłem ci, że lekarze to upadli kapłani. Przez całe życie zajmowałeś się świecką medycyną i chcesz ją tutaj stosować.

\* Sam jesteś głupi \* bez złości, po sztubacku odciął się Golonogłowy. \* U was, wierzących, nie istnieje poczucie zawodowego obowiązku. Wszystkie problemy zwaliliście na barki waszego biednego Pana Boga... W końcu Volvox to jedynie ćwiczenie energetyczne...

\* Dobrze, dobrze, nie sprzeciwiam się \* zgodził się Juda z uśmiechem, a Jaknowa domyśliła się, iż oni obaj są bardzo bliskimi przyjaciółmi i łącząca ich więź jest jakiegoś innego rodzaju, aniżeli pośród pozostałych obecnych...

Jaknowa odczuła poprzez skórę twarzy, że zwykły, słaby wiaterek nasilił się, drobinki piasku zaczęły uderzać w policzki i w czoło, wpadały do włosów. Wiatr unosił nie tylko ziarenka piasku, ale i cienkie źdźbła traw, jakieś pajęczynowe kule z kolących liści, kruchych roślinnych nitek i suchego mchu. Ogień w ognisku płonął, z lekka chyląc się ku ziemi, ale nie zamierzał gasnąć.

Ludzka figura leżała na ziemi obok ogniska. Wszyscy stali dookoła w jakimś oczekiwaniu. Golonogłowy wyciągnął z kieszeni kłębek dość grubych, naturalnych nici i podał stojącemu obok Wojakowi. Przekazywany z rąk do rąk kłębek wrócił w końcu do Golonogłowego. Każdy z wędrowców obiema rękami trzymał się za nitkę. Po prawej stronie Jaknowej stała Matuszka, po lewej \* Chromy. Wiatr się nasilał, trudno było określić jego kierunek, wiał ze wszystkich stron i niósł z sobą coraz więcej roślinnych resztek. Wszyscy stali nieruchomo, suche źdźbła traw, pajęczynowe włókienka i unoszące się nasiona nieznanych roślin oblepiały ich włosy, ubrania, przyczepiały się do rozciągniętej pomiędzy nimi nici. Po jakimś czasie powstało z tych roślinnych suchych pozostałości jakby dookolne ogrodzenie, otwarte

jedynie od góry. U stóp zebranych obok chybotliwego płomienia ogniska leżała uformowana w grubych zarysach ludzka figura. Juda podniósł rękę nad głowę ku samemu środkowi istniejącego jeszcze kolistego prześwitu i prześwit się przesłonił \* powstał rodzaj starej chaty. Jaknowa poczuła, że jej oddech nie działa w takim samym rytmie, jak u innych osób, zatrzymała więc na chwilę wdech i zrównała się ze wszystkimi. Utrafiwszy w ten rytm, zauważyła, że oprócz wspólnego oddychania odbywa się też wspólne bicie serc i istnieje wspólna wola, nakierowana na ten pozbawiony czucia kawał drewna, który jak gdyby się sprzeciwiał, a w każdym razie przejawiał odczuwalny opór wobec ich ogólnego napięcia, napięcia, które można było nazwać nawet pracą. Od stojącej obok Matuszki płynęła bardzo silna pulsacja. Chromy raczej zaznaczał jedynie swoją obecność. Dwa najsilniejsze źródła siły stanowili Golonogłowy i Juda. Wiatr jeszcze bardziej się nasilał, trudno było ustać na miejscu, ale nić, wydawałoby się, taka cienka, dawała nadzieję i poprzez nią odbywało się energetyczne zasilanie. Nić zaczęła świecić takim samym bladoniebieskim światłem, jak ognisko, a Jaknowa poczuła, że ich świat odrywa się od ziemi i zawisa w powietrzu. Ludzka figura, leżąca na piasku, drgnęła, poderwała się i lekko uniosła nad ziemią.

\* No, poszło \* usłyszała zadowolony głos Golonogłowego \* teraz trzeba tylko mocno na niego pochuchać.

I wszyscy z całych sił zaczęli wciągać i wydychać powietrze, a od tego wzmożonego oddychania otaczająca ich kulista przestrzeń z lekka się poszerzała i kurczyła, jak gdyby również oddychała i chociaż wichur niósł ich w jakimś nieznanym kierunku, Jaknowa prawie po dziecinnemu czuła się w pełni szczęśliwa, że wykonuje wszystko jak należy i zasługuje na pochwałę...

A dziwaczna figura, leżąca na dole, wykazała jeszcze jeden objaw ożywiania \* w głębokim wdechu uniosła się jej pierś i zauważalnie podniósł się członek. Zaczęła oddychać. Wiatr natychmiast osłabł, kulista przestrzeń zaczęła się obniżać i wkrótce wszyscy znaleźli się na ziemi. Ściany ze splecionych roślin, tworzące ich powietrzną chatę, rozpadły się. Wszyscy stali, wciąż jeszcze trzymając się nici, dookoła ożywającej figury, która poruszyła ręką, przeciągnęła palcami po piersi, jakby się

drapiąc, pomacała swoją \* jak teraz dało się zauważyć \* płaską głowę i odkaszlnęła.

\* No i co? Można coś stwierdzić? \* zapytał Juda.

\* Oddychanie płucne, zauważalny refleks, erekcja \* odpowiedział Golonogłowy.

\* To niewiele, ale lepiej niż nic \* mruknął Juda.

Juda z Golonogłowym przenieśli figurę bliżej ogniska. Stała się teraz jakby większa i przypominała raczej głęboko śpiącego człowieka, aniżeli krawiecki manekin.

Jaknowa poczuła, że siły ją opuszczają, usiadła na ziemi. Obejrzała się i dostrzegła, że wszyscy wyglądają na zmęczonych, na w pół sennych. Juda podsypywał do ogniska jakieś sproszkowane paliwo z pudełka po zapałkach, wskutek czego płomień nabrał odcienia błękitu i zaczął mocniej ogarniać wszystko swoim życiodajnym światłem...

4.

Powietrze ulegało zmianom: raz było suche, lekkie, „sprzyjające”, jak określała je Jaknowa, innym razem stawało się ciężkie, gęstniało i wydawało się, iż nabierało ciemnej wilgoci. Wtedy wszyscy poruszali się wolniej i szybciej się męczyli. Ale i wiatr, który nie opuszczał ich nawet na minutę, wciąż się zmieniał: to uderzał w twarz, to chytrze zawiewał z boku, to dmuchał w kark. Tylko światło pozostawało przez cały czas niezmiennie i stąd wynikało wrażenie nużącej jednostajności.

\* Nie dokuczył ci tutejszy pejzaż? \* zapytał z cicha Juda, zwracając się do Golonogłowego. Jaknowa, która na postojach starała się być blisko obu tych mężczyzn, ponieważ czuła się przy nich pewniej i bezpieczniej, nie odwróciła głowy, chociaż usłyszała cichą odpowiedź.

\* A możesz mi zaproponować coś weselszego? \* z roztargnieniem odezwał się Golonogłowy.

\* Małą wycieczkę w bok od głównego szlaku. Nie masz nic przeciwko temu?

\* O, to coś nowego! Okazuje się, że istnieje jakiś wyznaczony szlak. Sądziłem, że z jakichś wyższych powodów drepczemy dookoła \* mruknął Golonogłowy. Już dawno poczuł się zmęczony tym monotonnym, przyćmionym światłem, jakby



przejściowym, fałszywie obiecującym nadejście pełnej ciemności, albo też wschodu słońca... \* Pejzaż da się jeszcze wytrzymać, pustynia i pustynia... Ale gdyby tak trochę słońca...

\* A więc chodźmy \* Juda ogłębiona całą drżącą u ognia grupą. Poszukał wzrokiem Jaknowej. Była nieopodal.

\* Zabierzemy Jaknowa.

Jaknowa uśmiechnęła się z wdzięcznością.

\* A pozostali? \* zaniepokoił się Golonogłowy, powodowany szlachetnym dążeniem do sprawiedliwości, a przynajmniej \* równości.

Juda zaśmiał się:

\* A po co nam oni?... Nie rozdzielamy przecież wycieczek w komitecie związkowym... Wierz mi, nie ma sensu tamtych zabierać.

Golonogłowy wzruszył ramionami: \* Jak uważasz...

\* Chodźmy, przejdziemy się \* Juda rozkazująco\*uprzejmym tonem zaprosił Jaknowa, która wstała, otrzepując odzież.

Poszli we trójkę po chrzęszczącym piasku. Tutejsze odległości były dowolne, nieokreślone, mierzgane wyłącznie uczuciem zmęczenia lub zachodzącymi wydarzeniami i dlatego też można powiedzieć, że ta wycieczka rozpoczęła się od chwili, w której Golonogłowy, a w ślad za nim Jaknowa, zauważyli na horyzoncie jakiś migocący słup światła, który albo sam się przybliżał, albo też oni szybko do niego się zbliżali...

Słup świecił i napełniał się metalicznym blaskiem. I oto stali już u jego podstawy, która przekształciła się stopniowo w półokrągłą ścianę z przezroczystego jasnego metalu...

\* No, proszę... \* powiedział Juda i wykonał w powietrzu jakiś nieokreślony gest. Na powierzchni ściany ukazało się prostokątne wgłębienie, wokół którego natychmiast pojawiła się framuga i powstały drzwi. Juda nacisnął je końcami palców.

„Ja wiem, wiem jak to się otwiera, ja to już gdzieś widziałam” \* ucieszyła się w duchu Jaknowa.

Za drzwiami stał słup światła, zwarty, potężny niczym woda. Weszli. Drzwi

oczywiście zniknęły, rozplynęły się jak gdyby za ich plecami.

Wewnątrz panował jasny, słoneczny, niezbyt wczesny ranek. Początek lata. Wielkie, południowe drzewa tworzyły ścianę, ale nie stały obok siebie przypadkowo, lecz w przemyślanym porządku. Jaknowa odgadła, że i tutaj istnieje jakaś prosta zasada ich rozmieszczenia wobec siebie nawzajem, a gdy się ją zrozumie, pojmie się przekaz, zawarty w nich, a przekaz ten niosą one samymi sobą, w sobie, dla siebie, ale jest on znaczący i dla innych. Ten przekaz wyrażał się również w odcieniach zieleni \* od bladego, ledwie odbiegającego od żółtego, po głęboki, uroczysty jak chorał, ze wszelkimi wyobrażalnymi pośrednimi odcieniami, jak odcień nowo rosnącej trawy, blado\*srebrzysta barwa wierzby, porażający i niebezpieczny kolor błotnej rzęsy, matowy \* trzciny, prostoduszno\*mahometański i nawet ten technologicznie zielony, spotykany jedynie w gospodarczych i budowlanych sklepach...

Jaknowa z rozkoszy zmrużyła oczy.

„Jak szczęśliwe są w tym momencie oczy” \* pomyślał Golonogłowy, który odczytywał kiedyś wrażenia, odbierane przez oddzielne organy u innych... Teraz jego własne oczy radowały się i tę radość przekazywały całemu jego ciału.

Młoda kobieta, siedząca w kucki między dwoma krzewami kryptomerii, ujrawszy Judę wstała, podeszła do niego i mocno go ucałowała.

„Wszystkich zna, dosłownie wszystkich” \* zdziwił się Golonogłowy. Oboje z Jaknową stali nieco dalej, nie chcąc przeszkadzać w spotkaniu.

\*...'HVspaniała architektura, tak jak marzyłam... Nie zdażyłam dokończyć ostatniego kursu. Pozostawały dwa egzaminy i dyplom. A tutaj, widzisz, wszystkiego się nauczyłam \* kobieta pogładziła kryptomerię, a ta otarła się o jej dłoń, jak przymilna kotka. \* Ta para wciąż się ze sobą kłóci, w żaden sposób nie mogą się do siebie dopasować. Ciągłe ich godzę.

Twarz miała sympatyczną, choć nieco z gruba ciosaną: głęboko wpadnięta nasada nosa, zadarty nos, szerokie usta... A oczy ogromne, szare, w podwójnej czarnej obwódce: jednej wokół tęczówki, drugiej w postaci czarnych, gęstych rzęs pod szerokimi męskimi brwiami.

\* Zaraz, zaraz wam pokażę \* zwróciła się do Golonogłowego i Jaknowej. \*

Nazywam się Katia.

Jaknowa zauważyła, że Katia jest ubrana w męski podkoszulek bez rękawów, w jakim występują bokserzy, naciągnięty na spory, jędrny biust. Kilka rzędów koralik zakrywało szyję... Golonogłowy zauważył to, co właśnie zasłaniały te kolorowe koraliki \* niestarannie wykonany prosektorski szew od nadobojczykowego zagłębienia w dół...

\* Najlepiej mi się układa z drzewami, mówimy z nimi tym samym językiem \* Katia wskazała na dwa odwrócone od siebie nawzajem drzewa. \* A te kryptomerie to moje ulubienice... Może pamiętacie, była kiedyś taka głupia gra w pocztę kwiatową. Żółty narcyz oznaczał zdradę, czerwona róża \* namiętną miłość, niezapominajka \* wierność aż po grób... \* uśmiechnęła się, pokazując rzadko rozstawione zęby. \* A najzabawniejsze, że właśnie bardziej lub mniej, ale to się zgadza... Odpowiednio do tego trzeba je sadzić, by nie naruszać ich znaczenia... Ten zbiornik wodny to dla bezimiennych dzieci.

Golonogłowy i Jaknowa spojrzeli na siebie nawzajem: jakich bezimiennych dzieci?

Juda szedł z boku, mrużąc pod nosem:

\* Mógłbyś się domyślić sam, bez podpowiedzi... I twoje tam są... Aleja kryptomerii prowadziła w dół ku wodzie. Wody nie było widać, ale czuło się jej zapach, ten silny zapach, który na dziesiątki kilometrów czują zwierzęta i zdążają do wodopoju... Jeziorko było nieduże, okrągłe i jak gdyby lekko wypukłe. Jego błękitna woda poruszała się i iskrzyła.

\* Razi w oczy, prawda? \* odgadła Katia. \* Ja też przez pierwszy okres się męczyłam, zanim wzrok się nie przyzwyczaił. Trzeba patrzeć tak trochę obok, nie na wprost. No co, pokazać je z bliska? \* pytanie zwrócone było do Judy.

Juda kiwnął głową. Katia weszła na lekki mostek, wygięty nad jeziorkiem, położyła się na brzuchu, opuszczając obie ręce do wody. Poruszyła nieco rękami, coś powiedziała po cichu i wstała, trzymając w rękach, na pierwszy rzut oka, coś szklanego. Przedmiot skrzył się. Katia wsunęła w ręce Golonogłowemu tę kulę światła, wody i błękitu. Ujął ją w dłonie i szepnął:

\* Dziecko...

Jaknowa nie widziała żadnego dziecka.

Juda usiadł na mostku i zaczął uroczyście jak na zebraniu:

\* On się urodził zupełnie zdrowy, ze zdrowych i urodziwych rodziców i po tygodniu zmarł z powodu zakażenia porodowego. Chłopczyk płakał, cierpiał. Jego ojciec porzucił swój dom, najlepszy dom, jedyny drewniany dom w kamiennym mieście i przez cały tydzień leżał na ziemi, nie jedząc, nie pijąc, tylko błagając Najwyższego, by ocalił życie dziecku. Ale Najwyższy tym razem odwrócił się od swego ulubieńca \* nie trzeba było igrać miłośnie z cudzą żoną, nawet jeśli jej piersi były jak dwa jagniątko, a włosy jak stado kóz, schodzących z góry Galaad... I tak dalej... Nie należało też posyłać na pewną śmierć męża tej ślicznotki, żeby nią zawładnąć, zawładnąć jeszcze jedną, kiedy swoich własnych bab było aż nadto... No i co?

\* Nie znam tej historii \* przecząco pokręcił głową Golonogłowy.

\* No tak, winszuję... To niemowlę umarło, mówiąc po waszemu, nieochrzczone. Później ta para spłodziła jeszcze jednego noworodka, ten wyżył. Nazwano go Salomonem.

Golonogłowy zaśmiał się:

\* Skąd ty to wiesz? Przecież nigdy Biblii nie czytałeś!

\* Czytałem. Tylko że wtedy niczego nie wyczytałem. A ja, jak wiesz, jestem Żydem. Żydom Biblię dano ot tak, po prostu.

Ona tkwi w nas, a my w niej, nawet jeśli się to nam nie podoba. I nawet, jeśli nie podoba się wam... Dlatego, kiedy mija przedstawiono w pewnym ważnym momencie, okazało się, że ja i ona \* to jedno. Niezależnie od tego, iż świat nie widział drugiego takiego idioty, egoisty i marnego stworzenia \* Juda uśmiechał się, pochyliwszy się nad skrzącą się kulą. Teraz zamruczał Golonogłowy:

\* Mój drogi, co ty mówisz? On jest starszym bratem króla Salomona, który wznosił Pierwszą Świątynię w Jerozolimie? Dwa tysiące siedemset lat temu?

\* Dla niego nie istnieje czas, tylko stan rzeczy \* zauważyła Katia, o której wszyscy zapomnieli.

\* Dobrze, niech będzie. A inni? A inni to kto? \* Golonogłowy przekazał w ręce Kati skrzącą się kulę. Katia doszła do połowy mostka, uklękła i wygięta jak kot, wpuściła

zagadkową kulę do jeziora. Potem gestem ręki wezwała wszystkich na mostek.

Jezioro było pełne, wprost kipiało od przezroczystych, błękitnawych kul. Jaknowej przypomniało się wielkie, tekturowe pudło, w którym przechowywano w czasach jej dzieciństwa zabawki choinkowe, a pośród nich szczególnie ulubione bombki, każdą zawiniętą w oddzielny papierek...

„Oczywiście, wszystko jest w porządku” \* stwierdziła w duchu Jaknowa, ale co właściwie miało być w porządku, nie potrafiłaby wyjaśnić...

\* Są tutaj i nie urodzone, po aborcji... Niekiedy dojrzewają i znów rosną \* rzeczowo objaśniła Katia. \* A propos, o tam, całkowicie dojrzały \* i wsunęła rękę, próbując coś wyłowić, co wyraźnie nie chciało być wyłowione.

\* My z tobą w filozofii to nieźle poszperaliśmy \* zaczął Juda, ale Golonogłowy szybko mu przerwał:

\* Nie, nie, ja bardziej interesowałem się historią.

\* No, dobrze. Czy pamiętasz monady Leibniza? To jest bardzo bliskie, trzeba przyznać. I święty Augustyn się domyślał... Nie mówię tu nawet o kabalistach, oni przy swoich nieznośnych metodach \* trzeba oddać im, co należy \*\* doszukali się wielu rzeczy... \* Juda chrząknął zniechęca. \* A co wasz Fiodor Michajłowicz mówił o łzach dziecka? Najwyższego upominał, iż za mało w Nim humanizmu...

Jaknowa nie mogła oczu oderwać od Kati \* ta wyłowiła całkiem przezroczystą kulę wielkości sporej pomarańczy, podmuchała na nią, ułożyła na dłoni i czekała. Kula trochę się zakołysała, lekko poderwała i zaczęła niepewnie unosić się do góry, ale jakby przestraszona przed czymś, znowu przyłgnęła do dłoni.

\* Boi się maleńki \* z uśmiechem pełnym szczęścia powiedziała Katia. \* One teraz bardzo się boją... Czekają je wielki trud... Jedne wyteżają siły na poświęcenie się, ofiarne czyny, inne \* na podłość, nikczemność... Ten, ten jest bardzo dobry...

\* A są też złe? \* zdziwiła się Jaknowa. Katia westchnęła:

\* Różne są. Są przestraszone, po urazach... A im więcej strachu same przeszły, tym więcej potem uczynią zła...

To brzmiało przekonywająco, tym bardziej iż Jaknowa odniosła wrażenie, że i ona sama coś o tym wie.

\* Weź ją \* powiedział Juda do Golonogłowego. Golonogłowy poczuł, że sam ma wielką ochotę potrzymać w ręku tę jakąś istotę. Przykrył swoją dłonią kulę, przylegającą do ręki Kati. Katia obróciła dłoń i kula pewnie umieszczała się na ręce Golonogłowego. Jeśli chodzi o wagę, odczuwanie ciepła, zaniepokojenie i ufność \* było to dziecko. I niewątpliwie był to chłopczyk.

\* No, pobłogosław! \* powiedział Juda.

\* To nie moje zadanie, to wasze, żydowskie. Ja na tym się nie znam \* uśmiechnął się Golonogłowy, ale nie do Judy, a do tej istoty, uwięzionej w kuli, która zapowiadała, że stanie się niemowlęciem.

, \* On nie jest dla ciebie obcy, ani też dla mnie... Jeśli nie chcesz pobłogosławić, to nie trzeba. Po prostu życz mu, by stał się dobrym lekarzem.

\* Dobrze, niech tak będzie \* zgodził się Golonogłowy.

Kula lekko oderwała się od jego dłoni i jak pęcherzyk powietrza w wodzie, popłynęła w górę, zanim nie dotarła do jakiejś niewidzialnej przeszkody, przy której zwolniła, utknęła, z trudem ją pokonała i zniknęła, pozostawiając za sobą odgłos pękającej błony i unosząc w samym środku swojej istoty wspomnienie pokonania granicy, rozdzielającej dwie sfery...

5.

Golonogłowemu było teraz ciężko: Manekin ledwie się ruszał, chwilami wprost zamierał, zasypiając w marszu i wtedy Golonogłowy zarzucał go sobie na plecy jak worek i włókł go z wielkim trudem. Juda kilka razy proponował mu pomoc, ale Golonogłowy kręcił swoją okrągłą głową z rzadkimi, krótkimi włosami, przyciętymi „najeża” i prychał:

\* Ty, jak się wydaje, swoją normę już kiedyś odrobiłeś!

I niósł swój ciężar dalej. Z powodu Manekina trzeba było coraz częściej robić postoje. Światło ożywiało go na jakiś czas i wtedy szedł samodzielnie. Pewnego razu na postoju, gdy Manekin z Jaknową znaleźli się obok siebie, ta przyjrząwszy mu się

uważnie, spostrzegła, że usta jego nie zostały przecięte jak należy, a tylko na powierzchni zarysowano mu wargi, uszy też nie zostały porządnie wyrzeźbione, ledwie zaznaczono brwi, a pod nimi znajdują się ślepe oczy. Juda uchwycił jej spojrzenie i radząc się jak gdyby, powiedział:

\* My sami chyba nie doprowadzimy go do porządku. Trzeba będzie poprosić o pomoc z góry.

Stojący obok Golonogłowy (Jaknowa zrozumiała, że Juda nie zwracał się do niej, lecz do niego), ukląkł przed Manekinem, kilkakrotnie dotknął jego nadgarstka, przyłożył dwa grube palce do szyi, spróbował podnieść mocno przyklejoną do oka powiekę, ale to mu się nie udało.

\* Tak, trzeba będzie dać znak \* bez entuzjazmu zgodził się Golonogłowy.

Juda z rozmachem nakreślił w powietrzu znak.

I poszli, jak zwykle, smutnym łańcuszkiem po monotonnym piasku i szli, jak zwykle, długo, wciąż w tym samym, jak się wydawało, nieokreślonym kierunku. Tylko powietrze stawało się świeższe, robiło się chłodniej, pagórki były bardziej strome, a piasek na początku stwardniał, a potem w ogóle zamienił się w burą ziemię, na której gdzieś widniały zielone rośliny \* nic nadzwyczajnego, coś w rodzaju piołunu, ale wędrowcy cieszyli się i z tej wątłej zieleni. Pagórki zamieniły się w przedgórze. Kiedy zrobiło się całkiem zimno, zza kolejnego wzniesienia ukazała się budowla, przypominająca dużą szopę. Wszyscy zatrzymali się, zaskoczeni. Od tak dawna nie wiedzieli żadnych ludzkich pomieszczeń, że nawet marmurowy pałac nie wywarłby na nich większego wrażenia...

Juda pewnym krokiem szedł na przedzie. Golonogłowy dawno pozostał w tyle, niósł bowiem na plecach przez większą część drogi ciężkiego, bezwładnego Manekina.

Nawet Chromy go wyprzedził.

Z bliska szopa okazała się bardziej podobna do starodawnej budowli. Miała wysokie dwuskrzydłowe drzwi niczym wrota, z konstrukcją szkieletową w górnej części. Gdy weszli do środka, zdziwili się raz jeszcze: ogromna sala przypominała dormitorium, sypialnię uczniowską lub wspinałkę koszary, gdzie nie było nar, tylko dziesiątki łóżek, przykrytych czymś białym: grubymi prześcieradłami czy też cienkimi

kołdrami. Wezgi łóżek dotykały jednej ze ścian. Całą szerokość sali zajmował drewniany stół. Przy drugiej ścianie znajdował się ogromny piec z biało\*niebieskich holenderskich kafli oraz dwoje niedużych drzwi \* na jednych był umieszczony znak „JO”, na drugich narysowane sitko prysznic z tryskającą przez nie cienkimi strużkami wodą...

Jaknowa ze zdumieniem oglądała te powszechnie zrozumiałe znaki i dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez cały ostatni czas nie myła się i nie chodziła do toalety, nawet za małą potrzebą. Jak mogło się stać, że kompletnie zapomniała o tych podstawowych, najniezbędniejszych czynnościach? W tej chwili poczuła, że pęcherz ma wypełniony i pchnęła drzwi do ubikacji. Był tam biały sedes, umywalka a na metalowym wieszaku wisiał włochaty ręcznik. Rozchodził się silny zapach mydła. „Ileż ja wszystkiego zapomniałam!” \* przeraziła się Jaknowa i usiadła na sedesie. Znana czynność przebiegła bez żadnych przeszkód i nawet nie rozpakowany jeszcze rulon papieru toaletowego proponował swoje usługi. Spuściła wodę, podeszła do umywalki i wzrokiem poszukała lustra \* lustra nie było. A powinno było być! Odkręciła staromodny, mosiężny kran \* trysnęła woda. Mocny, ciężki strumień wody uderzył ją po rękach, zetknięcie z wodą było na tyle silne, że łzy pociekły jej z oczu.

Jak ja mogłam przez cały ten czas nawet nie wspomnieć o swojej ludzkiej naturze, która od czasu do czasu domaga się nocnika i wody, która przecież jest niezbędna, a okazuje się, że bez niej można się obejść! Nawet o niej nie wspominałam”.

Nabrała pełną garść wody. Woda była ciężka. Zanurzyła twarz \* rozkosz... Umyła ją raz i jeszcze raz, i jeszcze... A teraz dobrze by było wziąć prysznic...

Jaknowa wyszła z ubikacji. Golonogłowy ułożył już Manekina na jednym z łóżek, tamten lekko poruszył rękami. Pozostali wędrowcy stali przy stole, wyraźnie zakłopotani. Juda coś do nich mówił, ale ona nie od razu to usłyszała:

\*... Spędzimy tu noc. Dawno nie spaliśmy i dzisiaj prześpimy się tutaj.

Jaknowa obejrzała się \* chciała teraz iść pod prysznic, ale żadnej kabiny prysznicowej już nie było. Więcej, ubikacja też znikła. Tam, gdzie przed chwilą było dwoje niewysokich drzwi, nie było niczego, pusta ściana. Pełna niedowierzania,



usiadła na najbliższym łóżku.

„Trzeba zapytać. Koniecznie zapytać”. \* Nie zdążyła przemyśleć do końca tego dziwnego zdarzenia, gdy Juda podszedł do niej i szepnął do ucha:

\* Później wyjaśnię. To po prostu niedopatrzenie zwierzchnictwa \* tu nie powinno być ani prysznic, ani ubikacji. To tylko framugi \* i uśmiechnął się swymi wąskimi wargami.

Dlaczego jego twarz jest taka znajoma? Może dlatego, że od tak dawna już idziemy razem... Poczowała, że zasypia. Zdążyła jedynie ułożyć się na białym, twardym łóżku i wszystko zniknęło. Jak dobrze \* to była ostatnia myśl, jaka zdążyła się pojawić...

... Tam, gdzie się znajdowała, byli obecni półludzie\*pół\*rośliny, które mówiły i występował jakiś pociągający temat, w którym brała udział prawie jako główna postać. Troskliwie położona na ogromnym białym płótnie, po części sama czuła się tym płótnem, a delikatne ręce coś robiły przy niej, jak gdyby wyszywały na niej, w każdym bądź razie czuła ukłucia drobniutkich igiełek i ukłucia te były raczej przyjemne. Domyślała się we śnie, że wszystko, co się z nią dzieje, ma związek z jej życiem i śmiercią, ale że za tym stoi coś daleko bardziej ważnego, związanego ze zbliżającym się odkryciem prawdy ostatecznej, która jest ważniejsza od samego życia...

Ocknęła się. Plecami, rękami, nogami i karkiem odczuwała twarde, białe podłoże. Ciału było dobrze. Ono się cieszyło i ukrytymi głęboko w mięśniach kośćmi rąk, i gołymi piętami, dotykającymi prześcieradła. Oddzielnie radowało się serce i płuca, a najradośniej miejsce znajdowało się nieco powyżej żołądka. To było przyjemniejsze, niż przebywanie przy ognisku. Nie chciało się otwierać oczu. Znajome męskie głosy wiodły ze sobą spokojną rozmowę, która zaczęła się bardzo dawno temu. Za tą granicą, gdzie kończyła się pjęć.

\* Jestem zupełnie nieprzygotowany \* mówił jeden głos. To był Golonogłowy. \* Nic nie wiem, w dodatku przez cały czas odbywa się coś nieprzewidywalnego.

\* Tutaj rzeczy przewidywalne w ogóle się nie zdarzają. Zawsze stosuje się improwizację \* odpowiedział Juda. \* Kiedy dźwigaliśmy tu Manekina, nie

wiedziałem przecież, że będą się zajmować nami wszystkimi. Wszyscy przeszli na wyższy poziom, każdy na odpowiedni dla siebie.

\* Czy jesteś przekonany, że powinieneś odejść?

\* Tak, tutaj zrobiłem wszystko.

\* Zaraz, teraz? \* rozżalony, odezwał się Golonogłowy.

\* Za niedługo. \* Zadzźwięczało szkło, jak gdyby trącono się kieliszkami.

\* No, dobrze, niech będzie. A teraz na koniec opowiedz mi wszystko o Ilji

Iosifowiczu \* poprosił Golonogłowy.

Juda zaśmiał się:

\* Doktorze, jesteś rozumnym człowiekiem, dawno temu postawiłeś diagnozę: mądra głowa, ale przypadła durniowi!

\* Sam wiesz, że mnie nigdy nie interesowała hierarchia w służbie, tym nie grzeszyłem. Ale dlaczego tobie tak wiele udostępniono? Mówię o tym bez zazdrości i bez zawiści.

\* Wiem o tym. Widzisz, w uczciwie popełnianych błędach akumulują się wielkie siły. Rewolucja przynosi efekt oślepiający. Dzięki temu tak poszybowałem. Zryw był dość bolesny, chociaż prawie błyskawiczny. A ty zawsze znajdowałeś się bliżej rzeczy prawdziwych. Jak to wtedy u nich było \* prawda namacalna? \* Obaj się zaśmieli. \* Ty szedłeś powoli, ale prawidłowo. A co ty myślisz, że to łatwo być świętym?

Golonogłowy mruknął:

\* A kto tu jest święty?

\* Jak to kto? \* całkiem poważnie odezwał się Juda. \* Ty i ja, i wszyscy pozostali...

\* Co ty mówisz? I ja, niewierzący, i ten Manekin, i ta okropna Tołstucha? Nie rozumiem.

\* Ty się śpieszysz. Nie śpiesz się. Pamiętasz, jak Ilja Iosifowicz wściekle pracował, wciąż mu się zdawało, że już niedużo do osiągnięcia celu, jeszcze jeden wysiłek i będzie Nobel za uratowanie ludzkości? A teraz, widzisz, ja nigdzie się nie śpieszę. Stopniowo to zrozumiesz... Zdziwiająca, że przeczytałem wszystko, wiedziałem o wszystkim. O wszystkim, co niezbędne i to dostatecznie dużo. I jak poprzez zmętniałe szkło \* przeniknąć nie zdołałem \* za bardzo się śpieszyłem.

Znów coś zadźwięczało. „Oni wyraźnie popijają” \* domyśliła się Jaknowa, która słuchała ich rozmowy z niezrozumiałym podnieceniem i poczuciem pewnej niezręczności. Nawet chciała się odezwać, zdradzić swoją obecność, ale nie potrafiła tego zrobić. Ciało jej było jakieś nieobecne, nie mogła ruszyć palcem, ani wydobyć głosu...

\* Tak \* westchnął Golonogłowy. \* Ja nie mam po co się śpieszyć. Szczególnie teraz, kiedy ona tu jest... To wszystko jest niewiarygodne...

\* I nie do przewidzenia? \* z odrobiną uszczypliwości dorzucił drugi rozmówca.

\* Chyba tak... I ta dziwna medycyna... Wiesz, od strony metodyki bardzo podobna do naszej... Szwy wykonywali podobnie \* podwójny chirurgiczny... Nawet igła, jak mi się wydało, była półokrągła...

\* A ty co myślałeś? Mycie rąk według Spasokukockiego, trepanacja według Bemma, krople Biechtieriewa... Wszystkie sposoby przychodzą stamtąd.

\* Co zadziwiające, oni zajmowali się oddzielnie tkanką kostną, oddzielnie naczyniami, oddzielnie nerwami... Nie mam pewności, czy wszystko obejrzałem.

\* Możesz być pewien, że nie wszystko. Nie można wszystkiego od razu. Dobrze, pora na mnie. Po ostatnim \* pójdziemy. Ty mnie odprowadzisz.

Otwarcie stuknęli się kieliszkami.

\* A co z tamtymi? Tak ich zostawimy? \* zaniepokoił się Golonogłowy.

\* Doktorze, doktorze \* zaśmiał się Juda. \* Oni będą odpoczywać. To będzie sen pooperacyjny.

Jaknowa nawet się ucieszyła \* można nie otwierać oczu i jeszcze sobie pospać. I natychmiast zasnęła jakimś jasnym, przezroczystym snem, w którym czuło się kołysanie powietrza, ale nie zwykłe, a muzyczne i lekka świetlistość była zgodna z muzyką. To widowisko, tak jak woda i pokarm, poilo i karmiło...

Droga prowadziła w dół, wijąc się pomiędzy pagórkami. Szli szybkim krokiem po pochyłości drogi, odczuwając ten szczególny przymus, zmuszający pieszego, by iść wciąż dalej i dalej,

taki wyraźny, że zatrzymanie się wymagało pewnego wysiłku. To tak, jakby na końcu wyobrażanej drogi przyzywała ich swoją pieśnią zwiewna przydrożna syrena.

Nie zatrzymywali się. Dmuchał zwykły wiaterek, ale nie niósł wrogiego, kłującego piasku, a jakieś fragmenty zapachów, wśród których dawał się wyróżnić nieco mdlący zapach cynamonu, niebezpiecznych migdałów i zachwycająca woń starej biblioteki: starej skóry, suchego papieru, słodkiego kleju...

Juda szedł nieco z przodu, krokiem jakby zaprawionym w górach, stawiając stopy na ich zewnętrznej części. Golonogłowy \* z tyłu, z opuszczonymi ramionami, ze zwiotczalnymi dłońmi, zamkniętymi w słabe pięści, niczym u starego boksera. Obaj czuli, że mijane okolice są zupełnie inne i ta inność, na razie nieokreślona, nasilała się. Jednocześnie mieli świadomość, że kierują się ku wschodowi \* tam, gdzie przebywali poprzednio, wędrując z innymi ludźmi, żadnych stron świata nie dawało się wyróżnić. A tutaj wschód wkrótce się ujawnił, ukazując poblady i pełen światła skraj nieba.

Droga prowadziła w dół, schodziła do parowu, który stawał się coraz głębszy. Po obu stronach rosły wielkie liściaste drzewa, podobne do lip, ale o bardzo drobnych liściach. Drzewa posadzone były w regularnych odstępach i chociaż nie widać było ludzi, okolica robiła wrażenie zagospodarowanej. W pewnym miejscu parów się rozdzielił \* od głównej drogi odchodziła w bok zaciszna ścieżka. Na drewnianym słupie znajdowała się deseczka z niebieską, wypłowiałą strzałką. Skręcili we wskazanym kierunku.

Ścieżka szybko poprowadziła ich ku długiej budowli z desek, z wysokim ganekiem. Ganek niedawno był odnowiony i jasne drewno nie zdążyło jeszcze pociemnieć, sama budowla była dość licha. Po obu stronach ścieżki rosła niska, gęsta trawa i nawet w słabym porannym świetle można było dostrzec, że trawa ta jest jasna, wiosenna, niedawno wzeszła. „Trawa\*murawa \* pomyślał Golonogłowy \* taka sama rosła na polance w Zwienigorodzie, koło źródła na samym skraju działki...". Nachylił się, dotknął jej otwartą dłonią i uśmiechnął się: wzrok go nie mylił, wrażenie było takie samo...

\* Chyba doszliśmy \* powiedział Juda i obaj weszli na ganek. Wytarli nogi o pasiasty chodnik. Trafili do dużej sieni, gdzie siedziało dwóch zwykłych z wyglądu mężczyzn, prawdopodobnie strażników, jeden miał na głowie czapkę\*uszanke, drugi

\* cyklistówkę. Przed nimi stał starzec w stroju zakonnym, w rękach trzymał papierowy zwój ze źle odbitym tekstem i cichym głosem próbował coś objaśniać tamtym dwóm.

\* Niczego nie wolno. Co masz na sobie, to możesz, a inne przedmioty są zakazane \* recytował strażnik.

\* To nie jest cudzy przedmiot, to zawierająca pozwolenie modlitwa \* upierał się zakonnik.

\* A idź ty, ile razy można powtarzać! \* rozzłościł się ten w uszance. \* Popatrz, dziadku!

Strażnik otworzył obdrapaną szafkę, stojącą tuż obok i zaczął z niej wyciągać po kolei: przybory do mycia się w plastikowym opakowaniu, protezę nogi, plik banknotów z niewiadomego kraju i niewiadomego czasu, paczkę listów i medalion w kształcie nieforemnego serca, a na koniec jedna za drugą jakieś książki. Były to księgi Ewangelii \* od starodawnych, stuletnich, zaczytanych do nowiutkich, trójjęzycznych, hotelowych...

\* Widzisz, to wszystko są cudze przedmioty, kradną je i kradną... Rozumiesz więc, oddawaj swój papier i przechodź...

Mnich położył papierowy zwój na czarnej Ewangelii i ze zbolałym wyrazem twarzy przeszedł przez wartownię.

Juda i Golonogłowy podeszli do strażników.

Ten w czapce z daszkiem burknął coś o przepustkach. Juda rozłożył ręce:

\* Chłopcy, co wy? Przepustki dawno zostały zniesione...

\* U was zniesione, a u nas nie zniesione. Od nas kierownictwo żąda. Chodzą tu tacy różni...

Golonogłowy przyglądał im się życzliwie \* to byli prawdziwi jego współrodacy, młodzi mężczyźni z prowincji, a jeden miał nawet znajomą gębę. Przyjrzał mu się dobrze i poznał \* Kurojedow, sukinsyn. Pracował jako portier w klinice przez wiele lat. Klótniwy typ. Jeden ze zwolnionych funkcjonariuszy KGB.

\* Dobra, chodźmy, Ilja! Go ty Kurojedow tak się gapisz? \* Golonogłowy zdecydowanie przeszedł przez ochraniane przez stróżujących drzwi.

Kurojedow ogłupiały patrzył na Golonogłowego, potem zamachał radośnie rękami i wykrzyknął:

\* Wszelki duch! Sam przyszedł, sam we własnej osobie!

\* Dureń! \* warknął Golonogłowy, a drzwi z mocną sprężyną zatrzasnęły się za nimi z hukiem...

Za drzwiami nie było właściwie żadnego pomieszczenia, jedynie ogromny amfiteatr, a w dole, głęboko, majaczyła okrągła arena. Obaj wędrowcy stali przy zewnętrznej krawędzi, przy płaskim przejściu bez schodów, prowadzącym w dół ku arenie. Na początku Golonogłowemu wydawało się, że nie ma tam żadnej publiczności, ale później dostrzegł pojedynczych widzów, siedzących rzadko, w sporej odległości jeden od drugiego.

\* Chyba powinniśmy zejść niżej \* niepewnie odezwał się Juda, zeszli więc prawie do połowy amfiteatru i Juda zatrzymał Golonogłowego. \* Myślę, że wystarczy.

Skręcili w boczne przejście, tam okazało się, że zamiast ławek, jak oczekiwali, rozmieszczone były masywne, kamienne kłocę w dużej odległości od siebie.

\* Siadaj tutaj \* zaproponował Juda. Golonogłowy usiadł.

\* No i co, będzie dobrze widać?

Golonogłowy ujrzał na środku areny pomost, a na nim, na specjalnym podium wielką matową kulę.

\* Tak, szklaną kulę widzę.

\* A spróbuj tam się przesiąść \* poprosił Juda. Golonogłowy przesiadł się do poprzedzającego rzędu i usadowił się na kamiennym kłocu. Widać było to samo, ale jak przez cudze okulary, wszystko tonęło we mgle, utraciwszy wyrazistość.

\* Stąd gorzej \* dał znak Golonogłowy.

Juda porozumiewawczo kiwnął głową i zaproponował, by przesiadł się o kilka rzędów wyżej. Stąd jednak widać było jedynie białawą mgłę.

\* Widzisz, doktorze, nie pomyliłem się, to jest twoje właściwe miejsce. \* I posadził Golonogłowego na poprzednim miejscu. \* To jest to, co doktor przepisał.

\* Głupie są te twoje żarty \* ofuknął go Golonogłowy. \* Powiedz lepiej jasno, co to za przedstawienie.

Juda nie siadał, stał obok, położywszy rękę na ramieniu Golonogłowego:

\* To jest właśnie twoje prawdziwe miejsce. Obecne.

\* A ci, co siedzą niżej, widzą lepiej? \* zainteresował się Golonogłowy.

\* Oni widzą nie lepiej, ale więcej. Taka specyficzna akomodacja. To, co ty widzisz, zależy od miejsca, a miejsce to już zależy od ciebie samego. Nie powinno cię to smucić. Tamci więcej od ciebie się uczyli \* to zabrzmiało pocieszająco.

\* Czego? \* zapytał krótko Golonogłowy.

\* Tego samego: jak być samym sobą. \* Popatrzył na niebo. Nawet stąd, z głębi cyrku, można było zauważyć, że wschodnia strona nieba napełnia się światłem.

\*#y mówisz czasami o rzeczach nie do wytrzymania banalnych \* zmarszczył się Golonogłowy. \* Wyjaśnij mi bliżej, jak można nie być samym sobą?

\* Wszyscy muszą urodzić się na nowo. Urodzić siebie na nowo... Ale, dosyć. Sam się zorientujesz \* Juda westchnął gorzko. \* A więc teraz się rozstajemy.

\* Na zawsze?

\* Nie wiem. Mnie się tak nie wydaje...

\* Słuchaj \* Golonogłowy porzucił ton koleżeńsko\*romantyczny \* a co ja mam robić ze wszystkimi tamtymi... no, z Manekinem, z Chromym, Tołstuchą... Nie bardzo sobie wyobrażam, co mógłbym dla nich zrobić...

\* Wiesz, prawidłowo postawiłeś zagadnienie. Myślę, że sobie poradzisz. Licz na Najwyższą Mądrość. Ona ciebie nie zawiedzie \* mruknął Juda. Golonogłowego dotknęła nagle ta wypowiedź:

\* Ty żartujesz, Ilja?

\* Ta cząstka Ilji, która jeszcze pozostała, płacze, doktorze. Ty przecież, wydaje mi się, tak jak i ja, wierzyłeś w Najwyższą Mądrość? Więc podążaj za nią.

Golonogłowy chciał coś wtrącić, ale oto rozległ się dźwięk \* z początku nie tyle głośny, co pełen trwogi. To było wezwanie do drogi, sięgające do głębi, Golonogłowy odczuł w splocie słonecznym jakby otwór, przez który dźwięk ten wszedł i wyszedł, przeniknąwszy całą jego istotę. W tym dźwięku zawierał się również głos, który bardzo wyraźnie przyzywał:

\* Przygotujcie się! Przygotujcie!

W tym momencie stało się też jasne, że to wezwanie nie dotyczyło jego, a kogoś innego. A dźwięk był dźwiękiem trąby...

Juda pochyliwszy się, niezręcznie ucałował Golonogłowego i pobiegł w dół, ku arenie. I wyjaśniło się, że głos trąby wzywał właśnie jego... W chwilę później Juda zatrzymał się i wrócił z powrotem, spieszenie szukając czegoś po kieszeniach. Wyciągnął w biegu jakieś małe pudełeczko, czy też wielkiego owalnego żuka i wsunął Golonogłowemu w rękę:

\* Omal nie zapomniałem! To zapalniczka. Przykleja się do dłoni. Bywaj! Wszystko będzie dobrze! Bardzo dobrze!

I pobiegł na dół dość szybko, lekko podskakując, a kosmyki jego biednych włosów płynęły jakby za nim. Za moment był już przy pomoście i dwie jakieś jasne, nieokreślone, trudne do rozróżnienia postacie obciążły jego wyciągnięte ręce dużym stosem książek, papierów, paczek i woreczków \* całym podróznym wyposażeniem, jakie może wziąć ze sobą udający się w podróż służbową...

Kula rozpadła się na dwie półkule. Juda ze swym obciążeniem wszedł do środka, z metalicznym szczękiem kula zamknęła się z powrotem.

Dźwięk trąby, przenikliwy, przypominający wielokrotnie wzmocniony pionierski sygnał alarmowy, narastał do tej chwili, aż rozległ się szczęk. Wtedy dźwięk się wyłączył i dało się słyszeć słabe buczenie, jakby przy podłączeniu do prądu elektrycznego. Podstawa kuli lekko się zaświeciła. Światło się nasilało i cała kula wypełniła się chłodnym, białobłękitnym światłem, które niezależnie od swej mocy, nie oświetlało areny, a raczej skupiło się, jak się zdawało w głębi kuli.

„Splonie... To koniec...” \* przeraził się Golonogłowy.

Buczenie ucichło, światło wewnątrz kuli zostało wyłączone. Kula stała się matowa, na wpół przezroczysta, chyba stygła... Później się otworzyła.

Z kuli wyszedł Juda. Ręce, tak jak poprzednio, miał wyciągnięte do przodu, jak gdyby wciąż leżał na nich stos książek. Ale żadnych książek nie było. W ogóle niczego nie było.

\* Spaliło się. Wszystko się spaliło. \* Golonogłowy domyślił się, co właściwie trzymał w rękach jego drogi, zwariowany przyjaciel: wszystkie swoje myśli, prace,



plany, książki, wykłady i wszystkie swoje niemądre wyczyny, więzienny trud i wszystkie szlachetne postęпки, nieustannie powodujące cierpienia jego najbliższych... Juda podniósł do góry prawą dłoń, tak że Golonogłowy wyraźni dojrzał cienką, jasną płytkę, połyskującą jak metal. Na płytce napisane było słowo, które pomimo sporej odległości Golonogłowy odczytał wyraźnie: ZAMIARY \* takie słowo błyszczało na płytce...

\* Panie Boże \* westchnął Golonogłowy. \* A jak to jest z piekłem, które właśnie dobrymi zamiarami jest wybrukowane...? Czyżby nasze zamiary mogły nas usprawiedliwiać?

Zachwiała się arena \* i stygnąca kula, i skraj jaśniejącego nieba, i wszystko to odeszło gdzieś w bok, jak cień przesuwającego się obłoku... I znowu wszyscy wędrowcy szli szeregiem po szarej pustyni, grzęznąc w piasku, a słaby wiatr unosił jego drobiny i ciskał nimi w ich twarze... Z przodu szedł Golonogłowy, a zamykał ten łańcuch Chromy, który zresztą już nie utykał...

7.

Po noclegu w szopie wszyscy nieco się odmienili. Wyraźniej niż inni odmieniony był Manekin. Nie był już takim dębowym „twardzielem”, stał się bardziej plastyczny, przybrał szereg detali, konchy jego uszu nabrały wyraźniejszego rysunku, a oczy, choć nadal patrzyły tępo, nie wydawały się już ślepe.

„Prawdopodobnie nocni goście popracowali nad nim szczególnie solidnie \* zauważył w duchu Golonogłowy. \* Dobrą mają chirurgię plastyczną, nie da się zaprzeczyć... I Chromemu uzdrowili nogę, nie wiadomo tylko, czy dzięki protezie, czy transplantacji. Pozostało wrażenie, że stworzyli nową tkankę kostną, uformowali z niej kości goleniowe, strzałkową i piszczelową, a później doprowadzili do zrostu z nerwami i mięśniami... Tołstucha stała się jeszcze grubsza, Matuszka bardziej przezroczysta, ręce jej wprost prześwitują... Wydaje się, że wszyscy się odmienili, oprócz Jaknowej...”.

Patrzył na nią ukradkiem z daleka, jak siada na pagórku, zdejmując pantofle, wysypuje

z nich piasek, potem przesuwa swoje piękne dłonie (na lewej ma małą bliznę pomiędzy środkowym i serdecznym palcem, to ślad z dzieciństwa po wbitym haczyku wędkarskim) po długich, wąskich stopach (zawsze się krępowała, że stopy miała duże), ścierając ziarenka piasku. Potem zdejmuje z głowy czarną, koronkową kosynkę, rozpuszcza długie kasztanowe włosy, a one rozdzielają się na trzy sprężyste pasma, jak to bywa, gdy przez długie lata przyzwyczajają się do mocno splecionego warkocza \* i wytrząsa piasek...

Manekin, pomimo poprawy, niepokoił Golonogłowego, ale jednocześnie Golonogłowy złościł się i na siebie samego: tak się złożyło, że przyjaciel mu ich porucił... Ale w istocie kim jest on sam? Takim samym jak oni wędrowcem, który trafił nie wiadomo dokąd, nie wiadomo po co, jest zagubiony i samotny.

Dziwne zachowanie się Manekina Golonogłowy zauważył jeszcze przed pierwszym atakiem. Manekin zaczął przejawiać

niespotykane u niego dotąd oznaki niepokoju: to się oglądał, to przysiadał, kryjąc głowę w swoich topornych łapach. W jakimś momencie uspokoił się, nasłuchując \* skądś, z wielkiego oddalenia doleciał do niego wysoki i straszny dźwięk, skierowany prosto w twarz jak ostra, cienka igła...

Za pierwszym razem oczekiwanie na te igłę było stosunkowo krótkie, ona wbiła mu się w czoło i Manekin upadł, krzycząc głośno. To przypominało napad epilepsji i Golonogłowy natychmiast wsunął mu do ust \* skąd go miał? \* trzonek srebrnej łyżki i ułożył sobie na kolanach jego głowę, by twarda niczym kamień głowa nie obijała się o ziemię... Żadnych lekarstw nie było. A przydałoby się chociaż z pięć centymetrów sześciennych luminalu...

Od tamtego pierwszego ataku życie Manekina znacznie się zmieniło, stało się okropne i daleko bardziej świadome. Teraz stale znajdował się w jednej z dwóch sytuacji \* albo „przed atakiem”, albo „po ataku”. Wiedział jednak i o trzeciej możliwości: to czas strachu. Po ataku następował etap „po”. Wstawał lekki jak pusty worek, nie pamiętając absolutnie o tym co zaszło. Zwykle w takich chwilach widział obok siebie Golonogłowego. Jeśli go nie było, Manekin doganiał pozostałych, którzy Już zdążyli niekiedy odejść dość daleko. Odczuwał wtedy silny głód, podchodził do

Golonogłowego, a tamten bez słowa wsuwał mu do ręki mały prostokątny herbatnik. Manekin zjadał to śmiesznie małe ciastko i po kilku minutach zapominał o głodzie. Znowu szedł i szedł, a potem nagle przypominał sobie, jak pewnego razu tak idąc, usłyszał wysoki, straszny dźwięk. Wsłuchiwał się z niepokojem i wkrótce rzeczywiście dźwięk ten się pojawiał \* następował etap „przed atakiem”. Te złe, nadlatujące z niewiadomego oddalenia igły, czy może pszczoły, czy kule mnożyły się i wydawało się, że każda z nich jest wycelowana w jedną, szczególnie delikatną i czułą część ciała \* w oko, w gardło, w brzuch czy pachwinę... Każdy, wzięty na cel punkt, stawał się jakby samodzielnym organem i odczuwał bolesne oczekiwanie, wciąż nasilające się przerażenie, a te wszystkie odczucia każdego organu zwielokrotniały się, rosły w kosmicznym tempie w sposób nie do opanowania i strach Manekina o wiele przewyższał w rezultacie jego własne wymiary i żeby zmieścić w sobie ten bezgranicznie powiększający się strach, Manekin stawał się ogromny, daleko większy od siebie samego, większy od największego, jakiego może sobie wyobrazić człowiek. I wszystko to trwało, trwało, trwało... Rozpaczliwie chciał się w tym momencie skurczyć, stać się małym, jak najmniejszym, najdrobniejszym ziarnkiem piasku.

Usiłował się skurczyć, unicestwić, ale zamiast tego robił się coraz większy, stawał się otwartą tarczą dla wszystkich, lecących w jego kierunku strzał. I im silniejsze było to szalone powiększenie, rozciągnięcie ciała, tym ostrzejsze pojawiało się pragnienie, by skurczyć się do rozmiarów drobiny piasku, unicestwić się... I wtedy nadchodził atak... Z początku jeden, w głowę, druzgocący, przeszywający na wskroś. Ostry jak cięcie szablą, migocąco\*czarny. Później jeszcze i jeszcze, razy padały jeden za drugim i znakowały wciąż zmniejszające się granice ciała i uderzały jak błyskawice w już nadwęglone, ale jeszcze dygocące drzewo ciała...

A Golonogłowy nie dopuszczał, by się zamknęły jego ściśnięte szczęki, trzymał trzęsącą się głowę. Niekiedy pomagał mu Długowłosy: przytrzymując butami swój nieporęczny futerał, z którym nie rozstawał się ani na chwilę, obejmował obiema rękami wyginające się w kabłąk ciało, osłabiając ciosy, jakie zadawał sobie ten szaleniec...

Później Manekin wstawał i wszystko to powtarzało się znowu i znowu...

Golonogłowy patrzył w głąb jego czaszki i widział: dwie nieduże półkule, pokryte ciemną, błyszczącą błoną, umieszczoną w nie całkiem określonym miejscu, albo pod twardą oponą mózgową Dura mater, albo też bezpośrednio na miękkich \*

Arachnoidei lub Pia mater. Po każdym ataku błona ta pokrywała się nową siecią pęknięć, drobne jej kawałeczki odpadały, wchłaniały się, a pojawiały się jasnoszare, z różową siatką naczyń zdrowe fragmenty mózgu...

„Nieustające analogie \* zauważył Golonogłowy \* u nas przecież także stosuje się elektrowstrząsy w leczeniu schizofrenii...". I gładził uspokojonego już debila po głowie, a ten, jak dziecko, obracał głowę tak, by ręka doktora dotknęła na niej każdego miejsca...

Matuszka w tym czasie stawała się coraz bardziej przezroczysta i kiedy wędrowcy rozmieszczali się wokół ogniska, Golonogłowy zauważył pewnego razu, że zrzuciła na chwilę swój zakonny kaptur. Wtedy jej przezroczysta twarz poraziła go swoją rzadką asymetrią: ani oczu, ani brwi nie było na ich naturalnych miejscach, tylko blade fałdy wiotkiej skóry, pozbawione rzęs, a na czole zapiekła w formie oka rana z broczącą krwią ze środka. Będąc już prawie w zaniku dłonią Matuszka naciągnęła kaptur, położenie jej przeświecającej ręki na tle ciemnego ubrania wskazywał jedynie sznur czarnych, wełnianych paciorków różańca.

Jej odejścia nikt nie zauważył. Któregoś razu przy ognisku, po zwykłym odpoczynku pozostała jej odzież \* biała koszula, kaptur, kobiece zakonne nakrycie głowy, przyjęte u chrześcijan obrządku wschodniego i czerwony aksamitny woreczek. Golonogłowy zajrzał do woreczka \* w środku zawinięta w folię leżała zetłata wełniana nić i garść pyłu... Od odzieży niesło zapachem cynamonu, którego nie znosił od dzieciństwa, gorzkich migdałów i kadzidła...

Matuszka zniknęła w sposób delikatny, nikogo nie absorbując, natomiast nowo przybyły osobnik dostarczył wszystkim sporo niepokoju. Na początku temu obywatelowi średniego wzrostu, będącemu w średnim wieku, gdy znalazł się u ogniska, wydało się, że śni. A ponieważ nie mógł założyć innej formy istnienia niż jawa albo sen, to w tych smutnych, nieco zgaszonych ludziach, siedzących wokół

ognia, wszystko wydało mu się podejrzanе. Nawet samo ognisko, płonące tuż u jego nóg, było dziwne \* jakieś zbyt blade, nie dające poczucia gorąca.

„Teatralne jakieś to wszystko \* domyślił się człowiek w marynarce. \* Oczywiście, że to sen, zajmujący sen”. I zaczął starannie wpatrywać się w ten dziwny sen, żeby nie zapomnieć go

przy obudzeniu się i opowiedzieć żonie Nadzi. Jej przeważnie śniły się jakieś głupstwa, a to, że niesie do pralni jego marynarkę, albo że zupa jej kipi. On .sam miewał sny bardzo rzadko, a takie wymyślne, z ogniskiem, w ogóle mu się nie zdarzały. Spróbował policzyć ludzi, siedzących przy ognisku, ale jakoś to się nie udawało. Albo się przemieszczali, albo ich ilość się zmieniała. Przy głębszym wejrzeniu okazało się, że i ludzie niezupełnie są prawdziwi, jacyś słabeusze.

Wyróżniał się spośród nich zaledwie jeden \* słusznego wzrostu, krępy, z głową całkiem ogoloną. Po wysokim czole \* łysina sięgała mu do pół głowy \* chodził mu odblask ogniska. Leninowskie czoło \* pomyślał i wybrał sobie na rozmówcę Golonogłowego jako najbardziej odpowiedniego.

„Trzeba go zapytać...” \* zaciął się. Przestraszył się nagle, że to nie jest sen. A jeśli to nie sen, to zapytać należy przede wszystkim, co to za miejsce i jak on tu trafił... Ale gdy zapyta

o coś takiego, pomyślał, że jest obłąkany. Ponadto nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, co się działo przed jego przybyciem tutaj, do tej nieznannej miejscowości, położonej wyraźnie poza miastem i nawet nie w umiarkowanej strefie...

Jeszcze raz przyjrzał się twarzom ludzi \* zdecydowanie nieznajome i trochę dziwne: tuż obok drab o wyglądzie kryminalisty, obojętny na wszystko jak kamień, dalej długowłosy człowiek w pozie lotosu, prostujący w nienaturalny sposób plecy i przyciskający do siebie futerał od saksofonu. Taki futerał nosił ze sobą bez przerwy jego syn, dopóki nie uciekł z domu... Dalej gruba ciotka z całkiem prymitywnego środowiska i \* nawet się ożywił i nieco uspokoił \* na lewo od niego na gołej ziemi, oparta podbródkiem na dłoni, bardzo piękna kobieta, o dobrej rosyjskiej twarzy.

„Ta jest w moim guście \* ucieszył się. \* Podobna do mojej Nadźki z młodych lat...”.

Inni pogrążeni byli w półmroku, ogień oświetlał raz czyjaś rękę, raz plecy...

„Trzeba zebrać myśli i dociec, skąd wzięła się ta luka w pamięci” \* postanowił. Sytuacja nie była przyjemna, ale nie odczuwał większego strachu. Zwrócił się myślą ku swemu domowi \* najbardziej solidnemu punktowi swojej egzystencji. I co pamiętał? Że żona Nadzia podała mu na śniadanie smażone kartofle i dwa kodety. Wyraźnie pamiętał kodety, leżące na talerzu pod kątem wobec siebie nawzajem. Kanapkę z kielbasą. Herbatę. Że był to wtorek. Rozkład zajęć tak dobrze zaplanowany, że w środę są ostatnie cztery godziny wykładów \* i do poniedziałku jest wolny... „Od tej pory, kiedy dostałem nominację profesorską, rozkład zajęć jest zawsze dogodny \* myślał sobie. \* Co prawda, są jeszcze obowiązki społeczne, komitet partyjny, rektorat... A właśnie \* żeby nie zapomnieć, że w tym tygodniu... \* myśl oddaliła się od głównego nurtu. \* A więc po śniadaniu wyprowadził Kasztana na spacer, z daleka zauważył wstrętne szarego doga z sąsiedniej klatki schodowej... Potem wjechał na górę, przebrał się...”. Wtym momencie zwrócił uwagę na to, że ma na sobie ciemnoszare wyjściowe ubranie z baretkami na piersi, a wcale nie to w granatowe w paski... Popatrzył na noski swoich bucików \* czarne, odświeżone, a przecież rano wkładał #stare rumuńskie dziurkowane sandały...

„Trzeba pomyśleć logicznie \* wezwał sam siebie. \* Kiedy wychodziłem z domu, miałem przy sobie teczkę. Pierwsze dwie godziny wykładów, wykładam dziś na piątym roku „Współczesne problemy gnoseologii”, następne dwie godziny to „Podstawy naukowego ateizmu” dla całego tłumu pierwszo\*roczniaków... Teczki nie mam przy sobie. Nie pamiętam zupełnie, żebym prowadził wykłady. Jestem inaczej ubrany. Więc pomiędzy moim wyjściem z domu a chwilą obecną nastąpiło jakieś wydarzenie, którego nie pamiętam... Musiało nastąpić pomiędzy ósmą dwadzieścia pięć rano a... \* chciał spojrzeć na zegarek, ale zegarka nie było... \* Jest wieczór. Nie mam jednak żadnej pewności, że od rana, które wydaje mi się dzisiejszym, minęło tylko dziesięć godzin. Mogło upłynąć wiele czasu od tamtej pory, kiedy przestałem go obserwować... Słowem, zanik pamięci. Powiedzmy, że to skurcz naczyń mózgowych. Jak można zrekonstruować dalszy przebieg wydarzeń? Prawdopodobnie szpital IV Zarządu, potem sanatorium lub coś w tym rodzaju... Ale przecież Nadzia

nie mogła puścić mnie samego! Chory człowiek potrzebuje... Nie, to do niej niepodobne... Dziwne, dziwne...".

Profesor uprzejmie zwrócił się do Długowłosego:

\* Przepraszam, która jest teraz godzina?

Długowłosey popatrzył na niego nieruchomym wzrokiem i odpowiedział, jak wydało się Profesorowi, lekceważąco:

\* Wciąż ta sama...

„Typowy hippis" \* natychmiast ocenił Profesor i odwrócił się. Golonogłowy wyraźnie wyglądał najprzyzwoiciej ze wszystkich, wstał więc, by podejść do niego. I wówczas odczuł pewne nietypowe zjawiska w przestrzeni \* albo horyzont był zbyt blisko, albo niebo znajdowało się za nisko...

Jakieś ciasne to miejsce... Czort wie, dokąd mnie zaniósł \* pomyślał Profesor w rozdrażnieniu. Golonogłowy z szacunkiem wyszedł mu naprzeciw. \* Wydaje się podobny do Majakowskiego". Profesor lubił Majakowskiego i często go cytował, nie tylko w życiu prywatnym, ale i podczas wykładów...

Golonogłowy, który podszedł blisko, nieoczekiwanie położył Profesorowi rękę na ramieniu, ten zdumiał się poufałością tego gestu. Golonogłowy odezwał się pierwszy: \* Profesorze, proszę się nie niepokoić. I proszę na razie nie zadawać pytań. Sytuacja, w jakiej się pan znalazł, jest w najwyższym stopniu niezwykła, będzie pan musiał spędzić tu trochę czasu. Później wszystko zostanie panu wyjaśnione...

Profesor opanowanym ruchem kiwnął głową. Zaczął się domyślać, co się z nim stało... Oczywiście, jedynie wszechpotężne „organy" mogą tak postąpić: uśpić, przewieźć w inne miejsce i w ogóle zrobić z człowiekiem, co im się podoba. Co prawda, to już nie trzydziesty siódmy rok, ale ich siła nadal jest ogromna. Profesor wiedział o tym nie tylko ze słyszenia. Uważnie popatrzył na Golonogłowego. A ten to kto to jest?

Golonogłowy był ubrany w białą, bawełnianą koszulę z guzikiem u kołnierza... W żołnierską, wojskową koszulę... Miał też na sobie żołnierską bieliznę... Nie było tu pełnej jasności, ale coś już zaświtało... I Profesor ucieszył się ze swojej spostrzegawczości...

8.

Dopiero teraz, kiedy zabrakło Judy, Golonogłowy zaczął rozumieć, jak wiele przeróżnych obowiązków spadło na niego. Z początku wydawało się, że największy kłopot będzie sprawiał Manekin z jego stałymi atakami. Ale stopniowo ujawniało się, że w tym szarym tłumie nie było statystów, każda osoba dramatu miała swój własny wątek. A raczej nie wątek, a zadanie, sformułowane według znanej zasady z bajek: pójdź tędy, nie wiadomo kędy, przynieś to, nie wiesz co... Wyglądało na to, że wszyscy oni, jak katorżnicy do kuli, przykuci byli do jakiegoś zadania i nie mogli stąd się wydostać, dopóki go nie wykonają. Odnosiło się wrażenie, że nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, czego od nich oczekuje nieznany reżyser całej tej akcji. Nawet sam Golonogłowy nie wiedział dokładnie, dlaczego tu się znalazł.

W istocie, w miarę możliwości kontynuował to, co robił przez całe swoje życie w instytucie, w klinice, w szpitalach... Była to jakaś ni to lecznicza, ni to pedagogiczna funkcja, funkcja wspomagająca... Wspomaganie przy narodzinach...

Kiedy po raz pierwszy zobaczył tutaj Jaknową, taką mu bliską, ze wszystkimi drogimi szczegółami twarzy i figury, z tak dobrze znanymi gestami, zrozumiał od razu, że oddziela go od niej nieprzepuszczalna i nie dająca się pokonać granica. Nie poznawała go. Pierwszym, bardzo silnym pragnieniem było ująć ją za rękę, pogłodzić po włosach, po twarzy... Ale Juda wtedy ostrzegł go:

\* Ostrożnie. Mamy do czynienia z pełną amnezją. Pozwól jej trochę się oswoić, potem podejdziesz do niej...

\* To może minąć? \* spytał Golonogłowy, pokonując chęć natychmiastowego przygarnięcia jej do siebie, dotknięcia palcami karku i wyciągnięcia szpilek, by rozsypały się jej długie kasztanowe włosy... To była jedyna, przeznaczona mu kobieta, gotów był rozpocząć wszystko od początku, podejść do niej w taki sposób, w jaki mężczyzna podchodzi po raz pierwszy do przyciągającej go, nieznannej mu kobiety.

\* Być może. Częściowo... Widzisz przecież, ktoś się zatroszczył o to, żebyś tyją



poznał, a ona ciebie \* nie... Mnie się wydaje \* Juda dokończył łagodnie \* że w tym przypadku w ogóle lepiej jest nie buntować się, a przyjmować... Wychodzić naprzeciw, mówiąc krótko...

Od tamtej pory Golonogłowy starał się nie tracić Jaknowej z pola widzenia i za każdym razem, gdy w jej oczach pojawiała się pytanie czy niepokój, był blisko. Zresztą, jej obecność nie powodowała jakichś szczególnych kłopotów, po prostu sprawiała ból, jak stara blizna, otarcie na duszy...

Trudności dotyczyły innych. Oto dwie kobiety, tworzące stałą parę, nawet nieco komiczną z uwagi na znaczną różnicę wzrostu pomiędzy nimi \* jedna była prawie karlicą z dużą, kędzierzawą głową i krótkimi rękami i nogami, druga \* wysoka, długonoga, z zaokrąglonymi, przygarbionymi plecami i małą głową, osadzoną niczym u żmii na długiej szyi \* okazały się przy bliższej obserwacji wcale nie przyjaciółkami, a niewolnicami jedna drugiej. Prawą nogę wysokiej i lewą nogę kurdupła łączył krótki łańcuch, przypominający łańcuch rowerowy, który w kształcie ósemki owijał ich kostki u nóg. W miejscu krzyżowania się łańcucha Golonogłowy zauważył błyszczącą kulkę ze szkła czy też z metalu. Gdy kobiety szły, to powodowały każdym krokiem ból u siebie nawzajem, a kiedy siadały w czasie postoju, to zamiast odpoczynku, którego mogłyby zaznać, pozostając bez ruchu, zaczynały natychmiast przeciągać każda do siebie ową kulkę, powodując tym coraz głębsze wpijanie się łańcucha w rany na nogach...

„Chcą coś podzielić między siebie, ale nie mogą” \* w pewnym momencie domyślił się Golonogłowy.

Wkrótce odkrył, że może spowodować krótką przerwę w zadawanej sobie nawzajem przez te kobiety męce \* gdy kładł im na głowy swoje duże, odwrócone nieco ku sobie dłonie, kobiety się uspokajały, a rany ich w okamgnieniu przestawały krwawić, obsychały i zaczynały się zablizniać...

Przemienne uczucie zagubienia, jakie ogarnęło Golonogłowego po odejściu Judy, wkrótce minęło. Stale mu towarzyszący pomocnik, którego nazywał „widzeniem wewnętrznym” lub po prostu intuicją, teraz dochodził do głosu nie podczas badania chorych, czy przeprowadzania operacji, ale kiedy nachodziły go wątpliwości i

zakłopotanie.

Po którymś z odpoczynków, kiedy Golonogłowy przeciągnął rękę nad ogniskiem, wyłączył zapalniczkę, mocno przywierającą do dłoni, dzięki czemu ogień znikł, ciepło przestało dochodzić, a tylko jego resztką dość długo jeszcze ogrzewała mu dłoń \* wyraźnie poczuł, w którym kierunku należy iść. Ten sam czynnik, który kiedyś umożliwiał mu widzenie „wewnętrznych obrazów”, teraz podpowiadał kierunek wędrówki... Poszli więc jak zwykle gęsiego, pojedynczo lub dwójkami: Długowłosey ze swoim futerałem, Tołstucha z grubym brzuchem, Karlica z Tyczkowatą na łańcuchu... Golonogłowy nastawił się na długi odcinek drogi, ale dość szybko na przedzie zamajaczyło coś ciemnego, wyglądającego na niski budynek gospodarczy. Gdy się zbliżyli, stwierdzili, że to nie budynek, a nieduży, gęsto spleciony grubymi, bezlistnymi gałęziami kawałek lasu. Coś w rodzaju szkółki leśnej. Dziwne niewysokie drzewa miały pnie i gałęzie prawie tej samej grubości, szarobure, bez najmniejszych zadatków na liście. Gałęzie lekko się poruszały. Ten ruch był jakiś podejrzany.

\* Podejźmy bliżej \* powiedział Golonogłowy i wszyscy, jak dzieci, posłusznie się zbliżyli. Gałęzie rzeczywiście się poruszały. Były całe pokryte mnóstwem dziwnych istot wielkości dużego szczura, w starej, całkowicie nieowłosionej, workowatej, obszernej, pomarszczonej skórze, takiego samego burego koloru, jak pnie drzew. Łapczywie, zajadle, powodując jakby buczenie jakiejś maszyny, wgrzyzały się w drewno.

Golonogłowy chwycił jedną z tych istot za kark i oderwał od pnia. Niezadowolona, zawarczała \* puść, puść!... Rozłożył tego grubego, wodnistego stwora i wędrowcy rozpoznali w tym odpychającym stworzeniu człowieka. Maleńkie, uległe atrofii nogi i ręce, embrionalna wielka głowa z ledwie zaznaczonymi szparami zamkniętych oczu, niedorozwinięty nos i duże, wysunięte ku przodowi usta ze sterczącymi jak u gryzoni świecącymi, białymi zębami. Mięśnie wokół ust kurczyły się automatycznie i szczęki nadal wykonywały ruch gryzienia.

Golonogłowy pogłaskał człekopodobnego gryzonia i z powrotem umieścił na gałęzi, z której go zdjął przed chwilą.

\* Boże, co to jest? \* zapytała przerażona Jaknowa.

\* Łaknący, którzy pragną się nasycić \* drwiąco'odpowiedział Golonogłowy i w tym momencie zorientował się: co ja mówię? Dlaczego znów ją drażnię? Co za uporczywa głupota!...

Pękła jakaś ściana czy przerwała się jakaś zasłona \* wielki obszar poprzedniej świadomości wypłynął nagle w jej pamięci: rodzice, babcia, dom na Triochprudnym, komuna w Tropariewie... Lew Tołstoj i Ewangelia, pierwsza prawdziwa, nie tołstojowska Ewangelia, подарowana przez babcię... I w tym momencie aż wstrzymała oddech z powodu jego kpiącego tonu \* przypomniała sobie te słowa z Ewangelii, które on otwarcie, celowo przekreślił... „Błogosławieni łaknący i pragnący Prawdy, albowiem oni będą nasyceni...”.

\* Nie, nie, ja wcale nie kpię, proszę wybaczyć, mam taką manierę... Chciałem jedynie powiedzieć, że to ich prawda... Każda namiętność w ostatecznym rezultacie umiera, nieprawdaż? \* kontynuował, a jej serce uderzało boleśnie z powodu jego słów. \* Po prostu nie wszyscy zdążają się wyciszyć w przewidzianym dla nich czasie. Schylił się i podniósł z ziemi nieruchome stworzenie, które przed chwilą odpadło od pnia. Teraz nie było ono człekopodobnym gryzoniem, a raczej przypominało człektorobaka. Było nieruchome, jego zęby znikły, usta przybrały proporcjonalny do całej głowy rozmiar, a mordka wydawała się całkiem jak twarz dziecka.

\* Koniec. Nasycił się. Teraz jest najbardziej podobny do pięciomiesięcznego ludzkiego płodu.

Profesor zaglądał przez ramię Jaknowej. Coś strasznego przyszło mu do głowy, zapytał więc chrypliwym głosem:

\* Czy on umarł?

\* Co pan! Śmierci w ogóle nie ma, Profesorze. A ten, jak sędzę, jest znacznie bliżej początku, aniżeli końca \* tajemniczo odpowiedział Golonogłowy.

I I tu Profesor nie wytrzymał:

\* Nienawidzę zagadek! Żądam jasnej i dokładnej odpowiedzi na pytanie, co się tu dzieje? Jeśli pan uważa za niezbędne demonstrowanie mi tak zwanych cudów, to mógłby pan bardziej dorzecznie wyjaśnić swoje przypowieści i alegorie...

\* Jakie przypowieści? \* szczerze zaśmiał się Golonogłowy. \* Nie doszliśmy z panem jeszcze nawet do alfabetu!

\* Proszę mieć na uwadze, że złożę skargę! Jestem bardzo ustosunkowany i to w najpoważniejszych organizacjach! \* zaskrzeczał Profesor, a Golonogłowy jakby osłabł od jego krzyku i zaczął go uspokajać:

\* Proszę wielkodusznie wybaczyć, absolutnie nie chciałem pana obrazić, nic podobnego... Przedyskutujemy to z panem, ale nie teraz, trochę później. W tej chwili nie można, to nie jest przewidziane...

Profesor uspokoił się: że nie jest przewidziane \* można było zrozumieć, to brzmiało przekonywająco. Było też miło, że Golonogłowy, słysząc o jego ustosunkowaniu, zmienił swój ton...

Piękna kobieta stała obok, łzy ciekły jej po policzkach. Profesor zauważył, że Golonogłowy na niej zatrzymał wzrok. Kobieta wyszeptwała:

\* Biedne, biedne... \* I niespodziewanie w tejże chwili spytała Golonogłowego: \* A drewno jest gorzkie?

Spojrzał na nią i odrzekł bardzo cicho, ale Profesor usłyszał wszystko co do słowa:

\* Jak jeszcze! Oczywiście, że gorzkie... \* I kiwnął wszystkim ręką na znak, że mogą już iść dalej w wyznaczonym kierunku.

9.

Rozległ się przeciągły, przytłumiony krzyk, przechodzący w głuchy ryk.

Golonogłowy poszukał wzrokiem Manekina \* ten jednak dreptał swymi ciężkimi nogami. Źródłem krzyku \* jak się okazało \* była Tołstucha, osuwająca się na ziemię. Golonogłowy umiejętnie podtrzymał ją od tyłu. Pomógł, by padając zajęła wygodniejszą pozycję. Teraz leżała ze zgiętymi nogami w kolanach i usiłowała objąć swój ogromny brzuch. Pod jej plecami ukazała się kałuża...

„Czyżby to poród? \* zdumiał się Golonogłowy. \* Dziwne, że tutaj można rodzić... Zresztą, dlaczego by nie?”

Tołstucha miała na sobie flanelowy kaftan w duże włochate kwiaty, z którego kilka

guzików już zdążyło się oberwać na skutek parcia jej przewracającego się ciała, pozostałe Golonogłowy rozpiął wprawnymi palcami. Odwinął dół koszuli aż do opadających na boki flakowatych piersi i w tym momencie dech mu zapało: z początku wydało mu się, że jej ciało jest obwiązane mnóstwem grubych różowych i liliowopurpurowych sznurów, na których rosną wielkie morskie mięczaki, przypominające *Hiton tonicella* lub *Neopilina*, każdy wielkości niemal spodka do herbaty. Dotknął jednej z muszli \* nie była czymś oddzielnym, ale stanowiła fragment jakiejś narośli\* pasożyta. Sznury i muszle, wszystkie poprzerastane postronkami, trzymały się w jej brzuchu. W tej żywej sieci było coś potwornego i zarazem przyciągającego, jakiś rodzaj kunsztu.

Golonogłowy nigdy w czasie swej długoletniej praktyki lekarskiej z niczym podobnym się nie spotkał. Tutaj nie dysponował żadnymi narzędziami \* miał tylko srebrną łyżkę, którą wkładał pomiędzy zaciśnięte szczęki Manekina podczas jego ataków. Pozostawały jedynie gołe ręce...

Zajął się jej badaniem, choćby zewnętrznym, spróbował zdjąć jedną z muszlowych narośli i przeprowadzić palpację brzucha. Za pierwszym razem wydało mu się, że namacał rączkę płodu, gdzieś bardzo wysoko, pod samą przeponą.

„W dodatku pośladkowe położenie” \* zmartwił się w przewidywaniu dodatkowych trudności z obrotem na nóżki. Chciał kontynuować badanie palpacyjne, ale zaszło coś nieprawdopodobnego: tylko co namacana przez niego piąstka, przebiwszy napiętą ściankę brzucha, pojawiła się na jego powierzchni. Tołstucha zakrzyczała.

\* Cierpliwości, cierpliwości, kochaniutka \* uspokoił rodzącą. Co to może być?

Przebicie ściany macicy, tłoczni brzusznej, powłok skórnych? To nie do pomyślenia! Do jakiego stopnia musiałyby ulec zwiotczeniu wszystkie tkanki, by się przerwać pod naciskiem rączki płodu? Jeszcze raz nacisnął brzuch \* był napięty i mocny.

% I w tym momencie włączyło się „wewnętrzne widzenie” i ukazał się obraz: cały brzuch kobiety był wypełniony niemowlętami do ostatnich granic \* jak ryba ikrą. Piąstka, którą trzymał w swoim ręku, należała do w pełni uformowanego dziewięciomiesięcznego płodu, świadczyły o tym paznokcie na paluszkach, ważny

wskaźnik jego dojrzałości... Bwoma palcami Golonogłowy poszerzył otwór, przez który wysunęła się rączka. Rodząca jęknęła.

\* Bądź cierpliwa, jeszcze trochę a urodzisz zucha \* pokrzepiającym jak zwykle tonem podtrzymywał kobietę.

Otwór rozszerzył się lekko i Golonogłowy, trzymając rączkę dziecka, wsunął w otwór swoją rękę prawie po łokieć, chcąc obrócić dziecko. Obróciło się bardzo łatwo, ale nie potylicą a twarzą. Doktor wepchnął je z powrotem, podkładając rękę pod potylicę.

Kobieta jęczała, ale już nie krzyczała. Golonogłowy mrucał coś, co robił zazwyczaj, coś uspokajającego, nie zdając sobie z tego sprawy:

\* No, dobrze, mamusiu. To pierwsze dziecko? Drugie? To znaczy, jesteś doświadczona... Oddychaj głębiej, głębiej... I rzadziej, nie tak często... \* licz do dziesięciu...

Wszystko odbyło się szybko, po prostu wspaniale, malec wyskoczył. Normalny, żywy, cały umazany niemowlak leżał na ręku doktora... bez pępowiny. Dziecko może się urodzić bez rąk, bez nóg, bez głowy, ale w żadnym przypadku bez pępowiny! Pępek miał głęboki, czysty, całkowicie zagojony...

Niezależnie od zdziwienia Golonogłowy robił to, co w tej chwili należało \* przeczyścił mu nos, jamę ustną i trzymając głowę na dół, klapnął po mokrych pośladkach. Rozległ się krzyk \* obrażonym, niskim głosem niemowlę zakrzyczało: ua \* ua...

Jak dawno Golonogłowy nie słyszał tego żalosego dźwięku nowego życia... Żalosa muzyka, chrypliwa pieśń tylko co otwartych płuc, próba wydania pierwszego dźwięku z fletu chrząstkowej krtani, przerażająca samego wykonawcę... Niemowlę płacze ze strachu przed nowym dźwiękiem.

Ale tu wszystko było inaczej, wbrew regułom, przyzwyczajeniom, oczekiwaniu.

Noworodek lekko odkleił się od dłoni doktora i jak pęcherzyk powietrza, który odrywa się od podwodnej rośliny i szybuje do góry, gładko przepłynął około metra w górę, wciąż jeszcze wydając dwunutowy dźwięk i znikł, zostawiając po sobie odgłos pękniętej gumowej piłki i ostre zawirowanie powietrza...

Golonogłowy ledwie zdążył odprowadzić go wzrokiem, gdy rozległ się kolejny krzyk położnicy. Doktor ukląkł przy niej: pośród kolorowej siatki narośli widniały dwa otwory \* z jednego sterczała nóżka, z drugiego wylaniała się szara główka. Miejsce, z którego niedawno został wyciągnięty noworodek, zamknęło się, tworząc fałdzone zgrubienie, tak że nie było potrzeby zszywania. Golonogłowy próbował wymacać, czy główka i nóżka należą do jednego dziecka, czy do dwojga.

Rodząca zaczęła krzyczeć. Golonogłowy, usiłując wcisnąć nóżkę z powrotem, naciskał na brzuch kobiety w taki sposób, żeby łatwiej było wydostać się główce. Narośl w formie muszli utrudniała powiększenie się otworu, Golonogłowy odciągał więc narośl srebrną łyżką, a palcami lewej ręki poszerzał drogę... Drugi chłopczyk też nie miał pępownicy, ale doktor myślał teraz tylko o tym, żeby tego dziecka nie wypuścić w niebo. Ale wydarzenie się powtórzyło i to dokładnie: dziecko zakrzyczało, poruszyło rączkami i chociaż doktor trzymał je tym razem mocno, przykrywając z wierzchu drugą dłonią, wyskoczyło spod jego ręki i jak bańka mydlana, z tym samym mlaskającym dźwiękiem odleciało, pozostawiając kolejny, szybko wypełniający się lej w powietrzu.

Z trzecim Golonogłowy miał znacznie więcej kłopotów. Wydostawał się nogami, przekreślić go się nie dało, w dodatku mocno zacisnąwszy pięstkę, ciągnął za sobą kawałek postronka z brzucha położnicy. Tym razem Golonogłowy już się nie zdziwił, kiedy plecy jasnoskórej, nieowłosionej dziewczynki odlepiły się od jego mokrej dłoni i dziecko wzleciało w niebo.

Z bliźniętami z kolei trudność polegała na tym, że oba znajdowały się w jednym pęcherzu płodowym i w żaden sposób nie mogły się przecisnąć przez otwór, w tej sytuacji Golonogłowy musiał przegryźć nie pępownicę, jak robią to zwierzęta czy kobiety, pozostawione bez pomocy z zewnątrz, a sprężysty, błękitny sznur, okalający brzuch, który choć nieco opadł, nie przestawał być ogromny.

Jeszcze jedno dziecko zadziwiło Golonogłowego tym, że wydostało się najbardziej naturalnym sposobem przez drogi rodne, ale i ono nie ucieszyło go posiadaniem pępownicy. To było szóste. Zaraz po nim urodziło się siódme, również drogą

natur'alną, ale wyraźnie było niedonoszone i z ręki doktora wleciało tak niechętnie, że ten poczuł lekki żal, iż nie spróbował go zatrzymać. Ściśle mówiąc, dwoje ostatnich było różnojąowymi bliźniętami, ale jedno było opóźnione w stosunku do drugiego nie mniej niż o siedem tygodni. Coś takiego się nie zdarza... Zdarza się natomiast dość często, że w okresie rozwoju wewnątrzmacicznego jedno uciska drugie... Ale na rozmyślania nie było czasu, gdyż z brzucha sterczała rączka następnego pacjenta, pragnącego wyrwać się na zewnątrz...

Kiedy ten wielokrotny poród się skończył, położnica zapytała, gdzie są jej dzieci. Golonogłowy przyjrzał się jej twarzy \* to była ona, jego główna pacjentka, z powodu której walczył z urzędnikami ze służb medycznych, z kolegami, z przyjaciółmi, a nawet z własną rodziną... Zmęczona pracą ponad siły, głodem, porodami, samotnością, odpowiedzialnością, brakiem pieniędzy... Wyjaśnił więc, jak potrafił, że dzieci jej, należy sądzić, znajdują się w niebiosach. Kobieta gorzko zapłakała:

\* A dla mnie to nikogo, ani jednej dzieciны...

Ona leżała, a on klęczał przy niej. Płatnina narośli i postronków osłabła i zwisała wokół jej bioder, całych pokrytych porozciągana i podrapaną skórą. Doktor pociągnął za jedną z muszli \* została mu w rękę. Postronki przed tym dziwnym porodem mocne i żywe jak robaki, kruszyły się teraz \* w rękach i cała ta splątana sieć opadła z jej ciała jak sucha łuska. Jakaś błona, przypominająca skórę, podobna do węzowej wylinki, zeszła z bioder położnicy. Ciało została przywrócona ludzka godność. Nawet jej oczy, w ciemnych obwódkach na skutek cierpienia, patrzyły na doktora z wdzięcznością. On znał dobrze to zmęczone, trochę zobojętniałe spojrzenie kobiety, która tylko co urodziła...

\* Będiesz mogła iść? \* zapytał Golonogłowy. \* Ja zostanę tutaj \* odparła.

Wówczas Golonogłowy zakopał w piasku resztki dziwacznych narośli, zebrał z ziemi trochę suchych roślin i rozpalił ogień.

\* Odpoczywaj sobie, kochaniutka, odpoczywaj. Wtyszystko będzie dobrze...

Ona poruszyła się i oparłszy się na rękę, nieco się uniosła: \* Jakie tam dobrze...

Golonogłowy obejrzał się \* czekano na niego. Po raz pierwszy w czasie całej wędrówki odchodząc nie ugasił ognia.



I poszli wszyscy dalej zgodnie ze swym zwykłym porządkiem, pojedynczo, parami, a Golonogłowy oglądając się wstecz, wciąż widział w oddali błękitnawy ogień. Potem usłyszał za sobą mlaskający, donośny dźwięk i obróciwszy się po raz ostatni, już nie dostrzegł niczego poza piaszczystymi pagórkami i własnymi śladami, które szybko przykrywały lekkie przyziemne wiry z piasku...

10.

Przez jakiś czas Profesor zachowywał pewne posłuszeństwo i nie nękał Golonogłowego pytaniami. Usiłował porozmawiać z Jaknową, ale ta, patrząc mu w oczy szczerze i życzliwie, nie była w stanie dać jakiegokolwiek sensownej odpowiedzi na żadne pytanie. Długo przemyślał nad tym, jak by tak zręcznie zagadnąć Golonogłowego, żeby nie narazić własnej godności i uzyskać jakiegokolwiek chociaż wyjaśnienie. Ta dziwna wędrówka przedłużała się i jednocześnie \* Profesor czuł to wyraźnie \* słabło pragnienie, by wszystko wyjaśnić. Wkradły się jakieś domysły, które starał się odpędzać od siebie. Na domiar złego opanowywała go dziwna apatia, ognisko oddziaływało na niego dwojako: uspokajało, ale i przytępiało umysł...

Któregoś razu przy ognisku Profesor usiadł obok Golonogłowego i zwrócił się do niego bardzo grzecznie:

\* Proszę mi powiedzieć, czy nie ma tutaj jakiejś możliwości nawiązania kontaktu z moją rodziną, z żoną ściśle mówiąc? Jestem przekonany, że ona bardzo się niepokoi...

\*"W zasadzie jest. A co właściwie chciałby pan jej przekazać?"

\* No, w pierwszym rzędzie, że jestem żywy i zdrowy. Bo widzi pan, jesteśmy małżeństwem prawie przez czterdzieści dwa lata i w praktyce nigdy się nie rozstawaliśmy... Jeśli ja z jakichś przyczyn nie mogę wrócić na swoje miejsce \* tu Profesor zrobił wymowną pauzę, żeby Golonogłowy zrozumiał całą jego delikatność \* czy nie mogłaby ona zostać odkomenderowana tu do mnie?

Golonogłowy podrapał się grubym palcem za uchem:

\* Hmm, a proszę powiedzieć, czy małżonka pana jest osobą wierzącą?

Profesor oburzył się:

\* Ależ skąd! Oczywiście, że jesteśmy ateistami. Ja jestem filozofem, marksistą, wykładowcą marksistowsko\*leninowskiej estetyki, a żona jest członkiem partii...

\* To jasne, jasne \* przerwał mu Golonogłowy. \* A może w rodzinie są wierzący?

\* Nie, ma się rozumieć. Teściowa była prostą, wiejską kobietą, ale umarła, Panie świeć nad jej duszą, w pięćdziesiątym pierwszym...

\* No to, to akurat nie ma znaczenia \* uspokoił go jak gdyby Golonogłowy.

\* Co, przepraszam, nie ma znaczenia?

\* To, że umarła... Tak w ogóle, to coś przekazać można. Tylko wie pan, radziłbym ograniczyć się do krótkiej wiadomości \* w rodzaju „Wszystko w porządku, nie denerwuj się"... Bo przecież jak pan może ją tu zaprosić, skoro pan sam nie całkiem dobrze zdaje sobie sprawę, gdzie się znajduje?

„Chytra bestia. Daje do zrozumienia, że miejsce jest ściśle tajne" \* rozżłościł się Profesor, ale sytuacja jego była tak niejasna, że nie mógł ani żądać, ani upierać się przy swoim. Wchodzić w konflikt z tym Golonogłowym było niebezpiecznie \* on, widać, jest naczelnikiem niezbyt wysokiej rangi, ale do innego dopiero trzeba dotrzeć. A nawet nie ma komu się poskarżyć... Dlatego też Profesor jedynie potwierdził:

\* Rzeczywiście, ja nie bardzo dobrze wiem, co to za miejsce i od dawna pragnę otrzymać od pana jakieś informacje...

Golonogłowy zaśmiał się: \* Ja i sam dobrze nie wiem...

\* No, dobrze, ale może wie pan chociaż w przybliżeniu, do kiedy mam tu przebywać i kiedy będę mógł wrócić do domu?

Golonogłowy westchnął, jak się wydało Profesorowi, ze współczuciem:

\* O terminie też niczego nie potrafię powiedzieć. A co dotyczy domu... Obawiam się, że do domu pan więcej nie wróci...

Profesora aż zatkało z oburzenia, ale opanował się i zapytał chłodno:

\* A to według jakiego prawa?

W tym momencie Golonogłowy wstał, wyciągnął rękę ponad ognisko i ogień zgasł, przechodząc mu jakby do ręki.

\* Wrócimy jeszcze do tej rozmowy. A na razie ograniczymy się do tego, że pańska

żona otrzyma wiadomość, iż z panem jest wszystko w porządku, Profesorze...

Profesorowi wydało się, że Golonogłowy wyraził jakąś uszczypliwość, wymawiając jego tytuł naukowy...

11.

Jaknowa przechadzała się po wielopiętrowym domu z labiryntem długich korytarzy i kwietnikami wzdłuż ścian. Na korytarz wychodziła ogromna ilość drzwi, na każdym widniał jakiś znak \* cyfrowy albo literowy \* i jak to bywa we śnie, bardzo wyraźny. Jaknowa jako osoba doświadczona w widzeniach sennych, domyśliła się z miejsca, że znaki odnoszą się do rzeczy tej natury, jakie istnieją jedynie we śnie i przy wychodzeniu ze snu nie przenoszą się w inne miejsce. Istniała znana prosta zasada, według której jedne przedmioty, wydarzenia i wrażenia przechodziły do innej formy bytu bez żadnych zmian, inne podlegały dziwnym zmianom, jeszcze inne natomiast zwyczajnie znikaly. Jaknowa nie uczyniła wysiłku, by mocniej zapamiętać znak na drzwiach \* był z rodzaju tych, co znikają. Przechodziła obok drzwi i z pierwszego rzutu oka wiedziała, że to nie ten. Znak, który był jej potrzebny, był związany z jakąś starszą kobietą.

Przemierzyła już całe kilometry korytarzy i czuła, że poszukiwany znak lada chwila się ukaze. I rzeczywiście, znalazł się.

Jaknowa otworzyła drzwi. Pokój był jasny, skromny, przypominający tani pokoić gdzieś w prowincjonalnym hotelu w Wołogdzie czy w Archangielsku. W narożniku mieściła się umywalka, na stole, przykrytym kraciastą biało\*czerwoną ceratą, stał samowar elektryczny. Łóżko zasłane było po wiejsku, z wielką ilością poduszek. Na oknach stały kwiaty. Przy oknie na wiedeńskim krześle siedziała pulchna staruszka ze śladem od okularów na nasadzie nosa i ze zniszczoną książką w ręku. Na drugim krześle spał kot o trójbarwnej sierści, tak spasiony, że ledwie się mieścił na siedzeniu. Był już późny ranek. Staruszka jej oczekiwała \* były dobrymi znajomymi czy też dalekimi krewnymi.

\* Napijemy się herbaty? \* spytała staruszka.

\* Z konfiturami? \* uśmiechnęła się Jaknowa.

\* Naturalnie. Wszystkiego nasmażyłam, i agrestu, i truskawek, i leśnych jagód. \* Staruszka nie zwlekając otworzyła kredens, w którym błysnęły okrągłe litrowe słoiki, od góry obwiązane papierem.

\* I poziomek?

\* A jakże! Sama zbierałam... Na bliskich polanach... \* Wyjęła z dolnej półki napoczęty słoik, zdjęła pokrywkę i nałożyła pełną salaterkę gęstych, aromatycznych konfitur.

Jaknowa spojrzała na konfitury:

\* Czy nie za długo pani smażyła, Mario Wasiljewno? Są bardzo gęste.

Staruszka ze zniecierpliwieniem machnęła ręką:

\* Troszkę za długo. Ale lepiej trochę dłużej, niż za krótko. Są lepsze.

\* To prawda \* zgodziła się Jaknowa.

Staruszka włączyła samowar i zaczęła wyjmować filiżanki:

\* Samowar nagrzewa się bardzo szybko, mam z nim wielką wygodę...

Postawiła na stole dwie filiżanki, ale Jaknowa poprosiła o trzecią.

\* Po co nam trzecia? \* zdziwiła się staruszka.

\* A dla waszej Nadzi \* wyjaśniła Jaknowa.

\* Och \* zdenerwowała się nieco staruszka \* myślałam, że my do niej, a okazuje się, że ona przyjdzie do nas?

\* A jaka to różnica? Najważniejsze, żeby się zobaczyć.

\*> Ano tak. Ona martwi się teraz bardzo \* kiwnęła leciutko głową staruszka.

\* To pani jej właśnie powie, że Misza prosił się kłaniać i przekazać, że wszystko u niego w porządku.

Staruszka nadal kiwała głową, a Jaknowa kontynuowała:

\* A pani sama, Mario Wasiljewno, to jak się czuje?

\* Mnie to nic nie jest, mam się dobrze... O, książkę sobie czytam. Tam to byłam niepiśmienna, a tu potrafię.

\* A co pani czyta?

\* Młodą gwardię Fadiejewa \* staruszka podsunęła Jaknowej postrzępioną książkę. \*

Nadzia bardzo ją chwaliła... Piękna książka. \* Ale wielki żal tych dzieci. Tylko, czy to wszystko prawda, czy może powymyślane?

\* Było coś takiego. \* Jak nowa otworzyła książkę. „Drogiej Tani w dniu przyjęcia do Związku Pionierów. Wala i Misza Riemen. 1 maja 1951 roku”.

Wspomnienie ukuło ją w samo serce \* obudziła się.

Ognisko ledwie się tliło. Wszystko było jak zwykle. Wiatr ucichł. Ludzie odpoczywali. Ona sama siedziała nieco na uboczu, a przy niej leżały dwa psy: jasny ze zwiniętym ogonem i duży owczarek.

Pierwszy był najzwyczajniejszym kundlem, ale drugi robił wrażenie, że jego psia istota została czymś zakłócona. Niezwykła była u niego baczna uwaga, z jaką odnosił się nie tylko do swego człowieczego towarzysza wędrówki \* trudno byłoby powiedzieć „pana” \* ale i do wszystkich pozostałych. W dodatku, czego nie potrafi żaden pies, ten kiwał lub kręcił głową w odpowiedzi na zadawane mu pytania, co oznaczało tak lub nie...

Opiekunem psów był sympatyczny człowiek w wieku około 35 lat, o wojskowej postawie i mizernej twarzy. Czerwonawa szrama, być może ślad od wieloletniego noszenia furazerki, przecinała mu czoło. Pojawił się za plecami Jaknowej. Oba psy zwróciły pyski w jego stronę.

\* Może by się pani przesiadła na zawietrzną stronę... Wiatr się nasila \* poradził.

\* Co pan mówi? \* spytała, nie rozumiejąc.

\* Żeby wiatr nie wiał w twarz... \* Podał jej rękę, psy wstały, ustępując jakby jej z drogi.

\* Dobrze, że pan tu jest z psami. \* Jaknowa pogłaskała gęstą sierść owczarka. Pies się uśmiechnął. \* W dzieciństwie miałam psy, kiedy mieszkaliśmy na wsi... A w mieście to już mam tylko koty.

Mężczyzna ucieszył się:

\* Rozsądnie, bardzo rozsądnie. Ja też w domu trzymam tylko koty. Jestem zawodowym hodowcą psów. Już od dwudziestu lat. Wyhodowałem ich setki... Jestem przekonany, że psów w domu nie wolno trzymać. \* Wargi mu zadrżały, wyleciało gorzko brzmiące: \* I w ogóle...

\* Co w ogóle? \* nieco zdziwiła się Jaknowa.

Hodowca psów zaczął mówić gorączkowo i szybko. "Widoczne było, że od dawna męczyła go niewyrażona myśl:

\* Wie pani, kiedy się mówi, że „żyją jak pies z kotem", to za tym kryje się głęboka myśl. Kot i pies to dwa zupełnie przeciwstawne sobie typy, jeśli chodzi o stosunek do człowieka. Kot w ogóle nie potrzebuje człowieka. Potrzebuje jedynie ciepła, pożywienia. Ale sam człowiek jest mu zupełnie niepotrzebny. Kot, powiedziałbym, pogardza człowiekiem. Jest od niego mądrzejszy. Człowiekowi się wydaje, że on trzyma kota, a w rzeczywistości to kot trzyma człowieka. Kota nie można przymusić. On nawet prośby spełniać nie lubi. Ja znam się na tresurze \* kot żadnej nie chce się poddać. Ma swoją godność. On potrzebuje, żeby to człowiek mu służył. I wie pani, mnie się nawet podoba jego niezależność. Kot nigdy się nie podlizuje. Na przykład, kot ociera się o pani nogi i pani myśli, że to pieszczota... A to nic podobnego, kot rozprostowuje sobie mięśnie, drapie się o pani nogi. Dostarcza przyjemności sobie, a nie pani. Pani, pani służy kotu, a nie kot pani. A z psami jest zupełnie inaczej. \* Położył rękę z dwoma zdeformowanymi palcami na głowie psa. \* Wesoły to potwierdzi.

Pies wyczekująco patrzył na swego opiekuna: co potwierdzić?

\* Pies w domu to jak upośledzone dziecko. Stale cię potrzebuje. Potrzebuje człowieka, jego uwagi, jego troski... Psa, proszę wybaczyć, trzeba wyprowadzić na spacer, gdyż wychowany pięg prędzej umrze, aniżeli napaskudzi w domu... \*

Popatrzył na Wesołego, a ten smutno kiwnął głową. \* A kto, kto oprócz człowieka idzie na śmierć dla idei? Tylko pies!

Jaknowa zdumiała się, coś takiego nie przychodziło jej nawet do głowy.

\* Tak, tak... Psy\*szperacze, na przykład, wyszukują miny... W tej wojnie psy kładły się pod czołgi! Nie chcę przez to powiedzieć, że świadomie szły na śmierć „Za ojczyznę, za Stalina!". Pies szedł dla swojej idei \* służenia swemu panu...

Hodowca psów polemicznie zwrócił się do Wesołego:

\* No, powiedz, nieprawdaż?

\* Pies westchnął po ludzku i kiwnął głową.

Nagle wigor opuścił hodowcę psów, zamyślił się, pomilczał, a później, nie odrywając wzroku od ziemi, mówił dalej:

\* Teraz mam taką robotę \* pracuję jako odprowadzający psy. Wszystkie moje psiaki. Hodowałem je na fermie w mieście Murom, szkoliłem, a tamci wysyłali je to na granicę, to do Afganistanu. Wesoly właśnie był w Afganistanie... Dwudziestego czwartego już odprowadzam...

\* A dokąd pan je odprowadza? \* cicho spytała Jaknowa.

\* Dokąd, dokąd... Za granicę... Na tamten brzeg...

„Aha, to tak wygląda \* pomyślała Jaknowa. \* Są więc i tutaj, pomiędzy miejscowymi ludziami, którzy wiedzą, dokąd my idziemy... Na tamten brzeg”.

12.

Przemierzali więc tę monotonną, pustą przestrzeń, smutną, pokrytą pagórkami, aż wreszcie doszli. Piaszczysta pustynia się skończyła. Zatrzymali się na krawędzi olbrzymiej zapadliny, wypełnionej siwą mgłą. Gdzieś w dali majaczył drugi brzeg, ale to mogło być złudzenie, tak niewyraźnie i nieprawdziwie ciemniał zębaty pas, który przypominał ni to przywierające do ziemi ciężkie obłoki, ni to dalekie góry, ni to bardziej bliskie lasy...

\* Trzeba odpocząć \* powiedział Golonogłowy i wyciągnął ponad suchymi gałązkami swoją ognionośną rękę. Jak zwykle, ciepło i światło maleńkiego ogniska znacznie przewyższały możliwości skromnego materiału palnego. Wojak, który sam nałożył na siebie obowiązek przynoszenia suchych szkieletów byłych roślin i który zbierał je po drodze, cichym głosem zapytał Golonogłowego, patrząc na ogień:

\* Po co mu więcej paliwa, on i tak wspaniale płonie, twój ogień!

\* Tak. Ja sam też niedawno to zauważyłem \* przytaknął Golonogłowy i wyciągnął rękę ponad pustym miejscem. Zapaliło się jeszcze jedno ognisko. Samo z siebie, bez żadnego „zeru”... \* Widzisz, jak wszyscy zmądrzeliśmy w ostatnim czasie...

\* Nawet za bardzo \* ponuro odparł Wojak.

Golonogłowy wyjął z kieszeni trochę suchych, kwadratowych herbatników,

pokrytych punktowymi znakami niczym starożytne pisma i dał każdemu po jednym:

\* Jedzcie. Trzeba się wzmocnić.

Jaknowa już od dłuższego czasu przestała się dziwić. Smak herbatnika był nieszczerólny, ziołowy, przypominał placki, jakie w latach głodu piekła matka z suszonych baldachów snyci i garści mąki. Wtedy smakowały.

\* Trochę tu odpoczniemy, a później postaramy się przedostać na tamtą stronę. Siedzieli, wchłaniając ciepło swymi zmęczonymi ciałami.

Golonogłowy przywołał Długowłosego i ten, acz niechętnie, poszedł za nim. We dwóch zaczęli rozkopywać wierzchołek najbliższego pagórka. Po jakimś czasie przynieśli całą stertę biało\*żółtych gałganów, jakby tylko co wyjętych z autoklawu. Rzucili ją na ziemię \* ze sterty wystawało na wszystkie strony mnóstwo tasiemek.

\* Włóżcie rękawice i naciągnijcie na nogi bachiły \* polecił Golonogłowy.

Z ociąganiem się zaczęli wyjmować ze sterty te dziwne rzeczy: rękawice miały długie tasiemki u nadgarstków, płócienne pończochy musiały być obwiązywane pod kolanami. Przedmioty te były równie niedorzeczne, co niewygodne, szczególnie trudno było zawiązać sobie taśmę na prawej ręce. Jaknowa pomogła Długowłosemu uporać się ze zwisającymi wiązaniami...

Profesor, który zaczął grzebać w stercie w poszukiwaniu odpowiedniej dla siebie pary, nagle cisnął szmaty na ziemię i wrzasnął:

\* To jest znęcanie się! Odpowiedcie! Odpowiedcie za to! Ja nigdzie nie pójdę! Mam dosyć...

Golonogłowy podszedł do niego możliwie blisko:

\* Proszę przestać histeryzować. Tu są dzieci, kobiety, zwierzęta wreszcie... Jeśli pan nie chce iść, może pan zostać tutaj...

Profesor opanował się, pohamował swój ton:

\* Proszę posłuchać! Niech mi pan wyjaśni, dlaczego tu jestem? Co tu się dzieje? Co to za miejsce?

\* Odpowiedź na te pytania otrzyma pan na tamtym brzegu \* łagodnie odpowiedział Golonogłowy. \* Jeśli pan nalega, może pan zostać tutaj.

Profesor odwrócił się, zgarbił i oddalił się od ogniska... Łatwo przechodził z



zuchwałego tonu pryncypała na unizony i uległy.

Golonogłowy związał dwa bachuły i pomógł Długowłosemu umocować futerał na plecach.

Oba ogniska dopaliły się. Od zapadliny ciągnęło chłodem i było zupełnie niepojęte, w jaki sposób Golonogłowy ma zamiar wszystkich przeprowadzić. On sam podszedł do krawędzi, reszta niczym zbite stado owiec stała za jego szerokimi plecami.

\* Pójdziemy po moście. Podejdźcie do skraju. Trwożliwie podeszli. Wyciągnęli szyje

\* żadnego mostu nie

było widać.

\* Na dół, patrzcie na dół \* i ludzie ujrzeli w szarej mgle nad zapadliną metalowe konstrukcje, wyłaniające się z tajemniczej głębi.

Golonogłowy skoczył w dół, cała dziwaczna konstrukcja zachybotała się jak łódka.

W dole niewyraźnie bieląca jego odchylona do tyłu głowa. Machał ręką. Każdy ze stojących na brzegu zadrżał, poczuwszy się w kleszczach pomiędzy koniecznością a niemożnością.

\* Manekinie! \* zawołał Golonogłowy i ten posłusznie podszedł do samej krawędzi.

Jego stopy w płóciennych workach spoczęły się i zdrętwiały. Wydawało się, że nie było takiej siły, która mogłaby go zmusić do pójścia w ślady Golonogłowego. Ale taka siła istniała: gdzieś bardzo daleko pojawił się ledwie dosłyszalny dźwięk, wróżący nieznośną nawałę czarnych strzał. I Manekin nie skoczył a runął głową w dół, beznadziejnie, jak samobójca i znikł we mgle.

Metalowa konstrukcja znowu się zachwiała. Jaknowa poczuła jednocześnie, że piasek pod jej stopami poruszył się i zaczął jakby spływać. Z tyłu, za grupką zagubionych ludzi warstwa piasku zaczęła osiadać, rozpląwać się i za ich plecami zaczęło się tworzyć osypisko. Powiększało się, poszerzało, cała piaskowa Niagara chlustała za nimi...

Jako następny skoczył Długowłosy. Potem para, złączona łańcuchem \* pierwsza rzuciła się Tyczkowata, a tuż za nią z piskliwym krzykiem Karlica. Były Chromy podszedł do krawędzi z wielką godnością, przysiadł i osunął się w dół, jakby wchodził do basenu czy do wanny. Potem Wojak. Pies. Jeszcze jedna kobieta w

sportowym stroju. Człowiek z teczką. Dziwne zwierzę. Dziewczynka z zawiązanymi oczami. Jaknowa zeskoczyła jako jedna z ostatnich...

Nikt z nich nie spadał jak kamień, wszyscy opuszczali się na dół powoli. Albo silny strumień powietrza płynął do góry i podtrzymywał ich, albo też siła ciężkości w tym miejscu była znacznie słabsza. Na dole wiał silny wiatr, który oddalił ich od siebie nawzajem. Niektórzy trafili na wielkie pomosty, innym, jak Długowłosemu, poszczęściło się mniej. Stał na skrzyżowaniu cienkich rur, a najbliższy mu element pionowy był zbyt daleko, by dosięgnąć go ręką. Z lekka się chwiały, balansując. Przeszkadzał mu futerał.

Najgorzej wylądował Manekin. Leżał, mocno uczepiony szerokiej szyny na wysokości piersi, zgiętymi stopami opierając się o kołyszący się pion, cały jego wielki tułów wisiał w próżni...

Nierównomierne chybotanie się całej konstrukcji, spowodowane ich spadaniem, zaczęło się uspokajać, ale w tym momencie dał się słyszeć chrypliwy krzyk: strach przed samotnością wśród piasków przeważał wszystko i Profesor runął w szarą zapadlinę. Cała konstrukcja silnie się zachwiała, stopy Manekina ześliznęły się z niepewnego pionu i Manekin zawisł na rękach...

Wiatr to ucichał, to wyrywał się z zapadliny z wściekłą siłą. Konstrukcja trzęsła się, nierównomiernie się chwiały i reagowały, jak żywa, na każde dotknięcie. Mgła po trochu zaczęła rzednąć i ludzie mogli przyjrzeć się temu zmyślnemu stalowemu labiryntowi, zbudowanemu albo przez zwariowanego trolla, albo szalonego artystę. Jaknowa przyglądała się konstrukcji z zainteresowaniem zawodowym \* nie podjęłaby się roboczego wykresu tego urządzenia, gdzie jak zauważyła, były dziwne przerwy i miejsca powywracane, tak jakby spód dowolnie przemieszczano z wierzchem.

„To fikcyjna przestrzeń \* przyszło jej do głowy \* czegoś takiego w naturze być nie może. A jeśli fikcyjna, czy to znaczy, że nie można z niej spaść? Upadek też byłby fikcyjny... Aleja nie jestem kimś fikcyjnym...”.

Golonogłowy przejawiał cyrkową wręcz zręczność, przeskakując z rury na rurę, zmieniając poziomy. Docierał do każdego, lekko dotykał ręki, głowy, ramienia. Coś

mówił, wyjaśniał, o coś prosił. Był łagodny i przekonujący:

\* Trzeba ruszać w drogę. Musimy przedostać się na tamten brzeg. Nie śpieszcie się, niech to będzie powoli, nawet po centymetrze. Nikt z was nie zginie. Wszyscy tam się przeprawimy. Tylko nie bójcie się. Strach utrudnia poruszanie się...

Jego słowa wyposażone były w wyższy stopień skuteczności i ludzie, początkowo zastygli w niedorzecznych pozach, w jakie złapała ich konstrukcja, po trochu zaczęli się ruszać.

Manekin usiłował podciągnąć nogi i ułożyć się całym swym wielkim ciałem na szynie, której trzymał się zeszywniałymi palcami, ale nie starczyło mu sił, ręce, zmęczone wysiłkiem rozginały się, pierś opuszczała się niżej, w końcu zawisł jedynie na napiętych dłoniach. Palce pod wpływem ciężaru jego kamiennego cielska powoli ześlizgiwały się z szyny. Z całą obojętnością oczekiwał momentu, kiedy palce opuszczą kant szyny i ześlizną się z jej bocznej powierzchni.

W jego mętnej świadomości krążyła ciężka jak niewyrośnięte ciasto myśl, że spadnie, rozbije się i wszystko się skończy: strzały\*kule\*osy nie będą go więcej żądlić w głowę ani w brzuch...

W ostatniej chwili poszukał Golonogłowego: nie było go widać, tylko w oddali kołysał się Długowłosy z czarnym przedmiotem w objęciach... Manekin rozkurczył palce i spadł na dół. Nie jak kamień, nie jak ptak, ale jak zmięty kawałek gazety, niesiony podmuchem wiatru...

Niezależnie od tego, że upadek był lekki i powolny, uderzenie okazało się druzgocące. Rozbity na kawałki, leżał w kamienistym korycie dawno wyschniętej rzeki, pomiędzy resztkami starych łódek, skamieniałymi muszlami i dwoma adidasami nie od pary. Wokół jego popękanego we wszystkich kierunkach ciała gromadziły się nieduże \* większe od wiewiórki, mniejsze od zająca \* nie w pełni twarde stworzenia, a może raczej istoty... takie, które śnią się po nocach, a potem przy przebudzeniu pozostawiają po sobie nie obraz, lecz tylko ślad duchowy \* ciepła, delikatności, bliskości pokrewieństwa...

Zebrali się wszyscy gromadą, jak mieszkańcy pustyni lub tundr}' przy rozbitym samolocie. Jedni, najwrażliwsi, płakali, inni kręcili głowami i smucili się. Potem ktoś

z nich się odezwał:

\* Trzeba wezwać Doktora. Przeczono mu:

\* Nie potrzeba, to przecież trup.

\* Nie, nie, nie trup \* mówili inni.

A ktoś młodym głosem zapiszczał z zapalem:

\* No i co, że trup? Można i trupa ożywić!

Zaczął się coś w rodzaju zebrania z różnymi propozycjami. Później przywieziono na wózku największego i najstarszego. Był tak wynędzniały, że miejscami się przeświecał. Podjechał blijko, nawet przez przypadek wjechał przednimi kołami na uszkodzone palce Manekina. Trochę powzdychał i oświadczył:

\* Trup. Stan zerowy.

Zebrani zaniepokoilili się, zaszeleścili, zaszemrali:

\* Czy nie można czegoś dla niego zrobić?

\* Nic nie pomoże \* nerwowo potrząsnął głową Doktor. \* Jedyne oddanie krwi.

Wszyscy zamilkli, a później odezwał się mężczyzna o wylupiastych oczach pod łukowatymi brwiami: \* Jest nas dużo, zbierzemy. Zaprotestował Długowłosa:

\* A" preparaty zastępcze? Przecież istnieją preparaty zastępcze krwi!

Ale Doktor nawet nie spojrzał w jego stronę:

\* Sześć litrów żywej krwi, nie mniej. Inaczej go nie podniesiemy.

\* Zbierzemy, zbierzemy \* zaszeleścili zebrani. Doktor na wózku rozzłościł się jak gdyby:

\* No, jak zbierzecie? Każdy z was ma po sześć mililitrów. Więcej niż połowy oddać nie wolno, przecież wiecie. Ja oddałem pięć mililitrów i nogi nie odżyły.

Zebrani znowu się zaniepokoilili, zaczęli pomrukiwać jeden przez drugiego:

\* Gdyby go ożywić, to będzie człowiek... piękny... rozumny... Oni miewają dzieci... on potrafi budować i rysować... niech będzie żywy...

\* Dobrze \* zgodził się Doktor. \* Ale muszę wam uzmysłwić, że przed wami leżą resztki ciała przestępcy. Zabójcy. Bardzo okrutnego i bezwzględnego. I głupiego.

Wszyscy przestraszyli się i ucichli. Później jeden z tłumu

o murzyńskich, kędzierzawych, figlarnych włosach powiedział cicho:

\* To tym bardziej trzeba. Nad czym tu się zastanawiać? Trzeba dać mu szansę.

\* Nie będę się spierał \* uśmiechnął się Doktor. \* Po prostu chcę przypomnieć, że według prawa Wysokiej Drabiny ofiarowując mu swoją krew, sami opuszczacie się na dół, tracicie część swojej ruchliwości, a on unosi się w górę i przyswaja sobie właściwości, jakie wy jemu ofiarowujecie...

\* Tak, tak... my wiemy... my chcemy... zgadzamy się... zgadzamy...

Stanęli wokół rozbitego Manekina, skądś wzięło się białe prześcieradło i zaczęła działać tajemna medycyna...

Ta część labiryntu, do której trafiła Jaknowa, była chaotycznym nagromadzeniem niedużych pomostów, znajdujących się od siebie w odległości dobrego skoku, podczas gdy pionki umieszczone były pod pomostami i spuścić się po nich nie było możliwości. Jaknowa dość skutecznie przesuwała się do przodu, dopóki nie dotarła do pomostu, z którego można było jedynie zawrócić: na następny mógł przeskoczyć zapewne tylko jakiś świetny sportowiec.

Usiadła, zakłopotana. Spoglądanie w dół napawało ją przerażeniem. Podniosła głowę i popatrzyła w górę, gdzie rozciągał się prawie analogiczny szereg pomostów, ale podtrzymujące je podpory znajdowały się stosunkowo blisko. Postanowiła więc, że odpocznie trochę i spróbuje zmienić marszrutę. Wprawdzie wyglądało na to, że ta górna droga zmierza dokądś w bok, ale innego wyjścia nie widziała. Dziwiąc się lekkością

i posłuszeństwem swego ciała, objęła chropowaty metalowy drąg i przywierając do niego całą sobą, zaczęła się wspinać. Płócienne buty i rękawice chroniły ją od zetknięcia z zimnym metalem. Ale co najdziwniejsze, wędrówka ta okazała się pociągająca i całe jej ciało odczuwało radość. Z jakiego powodu? Zapewne z takiego, że łatwo uczyło się naprężać, rzucać się w powietrze, skupiać się w sobie w czasie przelotu i lekko się rozprężyć przed samym lądowaniem. I każdy następny skok był łatwiejszy, swobodniejszy, tak że zapominała zupełnie o uczuciu sztywności i zagrożenia...

Na tym prawdopodobnie polega urok sportu \* pomyślała, podciągając się na górny pomost. Tutaj było jaśniej i przeciwległy brzeg nie wydawał się stąd taki mglisty...

Tymczasem Profesor po śliskiej, krzywej rurze doznał do przechylnego słupka i usiadł na nim. Dwie zardzewiałe szyny wisiały w powietrzu po prawej stronie o jakieś dwa metry od niego, ale Profesor nie decydował się na skok w tamtym kierunku. Siedział ponury i usilnie starał się pojąć, jakie лихо spowodowało, że znalazł się w tym niedorzecznym, całkowicie nierealnym miejscu. Skądś z dołu wiał wiatr, słupki chwiały się, wszystko obejmował wilgotny, zdradliwy chłód.

„Może to jednak tylko sen?” \* któryś raz Profesor wracał do tej zbawczej myśli.

Przeciagnał palcami po swojej twarzy, po głowie. Językiem dotknął dziąseł \* protez zębowych nie było! Jakim sposobem wcześniej tego nie zauważył? Gdzie mogły się podziąć wspaniałe protezy, wykonane w pracowni protetycznej W Zarządu?

Znalazł się w dziwnym, niezręcznym położeniu, siedział w swoim najlepszym ubraniu z baretkami odznaczeń, ale bez żadnego dokumentu i bez protez. Czyżby ktoś wyjął mu je z ust? Okropne... okropne...

„Czyżbym umarł?” \* jego niezmiennie ruchliwy umysł, starannie unikający tego słowa, nagle z rozpędu zatrzymał się przy nim...

W szarawej mgle, na lewo od Profesora mignęła znajoma łysina.

\* Szanowny! Niech pan posłucha! \* zawołał Profesor i Golonogłowy natychmiast ruszył w jego stronę.

\* Teraz trzeba zebrać siły i nie śpiesząc się... \* zaczął Golonogłowy swoim zwykłym przymilnym głosem, ale Profesor, schwyciwszy go za rękaw białej koszuli, rozpaczliwie krzyknął:

\* Niech pan powie w końcu, czyja umarłem?

Golonogłowy popatrzył przez dłuższą chwilę na wzburzonego Profesora i powiedział to, czego Profesor nie chciał od niego usłyszeć:

\* Tak, Profesorze. Nie mogę tego dłużej ukrywać, pan umarł.

Profesor wzdrygnął się, poczuł palącą, tak znaną po ataku serca, pustkę w piersi.

Ręce i nogi stały się chłodniejsze. Te wszystkie odczucia były niezawodnymi oznakami życia i to go uspokoiło. Zaśmiał się, przykładając rękę w okolicy serca:

\* Pan żartuje, a ja naprawdę mogę umrzeć na skutek podobnych wypowiedzi!

\* Tu nie ma żartów. Ale jeśli pan woli inne określenie, to proszę przyjąć, że pańskie

życie na ziemi zostało zakończone.

\* A w takim razie, czy znajduję się w piekle? \* Profesor pokręcił się na słupku. \*  
Proszę wziąć pod uwagę, że ja w nic podobnego nie wierzę!

\* Ja zresztą też nie wierzę w żadne piekło. Ale na jakiś czas będzie pan musiał się pogodzić z zaistniałą sytuacją. A teraz jest bardzo ważne, żebyśmy się przedostali na tamten brzeg...

Golonogłowy zrobił dwa długie kroki w kierunku zardzewiałych szyn, lekko trącił je nogą, a te powoli przysunęły się tuż do słupka. Golonogłowy odszedł.

Profesor milczał, oszołomiony: Golonogłowy stąpał swymi szerokimi stopami w płóciennych bachułach po powietrzu. Stawiał nogi mocno i pewnie, i wydawało się, że biaława mgła leciutko ugina się pod nim, a on sam chwieje się jak cyrkowiec, idący po słabo naciągniętej linie. A może tam rzeczywiście istniała lina?

Profesor z obawą stanął na kiwających się szynach...

A Długowłosa wciąż kołysał się i kołysał, i nie miał dokąd się przemieścić. Do najbliższego pomostu było z dziesięć metrów.

W poruszaniu się rur, na których stał, był zauważalny jakiś złożony rytm, ale nie mógł go uchwycić, niezależnie od swego czułego, muzycznego słuchu. Wiedział intuicyjnie, że potrafiłby dyrygować tym ruchem, gdyby tylko znał wyrażony w liczbach rytm. Wsłuchiwał się w niego stopami, kośćmi goleniowymi i biodrowymi, trzydziestoma dwoma kręgami jako elementami przewodzenia i kośćmi czaszki jako rezonatorem. Coś wychwytywał... prawie polirytmia... wzmocnienie... Jest pięć trzecich, na pewno jest. Ciało zareagowało. Nastroiło się. Utrafił w rytm i poczuł, że huśtawka pod jego nogami daje się w jakimś stopniu kierować. Amplituda odchylenia od osi wciąż się powiększała. Ruch ten odbywał się równoległe do najbliższego pomostu i wcale go do niego nie przybliżał. W dodatku przeszkadzał drugi rytm, wciąż coraz bardziej wyraźny... Ostatecznie odgadnięty: siedem ósmych! I tu natychmiast pojawiła się druga oś ruchu...

Mocno nim zakołysało, omal nie upuścił futerału. Udało się go utrzymać. Przycisnął go do piersi, pogładził. Płócienna rękawica przeszkadzała w dotknięciu, zapragnął ją zdjąć. Kołysząc się po załamującej się, niespokojnej linii, starał się rozwiązać

tasiemkę na lewej ręce. Węzeł był mocny i splątany, próbował wczepić się weń zębami... Nagle poczuł nieoczekiwaną pomoc, prosto z powietrza. Tak było. Wokół niego wirowała znajoma trąba powietrzna, ale tym razem odczuwało się palce, wargi, nawet długie kobiece włosy, wijące się na wietrze. Ten powietrzny wir okazał się kobietą.

Węzeł obluzował się, rozwinął, Długowłosa opuścił lewą rękę i zrzucił rękawicę. Poczł, że węzeł na prawej ręce również słabnie.

\* Prędeż, otwieraj, otwieraj! \* śpiewał wir uduchowionego powietrza. Był ciepły, nawet gorący, czulił się, pieścił, przytulał się, naglił.

Ruch sam z siebie się prostował, stabilizował i pomalu przybliżał go do pomostu.

Długowłosa nacisnął sprzączkę, zamek szczęknał, wicher wyciągnął z futerału cudowny przedmiot i wsunął w ręce Długowłosemu:

\* Graj!

W rękach miał instrument. Instrument do grania... Za pomocą którego... To było dla niego najważniejsze, ale nie wiedział jak... Prawa ręka sama trafiła gdzie trzeba: palce odnalazły swoje miejsce, klapki. Lewa szukała... I nastąpiło głębokie, męczące zaskoczenie.

Gorące palce wiatru przebiegały po szyi, po podbródku, dotknęły warg:

\* No, graj, proszę! Jeszcze można powrócić!

Do warg przywarł drewniany ustnik...

A huśtanie wciąż trwało, jego rytm przenikał ciało i stanowczo żądał uczestnictwa.

Pełnego uczestnictwa. Długowłosa nabrał powietrza przez nos, obniżając przepone do oporu \* w pełne płuca.

Orkan powietrzny ucichł, zastygł. Długowłosa ścisnął wargami drewniany ustnik \* była w tym zapowiedź rozkoszy, a nawet jej przedsmak. Dolna warga przylgnęła do drewnianego trzonka, język dotknął plastikowej wkładki. Cały instrument stanowił jak gdyby brakującą część jego ciała, własny organ, od którego był oddzielony.

Rozpierało go od wewnątrz, powinien był napęłnić sobą, swoim oddechem ten osobliwy twór z drewna i metalu, należący do niego w takim samym stopniu, jak płuca, krtań czy wargi... Wypuścił powietrze ostrożnie, by nie spłoszyć rodzącego się



cudu... Dźwięk był jednocześnie i muzyką, i rozumnym słowem, i żywym głosem... Wywołał słodkie uczucie bólu w głębi kości, jak gdyby szpik kostny zareagował radośnie...

Człowiek jest ubogi, głowa \* dwoje uszu. Młoteczek \* kowadełko... Strzemiączko \* wędzidełko... Ślimak o trzech zwojach, ucho środkowe, zatkanie siarkowymi korkami, trąbka Eustachiusza ze skorupą obumarłego naskórka wewnątrz... Dziesięć koślawych palców i prosta pompa płuc... Jakaż to muzyka! Cień cienia... Żałosne podobieństwo... Napomknienie, zawisające w ciemności...

Najbardziej wrażliwi ocierają łzę, spływającą po dolnej powiece... To tęsknota za muzyką, żal po muzyce...

Oto Bóg i Pan nam się objawił! Stoi za nieprzenikalną ścianą naszej ziemskiej muzyki...

Profesor usłyszał i... zapłakał. Znikła ostatnia nadzieja: rzeczywiście umarł, przecież na ziemi coś takiego się nie zdarza. Zawsze był dumny ze swego dobrego słuchu, śpiewał z gitarą i to prawidłowym głosem, potrafił, choć nigdy się tego nie uczył, dobrać odpowiednie dźwięki na akordeonie. Nawet jego syn\*nicpoń odziedziczył po nim zdolności muzyczne... Ale teraz to była zupełnie inna muzyka. Mówiła wyraźnie i zrozumiale o pięknie, które nie zawiera w sobie treści i jest niezbędne, i sama była pięknem \* niezaprzeczalnym, zesłanym, beztroskim, nieprzydatnym do niczego \* jak ptasie piórko, bańka mydlana czy utworzone z aksamitnych płatków liliowe twarzyczki bratków...

A ponadto mówiła coś takiego, od czego Profesorowi robiło się wstyd za lata życia, przeżyte bez celu... Nie, było inaczej: Profesorowi robiło się strasznie wstyd za całego siebie, od urodzenia do śmierci, od nóg do głowy, od rana do wieczora...

Cały ruch, wspinięcie się, czepianie zastygło. Wszyscy ucichli, zamarli. Nawet drobne stworzenia, krzątające się na dnie zapadliny wokół rozbitego Manekina, podniosły swoje główki o wyłupiastych oczach i zaszłuchały się...

A Długowłosa prawie nie istniał. Cały rozplynał się w muzyce, sam był muzyką, cała jego istota była tylko kryształem, potrzebnym jedynie dla uświadomienia dziejącego się cudu. Pozostawało jedno \* upajająca rozkosz, w porównaniu z którą wszystkie

ziemskie radości okazywały się nawet nie pierwowzorem absolutnego szczęścia, a nieprzyzwoitym oszukaństwem w rodzaju nadmuchiwanej kobiety z pachnącym gumą otworem...

Długowłosey nie zauważył, jak delikatny wir uniósł go do góry, ponad chwiejne konstrukcje, a później jeszcze wyżej, tak wysoko, że dookoła nic już nie istniało, oprócz białawej mgły. Muzyka zaś przybierała na sile, wypełniała sobą świat i była samym światem, a punkt pozostający gdzieś na jej skraju, stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż znikł zupełnie. Jednocześnie

Długowłosey całą swą istotą oparł się o sprężystą membranę, z pewnym natężeniem sił przebił ją i wy dostał się na zewnątrz, unosząc ze sobą odgłos pękniętej powłoki...

13.

Na brzegu trwał poranek. Był ostry jak nierozcieńczony spirytus, nagi niczym świeżo zniesione kurze jajko, nieskazitelny jak alfabet. Za plecami Jaknowej parowało zapadlisko, odczuwała je jak jakiś gruby szew na materiale z różnych gatunków i nie było ono teraz przedmiotem jej najmniejszego zainteresowania. Świat, rozlegający się przed oczami, przypominał wszystko najlepsze z tego, co widziała w swoim życiu. Pamiętała teraz całą swoją przeszłość, od najwcześniejszego dzieciństwa, od pieca, parzącego dziecięce dłonie, do ostatniej stronicy szkolnego zeszytu, w którym koślawymi, wymęczonymi literami zapisanych było z dziesięć ostatnich stron...

Oświedało tę chwilę światło jakby dwóch reflektorów: jeden wydobył przeszłość z wszelkimi szczegółami, drugi \* miniony poranek. Długotrwała męka pytań, na które nie było odpowiedzi: gdzie jestem?, kim jestem?, dlaczego? \* zakończyła się w mgnieniu oka. To była ona, Helena Gieorgijewna Kukocka, ale zupełnie nowa, tak Jaknowa. Teraz pragnęła zebrać razem to wszystko, o czym kiedyś wiedziała, ale zapomniała i to, czego nigdy nie wiedziała, ale jak gdyby sobie przypomniwała.

Zrobiła kilka kroków po trawie i zdziwiła się bogactwem doznań, jakie przynosiło jej dotknięcie gołą stopą ziemi: czuła każdy listek trawy, wzajemne ułożenie źdźbeł, nawet pochewkowe połączenia wąskich liści. To tak jakby ślepa podeszwa nagle

przejrzała. Coś podobnego odbywało się ze wzrokiem, słuchem, węchem. Helena usiadła na wzgórku pomiędzy dwoma krzewami. Jeden, który zaczął kwitnąć, był jaśminem z prostym, silnym zapachem, drugi \* nieznany, z grubymi liśćmi, obwiedzionymi jasnym kolorem. Jego zapach kwaskowaty, zimny, był osobliwy. Z ziemi unosiło się mnóstwo zapachów \* wilgotnej stęchlizny, soku rozgniecionych źdźbeł trawy, liści poziomek, wosku, gorzkiego rumianku... A nawet woń przechodzącego tędy niedawno człowieka... Helena natychmiast odgadła, którego... „Mój węch jest niczym zwierzęcy” \* zauważyła. Dźwięków też było zbyt dużo jak na taki cichy poranek, głośno szeleściły ' zioła, a w tym szeleście dawało się rozpoznać ich fakturę: twarde źdźbła wydawały dźwięk bardziej chropowaty, miękkie \* bardziej płynny. Liście krzaków z aksamitnym szmerem ocierały się o siebie nawzajem i słychać było ciężkie postękiwanie, gdy rozwijał się pąk. Sikorka, która sfrunęła z drzewa, za pomocą skrzydeł i ogona wywołała trój dźwięk, po którym pozostał lekki, skrzywiony świst powietrza, omywającego prostujące się w locie skrzydła. A przy tym dało się spostrzec to, czego Helena kiedyś nigdy nie zauważała: pióra w ogonie przelatującego ptaka znalazły się w pozycji prawie pionowej, a zaostrzone końce skrzydeł były opuszczone ku dołowi i zapalkowate ciemnoszare nóżki mocno przylegały do szarego brzuszka... Sikorka pomknęła w dół, potem jak gdyby się rozmyśliła, obróciła ogonek, opuściła koniuszki skrzydeł i wzbijała się do góry... I geometria, i aerodynamika lotu bez zarzutu, można się od niej uczyć... „Jak to się stało, że nigdy wcześniej tego nie zauważałam” \* zdziwiła się Helena.

Siedziała na wzgórku, wciągała powietrze, patrzyła i słuchała \* przyzwyczajała się do nowej ziemi i do nowej samej siebie. Donikąd się nie śpieszyła. Wkrótce poczuła się zmęczona niezwykłą siłą dźwięków i zapachów, wyciągnęła się więc na trawie 'i zamknęła oczy.

Głupio jest spać, gdy człowiekowi jest tak dobrze... Ale może sen mi się przyśni? I zasnęła na nagiej ziemi, nie zauważywszy, że i sama była naga...

Golonogłowy, niczym kapitan okrętu, przedostał się na brzeg ostatni. Co i w jakim kierunku się przemieszczało, było

całkowicie niejasne \* czy zapadlina oddalała się od brzegu, czy sama ziemia

dryfowała w nieznanym kierunku. Być może, wiatr ciągnął konstrukcje wzdłuż brzegu... Wszyscy, którym pomagał się wydostać, przerzucając aluminiową, ochlapaną farbą drabinę pomiędzy ostatnim pomostem a krawędzią zapadliny, gdzie znikali. Na samym końcu dostał się na brzeg, ślizgając się łapami na metalowych szczeblach, duży owczarek. Psa spotkała cała gromada małych figurek w białych oprzędach, podobnych do ludzi, ale częściowo też do ptaków. Wzięły one psa na ręce i zniosły pod wielkie, opalone z jednej strony drzewo. Pomost, na którym stał Golonogłowy, zachwiał się i został odepchnięty od brzegu. Golonogłowyomal nie wypuścił z rąk drabinki. Nieznana siła powlokła go do przodu z prądem powietrza, potem zakołysała, zawróciła i przygnała jego pomost do krawędzi zapadliska.

Golonogłowy zszedł na ziemię. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, były kości jego własnego śródstopia, wszystkich dwadzieścia dziewięć, jak w roentgenie. A może dwadzieścia osiem? Przeświecały delikatnie poprzez skórę. Nieprzyjemna deformacja \* zauważył powiększenie stawów między Os metatarsi i kością wielkiego palca. Zwrócił się więc do tego, kogo przywykł nazywać „wewnętrznym widzeniem”:

\* No, cóż! Dziękuję, że mnie nie opuszczasz!...

Miejsce było przepiękne chociażby tylko z tego powodu, że słońce stało w zenicie, wskazując południe. Golonogłowy ucieszył się, że znów trafił tam, gdzie istnieje zachód i wschód, północ i południe, i wreszcie też góra i dół. Obejrzał się i stwierdził, że zapadlina zniknęła, przesłoniła się, jak by jej w ogóle nie było.

Golonogłowy uśmiechnął się, pokręcił głową...

Świat, w którym przebywał, wzbudzał pełne zaufanie, ale żądał wyrzeczenia się poprzednich nawyków w myśleniu i on ze swoją dawną zdolnością do chłonięcia wiedzy był na to gotów. Wszystko wokół było zielone, pełne spokoju i ciepła. Wiatr przyniósł zapach ogniska i jakiegoś jedzenia. Ruszył więc ku wschodowi, dokąd wezwał go wiatr. Na wpół opalone drzewo zostało z tyłu, nie zobaczył więc, jak leżącego na ziemi psa przykryto wielką kapą i nakreślono na wierzchu jakieś linie i formuły.

\* Czy wszystko w porządku? Prawidłowo się odbiło? \* niecierpliwie zagadnął najmniejszy.

\* Według mnie \* prawidłowo. Na ile można sądzić po powierzchni \* odpowiedział mu największy. \* Będzie dorodna kobieta, ładna.

\* A wesoła? \* zaciekawił się malutki.

\* Tego należy oczekiwać... Są zadatki... Wszystkie cechy powinny się przetrworzyć: wierność, zdolność do służenia, otwartość... W tym przypadku wrodzona wesołość...

\* A dlaczego nie można od razu postawić na wywracanie i uruchamianie? \* Malec zasypywał starszego pytaniami, ale tamten był cierpliwy.

\* No, coś ty! Nie można! Akurat na odwrót, ona powinna tu dłużej pobyc, żeby dolne warstwy się zapełniły. Jeśliby z miejsca uruchomić, to pomyśl, co się jej będzie śniło! Okropność! Gdy nasilą się zwierzęce instynkty... To przecież Canis lupus familiaris, drapieżnik... Powinieneś wiedzieć, co powstaje z tych nie trzymany odpowiednio długo... No? \* starszy oczekiwał odpowiedzi. Malec się speszył:

\* Tego jeszcze nie przerabialiśmy. Ja dopiero co przeszedłem na trzeci stopień.

\* Dobrze, dobrze, nie przerabialiście, to będziecie przerabiać... A ty już z praktyki będziesz wiedział: odmieńcy, wilkołaki, maniacy, zabójcy wszelkiego rodzaju od serialowych po tych ze sztabów generalnych... Zrozumiałeś? \* Starszy z przyjemnością udzielał wyjaśnień.

\* Oho! \* zdziwił się malec. \* Ale żeby zapełnić wszystkie dolne warstwy, to jakaż to robota!

\* A ty myślałeś, że nasza robota jest lekka? \* starszy odchylił nieco skraj narzuty. Pod nią leżała duża kobieta, z zadartym nosem i pochyłym czołem. \* Jeśli teraz porządnie popracujemy, to będzie z niej wspaniała kobieta, wierny przyjaciel i oddana żona. No, zaczynamy! \* zachęcił młodszego, położył swoje ostre łapki na czole kobiety i zaczął lekko je masować...

14.

Ścieżka szła teraz pod górę. Gdy znalazł się na wierzchołku pagórka, ujrzał niezbyt

szeroką, wijącą się rzekę. Na brzegu piaszczystej zatoki paliło się prawie niewidoczne w promieniach słońca ognisko, nad którym wisiał okopcony kociołek. Przy ognisku, tyłem do Golonogłowego siedział przygarbiony starzec z resztkami siwych włosów pod połyskującą łysiną. Golonogłowy podszedł, przywitał się.

\* Herbata gotowa. Ryba upieczona \* uśmiechnął się starzec, próbując patykiem ryby, leżącej na płaskim kamieniu pośród żarzących się węgli. \* Gotowa. ,

\* Wyłowił ją pan z tej rzeczki? \* zapytał Golonogłowy, siadając i biorąc do rąk ułożoną na liściach gorącą rybę.

\* Rybacy przynieśli. Jeszcze w młodości porzuciłem te zajęcia \* polowanie, wędkowanie. Przyznam się, że i z mięsnego pożywienia zrezygnowałem \* z pobudek moralnych.

Upieczona ryba była smaczna, choć oścista. Z wyglądu przypominała ni to dużego jazgarza, ni to morskiego byczka z kolcami wzdłuż płetwy grzbietowej... Później starzec nalał z kociołka herbaty do dwóch aluminiowych kubków, wyjął z płóciennej torby maleńkie zawiniątko, rozwinął, był w nim kawałek plastra z miodem...

Twarz starca była jakaś znajoma, ale nie wiązała się z żadnym imieniem. Okazał się bardzo rozmowny \* opowiadał o dzieciach, wnukach, wspominał maleńkiego Wanię, o którego tak się zamartwiał zupełnie niepotrzebnie... Upominał jakiegoś Mikołaja Michajłowicza, smucił się z powodu jego głupoty:

\* Kiedyś myślałem, że głupota nie jest grzechem, ale nieszczęściem. Obecnie zmieniłem zdanie. Głupota to wielki grzech, dlatego że zawarta jest w niej zarozumiałość, to znaczy pycha.

Starzec wyciągniętymi wargami nabrał do ust mętnej, lecz smacznej herbaty, potem postawił kubek na kamieniu i westchnął:

\* Oczywiście, nie usprawiedliwia mnie w żaden sposób ta nieprzyzwoita opinia u ludzi, ani nawet pochwalna miłość z ich strony, na którą w młodości tak czekamy. Ona ogarnęła mnie zaraz po Sewastopolskich opowiadaniach, zaszumiała mi w głowie, dała asumpt do zarozumiałstwa. To ona stanowiła podstawę mojej głupoty, która przewyższała wszystkie inne talenty, którymi za darmo Stwórca mnie obdarzył... Ale głupota była moja własna...

„No, oczywiście, jak mogłem od razu się nie domyślić? Oto ta znajoma twarz... Czoło całe w zmarszczkach a la Sokrates, małe oczy pod krzaczastymi brwiami, szeroki, rosyjski, kaczy nos, powszechnie znana broda...”.

Golonogłowy nie bez pewnej przewrotności przytaknął starcowi:

\* Ma pan rację. Moja żona wywodziła się z tołstojowców, przez całe życie cytowała pana, a ja wciąż żartowałem sobie z niej, drażniłem się: \* Lenoczko \* mówiłem \* twój geniusz był głupowaty... Ale ona się obrażała.

Starzec ściągnął brwi, potarł brodę wielkimi, płaskimi palcami:

\* Tak o mnie mówiono? Przecież mało kto mnie rozumiał...

\* To było za pańskiego życia... Teraz wielu zrozumiało... Starzec zakaszłał, wziął torbę:

\* Przejdźmy się trochę, pokażę panu mój gabinet... Wie pan, teraz bardzo się zainteresowałem przyrodoznawstwem... Od strony teoretycznej...

Golonogłowy podniósł się z żalem. Przyzywał go już znad brzegu tamten głos, z którym zwykł był się liczyć, ale zrozumiał, że obraził starca i odmawiać mu byłoby już całkiem niegrzecznie...

Domek schowany był w gęstej dąbrowie. Niewielki, o trzech oknach, prawie cały zakryty krzakami bzu.

„Kwiatostany już się pokazały, zakwitną za jakieś pięć dni” \* zauważył

Golonogłowy. Na ganek prowadziły trzy schoda. W sieni stało wiadro. Starzec otworzył drzwi \* ukazał się dość duży pokój, obstawiony szafami, pełnymi książek. Na stole stał mikroskop. Drugi stół, pod ścianą, robił wrażenie laboratoryjnego, mieściły się na nim jakieś naczynka, jakieś odczynniki... Jakieś cuda...

\* Tu na fotelu będzie panu wygodniej, proszę... Już od dawna chciałem porozmawiać z wykształconym człowiekiem, ze współczesnym uczonym. Sam pan wie, jak wyglądała edukacja w środowisku szlacheckim... Nauk przyrodniczych nie zgłębiałem w młodości. Na przykład Goethe, chcę zauważyć, otrzymał wspaniałe wykształcenie. Znał mineralogię, wynalazł teorię barw, bardzo głęboko był wprowadzony w przyrodoznawstwo... A my w zasadzie otrzymywaliśmy domowe wykształcenie... W pewnym sensie nie dorastaliśmy...

Czy starzec mówił niedorzeczności, czy drwił z niego, Golonogłowy nie pojmował...  
Potem wyjął futerał na okulary, wy dostał z niego pince\*nez na czarnej tasiemce,  
przywiązał je u nasady nosa i rzekł surowo, nawet z odcieniem męki w głosie:

\* Przez pięćdziesiąt lat zastanawiam się nad tymi sprawami. Tutejsi mieszkańcy to istoty wyższe o wielkiej prostocie, nie wszystko mogę z nimi rozważać. Ponadto trudno im zrozumieć nasze ziemskie tragedie, nawet jest to niemożliwe, ponieważ choć nie są całkowicie bezcieleśni, ich ciała różnią się od naszych ziemskich ciał tak pod względem struktury, jak i składu chemicznego. Ich ciała są zbyt subtelne... Pan jest dla mnie długo oczekiwanym rozmówcą, jakiego nie spotkałem od wielu lat...  
Starzec mówił i jednocześnie rozwijał zwinięte w trąbkę arkusze papieru, wygładzał je ręką, przycisnął z jednej strony dwoma grubymi tomami, na drugiej krawędzi postawił marmurowy przycisk:

\* Moje odkrycie dotyczy miłości. Na jej komórkowym, można powiedzieć, chemicznym poziomie. Chciałem panu, Pawle Aleksiejewiczu, przedstawić pewne przypuszczenia.

Tego ziemskiego imienia Golonogłowy dawno już nie słyszał i zdumiał się nie tyle treścią uroczystej wypowiedzi majestatycznego, z nieco niespokojnymi oczkami starca, co dźwiękiem przywróconego mu imienia... Powróciło z lekka naruszone porozumienie między rozmówcami...

\* Miłość, tak jak teraz rozumiem, należy rozpatrywać jako jedno z wielu naturalnych zjawisk, jak na przykład, siłę ciężenia czy okresowy układ pierwiastków, odkryty przez Dmitrija Iwanowicza Mendelejewa. Albo prawo... zapomniałem nazwisko tego Włocha..., według którego ciecz, wlana do naczyń połączonych, osiąga ten sam poziom...

„Do gimnazjum nie uczęszczał... Wykształcenie z Jasnej Polany i tyle... \* rozweselił się w duchu Paweł Aleksiejewicz. \* Prawdopodobnie wywarły na nim duże wrażenie podręczniki do szóstej klasy szkoły średniej...".

\* Haec ego fingebam \* oznajmił Lew Nikołajewicz \* miłość cielesna nie jest ludziom zabroniona! Błądziłem razem z całym naszym tak zwanym chrześcijaństwem.

Wszyscy cierpieli, palił ich ogień z powodu fałszywego pojmowania miłości, z



powodu dzielenia jej na miłość cielesną, niską, i jakąś kontemplacyjną, filozoficzną, wzniosłą, ze wstydu za rodzime, niewinne, dane przez Boga ciało, dla którego połączenie się z drugim ciałem to akt bez winy, pełen szczęścia, błogosławiony!

\* Tak, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, Lwie Nikołajewiczu \* wtrącił cicho Paweł Aleksiejewicz, zaglądając przez ramię do schematu, nakreślonego czerwonym i niebieskim ołówkiem, przedstawiającego w uproszczeniu komórkę jajową i plemnik.

\* Wzajemne przyciąganie jest fundamentem wszechświata. Grecy, Hindusi, Chińczycy to pojęli. My natomiast, Rosjanie, niczego nie zrozumieliśmy. Jeden tylko Wasilij Wasiljewicz, niesympatyczny w istocie osobnik, coś tam dostrzegł. Nasze wychowanie, choroby naszej epoki, wielkie kłamstwo, wywodzące się jeszcze od dawnych mnichów, nienawidzących życia

\* to wszystko doprowadziło do tego, że nie pojęliśmy miłości. A kto nie pojął miłości do życia, nie może pojąć też miłości do Boga \* Lew Nikołajewicz zamilkł, zasepił się, \* Miłość urzeczywistnia się na poziomie komórki \* to sedno mego odkrycia. W niej zawarte są wszystkie prawa \* i prawo zachowania energii, i prawo zachowania materii. I chemia, i fizyka, i matematyka. Molekuły ciężą ku sobie dzięki chemicznemu powinowactwu, które określane jest jako miłość. Albo nawet jako namiętność, jeśli pan woli. Metal w obecności tlenu namiętnie pragnie się utlenić. I proszę zauważyć najważniejsze: ta chemiczna miłość doprowadza do wyrzeczenia się samego siebie! Oddając się jedno drugiemu, każde przestaje być sobą, metal staje się tlenkiem, a tlen w ogóle przestaje być gazem. To znaczy samą swoją naturalną istotę oddaje z miłości... A żywioły? Jak pędzi woda ku ziemi, wypełniając każdy dołek, każdą szczelinę w ziemi, jak fala liże morski brzeg! Miłość w idealnym przejawie właśnie oznacza wyrzeczenie się siebie samego, własnej istoty, w imię tego, co stanowi przedmiot miłości... \* Starzec zmarszczył suche wargi. \* Ja, Pawle Aleksiejewiczu, odrzekłem się od wszystkiego, co napisałem. To był błąd, jeden wielki błąd... Teraz siedzę tutaj, czytam, rozmyślam. I wie pan

\* płacę... Ile głupstw nagadałem, ilu ludziom namąciłem w życiu, a prawdziwych słów nie znalazłem... Najważniejszego o najważniejszym nie napisałem. W miłości

niczego nie rozumiałem...

\* Ależ skąd, Lwie Nikołajewiczu! A opowiadanie o tym młodym, wiejskim chłopcu, co spadł z dachu i się zabił, czy to nie jest o miłości? To jest coś najlepszego, co przeczytałem o miłości w ciągu całego mego życia! \* zaproponował Paweł Aleksiejewicz.

Lew Nikołajewicz ocknął się:

\* Chwileczkę, jakie opowiadanie? Nie pamiętam.

\* Tytuł brzmi Alosza Gorszok.

\* Aha, tak... Było takie \* Lew Nikołajewicz zamyślił się. \* A może pan ma rację? Jedno opowiadanie, być może, napisałem.

\* A Kozacy? A HadżirMurafi Nie, w żadnej mierze nie mogę się z panem zgodzić, Lwie Nikołajewiczu. Czy samo słowo nie jest żywiołem i w nim nie zachodzi ten sam proces, o którym pan wspominał? A jeśli nasza mowa jest żywiołem \* może nie najwyżej, ale dość wysoko zorganizowanym \* to zgodzi się pan, wychodzi na to, że pan, Lwie Nikołajewiczu, jest co najmniej mistrzem miłości...

Starzec wstał. Był niewysokiego wzrostu, krzywonogi, ale barczysty, postawny.

Podszedł do szafy bibliotecznej \* tam stało pośmiertne zbiorowe wydanie jego dzieł w postrzępionych, tekturowych okładkach. Lew Nikołajewicz szukał opowiadania, wyjmował tom za tomem. Wreszcie znalazł i otworzył książkę na odpowiedniej stronie. Paweł Aleksiejewicz patrzył z czułością przez ramię starca na pożółkłe stronicie \* właśnie takie wydanie zachowało się u Lenoczki jeszcze z Triochprudnego zaułka.

\* Znaczy, że pan uważa to opowiadanie za dobre?

\* Za arcydzieło \* krótko odparł Paweł Aleksiejewicz.

\* Muszę je na nowo przeczytać. Całkiem o nim zapomniałem. Być może, rzeczywiście napisałem coś sensownego... \* mamrotał, patrząc poprzez pince\*nez na pożółkłe kartki.

Słońce zniżało się ku zachodowi. Paweł Aleksiejewicz wstał, pożegnał się, obiecując przyjść ponownie, jeśli się uda. Lew Nikołajewicz, który zaprosił go na rozmowę o przyrodoznawstwie, zdawało się, mało interesował się w tej chwili jego opiniami.

Pragnął czym prędzej przeczytać swoje dawne opowiadanie. Tak jak dla wszystkich starych ludzi, jego własne zdanie było dla niego ważniejsze od jakichkolwiek poglądów innych osób, niezależnie od tego, kim by one nie były...

Starzec wyszedł razem z Pawłem Aleksiejewiczem na ganek i nawet uściskał go na pożegnanie. Paweł Aleksiejewicz pośpieszył w tym kierunku, gdzie jeszcze niedawno znajdował się brzeg.

15.

Ścieżka wiła się, to szła do góry, to opuszczała się na dół. Paweł Aleksiejewicz dziwił się, że tutejsza perspektywa układała się warstwami, na modłę teatralną: oddalone drzewo było równie dobrze widoczne, jak trawa na skraju ścieżki. Na każdym zakręcie ukazywały się nowe szczegóły struktury tutejszego świata: okazało się, że koryto strumienia jest podniesione i woda płynie obficie i powoli. Wielka, różowa ryba, znieruchomiała w wodzie, patrzyła na Pawła Aleksiejewicza nierybim okiem \* życzliwie i z zainteresowaniem. \*

Za następnym zakrętem ukazał się niskopienny, o gęstych liściach sad. W sadzie stała biała ławka, zbita z listewek. Wysoka kobieta podniosła się z ławki i postukując przed sobą pomalowaną w pasy laską, wyszła mu naprzeciw.

To nie mógł być nikt inny, jak tylko Wasilisa. Oczy miała przewiązane białą opaską, jak u dzieci, bawiących się w ciuciubabkę. Ale było jeszcze coś dziwnego w jej twarzy. Gdy się zbliżyła, Paweł Aleksiejewicz zauważył ponad opaską, w samym środku czoła, zupełnie nie na właściwym miejscu, jasnoniebieskie, wielkie oko, przypominające raczej oko krowie, aniżeli ludzkie, otoczone gęstymi dziewczęcymi rzęsami.

\* Pawle Aleksiejewiczu, naczekałam się na pana. Siedzę tu i siedzę, a pan wciąż nie przychodzi \* ucieszyła się Wasilisa. Zrównali się ze sobą i Paweł ją objął:

\* Witaj Wasiliso, kochaniutka!

\* Spotkaliśmy się, dzięki Bogu \* pociągnęła nosem.

Paweł Aleksiejewicz przytaknął. Oko posiadało dwa woreczki łzowe, nie było więc

ani prawym, ani lewym, ale umieszczonym bardzo symetrycznie w samym środku czoła.

„Poprzednie oczy zabrano, a dano nowe oko” \* pomyślał, ale okazało się, że wypowiedział to głośno. Wasilisa zaśmiała się i Paweł Aleksiejewicz uprzytomnił sobie, że nigdy przedtem nie słyszał jej śmiechu.

\* Nie zabrano. Przerobiono dzięki operacji te małe. I powiedziano, że opaskę może zdjąć tylko pan. Po tym, jak coś panu powiem. Ale chytrze nie powiedziano mi, co mam powiedzieć. I właśnie siedziałam tu na ławce i wciąż myślałam, co panu powiem.

\* No i co? \* zainteresował się Paweł Aleksiejewicz.

\* Proszę mi wybaczyć, Pawle Aleksiejewiczu \* powiedziała prostodusznie, a Paweł niezmiernie się zdziwił: co to za jakieś takie przedszkole \* na ławce posadzono, coś nakazano, polecono prosić o wybaczenie...

\* To wszystko drobnostki, nie ma o czym mówić \* opędził się. \* Jakże to tak? Ja pana zaliczyłam do złoczyńców! Proszę mi przebaczyć. A teraz proszę zdjąć mi opaskę, proszę.

Wrócili do ławki. Wasilisa macała drogę laską, Paweł Aleksiejewicz trzymał ją pod rękę. Dziwna sprawa, czyżby to piękne krowie oko nic nie widziało?

Opaska była nałożona fachowo, opatrunek w doskonałym gatunku, prawdopodobnie zagraniczny. Paweł zdjął opaskę, odczepił ochraniacz z jednego oka, pod nim, znajdowała się jeszcze podkładka z gazy. Odkleił ją ostrożnie. Wszystkie szwy były wewnętrzne. Oko zapuchnięte, powieki odrobinę sklezione.

\* No, otwieraj oko, Wasiliso.

Ona czekała. Potem otworzyła. Drugie oko zasłoniła dłonią. Spojrzała na Pawła Aleksiejewicza jednym okiem:

\* Wcale się nie zmieniłeś, Pawle Aleksiejewiczu.

\* A drugie oko? \* zapytał.

\* Nie, z drugim jeszcze poczekam. Z jednym jestem bardziej przyzwyczajona. A więc mi wybaczyłeś, czy tak?

\* Ależ ja na ciebie, niemądra głowo, nawet się nie gniewałem!

Ona znów się zaśmiała. Śmiech jej brzmiał dziewczęco, wstydliwie. Paweł zdecydowanym ruchem obrócił ku sobie jej głowę, przykrytą wzorzystą chustką i zdjął opatrunek z drugiego oka. Wydała krótki okrzyk, zupełnie jak dziecko. Potem zakryła usta ręką i powiedziała prosząco:

\* Dobrze, a teraz już idź. Bóg da, że się jeszcze zobaczymy. Dużo mamy spraw...

Paweł wstał z ławki, westchnął i zdecydował się na pytanie, które chciał zadać już na początku:

\* Słuchaj, Wasiliso, a dlaczego chodziłaś z laską? Czy twoje trzecie oko nie widzi?

\* Ono jest do niczego, nic nie widzi.

\* Zupełnie nic?

\* Nie całkiem. Ciebie jednak z oddali zobaczyłam, jaki jesteś naprawdę.

\* Jaki?

\* Trudno tak od razu powiedzieć... Na obraz i podobieństwo to ty...

Paweł machnął ręką i odszedł.

16.

Przyśnił jej się sen, naprawdę. Bardzo prosty \* woda. Pluskała na wysokości kostek, a potem podeszła wyżej. Na początku podnosiła się powoli, później zaczęła chlustać z boku i z góry. Nie można już było ustać na dnie, zaczęła płynąć. Wody wciąż przybywało, lała się na głowę, zalewała nos i usta, trudno było oddychać, a właściwie nie było można.

Teraz utonę \* zrozumiała w tej chwili, kiedy z głową zanurzyła się w wodzie.

Wstrzymała wydech, a potem powoli przez nos wypuściła resztki ciepłego powietrza i spostrzegła, jak w postaci gromady pęcherzyków uniosło się do góry. \* Jak to głupio teraz utonąć, kiedy wszystko tak dobrze się skończyło...

Kiedy nie dawało się już zatrzymać powietrza w płucach, otworzyła usta i wpuściła w siebie wodę. Ale albo woda niezupełnie była wodą, albo ona nie całkiem sobą, bo nic straszego się nie stało, nie zachłysnęła się, chociaż poczuła najprzód w gardle, a potem w piersi przepływ chłodu.

Zanurkowała i... popłynęła. Woda przenikała przez całe ciało i było to tak naturalne, jak gdyby przenikało przez nie powietrze. Opływały ją kępy wodorostów i ławice kolorowych małych rybek. Warstwy wody nad głową miały barwę bladego północnego nieba, niższe \* były ciemnogrnatowe, prawie czarne, dna nie było widać. Przyjrzawszy się, można było dostrzec delikatne migotanie gwiazd. Strumienie cieplejszej wody mieszały się z zimnymi, powstawał płynny ruch w rodzaju wiatru.

Jej ciało było posłuszne, ale nie mogła sobie przypomnieć, kiedy nauczyła się pływać. Wydawało się, że przedtem tego nie umiała. Splotła ręce nad głową, łącząc końce palców, szybko popłynęła w górę i wynurzyła się na powierzchni. Wtedy właśnie się obudziła.

Zrobiła wydech, z nozdrzy i z ust wylało się trochę wody. Wokół kolana zaplatała się śliska girlanda wodorostów. Z włosów spływała woda. Wycisnęła je obiema rękami, jak wyżyma się bieliznę i przeszła spod krzaka na słoneczne miejsce. Włosy na słońcu schły szybko, ale zaraz zaczęły się zwijać nad czołem i na skroniach, czego nie lubiła. Rozprostowując pasma włosów, zaczęła przepuszczać je przez palce, niczym przez gruby grzebień.

\* Heleno \* usłyszała swoje imię i odwróciła się. Przed nią stał jej mąż Paweł \* nie stary, nie młody, ale w tym wieku, w jakim go poznała, to znaczy czterdziestotrzyletni.

\* Paszeńka, nareszcie! \* przylgnęła twarzą do najdroższego miejsca, w którym łączyły się jego obojczyki.

On czuł, jak kształty jej wilgotnego, chudego ciała w najbardziej dokładny sposób wypełniają istniejącą w nim samą wyrwę, jak goi się odwieczna rana, którą nosił w sobie od urodzenia, męczył się i cierpiał z żalu i rozgoryczenia, nawet nie domyślając się, w jakim miejscu gnieździły się owe uczucia.

Helena, cała jej istota, pragnęła jedynie tego, by ukryć się w nim całkiem, zjednoczyć się z nim na zawsze, przynosząc mu i swoją upośledzoną pamięć, i pobladłe, niepewne wszystkiego

„ja”, błądzące gdzieś wśród rozszczępionych snów i stale zatracające swoje

niewyraźne kontury.

To nie on, jak przystało na małżonka, wchodził w nią, wypełniając wąską, prowadzącą donikąd drogę, wchodziła ona i zapełniała puste jądro, nieznany jemu samemu rdzeń, który niespodziewanie w sobie odkrył.

\* Duszo mojej duszy! \* szepnął w mokre loki nad jej uchem i mocno przygarnął ją do siebie.

W miejscach, gdzie skóra obojga stykała się ze sobą, pojawiała się pełnia szczęścia. To było dotarcie do tego nieosiągalnego, co kochającym się nawzajem każe łączyć się znów i znów w małżeńskich objęciach, latami, dziesiątkami lat, w nieświadomym dążeniu do osiągnięcia wyzwolenia od cielesnej zależności, ale upośledzone ludzkie zespolenie kończy się nieuchronnym orgazmem, poza który w cielesnej bliskości posunąć się nie da. Granica zawarta jest właśnie w samych ciałach...

Z nimi działo się coś nadzwyczajnego. Z tego, co było w zakresie ludzkiego pojmowania, pozostawało odczuwanie ciał, własnego i cudzego, jednakże to, co w ziemskim życiu nazywało się wzajemnym przenikaniem, w tutejszym świecie poszerzyło się bezgranicznie. W tej na nowo tworzącej się jedności, wspólnym wejściu na orbitę innego świata, otwierała się nowa trójwymiarowość, zdolność do obejmowania wzrokiem znacznych obszarów i ogarniania równocześnie myślą wielu spraw. Wszystkie obrazy, myśli i odczucia ukazywały się przed nimi teraz w takim kształcie, że dawny strach Heleny, by nie przepaść, nie zablądzić gdzieś w przestrzeniach, rozciągających się pomiędzy nieznanymi układami współrzędnych i nie zgubić tej osi, którą kiedyś rzeczywiście utraciła \* osi czasu \* wywoływał jedynie uśmiech...

Przy ostatnim przebłytku „widzenia wewnętrznego” widać było, że dwie wijące się gałązki jajników leżą spokojnie na wyznaczonym im miejscu, wyjęta w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku macica znajduje się tam, gdzie poprzednio, a po szwie w poprzek brzucha nie pozostał żaden ślad.

Ale to wcale nie oznaczało, że to co było, stało się niebyłym

\* domyślili się oboje, i mężczyzna, i kobieta. To znaczyło, że

przemianie podlega wszystko: myśli i uczucia, ciała i dusze.

A nawet te malutkie, prawie nie będące istotami, przezroczyście projekty nieurzeczywistnionych ciał, zmuszonych do przerywania ziemskiej wędrówki z powodu trudnych okoliczności koślawego, krwawego życia...

Kiedy się ułożyli w sobie nawzajem, swobodnie i szczęśliwie, dusza w duszy, ręka w rękę, litera w literę \* okazało się, że między nimi jest ktoś Trzeci. Kobieta poznała Go pierwsza. Męczyzna chwilę później.

\* A więc to byłeś Ty? \* zapytał. \* Ja \* padła odpowiedź.

\* Boże miłosierny, jakim ja byłem idiotą... \* jęknął mężczyzna.

\* To nic strasznego \* uspokoił go znany mu z młodości głos. Strasznego, rzeczywiście, nie było niczego...

### Część 3

#### 1.

Helena obudziła się w swoim łóżku, w swoim pokoju, ale z nieco dziwnym, nieswoim samopoczuciem \* głowa wydawała się pusta i reagowała mocno na wszelkie odgłosy. Kiedy uniosła się z poduszki, wszystko przechyliło się na bok... Pokonawszy przykre wrażenie, spuściła nogi z łóżka i spróbowała zebrać myśli: ostatnim, co dobrze pamiętała było to, że wyszła z cerkwi w zaułku Obydieńskim i zatrzymała się na schodkach. Dalej następowała pustka. Postarała się więc prześledzić bieg wydarzeń w kierunku odwrotnym: cerkiewne schodki, na których stoi, a przedtem nieudana rozmowa z duchownym, jeszcze wcześniej, poprzedniego wieczoru oświadczenie Tani, która w niespodziewanie wyzywającym tonie zawiadomiła ją, iż porzuciła pracę i ma zamiar opuścić uniwersytet. Ponadto w przeddzień Tania pokłóciła się z ojcem \* przekazała jej to Wasilisa, która dodała, że z gabinetu Pawła Aleksiejewicza znów wyniosła trzy puste butelki. W domu wszystko idzie na opak \* dlatego głowa wprost się rozpada...



Helena znowu spróbowała wstać, ale wszystko wokół się znowu zakołysało.

Poprosiła Wasilisę, by wezwała lekarza.

Lekarz rejonowy, zabiegana, \* mało rozgarnięta kobiecina, przyszła pod wieczór.

Zmierzyła ciśnienie \* było w normie. Postawiła jednak przypuszczalną diagnozę:

przejściowa forma choroby nadciśnieniowej, wypisała zwolnienie z pracy i obiecała

przysłać neurologa. Żadnych lekarstw nie zaleciła, obawiała się. Dla niej te wizyty w

lekarskim domu były istną karą. Wasilisa przez cały dzień troszczyła się, jak

potrafiła. Przynosiła Helenie herbatę z cytryną, wciąż proponowała jedzenie. Ale

Helenie jeść się nie chciało.

Wieczorem, dość późno, wrócił Paweł Aleksiejewicz. Zaniepokoił się. Wszedł do

sypialni Heleny, usiadł na łóżku. Zalaatywało od niego wódką.

\* Co się stało?

\* Nic szczególnego. W głowie mi się kręci. \* Opowiadać o przerwie w pamięci

Helena nie miała ochoty, zresztą bała się o tym mówić...

Przyłożył swój duży palec do jej nadgarstka. Zbadał puls \* był normalny, napięty.

Zakłócenia nie występowały.

\* Jesteś zmęczona. Wyczerpana nerwowo. Po prostu trzeba odpocząć. Może wziąć w Akademii skierowanie do sanatorium? \* zapytał Paweł Aleksiejewicz.

\* Nie, Pasza. Widzisz, co się dzieje z Tanią. Nie mogę jej teraz zostawić.

„Kiedyś wcześniej niezawodnie powiedziałaby „skierowania" \* zauważyła w duchu

Helena. \* Już od ośmiu lat nigdzie nie wyjeżdżaliśmy razem...".

Porozmawiali o Tani. Paweł Aleksiejewicz uważał, że to minie.

\* To tylko młodzieńczy kryzys. Sądzę, że trzeba jej pozwolić, by sama podjęła decyzję.

Helena zgodziła się w milczeniu. W istocie miała nadzieję, że mąż szybko i mądrze

potrafi zrobić coś takiego, co usunie kłopoty Tani i wszystko wróci do normy. Ale

Paweł Aleksiejewicz spytał jedynie, czy nie sprowadzić dobrego neurologa \*

Helena odmówiła, informując, że nazajutrz przyjdzie neurolog z polikliniki.

„Źle zrobiłem, że nie zaproponowałem jej wspólnego wyjazdu do sanatorium" \*

wychodząc z pokoju pomyślał z wyrzutem wobec siebie Paweł Aleksiejewicz.

Wszystko między nimi rozmijało się o włos.

Każdy z członków rodziny miał własne zdanie na temat zasadniczego zwrotu w postępowaniu Tani. Najsurowszym sędzią \* jak by to nie było dziwne \* okazała się Toma. Osiem lat dziewczynki przemieszkały ze sobą w jednym pokoju. Obecnie Toma nie wrażliwym, dziecięcym wyczuciem bez słów, ale rozumem dorastającego człowieka pojmowała, jaki to los na loterii wygrała w dniu śmierci swojej matki... Przedłożone jej całkowicie burżuazyjne wartości \* najprzód w postaci czystej bielizny i dobrego jedzenia na talerzu, a potem bardziej subtelne przymioty inteligenckiego sposobu bycia: życzliwość, opanowanie, czystość nie tylko zewnętrzna, ale i wewnętrzna, określana prawością, rodzinne poczucie humoru, łagodzące wszelkie sytuacje, w jakich inni, znani Tomie ludzie zaczynali się kłócić, krzyczyć, nawet bić się \* te wszystkie wartości materialne i duchowe Tania teraz zdradzała, dając do zrozumienia swoim nowym postępowaniem, iż gwizdże na cały swój dotychczasowy świat!

Ten stosunek Tani poraził Tomę i oburzył. Domowe wzory przyswoiła sobie na tyle dobrze, że zamierając ze strachu, żeby nie stracić przychylności Tani i obawiając się własnego zuchwalstwa, wypowiedziała się, jak potrafiła. W jej ubogim języku skomplikowane sprawy układu życia i postępowania człowieka brzmiały mniej więcej tak:

\* Rodzice dla ciebie tyle zrobili, a ty, niewdzięczna, plujesz na wszystko i w dodatku rzuciłaś uniwersytet!

Uniwersytet był dla Tomy czułym punktem, jako że pracując już drugi rok w Oddziale Zieleni, troszcząc się o ojczyste stokrotki i holenderskie tulipany, poczuła w sobie pewien niepokój: pierwszy raz w życiu zapragnęła się uczyć. Głośno o tym nie powiedziała jeszcze nikomu, ale rozważała w duchu, czy pójść na naukę do technikum komunalnego, czy zaryzykować wyższy poziom i wybrać się do Instytutu Leśnictwa. ,

Wersja Wasilisy w sprawie dziwnej przemiany w postępowaniu Tani była prostsza: dziewczyna się rozhułała.

Helena w zasadzie podzielała punkt widzenia Wasilisy, ale wyrażała go w

łagodniejszy sposób. Przyczyny tak zasadniczej zmiany w postępowaniu córki upatrywała nie w niej samej, nie w jej życiu duchowym, ale w jakichś okolicznościach zewnętrznych, we wpływie na nią innych, nie znanych Helenie złych ludzi.

Paweł Aleksiejewicz uważał, że Tania przeżywa opóźniony młodzieńczy bunt. Prawdopodobnie był najbliższy prawdy. Starając się analizować mechanizm tego załamania, nie dopuszczał jednak myśli, że powodem był tu, zupełnie z jego punktu widzenia drobny epizod z wlewka tuszu do martwego płodu ludzkiego, o czym Tania opowiadała mu z takim podnieceniem. Wydawało mu się, że rzeczywista przyczyna jest inna i leży daleko głębiej. Na dodatek zbił go z tropu telefon od profesora Gansowskiego, który na początku rozmowy długo rozwodził się na temat wyjątkowej reputacji naukowej Pawła Aleksiejewicza, a potem dał do zrozumienia za pomocą uogólniającego zaimka „my”, że i siebie zalicza do nielicznego grona sumiennych badaczy, a na koniec, wygłosiwszy wspaniałą ocenę Tani, zaproponował, by wycofała swoje podanie o zwolnienie, odpoczęła należycie, nawet ze dwa miesiące, a we wrześniu, odrzucając nierozsądne kaprysy, przyszła do pracy w charakterze jego osobistej laborantki, a nie laborantki Marleny Siergiejewny. Prosił też Pawła Aleksiejewicza, by przekazał Tani, iż czeka na nią u siebie w gabinecie w najbliższy wtorek, po dwunastej...

Odłożywszy słuchawkę i pomyślałszy chwilę nad rozmową z Gansowskim, Paweł Aleksiejewicz doszedł do wniosku, że między Tanią a Marleną Siergiejewną musiał zaistnieć jakiś konflikt, zbyt pośpiesznie zapewne Tania \* od pierwszego dnia jej pracy \* uznała Marlenę Siergiejewną za wzór do naśladowania.

Złapawszy Tanię, co nie odbyło się bez wysiłku, bowiem tryb życia Tani absolutnie nie przystawał do porządku dnia w rodzinie \* kiedy ojciec wracał z pracy, jej już w domu nie było, zjawiała się nad ranem i spała do południa \* Paweł Aleksiejewicz przekazał jej treść rozmowy z Gansowskim. Tania wzruszyła jedynie ramionami:

\* Po co mam tam iść? Ja tam i tak nie wrócę.

\* Taniu, to niewątpliwie zależy od ciebie samej, ale nie zapominaj, że ja prosiłem o przyjęcie ciebie do laboratorium i sam cię tam przyprowadziłem. Nie stawiaj mnie w

niezręcznej sytuacji. W końcu wypada przestrzegać zasad przyzwoitego zachowania, przyjętych między ludźmi \* powiedział bardziej niż pojednawczo.

Tania rzuciła się:

\* Jak ja nienawidzę tych waszych zasad!

Przytulił jej głowę, pogładził:

\* Ty co, dziecinko, chcesz zmieniać świat? Takie próby już były...

\* Tato, ty nic nie rozumiesz! \* krzyknęła, stojąc przy nim blisko i uciekła, zostawiając strapionego Pawła Aleksiejewicza: dziewczyna ma dwadzieścia lat, a zachowuje się jak nastolatka...

2.

Opóźnione lato zakończyło się wielkimi sierpniowymi upałami. Tania już drugi miesiąc prowadziła specyficzne nocne życie i lubiła je coraz bardziej. Mapa samotnych wędrówek poszerzała się. Zdeptała całą starą, pełną zaułków Moskwę. Najbardziej spодobało jej się Zamoskworieczije z jego niskimi, kupieckimi domami, ogródkami i pojawiającymi się niespodzianie kępami starych drzew, przydomowych strażników dawno już nie istniejących szlacheckich gniazd. Często spacerowała w okolicy Patriarszych Stawów, obserwując zagmatwaną płataninę przechodnich podwórek. Lubiała docierać do Triochprudnego zaułka, do Wołockich domów, które kiedyś budował jej pradziad, do domu Szechtielewa z jego lewej strony i kończyć swoją wędrówkę nad stawami o świcie, zadrzemawszy na ulubionej ławce od strony Wielkiego Patriarszego zaułka.

Ludzie nocnej pory, z którymi nieraz zawierała znajomość, zupełnie nie przypominali zwykłych ludzi, których pełno było na ulicach za dnia. Żałośnie trzeźwiejący pijacy, niewydarzone prostytutki, dwunastoletni chłopiec, uciekinier z domu, bezdomne pary, gnieźdzące się ze swoją miłością we frontowych sieniach z szerokimi parapetami, czy na niezamkniętych strychach... Pewnego razu na górnym prześle drabiny, prowadzącej do wjazdu na dach, natknęła się na śpiącego człowieka i przeraziła się \* czy to nie trup...

Ludzie „nocnej pory” dzielili się w zależności od godzin. Do godziny pierwszej można było spotkać sporo grzecznych par, które wracały do domu. Właściwie nie byli to ludzie nocy, ale ludzie dnia, którzy z lekka się zasiedzieli. Po godzinie pierwszej pojawiali się pojedynczy osobnicy, przeważnie pijani. Nie byli niebezpieczni, choć czasem zaczepiali. Albo o coś prosili \* o papierosa, zapalki, dwójkę na telefon, albo proponowali \* butelkę, miłość... Z tymi pojedynczymi pijakami Tania czasem rozmawiała... Najniebezpieczniejsi pokazywali się między trzecią a wpół do piątej nad ranem. W każdym razie najbardziej nieprzyjemne spotkania zdarzały się właśnie w tym czasie.

Tania wyrzuciła, niczym pestkę od śliwki, całą swoją poprzednią wiedzę uczniowską i książkową. Interesowało ją teraz inne doświadczenie, które dawało możliwość nieoczekiwanego manewru, zręcznego ruchu: cieszyła się, gdy odkrywała nowe przechodnie podwórko między dwoma zacisznymi zaułkami, dwustronne wejście do domu, otwarte od frontu i od kuchennych schodów. Wiedziała o ostatnim w Moskwie, zapomnianym przez wodociągowców, ale wciąż czynnym hydrancie w okolicach byłej Bożedomki, natrafiła na mieszkanie w półsuterenie, gdzie po nocach zbierali się ludzie o bardzo podejrzanym wyglądzie \* złodziejską melinę?

Nocnym spacerom całymi kilometrami towarzyszyły również rozmyślenia: jeszcze niedawno życie wydawało się Tani gładką drogą do góry, stopniowym wznoszeniem się, którego celem były osiągnięcia naukowe, połączone z zasłużonym sukcesem i być może sławą. Teraz widziała zamiast heroicznego obrazu pułapkę, a nauka okazała się taką samą ideą, jak ubogi, narzucany siłą socjalizm, który w ostatnich latach coraz częściej, zwłaszcza w radiu, nazywany był „socjalizmem” dla sprawienia przyjemności mało oświeconemu Chruszczowowi, nie umiejącemu sklecić paru słów... Kiedy Tania była mała, naturalnym było dzielenie świata na „świat dorosłych” i „świat dzieci”, „świat dobrych” i „świat złych”. Teraz ujawnił się przed nią nowy podział: „świat posłusznych” i „świat nieposłusznych”. I nie chodziło tu o dzieci, a o dorosłych, mądrych, wykształconych, utalentowanych... Tania zdecydowanie, z radością przeszła do tej drugiej kategorii. Niejasna chyba była tylko postawa ojca \* nie pasował do żadnej z tych kategorii. Wydawał się być społecznie użytecznym, to

znaczy posłusznym, jednakże zawsze postępował według własnego zdania, narzucić mu cudzą opinię, zmusić do uległości było niepodobieństwem...

Któregoś razu Tania spotkała na ogrodowej ławce w zamkniętym podwórzu ŚrednieKisłowskiego zaółka surowego starca, który siedział wyprostowany, nie dotykając plecami rozwalającej się deski, opierając się sztywnymi rękami na drewnianej pańskiej lasce z wielką, polerowaną gałką. Tania usiadła na skraju tejże ławki. Starzec, nie obracając ku niej swej wielkiej głowy, oświetlonej z ukosa słabą latarnią, powiedział głuchym głosem:

\* Taniu, wydaje mi się, że pora na obiad.

\* Skąd pan mnie zna? \* zdziwiła się, nie podejrzewając w pierwszej chwili, że to przypadkowy zbieg imion.

\* Powtarzam, pora na obiad.

\* A gdzie pan mieszka? \* spytała Tania.

Starzec jak gdyby trochę się zmieszał, zaniepokoił, a potem odpowiedział niezbyt pewnie:

\* Ja mieszkam... tutaj...

\* Gdzie?... tutaj? \* raz jeszcze zapytała Tania, domyśliwszy się, że starzec cierpi na utratę pamięci.

\* Miasto Gadziacz w guberni Połtawskiej... \* odpowiedział z godnością.

\* A jak się pan nazywa?

\* Pora podawać obiad \* zaczął się kręcić na ławce, starając się wydostać z jej głębokości, opierając się na lasce. \* Pora jeść obiad.

Osunął się z powrotem, nie mogąc unieść swego dość ciężkiego ciała.

Zaczęło świtać. Tania pomogła mu wstać z tego drewnianego hamaka, mówiąc:

\* Chodźmy, rzeczywiście już pora na obiad. Tania czeka na pana z obiadem.

I odprowadziła go do komisariatu policji, żeby tam odnaleziono tę perfidną Tanię, która nie podała w porę obiadu. Dopiero w komisariacie, oddając majestatycznego starca w ręce władzy niskiego szczebla, Tania zauważyła wykonany białą farbą napis na jego lasce: zaulek Pieczatników Nr 7, m. 2, Aleksander Iwanowicz Lepko.

\* Do widzenia, Aleksandrze Iwanowiczu! \* pożegnała go Tania, żalując, że wcześniej

nie zauważyła informacji, umieszczonej na lasce.

„Przedostatni stopień wolności” \* przedtem taka myśl nie przyszlaby jej do głowy. Gdy wychodziła z komisariatu, już świtało. „Nocni” ludzie się skryli, a „dzienni” jeszcze nie wyleźli ze swoich nor. Tania była w doskonałym nastroju, postanowiła, że najpierw się wyśpi, a potem pojedzie do laboratorium o takiej porze, kiedy laborantki zbierają się w preparatorni na wspólną herbatę, kupi po drodze tort, trochę jakichś cukierków, żeby w ten sposób uczcić swoje wyzwolenie...

Picie herbaty się nie udało. Na sześć laborantek trzy były na urlopie, jedna chora, a dwie ostatnie \* starsza już Tasia Kucharikowa i przebiegła Gala Awdiuszkinina \* były najmniej sympatyczne. Zjadły po dwa kawałki tortu, resztę schowały do lodówki. W laboratorium nie było prawie nikogo, niektórzy na urlopiach, część na konferencji, ktoś tam pracował tego dnia w bibliotece. Marlena Siergiejewna też była nieobecna. Tania zaszła do swego byłego pokoju, wspomniała bez żalu i jakichkolwiek sentymentów swój pierwszy dzień, kiedy ojciec ją tu przyprowadził. Wszystko stało na swoich poprzednich miejscach: mikroskopy, mikrotomy, izotopowe wagi, bateria szklanych pojemników ze spirytusem i ksylolem, zamkniętych szlifowanymi pokrywkami. To, co wtedy wydawało się świątynią nauki, teraz wyglądało biednie, było odrapane. W tej części uniwersytetu, gdzie zajmowano się molekułami, od dawna już działał mikroskop elektronowy, zainstalowane były współczesne urządzenia, a nie to, co tutaj \* jak w muzeum historii nauki, poświęconym XIX wiekowi. Niczego takiego więcej Tania już nie pragnęła. Jedyne zapach, wyraźny zapach laboratorium \* spirytusu, formaliny, z domieszką wiwarium i chloroformu pomimo wszystko pozostawał podniecający.

Tania wyciągnęła szufladę z biurka i zabrała swoje osobiste rzeczy: drewniany, długi ustnik, puderniczkę, przepisane wiersze Mandelsztama i nie wiadomo dlaczego \* zeszyt z wzorami kaligraficznymi... Wrzuciła to wszystko do torby i skierowała się do gabinetu Gansowskiego. Zastukała do starych, oszklonych matowymi szybami drzwi. Weszła. Gansowski, opalony, świeżo umalowany na brązowo, w białym kidu siedział przy ogromnym biurku i czytał jakieś czasopismo.

\* Proszę, proszę.

Na jedynym krześle dla interesantów leżał stos książek. Gansowski wskazał Tani składaną drewnianą biblioteczną drabinkę. Szafy z książkami sięgały sufitu i z podłogi nie można było się do nich dostać. Złożona drabinka przypominała wysokie krzesło.

\* Proszę usiąść.

Tania umieściła się na małej górnej deseczce, co nie było zbyt wygodne. Nogami nie dostawała do podłogi, więc oparła je na niższym szczeblu. Pomarańczowa spódniczka, bardzo krótka zgodnie z nową skandalizującą modą, zadarła się do góry prawie do majtek i Tania zauważyła, jakim męskim, pożądlivym spojrzeniem stary akademik prześliznął się po jej nogach. Potem Gansowski zdjął swoje pozłacane okulary, złożył je dokładnie i popatrzył na Tanię w pełni życzliwie:

\* Co z panią, Tatiano Pawłowno, powiedziano mi, że pani ma zamiar odejść?

\* Tak, ja już odeszłam, Edmundzie Algidasowiczu. \* Tania była jedyną laborantką, która potrafiła poprawnie wymówić jego skomplikowane imię, pochodzące z polsko\*litewskiej i podobno też żydowskiej mieszanki.

\* Czy się pani zbyt nie pośpieszyła?

Gansowski wstał, sytuacja Tani, siedzącej na drabince, stała się jeszcze głupsza. Profesor stał tuż obok, a ona była wciśnięta w kąt pomiędzy szafą i zawalonym książkami krzesłem. Tania przekręciła nogi, żeby nie dotykać profesora biodrem.

\* Pani tak dobrze szło w pracy. Muszę się przyznać, że postanowiłem wziąć panią do siebie i przydzielić temat. To bardzo ważne, gdy człowiek wcześniej rozpoczyna karierę naukową. W przyszłym roku mogłaby pani opublikować swój pierwszy artykuł...

Tania nie całkiem rozumiała, co mówi profesor, ponieważ jej uwagę odwracał chłodny dotyk profesorskiego kitla do jej gołej nogi i nieprzyjemny ruch jego ręki w kieszeni, dający się zauważyć poprzez kitel.

\* Pani opanowała metodykę eksperymentalnej hydrocefalii \* kontynuował. \*

Marlena Siergiejewna mówiła mi, że może powierzyć pani tę pracę na każdym jej etapie. Nie wiem, nie wiem, dlaczego miałyby pani odejść.

Teraz jedną ręką przytrzymał bok drabinki, drugą przypadkowo, ale całkiem



pewnie położył jej na biodrze. Tania udawała, że tego nie widzi \* tak jak wypada dobrze wychowanej

osobie, która stara się nie zauważać faux\*pas w zachowaniu rozmówcy.

\* Ma pani przed sobą jeszcze trzy lata nauki. Przez ten czas zdąży pani przejść cały kurs i zrobić dyplom, a także przygotować połowę dysertacji.

Patrzył jej w oczy \* twarz miał poważną, a nawet surową. Zdjął rękę z jej biodra, wsunął pod kitel pomiędzy guzikami poniżej pasa, pogrzebał tam. Tania obserwowała go spod oka.

\* Istnieje taka substancja \* auksyna \* mocną ręką rozdzielił ciasno ściśnięte kolana Tani i przesunął ją pomiędzy nogami. Tania prawie omdlała. Nie dlatego, że jego ręka zdecydowanie, prosto trafiła pod majtki i jego palce z krótko obciętych paznokciami dotknęły takiego miejsca, którego od urodzenia, oprócz mydła, nie dotykał żaden obcy przedmiot, ale dlatego, że tuż przed nią widniała jego poważna, surowa twarz i władczy głos hipnotyzował ją jakąś wieloznaczącą auksyną, która nie miała nic wspólnego z tym, co się działo.

\* Ten hormon wzrostu doskonale stymuluje wzrost kapilarów i wprowadzenie, powiedzmy, pięciu mililitrów podwyższa ilość tworzących się kapilarów o sto, sto dwadzieścia procent...

Profesor rozpiął najniższy guzik kitla, a Tania, kompletnie skamieniała, nie zdolna nawet poruszyć głową, ujrzała kątem oka w jego szerokiej, pokrytej piegami ręce śniadoróżową cebulę z podłużnym rowkiem pośrodku. Stał już pomiędzy jej rozłożonymi kolanami, jedną ręką przygotowywał wejście, a drugą przyciągał Tanię ku sobie, naciskając na lędźwie... Odrętwienie Tani skończyło się w tym momencie, kiedy przestał mówić o auksynie, ale odezwał się władczo i rzeczowo:

\* Kolana rozłóż szerzej i ramiona przechyl do tyłu. Tania odepchnęła go, uderzając rękami wr pierś.

\* Siedź! \* warknął, ale ona już zeskoczyła z drabinki, rzuciła się do drzwi, chwyciła za okragłą, identyczną jak jego cebula, klamkę. Drzwi się nie otworzyły.

„Zamknął, drań!” \* pomyślała Tania i walnęła kulakiem z całej siły w szklaną szybę. Szkło wyleciało podzwaniając, ale drzwi nadal pozostały zamknięte.

\* Przekręć gałkę, głupia \* powiedział spokojnie.

Zapiął kitel, pod którym mignęła goła pierś i akademicka cebula w rozpiętym rozporoku jasnych spodni...

Tania wyleciała jak strzała z instytutu i gnała byle dalej od tego przybytku nauki, w którym wszystko było ohydą, brudem, draństwem...

Widok Jauzy przynosił uspokojenie, szczególnie, jeśli się nie patrzyło na nadbrzeżne zabudowania fabryczne, które niemal od czasów Piotra Wielkiego pobierały z rzeki wodę, a w zamian spuszczały do niej ścieki... Zakłady garncarskie, garbarskie, różne manufaktury... A rzeka wciąż się nie dawała, żyła...

Tania weszła na garbaty mostek, przerzucony nad rzeką i zapatrzyła się w jej płynącą smutno\*zieloną wodę.

Poraniona ręka bolała. Krew już nie ciekła, choć bandaże zdążyły przemoknąć. W aptece trafiła się miła kobieta. Nie pytając o nic, wzięła sterylne opatrunki, bandaż, fachowo opatrzyła rękę. Palce, środkowy i serdeczny sklepiła plastrem, bowiem największe przecięcie wypadło między tymi palcami, w tym samym miejscu, gdzie u mamy pozostała blizna po haczyku wędkarskim \* zabawne, no nie?

Tania nie miała przy sobie żadnych pieniędzy, torebkę zostawiła u Gansowskiego w gabinecie, na oparciu krzesła, założonego medycznymi książkami, których Tania już nigdy w życiu czytać nie będzie. Dobrze byłoby poprosić ojca, żeby zabrał od Gansowskiego jej torebkę. Powiedzieć po prostu \* chciał mnie przelecieć, ale ja uciekłam. I zapytać, co myśli o przyzwoitym zachowaniu i całej tej poprawności, którą tak szanuje. Zresztą lepiej nic mu nie mówić, choć jest człowiekiem dobrze wychowanym w zakresie noży i widelców, „dziękuję” i „do widzenia”, gdyby się dowiedział o tej historii, to by Gansowskiego po prostu zabił. Nie, nie zabił, ale pobił.

Sprał

co się zowie. I Tania zaśmiała się, wyobraziwszy sobie, jak to ojciec, zapędziwszy Gansowskiego do kąta w gabinecie, gdzie Tania siedziała na idiotycznej drabince, okłada ciężkimi kułakami jego ufarbowaną głowę...

\* Biedna Liza! \* powiedziała głośno, rzucając ostatnie spojrzenie na jauzowską wodę. \* Topić się nie zamierzam.

Przestała już trząść się z oburzenia i zapragnęła niezwłocznie opowiedzieć komuś o tym wydarzeniu. Ale nie było komu. Przyjaciółek, jak wiadomo, było sporo, ale ta najbliższa, z tej samej klasy, zaraz po szkole wyszła za mąż, wkrótce urodziła dziecko, a teraz siedziała z dzieckiem na lotnisku. Adresu jej Tania nie знаła. Dwie najsympatyczniejsze koleżanki z kursu pojechały na odpoczynek na Kaukaz. Tama w tym przypadku się nie liczyła, zresztą nie była przyjaciółką. Omawianie wydarzenia z chłopcami, których wielu kręciło się wokół Tani, było i nieciekawe, i niemożliwe. Niezależnie od całej ohydy, z jakiegoś powodu wydarzenie to jednak podniecało. Tak, ta cebula wywarła wrażenie...

Zdaje się, że nazbyt długo się zatrzymałam... Nikczemny staruch, ale czemuś mnie to poruszyło... Już pora... Co za głupia jakaś sytuacja \* nikt mi się nie podoba, w nikim się nie kocham... Wszystkie przyjaciółki już mają kochanków... Dobrze byłoby poradzić się mądrej, dojrzałej kobiety, ale takiej w otoczeniu Tani nie było...

Nawet nie zauważyła, kiedy skręciła z nabrzeża na miłą z wyglądu, zupełnie nie moskiewską ulicę, obsadzoną starymi lipami, rosnącymi w regularnych odstępach. Znajdowały się przy niej jakieś szpitale, starodawne i nowsze żółte gmachy, ni to koszary, ni to hotele robotnicze czy studenckie. Ulica nosiła nazwę Gospitalnyj Wał. To było Lefortowo i Tania trafiła tu po raz pierwszy.

Od rana niczego nie jadła, do domu nie chciało jej się iść. Pieniądze zostały w torebce.

„Kiedy pieniędzy nie ma wcale, to jest daleko lepiej, niż gdy jest ich mało” \* nagle oświeciła ją ta myśl. Sytuacja była dość dziwna, gdyż czego jak czego, ale pieniędzy nigdy Tani

nie brakowało. Oprócz jej własnych zarobków istniało w kuchni metalowe pudło, z którego wszyscy domownicy brali tyle, ile im było potrzeba. Wasilisa stale się dziwiła, jak szybko rozchodzą się pieniądze i starała się wprowadzić jakiś ład w wydatkach... Tania pierwszy raz w życiu nie miała przy sobie ani kopiejki i z tego powodu czuła się nawet wesoło i zabawnie. Doskonale wiedziała, że może przejechać do domu na gapę trolejbusem lub tramwajem, może też wziąć taksówkę i zapłacić dopiero w domu... Ale kluczy również nie miała, zostały w torbie. Nowa włoska

spódniczka koloru ryżej pomarańczy z guziczkami\*nitami była dobra pod każdym względem, nie miała jednak kieszeni. Nigdy nie kupię niczego bez kieszeni... Uczucie głodu też jej się podobało \* była lekka i wolna... W końcu coś ważnego przyszło jej na myśl, związanego z wolnością. Na jakiej właściwie podstawie postanowiła, że będzie się zajmowała biologią? W dzieciństwie rysowała i była chwalona, potem próbowała uczyć się muzyki i też ją chwalono. Zaczęła czytać ojcowskie książki i znów spotkały ją pochwały. Jedyne, czego potrzebowała to pochwał. I starała się, uczyła, siedziała nad zeszytami \* żeby ojciec ją pochwalił. Sprzedała się za pochwały \* dobra dziewczynka... No i dosyć, już wystarczy. Teraz moje postępowanie nie będzie zależało od tego, czy spodoba się ojcu, matce, Wasilisie czy komukolwiek. Tylko mnie. Ja będę jedynym dla siebie sędzią. Będę wolna od cudzych opinii. Byłoby interesujące zapytać ojca, czy zdanie Gansowskiego coś dla niego znaczy. Zapewne tak. Oni wszyscy chcą sobie nawzajem się podobać. To znaczy nie wszyscy wszystkim. Tylko w określonych kręgach, kastach, hermetycznych stowarzyszeniach... Zabójcy szczurów, posłuszni. My, ludzie inteligentni... Jakie to trywialne!... Nie chcę...

Nie przychodziło jej do głowy, że w tym czasie, w latach sześćdziesiątych podobnie myślała młodzież w Paryżu, w Londynie, w Rzymie czy w Nowym Jorku. Ona doszła do tego przekonania sama z siebie, bez podpowiedzi i ściągaczek.

Samodzielnie...

Szła wzdłuż długiego muru cmentarnego, za którym rosły stare drzewa, a pod nimi znajdowały się wysokie pomniki. Zatrzymała się przy bramie \* „Wwiedziński cmentarz”. Tak, to była dawna miejscowość Niemieckoje, gdzie grzebani byli wszyscy Kukoccy \* domyśliła się Tania i weszła.

Aleja przecinała cmentarz w poprzek, od jednej bramy do drugiej, a wokół pełno było grobów i pomników. Starych, z niemieckimi napisami w gotyku, zwykłych, starych bez napisów łacińskich. Kapliczki, marmurowe anioły, wazony z gipsu, krzyże i gwiazdy, gwiazdy i krzyże... Bardzo to było dziwne, ale Tania pomimo swoich dwudziestu lat nigdy nie była na cmentarzu. Nawet na pogrzebie nie była ani razu, jeśli nie liczyć pogrzebu Stalina. Ze dwa razy zdarzyło się jej być w krematorium, ale

właściwie nie wiedziała dobrze, co się tam odbywa. A tutaj było pięknie i smutno \* zaniechanie pasowało do tego miejsca. Przeszła się po starej części cmentarza, przyglądając się napisom na pomnikach \* gdzieś powinni być Kukoccy, ale ich nie odszukała. Znow znalazła się przy murze, już z drugiej strony. Dwóch mężczyzn siedziało przy świeżo wykopanym grobie. Z jednej strony wznosiła się sterta wykopanej ziemi, z drugiej, w niskich krzakach, należących do innej kwatery, siedziało dwóch robotników. Przed nimi na gazecie widniało skromne jedzenie: okrągły chleb, pobieliała kielbasa, żółtki szczypior. Oparta o dwie cegły stała butelka wódki.

Jeden mężczyzna był starszy, w czapce, drugi młodszy, łysy, w czapce z papieru gazetowego. Na Tanię nawet nie spojrzeli. Swoboda, która ją ogarnęła w dniu dzisiejszym, upoważniła ją do zwrócenia się o kawałek chleba.

Starszy, ledwie zerknąwszy, burknął:

\* Weź.

Młodszy zatroszczył się:

\* A odpracujesz?

\* Skaleczyłam rękę \* Tania ufnie uniosła do góry dłoń z pociemniałym od krwi z boku i od spodu bandażem.

\* Przecież nie rękami \* zażartował chłopiec.

\* Bierz i spływaj \* starszy patrzył niezadowolonym wzrokiem i na Tanię, i na swego towarzysza, i na napoczętą butelkę.

Ale młodszy nie ustępował:

\* Może i tobie nalać?

\* Nie, dziękuję \* wzięła spory kawałek chleba i krążek kielbasy, ugryzła i żując powiedziała:

\* Tu pochowany jest mój dziad, Kukocki. Nie mogę znaleźć grobu.

\* Pójdź do zarządu, tam ci powiedzą \* z większym szacunkiem, niż poprzednio odezwał się starszy: dziewczyna choć prostytutka, to jednak swoja, klientka...

Tania podziękowała i odeszła, zostawiając ich we trójkę z butelką.

\* Dziwię się tobie, Sieńka \* w zamyśleniu powiedział starszy \* przecież jesteś

żonaty, baba dobra i chłopak jest. I po ci taka tyczka? Tfu!

Sieńka zarechotał:

\* No, wujku Fiedia, a co w tym złego? Ja bym ją tu na mogiłce wytarnosił. To źle? Tania minęła kantor zarządu, ścieżka doprowadziła ją do innej bramy, na marniutką ulicę \* z wyschłym stawem czy wykopem, nad którym wznosił się spartolony Dom jakiejś Kultury \* do szyn tramwajowych.

Tramwaj to dobry środek komunikacji, zwłaszcza dla jadących na gapę. Już zbliżał się wieczór, ale z godziną musiało zajść jakieś nieporozumienie \* dzień był jakoś zbyt długi. Popatrzyła na podarowany przez ojca zegarek \* pokazywał wpół do trzeciej. To znaczy stał. Podjechał całkiem pusty tramwaj, miał numer pięćdziesiąty. Dokąd szedł, nie zdążyła sprawdzić. Zapewne do którejś ze stacji metra. Tramwaj przez dłuższy czas wiozł tylko ją, potem wsiadła para starszych ludzi. Przejechali przez Jauzę. Końcowym przystankiem okazała się stacja metra Baumańska. Było około dziesiątej, ale do domu nadal Tania nie miała ochoty wracać... Obeszła wokół dużą cerkiew i znalazła się na Olchówce. Podwórza na tej prawie parterowej ulicy były piękne, trawiaste, z ogródkami i ławkami, piaskownicami dla dzieci i huśtawkami. Nowych domów nie było, starocia, mieszczańska zabudowa. Jeden tylko dom był czteropiętrowy, „modern”, z początku wieku. Tania poczuła się zmęczona, weszła do pierwszego z brzegu podwórza, a tam, niczym dar losu, znalazła zbitą z desek altankę. Wewnątrz stał z gruba ciosany stół i dwie wkopane w ziemię ławki. Takie domowo\*noce gospodarstwo. Tania położyła się na wąskiej ławce, obróciła głowę tak, by widzieć kawałek nieba usiany gwiazdami. Skądś dobiegała muzyka radiowa na przemian z odgłosami proletariackiej kłótni. Jestem wolnym, całkowicie wolnym człowiekiem" \* powiedziała do siebie Tania, myśląc z przyjemnością przez chwilę o treści tego zdania. Szybko usnęła. Obudziła się z powodu zimna. Nie wiadomo było, jak długo spała. Wydawało się, że całkiem krótko. W międzyczasie wszedł księżyc i zalał wszystko swoim sztucznym światłem. Do domu wciąż jeszcze nie chciało jej się wracać, ale chyba była już pora... Na przyzbie w całkiem wiejskim domu w głębi podwórza siedział chłopak. W skupieniu coś wyczyniał ze swoim nadgarstkiem.

Tania podeszła bliżej. Chłopak usłyszał jej kroki, odwrócił się i zamarł, ścisnąwszy prawą ręką przegub lewej.

\* Wynoś się stąd \* arogancko odezwał się chłopak. Tania nie poruszyła się, stała nadal. Połowa ostrza brzytwy

pobłykiwała w księżycowym świetle.

\* Tak się nie uda \* zauważyła sprytnie.

\* Dlaczego? \* chłopak podniósł głowę i Tania ujrzała bladą, jakby zapłakaną twarz i świeży siniak, pęczniejący na kości policzkowej.

\* Trzeba w łazience, w ciepłej wodzie... \* ze współczuciem powiedziała Tania. \* Tak się nie uda.

\* A ty skąd wiesz? \* ponurym głosem zainteresował się chłopak.

\* Jestem specjalistką od żył. Przez dwa lata zajmowałam się żyłami. Trochę wypłynię i zmniejszy się. Już lepiej z dachu \* raz i koniec!

\* Mnie nie o to chodzi \* uśmiechnął się chłopak. \* Mnie potrzebna jest maszynka. A ja, rozumiesz, jej nie mam. Bo jeśli przecięcie jest szersze, ampułkę można wykapać... Jeśli z ciebie taka specjalistka, to może maszynkę masz przy sobie?

Teraz Tania go nie zrozumiała: \* Jaką maszynkę?

\* No, szprycę, głupia \* wyjaśnił.

\* Aha, szprycę. Mam w domu. \* Jakie to bywają cuda \* całe życie przeżyłam jako mądra, a dziś przez cały dzień słyszę, że jestem głupia...

\* A daleko mieszkasz?

\* Daleko.

\* A co ty tu właściwie robisz?

\* Spaceruję. Lubię o tej porze spacerować. \* Tania usiadła obok niego i zauważyła, że jest starszy, niż jej się wydawało na początku. \* Chodź, pospacerujemy. Ja lubię patrzeć ludziom w okna...

Pociągnęła go za rękaw kraciastej koszuli, posłuchał. Zawinał ostrze w papierek, wsunął do kieszeni kowbojki i nieco speszony, poszedł za nią. Wyprowadziła go na ulicę, potem pewnie skrzyła między dwoma domami w ledwie widoczne przejście \* ku oświetlonemu oknu. Brudna, pobielona żarówka kołysała się na sznurze. Na stole

stało krzesło, sterczały krzyżaki. Robiono remont. Widać, zapomniano zgasić światło. Okno było otwarte. Parter.

\* Wleziemy \* zaproponowała Tania.

\* Nie, ja już swoje wzięłam, wystarczy \* szmyrznął chłopak. \* Może pójdziemy do ciebie?

\* Aleja zgubiłam klucze... I w ogóle... \* Tania zakłopotana się. Wszystko było jakoś na opak.

\* Dobra, chodźmy \* wielkodusznie zaproponował chłopak. Poszli więc dalej się powłóczyć.

Szli objęci, potem na jakimś podwórku się pocałowali, potem jeszcze trochę połazili, a potem okazało się, że stoją w obszernej frontowej sieni, mocno objęci, przyciskając się do siebie nogami i zapadłymi brzuchami, i rękami, lepki od tej odrobiny krwi, która zdążyła wyciec przez małe rozcięcie w poprzek żyły.

Weszli na najwyższe piętro tego domu „modern”, który Tania spostrzegła na początku swojej wędrówki po Olchówce. Światło paliło się na trzecim piętrze, dalej panowały ciemności. Tam powyżej ostatniego piętra, obok zamkniętego na kłódkę wejścia na strych, znajdowało się niewielkie półokrągłe okno, z podzieloną na małe szybki ramą, przez które wpadało zagadkowe, pokreślone powyginanymi cieniami światło. Jeszcze krótko się pocałowali, stojąc przy szerokim parapecie, a potem Tania usiadła na parapecie i zrobiła to wszystko, czego chciał od niej Gansowski.

„Gansowski pewnie specjalnie zamawiał drabinkę dla takich spraw” \* pomyślała Tania, kiedy chłopak przyciągnął ją do siebie.

Bez żadnego podniecenia i uniesienia rozstała się z bezsensownym dziewictwem, nie przywiązując do tego żadnego znaczenia. Chłopak przyjął ten nieoczekiwany dar z pełnym zaskoczeniem:

\* Ty co, jesteś nienaruszona? Jesteś u mnie pierwsza. A wiesz, ile już bab miałem?

Tania zaśmiała się z tego określenia, pokolysała swoją zabandażowaną rękę i powiedziała:

\* Jaki krwawy mam dzisiaj dzień... Ty zresztą też... Potem chłopak usiadł obok niej na parapecie. Parapet,



choć szeroki, był za krótki, by się na nim położyć.

Po dziesięciu minutach opowiadał jej o jakiejś Nataszce, która wodziła go za nos przez dwa lata, ponieważ wszystkie baby to suki. O tym, że ma odroczenie, ale jesienią pójdzie do wojska, do Straży Granicznej. I jeszcze jakieś bzdury o prawdziwych mężczyznach... Tani nie interesowało to zupełnie. Zeskoczyła z parapetu, pomachała głuptasowi ręką:

\* Cześć!

I popędziła w dół po schodach, wyraźnie stukając obcasami płaskich pantofli. Zanim się zorientował, co zaszło, ona zbiegła już z dwóch pięter.

\* Dokąd idziesz? \* krzyknął w ślad za nią.

\* Do domu! \* odezwała się, nie zwalniając kroku.

\* Zaczekaj! Zaczekaj! \* zawołał i pomknął na dół. Ale po niej śladu już nie było.

3.

Paweł Aleksiejewicz raczej czuł, aniżeli wiedział, że gwiazdy gwiazdami, ale istnieje coś poza samym człowiekiem, co kieruje jego życiem. Najbardziej przekonywały go o tym „Abrahamowe dzieci”, powołane do życia właśnie dzięki niemu i jego domysłowi, iż istnieje związek pomiędzy czasem kosmicznym i tajemniczą komórką, odpowiedzialną za płodzenie potomstwa... Zakładał, że czas kosmiczny może wpływać również na inne momenty życia ludzkiego i że przypływy energii twórczej, jak też jej spadki są regulowane przez ten mechanizm. Determinizm, tak wyraźnie widoczny w procesie rozwoju choćby zarodka z zapłodnionej komórki jajowej, satysfakcjonował go w pełni, co więcej, traktował go jako podstawowe prawo życia, ale nie był w stanie rozciągnąć tej wiedzy o z góry ściśle przesądzonym rozwoju poza granice fizycznego procesu ontogenezy. Jego miłujący wolność duch protestował. Przecież człowiek nie składa się jedynie z mniej lub bardziej znanych procesów fizjologicznych, włączają się w jego rozwój rozmaite inne, całkiem chaotyczne czynniki, co powoduje w rezultacie, iż z jednakowych trzykilogramowych osesków wyrastają tak zróżnicowani duchowo ludzie, dokonujący jedni \* wielkich czynów,

inni \* przestępstw i umierający \* jedni w dzieciństwie od szkarlatyny, inni \* na polu bitwy... Czy dla każdego z tych niezliczonych milionów jest przygotowany zawczasu dokładny

projekt? Czy los to jedynie ziarnko piasku na morskim brzegu? Według jakiej zasady podczas wojny dwóch rosyjskich żołnierzy na trzech trafiło pod kule, a z tych, którzy ocaleli, część zginęła w obozach, część się rozpiła... Żywy pozostał jeden na dziesięciu... Kto regulował tym mechanizmem?

O sobie Paweł Aleksiejewicz wiedział, że jego los zmusił go do drogi pod górę. Wciąż jeszcze pracował, wykładał i operował, ale zniknęło z jego życia zadowolenie z każdej chwili, poczucie jedności z tym czasem, w którym istniał przez długie lata. Życie rodzinne zachowywało ogólne ramy, pozostawało jednak jedynie pustą obudową byłego szczęścia rodzinnego... Nie tego, które ich ogarnęło w środku wojny, podczas ewakuacji, trwającego przez całe dziesięciolecie, do pięćdziesiątego trzeciego roku, które teraz niczym statek z zagrabionym złotem, utonęło na dnie pamięci, ale innego, które nastąpiło po nim, zakonnego, sprowadzonego do paru słów, bez zbliżeń, do związku, polegającego prawie tylko na wymianie zrozumiałych spojrzeń... Z Heleną coś się działo, jej oczy pokryły się jakby cienką taflą lodu i jeżeli coś wyrażały, to zatroskane i napięte zdziwienie, jakie trafia się u całkiem małych, nie umiejących jeszcze mówić dzieci przed tym, kiedy zaczynają płakać z niewiadomej przyczyny.

Psuły się stosunki z Tanią. Tak jak poprzednio, mało bywała w domu, ale przedtem jej nieobecność oznaczała aktywną działalność, intensywną naukę, teraz zaś, gdy wszystko porzuciła, Paweł Aleksiejewicz nie mógł się domyślić, jakie zajęcia wypełniają jej godziny dnia, wieczoru, a często nawet nocy, kiedy jest poza domem. Martwił się, że Tania marnuje, jak podejrzewał, czas, uważał bowiem, że młodość to szczególnie cenny indywidualny okres, kiedy człowiek nie podlega jeszcze uśmiercającemu automatyzmowi, a każda minuta, pełna sił i możliwości, jest równoważna poznaniu i doświadczeniu w ich czystej postaci... W odróżnieniu od jego własnego czasu, czasu starego człowieka, który płynie powoli, jest mało ważki, coraz mniej cenny...

To, co przedtem stanowiło gorącą treść życia \* przezroczyście, jak rybki gupiki w akwarium, kobiety rodzące z ich patologią i komplikacjami, wykłady, podczas których Paweł Aleksiejewicz potrafił oprócz umiejętności praktycznych przekazywać swoim uczniom tę maleńką, nie wyrażaną słowami cząstkę, która jest najgłębszą istotą każdego zawodu \* to wszystko stawało się coraz bardziej automatyczne i traciło wartość, jeśli nie dla jego otoczenia, to dla samego Pawła Aleksiejewicza.

„Znaczenie czasu zmniejsza się pod starość” \* uważał Paweł Aleksiejewicz.

Zmęczony, wracał z pracy i pierwsze swoje kroki kierował do gabinetu, gdzie wypijał ponad pół szklanki wódki, po czym udawał się na kolację. Wychodziła też ze swego pokoju oczekująca go Helena. Siadała do nakrytego przez Wasilisę stołu, kładła przed sobą swoje chude dłonie z opuchniętymi stawami i siedziała z opuszczoną głową, dopóki Wasilisa odmawiała stosowną modlitwę \* za siebie, od siebie i za wszystkich obecnych, powtarzając ją tyle razy, ile osób znajdowało się przy stole. Paweł Aleksiejewicz, nie znając tego zwyczaju, też się nie śpieszył, czekał, aż alkohol rozejdzie mu się po całym ciele i gdy czuł falę ciepła, życzył zazwyczaj wszystkim „smacznego” i brał się do jedzenia rzadkiej, upichczonej przez Wasilisę zupy. Tania zazwyczaj nie jadała kolacji w domu. Toma, która rozpoczęła naukę, cztery razy w tygodniu wracała po jedenastej i jeżeli spożywała kolację razem z domownikami, to również raczej milczała. Padały tylko słowa mało znaczące i niezbędne: podaj mi sól, dziękuję, bardzo smaczne...

Potem Paweł Aleksiejewicz wracał do siebie, w ciągu wieczoru wypijał prawie całą butelkę, zostawiając sobie na rano małą porcję, na dwa palce od dna. To była jego aktualna forma walki z czasem \* żalosna próba jego zabicia.

A tymczasem Ilja Iosifowicz, przeciwnie, przeżywał najszczęśliwszy okres. Na początku lat sześćdziesiątych nastąpił przełom w jego życiu: przydzielono mu laboratorium na prawach samodzielnego naukowo\*badawczego instytutu, w którym zgromadziło się grono oddanych nauce bez reszty młodych ludzi. Za monografię o naturze genialności przyznano mu tytuł \* bez obrony pracy \* doktora nauk biologicznych. Co prawda, sam Ilja Iosifowicz w wiele lat później przyznawał, że dwie jego dysertacje, których nie mógł bronić z powodu kolejnych aresztowań,

daleko bardziej odpowiadały wymaganiom, dotyczącym stopnia doktora. Ale teraz był zachwycony możliwościami pracy i nie weryfikował swoich mało genialnych spostrzeżeń na temat genialności. Znajdował się w euforii: władze zezwoliły na przeprowadzanie badań genetycznych, Łysenko był „w odstawce” i ci sami ludzie, którzy uprzednio nie wpuszczali go za próg, teraz schlebiali go ściskali mu dłonie i fałszywie się uśmiechali do byłego frontowego żołnierza, który ni stąd ni zowąd wyszedł na bohatera.

Główne wydarzenie w życiu Ilji Iosifowicza, długo skrywane przed wszystkimi, nazwane zostało Walentyną Drugą. Aspirantka z Nowosybirsk, Walentyna Moisiejewna Gryzkina, dziewczyna w typie sportowym, absolutne przeciwieństwo zmarłej Walentyny, zakochała się w swoim kierowniku naukowym z takim upartym dążeniem do celu, jakie trafia się nieraz grającym w koszykówkę. A ona już wcześniej była najlepszą uczestniczką uniwersyteckiej żeńskiej drużyny koszykówki, jej sportową postawę podtrzymywała wewnętrzna siła starowierów \* pochodziła z rodziny staroobrzędowców. Jeden z jej przodków towarzyszył protopopowi Awwakumowi w słynnej jego wędrówce, od tamtej pory rodzina osiadła na Syberii i przez ponad dwieście lat, znosząc wszelkie prześladowania, twardo stała przy swojej wierze i płodziła silne i liczne potomstwo. I właśnie takim ludziom, zahartowanym w odwiecznej wojnie, Walentyna oświadczyła będąc gdzieś w szóstej klasie, że człowiek wywodzi się od małpy. Na początek rodzice sprali ją z całą patriarchalną surowością i zabronili chodzenia do szkoły. Ale dziewczyna okazała się godna rodziców: trafiła kosa na kamień, wiara na wiarę... Po dwóch latach zaciętej walki o godność człowieka, pochodzącego od małpy, Walentyna opuściła dom, unosząc na swych wydorosłych już ramionach przekleństwo dziada. Dalej był internat, szkoła wieczorowa, uniwersytet \* nie wiadomo z jakich środków, bez żadnej pomocy materialnej, z groszowym stypendium. Na ostatnim roku przeczytała w czasopiśmie „Genetyka” kilka artykułów Goldberga i wybrała go sobie na mentora. Przyjechała do Moskwy ze skierowaniem na aspiranturę \* dyplom miała jednak z wyróżnieniem \* odnalazła Ilję Iosifowicza i zdała wymagane egzaminy. Przyznać, trzeba, na chwałę Goldberga, iż długo nie zauważał miłosnego

zaangażowania nowej aspirantki. Spostrzegł jednak jej zdyscyplinowanie, bystrość i spryt w pracy \* zrezygnowała sobie z ciężkimi skrzyniami, pełnymi probówek, szybko opanowała wszystkie metody pracy z muchami, podstawowym obiektem badań laboratoryjnych.

Ale główne było to, czego Walentyna nawet się nie domyślała, że Ilja Iosifowicz oceniał kobiecy urok według jednego jedyne kryterium: na ile dany obiekt był bliski postaci jego zmarłej żony. Przy tym należy zauważyć, że za życia Walentyna Pierwsza wcale nie wydawała mu się wzorcem, ale po jej śmierci, w miarę upływu lat, w jego pamięci stawała się osobą coraz bardziej idealną.

Barczysta i chuda aspirantka, z dwiema ostrymi szyszkami pod swetrem zamiast sporych, miękkich pagórków, które powinny były być na tym obszernym miejscu, w męskich bucikach i granatowym roboczym fartuchu, w żadnej mierze nie usposabiała Ilji Iosifowicza do myślenia o jego długiej już samotności, o niewygodach kawalerskiego życia, a już najmniej o młodzieńczym, niecodziennym stanie zakochania czy o ucztowaniu seksualnym...

Walentyna czekała, czekała, aż wyznała swoje uczucia. Ilja Iosifowicz był zmieszany, ale i mile połączony. Z oniegińską przewrotnością wymamrotał coś podobnego do klasycznych oświadczeń na tle chórów dziewczęcych: „Kiedym powinien być już ojcem, małżonkiem przyjazny los mnie wyznacza...”.

Potem oboje zaczęli myśleć. Walentyna \* o ewentualnych przenosinach z powrotem do Nowosybirsk, Ilja Iosifowicz \* o sympatycznej dziewczynie, która jak syberyjski śnieg zwała się na jego łysą głowę... I im dłużej myślał, tym więcej mu się podobała. Pojawiły się też pierwsze objawy niedomagania pod względem uczuciowym, jak też pełna wzburzenia myśl o gorszącym charakterze stosunków: a) z aspirantką w ogóle i b) z aspirantką, prawie o czterdzieści lat młodszą od niego...

Gansowski, zapewne, jedynie by się uśmiechnął i zagnał amatorkę do kąta za szafą z książkami, na specjalnie przygotowaną „drabinkę”... Ale za to Gansowskiemu nigdy nie było dane doświadczyć nawet cienia tego szczęścia, które zdarzyło się

Goldbergowi po półrocznym, na wpół miłosnym podnieceniu, kiedy to podczas wyjazdu na kolejny kurs biologiczny do utajnionego częściowo miasta Obninsk, po

dłuższej przechadzce na nartach, Walentyna została u niego w zimnym, hotelowym pokoju... Warto było, by Walentyna założyła narty. Jej niezgrabność znikła bez śladu, na swoich biegówkach, w granatowym olimpijskim stroju i w naciągniętej prawie na blyszczące oczy narciarskiej czapce z klinem na nos \* wydała się Ilji jakąś zdumiewającą błyskawicą... Po nartach i po koszykówce Walentyna miała trochę oddechu... Temu radosnemu zadziwieniu sądzone było długie życie, chociaż pierwszych kilka lat upłynęło w wielkiej, źle ukrywanej tajemnicy...

Paweł Aleksiejewicz, gdyby o tym wiedział, mógłby się zastanawiać nad hormonalną stroną twórczego natchnienia. Widywał się z przyjacielem niezbyt często, ale i nie rzadziej, niż raz w miesiącu. Zwykle Goldberg przyjeżdżał na Nowosłobodzką gdzieś około dziesiątej wieczorem. Paweł Aleksiejewicz wyciągał wtedy butelkę wódki i obaj do późnej nocy toczyli swoje męskie rozmowy. Nie o wojnie, ani nie o koniach, czy też przewagach w picciu, ale o genetyce populacyjnej, o banku genów, o dryfowaniu genów i o tych problemach, które w późniejszym czasie Ilja Iosifowicz nazwie nie stosowanym wcześniej słowem „socjogenetyka"... Chociaż Goldberg lubił abstrakcyjne, filozoficzno\*biologiczne dyskusje, umiał kompetentnie i błyskotliwie budować konstrukcje eksperymentalne i w najbardziej oszczędny sposób dobywać bezpośrednią odpowiedź na właściwie postawione pytanie. Jego uczniowie pracowali efektywnie, na najnowocześniejszym poziomie i wiele opracowań publikowali w czasopismach zagranicznych. To dosyć jasne \* Rosjanie zawsze byli dobrzy w tych dziedzinach nauki, gdzie wszystko można było przeprowadzić rozumowo czy na palcach, bez solidnego wsparcia finansowego.

Przy wszelkich różnicach w zapatrywaniach, wylażących jak szydło z worka podczas ich wieloletnich rozmów, co do jednego Paweł Aleksiejewicz i Ilja Goldberg bezwzględnie się zgadzali: w sposób wyraźny, jasno odczuwali stopniowanie poznania, w którym na najniższym szczeblu, ale i w samej podstawie istotne były konkrety \* waga, forma, barwa, ilość chromosomów, czy nówek, czy też żyłek na skrzydle. W tej dawnej, opisowej nauce nie wchodziło w grę przybliżenie i odpowiedź musiała być niedwuznaczna \* tak lub nie... Spekulacje teoretyczne \* o zegarze kosmicznym czy też o ewolucji biologicznej \* musiały się opierać właśnie na

tej wiedzy, zmierzonej centymetrem, termometrem, gęstościomierzem... Dlatego też genialność na podstawie wyliczeń i kontemplacji Goldberga wyrażała się w poziomie kwasu moczowego we krwi. Nowe pomysły Goldberga wydawały się Pawłowi Aleksiejewiczowi interesujące, ale zupełnie nie udowodnione. Goldberg twierdził, że skonstruowanie modelu procesu w wielu przypadkach już samo jest dowodem. Paweł Aleksiejewicz nie chciał jednak o tym słyszeć.

Ostatnia idea Goldberga, który po trzech wyrokach, spędzonych w łagrach, utracił inteligenckie poczucie winy wobec narodu, społeczeństwa, rodzimej władzy sowieckiej, polegała na tym, że ta socjogenetyczna jednostka, przed rewolucją nazywająca się „narodem rosyjskim”, w ciągu prawie pięćdziesięciu lat władzy sowieckiej przestała istnieć w rzeczywistości, a obecna ludność Związku Sowieckiego, nosząca nazwę „narodu sowieckiego”, jest w istocie nową socjogenetyczną jednostką, różniącą się głęboko od jednostki wyjściowej pod względem wielu parametrów \* fizycznych, psychofizycznych, moralnych...

\* No, dobrze, Ilja. Gotów jestem się zgodzić, że oblicze fizyczne rzeczywiście silnie się zmieniło: głód, wojny, ogromne przemieszczenia całych narodów, mieszane małżeństwa... Można by w końcu przeprowadzić badania antropometryczne. Ale jak zmierzysz wartości duchowe? Nie, to jakieś głupie, wybacz, nieprofesjonalne...

\* Zapewniam cię, że są sposoby. Są na razie pośrednie, ale są \* bronił swojej teorii Ilja Iosifowicz. \* Przypuśćmy, iż genom człowieka składa się ze stu tysięcy genów, to liczba prawdopodobna. Są one podzielone na dwadzieścia trzy pary chromosomów, prawda? I chociaż wiemy o licznych mechanizmach wymiany chromosomów, wciąż mamy podstawę do dzielenia wszystkich genów na 23 grupy, według przynależności do chromosomu. Oczywiście, dziś to jeszcze niemożliwe, ale za sto lat \* zapewniam cię \* da się zrobić. A więc, wyobraź sobie, że gen odpowiedzialny, na przykład, za niebieską barwę tęczy, znajduje się bezpośrednio obok genu, warunkującego tchórzostwo lub odwagę! Są duże szanse, że będą one dziedziczone również razem.

\* Jeden gen \* to jedna cecha, tak? \* sprzeciwił się Paweł Aleksiejewicz. \* Wydaje mi się wątpliwe, by na tyle silna i różnorodna cecha jak męstwo była determinowana zaledwie jednym genem.

\* Ale jaka to różnica, może być i dziesięcioma! Nie na tym rzecz polega, po prostu kolor oczu może być sprzęgnięty z jeszcze innym genem. Mówiąc z grubsza \* niebieskooki może mieć więcej szans na bycie odważnym \* Ilja Iosifowicz podniósł do góry swój palec wskazujący.

\* Ciekawa myśl, Ilja \* mruknął Paweł. \* Niebieskooki blondyn będzie odważny, a czarnooki brunet \* tchórz. A jeśli czarnooki będzie miał w dodatku haczykowany nos, to już na pewno będzie Juda. Genetycznie...

\* Z ciebie to typowy prowokator, Pasza! \* wrzasnął Ilja Iosifowicz. \* Ja miałem na uwadze zupełnie co innego. Posłuchaj! W osiemnastym roku opuściła Rosję „biała armia”, około trzystu tysięcy młodych, zdrowych mężczyzn w wieku reprodukcyjnym. Doborowa, szlachecka część społeczeństwa: najlepiej wykształceni, najprzystojniejsi, nie chcący iść na kompromis z bolszewicką władzą!

\* Aleś się rozpędził! Iljusza, takiego stwierdzenia wystarczy, byś dostał czwarty wyrok!

\* Nie przerywaj! \* odciął się Ilja. \* Dwudziesty drugi rok \* wyrzucenie profesorów. Nie tak znów wielu, jakieś sześćset osób, zdaje się. Ale znowu doborowych! Najlepszych z najlepszych! Z rodzinami! Cały potencjał intelektualny. Dalej \* rozkułaczanie pochłania miliony wieśniaków \* również najlepszych, najpracowitszych. I ich dzieci. I także te, jeszcze nie urodzone. Ludzie znikają i unoszą z sobą geny. Zmniejsza się ogólny zasób genów. A represje partyjne to kogo niszczą? Tych, co mieli odwagę wyrażać własne zdanie, sprzeciwiać się, bronić własnego punktu widzenia! To znaczy porządnych, najporządniejszych ludzi! Duchowni byli planowo eksterminowani przez cały czas... Nosiciele wartości moralnych, nauczyciele, krzewiciele oświaty...

\* Ilja! Ale jednocześnie to ludzie najbardziej konserwatywni, nieprawdaż?

\* Nie będę zaprzeczał. Ale zwracam twoją uwagę, że w obecnych rosyjskich warunkach konserwatywny, to jest tradycyjny sposób myślenia nie stanowi takiego niebezpieczeństwa jak rewolucyjny \* z wyniosłym uśmiechem zauważył Goldberg. \* Idźmy dalej: okres II wojny światowej. Zwolnienie ze służby w wojsku dostają ludzie starzy i chorzy. Właśnie oni otrzymują szansę przeżycia. Więzienia i łagry wchłaniają



większą część populacji męskiej, pozbawiają ją możliwości pozostawienia potomstwa. Wyobrażasz sobie tę deformację? A do tego należy dodać znany rosyjski alkoholizm. Ale to nadal jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze jeden, nadzwyczaj ważny czynnik.

Oto wciąż się zastanawiamy, czy ewolucja jest procesem ukierunkowanym, czy cel zawiera się w niej samej? W ostatnim okresie, bardzo krótkim z punktu widzenia ewolucji, możemy obserwować rozwój wyjątkowo efektywnie ukierunkowanej ewolucji. Skoro ewolucja była nakierowana na utrzymanie się przy życiu, mamy prawo postawić pytanie: jakie cechy dawały pojedynczemu osobnikowi większą szansę na przetrwanie? Rozum? Talent? Honor? Poczucie własnej godności? Surowa postawa moralna? Nie! Te wszystkie cechy szkodziły przetrwaniu. Ich nosiciele albo opuścili kraj, albo byli planowo eksterminowani. A jakie cechy sprzyjały przetrwaniu? Ostrożność. Skrytość. Zdolność do obłudy. Chwiejność moralna. Brak poczucia własnej godności. W ogóle każda wyraźna cecha sprawiała, że dany człowiek się wyróżniał i był zagrożony ciosem. Szary, przeciętny, trójkowicz \* można powiedzieć, był w znacznie lepszym położeniu. Zwróć uwagę na podział według Gaussa, \* w nim wybija się centralna część, najsilniejsi nosiciele jakiegokolwiek bądź cechy. A teraz, uwzględniając te wszystkie czynniki, możemy konstruować mapę zasobu genów, stanowiących samą istotę bytu narodu radzieckiego. No i jakbyś ją widział?

\* Biorąc pod uwagę ogólną atmosferę, dałbym przedział od pięciu do siedmiu \* skomentował Paweł Aleksiejewicz.

Ilja Iosifowicz roześmiał się:

\* To właśnie twierdzą, że naród stał się gorszy \* „i komin niższy, i dym rzadszy...”. Wcześniej wielkość ta zwierała się w przedziale od dziesięciu do piętnastu...

Pawłowi Aleksiejewiczowi zawsze podobała się bystrość i nieustrasżoność myśli przyjaciela, choć bardzo często nie zgadzał się z wywodami, jakie prezentował on w oparciu o wytężoną pracę własnego umysłu. Tym razem też surowy obraz zwyrodnienia narodu, który przedstawił Ilja Iosifowicz, wymagał sprawdzenia. Paweł Aleksiejewicz doskonale pamiętał środowisko, w którym obracał się jego ojciec w

ostatnich przedrewolucyjnych latach. W pewnym sensie Ilja miał rację: lekarze wyższego stopnia, profesorowie uniwersyteccy, wiodący klinicyści tej epoki byli ludźmi wykształconymi po europejsku, z szerokimi zainteresowaniami, wykraczającymi poza ramy ściśle zawodowe. Pośród ludzi, którzy odwiedzali ich dom byli i wojskowi, i prawnicy, i pisarze... I trzeba powiedzieć uczciwie \* ludzi na takim poziomie umysłowym Paweł Aleksiejewicz nie spotykał już od dawna... Ale to nie oznaczało, że ich nie ma... Mogli istnieć gdzieś potajemnie, nie ujawniając się... „Ale nie, to bzdura” \* sam sobie przerwał Paweł Aleksiejewicz. To właśnie potwierdzałoby teorię Ilji \* siedzieć w kącie, nie ujawniać się. To właśnie oznaczałoby odżegnanie się od własnej osobowości... Poważny mankament w jego myśleniu leży gdzie indziej \* oczywiście w dzieciach. Nowo narodzonych. Każde z nich jest przepiękne i nieodgadnione, jak zapieczętowana książka. Teoria Ilji jest jednak zbyt mechanistyczna. Wychodzi bowiem na to, że jeżeli, na przykład, ze stu tysięcy genów usunie się ze dwa dziesiątki, to nowe dzieci, synowie i córki donosicieli, zabójców, złodziei i wiarołomców, dziedziczące wyłącznie cechy rodziców, zasiedlą świat... Bzdura! Każde niemowlę jest wyposażone w ogromny potencjał i jest przedstawicielem całego rodu ludzkiego. W końcu sam Goldberg napisał książkę o genialności i mógł być zauważyć, że geniusz \* to cudowne zjawisko i rzadkość, może się narodzić z rybaka, zegarmistrza, choćby z pomywaczki... Wielka przyroda gór i oceanów z całą ich zawartością: rybami, ptakami, grzybami i ludźmi, stoi znacznie ponad rozważaniami Ilji i mądrość świata przewyższa wszelkie, nawet najbardziej wybitne ludzkie odkrycia. Zalewasz się potem, człowiecze, sapiesz, stajesz na palcach, natężasz się ze wszystkich sił \* i odkrywasz zaledwie odblask prawdziwego prawa natury. Oczywiście, te sto tysięcy genów to wielkie odkrycie, ale w nim nie zawiera się całe istnienie, zaledwie nieznaczna jego część. A pełnia \* to śliskie od wewnętrznej mazi nowo narodzone dziecko i niechby każde z nich niosło w sobie wszystkie sto tysięcy zadatków, to nie może być tak, nie powinno być tak, by przyroda planowała masowe zwyrodnienie i by cały naród przekształcał się w eksperymentalne stado...

Coś w tym rodzaju, krótko, Paweł Aleksiejewicz wyłożył Goldbergowi, ale ten wyraził silny sprzeciw:

\* Pasza, przecież człowiek już dawno wyszedł z zasięgu praw przyrody, dawno! Już dziś niektóre procesy naturalne regulowane są przez człowieka, a za sto lat, zapewniam cię, ludzie nauczą się zmieniać klimat, decydować o dziedziczności, wynajdą nowe źródła energii... I sowieckiego człowieka pokroją i wprowadzą weń utracone geny. I w ogóle, wyobraź sobie, że młoda para postanawia mieć dziecko \* to już twoja specjalność \* i zawczasu planuje, jakie cechy rodziców i w jakiej możliwie najlepszej kombinacji byłyby pożądane i jaki jeszcze gen, którego rodzicom brakuje, należy wprowadzić do genomu dziecka!

\* Nie szkodziłoby zapytać samego dziecka \* zmarszczył się Paweł Aleksiejewicz. A Ilja Iosifowicz złościł się. Dlaczego ten stary ginekolog nie pojmuje prostych rzeczy, nie cieszy się razem z nim nieuchronnym pięknem przyszłego świata, poprawionego przez naukę według dokładnych obliczeń, bez przykrych odchyień od pięknego zamysłu?

\* A zmarłym nie każesz zmartwychwstać? \* jątrzył Paweł Aleksiejewicz.

\* Na razie nie, ale życie ludzkie przedłuży się co najmniej w dwójnasób. I ludzie będą w dwójnasób szczęśliwsi \* z nadmierną zapalczywością zapewniał Ilja Iosifowicz. Wszystkie jego odkrycia i poglądy potrzebowały sporu, bez polemiki czegoś w nich było brak...

\* A może będą nieszczęśliwsi w dwójnasób? Nie, nie, mnie taki świat nie urządza. W razie czego, to jak Iwan Karamazow po prostu zwrócę swój bilet...

Nie tak bardzo oddalili się od siebie nawzajem ojciec i córka, ojczym i pasierbica.

4.

Zapiski Heleny \* zeszyt drugi

Trzeba robić zapiski każdego dnia, o tej samej porze i trzeba powiedzieć Wasilisie, żeby mi o tym przypominała. Kiedyś prowadziłam już taki zeszyt, ale nie pamiętam, gdzie się on podział. Próbowałam go odszukać, ale na próżno. Dobrze pamiętam jak

tamten zeszyt wyglądał: zaczęty przez Tanię szkolny zeszyt do jakiegoś tam przedmiotu i potem zarzucony przez nią. Był błękitnego koloru.

Dzisiaj mam jasną głowę i moje myśli krążą po prostej linii. A zdarzają się i takie dni, kiedy żadna myśl nie dobiega do końca, gubi się. Albo słowa uciekają i wszystko jest w jakichś czarnych dziurach. Nieszczęście.

Na początku lekarze sądzili, że mam jakąś chorobę naczyń mózgowych. Potem PA zawiózł mnie do Instytutu Burdenki, gdzie mnie badano za pomocą różnych aparatów. PA nie odstępował mnie i twarz miał taką zakłopotaną. Jest taki dobry, że po prostu brak mi słów. Tam w tym instytucie powiedziano, że naczynia nie są w najlepszym stanie, ale nic złego z nimi się nie dzieje. Okazało się, że w rzeczywistości szukano guza mózgu, ale ku zadowoleniu wszystkich \* nie znaleziono. Nie powinno go zresztą być. Jestem całkowicie przekonana, że w mojej głowie nie ma niczego zbędnego, a wręcz przeciwnie \* brakuje czegoś niezbędnego. Badał mnie także psychiatra. Również nie wykrył żadnego schorzenia. Tym niemniej przesiedziałam półtora miesiąca w domu na zwolnieniu lekarskim, potem poszłam do pracy. Wszyscy się ucieszyli z mego powrotu i Gala, i Anna Arkadjewna. Gala wykonywała za mnie całą moją pracę, było jej ciężko. Kozłów przyniósł swoje wykresy i poprosił o zrobienie ich na czysto. Jak zwykle, znalazłam w nich sporo błędów. To dziwne, jest takim zdolnym inżynierem, a wyobraźni przestrzennej zupełnie nie ma.

Najlepiej czuję się przy kulmanowskiej desce, o niczym nie zapominam i jak zwykle \* praca mnie cieszy.

Tania w ostatnim czasie stała się trochę miłsza. Chociaż w sprawach zasadniczych nic się nie zmieniło \* do pracy nie chodzi, uniwersytet rzuciła. PA mówi, żebym z tego powodu nie robiła jej uwag. Twierdzi, że jest rozsądną dziewczyną i że powinniśmy jej ufać. Wczoraj, a może przedwczoraj, Tania przyszła do mnie wieczorem. Ja już leżałam. Pocałowała mnie, usiadła obok i zapytała, czy pamiętam jak razem z ojcem jeździliśmy do Timiriaziewki na konie. Długo razem wspominałyśmy jeden taki zimowy dzień. Pamiętałam go ze wszystkimi szczegółami, pamiętałam, że PA wciąż kapalo z nosa, nie miał chustki, bo zapomniał,

prosił więc co chwila, żeby się odwrócić i wycierał nos palcami, po żołniersku, z trąbieniem przez nos. Jacy wtedy byliśmy szczęśliwi! Pamiętam doskonale wszystko, co się działo tego dnia, jakim samochodem jechaliśmy, jakie futerko miała na sobie Tania, nawet przypominałam tego wspaniałego rasowego czarnego konia z małą głową. Nie mogłam tylko przypomnieć sobie jego imienia, ale Tania mi podpowiedziała: zwano go Arabem. Nie pamiętam, z jakiego powodu PA był tego dnia taki wesół. Wtedy jeszcze nie pił.

Ale tu się mylę. W tamtym roku właśnie zaczął pić. On wciąż martwi się o moje zdrowie, ale powinien i o swoim pomyśleć. Nie wolno w tym wieku tyle pić. Aleja nie mogę niczego mu na ten temat powiedzieć. Pomimo wszystko jest najlepszym z ludzi. Niezależnie od tego, że od dziesięciu lat żyjemy, jakbyśmy byli rozwiedzeni. A może nie rozwiedzeni?

Znowu przydarzył mi się zanik pamięci. Tym razem w pracy. W czasie przerwy obiadowej poszłam do bufetu. Jadłam jakąś sałatkę jarzynową i nagle przestałam rozumieć, co takiego przede mną stoi \* jakieś czerwone kawałeczki \* i nie wiedziałam, co z nimi zrobić... Przyszłam do siebie, tak jak poprzednim razem, dopiero w domu, w łóżku, następnego dnia. Przyjechała potem Anna Arkadjewna i opowiedziała, jak to ze mną było. Gdy bufetowa powiedziała, że już pora zamykać, ja jej

w ogóle nie odpowiedziałam. Bufetowa się wystraszyła, no i tak dalej. Anna Arkadjewna nie wezwała Pogotowia Ratunkowego, wzięła po prostu taksówkę i odwiozła mnie do domu. Mówiła, że byłam bardzo posłuszna, ale na pytania nie odpowiadałam.

PA zwolnił mnie z pracy. Bardzo łagodnie ze mną rozmawia, ale trochę nienaturalnie, jak z dzieckiem. Staram się mu wyjaśnić, że jestem zupełnie zdrowa, wypadają z mojej świadomości jakieś fragmenty, ale cała reszta pozostaje taka sama. Nie jestem wariatką, doskonale rozumiem, co się ze mną dzieje. Rzeczywiście, nie powinnam chodzić do pracy w takim stanie, ale chciałabym dostawać z instytutu pracę do domu. W instytucie praktykuje się oddawanie pracy do wykonania w domu. Inaczej będę się nudziła. Nie będziemy przecież z Wasilisą obie gotować tej samej zupy. Tak się więc

umówiliśmy.

Tomka powiedziała wczoraj, że pragnie iść do technikum. Zuch dziewczyna. Ona też jest dla mnie bardzo miła.

Rano wypiliśmy herbatę, zjadłam kanapkę z serem, a potem zapomniałam o tym i poszłam raz jeszcze do kuchni na śniadanie. Wasilisa naburczała na mnie, że przeszkadzam jej w przygotowaniu obiadu. Powiedziałam, że chciałam zjeść śniadanie, a ona mi przypomniała, że już jadłam. Ale koszmar! Pewnie się zamienię w staruszkę, która nie odchodzi od lodówki, jak obłąkana teściowa Anny Arkadjewny. Trzeba będzie notować, co już zrobiłam, a czego jeszcze nie.

Zjadłam śniadanie. Zjadłam obiad. Pracowałam po obiedzie. Przychodziła lekarka z polikliniki. W pokoju zimno.

Zjadłam śniadanie (a może to wczoraj?). Przychodził PA, gniewał się, że nie wzięłam tabletek. Teraz Wasilisa będzie mi dawała tabletki trzy razy dziennie, skoro ja zapominam. To bardzo śmieszne, trudno znaleźć osobę mniej do tego się nadającą. Dzisiaj obudziła mnie o szóstej rano, żebym wzięła lekarstwo. Pytam ją: kochana, dlaczego tak wcześnie? Boja potem zajmę się robotą i zapomnę \* mówi. Śmiech i grzech! To nie rodzina, a dom wariatów. Biedny PA, co z nim będzie, jeśli ja całkiem stracę pamięć?

Zjadłam śniadanie. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy się myłam. Poszłam do łazienki, a tam mój ręcznik jest mokry, to znaczy, że już się myłam. Był obiad \* zupa jarzynowa i kura na drugie. Czy wczoraj też była kura? I przedwczoraj?

Przywieziono mi z pracy deskę kulmanowską. Zajmuje pół pokoju. Zapytałam, czy można by ją przestawić. Okazało się, że przywieziono ją jeszcze w zeszłym tygodniu. Zdziwiłam się. Najstraszniejszego im nie powiedziałam \* że podobno już przy niej pracowałam, coś kreśliłam, ale kompletnie tego nie pamiętam. Pytać jest niezręcznie. Bardzo się staram zachowywać poprawnie. Z tego powodu, że wciąż się boję ujawniać moje zaniki pamięci, prawie przestałam rozmawiać z domownikami, staram się odpowiadać lakonicznie. Więcej oglądam teraz telewizji. Czytanie nie sprawia mi przyjemności. Wzięłam do ręki stareńką książkę Tolstoja. Chyba to jedyna rzecz, której czytanie mnie nie zasmuca. Tak dobrze ją znam, że nie wymaga to żadnego

wysiłku.

Dziś mam wyjątkowo trzeźwą głowę. Poleciłam Wasilisie, by zmieniała pościel.

Nigdy tego nie lubi robić. Jeśli się jej nie przypomni, sama tego nie robi.

Wykapałam się, umyłam włosy. Podczas siedzenia w wannie przypominałam sobie niedawny sen, z wielką ilością wody. I nagle pojęłam, że sny nie przestały mi się śnić, aleja przestałam je zapamiętywać. Trzeba się starać, by wszystko notować.

PA długo siedział u mnie w pokoju. Jak dobrze być z nim. Usiadł po prostu obok w fotelu i milczał. A później wziął mnie za rękę i długo przeglądał palce. Bardzo go kocham. Zapewne on to wie.

Zjadłam śniadanie. Wzięłam tabletki. Zjadłam obiad. W wykresach Kozł. dwa błędy. O wiele przyjemniej pracować dla konstruktorów. Oni mają znacznie lepiej przygotowanych współpracowników.

Okazuje się, że jest już maj. Koniecznie trzeba pisać daty. Inaczej czas się miesza jak kasza. PA powiedział, że chce wynająć daczę. Wydaje mi się to zbyt bezsensowne. Jak on to sobie wyobraża \* my z Wasilisą pojedziemy, on będzie przyjeżdżać na soboty i niedziele, dziewczynki w ogóle nie wiadomo, czy przyjadą choć raz w całym sezonie. A kto będzie w Moskwie cały dom prowadzić? Wasilis jest też przeciwna. Ona tylko co wyjeżdżała na pielgrzymkę na kilka dni, to dom po prostu się rozsypał. PA wracał dopiero wieczorem i wtedy życie się zazaczynało. Ja nawet pewnego dnia nie wstałam z łóżka. Na kuchni wszystko poprzestawiane, nie wiem, gdzie rondle, gdzie co... A może zapomniałam?

ZJADŁAM ŚNIADANIE. I TAK DALEJ.

Wasilisa powiedziała, że wyjedzie na Piotra i Pawła, dwunastego lipca?

Obcy ludzie. Wielu obcych ludzi. Po co przychodzi dużo obcych ludzi.

Ktoś' umarł. UMARŁ.

Nie mogę zrozumieć, a pytać niezręcznie \* wydaje się, że przenieśliśmy się do nowego mieszkania. Wszystko jest inaczej. Długi korytarz.

Dzisiaj przychodziła Tania. Albo Toma. Jednak Tania. Ładna.

Nikogo nie ma. Wczoraj nie ma. TANIA, PA.

Wasilisa podała herbatę.

ŚNIADANIE OBIAD KOLACJA.

PA powiedział wczoraj, że wyjeżdża służbowo na trzy dni. Wasilisa nie daje mi śniadania.

ZJADŁAM ŚNIADANIE. Nic mnie nie boli. Nie boi boli.

UMARŁ kto

TANIA TANIA TANIA TANIA

SZPITAL ŚNIADANIE NIE TRZEBA

PAWEŁ A PW PA

BIAŁE śnidanie

Dziej się straszne spyć PA GDZIE

SPIEG ŚNIEG SGIE NIEGSNIEG SN

Ja Helena Grigojewa N Kukc 1915 PA kto umr um tnia

5.

Praca Ilji Iosifowicza rozwijała się jak drzewo: u korzeni było po dawnemu, gałęzie zaś były nowe. Nowych, żywych pędów było całe mnóstwo. Antropologia, genetyka ewolucyjna, demografia, statystyka, a nawet historia \* wszystko docierało do jego rąk, było analizowane i służyło głównej pracy. Ilja Iosifowicz był jednocześnie i oraczem, i piewcą. Niekiedy wieczorami, po przepracowaniu bez przerwy dziesięciu godzin przy biurku, czuł przyjemne zmęczenie w mięśniach, jakie odczuwa się po górskiej przechadzce lub przejażdżce na nartach. Oprócz szesnastu pracowników laboratorium miał do czynienia jeszcze z ochotnikami \* studentami, bibliotekarkami, emerytami, którzy pomagali mu gromadzić olbrzymią ilość informacji, które z kolei Ilja Iosifowicz poddawał uogólnieniu i budował na ich podstawie system, przypominający okresowy układ Mendelejewa, ale wyjaśniający nie strukturę i cechy poszczególnych elementów, ale strukturę i cechy całych poszczególnych narodów. Swoje sieci rozciągnął tak szeroko, że łowiły się w nich najbardziej różnorodne okazy \* od Brockhausa i Efrona do Archipelagu GUŁAG, od Anaksymandra z Miletu do Theodosiusa Dobzhansky'ego. Od wielkości jego zamysłów kręciło mu się w łysej



głowie, stale występował w towarzystwach naukowych, w instytucjach edukacyjnych, na prywatnych seminariach, które dzięki niedopatrzeniu władz bezpieczeństwa, a po części pod ich słabszym nadzorem z powodu zaistniałej odwilży, szeroko się w tym okresie rozprzestrzeniły. To właśnie tutaj występował jak uduchowiony piewca w romantycznym sensie tego słowa. Paweł Aleksiejewicz, obecny kiedyś na jego wykładzie, wydał mu dość surową opinię:

\* Ilja, ty pewnie mówisz o rzeczach ważnych, ale za bardzo wpadasz w ferwor, jak jakiś Garrick...

Goldberg nie był w stanie poskromić swego zapału \* dokonał wstrząsającego odkrycia i śpieszył, by się nim podzielić ze współczesnymi mu ludźmi: uznał, że czynnik polityczny nieodzownie winien być rozpatrywany jako jeden z najważniejszych komponentów procesu ewolucyjnego. W przebadanym przez niego okresie od siedemnastego do pięćdziesiątego szóstego roku, na konkretnym miejscu \* terytorium ZSRR \* ten czynnik wywierał negatywny wpływ na proces ewolucji.

Goldberg, przekonany darwinista, rozpatrywał ewolucję jako zjawisko, mające aspekt moralny: pozytywna ewolucja, według niego, była ukierunkowana na zachowanie, udoskonalenie i poszerzenie obszaru, zajmowanego przez dany gatunek, a negatywna \* na osłabienie i degenerację. Władza sowiecka w swojej istocie, zdaniem Goldberga, postępowała, w konkretnych warunkach historycznych działała jako czynnik negatywny...

Monumentalna praca, coś w rodzaju Podstaw polityczno\*genetycznych teorii populacyjnej, jeszcze nie była napisana, ale Szkice z dziedziny genoetnografii narodu sowieckiego już istniały na papierze.

Istniały też i inne dane i dokumenty, zebrane starannie w zielonej teczce z podwójnym numerem, kolejno ponumerowane wpięte kartki ze sprawozdaniami oficjalnych i nieoficjalnych współpracowników, kopie kart czytelniczych z Biblioteki Leninowskiej i Biblioteki Literatury Zagranicznej, a także zapisy magnetofonowe płomiennych wystąpień Goldberga. Pod odrębnym numerem figurował maszynopis Szkiców z dziedziny genoetnografii z własnoręcznymi uwagami autora, zgubiony przypadkowo razem ze skórzaną teczką przez jednego ze szczególnie uzdolnionych

pracowników jego laboratorium w autobusie linii 110... Prawdopodobnie również przypadkiem znalazło się w grubej tece sprawozdanie Walentyny Drugiej z jej wyjazdu służbowego do Nowosybirsk. Aspirantka opisała w nim prace nowosybirskiego genetyka B. o „udomowieniu” lisów srebrzystych, zwierząt agresywnych i niebezpiecznych. Okazało się, że przy kolejnym doborze najbardziej łagodnych osobników i ich krzyżowaniu ze sobą w n-tym pokoleniu jakość ich sierści znacznie się pogorszyła, a same lisy, stając się posłuszne i ufnie, zaczęły po psiemu szczekać. W ten

sposób na kołnierze dla generalskich żon nadawały się jedynie te lisy, które absolutnie się nie zgadzały na dobre stosunki z człowiekiem. Lisy źle się zachowujące. A te, które nauczyły się lizać rękę, dającą pokarm, do niczego innego się nie nadawały.

Kapitan Siesławin, dokładnie obserwujący postępowanie samego Goldberga, był człowiekiem spoza branży. Po ukończeniu studiów w Instytucie Weterynarii, już jako specjalista, został zaproszony do pracy w organach do oddziału, nadzorującego naukę. Praca nowosybirskiego uczonego B. okazała się dla niego w pełni zrozumiała, choć krył się w niej jakiś podstęp.

Sam ten dość zabawny fakt z życia zwierząt, prawdopodobnie, nie zwróciłby uwagi czujnego Siesławina, ale w dołączonym do pracy protokole wystąpienia zapisane zostały słowa Goldberga: „Proszę zwrócić uwagę \* istnieje wyraźna korelacja pomiędzy posłuszeństwem a jakością sierści. Co zresztą obserwujemy i w naszym społeczeństwie \* im bardziej posłuszny jest dany człowiek, tym mniejszą wartość przedstawia jego osobowość...”.

Ten Żyd z trzema wyrokami nie podobał się Siesławinowi. U niego w Instytucie Weterynarii też byli w swoim czasie weismaniści\*morganiści, ale z nimi rozprawiono się według ich zasług, a studentów uczono biologii marksistowsko\*leninowskiej, z trawopolnym systemem, bez żadnych burżuazyjnych naleciałości. Dlatego, że jak powiedziano \* byt określa świadomość. Gdyby to od niego zależało, to Siesławin urządziłby tę wartościową osobowość w łagrze po raz czwarty dla poprawy wykrzywionej świadomości. Ale w tej sprawie rozporządzenia z góry nie było...

Ilja Iosifowicz z zapalem gromadził swoje dossier na naród sowiecki, a kapitan Siesławin z obowiązku, starannie i wszechstronnie \* na samego Goldberga.

Obaj okazali się pracowici i konsekwentni, i obaj pragnęli osiągnąć rezultat. Z tego powodu Ilja Iosifowicz przekazał rękopis swoich Szkiców przyjezdnemu amerykańskiemu uczonemu, chytrze przesyłając go przy pomocy długiego łańcuszka przyjaciół, znajomych i sympatyków bezpośrednio aż do Jeziora Łabędziego, gdzie pod muzykę Czajkowskiego i zsynchronizowane ruchy muskularnych nóg najlepszego w świecie corps de ballet nastąpiło jego przekazanie w celu opublikowania w czasopiśmie naukowym.

Kapitan Siesławin, nie wiedząc o tej ideologicznej dywersji, czuł instynktownie szkodliwość swego podopiecznego i pragnąc, tak jak i Ilja Iosifowicz, osiągnąć efektywny rezultat, złożył raport zwierzchnictwu o nieprawomyślności i ogólnej niepewności tego starego myśliciela. Zwierzchnictwo, podrapawszy się w swoją kolektywną głowę, obiecało się zastanowić. Pierwszym krokiem, które przedsięwzięło zwierzchnictwo, było zaproszenie Ilji Iosifowicza na rozmowę, którą miał przeprowadzić Siesławin. Ilja Iosifowicz, jako człowiek doświadczony, powinien był zachować wielką powściągliwość na spotkaniu z kapitanem. Ale opętał go bies naukowego gadulstwa i przez dwie i pół godziny prawie bez przerwy usta mu się nie zamykały. Pod naporem goldbergowskiej elokwencji Siesławin ledwie mógł zadać pytanie. Goldberg był z siebie nadzwyczaj zadowolony, wydawało mu się, że potrafił zainteresować śledczego swoimi ideami i zaraz, niczym zmyślny Odyseusz, planował, że byłoby wspaniale przeciągnąć tę potężną instytucję na swoją stronę... Niczego, absolutnie niczego nie nauczyły Ilji Iosifowicza trzy jego poprzednie wyroki.

O wpół do dziesiątej wieczorem Siesławin nieoczekiwanie ostro przerwał Goldbergowi i wbrew początkowemu wrażeniu okazało się, że nowego zwolennika Ilja Iosifowicz nie pozyskał. Wręcz odwrotnie, Siesławin przestał potakująco kiwać głową i nasrożył się:

\* A więc tak, nad muchami możecie sobie pracować ile wlezie \* to nas nie obchodzi. Natomiast wszystkie wasze prace o ludności przyniesiecie tutaj \* postukał w stół \* a

jeśli nie, to spotkają was wielkie nieprzyjemności... Lepiej, żebyście z nami nie zadzierali, Iljo Iosifowiczu...

Podczas gdy Goldberg rozmyślał, jak będzie lepiej postąpić w powstałej sytuacji, w jego mieszkaniu kończyło się tajne przeszukanie i jawna kradzież. Wróciwszy około dwunastej w nocy do swego nowego mieszkania na ulicy Profsojuznej, otrzymanego w ubiegłym roku z Akademii Nauk, zastał uszkodzone drzwi, a w mieszkaniu ślady znacznej kradzieży: brak telewizora, magnetofonu i młynka do kawy, a ponadto ślady chamskiego chuligaństwa w postaci kupy ekskrementów pośrodku pokoju...

Możliwe, że Goldberg z powodu swego wrodzonego, nieokiełzanego optymizmu przecenił znacznie temperaturę „odwilży”. Ale ponieważ już miał wiadomość, że jego Szkice zostaną wydrukowane w świetnym amerykańskim wydawnictwie, zadzwonił następnego dnia do Siesławina, spotkał się z nim pod klubem KGB na Dzierżyńce i przekazał mu w ręce swój przedostatni egzemplarz. Właściwie same Szkice nikogo nie interesowały, były już zarejestrowane, ale ważne było posłuszeństwo i Goldberg je zachował: przyniósł to, czego żądali.

Teraz nastąpił atak na Goldberga z nieprzewidzianej strony: zarządzono kontrolę działalności gospodarczej w laboratorium, które w ciągu dwóch lat istnienia zdobyło niemałą ilość aparatury i wyposażenia materiałowo\*technicznego, między innymi rodzynki do przygotowywania pokarmu dla much, spirytus do prac histologicznych, papier do pisania szkodliwych artykułów, naczynia szklane, odczynniki chemiczne i wiele innych rzeczy... Goldberg był uważany za kierownika laboratorium i oszczędzając na pensje dla pracowników naukowych, zaopatrzenie powierzył doświadczonej, starszej laborantce Natalii Iwanownie, ale sam ponosił odpowiedzialność materialną... Kontrola z Akademii nie wywoływała innych odczuć, jak tylko rozdrażnienie: przyszło dwoje nierobów i przewracają nieistotne papierki, przeszkadzając w pracy. Przez dwa tygodnie ta para \* gruba księgowa i chudy, o wojskowej postawie pomocnik \* ryli w papierach. Sformułowali śmiechu warte oskarżenie o sprzeniewierzenie. Przestraszona Natalia Iwanowna przedziutko złożyła wniosek o zwolnienie i śladu po niej nie zostało. W tym czasie gdy pracownicy wraz z Ilją Iosifowiczem rozprawiali na ten temat, sprawę przekazano do prokuratury. Ilja

Iosifowicz, mający bogatą przeszłość, powinien był się zastanowić, ale jego niefrasobliwość była na tyle wielka, że spostrzegł się dopiero w dniu posiedzenia sądu, kiedy rano znalazł w skrzynce pocztowej nadesłane z opóźnieniem wezwanie. I wtedy jeszcze nie rozumiał, jakie zawisło nad nim niebezpieczeństwo. Posiedzenie sądu było wyznaczone na godzinę piętnastą, jedyne, co zdążył zrobić podczas szybko mknących godzin przedpołudniowych, to porozmawiać przez telefon z dobrym adwokatem, zdobywającym ostatnio reputację obrońcy prawa. Ten się przeląkł, wnosząc z paru szczegółów, że to wrogie wystąpienie.

\* W żadnym wypadku niech pan dziś nie idzie do sądu \* poradził przenikliwy adwokat. \* Najlepiej niech pan pójdzie do polikliniki i weźmie zwolnienie lekarskie. Później pomyślimy, oni powinni przenieść posiedzenie sądu...

Ilja Iosifowicz nie poszedł do sądu, ale i do polikliniki się nie wybrał: niezręcznie będąc zdrowym prosić o zwolnienie lekarskie. Jednakże następnego dnia o dziewiątej rano czekał na niego w laboratorium osobnik o typowym wyglądzie donosiciela, który przedstawił się jako śledczy. Sprawa o sprzeniewierzenie zakreśliła się jeszcze bardziej, wynajęty adwokat, który szybko przekształcił się w przyjaciela, na początku się pośmiał, potem zamyślił i w końcu po długim wysiłku mózgowym zdecydował, że najlepszą strategią będzie skrupulatna obrona każdego z osiemnastu punktów naruszeń finansowych, zarzucanych Goldbergowi, a jakieś nieznaczne finansowe wykroczenie w rodzaju niezaprzyczonego czeku pozostawi się dla przyzwoitości, to znaczy dla społecznej nagany...

Schemat był sprytnie pomyślany, ale się nie udał. Błada i zapłakana Natalia Iwanowna złożyła urojone zeznania i Uja Iosifowicz otrzymał wyrok \* odpowiednio do wysokości finansowego przestępstwa \* pełnych trzech lat poprawczego obozu pracy. Strażnicy zabrali go prosto z sali sądowej na oczach wstrząśniętych i oburzonych współpracowników.

Książka Goldberga znajdowała się już w składzie, ale ani sam autor, ani resort Siesławina na razie nic o tym nie wiedzieli. Goldberga, który już tyle razy przechytrzył los, czekał wyjazd w znanym północnym kierunku...

6.

Upłynęły już dwa lata, od kiedy Tania wyprowadziła się z domu i zaczęła mieszkać w różnych miejscach, u nowych przyjaciół \* to w pracowni znajomego malarza na Szabołowce, to w zimowej, pustej dacy czyichś krewnych pod Zwienigorodem, to w służbowym mieszkaniu koleżanki, pracującej jako technik\*kontroler na Mołczanowce...

Przed pół rokiem przygarnęła ją jubilerka Wika\*Koza, potężna, nieładna kobieta z arystokratycznym nazwiskiem i pospolitymi przyzwyczajeniami. Cieszyła się swoistą sławą i Tania przebywała u niej niejako w charakterze czeladnika. Jak wypada czeladnikowi, zajmowała się gospodarstwem i była na posyłki. Pracownia Kozy mieściła się na Worowskiego, w półsuterenie, a mieszkanie \* w nowej dzielnicy. Jej rodzinę \* starych moskwian Bóg wie od ilu pokoleń \* przesiedlono ze Znamienki do Czeremuszek, a Wika, przeniósłszy matkę, dwie babki i syna, wciąż nie mogła oderwać się od miejsca, do którego była przyzwyczajona i do nowego mieszkania przyjeżdżała tylko na noc i to nie na każdą. Tania ulokowała się swobodnie w pracowni, w narożnym pokoiku, uprzednio zawalonym fragmentami cennych mebli z okolicznych śmietników.

Koza miała stalowe ręce, delikatną duszę i gwałtowne usposobienie miłośnika prawdy. W swoim czasie ukończyła technikum radiotechniczne, nauczyła się zręcznie trafiać lutownicą w potrzebny punkt na płycie i z tego mało interesującego zajęcia, jak też dzięki przypadkowym naprawom starych pierścionków i kolczyków dla znajomych staruszek z Arbatu, koleżanek swoich dwóch babć \* wynikł jej nowy zawód. Roboty

miała całe mnóstwo \* to coś naprawić, to zrobić oprawkę do kamienia, to proste kolczyki... Po pewnym czasie doszła do przekonania, że naprawa i przeróbki wymagają bardziej subtelnego wyczucia i większego doświadczenia, aniżeli wyrób nowych przedmiotów. Poszła więc się poduczyć do znanego jubilera \* artysty i dzięki zbiegowi różnych dziwnych okoliczności, w tym i mieszkaniowych, wyszła za niego za mąż. Po kilku latach mąż ją porzucił, była wtedy w ciąży, ale jako rekompensatę

zostawił jej swoją pracownię. Razem z pracownią Koza odziedziczyła cudowne życie wśród bohemy, z pićem alkoholu, zabawami, interesującymi ludźmi ze wszystkich warstw społecznych: eleganckimi klientkami, różnymi miłośnikami towarzystwa, muzykami i poetami domowego chowu, filozofami, którzy zbczyli z drogi marksistowsko\*leninowskiej, zwykłymi sympatycznymi próżniakami i w końcu tymi ludźmi nocy, których Tania obserwowała w pierwszym roku swojej wolności \* zobojętniałymi, do nikogo nie należącymi, jak dziwne zwierzęta, które żyją tylko w nocy, a w dzień znikają nie wiadomo gdzie. Teraz zresztą Tania dowiedziała się, gdzie spędzają oni niebezpieczny dla siebie czas dnia \* w takich właśnie zakamarkach, półsuterrenach, miejscach schronienia w rodzaju pracowni Wiki... Tania polubiła odwiedzających pracownię, wszystkich, całą gromadę, prawie nie robiąc pomiędzy nimi różnicy i nie wpatrując się oddzielnie w ich twarze. Odczuwała wyraźnie ich odmienność od tamtych, których spotykała na uniwersytecie, w laboratorium, w sklepie czy w konserwatorium. Nawet w tłumie potrafiła rozpoznawać tych, którzy mogliby przyjść do pracowni Wiki.

„Nasz człowiek” \* z uśmiechem mówiła Wika i nie potrzebowała dodawać żadnych wyjaśnień. Co bowiem oznaczał ten zaimiek dzierzawczy? Ani pochodzenia społecznego, ani narodowości, ani zawodu, ani też poziomu wykształcenia \* znaczył coś nieuchwytnego, po części związanego z negacją władzy sowieckiej, ale nie tylko. Żeby stać się „naszym” należało odczuwać

nieokreślony niepokój, niezadowolenie z tego co jest proponowane i dostępne, niezadowolenie z całego istniejącego świata od alfabetu po pogodę, łącznie z Panem Bogiem, który tak fatalnie wszystko urządził... Słowem, mieć poczucie rosyjskiej metafizycznej tęsknoty, która po decydującym XX Zjeździe zakiełkowała niczym zielona trawka na śmietniku na wiosnę...

Ci, którzy badali właściwości rosnących kapilarów mózgu, zasady gramatyki chińskiej czy elektroiskrowe metody obróbki metalu, nie mieli szansy, by trafić do kategorii „naszych”. Wprawdzie wśród nich również znajdowali się skryci wrogowie władzy sowieckiej, zachowywali oni jednak zasady maskowania się \* wiązali rankami swoje krawaty, czesali u fryzjera, a najważniejsze, że przez osiem godzin

dziennie utrzymywali na twarzach wyraz lojalności i z tego właśnie powodu zaliczali się jedynie do kategorii „klientów”.

A „nasz” człowiek, nieuczesany i niechlujny, przychodził do pracowni Wiki około północy, z butelką wódki, z gitarą, nastawioną na „nasze” pieśni, z nowym wierszem Brodskiego lub swoim własnym, albo też ze szczyptą wonnego anaszi \* i zostawał na noc \* z Kozą, albo z Tanią, jak los zrządził. „Naszość” była ponad osobistym popędem płciowym. Czasami pojawiały się lekkie romanse we własnym gronie, przy zachowaniu określonych, niepisanych reguł. Sama Koza była człowiekiem rzeczowym, gardziła głupimi namiętnościami, a sparzywszy się w młodości, wykorzeniła ze swego życia wszelkie sentymenty i tego też \* z dobrym skutkiem \* uczyła Tanię. Tani podobały się te zasady, zgodnie z którymi zaloty w rodzaju tych, jakie demonstrowali młodzi Goldbergowie przez całe pięć lat, były całkowicie zbyteczne, a sprawa rozstrzygała się krótko podczas wieczornej biesiady. Nad ranem bliższe stosunki się kończyły lub przedłużały, bez żadnych jednak zobowiązań dla obu zabawiających się stron...

Edukacja Tani odbywała się na ogół wyjątkowo pomyślnie \* jej sprawne ręce lekko i radośnie nabierały wprawy i uczyły się nowych chwytów. Tania wyjmowała sztabkę srebra czy starą łyżeczkę do herbaty z wlewnicy z rozpuszczonym mydłem, przekuwała młotkiem, nagrzewała na palniku do koloru wiśni, odpuszczała i przepędzała przez walcarkę. Potem przeciągała przez ciągarkę i z ostatniego wykroju wychodził nowy, cienki drut... Robota nie była trudna, ale Koza okazała się surową nauczycielką, nadzorowała pracę Tani, pilnując, by wszystko odbywało się zgodnie z zasadami, tak jak kiedyś uczył ją były mąż, pedant i nudziarz. Tania pracowała z zapalem i stosunkowo szybko przekształciła wszystkie zapasy srebra, zgromadzone przez Wikę, w drut milimetrowej grubości. Teraz Wika nie miała innego wyboru, jak wtajemniczyć Tanię w następny ważny etap pracy jubilerskiej \* lutowanie. W tej dziedzinie Wika\*Koza była mistrzem. I chociaż nie chroniła sekretów swego rzemiosła, chętnie dzieliła się wszystkimi tajemnicami miękkiego i twardego lutu, drobnych różnic w kolorze, według których określa się temperaturę rozpuszczonego lutu \* Tania nigdy nie osiągnęła poziomu wiedzy Wiki... Natomiast z palnikiem



oswoiła się doskonale: lekkim ruchem lewej ręki błyskawicznie przenosiła drżący płomień do ramienia dźwigni i umocowywała w statywie. Nigdy nawet się nie oparzyła. Po jakimś czasie zaczęła próbować montowania. Zanim nauczyła się przygotowywać wyrób do sprzedaży, uszkodziła sobie pilnikiem duży palec prawie do kości. Podobało jej się, że teraz jej ręce, kiedyś wymanikiurowane i o długich paznokciach, pokrywały zadraśnięcia i szramy rozmaitej świeżości, niczym u chłopca\*nastolatka... Duszą i ciałem Tania obróciła się w męską stronę \* ostrzygła włosy na krótko, wbiła się w swoje pierwsze džinsy, które stały się jej jedynym strojem, kupiła w sklepie „Dietskij Mir” dwie chłopięce, kraciaste koszule, wyrzuciła staniki, a bluzki z koronkami i okrągłymi kołnierzykami, uszyte według gustu matki, podarowała Tomie... Chińskie bezpłciowe paltko na grubym psim futrze, granatowe jak cała odzież robocza w Chinach i czapka\*uszanke z królika dopełniały nowego obrazu Tani. Na ulicy zwracano się do niej nieraz per „młody człowieku”, co też jej się podobało. Nawet chód Tani

się zmienił: pojawiło się chłopięce kołysanie w ramionach, gwałtowność ruchów... Skończyła już dwadzieścia dwa lata, a na nowo jak gdyby przeżywała wiek przejściowy. Choć jej nocne wyprawy prawie ustały, po dawnemu najbardziej ceniła nocne godziny, zwłaszcza te samotne, kiedy Wika wyjeżdżała wieczorem do Czeremuszek, wiozła dla rodziny dwie torby zakupów z garmażerni „Praga”, obcałowywała i obsypywała podarkami swego Miskę, awanturowała się z matką, godziła się zjedną z babek, a kłóciła z drugą. Stosunki w tej rodzinie zawsze były burzliwe: bez łez, połajanek i namiętych pocałunków jej członkowie nie mogli przeżyć ani jednego dnia. Po powrocie z Czeremuszek Koza zawsze była ożywiona i nieco wojownicza, jak gdyby rodzinne nieporozumienia wyzwalwały w niej dodatkowe źródła energii.

Tania odwiedzała swoją rodzinę rzadko. Zazwyczaj przychodziła pod wieczór. Mieszkanie, kiedyś pełne światła, teraz wydawało się mroczne niezależnie od pory dnia. Światło pochłaniały południowe rośliny Tomy. Były poblądłe i zakurzone, tylko wiecznozielone liście, których Toma nie leniła się przecierać wilgotną gąbką, połyskiwały woskowym blaskiem. Matka, siedząc w fotelu, nieco wygniecionym od

jej lekkiego ciała, szeleściła wełnianymi nitkami, które to wiązała, rytmicznie podzwaniając drutami, to pruć z suchym, elektrycznym trzaskiem. Kłębki starej włóczki, pokryte supełkami i końcówkami wiązań, miękko turlały się pod nogami. Dwie pręgowane kotki Murki, matka i córka, leniwie dotykały łapami tych ruszających się szarych kłębków, na których zbierały się kłaki ich wyliniałej sierści i kłęby kurzu ze źle wymiecionej podłogi.

Tania siadała zazwyczaj obok matki na obracanym taborecie od fortepianu. Helena Gieorgijewna na widok Tani uśmiechała się uszczęśliwiona.

\* Córeczko, ja chciałam... \* Helena zaczynała mówić, ale nie kończyła zdania.

\* Co, mamusiu?

Matka milczała, zgubiła już ślad pragnienia, które przemknęło. W odróżnieniu od rwących się nici, których końce chwytiała i związywała, ani myśli, ani zdania nie mogła związać w miejscu, gdzie się obrywało i cierpiąc, starała się jakoś ukryć przed otoczeniem swój okropny stan.

\* Jeśli chcesz, przyniosę ci herbaty \* proponowała Tania coś pierwsze lepsze z brzegu, co przychodziło na myśl.

\* Nie trzeba herbaty... Powiedz mi... \* i znowu milkła.

\* Co robisz na drutach? \* nową próbę nawiązania kontaktu podejmowała Tania.

\* Tak... Ja robię dla ciebie... \* zmieszana odpowiadała Helena i uśmiechała się z poczuciem winy. \* Trochę sprułam...

Helena nie wiedziała co robi na drutach. Każda jej robota przekształcała się w prostokąt i trzeba było albo spuszczać oczka, albo robić otwór na głowę, gubiła się, pruć wszystko i na nowo nabierała oczka...

Tania szybko się męczyła tą uciążliwą rozmową, niemożnością porozumienia: matka, oczywiście, była chora, ale choroba ta była jakaś dziwna... Taki cichy rozpad...

\* Może pójdziemy na spacer, chcesz? \* proponowała Tania. Helena patrzyła na nią przestraszona:

\* Na ulicę?

Po tych okropnych przerwach w życiorysie, jakie zdarzyły się jej poza domem, całkiem przestała wychodzić do miasta. Trudno jej było nawet wyjść z własnego

pokoju. Kiedy musiała iść do toalety, albo do kuchni, brała na ręce kotkę, kocie ciepło dawało poczucie równowagi. Myśl o świecie, istniejącym poza granicami mieszkania, napawała ją dzikim strachem. Tego strachu się krepowała i starała się go ukryć.

\* Dzisiaj nie trzeba \* mówiła po dziecinnemu i szukała oczami którejś kotki. Od tej bezradności i prawie dziecinnej intonacji, od gorączkowego poszukiwania kota Tania sama traciła głowę.

\* Opowiedz mi... \* niewyraźnie prosiła Helena.

\* O czym? \* Tania chowała się za pustymi słowami, ponieważ opowiadanie o jej obecnym życiu nie było możliwe.

Helena uśmiechała się żałośnie:

\* O czymkolwiek...

Taka rozmowa ciągnęła się pół godziny, później Tania szła do kuchni, nastawiała czajnik, a przy tym zauważała rozkład i zaniedbanie w życiu domu, niewyczyszczone garnki, źle umyte filiżanki... Jakieś jedzenie wprawdzie było \* Toma przynosiła wieczorem to, co zdążyła zdobyć w przerwie pomiędzy końcem pracy, a początkiem wieczornej nauki.

Potem przychodził ojciec. Od niego też zamiast uprzedniej tężyzny i poczucia władzy załatywało starzeniem się i upadkiem... Jego silna aura, kiedyś tak mocna i przyciągająca, wyczerpała się i Tani było niezręcznie patrzeć na niego: wydawało się, że uczynił jakiś fałszywy krok i chce to ukryć.

Paweł Aleksiejewicz skurczył się, schudł, ramiona mu obwisły, na czole i policzkach wystąpiły głębokie bruzdy, jak gdyby jego własna skóra stała się za obszerna. Cieszył się na widok Tani, z początku jego twarz boksera zakwitała wszystkimi psimi zmarszczkami, ale szybko to mijało, gdy widział smutek Tani i jej źle skrywany żal. Cierpiał jak porzucony kochanek, ale z powodu dumy nigdy pierwszy nie zaczynał rozmowy \* ich dawne, lekkie, z czegokolwiek wynikające szczęśliwe przebywanie ze sobą rozumiejących się nawzajem ludzi już więcej nigdy się nie zdarzało...

Ostatecznie oślepiła Wasilisa wychylała się z komórki. W kuchni czuła się tak pewnie, że jej ślepotą była niezauważalna. Nakrywała do stołu, grzała zupę dla Pawła

Aleksiejewicza, nawet stawiała obok talerza stugramową szklaneczkę z mętnego szkła... Po mieszkaniu chodziła, przytrzymując się ręką ścian, tak że na tapetach pozostał ślad jej szukającej dłoni, wskazujący przebywaną drogę \* ciemny pas na niebieskim i żółtym tle. Poruszała się bezgłośnie na podszytych podszewkach .starych walonek i było zadziwiające, jak uparcie trzymał się jej wiejski zapach \* kwaśnego mleka, paprochów z siana, a nawet jakby czadu z pieca...

Dom rodziców przygnębiał Tanię i wywoływał smutek. Z Tomą spotykała się teraz rzadko, ale za każdym razem, gdy zachodziła do domu, zostawiała jej coś w podarku \* to pierścionek z krwawnikiem, to wisiorek, to paczkę tanich herbatników.

W końcu lutego trafiła się Tani pierwsza sprzedaż \* prawdziwe pieniądze za prawdziwą pracę. Pięćdziesiąt rubli za srebrny pierścionek z przezroczystoczarnym przydymionym topazem, owalnym delikatnym kamieniem, nad którym trudziła się dwa dni. Kiedyś jej laborancki zarobek wynosił 37 rubli i 50 kopiejek, a wobec tego te jubilerskie pieniądze wydały jej się lekko zarobione i oszałamiające. Postanowiła kupić prezenty dla wszystkich.

Pożyczyła od Kozy torbę gospodarczą i postąpiła tak, jak jej mistrzyni: napełniła torbę typowymi arbatskimi towarami \* herbatą indyjską, ciastkami, herbatnikami. Z jakiegoś powodu wystawiono tego dnia na sprzedaż angielskie wyroby kosmetyczne i niemieckie papierosy, kupiła je więc również. Dla ojca \* butelkę koniaku armeńskiego, choć wiedziała, że woli wódkę, ale tak miało być bardziej elegancko. Otworzył jej Paweł Aleksiejewicz, który już zdążył wypić swoją wieczorną porcję. Przycisnął gwałtownie jej głowę w szarej króliczej czapce do piersi, zmarszczył twarz:

\* Taniu, jakie nieszczęście... Witalika Goldberga pobito. Giennadij przyjechał z Obnińska i telefonował. Tylko co wróciłem ze szpitala na Sklifosowskiego. On jest w ciężkim stanie. Rozmawiałem z lekarzem. Ma uraz czaszki, złamaną rękę, nos. Dotąd nie odzyskał przytomności... W Ameryce wydano książkę Ilji... Widzisz, jakie tu sprawy...

Tania nawet nie postawiła ciężkiej torby na podłodze, stała przy drzwiach, oszołomiona wiadomością. Chłopcy Goldbergowie, choć w ostatnim czasie prawie

się z nimi nie stykała, byli dla niej więcej niż przyjaciółmi, raczej krewnymi. Tania postawiła torbę i rozplakała się. Paweł Aleksiejewicz ściągnął z niej mokrą czapkę i ciężkie palto.

\* To KGB? \* nagle przytomnie zapytała Tania.

\* Prawdopodobnie. Bili go zawodowcy. Zabić nie chcieli. Gdyby chcieli, to by to zrobili.

Wasilisa stała na swoim zwykłym miejscu w korytarzu, przy zakręcie między kuchnią a przedpokojem i jak gdyby patrzyła w ich stronę:

\* Taniu, to ty?

\* Ja, ja, Wasiu, podarunki przyniosłam.

\* Z jakiej to okazji? \* zdziwiła się Wasilisa. Czas nie był świąteczny, był wielkopostny.

\* Kupiłam dla ciebie koniak armeński \* uśmiechnęła się Tania mokrymi oczami i Paweł Aleksiejewicz ucieszył się \* nie z koniaku, oczywiście, który do tej pory znosili mu pacjenci w ilości przewyższającej znacznie normalne zapotrzebowanie \* a z uśmiechu Tani, który był taki, jak zawsze, jak przedtem, jak gdyby nie było między nimi tych ostatnich lat obcości.

\* Chodźmy, znajdziemy do mamy, a potem napijemy się razem twojego koniaku, dobrze? \* zaproponował Paweł Aleksiejewicz i popchnął lekko Tanię w kierunku pokoju matki.

\* Powiedziałeś jej o Witaliku? \* szeptem spytała Tania. Paweł Aleksiejewicz pokręcił głową:

\* Nie trzeba.

Siedzieli we trójkę po raz pierwszy od kilku lat. Helena na fotelu, Tania na jej łóżku, od którego niosła się woń ni to kotów, ni to starego moczu. Paweł Aleksiejewicz przysunął się bliżej razem z okrągłym taborettem...

\* A może wypilibyśmy trochę, co, dziewczyny? \* zapytał dość energicznie, ale zaraz się zaciął: Helena patrzyła na niego z przerażeniem.

\* Wypijmy, wypijmy, mamusiu! \* krzyknęła niespodziewanie Tania i przyniosła natychmiast z korytarza swój koniak. Paweł Aleksiejewicz poszedł po kieliszki.

\* Ty myślisz, że... Nieprawdaż... Paweł Aleksiejewicz mówi...

\* powiedziała Helena niepewnie i bez związku, ale z niewątpliwym protestem.

\* No, co ty, mamu, jeden kieliszek...

Paweł Aleksiejewicz stał w drzwiach z trzema kieliszkami. Okazało się, że Lenoczka nie wszystko zapomniała \* pamiętała w tej chwili, że jej mąż to alkoholik.

Zaniepokoiła się o niego na widok butelki...

\* A tobie, Lenoczko, to dobrze zrobi na naczynia krwionośne \* uśmiechnął się Paweł Aleksiejewicz.

Helena niepewnie wyciągnęła rękę, niezręcznie ujęła w garść zielony, mokry kieliszek. Robótka ześliznęła jej się z kolan, spadła na podłogę. Młodsza Murka zaraz zaczepiła ją łapą. Helena się zaniepokoiła, przekrzywiła kieliszek i wylała odrobinę koniaku:

\* Patrz, Taniu... Wszystko spadło... jak to... mokro...

Nie potrafiła postawić kieliszka i podnieść robótki, to było zbyt skomplikowane...

Paweł Aleksiejewicz podniósł robótkę i położył na łóżku. Nalał sobie i Tani:

\* Twoje zdrowie, mamusiu!

Helena z lekka przesuwiała kieliszek przed sobą. Tania przechyliła go jej do ust i Helena wypiła. Przesiedzieli razem prawie godzinę, milcząc i uśmiechając się. Pili powoli koniak, jedli ciastka. A potem nagle Helena powiedziała całkiem zrozumiale i wyraźnie, jak dawno już nie mówiła:

\* Jaki miły dziś wieczór, Taniusiu. Jak dobrze, że przyjechałaś do domu. Paszeńka, czy pamiętasz ulicę Karantinną?

\* Jaką Karantinną? \* zdziwił się Paweł Aleksiejewicz. Helena uśmiechnęła się, tak jak dorośli uśmiechają się do naiwnych dzieci:

\* Na Syberii, pamiętasz? Ty nas stamtąd zabrałaś do szpitala... Dobrze tam się nam żyło, w szpitalu...

\* Przecież nam i teraz żyje się nieźle, Lenoczko \* położył jej rękę na głowie, przeciągnął po policzku \* ona ujęła jego rękę i pocałowała...

Jakie to dziwne, on, Paweł Aleksiejewicz, nie pamiętał żadnej Karantinnej ulicy, a

Helena pamiętała. Co za kaprysy pamięci! Dwadzieścia lat wspólnego życia, a jedno pamięta z niego to, a drugie \* tamto... Do jakiego stopnia było ono wspólne, jeżeli wspomnienia o tym samym tak się od siebie różnią?

A potem przyjechał Giena Goldberg i opowiedział o wczorajszym wydarzeniu. Jego brat wracał późno do domu i został pobity już na własnej klatce schodowej. Dopiero wcześniej rano znalazł go tam sąsiad, zapalony biegacz dla zdrowia, który wyszedł po szóstej na swoje sportowe wyczyny. Współpracownicy Witalija podali, że w ostatnim tygodniu kilkakrotnie do niego dzwoniło, grożono.

\* A do ciebie nie dzwoniło? \* zainteresowała się Tania.

\* Do mnie nie mają po co dzwonić, ja jestem na uboczu od tej sprawy \*  
usprawiedliwiał się jak gdyby Giena.

Sprawa polegała prawdopodobnie na tym, że Witalij dopiero co wrócił z Jakucji, gdzie zbierał dane antropologiczne o narodach Północy. Został zaraz wezwany do I Oddziału, gdzie zażądano, by oddał wszystkie materiały, zebrane podczas delegacji, ponieważ temat jego pracy postanowiono utajnić. Witalij odmówił. Gdzie tkwiła tajemnica \* od dawna wiedział cały świat: północne narody rozpijały się i wymierały, ilość Jakutów i innych plemion przez ostatnich dwadzieścia lat zmniejszyła się czterokrotnie. Wszystko to jak najlogiczniej pasowało do teorii Ilji Goldberga o genetycznej degeneracji narodu sowieckiego, ale nie pasowało do koncepcji połączanego cuda na Wszechzwiązkowej Wystawie Rolniczej, pod szyldem „Fontanna Przyjaźni Narodów”.

Jeszcze trochę później przyszła Toma. Zaproponowano, by wypić razem ze wszystkimi resztkę koniaku, prawie z samego dna butelki. Tomie po tym kieliszku zaszumiało w głowie, zaczęła się głośno śmiać. Atmosfera się popsuła. Tania pocałowała matkę, ojca, włożyła chińskie paltko i przypomniawszy sobie o Wasilisie, już ubrana, poszła, by się z nią pożegnać. Weszła do ciemnego pokoiku, szcęknęła wyłącznikiem. Żarówka była przepalona, ale Wasilisa nawet o tym nie wiedziała. Odwróciła głowę, słysząc dźwięk:

\* To Tania?

Tania pocałowała Wasilię w głowę, przykrytą czarną chustką:

\* Powiedz, co ci przynieść?

\* Niczego mi nie trzeba. Sama przychodź \* niecierpliwie odpowiedziała Wasilisa.

\* Ja przychodzę...

Tania wyszła na ulicę razem z Gieną. Zaproponował, że ją odprowadzi.

Toma zaprowadziła Helenę do łazienki. Trzeba było zmienić grubą warstwę szmat, włożonych w formie miękkiego wałka w stare majtki kąpielowe, naciągnięte pod bardziej luźne pantalone, na suchą wkładkę. Toma nie zwracała najmniejszej uwagi na jej wstydlawy sprzeciw, robiła to każdego wieczoru i każdego wieczoru mówiła szybko, bez żadnego wyrzutu:

\* Ty stój, stój, mamusiu, trzeba zmienić mokre... Przeszkadzasz mi...

Potem podmywała i wycierała biedną Helenę, robiła to zrećnie i dość szorstko, jak robią to tanie salowe w szpitalach. Helena tak się wstydziła, że zamykała oczy i wyłączała się. Robiła taki mały, lekki ruch, który oznaczał „mniemniema”. Potem Toma, popychając Helenę przed sobą, prowadziła ją do sypialni i kładła do łóżka. Następnie przywoływała Wasilisę, a ta, usadowiwszy się w nogach łóżka, zaczynała mamrotać swoje wieczorne wysławianie \* długą modlitwę, zlepek różnych formuł modlitewnych, psalmów i własnych próśb, wśród których najczęściej wymieniana była o „chrześcijańską śmierć, spokojną, bezbolesną i godną”...

A Helena patrzyła swoimi jaśniejszymi z roku na rok oczami, które kiedyś były błękitne, a teraz stały się szaro\*dymne \* z jednej ciemności w drugą...

7.

O swoich stosunkach z braćmi Goldbergami Tania mogła powiedzieć tylko jedno: tak się złożyło. Obaj od dzieciństwa

kochali się w niej i zjadle ze sobą rywalizowali. Tania była trudnym doświadczeniem, któremu poddana została więź pomiędzy bliźniakami \* najbliższa więź, jaka występuje między ludźmi. Nawet matka ze swoim dzieckiem w świecie ludzi, gdzie poczęcie bez udziału męskiej komórki przypisuje się jedynie Marii z Nazaretu, pod względem swej cielesnej budowy nie odczuwa takiej bliskości, jak



jednojąkowe bliźnięta. O tym również mówi goldbergowska ścisła nauka \* genetyka. Obaj bracia Goldbergowie doświadczenie to przeszli z honorem: za cichą zgodą do Kukockich przychodzili zawsze we dwójkę, dzwoniąc przez telefon zapowiadali się, że to my, Goldbergowie, choć ze względu na techniczne możliwości telefonii rozmawiał z nich tylko jeden. Jeśli zapraszali Tanię do teatru czy do kina, to bezapelacyjnie szli we czwórkę, z nieciekawą Tomą jako koniecznym dodatkiem do zabójczego uroku Tani. O Tani nigdy ze sobą nie rozmawiali, tylko gdy chodziło o informację lub też pośrednio:

\* W sobotę pójdziemy do Kukockich...

\* Kupiłem bilety do teatru na następną niedzielę... I na tym koniec.

Każdy z chłopców miał wielkie podstawy po temu, by być nieznośnym dzieckiem o wysokim intelekcie, z egocentrycznym skrzywieniem osobowości, ale obecność Tani w ich życiu w szczególny sposób łagodziła tę niebezpieczną okoliczność, iż byli wciąż żydowskimi „wunderkindami”, z nieprzezwykłym i prawie przyrodzonym poczuciem wyższości nad otoczeniem. To „prawie przyrodzone” poczucie zawierało w sobie ogromną treść, z którą i w gorzkich latach dzieciństwa, i w latach późniejszych przyszło im się zmierzyć. Tania pomogła im w tym bardzo. Wesoła, kędzierzawa, zupełnie nie interesująca się tym, jak się do niej odnoszą inni \* może dlatego, że ze wszystkich stron otrzymywała mnóstwo dowodów miłości \* Tania była poza konkurencją, chociażby z tego powodu, że była o dwie klasy niżej. Między nimi były dwa lata różnicy, a oprócz tego Tania należała do innego, kobiecego świata.

Chociaż

więc do piętnastu lat była od nich wyższa i być może, silniejsza \* nie przychodziło im do głowy, by się z nią mierzyć \* obaj byli gotowi jej się podporządkować, służyć i dostarczać wszelkich, odpowiednich do wieku przyjemności... Mimochodem, bezwiednie, machnąwszy skośnym brzegiem kraciastej spódniczki, Tania obaliła surowo przestrzeganą hierarchię intelektu, według której najwyższe miejsce zajmował jeszcze nie strącony z piedestału Ilja Iosifowicz, później bliźniacy, którzy nadążali krok w krok za nim, a wszyscy pozostali znajdowali się już za nimi. Ale nie Tania... Ona była poza tym... z prawa, czy z lewa... W istocie jej postępowanie

niezupełnie było uczciwe, to tak jakby grając w szachy, nie uprzedzała przeciwnika, zmieniała na gorąco zasady i wygrywała, zrzucając cudze figury z pola pstryknięciem dużego i średniego palca... Ale właśnie to było najbardziej fascynujące w Tani dla braci Goldbergów \* nie kasztanowe kędziory, ani nie mocne brzdąkanie na pianinie... Tym sposobem hierarchia intelektu okazała się nie jedyną skalą, według której rozkładały się wartości...

Gusty i predylekcje obu braci od samego początku były bardzo podobne, ale ich matka wiedziała prawie od chwili urodzin, że Giena, urodzony o dwadzieścia minut później, to znaczy młodszy, mocniej płacze i głośniej się śmieje. Jego pragnienia były wyrazistsze, a lęki bardziej określone. W każdym razie właśnie pięcioletni Witalik, stosunkowo starszy, pytał Giennadija:

\* A jaką kaszę my bardziej lubimy?

I Giennadij decydował, że gryczaną...

Uwielbianie Tani zwalniało ich w pewnej mierze z roli „cudownych dzieci” \* najwyższy stopień w hierarchii dobrowolnie, ale nie w pełni poprawnie, pozostawiali Tani. Szkoła w Małachowce nie umiała docenić zdolności chłopców \* prymusi i prymusi. Prostuduszna Walentyna, pracująca jako laborantka aż do pięćdziesiątego trzeciego roku, kiedy to w zapale walki z kosmopolityzmem ją zwolniono, z powodu trudności powojennego życia nie zdążyła się zorientować do swojej przedwczesnej śmierci co do uzdolnień swoich dzieci, a egocentryczny ojciec, sam wywodzący się z „wunderkindów”, uważał rzadkie zdolności chłopców za coś zupełnie naturalnego. Bracia stanowili dla siebie zdrową konkurencję nie tylko w stosunku do Tani, ale także w fizyce, chemii i matematyce. Dla Tani chyba bardziej interesujące było przebywanie z Witalikiem, ponieważ on skłaniał się ku medycynie, mieli więc ze sobą więcej wspólnych tematów, ale jeśli chodzi o adoratorów, to prawdę mówiąc, wolała innych, obcych chłopców, którzy nie wykazywali się tak dużą wiedzą z dziedziny nauk przyrodniczych, ale za to potrafili zręcznie przebierać nogami, tańcząc rock and roll'a, który przesączył się z Zachodu przez pory „żelaznej kurtyny”...

Teraz, gdy Ilja Goldberg został aresztowany i w przeciwieństwie do lat poprzednich

wydawał się niewinnie cierpiącym bohaterem \* była połowa lat sześćdziesiątych! \* jego synów oświetlił blask ojca. Szczególnie po pobiciu Witalija w nocy u wejścia do jego domu...

Tania z Gieną wyszli z mieszkania Kukockich po godzinie jedenastej. Giena wiedział, że Tania nie mieszka w domu z rodzicami, ale w ostatnim roku nie spotykali się, ani nie dzwonili do siebie. Tanię przepełniało współczucie dla Witalija i pragnęła jak najszybciej wziąć udział w czuwaniu przy nim w szpitalu. Giena po raz pierwszy znalazł się z Tanią sam na sam i nieoczekiwanie zaistniała zupełnie nowa konfiguracja, w której Witalik istniał oddzielnie, a oni z Tanią we dwoje, złączeni wspólnym bólem i współczuciem. Na razie Witalik, opłatany rurkami, ze szwami wzdłuż kości policzkowej i u nasady nosa, z kroplówką, w gipsie, na wpół drzemał, odgradzony szklaną ścianą, Giena zaś, uchwyciwszy się rękawa granatowego paltka, prowadził Tanię do metra, namawiając, by pojechała przenocować na Profsojuzną, tak by z raną, nie tracąc czasu, od razu popędzić do szpitala na Sklifosowskiego... Tania trochę się wahała: zazwyczaj uprzedzała wcześniej Kożę, jeśli miała zamiar nocować poza pracownią. Telefonu

tam nie było. Tania ociągała się, Giena był zdecydowany... Ogólnie mówiąc, nie miała ochoty się rozstawać, pojechała więc na Profsojuzną, gdzie przedtem nigdy jeszcze nie była...

Dwupokojowe mieszkanie w czteropiętrowym bloku „chruszczowowskim” wyglądało tak, jak gdyby rewizja zakończyła się w nim przed dwiema godzinami. Nauczona raczej porządku, aniżeli czystości, zbuntowana w istocie przeciwko nieugiętej logice porządku, od dwóch lat włócząca się po przypadkowych domach, aby w końcu znaleźć przytułek w pracowni wśród żelastwa, starych blejtramów i stosów połamanych mebli \* Tania zdębiała wobec tego żywiołu zapisanego papieru, rozlewającego się po stołach, krzesłach i szeroką falą po podłodze... Wśród papierów widniały wydeptane ścieżki \* do „wodopoju” i jedzenia, do stołu i do łazienki, na gazetach, położonych na zapisanych kartkach, utworzone były herbaciane polany z gromadami burych od esencji w środku i brudnych z zewnątrz rozmaitych filiżanek. Spokojne stada wykarmionych karaluchów pasły się na tych naukowych łąkach...

\* Jak wy tu możecie mieszkać? \* zdumiała się, przyzwyczajona do wszystkiego Tania.

\* Zwyczajnie. Ja w większej części przebywam w Obnińsku, a ojciec z Witalikiem tutaj. Do domu nikogo nie wpuszczamy, żeby ludzie się nie przestraszyli \* błysnął białymi jak ziarna fasoli zębami. \* W Małachowce jest jeszcze gorzej. Za życia mamy był jakiś porządek, jak ona go utrzymywała, nie mam pojęcia...

\* Nie, to niemożliwe. \* Tania, nie zdjawszy jeszcze palta, przemyśliwała, od czego zacząć sprzątanie. \* Zaczniemy od kuchni \* oświadczyła.

Decyzja okazała się słuszna. W kuchni papierów było mniej, a zwykły brud nie wymagał takiej uwagi, jak papiery. Wielopokładowy brud na płycie kuchennej odłupywał się warstwami, linoleum koloru szarych pomyj łatwo dało się umyć, szczęściem znalazła się w łazience paczka proszku do prania. W pokojach praca szła wolniej \* papiery trzeba było czytać i od czasu do czasu oboje utykali nad jakąś bardziej pomysłową kartką. Dokonali większego wyczynu niż Herkules: nawóz koński ze stajni można było wyrzucać nie patrząc.

Od dwunastej do wpół do piątej rano, na cztery ręce, sprząтали w wesołym nastroju. Gadali, śmiali się, wspominali jakieś tajemnice z dzieciństwa, wszystko szło lekko, brud ściekał do kanalizacji, papiery układały się w szufladach \* tu także przytrafił się zabawny moment: szuflady w biurku okazały się zupełnie puste! Ci, co robili rewizję, udając grabież, zabrali tylko to, co znajdowało się w biurku, inne pisma, późniejsze, leżące grubymi warstwami na wszystkich powierzchniach, służących do pracy i nie do pracy, pozostawili nietknięte...

\* Dziwny charakter ma twój braciszek \* powiedziała pod koniec Tania. \* Ilja Iosifowicz od pół roku przebywa w więzieniu, a on ani razu nie sprzątnął mieszkania.

\* Ty nie rozumiesz, to zakątek pełen świętości, mieszkanie\*muzeum...

O wpół do piątej spod wielowarstwowych stosów papieru ukazała się wąska kanapa, nakryta zakurzoną narzutą. Tania rymnęła na nią, wzbijając obłok kurzu.

\* Dosyć. Teraz spać \* rozkazała Tania i Giena, przewyciężający w sobie od kilku godzin różne pragnienia, od czulej tkliwości do najbardziej zwierzęcego pożądania, nie dał na siebie czekać...

Oddawszy cały zapas sił młodego chwata, po dwóch nieprzespanych nocach zapadł w sen, nie przestając się dziwić poczuciu wielkiej czułości i równie gwałtownego zezwierżenia...

„Ale skąd to poczucie świństwa, jakiejś winy?” \* zdążył pomyśleć zasypiając.

Wewnętrzny głos odpowiedział mu surowo:

\* Przecież to siostra...

Tania nad niczym takim się nie zastanawiała. Ten, z którym sypiała ostatnio, był doświadczonym geologiem, niewybrednym prawie jak święty, z niezmierną ilością dzieci, urodzonych przez różne bufetowe i żony akademików, i był ani lepszy, ani gorszy od tego miłego, lubianego od dzieciństwa przyjaciela. Tania nie upatrywała specjalnego powabu w łóżkowych przyjemnościach i zawsze dziwiła się swoim starszym koleżankom, że tak szaleją z powodu mężczyzn. Dla niej w łóżku wszyscy byli tacy sami... Wtedy nie wiedziała jeszcze, że tak nie jest.

Do szpitala przyjechali nie przed dziewiątą, jak zamierzali, ale dopiero koło dwunastej. Najprzód nie mogli się obudzić, później Giena potwierdzał swoje świeżo nabyte prawa. Witalik o tej porze był już przeniesiony z reanimacji na salę ogólną \* jego stan się poprawił, odzyskał przytomność i nie wybierał się już na śmierć.

8.

Już minął rok od czasu, kiedy zmętniała powłoka zakryła ostatecznie jedyne oko Wasilisy. Ogarnęła ją ciemność. Ślepotą, nieszczęście i straszliwe zagrożenie starych ludzi, dla niej stała się wyzwoleniem od nieustannej pracy. Nastąpił należny urlop, po którym niewidoma Wasilisa oczekiwała ostatecznego, bezterminowego i bezkresnego odpoczynienia. Jej stała aktywność, nastawiona na zewnątrz, teraz obróciła się do wewnątrz. Wcześniej modliła się do obrazów. Było ich kilka: ciemna Kazariska, wykonana wprawną chodepowską trójbarwną techniką malarską, Prorok Elias, rozrąbany głupim toporem i z grubsza sklejonny z dwóch połówek, tak że oblicze Proroka zostało zachowane, a płaszcz, zwisający z ognistego wozu, w swojej większej części nie dostał się w wyciągnięte ręce Elizeusza, ale w postaci szczapy

pozostał w wiejskiej cerkwi i spłonął wraz z nią. Był jeszcze Serafim z pluszowym niedźwiadkiem bez ucha i tonący Piotr w przekrzywionej na bok aureoli, wyciągający rękę ku idącemu obok w inną stronę Zbawicielowi. Teraz wszystkich tych orędowników Wasilisa jak gdyby została pozbawiona. Klęczała na zwykłym miejscu, na wytartej jej kolanami łysinie na dywaniku i starała się odtworzyć ich w pamięci, ale nie mogła. Ciemność, która ją ogarnęła, tworzyła jednolitą ścianę, bez żadnych odcieni czy prześwitów. Trwało to długo i Wasilisa martwiła się, że jak się jej wydawało, modlitwa jej zawisa wokół głowy w dusznym powietrzu i nie wznosi się ani do Pana Boga, ani do Bogarodzicy, ani do Świętych Pańskich. Później na ciemnym tle pojawiać się zaczęło jak gdyby coś na kształt drgającego płomienia świecy. Było słabiutkie i chybotliwe, aż Wasilisa bała się, że to jedynie wytwór jej wyobraźni. Ten jasny punkt był jednak tak przyciągający, tak cieszył, że Wasilisa przyzywała go w duszy i starała się zatrzymać jak najdłużej. I chwiejne światło się powiększało, wzmacniało, jaśniało, niewidoczne dla nikogo w jej własnej ciemności, pobudzając ją do nieustannej, prawie niemej modlitwy. Modlitwa dotyczyła teraz tylko tego, by „płomyk”, jak go nazywała, nie odchodził od niej. Modlitwa nie opuszczała jej nawet we śnie, drzemała jakby obok, jak stara Murka, która już dawno wybrała sobie nocleg u jej wychudzonych, zimnych nóg.

Wasilisa już wcześniej ustaliła dla siebie nowy, lżejszy tryb życia, bez zwykłych niekończących się obowiązków \* bez kupowania zbytecznych, w jej mniemaniu, produktów, bez dużego prania prawie nie zabrudzonej bielizny, bez gruntownego sprzątania, pozostawiła sobie natomiast jedynie niemal rytualny obowiązek mycia Heleny rano i spotykania po pracy Pawła Aleksiejewicza. Większą część dnia spędzała w swojej alkwie, zajmując się cichą medytacją, zrozumiała tylko przez wschodnich mnichów... Była to mieszanina modlitewnej kontemplacji, duchowego obcowania z przeoryszą, matką Anatoliją, z którą zbliżyła się w ostatnim okresie na skutek ślepoty bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, troskliwego wspomnienia wszystkich żyjących i zmarłych, bliskich i dalekich, poczynając od własnych rodziców, niezapomnianego ojca Warsonofija, a kończąc na bezimiennych, dawno

zmarłych mniszkach z N\*skiego monasteru \* przy świetle małego płomyka, który nauczyła się rozdmuchiwać w sobie, jak węgle w piecu...

Każdego dnia, biorąc z rąk Wasilisy skromniutki obiad, nie różniący się zupełnie od szpitalnego, który przynosiła mu sanitariuszka podczas pracy, Paweł Aleksiejewicz wyrzucał sobie,

że nie może pokonać uporu Wasilisy \* był bowiem przekonany, że miała zwykłą zaćmę na oku, którą można by zoperować i chociaż częściowo przywrócić utracony wzrok. Nie był typem zagubionego profesora, nie umiejącego zapalić palnika gazowego. Mógł sobie sam podgrzać obiad, potrafił go nawet ugotować, ale nie mógł odmówić Wasilisie prawa do wykonywania minimum jej obowiązków, a przyjęcie kogoś do obsługi niewidomej służącej też nie było możliwe...

Znowu i znowu mówił jej o operacji, ale Wasilisa nawet słyszeć o tym nie chciała, poddając się woli Bożej, która tak zdecydowała... Paweł Aleksiejewicz złościł się, nie mógł jej zrozumieć, usiłował, posługując się jej własną logiką, przekonać ją, że wola Boża właśnie na tym polega, żeby lekarz, powołany do operowania niewidomych, zrobił jej zabieg i ona znowu ujrzała świat \* na chwałę Bożą... Kręciła głową, a wtedy on irytował się jeszcze bardziej, obwiniał ją o tchórzostwo, ciemnotę i dziwactwo...

Za każdym razem, gdy Paweł Aleksiejewicz wypijał nieco więcej niż zwykle, na nowo namawiał Wasilisę. Ale żadne racjonalne argumenty do niej nie trafiały.

Pewnego razu Toma, nie porozumiewając się wcale z Pawłem Aleksiejewiczem, która po prostu wtaszczyła na czwarte piętro (winda tego dnia nie działała) ogromny toreb z bielizną pościelową z pralni i bardzo się zmęczyła, przypadkiem rzuciła jedyne przekonywające słowa:

\* Ty, ciociu Wasiu, spójrz, jaka jesteś mocna i zdrowa, mogłabyś wodę wozić, a ty nic, tylko się modlisz... Poszłabyś chociaż ze mną razem...

Toma, niezależnie od szczupłej budowy, w rzeczywistości należała również do typu ludzi wytrzymałych \* całymi dniami mozoliła się nad swymi zielonymi dziećmi, prawie podpierając się nosem, kopała, peła bez ustanku. Chłopska krew odezwała się w niej jednak: to, czego nie chciała robić dla zwykłych buraków i marchwi, robiła z

tkliwością i pasją dla rododendronów i szuazji.

Pracy domowej, którą teraz musiała się zajmować i to w coraz większym stopniu, nigdy nie lubiła, a teraz miała na głowie jeszcze naukę w technikum wieczorowym i była rzeczywiście bardzo zapracowana...

Wyrzut, który w podnieceniu wygłosiła Toma, Wasilisa nosiła w sobie przez całą dobę. Jak zwykle, myślała powoli, uporczywie, wezwała matkę Anatoliję na pomoc. W końcu, w niedzielny wieczór po kolacji oświadczyła Pawłowi Aleksiejewiczowi, że zgadza się na operację.

\* Przecież nie chciałaś? \* zdziwił się Paweł Aleksiejewicz. \* Trzeba będzie najpierw pójść do okulisty. Przekonsultować... Może nie będą mogli...

\* A dlaczego by nie? Ja się zgadzam, niech kroją... Przeciwwskazań co do operacji lekarze nie znaleźli. Za dwa

tygodnie Wasilisę Gawryłównę zoperowano w Instytucie Okulistycznym na ulicy Gorkiego. Wzrok został przywrócony w sześćdziesięciu procentach i Wasilisa powróciła do swego poprzedniego trybu życia: znów chodziła po sklepach, stała w kolejkach, go to wała jedzenie i prała. Tylko sposób jej poruszania się pozostał niepewny, ostrożny, jak gdyby Wasilisa niosła jakiś kruchy, cenny przedmiot \* swoje jedyne odzyskane oko. Słowa Pawła Aleksiejewicza o Bożej woli, która realizuje się rękami lekarzy, dotarły do jej serca. Chociaż doskonale pamiętała całą operację, przeprowadzoną pod miejscowym znieczuleniem, od pierwszego bardzo bolesnego zastrzyku w samo oko do momentu, kiedy zdjęto opatrunek i ujrzała ludzi, niewyraźnych i chwiejnych jak drzewa na wietrze, stale jej się przypominała ewangeliczna opowieść o uratowaniu ślepo urodzonego i zabiegi lekarzy nad jej ociemniałym okiem łączyła z dotknięciem przez Zbawiciela martwych oczu młodego ślepeca.

Nikt z domowników nie domyślał się, jak się zmienił po odzyskaniu wzroku stosunek Wasilisy do samej siebie \* nabrała szacunku do swego mocnego, na wieki dziewiczego ciała, do muskularnych, z wystającymi kośćmi, nóg i rąk, a w szczególności do niepozornego, łzawiącego oka, które zawzięło się i przejrzało. To wewnętrzne światelko, które świeciło jej w czasie pełnej ślepoty,



zniknęło i teraz, po przywróconym widzeniu w żaden sposób nie mogła go już ujrzeć. Tęskniła za utraconym „płomykiem”, ale była przekonana, że do niej wróci, kiedy tymczasowo wskrzeszone oko znów zagaśnie.

Odzyskawszy wzrok Wasilisa zrozumiała, w jakim niepotrzebnym, daremnym strachu o swoje jedyne oko przeżyła większą część swego życia. Dopiero gdy całkowicie oślepla, wyzwoliła się z tego strachu, a teraz po operacji, gdy na nowo ujrzała Boży świat, z nową, wyrazistą siłą uwierzyła nie tyle w samego Boga \* jej wiara nigdy nie potrzebowała potwierdzenia

\* co w miłość Boga do niej, krzywej, głupiej, niewykształconej Wasilisy. Zaczęła więc szanować tę Wasilisę jako obiekt Bożej miłości... Teraz była pewna, że Pan Bóg wyróżnił ją spośród mnóstwa innych ludzi...

Zakradła się też do jej głowy nowa, dziwaczna myśl: że Bóg kochają nawet więcej, niż innych... Ot, chociażby taka Tania

\* od urodzenia ładna, bogata, zdolna, a przecież wyniosła się z domu, tuła się po obcych kątach jak jakiś włóczęga i to nie z potrzeby, ale z własnej woli... Albo Paweł Aleksiejewicz, taki ważny, znamienity, doktor z doktorów, a ile dzieci zniszczył \* policzyć trudno, siedzi w grzechach aż po czubek głowy. I pije jak najbardziej niewydarzony chłop, jak zmarły brat, Panie, świeć nad jego duszą... O Helenie to nawet nie ma co mówić, jej życie jasne jak na dłoni: i dobra, i łagodna, i litościwa \* wszystkie koty ratowała, a Flotowa to zapomniała. Czy to nie na jej sumieniu? A za co Bóg ją tak karze? Pozbawił rozumu i przytomności. Żyje, jakby była zwierzęciem...

Wasilisa odnosiła się teraz do Heleny wyrozumiale \* jak do domowego stworzenia. Trzeba nakarmić, wyczyścić... I rozmawiała z nią jak z kotem \* w powietrze, niewyraźnymi słowami pochwały albo niezadowolenia... Nie, nie było wątpliwości: jeśli kogoś Pan Bóg wyróżnił, to właśnie ją, Wasilisę. Na początku oko odebrał, a potem oddał... Jak to inaczej rozumieć?

Tania codziennie chodziła do szpitala i pomagała Witalikowi radzić sobie ze wszystkim, od mycia się po jedzenie. Prawą rękę miał w gipsie, a zjedną, lewą, nawet książkę było mu trudno czytać \* nie dawało się przewrócić kartki... Witalij trochę przesadzał ze swoją nieporadnością, pozwalał sobie nawet na kaprysy. Każdego dnia Tania z gospodarczą torbą Wiki, dotąd jej nie zwróconą, jechała z ulicy Profsojuznej na ulicę Sklifosowskiego. Przyjaciele Goldbergów dostarczyli sporo pieniędzy i Tania zamieniała je na rozmaite kulinarne wyroby. Te ćwiczenia w kuchni zastąpiły jej w pełni ćwiczenia jubilerskie. Do pracowni Wiki Tania wpadła tylko jeden raz, zabrała stamtąd trzy pary majtek, wełniane skarpetki i notes \* cały swój majątek. W każdą sobotę z Obnińska przyjeżdżał Giena, jedli kolację, wypijali butelkę gruzińskiego wina, spali na wygniecionej przez starego, kościstego Goldberga kanapie i jechali razem do szpitala. Dziecięca swoboda w ich stosunkach peszyła Giennadija. Było tak, jakby mieli po pięć lat i huścali się na huścawce, albo grali w ciuciubabkę, zgadując w ciemności poprzez dotyk, kto właśnie wpadł w ich objęcia... Natura oddała ich sobie nawzajem do dyspozycji i żadne zbędne słowa między nimi nie padały...

Witalij przeleżał w szpitalu półtora miesiąca. Urazy w końcu okazały się nie tyle ciężkie, co skomplikowane. Rozbity nos został odtworzony nie gorzej od poprzedniego, wstrząs mózgu też nie był czymś osobliwym, ale ze złamanym łokciem było dużo kłopotów. Zrobiono jedną operację, nie udało się najlepiej \* utworzył się rzekomy staw. Trzeba było robić następny zabieg, po którym staw w ogóle stracił ruchomość. Albo wykonawcy „cichej roboty” rzeczywiście byli zawodowcami i dobrze wiedzieli, jak należy łamać rękę, albo prześladował Witalika jakiś pech.

Tak czy inaczej, wypisano go ze szpitala pod koniec zimy i Tania uroczyście przywiozła go do domu i nawet urządziła z tej okazji niewielkie przyjęcie dla bliskich przyjaciół. W kolejną sobotę, jak zwykle, przyjechał z Obnińska Giena. Witalik już od trzech dni przebywał w domu. Zaraz za progiem Giena się zorientował, że jego miejsce zostało zajęte. Strasznie się rozżalił, ale nie był zdziwiony. Patrzył uważnie na Tanię, ale ona nie odczuwała

najmniejszego niepokoju. Zjedli obiad we trójkę. Na stole leżał gruby, drożdżowy pieróg, pachniał ciepłem i spokojem domowym. Tania troszczyła się o Witalika jak o dziecko i Giena zrozumiał, że bratu chyba się poszczęściło... Interesujące było też to, czy zdaje on sobie sprawę, iż uwiódł cudzą kochankę...

Tymczasem Tania umyła naczynia i oświadczyła, że dzisiaj nocuje u siebie w domu:

\* Na pewno macie o czym ze sobą pogadać i beze mnie...

Bracia rzeczywiście mieli o czym rozmawiać. Laboratorium, którym kierował ojciec, zostało zamknięte z powodu wciąż tych samych mitycznych naruszeń finansowych.

Goldberga zawiadomiono o tym w obozie. Martwiła go przyszłość laboratorium i trudności, jakie nieuchronnie dotknęły jego pracowników, a przede wszystkim los Walentyny, którą od razu zwolniono z laboratorium, pozbawiono czasowego

meldunku w domu akademickim dla aspirantów i po długiej, nie dającej rezultatu wędrówce po różnych gabinetach w resorcie, odesłano z powrotem do Nowosybirsk, gdzie żadnej pracy jej nie zaproponowano. List od ojca do synów nadszedł kilka dni temu. Zawierał nieco pokrętne i bardzo spóźnione przyznanie się do miłości wobec Walentyny, pełne żalu zdania o gorącym uczuciu do ich nieżyjącej matki, a także trochę wstydliwie przedstawiony zamiar ożenku z Walentyną.

Dla obu młodych ludzi nie było w tym nic nowego \* o romansie ich ojca wiedzieli wszyscy, ale ojciec nie uważał za potrzebne wyjaśnianie im czegokolwiek, aż do momentu aresztowania. Najprawdopodobniej wcale nie zamierzał żenić się z Walentyną, a myśl ta przyszła mu do głowy dopiero w więzieniu. Widzenia były dozwolone tylko dla żon, wydawało się, że istniała jakaś prawna możliwość zawarcia ślubu w żonie. Właśnie w związku z tym Goldberg prosił synów o skontaktowanie się z adwokatem i poinformowanie się, jak najrozsądniej podejść do tej sprawy. Podał też, że Walentyny nie zawiadamia

o swoim zamiarze, dopóki nie będzie pewien, że zawarcie ślubu będzie możliwe.

„Nie chciałbym nikomu sprawiać dodatkowych kłopotów, ale, drodzy moi, proszę was, żebyście wzięli na siebie wyjaśnienie tej sprawy, ponieważ W., choć jest człowiekiem mocnym

i wyjątkowo szlachetnym, to jednak jest kobietą i jestem całkowicie przekonany, że

dla niej pójdzie do adwokata z tym problemem byłoby nazbyt upokarzające."

\* Nasza rówieśnica? \* Witalij wskazał na list, który Giennadij czytał głośno.

\* Wydaje się, że starsza o jakieś dwa, a może trzy lata.

\* Macocha \* uśmiechnął się Witalij.

Witalik, jeszcze nie w pełni uświadomiwszy sobie szczęście, jakie nagle mu przypadło, chciał właściwie powiedzieć bratu, że i on sam gotów jest się ożenić, ale utzymał język za zębami. Zbyt długo, prawie przez całe życie współzawodniczyli ze sobą o Tanię, żeby tak prosto z mostu zawiadomić go o swoim olśniewającym zwycięstwie, oznaczającym jednocześnie bezwarunkową przegraną brata. Było mu nawet przykro za niego, prawie jak za samego siebie. Delikatne pytanie, dlaczego Tania wolą wybrać jego, na razie nie zaprzętało uwagi Witalika. Była niespodziewaną nagrodą za to wszystko, czego musiał doświadczyć. W końcu, jeśli po to, by ją zdobyć, trzeba byłoby przejść przez gorsze jeszcze próby, bez wahania by się zgodził.

Giena miał tę wyższość, że był pierwszy, ale milczał. Na pewno Witalika niezbyt ucieszyłaby wiadomość, że sześć sobotnich nocy, gorących, świątecznych nocy z soboty na niedzielę jego brat spędził tutaj z Tanią...

O Tani, jak to było przyjęte między nimi, nie rozmawiali. Za to długo rozmawiali o ojcu, o jego bezgranicznej i takiej staromodnej naiwności. I o jego odwadze. I o jego talencie, i o honorze. I o tym, jakie mieli szczęście, iż ojcem ich jest taki niepospolity człowiek.

A później Giena zachował się jak starszy brat. Z uwagi na nadchodzącą noc, pojechał do Obnińska, wyjaśniając Witalikowi, że nazajutrz ma wyznaczone spotkanie z kierownikiem.

O jedenastej, gdy drzwi za bratem się zamknęły, Witalik natychmiast zadzwonił do Kukockich, przygotowawszy uprzednio zdanie, stosowane w dzieciństwie:

\* To my, bracia Goldbergowie...

Tani jednak w domu nie było. Tego wieczoru nawet tam nie zaglądała... Siedziała u Kozy i beznamiętnie opowiadała historię z bliźniakami, która zdarzyła się zupełnie przypadkiem i zupełnie niepotrzebnie...

Wika śmiała się donośnie, przywoływała Szekspira, Arystofanesa i Tomasza Manna, a Tania, popijając gruzińskie wino, marszczyła się...

\* Są dla mnie jak bracia. Rośliśmy razem. Ja kocham ich obu.

Wika podniosła swoje krągłe, kobiece ramię, wydeła suche wargi, ujęła w twarde dłonie w kolorze metalu swoje miękkie kule piersi, obciążone różowym trykotem i pohuśtała nimi w powietrzu:

\* To weź ich obu. Tylko jednocześnie. To ponętna okazja. Tania spojrzała na nią poważnie, jak na lekcji matematyki:

\* A wiesz, że to myśl. Właściwie ta ponętna okazja szczególnie mnie nie interesuje, ale przynajmniej nikomu nie będzie przykro... I będzie uczciwie.

Wika dusiła się ze śmiechu.

W następną sobotę Giena nie przyjechał z Obnińska. Tania dodzwoniła się do niego z trudem. Zdawkowo ją poinformował, że jest bardzo zajęty i w najbliższym czasie nie może przyjechać. Zebrała się więc szybko i sama pojechała do Obnińska. Były ostatnie marcowe mrozy i Tania skostniała już w kolejce elektrycznej. Długo szukała hotelu dla pracowników i znalazła

go dopiero pod wieczór. Zastała Giennadija w łóżku \* był bardzo przeziębiony i leżał, przykryty dwoma kocami i czymś starym paltem. W pokoju było rozpaczliwie zimno, rozlana woda na parapecie była zamarznęta.

\* Biedni, biedni moi chłopcy \* mruzczała Tania, rozgrzewając ręce na piersi Gieny. Miał około 39 stopni temperatury i Tani zdawało się, że jej ręce leżą na patelni.

\* Ty przemarzłaś do samego środka \* zaśmiał się Giena, osiągnąwszy granice tego, co możliwe.

\* Tak \* potwierdziła Tania. \* Na wskroś. Ale ty jesteś bardzo rozpalony.

Stopniowo temperatura obojga się wyrównywała. Giena poszedł do wspólnej kuchni, by nastawić czajnik. Miał własną grzałkę, ale z powodu dużego napięcia wysiadały bezpieczniki. Wszyscy mieszkańcy używali bowiem do ogrzewania kuchenek i piecyków elektrycznych.

Wypili herbatę. Żadnego jedzenia nie było i nie było gdzie go kupić. Na wpół puste sklepy dawno były zamknięte. Jeszcze raz rozgrzali się od siebie nawzajem. Nad

ranem Gienna zapytał Tanię, czy nie zechciałaby dokonać wyboru.

\* Ja już wybrałam \* poważnie odparła Tania. \* Wybrałam braci Goldbergów.

\* Ale nas jest dwóch. \* Ja wiem.

\* No i co?

\* Ano nic, nie widzę żadnej różnicy. Dla mnie i ty, i Witałik to jedno... \* Tania rozłożyła ręce. \* W ogóle to ja i waszego ojca bardzo lubię.

Gienna uniósł się z poduszki:

\* Ojca możesz zostawić w spokoju, ma się żenić.

\* Ale ja o nikogo się nie ubiegam... To ty mnie męczysz wyborem. Zresztą masz wyjście \* możesz mnie wyrzucić \* zaśmiała się Tania.

On przytulił jej głowę do swego twardego ramienia, wzburzył jej krótko ostrzyżone na karku włosy:

\* Pamiętasz, jak przyjeżdżaliśmy do was do Zwienigorodu? Chodziliśmy nad rzekę... Pływaliśmy łódką... Graliśmy w badmintona... A ty wyrosłaś i stałaś się zwykłą suczką.

\* Dlaczego? \* zdziwiła się Tania. \* Dlaczego suczką?

\* Bo tobie jest zupełnie wszystko jedno z kim się puszczasz. Tania poruszyła się, układając się wygodniej:

\* Nie, nie wszystko jedno. Z niektórymi nigdy i za nic. Ale z braćmi Goldbergami \* proszę bardzo.

\* Ja pomyślę, może więc odstąpię ciębie Witałikowi.

\* Właśnie za szlachetność lubię braci Goldbergów \* mruknęła Tania i zasnęła...

Giennadij coś jeszcze mówił i był głęboko zdziwiony stwierdziwszy, że Tania już mocno śpi.

Jego przeziębienie dziwnym trafem minęło, czuł się zupełnie zdrow i całkowicie nieszczęśliwy. Rozmawiać trzeba było \* sądząc ze wszystkiego \* nie z nią, a z bratem, tylko właściwie \* o czym?

Również w tych dniach przyszedł dziwny list, zaadresowany do Heleny Georgijewny. Wyjęła go ze skrzynki Wasilisa razem z gazetami i przyniosła Helenie. Ta wzięła do rąk oficjalną białą kopertę z pieczętą, której nie próbowała rozszyfrować i tak z nie otwartą kopertą w rękach przesiedziała do wieczora, dopóki nie zajrzał do niej Paweł Aleksiejewicz. Podała mu list:

\* Proszę... oto koperta... To do Tani.

Paweł Aleksiejewicz wziął kopertę. Nadawcą było Kolegium Prawnicze do spraw Zagranicznych. Na białym papierze bladymi literami było napisane, że Kolegium zawiadamia o poszukiwaniu spadkobierców Antona Iwanowicza Flotowa, który zmarł dziewiętego stycznia sześćdziesiątego trzeciego roku w klinice onkologicznej miasta Buenos Aires i który zapisał połowę pozostałego po nim majątku swojej żonie Helenie

Georgijewnie Flotowej i córce Tatianie Antonownie Flotowej. Kolegium informuje również, iż dane o zmianie nazwiska i przysposobieniu otrzymano z Biura Stanu Cywilnego miasta W. i wzywa Helenę Georgijewnę na rozmowę w sprawie formalności, związanych ze spadkiem, a także dla wyjaśnienia statusu spadkobierczyni, jej córki, Tatiany Pawłowny Kukockiej...

Paweł położył pismo na stole i wyszedł. Wiadomość była oszałamiająca. Sądząc po tym oficjalnym, urzędowym piśmie, Anton Iwanowicz Flotow wcale nie zginął w czasie wojny, a w niewiadomy sposób trafił do Ameryki Południowej i umarł tam po dwudziestu latach. Zdenerwowała Pawła Aleksiejewicza nie wiadomość o śmierci tego nieznanego, mającego z nim pośredni tylko związek człowieka, a tym bardziej nie wiadomość o jakimś mitycznym spadku... Ciężarem stała się świadomość konieczności zawiadomienia Tani, że jej rodzonym ojcem był inny człowiek i to teraz, kiedy stosunki między nimi i bez tego tak się nadwreżyły.

Usiadł w gabinecie przy biurku, zapomniawszy na chwilę, po co tu przyszedł. Poszperał automatycznie ręką na półce obok biurka: ręce lepiej od głowy pamiętały o jego potrzebach, wyciągnął pół butelki wódki i niewielką, „akuratną” jak lubił mówić szklaneczkę i wypił. Po minucie przejaśniło mu się w głowie. Teraz opowie o wszystkim Helenie, a potem sprowadzi Tanię, odkryje przed nią tajemnicę ojcostwa i

niech ona sama decyduje, co zrobić z tym spadkiem. O Wasilisie, jedynym prócz Heleny człowieku, który znał Flotowa, nawet nie pomyślał. Jego ojcostwo, kiedyś takie szczęśliwe, kończyło się smutnym i pospolitym wydarzeniem: odnalazł się prawdziwy ojciec, co prawda zmarły, i wywrócił całą tę fałszywą sytuację. Zabolowało serce, jak palec przyciśnięty drzwiami. Zmarszczył się i wypił resztę wódki.

Wrócił do sypialni. Helena siedziała w fotelu, młoda kotka mruczała na jej kolanach niczym zbliżająca się kolejka elektryczna i zdawało się, że za chwilę rozlegnie się jej gwizd. Na widok Pawła Aleksiejewicza Murka zamilkła i schowała ogon pod siebie.

\* Wiesz, Lenoczko, w tym piśmie jest informacja o śmierci twego pierwszego męża, Antona Iwanowicza Flotowa. Według tego pisma Flotow nie zginął na froncie, a prawdopodobnie dostał się do niewoli i potem trafił do Ameryki Południowej... A zmarł zaledwie kilka miesięcy temu...

Helena zareagowała niespodziewanie żywo:

\* Tak, tak, oczywiście, te ogromne kaktusy, te kolce... \* tak i myślałam. \* To opuncje, prawda?

\* Jakie opuncje? \* zaniepokoił się Paweł.

Helena z roztargnieniem poruszyła ręką, zmieszała się:

\* A ty nikomu nie powiesz?

\* O czym?

Ona uśmiechnęła się żałośnie smutnym uśmiechem i chwyciła kota, jak dziecko chwyta za rękę nianię:

\* Były ogromne, z kolcami, na czerwonej ziemi... I był jeździec, to znaczy na początku nie miał konia... Teraz myślę, że to był on...

\* Czy to ci się nie przyśniło?

Uśmiechnęła się wyrozumiałym uśmiechem jak dorosły do dziecka:

\* Co ty, Paszeńka! To ty raczej mnie się śnisz.

Helena dawno już nie zwracała się do niego „Paszeńka”. Dawno nie mówiła takim pewnym tonem. Od czasu, kiedy zdarzył się jej ostatni napad choroby, niewątpliwy, długotrwały absens, zanik świadomości, zauważony przez nią samą i przez otoczenie, jej głos był cichy, intonacja pytająco\*wątpiąca. To znaczy, że tym jej zanikom



towarzyszyło poczucie odrealnienia... Co to jest? Pozorowane wspomnienia?

Przedsenne halucynacje?

Wziął ją za rękę:

\* A gdzie ty widziałaś te kaktusy? Speszyła się, zaniepokoiła:

\* Nie wiem. Może u Tomki...

Paweł Aleksiejewicz wziął do rąk pismo i raz jeszcze przebiegł po nim wzrokiem.

Dlaczego na wiadomość o śmierci pierwszego męża zaczęła mówić o kaktusach? Bez żadnego

związku, chyba że z nazwą Buenos Aires... Byłby to taki wymyślny łańcuch asocjacyjny? A teraz usiłuje ukryć ten bieg myśli, wysuwając na powierzchnię fałszywy argument? Czy to przebiegłość obłąkanego?

\* Lenoczko, Toma nie znosi kaktusów. Nie ma u siebie ani jednego kaktusa. Gdzie ty widziałaś kaktusy? Może jednak ci się przyśniły?

Helena opuściła głowę jeszcze niżej, opierając ją prawie o kotkę. Zobaczył, że płacze.

\* Dziecko, co ty? Płaczesz po Fłotowie? To wszystko było tak dawno. I to przecież dobrze, bardzo dobrze, że nie został wtedy zabity... Przestań płakać, proszę cię...

\* Kolce... to one, kolce... Nie, nie we śnie... Całkiem nie we śnie... Inaczej... Nie potrafię powiedzieć, gdzie...

Być może to związane ze snem zamroczenie świadomości? Albo związane ze snem koszmary nocne \* tak chyba określa się ten chorobliwy stan. Trzeba to sprawdzić w książkach o psychiatrii. Psychiatria \* najbardziej chwiejna, najbardziej mglista ze wszystkich nauk medycznych... Paweł Aleksiejewicz czuł się zagubiony wobec choroby swojej żony, ponieważ nie mógł jej zrozumieć. Rozstrój samoświadomości...

Czy to jakaś szczególnie złośliwa forma wczesnej sklerozy? Choroba Alzheimera?

Przedstarcza demencja? Gdzie są granice tej choroby?

Tak czy inaczej, ale dzisiejszy dzień był lepszy: Helena reagowała, odpowiadała na pytania. Prawie normalnie się porozumiewała.

\* Prawdopodobnie Fłotow dostał się do niewoli i stał się później uchodźcą, tysiące żołnierzy rosyjskich nie wróciło do ojczyzny, wiesz o tym. Może tak było lepiej.

Gdyby wrócił, to by go aresztowano... \* Paweł Aleksiejewicz wypowiadał te niewiele znaczące słowa jedynie po to, żeby jej wypowiedź się nie zablokowała, jak to często z nią bywało.

\* Ach, nie, ty nie rozumiesz... Fłotow był bałtyckim Niemcem. Jego pradziad pochodził z Königsbergu, von Fłotow, tam zostało sporo jego rodziny, on to ukrywał...

\* Co ty mówisz, Lenoczko? To wprost porażające... To znaczy, że i on zaliczał się do tych winnych? W czasie mojej młodości, wszyscy z mego otoczenia, może tylko oprócz kilku idiotów czy nikczemników, czuli, że mogą o coś zostać obwinieni, więc kryli się...

\* Tak, oczywiście. Pamiętam, jak to poczułam po raz pierwszy. Kiedy rodzice zabrali mnie od babci z Moskwy wiosną dwudziestego roku, zawieźli mnie na kolonię pod Soczi. Wtedy ujrzałam zieleń Południa... I wtedy też zrozumiałam, że my, ludzie z kolonii, w jakiś niedobry sposób różnimy się od pozostałych... W stołówce wisiał portret Lwa Nikolajewicza, olejny, marny portret. Błyszczało na nim gołe czoło i rozwiewała się broda. Ramka była jakaś krzywa, bardzo mnie to drażniło, ale nikt tego nie zauważał...

Paweł Aleksiejewicz słuchał opowiadania żony \* zwartego, dokładnego, ze szczegółami. Z analizą sytuacji, krytyką i zdolnością do rozsądnej refleksji. Ani cienia jakiegoś marazmu, o żadnej demencji mowy być nie może... Ale dlaczego przed dwiema godzinami siedziała z kotem i nierozpieczętowaną kopertą, odpowiadała bez sensu, opuszczając właściwe słowa, jak czynią to obłąkani, nie panowała nad najprostszymi ruchami, zapominając czasem, jak się trzyma łyżkę... Nie, może nie zapomniała, ale doznawała widocznych trudności w obchodzeniu się z najprostszymi rzeczami. Nie pamiętała co jadła na śniadanie i w ogóle, czy je jadła... Ten obraz wskazuje raczej na pseudodemencję. Pozorną utratę najprostszych nawyków. Swoistą grę świadomości w chowanego ze sobą samą... Nie, tej zagadki nigdy nie rozwiążę. Może przeczytać Freuda? Nieżyjąca moja matka jeździła gdzieś chyba w dwunastym roku do Wiednia na seanse psychoanalityczne jednego z uczniów Freuda. Szkoda, że absolutnie nic nie wiem na ten temat. Matka, zdaje się,

chorowała na jakiś rodzaj hysterii...

Paweł Aleksiejewicz zmarszczył się: niemądra ta Wasilisa \* prawdziwy jego grzech polega nie na dokonywaniu aborcji tych dwudziestogramowych zgęszczonych komórek, bogatych

potencjalnie w białko, ale na jego tępej nieugiętości, z powodu której odrzucił drugie małżeństwo matki wraz z nią samą \* płową piękną, szlachetnie się starzejącą, zmarłą w Taszkencie na głupią dyzenterię w czterdziestym trzecim roku...

Helena, z wyczuciem osoby o chorych nerwach, spostrzegłszy chwilowe zasepienie Pawła Aleksiejewicza, zamilkła.

\* Tak, tak, ramka była krzywa... Opowiadaj dalej, Lenoczko... Ale ona milczała, jak gdyby odłączono ją od prądu. Znowu

schowała palce w futrze Murki, naładowanym żywą, prawie trzaskającą elektrycznością i zupełnie się oderwała od rozmowy, od pisma, które stało się jej pośrednią przyczyną, od Pawła Aleksiejewicza, którego jeszcze przed chwilą nazywała „Paszeńką”. Znowu na twarzy jej wystąpił wyraz, mający oznaczać „mniemania”.

Paweł Aleksiejewicz wiedział, że żadna siła nie przywróci jej w tej chwili do rzeczywistości. Obudzi się do kontaktu z ludźmi za tydzień, czy za miesiąc, może za rok. Czasami takie przerwy trwają tylko godziny, czasami \* dni. Te krótkotrwałe prześwity zupełnie wytrącają go z równowagi, ponieważ Helena staje się wtedy samą sobą i nawet przypomina samą siebie z tamtych mitycznych czasów, kiedy ich małżeństwo było pełne i szczęśliwe.

Tak samo było i ostatnim razem, trzy miesiące temu, kiedy rozmawiała z nim o Tani, jak gdyby przebudzona z choroby, i mówiła gorzko, prawie z rozpaczą o poczuciu obcości, straty, pustki i męczącej obojętności, ogarniającym ją, o nieopisanym zagubieniu z powodu niepoznawania świata... a potem urwała w pół słowa i przytuliła się do kota.

„Zawsze kot \* przyszło na myśl Pawłowi Aleksiejewiczowi. \* Następnym razem, kiedy znowu zacznie mówić, wyrzucę kota na korytarz... Jakie to dziwne \* kot w roli przewodnika do obłądu....”

\* Lenoczko, mówiliśmy przecież o Fłotowie...

\* Tak, bardzo dziękuję... Niczego mi nie potrzeba... Tak, wszystko w całkowitym porządku, proszę was, nie martwcie się \* mamrotała Helena, zwracając się ni to do Murki, ni to do kogoś innego, kto jakby był obecny w jej zakurzonej, zaniedbanym pokoju.

11.

Zwykle na wiosnę, tak jak Aleksander Siergiejewicz Puszkina, Tania gorzej się czuła: osłabienie, zmęczenie, nie ustępujące przeziębienia... Tym razem do wiosennego samopoczucia dołączyła się senność i wstręt do jedzenia.

Mieszkała teraz na Profsojuznej, w mieszkaniu Goldbergów. Witalika, gdy tylko skończyło mu się zwolnienie lekarskie, bezzwłocznie usunięto z pracy z powodu redukcji etatów. Dawał sobie radę, robiąc tłumaczenia. Jak kiedyś jego ojciec, dostawał robotę z kilku opiniotwórczych pism, zwykle przez podstawione osoby, usiłował pisać artykuły do popularnych czasopism. Dwa razy jego krótkie notatki o nowościach zachodniej nauki i techniki zostały zamieszczone w piśmie „Chemia i Życie”. Również dzięki znajomościom.

Tania, ledwie powstrzymując mdłości od zapachów kuchennych, przygotowywała jedzenie i spała po czternaście godzin bez przerwy. Niekiedy dostatecznie dobrze wyspana, wyprawiała się do Obnińska w odwiedziny do Giény. On kończył pośpiesznie swoją dysertację, oczekując w każdej chwili przeszkód ze strony „organów”. Popierał go jego promotor, przyjaciel ojca, fizyk i w przeszłości \* tak jak stary Goldberg \* więzień łagrów. Jednakże promotor, niezależnie od swoich osiągnięć naukowych i autorytetu, nie był wszechwładny i do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy Giéna otrzyma zezwolenie na obronę pracy...

Tania przez jeden dzień czy dwa wędrowała po kwietniowym, przezroczystym lesie, podświetlonym kolorowymi, mającymi zaraz się rozwinać pączkami, potem parę razy przyjeżdżała w maju, by popatrzeć na świeżą zieleń...

Świeże powietrze wpływało na to, że szybko czuła się zmęczona, zasypiała twardym

snem i nie przywiązywała wagi do tego, że wracający z laboratorium Giena, kładł się spać obok niej. Ten przyjacielski związek nie znaczył więcej, niż wspólnie spożywane śniadanie, po którym on odprowadzał ją do autobusu, a sam biegł do laboratorium...

Tania prowadziła taki tryb życia około dwóch miesięcy i wtedy się zorientowała, przeprowadziła jakieś kobiece obliczenia, do których przedtem nigdy się nie zniżała i doszła do interesującego wniosku. Nic podobnego przez pięć latiej „łózkowych” doświadczeń nigdy się nie zdarzyło, odkrycie z początkują oszołomiło.

Wśród przyjaciółek Wiki\*Kozy stałe toczyły się rozmowy o praktycznych zagadnieniach, związanych z antykoncepcją, usuwaniem ciąży, znieczuleniem takich zabiegów. Tania przez cały czas wykazywała pełny brak zainteresowania, jak gdyby była dziewicą czy staruszką. Cięża okazała się dla niej nie radością, ani nie zmartwieniem, ale interesującym wydarzeniem. Dokonawszy odkrycia, przespała prawie dobę, we śnie pogodziła się z tą zajmującą okolicznością i powiedziała o tym Witalikowi, który akurat się zjawił.

\* O, do czorta! \* zmartwił się. \* Ze mnie, oczywiście, głupi baran, ale i tyś nie lepsza... Dziecko w obecnych warunkach \* to już za wiele...

\* Tak uważasz? \* nieoczekiwanie dla siebie samej obraziła się Tania, która samajeszcze nie podjęła decyzji, jak ma się odnieść do możliwości pojawienia się dziecka. \* To co, mam się go pozbyć?

Witalik milczał i to zbyt długo.

\* Ja raczej nie chcę dziecka. \* Długie milczenie Witalika było decydujące, bo jeszcze przed chwilą Tania sama kompletnie nie wiedziała, czego chce.

\* Niepotrzebne nam dziecko \* dość zdecydowanie oświadczył Witalik. \* Moja ręka jest jeszcze niesprawna...

W tym momencie Tania śmiertelnie się obraziła za swoje przyszłe dziecko, uniosła do góry swoje ładnie zarysowane brwi i uśmiechnęła się:

\* Trzeba zapytać Giennadija, może on chce?

Witalij, spodziewający się w głębi duszy, że Tania należy przede wszystkim do niego, a Giennadija odwiedza dla zachowania wytworzonej przez lata tradycji i za jego,

Witalika, milczącą zgodą \* uprawiając coś w rodzaju seksualnej dobroczynności w stosunku do brata \* popatrzył na Tanię ogłupiałym wzrokiem: takiego obrotu sprawy się nie spodziewał. Nawet mu do głowy nie przyszło, iż zapowiedziane dziecko może być jego bratankiem...

\* Słuchaj, a kto jest ojcem dziecka?

Tania, która przyjęła zasadę nie ukrywania myśli i mówienia prawdy, uśmiechnęła się szerzej niż zwykle:

\* Bracia Goldbergowie, tak, bracia Goldbergowie. Ze względu na obecne warunki, wydaje mi się, że we dwójkę łatwiej wam będzie sobie poradzić.

I Tania nie mówiąc nic więcej, zaczęła pakować torbę. Witalij, również bez słowa, odprowadził ją do autobusu, którym zazwyczaj jeździła do Obnińska.

Giennadij zachował się bardziej rozważnie i bardziej dorośle.

\* Jestem do twojej dyspozycji, Taniu. Jedyne, czego nie mogę teraz zrobić, to wyjechać z Obnińska, dopóki nie skończę tej cholерnej pracy. Co do całej reszty \* to jak ci wygodniej. Jeśli chcesz, możesz przenieść się tutaj i pozostać choćby do jesieni. Jeśli chcesz wziąć ślub, to możemy to zrobić tutaj, nie w Moskwie.

\* A dlaczego nie w Moskwie? \* spytała Tania, oczekując tu jakiegoś podstępu.

\* Bo straciłbym dwa dni, przewidziane na pracę. Mówiłem ci przecież, że śpieszę się jak w gorączce.

\* Aha \* z zadowoleniem kiwnęła głową Tania.

O Witaliku Gienna nawet nie wspomniał. Tani to się spodobało. Była gotowa wyjść za mąż za jednego z braci Goldbergów i teraz jej wybór przechylił się na stronę Giennadija...

Jednakże wszystko ułożyło się inaczej. Gdy Tania wróciła po trzech dniach z Obnińska, Witalik był zmartwiony nowym, spadłym na niego kłopotem: przyszło wezwanie z Wojskowej Komendy Rejonowej. Było jasne, że w ten sposób uderzano w Goldberga starszego...

Rozstrzygnięcie dylematu nasuwało się automatycznie \* o odroczeniu służby mógł zdecydować obecny stan Tani. Trzeba było tylko co prędzej zawrzeć ślub i wziąć od lekarza zaświadczenie o ciąży.

\* Jak trzeba, to trzeba. O czym tu mówić? Tylko wiedz, że na męża ja jednak wybieram Gieneę.

Witalik uśmiechnął się krzywo:

\* Czy chcesz przez to powiedzieć, że nasz ślub byłby fikcyjny? \* Ja tak sprawy nie stawiam. Ale jeśli chcesz, możemy to tak nazwać.

Przez cały wieczór współzawodniczyli ze sobą w żartach, kto kim będzie wobec kogo w rodzinie, w rezultacie tej matrymonialnej kombinacji. Tania nazwała Witalika przydawką, przyszłe dziecko półbratankiem, a ich ślub \* Troistym Związkiem. Naśmieli się dowoli, zjedli kolację i położyli się spać na tej samej, ze sterczącymi żelaznymi zebrami, nieszczęsnej kanapce i zasnęli, ciasno objęci, zupełnie się nie przejmując pewną moralną dwuznacznością, zauważalną dla postronnego obserwatora, ale nie dla członków tej osobliwej rodziny.

Nazajutrz udali się do Biura Stanu Cywilnego i złożyli podanie. Formalności ślubne wyznaczono na początek lipca. Do Wojenkomatu Witalik się nie zgłosił. Dla ostrożności postanowiono, że wyjedzie z Moskwy na jakiś czas. Szybko się spakował, wypchał torbę słownikami i połową niemieckiego podręcznika do klinicznej biochemii \* jeden ze współpracowników ojca podzielił się z nim tym intratnym przekładem \* i wyjechał do Połtawy, do ciotki ze strony matki. Bez telefonowania i bez uprzedzenia... Przewidywania były słuszne. Po dwóch dniach od wyjazdu Witalija przyszło kolejne wezwanie do wojska, a następnego dnia o siódmej rano zastukano do drzwi. Tania wpuściła do mieszkania trzech mężczyzn \* dwóch wojskowych i milicjanta. Przyszli po Witalika, żeby go dostawić do armii.

\* Gospodarz dokądś wyjechał, ja nic nie wiem. Zdaje się pojechał na Ural szukać pracy... \* to było wszystko, co im się udało wyciągnąć od Tani.

Po wyjeździe Witalika Tania polubiła swoją ciążę. Nie dziecko, które miało się urodzić, ale właśnie ten stan pełności, treściwości w dosłownym sensie. Nie zwracająca zazwyczaj uwagi na swoje zdrowie, teraz wsłuchiwała się w najmniejsze zachcianki organizmu i postanowiła dogadzać sobie i robić tylko to, co było

przyjemne i pożyteczne. Piła co rano sok, nie kupowany w sklepie, ale przygotowywany własnoręcznie. Założyła na parapecie hodowlę kefiru z jakiegoś szczególnie zdrowego mlecznego grzybka, parę dni w tygodniu spędzała w Obnińsku u Gieny. Tam całymi godzinami spacerowała po lesie, zyskując na twarzy rumianą opalenizną, więcej hemoglobiny i przyjemne zmęczenie. Senność ustąpiła toksykozie. Rankami ssała kwaśne karmelki, w drugiej połowie dnia nudności zwykle ustępowały. Brzuch, ku zmartwieniu Tani, wcale się nie powiększał, choć odczuwała cały czas napiętą pełność wewnątrz, nie mającą nic wspólnego z wulgarnym samopoczuciem człowieka, który zjadł na raz dwa obiady. Za to piersi zauważalnie się powiększyły, sutki się uwydatniły niczym guziki dzwonka do drzwi i z różowych przekształciły się w brązowe. Tania nacierała je ostrą gąbką \* gdzieś wyczytała, że tak właśnie trzeba przygotowywać piersi do późniejszego karmienia. Giena próbował ssać pociemniałe brodawki. Podobało mu się, że brodawka twardniała pod jego dotknięciem. Tani również podobało się to zupełnie nowe odczucie.

Na nazwisko Witalija przyszły jeszcze kolejne dwa wezwania do wojska. Dzwonił jakiś kapitan, straszył, groził. Tania udawała głupią.

Z rzadka Tania odwiedzała rodzinę. Zawiadomiła, iż jest w ciąży i wybiera się za mąż, ale Helena nie zareagowała w ogóle na tę wiadomość. Tani wydawało się, że matka dobrze

jej nie usłyszała, ale niezupełnie tak było, ponieważ wieczorem tego samego dnia Helena powiedziała mężowi, że Tania urodzi Taniusią. Przyzwyczajony do chaosu w jej świadomości, Paweł Aleksiejewicz nie zwrócił specjalnej uwagi na tę mglistą informację, myśląc w duchu o tym, jak złożone procesy zachodzą w jej głowie: prawdopodobnie wiadomość o Fłotowie utknęła gdzieś w głębi kory mózgowej i teraz Helena przypomniła sobie czas, kiedy czekała na przyjście na świat córki. Identyfikowała się z dorosłą Tanią.

Pismo z Kolegium Prawniczego wciąż czekało na załatwienie. Helena nie była w stanie nie tylko udzielić odpowiedzi, ale nawet wyrazić swego stosunku do spadku. A Tani Paweł Aleksiejewicz dotąd o niczym nie poinformował, wciąż nie mógł znaleźć



odpowiedniej na to chwili. Dla niego bowiem nie spadek był istotny, a rzecz daleko ważniejsza...

Pewnego długiego, jasnego wieczoru na początku lipca, kiedy Tania zastała ojca w mile podchmielonym stanie i powiadomiła go o zamiarze wyjścia za mąż, Paweł Aleksiejewicz zdecydował się powiedzieć jej o tym niefortunnym spadku. Posadził ją u siebie w gabinecie, położył przed sobą lekko przybrudzoną kopertę i przed jej wręczeniem opowiedział Tani, jak poznał się z jej matką, jak ją operował i jak po jej wyzdrowieniu z nią się ożenił.

\* Przeniosłyście się do mnie, Taniu, tego samego dnia, w którym przyszło zawiadomienie o śmierci człowieka, będącego przede mną mężem twojej matki. Tania wybałuszyła oczy: nie przypuszczała, że matka była zameżna przed spotkaniem Pawła Aleksiejewicza.

\* Ty, Taniu, miałaś wtedy dwa lata. Twoim rodzonym ojcem był Anton Iwanowicz Fłotow, a ja ciebie przysposobiłem od razu po naszym ślubie. Pewnie powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej...

\* Tatku, a jakie to ma znaczenie? \* zauważyła zdenerwowanie Pawła Aleksiejewicza i cała jej dziecięca miłość do niego, jak słońce na niebie, pojawiła się w tej chwili... Objęła jego łysą głowę, pocałowała w krzaczaste brwi i w nos. Poczula jego rodzimy zapach, który zawsze jej się tak podobał \* mieszaninę medycyny, wojny, alkoholu. Zmrużyła oczy i wyszeptała:

\* Po co mi jakiś Fłotow, czy inny Parochodow... Ty chyba zwariowałaś... Ty jesteś moim najprawdziwszym, najukochańszym słoniem, tatku, głupi, stary... Jesteśmy do siebie bardzo podobni, to najlepsza część we mnie samej... Wybacz, że was porzuciłam... Ja cię strasznie Kocham i mamę Kocham. Tylko żyć mi z wami trudno... Tatku, ja jestem w ciąży, niedługo urodzę ci wnuka... Nieźle, co?...

Paweł Aleksiejewicz nigdy nie miał własnych dzieci. O posiadaniu własnego dziecka jedynie słyszał, choć wielu mężczyzn, pragnących dziecka, właśnie od niego dowiadywało się

o swoim szczęściu i właśnie dzięki jego półboskiemu uczestnictwu stawało się ojcami. Jego przybrana córka zawiadomiła go, że urodzi dziecko i jego serce

napełniło się wielkim, gorącym szczęściem, a przyszłe dziecko natychmiast stało się upragnione i długo oczekiwane.

\* Córko, czegośmy to dożyli... Czyżbym to ja mógł przyjąć wnuka? \* starym, słabym głosem powiedział Paweł Aleksiejewicz, a Tania nagle zauważyła, jak się posunął przez ostatnie lata i do reszty wzruszona, i zła za to na siebie, przerwała:

\* A dlaczego nie pytasz, za kogo wychodzę? Wychodzę za braci Goldbergów.

\* A jaka to różnica! Niech będzie, że za Goldbergów, bylebyś ty była szczęśliwa \* w praktyce z trudem rozróżniał obu braci i zawsze podżartowywał, że jeden z braci jest trochę mądrzejszy, a drugi trochę ładniejszy, ale on nigdy nie pamięta który jest który...

Paweł Aleksiejewicz nie poczuł w tej wypowiedzi Tani żadnego podtekstu. Po tylu latach życia „pod górę” \* i w domu,

i w pracy \* po raz pierwszy poczuł przypływ radości: Tania się go nie wyrzekła i zapowiadała się odnowa całego życia dzięki dziecku, które będzie i jego, i Iljuszy wnukiem. Czy to nie cud?

\* A to jest zawiadomienie dla ciebie o spadku \* podał jej kopertę. \* Twój ojciec Fłotow, jak się to jakiś czas temu wyjaśniło, nie zginął wtedy na froncie, a trafił jakimś sposobem do Argentyny i zmarł stosunkowo niedawno. Władze szukają spadkobierców.

\* To jak to, on dopiero po śmierci sobie o mnie przypomni? A wcześniej? Nie, tatusiu, ja nie chcę niczego. Ja nie potrzebuję \* odtrąciła kopertę i nigdy w życiu więcej o niej nie wspomniała...

12.

W połowie lipca Goldbergowie się pożenili: Witalik zawarł ślub z Tanią w moskiewskim Pałacu Ślubów. Ilja Iosifowicz w żonie mordwińskiej załatwił sobie ślub z Walentyną.

W łagrze obeszło się bez uroczystych świadków \* asystował tylko naczelnik do spraw bezpieczeństwa i przybyły z Moskwy adwokat, który właśnie załatwił

zezwolenie na ślub więźnia.

Ślub Witalika i Tani poświadczyli Giena i Toma. Na narzeczoną wyglądała Toma w różowej sukni i białych pantoflach na wysokich obcasach. Tania nie zamierzała się stroić, ale nie można powiedzieć, by w pełni zignorowała tę specjalną okazję: zaznaczyła ją zakupem trzech identycznych koszul męskich w żółto\*białe paski. Cała trójka wyglądała w tych koszulach jakby pochodziła z Domu Dziecka: wszyscy byli krótko ostrzyżeni, chudzi, jednakowo ubrani i jednakowego wzrostu \* po 170 centymetrów.

Toma była rozczarowana \* ani wesela, ani podarków, ani wesołości. Marzyła o wielkiej uroczystości, wielkiej zabawie, ale tego akurat Tania nie znosiła. Jedynym ślubnym prezentem była pomarańczowo\*różowa orchidea, po którą w przeddzień ślubu Toma jeździła do znajomej w Ogrodzie Botanicznym i która zastąpiła archaiczny kwiat pomarańczy. Nie wykonane zdjęcie \* bracia Goldbergowie i Tania między nimi

z chwiejącą się gałązką, z której pochylały się trzy wielkie kwiaty, niczym lwie głowy z grzywami, paszczami i skrzydłami w nieco jaśniejszym odcieniu \* rzadkość nad rzadkościami \* zachowało się w pamięci Tomy na całe życie.

Zresztą prezent otrzymał również Witalik. Kiedy nowożeńcom wypisano na tęczowym papierze zaświadczenie o zawarciu małżeństwa, Tania wyciągnęła z kieszonki żółto\*białej koszuli złożone we dwoje zaświadczenie z poradni dla kobiet o ciąży, z terminem rozwiązania za osiemnaście tygodni. Te dwa dokumenty razem dawały prawo do odroczenia służby wojskowej.

Odrzuciwszy zdecydowanie i konsekwentnie wszystkie państwowe usługi, od marsza Mendelssohna po kosztowny szampan i ograniczywszy się do przyjęcia napuszonych życzeń urzędniczki spod czerwonej flagi o mordopodobnej twarzy, w czerwonym kostiumie i z czerwoną, atlasową wstęgą, zawieszoną na tłustym ciele, całe towarzystwo wyszło na paradne schody Pałacu, przysiadło i wypilo z butelki kwaśne, tanie niby\*wino „Rkacyteli”, po czym Giena zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, wsiedli do niej razem z Tanią i odjechali.

Oszołomiona Toma, nie zorientowana w prawdziwym stanie rzeczy, zapytała

melancholijnie wyglądającego młodego małżonka:

\* Dokąd oni pojechali?

\* Do Obnińska. Tania wybierała się tam na jakiś tydzień...

W Obnińsku Tania spędziła nie jeden, ale całe dwa tygodnie. Wróciła do Moskwy i zaraz pojechała do domu rodziców. Stęskniła się. Helenę znalazła w tym samym stanie, ale bardzo bladą i osłabioną. Próbowwała namówić ją na spacer, Helena jednak tak się przestraszyła tej propozycji, że rozpoczęta w miarę świadoma rozmowa z miejsca się urwała i Helena zaczęła mamrotać jakieś słowa bez związku:

\* Jeśli to nie sprawi kłopotu... Czyja nie mogłabym... Trzeba zapytać PA.

Nieprawdaż?

Tania przeraziła się, choroba matki była jakaś szczególna, do niczego nie podobna i nie sposób było do tego się przyzwyczaić.

Później przyszedł Paweł Aleksiejewicz, ucieszył się na widok Tani i na widok powiększonego już jej brzucha:

\* Chodźmy, opowiem ci o naszym chłopczyku...

Oboje nie wątpili ani przez chwilę, że Tani urodzi się chłopczyk. Tania za każdym razem, gdy z ojcem się spotykała, prosiła, by opowiadał jej, jak dziecko w tym momencie powinno wyglądać.

Umieściła się na kozetce z podwiniętymi nogami, rozpięła guzik w dżinsach. Paweł Aleksiejewicz usiadł na okrągłym taborecie obok niej.

\* To opowiadaj \* poprosiła.

\* Znaczy tak, po pierwsze, jestem przekonany, że on już coś czuje. Według ludowych wyobrażeń, dusza wchodzi w niego w połowie okresu ciąży. To oznacza, że jednocześnie zaczyna się ruszać i odczuwać.

\* O nie, ja czułam znacznie wcześniej, jak on palcem od wewnątrz po mnie wodzi \* zaprzeczyła Tania.

\* To znaczy, że nasz malec wcześniej się rozwija. Ja ci mówię o przeciętnych przypadkach. Twoje maleństwo teraz pływa i nie ma pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół. Jest długi na jakieś trzydzieści centymetrów. Ma dużą główkę, pokrytą delikatnym owłosieniem i jeśli wcześniej ono

było płowe, to teraz pociemniało. Jest dość wyrośnięty, osiągnął już więcej niż połowę swojego wzrostu, a waży nie więcej niż półtora funta. Jest chudziutki, skórę ma pomarszczoną, podskórnej tkanki tłuszczowej nie ma. Ale teraz nie chodzi mu o tłuszcz. Jest pokryty puszkami i już powstaje maź płodowa. Twarzyczka przybrała wyraźne rysy, jest już podobny do ciebie \* mam nadzieję, że do ciebie. Główny problem polega teraz na tworzeniu się systemu nerwowego. Żeby wszystkie jego organy zaczęły działać, potrzebny jest bardzo złożony program. Właśnie ten program powstaje. W jaki sposób \* nie wiem. I możesz nie pytać, bo nikt tego nie wie. Ja nie wiem o bardzo wielu rzeczach, które tam się odbywają. Wiem tylko coś niecoś. Wydaje mi się, że on jest już wyposażony w samoświadomość, że właśnie w tym czasie powstało w nim poczucie Ja. Poczucie jego odrębności od reszty świata. A reszta świata \* to ty, kochanie. Dlatego, że żadnego innego świata \* do momentu narodzin nie będzie znał. Z mężczyznami coś podobnego się nie zdarza, mężczyzna nigdy nie staje się kosmosem. A kobieta, przynajmniej w drugiej połowie ciąży, stanowi zamknięty kosmos dla drugiej ludzkiej istoty. Wiesz, zawsze wydawało mi się całkiem naturalne istnienie takich rodzajów zwierząt, u których samica umiera zaraz po urodzeniu potomstwa. Kosmos rodzi kosmos, po co więc jeszcze miałby być potrzebny niknący, zubożony świat? Ale mówię tu głupstwa. Więc on pływa sobie teraz tu i tam, jak łódka na uwięzi. Podwieszony na sznurku, na lince pępownicy. I zapewne słucha, jak przelewają się mocne fale, gęsta wilgoć omywa jego boki, podkurczone nogi. Nogi ma skrzyżowane, prawie w pozie lotosu. Paznokcie na nogach już powstają. Małżowiny uszne już się uformowały, ale jeszcze są z samej skóry, nie zawierają chrząstki. I wiesz, uszka ma dosyć duże. Ciekawe, czy słyszy to, o czym tu rozmawiamy. Ja tego nie wykluczam. Twoja mama była przekonana, że większą część wiedzy, jaką posiadała, nawet o jej kreślarstwie, otrzymała jeszcze przed urodzeniem. O sobie niczego takiego powiedzieć nie mogę. Ale mężczyźni są stworzeniami bardziej prymitywnie zorganizowanymi od kobiet. W sensie biologicznym, myślę, kobieta jest tworem doskonalszym. Sądzę, że nasz malec już odczuwa zmianę nastroju. Czasem bywa niezadowolony, czasem się cieszy. Na przykład, ty zjesz coś smacznego i za jakieś półtorej godziny do niego dochodzi smak

truskawki albo winogron.

\* A czy on się już uśmiecha? \* Tania przerwała ojcu.

\* Nie sędzę. Mięśnie mimiczne zaczynają funkcjonować później. W ogóle, według moich obserwacji, mimika u niemowląt jest bardzo skromna i trochę chaotyczna. Ja dobrze znam pewien ich ogólny wyraz twarzy \* skupienia i skrytości...

\* A jaką przyjemność można mu sprawić, jak myślisz? Może pójść z nim na koncert?

\* Ty rób sobie sama więcej przyjemności, sędzę, że i jemu będzie wtedy przyjemnie

\* poradził Paweł Aleksiejewicz.

Nie mógł sobie wtedy wyobrazić, w jakim kierunku popchnie Tanię to jego niewinne zalecenie.

13.

Koza otrzymała spadek po starszej z ciotek i niezwłocznie się za niego zabrała.

Dokładniej mówiąc, zajęła się tylko opakowaniem \* ciężką, srebrną szkatułką firmy Faberge, z pseudogreckim kobiecym profilem i trzema żółtymi diamentami na wieczku. Szkatułka była w stylu późnomodernistycznym, fantazyjna, uosabiała wyobrażenie lokaja o przepychu. Za to zawartość szkatułki \* prześliczne ozdoby z pereł i ametystów,

o niezbyt wielkiej wartości, ale przepięknej roboty \* miały swój rodowód: były prezentem ślubnym prababki od jednego z książąt Jusupowów.

Za szkatułkę zapłacono Kozie duże pieniądze, w przybliżeniu jedną setną tej kwoty, za jaką sprzedano ją później na aukcji w Londynie. Ale o tym Koza nigdy się nie dowiedziała, a pięćset rubli to była suma oszalamiająca. Otrzymała je do ręki od znajomego kierownika sklepu komisowego, wzięła taksówkę, pojechała na daczę, gdzie z dwiema ciotkami i babką, to jest matką Kozy męczył się jej syn Misza, zabrała chłopca

i przeplacając prawie w dwójnasób, zdobyła bilety na wyjazd na południe.

Tania przyszła do niej rano następnego dnia, stęskniona za jej wesołą gadaniną. Do wyjazdu zostawało jeszcze około sześciu godzin i Koza namówiła Tanię, by się

wybrała z nią razem.

\* Bilety to nie problem, w najgorszym razie umieścimy cię w przedziale konduktora

\* Koza pomachała Tani przed nosem grubym plikiem banknotów.

Po siódmej wieczorem wsiadły do pociągu, a po godzinie, kiedy małe podmiejskie stacje, mrugnawszy pociągowi, pozostały w tyle, przeszukały cały wagon, zamieniły miejsca na wspólny przedział i rozlokowały się w nim maksymalnie luksusowo.

Pośród wielu talentów Kozy występowała też zdolność do natychmiastowego urządzania się, nie żałując więc sił, taszczyła ze sobą całą walizkę zbędnych, zdaniem Tani, rzeczy: obrusiki, serwetki, filiżanki, nawet ręczny miedziany młynek do kawy...

W skromnej torbie Tani płątał się kostium kąpielowy, trochę bielizny i bardzo obszerny sarafan, obliczony na zwiększającą się objętość brzucha. Nie wzięła nawet ręcznika, mając zamiar kupić go na miejscu...

Co to miało być za miejsce, dokąd jechały, też nie było do końca wiadome.

Zamawiająca jakiś wyrób klientka\*artystka, która przysłała do Kozy w przeddzień i demonstrowała swoją mocną, czerwonawą opalenizną nawet pod pachami i po wewnętrznej stronie ud, zachwalała limany nad Dniestrem, skąd właśnie tylko co wróciła. Koza, o jasnej karnacji, piegowata, przez całe życie słabo się opalała, wpadła jednak w zawiść i postanowiła spróbować tego słońca znad limanów, jechały więc teraz w przybliżeniu w te okolice, które kiedyś przeklinał zesłany tu Owidiusz...

Droga wiodła przez Odessę. W Odessie, gdzie trzeba było się przesiąść, miała je spotkać matka jednej z przyjaciółek Wiki\*Kozy, przenocować u siebie i następnego dnia wyprawić autobusem przez Akerman na piaszczystą mierzeję pomiędzy limanem i brzegiem morza...

Przyjechały do Odessy pod wieczór. Spotkała je potężna, wielka jak sofa Zinaida Nikiforowna, owinięta w jedwabną, wielobarwną tkaninę. Piersiasta Koza wyglądała obok niej jak wróbelek. Zinaidę Nikiforownę owładnęło od razu uczucie pobłażliwej czułości. Powlokła je na „chwaterę", do dwóch przyległych pokoi w komunalnym mieszkaniu, pamiętającym lepsze czasy. Między dwoma weneckimi oknami wisiało lustro w złoczonej ramie, w którym odbijały się szeregi trzylitrowych słoików ze świeżo zalanymi wczesnymi owocami, przeznaczonymi do szybkiego spożycia. Dom

pękał od jedzenia i picia,

a „szczyra” gospodyni, nie pozwoliwszy im się nawet umyć, zaczęła wszystko przynosić do stołu... Miszka zasypiał nad talerzem, więc Zinaida Nikiforowna, rozczarowana, machnęła na niego ręką i kazała kłaść go spać. Jak u wszystkich mieszkańców morskiego wybrzeża w jej domu był zapas rozkładanych łóżek i bielizny pościelowej dla niezmierzonej ilości przyjeżdżających krewnych. Podczas gdy gospodyni słała łóżko dla Miszy w przyległym pokoju, Koza szepnęła do Tani:  
\* Aleśmy wpadły...

Ale wtedy jeszcze się nie domyślały, jakie przygody je czekają.

Miszka usnął natychmiast. Zinaida Nikiforowna oświadczyła, że wszyscy nazywają ją tutaj po prostu „mamą Zina” i że teraz musi iść do pracy, i proponuje im spacer po wieczornej Odessie, ponieważ drugiego takiego miasta nie ma na świecie...

Wyszły na zalany ludźmi bulwar, czując gęste, ciepłe powietrze południowego wieczoru, stłamszone mocnymi, rechocącymi głosami, napływające falami zapachy jedzenia i piwa, zalatujące wymiocinami. Ponad tym wszystkim unosiła się radiowa muzyka odesko\*sowiecka, pełna żargonu, chamska, ale nie pozbawiona uroku.

Odeski tłum z szacunkiem omijał mamę Zinę, rozstępował się przed jej głowotułowiem na dwa nurty, a Tania z Wiką „przycumowane” do jej boków z lewej i z prawej strony, spoglądały z rzadka jedna na drugą, z trudem powstrzymując śmiech. A chodziło o to, że mama Zina, nie zamykając złoto\*zębnych ust, mówiła o Odessie literackiej.

\* Weźmy Babla i Ilfa\*Pietrowa, a nawet Bagrickiego i Katajewa, i niechby jeszcze tę Margaritę Aligier i Wierę Inber. I jeśli ich odliczymy, to kto u nich zostanie? Czy nam potrzebny ich Szołochow? Potrzebny ich Fadiejew? Tutaj mieszkał Bunin. Nawet Puszkina opowiadał się za Odessą! To tutaj! \* obwieściła, zatrzymawszy się przed szacownym wejściem do hotelu „Londyńskiego”. \* Ja tu pracuję. Pójdziemy do wejścia służbowego.

To był klub dla marynarzy. Dla cudzoziemców. Dolarowy. Nocny... I mama Zina sprzedawała tu piwo w bufecie...

\* One są ze mną \* wciskając się w wąski korytarz powiedziała do jasnowłosego,



przypominającego skrzynię faceta, który ukazał się z ciemnego kąta. Tamten kiwnął głową. Weszły do sali. Światło było przyćmione jak za czasów wojny i cicho grał pianista. Kilku marynarzy, którzy nie zdążyli jeszcze się wstawić, leniwie popijało piwo, dwie umalowane szantrapy siedziały przy narożnym stoliku i wytwornie pociągały coś przez słomkę.

Rozmawiano po cichu, rybą nie śmierdziało. Nawet marna Zina jak gdyby trochę straciła kontenans za swoim kontuarem z piwem. Piwo było krajowe, a pieniądze \* najprawdziwsze, same waluty. Do takiej pracy nie wszystkich przyjmowano, jedynie najbardziej zaufanych. Mama Zina właśnie była taka: sprawdzona przez organy wzdłuż i wszerz, do samego środka, jeszcze przed wojną, potem partyzantka, konspiratorka. Nawet tutaj pilnowała porządku swym partyjnym okiem. A co się tyczy tych dziewczyn, przyjaciółek jej córki, która uciekła do stolicy, to niech sobie posiedzą, popatrzą, z marynarzami się pobawią, potańczą...

Pianista grał cicho coś obcego, ale przypadającego do serca. Wcześniej Zinaidzie Nikiforownie nie podobała się ta nowomodna muzyka, ale później się do niej przekonała. Jazz tutaj też był grywany.

Właśnie przyszedł perkusista i ustawił swoje bębny. Zaczął postukiwać.

Najważniejszy grał na trąbce, ale się spóźniał.

Na dworze ciemniało, w klubie robiło się coraz jaśniej. Przybywało ludzi. Wielu z nich rzadko tu bywało.

Tanie ogarnęła senność. Od pianina dolatywała wciąż jedna i ta sama melodia, ale w różnym brzmieniu, od strony muzycznej interesującym, lekko odurzającym i Tani nie chciało się wstawać. Potem rozległ się głos trąbki. Przeciął fortepianowe pomrukiwanie dramatycznym, pełnym gorczy dźwiękiem. Tania odwróciła się w stronę estrady. Niewysoki, chudy chłopak trzymał obiema rękami saksofon i wydawało się, że instrument chce mu się wyrwać, a on go nie puszcza. Jakaż to była porywająca muzyka! Słodka aż do bólu, słono\*gorzka, żałośnie\*radosna... Była to improwizacja na tle starej płyty Miles'a Davies'a O północy i saksofon wygrywał dramatyczne nuty Col\*train'a, ale Tania dotąd tego nie знаła.

Muzycy grali jak gdyby niesynchronicznie, perkusista utrzymywał to samo tempo,

pianista to wybiegał do przodu, to trochę zwalniał, a saksofon szedł własną ścieżką. Niekiedy, jak gdyby przypadkiem, wszyscy trzej się spotykali, przerzucali się dźwiękami i w tym momencie powstawał jakby dialog z pytań i odpowiedzi, nie wiadomo czego dotyczących, ale ważnych... Wszyscy oni grali dobrze, precyzyjnie, ale saksofonista był najlepszy... Wokół niego jak gdyby hulał wiatr, rozwiewając jego proste, jasne włosy... Tani chciało się podstawić twarz pod dźwięk jego saksofonu... Nie zauważyła, że Koza poszła tańczyć z cudzoziemskim marynarzem, słabym i zbyt inteligentnym jak na taki męski zawód. Do Tani też podszedł jakiś facet, ale ona ze strachem odmówiła: nie, nie. Tamten odszedł. Koza wciąż tańczyła ze swoim słabeuszem i nawet prowadziła ożywioną rozmowę mieszaniną francusko\*niemiecką, jakoś godzącą się z jego szwedzką angielszczyzną...

„Dlaczego wtedy porzuciłam muzykę? Ojciec miał rację: siedzi człowiek przy fortepianie, muzyka wycieka spod jego palców, a on jest tylko naczyniem, mechanizmem, przekształcającym zapis nutowy w dźwięki... Nie pamiętam dobrze, dlaczego to zrobiłam... Z powodu Tomy... tak jest... Komsomolska świadomość idiotki... No i muzyka była inna... Takiej muzyki, jak ta, nie zostawiłabym... Właśnie tak, właśnie tak \* Tania zaznaczała w duchu westchnienia saksofonu i bicie serca perkusisty... \* Dlaczego pociągnęło mnie do tej naukowej wymieralni? Mogłabym się zajmować muzyką... Jaki ten saksofon jest pełen wyrazu! Nigdy nie zauważyłam, że jest wyposażony w głosową intonację... Albo to muzyk jest tak utalentowany? Pewnie raczej tak...”.

Szwed odprowadził je do domu Ziny. Podobali się sobie nawzajem z Kozą, ale było jasne, że tego wieczoru skończy się to, co nie zdążyło się zacząć. Ofiarował Kozie elegancki notatnik w czarnej skórze, już napoczęty \* niczego innego nie miał przy sobie \* i na pierwszej stronie napisał swój adres. Riine Svenson. I to wszystko, nazajutrz jego statek odpływał dokądś na zawsze. Było żal.

Drzwi otworzyła im siostra Zinaidy. Mieszkała razem i strzegła snu Miszki. Kiedy wróciła mama Zina, która pracowała do trzeciej nad ranem, wszyscy spali. Rankiem odprowadziła swoich gości na postój autobusów i ci wyruszyli po płaskiej, pełnej kurzu drodze. Siedząc w trzęsącym i dusznym autobusie, Tania przypomniała sobie,

że w nocy śnił jej się sen z wczorajszą muzyką, ale silniejszą, wykonywaną przez niezwykle pod względem dźwięku instrumenty...

Po około czterdziestu minutach skończyły się przedmieścia Odessy, zaczęła się wyboista, zapyłona droga wśród pól, wypalonych upałem, wyschniętej kukurydzy i ostów. Pierwsza źle się poczuła Koza, która poprzedniego wieczoru zachwyciła się nie tylko tańcami ze szwedzkim partnerem, ale i egzotycznymi koktajlami, które teraz „bulwersowały” jej rosyjski żołądek, nawet bez wyboistej drogi. Potem Miszka dostał nudności. Tania trzymała się najlepiej, ale w trzeciej godzinie trzęsionki, przydatnej zapewne przy trenowaniu kosmonautów, ale nie dla delikatnych istot, niektórych w ciąży, też się rozkleiła.

Wysiadły z autobusu przy szeregu pobielonych chałup, szarych od kurzu sadów i zagonów rosnących pomidorów. To cudo przyrody nazywało się: osiedle Kurortnoje. O żadnym kurorcie nie mogło być nawet mowy. Dookoła rozciągały się te same pełne pyłu pola, żadnego morza nie było. Słowem, oprócz upału i ostrego słońca, nie było niczego. Zapytały przechodzącą mimo kobietę z wiadrem, pełnym pomidorów, gdzie jest morze.

\* A, tamoj \* zrobiła nieokreślony ruch. \* A wy na mieszkanie?

\* Tak.

Kobieta poprowadziła je za sobą. Po drodze trafiły się jeszcze dwie inne. Zatrzymały się i szybko zaczęły rozmawiać po rosyjsku, ale właściwie językiem niezbyt zrozumiałym. Po czym pierwsza kobieta przekazała Tanię i Kożę drugiej, a ta poprowadziła je w innym kierunku. Ukazały się zmarniałe cyprysy, a za nimi coś na kształt kurortu. Był to Dom Wypoczynkowy, za którym znów skupiły się bielone domki i do jednego z nich przyprowadzono przyjezdnych. Tania z Kożą wynajęły domek w ogrodzie, obok wychodka z desek, z blaszaną umywalką, przymocowaną ogromnym zardzewiałym gwoździem do dziwacznej pojedynczej ściany \* pozostałości po drewnianej szopie. Wokół domku rozciągały się grządki z pomidorami rzadkiego gatunku \* „Bycze serce”, które były liliowopurpurowe, ogromne i robiły wrażenie raczej owoców niż warzyw... To była jedyna tutejsza osobliwość, najlepszy miejscowy delikates, prawie też jedyny produkt dla ludzi, dla

świń i kur. Z pomidorów robiono barszcz, konfitury, zagęszczoną pastę, suszono je i używano jako nawóz. W miejscowym sklepiku, jak się okazało następnego dnia, nie było chleba, masła, sera, mleka, twarogu, mięsa i wielu jeszcze rzeczy, ale sprzedawano mąkę niskiej klasy, olej roślinny, konserwy rybne i czekoladowe cukierki... Na razie Tania z Kozą i z Miszą zjedli zapasy podróżne, przygotowane przez mamę Zinę i wybrali się na poszukiwanie morza, którego dotąd nie widzieli i o którym jedna z kobiet już im mówiła, machnąwszy ręką: „Tamoj!”.

Poszli we wskazanym kierunku, wydeptaną wśród ostów ścieżką i doszli do stromego urwiska. Ziemia się kończyła, zaczynało się morze. Prawie niewidoczne i niesłyszalne, pluskało gdzieś daleko pod nogami i płynnie przechodziło w niebo w szarej, niewyraźnej mgłę, bez śladu linii horyzontu.

Na dół prowadziły schody ziemne, gdzieniegdzie umocnione żerdziami. Tania z Kozą sprowadziły po nich Miskę, który był bojaźliwy i dość niezgrabny. Pokonawszy ze trzydzieści metrów osypujących się stopni, znaleźli się na piaszczystym brzegu absolutnie bezludnym i wzruszająco smutnym, jak brzeg bezludnej wyspy.

\* No i niespodzianka! Po prostu szok \* orzekła Koza.

\* Koniec świata \* potwierdziła Tania.

\* Tutaj niczego nie ma \* rozczarowany zaczął biadolić Miska.

\* Czego nie ma? \* zdziwiła się Koza.

\* Nie ma lodów i w ogóle... \* wyjaśnił Miska swoje rozczarowanie.

Morze było płytkie, ciepłe, szare... Wydawało się spokojne, obłaskawione, jak gdyby to nie ono zwałiło tutaj brzeg swoimi jesiennymi sztormami i odebrało w tych okolicach wiele kilometrów bezpłodnej, lecz twardej ziemi.

Tania z Kozą kąpały się, uczyły Miskę pływać, zbudowały labirynt z mokrego piasku, potem wszyscy zasnęli i obudzili się pod wieczór, kiedy słońce się uspokoiło, a od morza zaczął wiać lekki wiaterek...

Gospodyni, kucharka z miejscowego Domu Wypoczynkowego, okazała się istnym skarbem. Zaprowadziła ich wieczorem do kuchni, pokazała piwnicę, gdzie na półce stały słoje z zalany mąką wodą masłem i piramidy konserw mięsnych \* chleba powszedniego sowieckiego człowieka.

\* Bierzcie, potem się policzymy. Jesteście z dzieckiem \* wielkodusznie zaproponowała gospodyni.

Odpoczynek układał się wspaniale: przez całe życie nie zjadły takiej ilości wieprzowych konserw i śmietankowego masła, jak przez te dwa tygodnie pobytu na południu. O pomidorach już nawet nie warto wspominać \* po tych wakacjach obie uznały, że ten produkt, który pod nazwą pomidorów jest sprzedawany we wszystkich innych miejscach, nie ma z nimi nic wspólnego.

Głównego odkrycia dokonały jednak po trzech dniach, kiedy napatrzywszy się na smutne, ledwie żywe morze, dotarli w końcu do limanu.

Piaszczysta mierzeja, miejscami porośnięta trzciną i piołunem, ciągnęła się przez wiele kilometrów. Z jednej strony omywało ją wciąż to samo spokojne morze, z drugiej \* stojąca woda limanu, a raczej jednego z długich morskich starorzeczy, łączącego się wiosną w czasie przyboru wód z samym morzem, a odciętego odeń piaszczystym wałem przez większą część roku. Cała tutejsza okolica w przedziwny sposób przypominała tę mierzeję: zaniedbany, prawie bezimienny kraj, odcięty od własnej historii i daleki od współczesności. To były kresy besarabskich stepów, pozostałość starożytnego świata, zdeptane przez Scytów, Gotów, Sarmatów i wiele innych nie nazwanych plemion. Kiedyś krańce Rzymskiego Imperium, teraz pustkowiem innego, współczesnego imperium. Nieszczęsna, porzucona przez wszystkich bogów kraina, ojczyzna płowego ostu i miątkiego, dusznego pyłu...

Już mocno opalone, Tania z Wiką w długich sarafanach, z nakrytymi rękami czerwonymi plecami wlokły z sobą Miskę w spodenkach od piżamy wzdłuż bezludnego brzegu w poszukiwaniu miejsca, gdzie dałoby się skryć przed prosto padającymi promieniami słońca. Okrągłe, nie wyrosnięte jakby do pełnych rozmiarów wydmy nie dawały cienia. W południe nikt poza przyjezdnymi nie wychodził na dwór \* miejscowi żyli według południowych norm, starając się, niezależnie od rozkładu zajęć, urządzać sobie w tym czasie sjęstę...

Znaleźli pagórek z trzema krzaczkami, pod którymi drżała zapowiedź na cień. Położyli się na gorącym piasku. Mierzeja w tym miejscu miała około stu metrów szerokości, ścieżka biegła bliżej limanu, więc odpocząwszy, wykapali się w jego

niesionej wodzie. Woda była nie tylko ciepła, lecz wprost gorąca. W sitowiu znaleźli na wpół zatopioną łódkę, którą na czas dłuższy zainteresował się Miszka. Kaczki z podchowanyimi kaczkętami, przyzwyczajone do upału, ciepłej wody i sytości, uwijały się wzdłuż brzegu. W płytkiej wodzie aż się roiło od rybiego drobiazgu \* jak w puszcze z rybnymi konserwami. Tylko że bez pomidorów. Zarośla trzciny przepelniał żywy szmer, coś tam się ruszało, szeleściło, wydawało dźwięki. Na małej mieliźnie zauważyli nieznane ślady łap różnego kalibru. Miszka pochylił się nad nimi, studiując je niby znaki pisma.

Tania położyła ręce na brzuchu, postukała weń palcem:

\* A tobie jest dobrze? Jesteś zadowolony? I zrozumiała, że tak, jest dobrze...

Zapobiegliwa Koza, która przytaszczyła ze sobą oprócz wody i jadła grubą książkę, umieściła głowę w słabym cieniu, otworzyła książkę i zaczęła czytać na głos:

„Pomyślał, że góry i obłoki wyglądają zupełnie tak samo i że szczególne piękno zaśnieżonych gór, o którym mu opowiadano, jest takim samym wymysłem, jak muzyka Bacha i miłość do kobiety, w które nie wierzył. Przestał czekać na góry. Ale nazajutrz wcześniej rano obudził się od porannego chłodu i obojętnie spojrział w prawo. Ranek był jasny. Nagle spostrzegł \* o jakieś dwadzieścia kroków od siebie, jak mu się wydało w pierwszej chwili \* śnieżnobiałe kolosy z ich delikatnym rysunkiem i dziwaczną, wyraźną, napowietrzną linią wierzchołków i dalekiego nieba. I kiedy uświadomił sobie całą odległość pomiędzy nim a górami i niebem, cały ogrom gór i kiedy poczuł całą nieskończoność tego piękna, przestraszył się, że to przywidzenie, sen. Wstrząsnął się, żeby się obudzić...”.

Tania zajrzała jej przez ramię:

\* Tołstoj? Czytasz na nowo? Dlaczego?

\* Słowo daję, że nie wiem. Ciągnie mnie. Prawie każdego roku, a już koniecznie latem. Ot tak, na plaży, w pociągu... W sadzie lub w ogrodzie... Coś jakby z potrzeby odwiedzin krewnego. Z poczucia obowiązku, no i z miłości także. I z tęsknoty, i z konieczności.

\* Tak, tak, wiem. Moja mama tak samo przez całe życie czytała Tołstoja. Jej ojciec, a mój dziad był tołstojowcem, czy czymś w tym rodzaju. Został rozstrzelany.

\* Coś ty? Tołstojowców również gnębiono? \* zdziwiła się Koza.

\* A jakże. Obowiązkowo... \* Tania zamknęła oczy. Zobaczyła nagle wyrazisty obraz

\* śnieżnobiałe kolosy z ich delikatnym rysunkiem i dziwaczną, wyraźną, napowietrzną linią wierzchołków i dalekiego nieba...

\* Nie lubię go. Właściwie to nieprawda. On pisze, że nie wierzy w muzykę Bacha, w miłość kobiet, w piękno gór \* i człowiek gotów jest z nim się zgodzić. Ale wystarczy, że niespodzianie napisze trzy zdania o pięknie gór i aż cię w oczy razi... I czujesz się powalony...

Przewróciła się na brzuch, podparła łokciem:

\* Dziękuję, że mnie przywiozłaś do tej dziury... Miejsce jest wspaniałe... Bezludzie...

W rzeczywistości urlopowiczów było sporo, można ich było spotkać z rana na miejscowym bazarku \* przyjeżdżali z Zaporozża, Doniecka, Kiszyniowa. Zwłaszcza było ich dużo pod koniec tygodnia. Ale wszyscy oni skupiali się głównie na dwóch plażach \* sanatoryjnej i tak zwanej ogólnej. Mołdawianie z obwisłymi wąsami, ukraińscy górnicy, purpurową opalenizną pośpiesznie pokrywający swoje pociemniałe od pyłu węglowego twarze, ich tęgie żony i rozkrzyczane dzieci \* rozkładali domowe zapasy na zaśmieconym przybrzeżnym pasie, pili ciepłą wódkę, grali w siatkówkę, pluskali się na płyciznach i wyjeżdżali, zostawiając po sobie śmierdzące góry odpadków, zmywane oczyszczającymi jesienno\*zimowymi sztormami. Jakby nie określali samych siebie, ludzie ci byli prawdziwymi potomkami dawnego świata barbarzyńców.

Ani piaszczysta mierzeja, ani dziki morski brzeg pod ziemnymi schodami nie interesowały nikogo. Minąwszy zapaskudzoną plażę ogólną, Tania ze swymi współtowarzyszami dochodziła do mierzei i już po dwustu metrach znikły ślady obecności barbarzyńców. A jeżeli idąc po łuku mierzei przebywali razem ze trzy, cztery kilometry, to oddalali się na tyle i trafiali na takie odludzie, że trudno było to sobie wyobrazić...

W drugą sobotę ich pobytu, po przechorowaniu oparzenia słonecznego, powędrowali na sam środek mierzei, gdzie zachowały się ruiny jakiejś nieokreślonej kamiennej budowli. Prawdopodobnie zimowe fale dosięgały tych ruin, ale przyjeżdżający

narodek \* nie i dlatego nie było tu ani potłuczonych butelek, ani puszek po konserwach wśród marnych krzaczków, które wyrosły tu pod ochroną zwalonych kamieni... Podeszli bliżej i dostrzegli między kamieniami naciągnięty z prześcieradła zaciszny daszek, a pod nim kilku młodych ludzi.

\* To muzycy z Klubu \* rzuciwszy bystrym okiem w ich stronę, poznała Tania.

\* Z jakiego klubu? \* zdziwiła się Koza.

\* No tego morskiego, gdzie nasza mama Zina...

\* Ja na nich wtedy nawet uwagi nie zwróciłam. Ale ty, Taniu, masz wspaniałą pamięć wzrokową. Jak ich zapamiętałaś? \* dziwiła się Koza.

Pianista, najstarszy z nich, z grubym nosem i gęsto owłosionymi nogami, zamachał do nich powitalnie ręką:

\* Welcome, ladies, welcome!

Wszyscy nazywali go Garrikiem, ale naprawdę miał inne imię, ormiańskie, trudne do wymówienia. Po wypiciu pierwszego kieliszka czegoś mocnego natychmiast przechodził na angielski, który znał w szczególności „jazzowy” sposób, wyłącznie poprzez terminy muzyczne i teksty klasycznych bluesów. W tym czasie jazzmeni byli przeważnie facetami „stukniętymi”, ale wśród przyjaciół Tani takich do tej pory jeszcze nie było. Saksofonista siedział prawie tyłem, ale Tania poznała go po jasnych, prostych włosach, których długość w tej epoce uważana była za wyzwanie wobec porządku publicznego. On się obejrzał, popatrzył na Tanię, a ona natychmiast schwyciła się za brzuch, gdyż dziecko kopnęło ją z niespotykaną dotąd siłą.

\* O co chodzi? \* spytała go Tania. On kiwnął się raz jeszcze i zamilkł.

Wszystko było w porządku. Tania z Kozą zastanawiały się, czy skrócić w ich stronę, czy udawać, że idą swoją drogą, ale Miszka już podbiegł do muzyków i oświadczył:

\* A wy zajmujecie nasze miejsce. My tu zawsze...

Nie przeszły obok, zatrzymały się... Tych dziesięć metrów, które dzieliły Tanię od saksofonisty, utrwaliło się jak gdyby na błyskawicznym zdjęciu: on podniósł wolno rękę do skroni, pasmo jego włosów zakołysało się długim, powolnym ruchem.

Dotknął włosów, zastygł, powoli poruszył szyją, uśmiechnął się kącikami ust, które uniosły się do góry, ukazując duże górne zęby i drobne w dolnej szczęce jak u



młodego psiaka. To wszystko stanowiło duży kadr, powiększony. Uśmiechał się do Tani, patrzył na nią wciąż tym samym, spowolnionym spojrzeniem i Tania, wydaje się, już wówczas pojęła, że w tej chwili rozstrzyga się jej los.

Muzycy byli pijani, ale w miarę. Wieczorem mieli występ w miejscowym Domu Wypoczynkowym, zachowywali więc przyjętą normę. Grali ze sobą już od pół roku i wiedzieli doskonale, do jakiego momentu wino korzystnie wpływa na muzykę, a od jakiego jej szkodzi. Popijali coś kwaśnego. Garrik umizgał się do Kozy, perkusista zaczął kleić się do Tani. Tania nie spuszczała wzroku z saksofonisty. O szóstej wieczorem, gdy upał zelżał, wszyscy razem ruszyli w stronę Domu Wypoczynkowego. Przy wjeździe na mierzeję chłopcy zostawili samochód. Koza z Miską poszła do domu na kolację, Tania wcisnęła się na tylne siedzenie i pojechała z muzykami. Siergiej jej się strasznie spodobał, jak nigdy nikt inny.

Występ miał wielkie powodzenie. Po koncercie wszyscy tańczyli przy dźwiękach płynących z magnetofonu. Muzycy sporo wypili. Siergiej nie tańczył. Siedzieli z Tanią za prymitywną estradą i całowali się bez opamiętania, dopóki on nie powiedział, że ma tu zamówiony pokój, ale nie pamięta jego numeru. Do klucza przytwierdzony był jednak ceratowy paseczek z fioletową cyfrą 16.

14.

Tania nie obudziła się, ale się ocknęła: dwuosobowy skromny pokój, z dwoma drewnianymi łózkami i nocną szafką pomiędzy nimi był napęczniony gorącym, gęstym światłem, jak akwarium wodą. Żadnych drobnych ruchów, nerwowości, krzątaniny, jaka bywa zwykle wczesnym rankiem. Było tak cicho, jak zdarza się to w samo południe, w porze, kiedy słońce staje w zenicie. Chwila zastoju \* to właśnie to.

\* I ja jestem w zenicie \* uśmiechnęła się Tania, położyła dłonie na wypukłym brzuchu i pogładziła go po bokach. \* My oboje jesteśmy w zenicie!

Szczytowy moment życia, szczyt góry i góra jej brzucha \* wszystko to było ze sobą powiązane.

\* Czy ty czujesz? \* spytała swój brzuch. \* Czy czujesz, że się z tobą zakochaliśmy?  
Brzuch był jej współnikiem. Popatrzyła na śpiącego obok Siergieja. Jego ręce obejrzała jeszcze wczoraj wieczorem: niezbyt duże, z zaginającymi się do góry ostatnimi członami palców, z powiększonymi stawami w poprzecznych fałdach skóry, paznokcie z białymi plamkami, oznaczającymi albo brak jakiejś witaminy, albo też niespodziewany dar losu... Spojrzała z ukosa \* na jego ręce, ufnie spoczywającej dłonią do góry na jej ramieniu, na wewnętrznej stronie widniała głęboka blizna. Druga blizna znajdowała się na przedramieniu. Było jeszcze więcej szczegółów na tym chłopięcym ciele, których nie zdążyła zauważyć wieczorem, ale które z góry pokochała. Duży palec u nogi był mocno wysunięty do przodu, stopa wąska i nieduża, niczym kobieca. Gęsty, biały meszek na podudziu... leży na boku, jedną nogę ma zgiętą w kolanie. W zacisznym cieniu pośród jasnych kędziorów skromny, śpiący członek, nie pozbawiony wyrazu \* przedtem Tania wydawało się, że męskie narządy różnią się między sobą jedynie wielkością, a poza tym są jednakowe. Ten miał charakterystyczne wygięcie, powtarzające linię ust i wyrażał prostoduszność i zdolność do samozaparcia... Tania dotknęła ręką mlecznobiałej skóry, małego kawałeczka na biodrze, nie pokrytego opalenizną. Skóra była po kobiecemu delikatna. Piersi porastały miękkie, jasne włosy, jak wypłowieły na słońcu mech. Dotknęła blizny na dłoni. „To będzie moje ulubione miejsce”.

On pomacał drugą ręką obok i przyciągnął ją do siebie:

\* Ty dokąd? Nie odchodź...

\* Ależ nigdy! \* zaśmiała się Tania. \* A do ubikacji można?

\* Nie, za nic.

Przytulił ją do siebie \* dopasowani byli znakomicie. Nigdy przedtem nie doświadczał takiej zbieżności. Nie otwierając oczu, zapytał:

\* Skąd się wzięłaś?

\* Znikąd. Zawsze byłam \* zaśmiała się Tania.

\* Pewnie tak \* zgodził się, dotykając delikatnie jej szyi, piersi, brzucha.

\* Otwórz oczy \* poprosiła Tania.

\* Boję się \* uśmiechnął się, ale uniósł powieki.

\* No i jak? \* Tania podniosła się i trochę odsunęła.

\* Wspaniale \* uspokoił ją, a może i siebie. \* Wszystko było wspaniale, tylko ja wcale nie zapamiętałem twojej twarzy. Wiesz, kiedyś przeżyłem taki wstrząs. Obudziłem się, a obok...

Tania zamknęła mu usta ręką:

\* Zapomnij. Wszystko, co było wcześniej, natychmiast zapomnij. Ty jesteś Siergiej, ja Tania, a wszystko inne nie ma znaczenia.

Siergiej zaśmiał się:

\* Dobrze. Ale tak w ogóle to ja mam żonę.

\* A ja męża. Nawet dwóch. I niedługo będzie dziecko... \* Jak to? \* Siergiej podniósł się, opierając się na łokciu. Tania ujęła jego dłoń i położyła sobie na brzuchu:

\* Za około trzy, trzy i pół miesiąca.

Brzuch był napięty, wypełniony. Siergiej wyrwał rękę, jak gdyby się oparzył o gorący czajnik:

\* I ty się oddajesz... Czegoś takiego jeszcze nie przeżywałem...

\* I ja także \* zaśmiała się Tania. \* Zawsze bywa ten pierwszy raz... Jestem z tobą po raz pierwszy...

Siergiej wstał i poszedł pod prysznic. Postąpił kilka minut pod słabym, ciepłym strumieniem. Z dłoni napił się tej paskudnej wody.

„Ale głupia dziewczka! Zaraz ją wyrzucę” \* postanowił i wyszedł z kabiny. Ona stała już pod drzwiami i wśliznęła się do środka. Miała wspaniałą figurę, i piersi, i talię. Brzuch był nieduży, ale zauważalny.

On położył się z powrotem na łóżku. Zapalił.

\* Ubieraj się i wychodź \* poprosił, kiedy usiadła obok niego.

Pokręciła głową:

\* Czego się przestraszyłeś? Wszystko w porządku. Nigdzie od ciebie nie pójdę.

\* W tobie jest dziecko, ja przecież mogę mu coś uszkodzić. Czy ci w ogóle wolno zadawać się z mężczyznami w takiej sytuacji?

\* A tobie wydało się, że nie wolno?

\* Mnie się nie wydało, ja po prostu nie zauważyłem.

\* A ja myślę, że jest to nawet pożądane. Ja właściwie dlatego przyjechałam na południe, żeby jemu zrobić przyjemność. \* Tania złapała się za brzuch rękami.

\* W jakim sensie? Tania zaśmiała się:

\* Popływać, poleżeć na słoneczku...

Wskoczyła do łóżka pod prześcieradło, objęła go za szyję:

\* Wszystko, co się podoba mnie, podoba się też jemu. Słowo daję...

Była cudowną dziewczyną, strach jego zniknął, pozostało pożądanie.

I chyba był swoisty urok w tym jej napiętym brzuchu, nabrzmiątych sutkach i wzmożonej kobiecości, związanej z jej stanem. Cały dzień spędzili w pokoju, wyszli tylko raz po wodę mineralną...

Wieczorem muzycy zagrali drugi koncert. Tania ani na chwilę nie odrywała się od gry Siergieja, która była przedłużeniem ich nowo narodzonej miłości. Potem przenocowali, nazajutrz otrzymali zupełnie przyzwoitą zapłatę za występy i odjechali. Tania wpadła na chwilę do Kozy, schwyciła swoją podróżną torbę, musnęła pocałunkiem czubek głowy Miszki i policzek Wiki, i zniknęła na zawsze z jej pola widzenia.

15.

Występy jazzowego tria trwały od połowy lata do późnej jesieni. Przybrało ono nazwę GAZ od pierwszych liter nazwisk Gabrijelian, Aleksandrów, Zworykin. Był to pierwszy rok ich wspólnej pracy, uczyli się stanowić jeden organizm i po trochu, po trochu zaczynało się to udawać. Każdego dnia dokonywali jakichś odkryć. Choć nie zrezygnowali z przyzwyczajenia do codziennej porcji alkoholu, to w istocie upajało ich nie wino, a niesłychany powab rodzącej się w ich wykonaniu muzyki.

Motorem całego przedsięwzięcia był najstarszy z nich Garrik Gabrijelian, jedyny spośród nich profesjonalista, wyrzucony z ostatniego roku Leningradzkiego Konserwatorium, który dokonywał oszałamiającej ucieczki od reguł klasycznego piękna muzyki ku swobodnym obszarom jazzowej improwizacji. Perkusista Aleksandrów, emerytowany inżynier, pomieszany na punkcie egzotycznych idei,

interesujący się w tym czasie lewitacją, ale mający też wprost chorobliwy pociąg do śnieżnych ludzi, przybyszów z innych planet i pozaziemskich cywilizacji, z całej mocy wystukiwał na czterech głośnych kotłach, mnóstwie dzwonek, gongów, talerzy i kastanietów sygnały do nieznanych potęg. Przekonywał wszystkich, że przy prawidłowo zastosowanej technice perkusyjnej latanie byłoby dla człowieka tak naturalną czynnością, jak na przykład, pływanie. Pływać, co prawda, sam się nie nauczył. Później, po siedmiu latach, natrafił na złotą żyłę szamanizmu i poleciał prosto w zaświaty ze szpitalnego łóżka w przesiąkniętym zapachami narkotyków szpitalu psychiatrycznym na przedmieściu Leningradu...

Saksofonista Siergiej Zworykin też wywodził się z gatunku maniaków, jeśli chodziło o muzykę. Rzucił studia w Instytucie Technologicznym, na śmierć pokłócił się z ojcem, profesorem nauk partyjnych, wyniósł się z domu i ożenił z czterdziestoletnią emerytowaną baletnicą, co stanowiło ostatni gwóźdź do trumny jego reputacji jako człowieka normalnego. Taki był wybraniec Tani i jego koledzy. Okazało się, że byli ludźmi, za

którymi właśnie Tania tak tęskniła: nie lekarzami w rodzaju ojca, najlepszego ze wszystkich, nie naukowcami jak Marlena Siergiejewna, wyposażonymi w nożyczki i pincety do grzebania w głębi ciężarnej macicy szczura, nie dysydentami, upartymi i uduchowionymi, jak na przykład, stary Goldberg i jego synowie, nie hałaśliwą i niedorzeczną półbohema Wiki\*Kozy. Ci mało rozmawiający, myślący dość mgliście i w ogóle nie zajmujący się żadnymi bulwersującymi życiowymi problemami, ani moralnymi, ani społecznymi, ani politycznymi przypadli Tani do serca. Oni niczego nie robili, o nic nie walczyli, do niczego nie dążyli \* oni po prostu grali swoją muzykę, bawili się w swoją muzykę, pozwalali jej mówić za nich i cieszyli się, że jej, tej muzyce tak dobrze wszystko się udaje...

Tania się w nią wsłuchiwała nie tylko na próbach i koncertach, ale przez cały czas, od rana do nocy i od nocy do rana. Okazało się, że muzyka dźwięczy nieprzerwanie, a nie tylko w tych chwilach, kiedy uderza się w klawisze czy dmucha w trąbę.

Powiedziała o swoim spostrzeżeniu Siergiejowi. On pokiwał tylko głową:

\* Oczywiście. We śnie również, szczególnie we śnie...

Tania nateżyła pamięć, czy wyobraźnię, czy też inną cechę duchową, odpowiedzialną za nocne życie świadomości i przypomniała: tak, we śnie również jest muzyka, tylko nie daje jej się spamiętać... Od tej pory, kiedy sobie to uświadomiła, równolegle do działań, w których brała udział, odczuwała istnienie ścieżki dźwiękowej, nieprzerwanej, wciąż się zmieniającej, jak widok z okna wagonu, nie dający się oddzielić od ruchu pociągu...

Muzyka, którą tworzyli jazzmeni, była częścią składową tego, co działo się wokół, żyło i śpiewało w szelestach, pluskach, dźwiękach ludzkiej mowy \* nie w płaskim sensie słów, ale w tembrach głosów, dialogach, intonacji i kształcie rytmicznym...

Dźwięki mechaniczne i naturalne głosy morza, wiatru, deszczu, to oddalając się, to przybliżając, były obecne w postaci szumu w tle, albo też przybierając na sile, grały pierwszą partię... Ta trwająca muzyka nie miała obmyślonego wcześniej planu, żyła poza kwadratem harmonicznym, była pełna dowolności i przypadkowości, ale jednak nie była chaotycznym zbiorem dźwięków, a prawdziwą muzyką i niezależnie od swojej ciągłości i nieskończoności, zaznaczała kadencje, dobiegając końca w logicznie uzasadnionych punktach i ponownie się rozwijając prawie od każdej przypadkowej nuty...

Kiedy Tania, leżąc na piasku brudnawej plaży, próbowała wyrazić to wrażenie słowami, Siergiej przytaknął lakonicznie kiwnięciem głowy:

\* To aleatoryka. To się nazywa aleatoryka. W przypadkowości zakłada się wielkie bogactwo różnych możliwości.

\* Jak szkiełka w kalejdoskopie? \* ożywiła się Tania.

\* Można to i tak tłumaczyć. Porozmawiaj z Garrikiem, on zna się wyjątkowo na teorii muzyki, ja to raczej łapałem wszystko po drodze...

\* Wszystko, kompletnie wszystko już zostało odkryte \* z żalem powiedziała Tania. \* W którą stronę człowiek by się nie zwrócił, wszystko jest zbadane, opisane...

\* Głuptasku \* zaśmiał się Siergiej. Pogładził małą wypukłość jej napiętego brzucha, która zniknęła przed momentem. \* Czy dla ciebie nie będzie za dużo tego słońca? Przenieś się do cienia, dobrze?

W ciągu dwóch tygodni przyzwyczał się do Tani i do jej brzucha tak, jakby z nią

przeżył sześć lat, a nie z emerytowaną baletnicą Elwirą Połuektową, doszczętnie pozbawioną żeńskich okrągłości i miękkości, które, trzeba przyznać, bardzo mu się podobały.

Spędziwszy w Odessie jeszcze dwa tygodnie, trio przygotowywało się do wyjazdu na Kaukaz.

\* Najprzód wsadzimy ciebie do pociągu, a potem ruszymy \* oświadczył Tani Garrik. Tania poprosiła, żeby jej nie odsyłano i żeby mogła pozostać do końca gościnnych występów. Siergiej dodał:

\* No, chociaż na tydzień, Garriku. W Soczi popracujemy i stamtąd ją wyślemy. W tym czasie i o bilety będzie łatwiej.

To była prawda, w końcu sierpnia bilety na pociąg czy na samolot rzeczywiście bardzo było trudno dostać.

\* A brzuch? \* nachmurzył się Garrik. On miał już dwoje dzieci i jako jedyny z całej trójki wiedział z własnego ojcowskiego doświadczenia, że ciąża nieodwracalnie kończy się porodem.

Tania złożyła swe cienkie ręce na brzuchu:

\* Garriku, miły, ja jeszcze mam czekać ponad dwa miesiące... Nie wyganiaj mnie, ja na coś wam się przydam...

Garrik opędził się:

\* Ty to jak królowna\*żabka... W końcu to sprawa Siergieja, a nie moja.

Garrik był klasycznym kaukaskim babiarzem \* uważał za swój święty obowiązek nie przepuścić żadnej blondynce z dużym biustem, a przy tym uwielbiał swoją mądrą i wykształconą żonę, Gruzinkę, wcześniej postarzałą, ze stopniem kandydata nauk i zerowym numerem biustonosza. Był gotów zaaprobować każdy romans Siergieja, tym bardziej że nie cierpiał zmanierowanej i głupiej baletnicy, ale ciąża Tani stawiała go w sytuacji bez wyjścia:

\* Czy ty jesteś chory, Siergioga? Tańka to fajna dziewczyna, ale jak ty możesz się z nią zadawać, kiedy ona w brzuchu nosi coś cudzego? Nie rozumiem!

A Siergiej bardzo się przejmował brzuchem Tani. Jego ślub z Połuektową, abstrakcyjnie seksualną i bezpłodną jak kamień, był zawarty rzeczowo, na chłodno:

na początku wynajmował u niej pokój, potem zaczął przynosić do domu kefir i wyprowadzać na spacer jej dwa charty, kiedyś przypadkowo obudził się w jej łóżku i ożenił się demonstracyjnie, żeby pokazać światu, a głównie rodzicom swoją całkowitą niezależność. Emerytowana baletnica pociągała go kiedyś swoją całkowitą odmiennością od tego, co było mu znane, Tania zaś \* najpełniejszą zgodnością w odbiorze świata, ukierunkowaniu myśli i uczuć, a głównie protestanckim pragnieniem prawdy, co w praktyce przejawiało się jako protest przeciwko każdej postaci kłamstwa, państwowego czy zwykłego, codziennego.

\* My z tobą pasujemy do siebie już na poziomie molekularnym \* konstatowała Tania ten zadziwiający fakt i Siergiej się zgadzał.

Małeństwo w środku brzucha Tani niczemu zupełnie nie przeszkadzało. Tania zapewniła, że jej syn się cieszy, ponieważ znalazła mu odpowiedniego ojca. Siergiej i tym razem nie protestował.

Istniał jeszcze jedna okoliczność, głęboko intymna: Tania, niezależnie od swojej zuchwałej fantazji, z dzieckiem, poczętym w odruchu dobroczynnym, czule i bez jakiegokolwiek wstydu rozważała anatomię mężczyzny \* do czego poprzednio nigdy się nie zniżała \* i przyznała prostodusznie Siergiejowi, że do tego lata nie doświadczyła nigdy tego niesamowitego zachwyty, który odczuwa każde żywe stworzenie, od dżdżownicy po hipopotama, w rezultacie bezpośredniego pocierania błon śluzowych i następującego mocnego rozładowania napięcia centralnego systemu nerwowego.

\* To najistotniejsza różnica między kobietą a mężczyzną, że u mężczyzny dochodzi do tego zawsze i z kimkolwiek \* sennie filozofowała Tania.

\* Mylisz się, znam sporo kobiet, u których też zawsze do tego dochodzi \* oponował Siergiej.

\* Ja jakoś już nie mam ochoty sprawdzać, czy wielu jest facetów na świecie, z którymi mogłoby u mnie dojść do tego. Raczej już zatrzymam się przy tobie.

\* Tylko miej to na uwadze, że przy mnie już się ktoś zatrzymał \* śmiał się Siergiej.

Od czasu do czasu Tania dzwoniła do Moskwy, do ojca i do Witalika. Z Obnińskim



trudno było się połączyć: w laboratorium u Gieny znajdował się jeden miejski aparat na całe piętro, w hotelu w nocy dyżurny nie wzywał do telefonu. A porozmawiać Tania pragnęła właśnie z Gieną i wyznać mu, że zakochała się na zabój i nie zamierza wracać do Moskwy. Ani ojcu, ani

Witalikowi nie miałyby odwagi powiedzieć czegoś takiego: Witalik był zbyt drażliwy, ojciec natomiast \* poważny i logiczny. Ojciec i tak już żądał natychmiastowego powrotu, krzyczał do słuchawki, że koniec siódmego miesiąca ciąży jest szczególnie niebezpieczny i że Tania naraża dziecko na ryzyko.

\* Jemu jest dobrze, tatusiu! I mnie dobrze! Nam tak tu jest dobrze! Jeszcze trochę tu pobędziemy! \* jedną ręką trzymała słuchawkę, drugą \* rękę Sierioży.

\* Czy wysłać ci pieniądze? \* pytał Paweł Aleksiejewicz.

\* Pieniądzy nie trzeba, żadnych pieniędzy nie wysyłaj. Ja pojutrze jadę do Suchumi!

\* radośnie krzyczała Tania, a Paweł Aleksiejewicz po zakończeniu rozmowy szedł do gabinetu i wypijał uspokajającą szklaneczkę. Rzeczywiście bardzo się niepokoił: budowa Tani przypominała matczyną, tak samo wąska mała miednica, niebezpieczeństwo rozejścia się kości miednicy. Powinna by poleżeć na oddziale profilaktycznym.

Pawłowi Aleksiejewiczowi nie mogło nawet przyjść do głowy, że Tania nie przyjedzie na poród do Moskwy, a zostanie w obcym mieście, na opiece obcych ludzi.

Ale wszystko odbyło się właśnie tak. Występy gościnne, rozpoczęte z sukcesem wjałcie, z jeszcze większym sukcesem zorganizowane w Odessie, w Soczi osiągnęły szczyt powodzenia. W Suchumi przyjęto ich znacznie chłodniej, w Batumi zamiast czterech zaplanowanych koncertów odbyły się tylko dwa. Upalna Adżaria, głównie z powodu rozpoczętego zbioru mandarynek, też nie okazała entuzjazmu. Wyjechali więc, zrywając półlegalną umowę. Garrik wciąż usiłował wysłać Tanie do domu, ale ona się wymawiała, aż dopóki ten nie machnął w końcu ręką.

W ciągu ostatniego miesiąca Tania stała się wyraźnie ocieężała. Dziecko, to przez kilka dni nie dawało o sobie znać, to nagle urządzało taki rwetes, jak gdyby była ich tam cała gromada. Nocami Siergiej trzymał ręce na jej brzuchu i wyczuwał dłonią ni

to piętękę, ni to piąstkę, coś brykającego i mającego całkowicie wyraźny kształt.

\* A ja mogę urodzić dwójkę \* straszyla Siergieja Tania, ale on był lekkomyślny i beztroski:

\* A co za różnica? Dwójka to dwójka. Jedno szare, drugie białe, dwa wesołe gąsiątka

\* klepał ją po rozdętym boku, przywierał wargami do cienkiej skóry, rozciągniętej od wewnątrz na skutek naporu i jego namiętność przy dotknięciu do żywego domu przyszłego dziecka nie tylko nie znikala, ale przeciwnie \* wciąż wzrastała.

\* Mnie to się tak podoba, strasznie się podoba. Ty zawsze u mnie będziesz w ciąży i cały czas będziesz rodzić... Jak Natalia Nikołajewna... \* Jak wszyscy petersburżanie, nie wymieniał nazwiska żony poety, i tak było wiadomo, o kogo chodzi. \* Aborcja to straszne świństwo. Połuektowa za młodych lat co trzy miesiące dokonywała skrobanki jak gdyby nigdy nic. Baletnice nie rodzą. My z tobą nigdy... nigdy... tak jest pięknie. Ostrożnie, ostrożnie, ja ciebie nie uszkodzę...

Do samego porodu nie mogli się od siebie oderwać.

Tania nie wróciła do Moskwy. Przyleciała do Pitra w końcu października. Nie mieli gdzie mieszkać z Siergiejem. Na razie zamieszkali u Toli Aleksandrowa, perkusisty. Kiedyś jego rodzinie przydzielono salon z trzema pseudoweneckimi oknami w dawnym mieszkaniu obszarników, na rogu Pestela i zaułka Litiejnego, ale olbrzymi pokój już dawno został podzielony drewnianymi ściankami na cztery długie klitki, z trzema ćwiartkami okna w każdej. Na Tolka po śmierci matki i babki przypadaly dwa pokoiki, w jednym z nich umieścił więc swych przyjaciół.

Pieniądze, zarobione na koncertach, skończyły się szybko. Żyli więc teraz bardzo skromnie razem z Tolkiem. Tania smażyła kartofle, prała, sprzątała zaniedbane pokoje i słuchała muzyki, tej nie milknącej dźwiękowej ścieżki, którą nauczyła się słyszeć podczas ich wyjazdu...

W połowie grudnia Pogotowie Ratunkowe odwiozło Tanię do Izby Porodowej. Nie chciano jej przyjąć bez dokumentów z przychodni dla kobiet. Jedyne co miała przy sobie, to dowód osobisty z moskiewskim meldunkiem. No i porodowe skurcze.

Podczas gdy w izbie przyjęć wymyślano jej za nieodpowiedzialność, odeszły wody i nie było już innego wyjścia, jak ułożyć rodzącą na wózku i odwieźć na salę. Poród

odbierała jedna z położnych, które Paweł Aleksiejewicz uczył w Instytucie Doskonalenia Lekarzy i zobaczywszy na kartce pośpiesznie napisane znane nazwisko, zapytała Tanię, czy nie jest krewną doktora Kukockiego. Dowiedziawszy się, że jest rodzoną córką, położna nie odeszła od niej na krok i przed dziesiątą \* co dla pierwszego porodu było dobrym, a nawet krótkim czasem \* przyjęła małą dziewczynkę z dość długimi, czarnymi włoskami.

Poinformowana, że urodziła się dziewczynka, Tania gorzko zapłakała. Jeszcze nigdy nie przeżywała takiego wielkiego rozczarowania...

Położna, odebrawszy poród, zatelefonowała do Moskwy, znalazła numer telefonu Pawła Aleksiejewicza i złożyła mu gratulacje z okazji narodzin wnuczki.

16.

Paweł Aleksiejewicz położył słuchawkę. Serce nagle opustoszało, zamarło, a potem zaczęło mocno walić jakby w rytm częstych uderzeń w bęben.

„Oho, sto osiemdziesiąt uderzeń \* obliczył z grubszą. \* Napadowa tachikardia...”.

Poszukał zegarka \* wpół do piątej. Nocna dziewczynka. Urodziła się pomiędzy północą i późnym świtaniem. Szesnastego grudnia, w najciemniejsze dni roku. Blisko przesilenia dnia z nocą.

Strzałka sekundnika starego, pochodzącego jeszcze z czasów wojny, szwajcarskiego zegarka, dokonywała swego obrotu i Paweł Aleksiejewicz automatycznie liczył puls: sto dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę.

Spuścił nogi z łóżka. Chude, żylaste. Dotknął palcem podbicia \* ani śladu opuchlizny.

„Dobrze, dzięki Bogu wnuczka się urodziła. Żal należy schować. Moje zmartwienie nie ma żadnego znaczenia.”

Siedział dość długo, czekając, aż rytm serca się uspokoi. „Najprawdopodobniej arytmia zatokowa” \* postawił szybką diagnozę.

Wstał i zrobił nocny obchód mieszkania, obejrzał dom, w którym przeżył prawie dwadzieścia lat. Krępy, z ogoloną na zero głową starzec, w starej żołnierskiej

bieliźnie, przygarbiony, przeszedł po korytarzu i zapalił światło w przedpokoju: wszystko było zniszczone do niemożliwości. Najpierw zajrzał do pokoju dziewczynek, tam stały dwa łóżka. Na jednym spała Toma, na drugim, dawnym łóżku Tani, leżał cały stos bielizny do prasowania. W półmroku pokoju nieprzyjemnie kłębiły się ciemne masy liści, pachniało wilgotną ziemią...

Skręcił z korytarza w lewo, zajrzał do dawnej sypialni, obecnie pokoju Heleny. Tu gościł złożony zapach \* szpitala, kurzu i jakiegoś gorzkiego zioła.

Brudno. W domu zrobiło się bardzo brudno. Wasilisa źle widzi, zresztą w ogóle nigdy porządnie nie umiała sprzątać. Toma pracuje, uczy się, ma dużo obowiązków. Trzeba będzie poprosić Praskowję, sprzątaczkę z oddziału ze szpitala. Ale to nie bardzo możliwe \* Wasilisa obrazi się... Ale dziecka w takim pokoju umieścić nie można. Może u mnie w gabinecie? To najlepszy wariant. A u siebie to ja i sam wszystko sprzątnę. Łóżeczko można postawić pośrodku, miejsca jest dużo. Stolik do przewijania przywiozę z oddziału. I załatwię sobie zaraz emeryturę... Jak dobrze, że skończyłem już sześćdziesiąt pięć...

Helena nie spała. Patrzyła na ciemną sylwetkę w drzwiach. Światło było za jej plecami, nad głową i ramionami utworzyło się coś w rodzaju aureoli.

\* To ty? \* zapytała Helena.

Paweł Aleksiejewicz usiadł w nogach łóżka. Helena zawsze lubiła spać na wysoko ułożonych poduszkach. Wcześniej, kiedy sypiał na tym szerokim łóżku, jej poduszki stały na sztorc po lewej stronie, a jego mała, płaska leżała po prawej... Wsunął rękę pod kołdrę i pogładził jej nogi w jedwabistych skarpetkach.

\* Telefonowano do mnie przed chwilą z Leningradu. Tania urodziła dziewczynkę.

\* Nie, nie \* miękko przerwała mu Helena \* to ja urodziłam dziewczynkę.

\* Tania wyrosła, wyszła za męża i urodziła córkę \* powtórzył Paweł Aleksiejewicz.

W półmroku błysnęły jasne oczy Heleny:

\* Jest zbyt wcześnie, zbyt ciemno. Gdzie jest Tania?

\* W Leningradzie.

\* Poproś ją, niech tu przyjdzie. Dawno jej nie widziałam... Ona jest w szkole?

\* Tania dawno temu skończyła szkołę. Jest teraz w Leningradzie, urodziła córkę \*

powtarzał cierpliwie Paweł Aleksiejewicz.

\* Mów o czymś innym, tato \* poprosiła Helena. \* Ja tego nie rozumiem.

Paweł Aleksiejewicz podsunął okrągły taboret do wezglowia łóżka. Młoda Murka, śpiąca pod ręką Heleny, wzdrygnęła się i otworzyła jedno oko. Paweł przysiadł obok żony i wziął ją za rękę. Ręka była szczupła, chłodna, prawie nic nie ważyła.

Przez wiele lat nazywano go PA. W pracy brzmiało to „pe\*a”, ponieważ była moda nazywania przełożonych zgodnie z ich inicjałami. W domu w najlepszym okresie zwracano się do niego „pa”. Ale teraz Paweł Aleksiejewicz zaczął podejrzewać, że Helena bierze go za swego ojca. Potrzymał ją za rękę, pogładził po puszystych, nie rozczesanych włosach i zdecydował, że nie będzie dochodził, za kogo go bierze. Nie jest to takie ważne...

\* Ja pojedę do Leningradu, zobaczę, jak tam sprawy się mają i postaram sieje przywieźć \* oznajmił Helenie.

\* To dobrze \* westchnęła. \* Niech Tania wejdzie.

Paweł Aleksiejewicz kontynuował, nie zwracając uwagi na niezdolność Heleny do podtrzymania sensownego dialogu:

\* Wydaje mi się, że między nią a mężem zaistniał jakiś konflikt. Może ją czymś obraził, nie wiem. Pytać o to nie zamierzam. Witalij dzwonił w zeszłym tygodniu, pytał o Tanię, powiedziałem, że jest w Leningradzie, ma zamiar niedługo przyjechać, ale swego adresu mi nie podała. A co ty o tym myślisz?

Helena stropiła się, zaniepokoiła:

\* Ja nie wiem, to już jak ty uważasz... Ty sam... ja nie...

\* W każdym razie jej z dzieckiem lepiej byłoby być w domu, niż gdziekolwiek indziej, nieprawdaż? \* zadał pytanie, na które wystarczyłoby kiwnąć głową.

Ale Helena już go nie słyszała. Niespokojnie macała rękami dookoła siebie i Paweł odgadł, że szukała Murki, która uciekła i której zawsze potrzebowała, gdy znajdowała się w trudnej sytuacji. Kotka siedziała na fotelu nieopodal. Wziął ją i położył Helenie na łóżku. Helena przytuliła ją obiema rękami i uśmiechnęła się. Dotknęła zwierzaka i jak gdyby opuściła przestrzeń sypialni \* wzrok jej nie stał się bezmyślny, lecz zogniskował się na czymś na zewnątrz od tutejszego świata...

Paweł Aleksiejewicz posiedział jeszcze trochę, potem poszedł do gabinetu i zatelefonował do informacji. Okazało się, że zdąży na dzienny pociąg do Leningradu. Wziął teczkę, włożył do niej szczotkę do zębów, biały kitel i wojskową manierkę z rozcieńczonym spirytusem, którego zapas miał zawsze w domu. Postanowił, że nie będzie nikogo uprzedzać, a po prostu wieczorem zadzwoni z Leningradu. O nocleg się nie martwił, miał tam starego przyjaciela, u którego zawsze mógł się zatrzymać, istniał też zresztą hotel Akademii na ulicy Chałturina, gdzie miejsce dla niego na pewno by się znalazło... Pojechał na dworzec, nieoczekiwanie szybko kupił bilet i zdążył jeszcze zajechać do kliniki, gdzie leżała ciężko chora kobieta, którą przed wyjazdem chciał obejrzeć i dać wskazówki leczącemu ją lekarzowi...

Pociąg dzienny do Leningradu włókł się bezsensownie długo, a Paweł Aleksiejewicz nie zabrał ze sobą na drogę nawet książki. Z ciekawością przyglądał się swoim towarzyszom podróży \* bardzo młodej parze, całującej się ukradkiem \* i z grubsza oceniał, czy oboje są starsi od Tani... Prawdopodobnie byli nawet młodsi... Dopóki się nie ściemniło, patrzył przez okno: spokojne miganie obrazów odwracało myśl od przygnębiających spraw. W młodości wyjątkowo ważne było dla niego poczucie słuszności i w swoim postępowaniu często kierował się tym poczuciem. Obecnie czuł się zakłopotany: zachowanie Tani było nie do przyjęcia. Musiał przyznać, że zostawiła chorą matkę bez żadnych wyjaśnień. Teraz z jakąś maniackalną konsekwencją zmusza wszystkich do niepokoju o nią \* męża, ojca, Wasilię w końcu... Nierozsądnie i nieodpowiedzialnie rodzi dziecko nie wiadomo gdzie, nie wiadomo do kogo pójdzie z dzieckiem, z czego będzie się utrzymywała... Tania była nie w porządku.

On sam, wydawało się, nie miał o co siebie obwiniać, ale to nie miało żadnego znaczenia. Brał na siebie jej błędy i jechał do niej, żeby naprawić to niepomysłne i niepoprawne życie, które stało się takim jednak z jego winy, chociaż całkowicie nie dającej się sprecyzować. Oskarżał siebie o nieumiejętność organizowania życia: żona choruje, córka opuściła dom... Za każdym razem, gdy jego uporczywe, trwożne myśli dochodziły do tego punktu, otwierał teczkę i wypijał łyk z obciążonej brezentem manierki. Był to rodzaj automatycznej reakcji, powstałej jeszcze w końcu lat

czterdziestych, kiedy wezwanie do ministerstwa albo na zebranie do Akademii zapowiadało nieprzyjemności... Wodorotlenowa grupa OH wraz z nasyconym atomem węgla \* niczym przyjaciółka \* jak zwykle chroniła go przed zewnętrznymi i wewnętrznymi kłopotami...

Wieczorem, gdy pociąg przystanął na Dworcu Moskiewskim, manierka była puściusia, serce znowu waliło w zdwojonym tempie, ale na duszy było lżej, ponieważ w czasie drogi, obserwując spod oka młodą parę, która wciąż starała się dotknąć się nawzajem ramieniem, łokciem czy kolaniem, jego umysł sam z siebie pomógł mu zrozumieć: jedynym prawdopodobnym powodem niewytłumaczalnego w sposób racjonalny zachowania się Tani musiał być nowy romans.

Przypomniał mu się tragiczny przypadek podobnego rodzaju: w roku czterdziestym szóstym czy siódmym kobieta, będąca w ciąży została umieszczona w ostatnim okresie przed porodem w profilaktorium. Nazywała się Galina Kroi, była piękna i była żoną pułkownika. Nagle zakochała się w asystencie Wołodi Sapożnikowie i stało się to dosłownie na kilkanaście dni przed porodem. Romans był tak burzliwy, że wychodząc ze szpitala Galina wraz z dzieckiem odmówiła powrotu do męża i przeniosła się do Wołodi. Mąż wyśledził Wołodię i wymierzył do niego z pistoletu. Biedna kobieta została bez męża i bez kochanka, bowiem jeden został zabity, a drugiego wsadzono do więzienia... Po jakichś pięciu latach przyszła po poradę. Wtedy już działał ośrodek badania bezpłodności... Była ponownie mężatką, zmieniła nazwisko i ze trzy lata się leczyła, zanim zaszła w ciążę. Na poród przyszła do Pawła Aleksiejewicza. Poród tego drugiego dziecka był ciężki, przy pośladowym położeniu... Pamięć w jakimś celu chroni setki i setki różnych przypadków... Tak Paweł Aleksiejewicz przygotowywał się do spotkania z córką i pocieszał się, że wątpliwe, by Witalik chciał kogoś ścigać...

Z dworca Paweł Aleksiejewicz wziął taksówkę i po dwudziestu minutach był w Izbie Porodowej. Kierowniczka oddziału czekała na niego: nie każdego dnia zdarzało się bowiem, że akademik odwiedzał jej zwyczajny szpital. Paweł Aleksiejewicz umył ręce i włożył kitel. Zaprowadzono go do ogólnej sali, gdzie na drugim łóżku od drzwi leżała wychudzona, z sińcami pod oczami i spuchniętymi wargami kochana Tania,

podobna do nastolatki, a nawet raczej do chłopca\*nastolatka... Nie od razu ją rozpoznał, a ona, zobaczywszy ojca, wydała cichy okrzyk i wypadła z łóżka prosto mu na szyję.

Objęli się mocno nawzajem \* nie było już miejsca na żaden żal czy urazę.

\* Tatku, to genialnie, że przyjechałeś... Jaki ty jesteś, pomimo wszystko... Każ sobie pokazać dziecko. A jak tam mama? Co z Tomką?

On gładził ostrzyżoną na krótko głowę, ramiona i dziwił się jej chudości. Palce z przyjemnością dotykały jej ostrych łopatek...

\* Maleństwo moje drogie, głupiutkie \* szeptał Paweł Aleksiejewicz.

Sąsiadki z sali nie mogły się nadziwić \* Tania była wśród nich szczególnym przypadkiem. Chociaż nie opowiadała niczego o sobie, to w ciągu tej doby powstało powszechne przekonanie lub może tylko podejrzenie, że dziewczyna jest niezamężna, narwana i coś z nią jest nie tak... Teraz się okazało, że w dodatku jej ojcem jest ktoś znaczny...

Później Tani dano kitel i oboje poszli do sali dziecinniej. W malutkich łóżeczkach, podobnych do łóżek dla lalek, leżały białe zawiniątka o rozmiarze nieco większym od bułki paryskiej.

\* Idź, pokaż \* szeptem powiedział Paweł Aleksiejewicz. Miejscowa lekarka z pośpiesznie utworzonej świty chciała

iść przodem, ale Paweł Aleksiejewicz gestem dał do zrozumienia, że nie potrzeba.

Zagadka nie była trudna: w nogach łóżek wisiały tabliczki z nazwiskami matek, ale Paweł Aleksiejewicz wpatrywał się w każdą malutką buzię, chcąc rozpoznać tę rodzoną.

\* Oto ta \* Tania wskazała na niemowlę. Na tabliczce fioletowymi literami napisane było ich nazwisko... Dziewczynka spała. Na wysokie czoło spadała ciemna grzywka, twarzyczka była zażółcona, nos długi, usta malutkie, mocno zaciśnięte. \* Ładna? \* zazdrośnie spytała Tania.

Paweł Aleksiejewicz wyjął zawiniątko z łóżeczka, serce mu zabiło: nasze dziecko...

Potem wyciągnął małym palcem róg pieluszki, zagięty do wewnątrz z tyłu i położył zawiniątko na stole do przewijania. Dziewczynka z cmoknięciem otworzyła buzię i



pisnęła. Paweł Aleksiejewicz rozwinął ją z pieluszek, ściągnął koszulkę... Rozłożył nóżki, wyrównał je, przewrócił na brzusek tym zręcznym ruchem, jakim kobiety przewracają bliny na patelni, porównał fałdki pod ledwie zaznaczonymi pośladkami, obmacał stawy biodrowe \* znał te słabe miejsca konstytucji organizmu \* i podniósł lekko dziecko za nogi... Przeciągnął palcem po kręgosłupie, obmacał potylicę, ciemię, znowu przewrócił na plecy. Potem sprawdził wypukły brzusek, nacisnął palcem miejsce obok przewiązanej resztki pępowiny.

\* Zupełnie dobrze \* zamruczał. \* Wątroba trochę powiększona, żółtaczką u noworodka to nic strasznego. Ty nie wszystko jeszcze zapomniałaś? Rozumiesz, jaki proces teraz tu zachodzi? Juwenilna hemoglobina się rozpada... \* położył trzy swoje grube palce na piersi z lewej strony. Potem ujął drobniutką rączkę, rozgiął piąstkę i dotknął miękkich, zagiętych u koniuszków paznokci.

\* Fonendoskop \* rzucił jakby w przestrzeń i natychmiast w jego rękach, jak z powietrza, znalazł się metaliczny krążek ze słuchawkami.

Ośluchiwał przez minutę.

\* W porządku. Wydało mi się, że paznokcie troszkę sinawe, ale nie, serce w porządku. Wady w każdym bądź razie nie ma.

Dziecko uczepliło się jego palca, popatrzyło mlecznymi jak u kociaka oczkami i poruszyło górną wargę. Tania patrzyła na te wszystkie manipulacje jak zaczarowana: ojciec z niemowlęciem na ręku w jakiś sposób przypominał jej Siergieja z saksofonem \* taka sama delikatność i zdecydowanie w postępowaniu, swoboda ruchów i lekkość dotyku...

\* Wspaniałe dziecko. Takie lubię najbardziej \* drobne, szczupłe, dobrze umięśnione... Wiesz, ona ma to nie po was, raczej po starym Goldbergu. Wyślę do niego do obozu telegram, niech się cieszy \* cicho szepnął do Tani. \* Gratuluję ci, dziecinko... Za dzień\* dwa zabierzemy się i pojedziemy do domu.

Tania nie zamierzała jechać do Moskwy, ale w tej chwili, czy to na skutek poporodowego osłabienia, czy ojcowskiego najgłębszego przeświadczenia i stosowności jego obecności tutaj przy nowo narodzonej wnuczce, dość łatwo się zgodziła:

\* Pojedziemy, ale nie na długo. Bo ja to w ogóle przenoszę się do Pitra. Ja mam tutaj

\* zamyśliła się na chwilę, w jaki sposób wyjaśnić ojcu, co właściwie ma tutaj \* ja mam tutaj wszystko...

Paweł Aleksiejewicz kiwnął głową na znak zrozumienia:

\* Ja tak właśnie myślałem.

17.

„Drogi Siergieju! Z jaką rozkoszą moja ręka pisze twoje imię! Jakie ono jest właściwe, jedynie możliwe! A przecież mógłbyś być jakimś Witalikiem, albo Gieną... Witaj! Winszuję tobie siebie, a sobie \* ciebie. Żyję dziś w innym świecie, niż wczoraj. Urodziła mi się dziewczynka. Niewykluczone, że nas okropnie oszukano i podsunęto ją zamiast chłopca. Ale jest bardzo ładna, wszyscy twierdzą, że podobna do mnie. A mnie za niedługo będzie potrzebny chłopak, miej to na uwadze. Chłopak, podobny do ciebie. To, że dziewczynka nie jest podobna do ciebie i nie może być podobna, sprawia, że nie jest ona dla mnie zbyt interesującą istotą. To znaczy, ona mi się podoba, dzisiaj mi ją przynoszono. Jest wzruszająca i urocza, ale w jakiś sposób \* tobie to mogę otwarcie powiedzieć \* jest mi droga dlatego, że jest świadkiem naszej miłości, świadkiem twoich zbliżeń. Nawet tajną uczestniczką. Myślę, że będzie cię strasznie kochać, z takim natężeniem, że będzie to dla mnie bolesne.

Jestem o ciebie zazdrosna. O całe twoje poprzednie życie, o wszystkie przedmioty, których dotykasz rękami, szczególnie o instrument, ale także o ręcznik, którym wycierasz twarz, o filiżankę, którą ujmują twoje palce. O wszystkie kobiety, które wcześniej pieściłeś.

Od tej pory, kiedy zaistniałeś, świat całkowicie się zmienił. Dlatego, że wcześniej patrzyłam na wszystko z jednego punktu widzenia, a teraz z dwóch \* jak byś ty na to patrzył. Całuję ciebie w każde miejsce, gdzie tylko mi się spodoba. Tym razem w dołek pod szyją i w bliznę na lewej dłoni. Malutka przesyła ci pozdrowienia. Mleka żadnego nie mam, mówią tu, że może

jeszcze się pojawi. Przyniesź kefir i duży ręcznik. Bolało, ale szybko przeszło. Tania".

Siergiej przeczytał list, dokładnie złożył kartkę i wsunął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Przed chwilą przekazał wąsatej dyżurnej w okienku informacji bukiet herbacianych róż, jakieś produkty i list. Zapytał, na którą stronę wychodzą okna sali, w której leży Tania i długo nie mógł się zorientować, jak je znaleźć. Jeszcze wieczorem dowiedział się, że Tania urodziła i z tej okazji pił z kolegami przez całą noc, a teraz nagle poczuł, że bardzo pragnie zobaczyć Tanię i to nie przez okno, ale bezpośrednio. Odszedł od okienka i skierował się ku służbowemu wejściu. Tam siedziała portierka.

\* A ty dokąd?

\* Naprawiam aparaturę medyczną \* wymyślił na poczekaniu \* wezwano mnie na II oddział do naprawy synchronofazotronu. Gdzie mogę się rozebrać?

Synchronofazotron, który nie wiadomo dlaczego przyszedł mu na myśl, zadowolili całkowicie portierkę.

\* Szatniarz zachorował, sam się rozbierz i powieś. U nas nie kradną, sami swoi \* przepuściła go portierka, a on zdjawszy kurtkę, ściągnął ze szpitalnego gwoźdźnia granatowy, roboczy fartuch nieobecnego szatniarza i popędził po schodach na górę. Drzwi do oddziału były zamknięte, Siergiej nacisnął dzwonek. Za chwilę otworzyła je pielęgniarka:

\* O co chodzi?

\* Wezwano mnie do naprawy aparatury \* starając się, by siostra nie poczuła zapachu wina z jego ust, odpowiedział Siergiej.

\* A to proszę do starszej pielęgniarki, do pokoju numer siedem \* burknęła i zaraz znikła.

Siergiej od razu spostrzegł potrzebne mu drzwi do sali. Tania stała przy oknie tyłem do niego, w błękitnym szpitalnym szlafroku, bardzo wysoka i bardzo chuda.

\* Taniu \* przywołał ją. Odwróciła się. Jeszcze nigdy jej nie widział nieciężarnej, wydała mu się obca i strasznie młoda.

Bukiet leżał na szafce, jeszcze nie wstawiony do wody. To oznaczało, że zaraz po otrzymaniu paczki Tania pośpieszyła do okna, by go zobaczyć.

\* Jak się tu dostałeś? \* spytała Tania ze zmieszaniem, próbując się wydostać z jego

objęć. Kobiety ze wszystkich łóżek na sali obserwowały ich bacznie.

\* Zostałem wezwany. Mam naprawić synchrofazotron \* wciąż jeszcze kontynuował grę i nie na próżno, bowiem jedna ze starszych pacjentek, po urodzeniu już czwartego dziecka, zamierzała się poskarżyć \* odwiedziny były tu w ogóle zakazane...

\* Przed chwilą zabrano dzieci. Szkoda, gdybyś był tutaj przed dwudziestoma minutami, to byś ją zobaczył \* Tania uśmiechała się głupawym uśmiechem.

Siergiej wydał jej się w tym momencie porażająco piękny i niezmiernie bliski. Już dawno i skutecznie zapomniała, że dziecko nie ma z nim nic wspólnego i namiętnie pragnęła się pochwalić. Po wczorajszych wyrazach uznania ze strony Pawła Aleksiejewicza, córeczka zaczęła jej się znacznie bardziej podobać.

\* Chodźmy gdzieś stąd, dopóki mnie jeszcze nie wygoniono... Na oddziale o tej porze było dość spokojnie, spróbowali

jednych drzwi, drugich i znaleźli pusty magazyn na bieliznę, dokąd Tania wepchnęła Siergieja. Tu przytulili się do siebie, zaczęli szeptać do ucha gorące słowa, złączyli się wargami i pomiędzy pocałunkami przekazali sobie nawzajem mnóstwo ważnych spraw: Tania powiedziała, że po wypisaniu pojedzie z dzieckiem na krótko do Moskwy, a on poinformował, że był u Połuektowej, powiedział, że urodziła mu się córka i że Połuektową zaproszono do prowadzenia nauki baletu w Szkole Choreograficznej w Permie, w związku z czym ona proponuje im zamieszkanie w jej mieszkaniu...

\* U twojej żony? \* zdumiała się Tania.

\* A co takiego? To normalne. Będziemy pilnowali jej domu, wyprowadzali psy na spacer i karmili stare koty...

Tania uścisnęła mocniej jego przeguby:

\* Dobrze, o tym zdecydujemy później, a w ogóle to fajnie, że ona jest taka... wielkoduszna, nieprawdaż?

\* Nie, nie rozumiesz. Po prostu jej jest tak wygodnie. Ona ma dwa charty, a z nimi nie każdy potrafi się obchodzić... Mnie one słuchają...

I znowu przyłgnęli do siebie, a Tania wyczuła językiem zgrubienie na jego wardze \* od ustnika saksofonu... Nikt im nie przeszkadzał w tej bieleżniarce przez całą

godzinę, mieli czas na sprawdzenie, czy coś się między nimi nie zmieniło w związku z tym, że Tania nie miała już wypukłego brzucha... Ale wszystko było tak, jak trzeba: gorące było gorącym, wilgotne \* wilgotnym, suche \* suchym... Miłość, jak się okazało, nie zmniejszyła się ani o jotę...

18.

Po trzech dobach od porodu Tania poczuła się jak nowo narodzona, jak gdyby urodzenie dziecka i jej samej przydało jakiś aspekt nowości. W istocie tak było: była nowo narodzoną matką i chociaż jeszcze niczego nie wiedziała o dożywotnim brzemieniu, jakim jest macierzyństwo, o nieuchronnej i często aż po stan chorobowy zmieniającej psychikę kobiety więzi z dzieckiem, świłała w niej myśl, którą chciała w pierwszej kolejności podzielić się z córką. Wpuszczała do delikatnie otwartej buzi brązowy sutek i starała się uświadomić wypchanemu zawiniątku, że one, matka i córka, kochają się nawzajem i będą się cieszyły jedna drugą, i będą należały do siebie nawzajem, ale nie niepodzielnie... że Tania będzie miała też własne życie, ale za to da jej, gdy podrośnie, swobodę i prawo do życia według jej woli, i że ona będzie najstarsza z rodzeństwa, bo potem przybędzie jeszcze chłopczyk, i jeszcze jeden chłopczyk, i dziewczynka... A cała rodzina będzie zupełnie niepodobna do innych, w których ojcowie wrzeszczą na matki, kłócą się o pieniądze, dzieci piszczą, odbierając sobie nawzajem

zabawki... Będą mieli dom na Krymie, sad i muzykę... Tania nie dokończywszy obrazu przyszłego, szczęśliwego życia zasypiała, podczas gdy dziecko jeszcze ssało. Trafiło jej się zadziwiające dziecko: sen falami promieniował od niego, jak ciepło od ogniska... Takiej siły i władzy snu Tania jeszcze nie doświadczała. Pielęgniarka zabierała nakarmione dziecko i odnosiła, a Tania czując wokół siebie jakiś ruch, nie miała dostatecznie dużo woli, by się obudzić...

Po tygodniu Tanię wypisano. Paweł Aleksiejewicz przywiózł ją z dzieckiem do dużego, zimnego pokoju w drogim hotelu. Dziecko zostało położone w poprzek szerokiego łóżka z czeczotki i okryte oprócz wełnianego kocyka watowaną kołderką.

Wkrótce nadszedł Siergiej z bukietem zmrożonych róż, szampanem i saksofonem. Ściągnął pełną surowego chłodu kurtkę i pośpiesznie podszedł do dziecka. Przysiadł na łóżku, żeby obejrzeć nową twarzyczkę w wielowarstwowym opakowaniu:

\* O jejiej! Jaka malutka! I jak od niej snem pachnie!

\* Rzeczywiście jest z niej dziewczynka „nasenna”, to pewne \* zgodziła się Tania. \*

Gdy przynoszono ją na salę, ja natychmiast zapadałam w sen.

Tania nie zamierzała jechać do Moskwy, ale wszystko składało się nie tak, jakby chciała: Połuektowa miała wyjechać do Permu dopiero w końcu stycznia, a w mieszkaniu u Toli Aleksandrowa wynikł zatarg z sąsiadami: nie życzyli sobie małego dziecka za ścianką z dykty... Siergiej odmówił wyjazdu do Moskwy, do rodziców Tani: miał dosyć swoich własnych po uszy. Wyjazd Tani zasmucał go głównie dlatego, że zdążył już zawiadomić wszystkich w mieście, iż urodziła mu się córka, wypić z tej okazji niemało wódki i wytrawnego wina w ciągu tego ostatniego tygodnia, a teraz nie będzie miał nawet kogo pokazać...

Tania w pośpiechu przedstawiła ojcu Siergieja i poprosiła, by ją zwolnił na spacer. Paweł Aleksiejewicz zgodził się na jej wyjście na trzy godziny, do następnego karmienia, a sam został z wnuczką. W ciągu pięciu minut, ogarnięty nasennym oddziaływaniem niemowlęcia, mocno zasnął i przespał aż do powrotu Tani. Śniło mu się, że śpi i podczas tego snu śni mu się lato, głośna gromada dzieci zebrała się nad stawem. On jest najstarszy i są tam jeszcze dwie jego młodsze siostry, które w rzeczywistości nie istniały, ale w ich postaci wcieliły się ośmioletnia Lenoczka i dwuletnia Toma. Inne dzieci były znajome i też były przerobione z dorosłych, których spotkał w późniejszych latach swego życia. Dwupostaciowość tych dzieci nie wywoływała u Pawła Aleksiejewicza żadnego zdziwienia, niepokoiła go raczej ta okoliczność, że jeden chłopczyk był nie wiadomo kim. I dopiero w ostatniej fazie snu, gdy wszystkie dzieci całą gromadą wybiegły za bramę w ich starej daczy w Mamontowce, okazało się, że ten nieznany chłopczyk to zamaskowany Sierioża Tani i wtedy Paweł Aleksiejewicz się uspokoił i przeszedł z głębokiego snu w bardziej płytki, przytulił do siebie zawiniątko w grubej kołderce, przez chwilę się zastanowił, czy chce iść razem z tymi przebranymi dziećmi nad staw, ale zdecydował się tam już

nie wracać...

Następnego dnia, piętnaście po ósmej rano, Paweł Aleksiejewicz z córką i wnuczką byli już w domu na Nowosłobodzkiej. Toma nie zdążyła jeszcze wyjść do pracy, Wasilisa wychynęła ze swej komórki i ze starą Murka przy nogach stała w powitalnej pozie, opierając się ręką o ścianę przy wyjściu z kuchni na korytarz. Z wpółotwartych drzwi do pokoju Heleny na początku wysunęła się młoda Murka, a w ślad za nią sama Helena w narzuconym na ramiona szlafroku.

\* Taniusiu, czekam na ciebie już od tak dawna \* powiedziała wyraźnie, z radością Helena i Tania, przekazawszy dziecko w ręce speszonej Tomy, która wciąż nie wiedziała co mówić i co robić, ścisnęła matkę, ale ta lekko się odsuwała i zwracała ku zawiniątku:

\* Taniusia...

\* Mamusiu, to moja córka.

\* To moja córka \* jak echo powtórzyła Helena, a na jej twarzy namalowało się dręczące napięcie.

\* Chodźmy, mamusiu, zaraz całą ci ją pokażę...

Tania położyła dziecko na łóżku matki, a Paweł Aleksiejewicz ucieszył się, że Tania zachowuje się prawidłowo: nie odstrasza biednej Heleny, a wciąga w nową sytuację. Tania rozgarnęła wdzianka i wyswobodziła maleńkie ciało. Dziewczynka otworzyła oczy i ziewnęła.

Helena patrzyła z napięciem i jakby z rozczarowaniem.

\* No i jak, podoba ci się?

Helena, zawstydzona, spuściła głowę i odwróciła wzrok:

\* To nie Tania, to inna dziewczynka.

\* Mamuś, oczywiście, że to nie Tania. Myśmy jej jeszcze nie nazwali. Może Maria? Masza, co?

\* Jewgienija \* ledwie dosłyszalnie wyszeptała Helena. Tania nie usłyszała. Wasilisa powtórzyła:

\* A jak ma być? Jewgienija, po babce...

Tania pochyliła się nad córeczką, wpychając sobie piąstkę do buzi.

\* Nie wiem. Trzeba pomyśleć. Jewgienija?

Podczas gdy domownicy gromadzili się przy dziecku, Tanię poderwała jak gdyby fala przyływu, przetrzymała przez jedno mgnienie i zwolniła... Zaczęła biegać po całym mieszkaniu, zaglądając do zagraconych kątów...

\* Tato, robimy remont \* powiedziała ojcu po piętnastu minutach.

\* Tak, właściwie to już dawno pora \* zgodził się Paweł Aleksiejewicz. \* Myślę jednak, że teraz to nie jest dobry czas. Dziecko w domu. Może latem, kiedy wyjedziecie na letnisko...

\* Nie, nie, ja potem wyjadę do Pitra, trzeba teraz. Zaczniemy od dzieciennego pokoju... Potem miejsca ogólnego użytku, gabinet, sypialnia...

Wieczorem, gdy Toma wróciła z pracy, połowa jej kwiatów znalazła się u sąsiadów, połowa została wyrzucona, meble były zsunięte na środek, wszystko obwiązane, uzgodnione z malarzami... Paweł Aleksiejewicz odniósł wrażenie, że ich niszczący dom, stojący niczym porzucony statek na kotwicy, poruszył się z miejsca i popłynął dokądś w wyznaczonym kierunku, senna załoga się ocknęła i nawet meble, nadwerężone i zaniedbane, ustawiły się i podciągnęły... Wasilisa, która nigdy niczego z domu nie wyrzucała, poddała się Tani i własnoręcznie wyniosła ze swego pokoiku zetlałą koldrę, podarowaną jej jako już używaną jeszcze w 1911 roku przez Jewgieniję Fiodorownę. Tego było nadal za mało dla Tani \* działając energicznie wyrzuciła na śmietnik wyszczerbione talerze, przepalone garnki, puste szklane słoiki, przechowywane na zapas, całe zleżące, nędzne, uzbierane ze sknerstwa gospodarstwo Wasilisy.

Bezimienna dziewczynka, prawie nie wydając dźwięku, asystowała temu świadomemu zamieszaniu, nie przeszkadzając w niczym, prawie nie zwracając na siebie uwagi. Tania umieściła ją w koszyku do bielizny, obszytym w środku nowym perkalem i na początku przenosiła koszyk z pokoju do pokoju. Później Helena poprosiła, żeby zostawić dziecko przy jej łóżku, powstał więc cichy zakątek, którego Tania na razie nie ruszała. Dom przeobrażał się w błyskawicznym tempie: były pokój dziecienny był gotów w ciągu tygodnia i chociaż rośliny Tomy bardzo ucierpiały, te co pozostały, błyszcząły świeżością na tle piaskowo\*żółtych tapet, przypominających



ciepło pustyni afrykańskich.

Następny tydzień został poświęcony kuchni i łazience. Przygotowywane w domu jedzenie musiało się zmienić. Tania kupowała teraz w garmazerni ogromne ilości tanich wyrobów i karmiła robotników, domowników i zaglądających od czasu do czasu znajomych.

Na trzeci dzień zatelefonował Witalij. Tania przywitała go radośnie, jak gdyby nigdy nic. Przyjechał nachmurzony, z obrażoną twarzą, ale ona nie zadała sobie trudu, by zwracać uwagę na wyraz jego twarzy. Pokazała mu córkę z taką miną, jak gdyby to była wyłącznie jej rzecz osobista. Na jego propozycję, by przeniósł się na Profsojuzną, Tania uśmiechnęła się szyderczo, ale obiecała go odwiedzić, gdy tylko upora się z domowymi sprawami tu na miejscu.

\* U nas teraz mieszka Walentyna \* podał główną nowinę Witalik.

\* To dlaczego jej nie przywiozłeś? \* zdziwiła się Tania.

\* Ona przyjdzie. Ona często bywa u Pawła Aleksiejewicza. Wiesz, kłopoty z adwokatami... Może ojca zwolnią przedterminowo... Paragraf taki, że po dwóch trzecich...

„To ja musiałabym się zajmować sprawami Ilji Iosifowicza... Oni wszyscy, co do jednego, są zadziwiająco niedorzeczni" \* pomyślała Tania. Ale to nie było sprawiedliwe: Walentyna była w pełni osobą rozsądną i wszystko co robiła, było dokładnie przemyślane i konsekwentne...

Tania spała w gabinecie ojca pomiędzy koszykiem z dzieckiem, a telefonem. Siergiej dzwonił w nocy i długo rozmawiali o codziennych drobiazgach, o dziecku, któremu jeszcze nie nadali imienia, o remoncie i chartach Połuektowej, a potem Siergiej nastawiał magnetofon, żeby Tania mogła posłuchać muzyki, którą grał tego dnia... A grał w ciągu tego ostatniego tygodnia dużo, prawie każdego wieczoru, ponieważ wszędzie urządzano koncerty noworoczne i było dużo zaproszeń do instytutów, klubów, kawiarni... Rankiem trzydziestego pierwszego grudnia Tania już była zdecydowana, by pojechać na jedną noc do Pitra, chytrze dowiedziawszy się, gdzie Siergiej będzie grać w ten wieczór, nawet już kupiła bilet na pociąg. Ale nagle chwycił tak ostry mróz, że Tania, która nic nie powiedziała Siergiejowi o swoich

tajnych planach, zrezygnowała z wyjazdu. Przypomniała sobie, jak było zimno w pociągu, kiedy wracała do Moskwy z nowo urodzonym dzieckiem i jak się bała, że je zaziębi... Ta decyzja okazała się więcej niż rozsądna, bowiem Siergiej, kierując się tą samą logiką kaprysu czy niespodzianki, sam przyjechał na noworoczny wieczór do Moskwy i przeczekiwał dzielących go od północy kilka godzin w restauracji na Dworcu Leningradzkim...

Remont w tym czasie, niczym pożar, ogarnął już całe mieszkanie. W domu pachniało farbą, klejem i pieczoną gęsą. Stół został nakryty w byłym pokoju dzieciennym. Toma na polecenie Tani przybrała zabawkami choinkowymi dwumetrową fatsiję, przez profanów zwaną drzewkiem figowym. Na pierwszym miejscu przy stole siedział Paweł Aleksiejewicz, obok niego w fotelu ubrana przez Tanię Helena z wyrazem dziecięcej radości na twarzy. Wasilisa włożyła wzorzystą żółto\*malinową chustkę i czuła się skrepowana, jakby wyszła z gołymi ramionami. Natomiast Toma ubrała się w suknię z głębokim dekoltem, tę samą, którą uszyła na ślub Tani i nastroszyła na swej małej głowie nakręcone włosy. Gości było troje \* dwóch braci Goldbergów i Walentyna, z domu Gryzkiina, młoda macocha „zdymsjonowanych” mężów Tani. Koszyk z dziewczynką stał nieopodal na łóżku Tomy \* dziecko było właściwie główną osobą na uroczystości i Paweł Aleksiejewicz doskonale rozumiał, że gdyby nie ono, Tania nie przyjechałaby do domu i nie urządziła tego miłego przerywnika ustalonego porządku rzeczy.

Za piętnaście dwunasta rozległ się dzwonek i Tania pobiegła do drzwi, mając przygotowaną złośliwą odpowiedź dla sąsiadki Rozy Samojłowny, która była już z piętnaście razy w ciągu dnia i do tej pory zdążyła pożyczyć wszystko co było w domu, od soli i taboretu, po świece i serwetki... W lekkiej kurtce z sukna i w ogromnej futrzanej czapie, z saksofonem i sportową torbą w rękach na progu stał Siergiej...

To był najdziwniejszy rodzinny wieczór, jaki tylko można sobie wyobrazić. Oprócz Tani i Siergieja, szczęśliwych, nie troszczących się ani o przeszłość, ani o przyszłość, każdy z obecnych odczuwał w stosunku do pozostałych wielką obcość i głęboką samotność. Jak gdyby naturalne więzy rodzinne się rozpadły, przemieszały i

wypaczyły: żona Pawła Aleksiejewicza już dawno stała się dla niego dzieckiem, córka przez ostatnie dwa tygodnie okazała się być \* całkiem niespodziewanie \* autentyczną głową domu. Helena, po raz pierwszy od trzech lat siedząca przy stole z tyłoma ludźmi, odczuwała przypominający mdłości niepokój z powodu znajomych, którzy całkowicie utracili dla niej swoje imiona. Nawet córka Tania, w ogólnych zarysach bardzo podobna do siebie samej, dwoiła jej się z lekka, ponieważ leżąca w koszyku dziewczynka też była Tanią, ale nie w pełni, a tylko częściowo, tak jakby został dokonany przekrój czy miejscowe rozcięcie i niewidoczne wewnętrzne zarysy przedmiotu, przedstawiane zazwyczaj kreskowanymi liniami, ujawniły się właśnie dzięki temu przekrojowi i były tą maleńką dziewczynką... Wasilisa swoim odzyskanym okiem spostrzegła na płaskim obrazie świetlne plamy i kolorowe kontury ciał i błękitna plama Tomy była jedynym elementem uspokajającym. Tania jak szary, drobny ptaszek fruwała wokół stołu, wszystkim nakładała na talerze, położyła i jej, Wasilisie, kawałek gęsi \* zapomniała nawet pomyśleć o poście Wasilisy \* i wciąż przytulała się w biegu, wciąż dotykała ręką młodego, długowłosego w czarnym stroju \* może to jakiś duchowny? \* i to przy mężu, wszystko przy mężu, a Helena podczas wojny tak samo postąpiła. A tej mąż siedzi obok i patrzy, i nic mu to nie przeszkadza, i czy to tak ma być?... I pełna odrazy do tej sceny Wasilisa zaczęła się modlić: Panie, zmiłuj się, Panie... Utwierdź, Panie, w przykazaniach Twoich zagubione serce moje, jako jeden istnieje świat i Ty, Panie... Odlatywały, opadały słowa, ginęły w niepamięci i mieszały się, i te urywki psalmów i modlitw, które tkwiły w słabnącej jej pamięci, i pozostawało tylko zmartwienie, dotyczące bliskich, którzy wciąż źle żyli i źle postępowali, przykazań boskich nie zachowywali, i świeccy, i duchowni, wszędzie... Oj, ciężkie nasze grzechy, ciężkie... Walentyna Goldberg, wychowana w czystości według zasad staroobrzędowców \* tak w sprawach ciała, domu i trybu życia, jak i zamiarów czy czynów \* w najmniejszym stopniu nie odbiegająca od swoich przodków, niezależnie od pełnego i ostatecznego zerwania z ich naiwną i zacofaną religią, z zalem obserwowała Tanię. Znajomość z Pawłem Aleksiejewiczem zawarła już po aresztowaniu Ilji Iosifowicza, zaufała mu i polubiła. Teraz nie mogła pojąć tych rozmaitych wątków: dobrze znanej jej historii

dziwnego ślubu Witalika, gorszącego trójkąta rodzinnego, pojawienia się tego długowłosego muzyka, najwidoczniej kochanka Tani, no i samej Tani, którą widziała po raz

pierwszy. Wcześniej jej się nie podobała, ale po spotkaniu, nie wiadomo dlaczego, poczuła do niej wyraźną sympatię... Chociaż, co można czuć jeszcze do tej dziewczyny oprócz negacji i oburzenia, jeśli ona tak się zachowuje, o niczym nie myśli, popsuła stosunki między braćmi... Jest rozpuszczona, rozpuszczona...

Bracia \* lub mężowie \* Goldbergowie trzymali się poprawnie, nie było im „wszystko jedno”, jak sądziła Wasilisa. Obaj z bólem przyjęli pojawienie się samozwańca. Po raz pierwszy od roku o władnęło nimi jednocześnie to samo uczucie \* stan, znany im z wczesnego dzieciństwa, być może jedno z pierwszych uświadomionych przeżyć \* złości i zasłużonej przegranej...

Dwunasta już wybiła, z szampanem się spóźniono. Tania zapomniała o butelce, włożonej do lodówki, zanim ją przyniosła, zanim Paweł Aleksiejewicz ją otworzył... Nowy Rok już się zaczął. Wypito więc za ogólną pomyślność, żeby Ilja Iosifowicz został zwolniony i żeby wszyscy byli szczęśliwi, zdrowi, a szczególnie malutka dziewczynka... Wszyscy bezładnie coś do siebie mówili, głośno, dzwonili sztućcami o talerze... Jedyne Tania z Siergiejem siedzieli milcząc, patrzyli na siebie nawzajem, przypominając dwie ikony, zwrócone ku sobie. I wszyscy widzieli, że ten muzyk po prostu pasował do Tani, że oboje byli tej samej natury, z tej samej planety... To co w Tani było czymś szczególnym i nieco zaskakiwało, w nim wyrażało się niezwykle jasno. Bracia Goldbergowie nie mieli z tym nic wspólnego i dobrze to rozumieli. Zwłaszcza gdy muzyk wy dostał swój instrument, poprosił Tanię, żeby mu towarzyszyła i ona nie wymawiając się, zaraz zrzuciła z pianina leżące na nim gazety, uprzedziła obecnych, że bardziej rozstrojonego instrumentu nikt nigdy nie słyszał, usiadła, on pokazał jej akompaniament na lewą rękę na basach i Tania zaczęła grać. Paweł Aleksiejewicz zorientował się od razu, że Tania ostatnimi czasy musiała grywać... A Siergiej z początku wyciągnął ze swojej piszczałki jakieś poszukujące trele, Tania dostrajała się do niego, przechodząc to w prawo, to w lewo, w ten sposób „poszturchali” się

nawzajem w jakimś nieokreślonym miejscu, a potem Siergiej zagrał na swoim saksofonie długą, pełną radosnych wieści pieśń, która zakończyła się takim okrzykiem szczęścia, że bracia Goldbergowie spojrzeli ciepło na siebie nawzajem i poczuli się jak kiedyś, na podwórku szkoły w Małachowce, w czasie dużej przerwy, otoczeni wrogością wiejskich kolegów i tych z internatu, którzy im szczególnie dokuczali za to, iż nie należeli do nikogo...

Helena przy pierwszych dźwiękach saksofonu chwyciła za mankiet męzowskiej domowej kurtki: usłyszała, a raczej należy powiedzieć zobaczyła rozlegającą się muzykę jako mnóstwo płynnych, wykreślonych szablonem krzywych linii, rozchodzących się z ciemnego środka metalicznego gardła, a najważniejsza z nich, napięta i matowa, jak nowa guma, przekształcała się w płaską krzywiznę i rozwijała smukłą spiralą Archimedesesa, która wciąż się rozszerzała, wypełniała cały pokój i przez popękane węża chlustała przez okno... A sam dźwięk był projekcją czegoś niewiadomego, nie nazwanego, ale tworzonego z widocznym napięciem przez długowłosego młodego człowieka o znajomej twarzy...

Paweł Aleksiejewicz zdziwił się, że Tania tak udatnie akompaniuje, widać, nie zapomniała jeszcze lekcji muzyki \* ucieszył się.

Siergiej przytłumił dźwięk, wytchnął z saksofonu jego resztki, a Helena zobaczyła, że krzywe linie opadły w powietrzu, stały się cieńsze i rozpląły się. Twarz młodego człowieka była nie tylko znajoma, ale znana na pamięć: gęste, jasne brwi o równej linii, górna warga lekko zwisająca nad dolną... Położył saksofon obok koszyka z dzieckiem, potrząsnął głową, podniósł rękę ku włosom, odrzucił je do tyłu znanym gestem... Ma pewnie pełno piasku we włosach \* przyszło Helenie do głowy...

A potem, Tania zabrała koszyk ze śpiącą córeczką do gabinetu ojca i tam zamknęli się z Siergiejem, a goście, udający się do toalety korytarzem obok drzwi do gabinetu, słyszeli ich śmiech. Ze dwie godziny rozmawiali i śmiali się. A z rana, kiedy jeszcze wszyscy spali, Siergiej wyszedł. Paweł Aleksiejewicz

położył do łóżka Helenę i przyłożył się, nie rozbierając, w sypialni, na swoim dawnym miejscu. Przespał tak do późna \* wieczorem sporo wypił. Helena prawie nie spała, leżała z otwartymi oczami i przypominała sobie, skąd zna tego muzyka.

Wydaje się, że sobie przypomniała...

Przed końcem stycznia remont się skończył. Mieszkanie było odnowione. Wasilisa nie mogła teraz niczego znaleźć \* i garnki, i talerze, i olej, wszystko stało na nowym miejscu i od ciągłego szukania siły ją opuszczały, w końcu więc zabrała chleb do swojej komórki, zawinęła w ręcznik i trzymała go w swojej nocnej szafce. Całe gospodarstwo Tania przekazała Tomie, zrobiła zapasy kaszy i makaronu, cukru i mąki. Powiesiła nowe zasłonki i kupiła pralkę... Potem oświadczyła ojcu, że wyjeżdża.

\* Mama się do niej przyzwyczaiała, zostaw ją u nas. Jak ułożysz sobie życie w Leningradzie, to ją zabierzesz \* poprosił Paweł Aleksiejewicz.

W ciągu tego czasu, który wnuczka spędziła w jego domu, zrozumiał, że dożył takiego momentu, kiedy ta małeńka dziewczynka mogłaby zastąpić mu całą jego zawodową aktywność \* studentów, uczniów, a przede wszystkim pacjentów. Przy każdej czynności na oddziale \* czy przeglądał drżące linie kardiogramów, czy widzącymi pakami sprawdzał krwawiącą, rozerwaną macicę, czy palpacyjnie badał zapłodnione brzuchy \* ani na chwilę nie zapominał o dziewczynce, leżącej w plecionym koszyku. W duchu odmierzał jej nowo narodzony, krótki jeszcze czas: teraz śpi, już się budzi, ssie, zrzuca, natęża się i macha nóżkami, odbywa poważną czynność wypróżnienia się i znowu zasypia... Jedynym, stałym jego pragnieniem było teraz przebywanie obok tego koszyka, z tą dziewczynką, będącą źródłem niemowlęcego promieniowania słodkim snem. W niej było jeszcze mało cech indywidualnych, ale zaznaczały się już pewne rodzinne: brwi się wydłużyły i kilka włosków sterczało w tym miejscu, gdzie mogła później pojawić się charakterystyczna kępka. Teraz przypominała małego jeża: długi nosek, zlepione w igielki kosmyki włosów... Ale czoło, wysokie czoło to po Goldbergu...

Kiedy Tania pojawiła się w życiu Pawła Aleksiejewicza, miała już dwa lata. Była ładnym i serdecznym dzieckiem, życzliwym, ufnym, a ta kruszyna była prawie zupełnie nijaka, nie usiłowała zawojować serca dziadka; od samych urodzin została jej po prostu dana władza nad nim i Paweł Aleksiejewicz rozkoszował się, siedząc

obok wnuczki, pomagając Tani ją kąpać, dotykając czerwonych, nie chodzących jeszcze nóżek... Było to całkiem naturalne uczucie, nie wymagające ani dowodów, ani wytłumaczenia: tak lew kocha swoje lwiątko, wilk \* małego wilczka, orzeł \* orlątko... W tym punkcie uwidaczniało się, że każda pedagogika to bzdura i chłodny racjonalizm i że kiedy zaczyna się stosowanie pedagogiki, zanika naturalne uczucie, głębokie, zwierzęce uczucie miłości do dziecka... Najniższe uczucie ze wszystkich wzniosłych uczuć...

\* Ja mówię o tym zupełnie poważnie. Dobierzemy odpowiednie mleko od dawców. Jutro złożę podanie o emeryturę...

\* Tato, co ty mówisz? \* Tania spoglądała w pomarszczoną twarz ojca, łowiąc zupełnie przedtem niespotykany jej wyraz \* prośby... Od tego Tani zrobiło się nieswojo i powiedziała z oburzeniem:

\* O czym ty mówisz? Nie wyobrażam sobie siebie na emeryturze! Kaszkę będziesz dla niej gotować, czy co? Czy może jeździć z wózkiem na spacer?

On kiwał potakująco głową:

\* A tak, z przyjemnością. Ja, Taniu, mało zajmowałem się rodziną. A teraz najlepsza pora. Będziemy razem z mamą spacerować z wózkiem.

\* Mama jest w pełni nieobecna \* ponuro zauważyła Tania.

\* Nie wiem, nie jestem przekonany...

Tania objęła go za szyję, połaskotała za uszami:

\* Tatku, jesteś zadziwiający, słowo daję! Ja ci przywiozę dziewczynkę, na pewno. Ja chcę mieć dużo dzieci, dziewczynek i chłopczyków, z pięć sztuk!

Paweł Aleksiejewicz ujął dłonie Tani, zniszczone praniem i remontem, ucałował i poszedł do kuchni, by wypić swą niezbędną porcję \* trzy czwarte niedużej, graniastej szklaneczki. Coś przeistaczało się w jego starzejącej się głowie: dlaczego pośród dziesiątków tysięcy dzieci, przyjętych przez niego na świat, ocalonych, nawet spłodzonych dzięki jego intuicji, to dziecko i innych dwoje lub troje, jakie mogą się jeszcze urodzić u Tani, są dla niego tak wyjątkowo cenne? Przecież to nie jest kwestia krwi... Tu nie wchodzi w grę żadna krew, żadne pokrewieństwo, nic, oprócz irracjonalnego, nie dającego się wytłumaczyć, kapryśnego i bezużytecznego wyboru

serca...

Tania żyła w pośpiechu. Miała jeszcze całą listę spraw, które jedną po drugiej wykreślała \* nie zaniedbane przyzwyczajenie człowieka odpowiedzialnego i zorganizowanego... Najbardziej kosztowną i wymagającą wiele pracy była wymiana wszystkich urządzeń sanitarnych, łącznie z wanną, której ostatnio nie można było używać, gdyż przeciekała. Najdelikatniejszą sprawą \* chrzest córki. Dla przeprowadzenia tego bogobojnego przedsięwzięcia w charakterze eksperta wystąpiła Wasilisa, chrzestną matką miała być Toma. Na początku Wasilisa kategorycznie odmówiła organizowania chrztu w najbliższej od domu cerkwi Pimenowskiej, która według niej była splamiona swą byłą przynależnością do „nowego” kościoła prawosławnego. Wasilisa proponowała wyjazd do jakiejś wiejskiej cerkwi w odległej okolicy pod Moskwą, gdzie pełnił służbę „prawowity” kapłan. Ale Tania rozprawiła się z zastrzeżeniami Wasilisy dość kategorycznie, zapowiadając, że tak daleko to ona w żadnym przypadku nie pojedzie, zresztą sama nie wie dobrze, dlaczego przyszło jej do głowy chrzcic dziecko i jeśli wylaniają się aż takie trudności, jest gotowa zrezygnować z tej zachcianki. Wasilisa zacisnęła więc usta i zaczęła zmieniać swoje domowe walonki na wyjściowe z kaloszami... Uroczystość chrztu odbyła się w świątyni Pimenowskiej. Od tego dnia dziewczynka ostatecznie zaczęła nosić imię Jewgieniji i Tania wykreśliła mały krzyżyk ze swego spisu spraw do załatwienia. Zostawała jeszcze

rzecz ostatnia \* wykąpanie Heleny w nowej wannie. Już ponad rok nie urządzano kąpieli w wannie, stawało się pod prysznicem i nie zatykając wanny korkiem, szybko oplukiwało, by nie zalać sąsiadów.

Teraz Tania napełniła wodą wannę. Helena słabo oponowała, przyciskając łokcie do siebie.

\* Trzeba się rozebrać. Patrz, mamusiu, woda już jest \* namawiała ją Tania i Helena, choć niezbyt chętnie, się podporządkowała.

Wychudzenie matki było chorobliwe, rzecz nie polegała na niskiej wadze \* sama Tania nie ważyła więcej, niż czterdzieści kilka kilogramów \* z barków i przedramion zwisały puste fałdy skóry i Tani przyszło do głowy na widok matczynej nagości, że



ludzki szkielet jest smutny i bezpłciowy, i jedynie kawałki nasyconych tłuszczem mięśni tworzą i kobiecy wdzięk, i męską tężyznę, i nawet różnice między kobietą a mężczyzną... Z matczynej dawnej kobiecości pozostały jedynie blade piersi i niewyraźny zarys prawie nieowłosionego wzgórka łonowego.

Wreszcie Tania posadziła matkę w ciepłej wodzie. Helena położyła się, wyciągnęła nogi:

\* Jak dobrze...

„Ja to niczym ten Cham” \* uśmiechnęła się do siebie Tania i namydliła myjkę. Patrząc było nieprzyzwoicie, ale myć, podcinać włosy, wycierać \* proszę bardzo...

\* Poczekaj Taniu, ja chwilę poleżę. Jaka rozkosz... Czy wanna była przedtem zepsuta? \* zapytała Helena normalnie zdrowym głosem.

\* Tak. Teraz została naprawiona.

Helena przymknęła oczy. Włosy zsunęły się jej do wody, zamokły. Tania odchyliła je na bok.

\* W wodzie wszystko się zmienia. Moja głowa w ciepłej wodzie staje się znacznie sprawniejsza. Ja nie chcę, żebyś ty mieszkała w domu. Ja nie chcę, żebyś mieszkała ze mną. Ja wszystko zapominam i mnie się wydaje, że dotąd zapomniałam o wiele więcej, aniżeli pamiętam. Ale wkrótce zapomnę i to, jak dużo zapomniałam. Ty się nie przerażaj, ja nie mam na myśli niczego strasznego, ja po prostu umieram w taki niezwykły sposób, od środka głowy. Teraz jest mi bardzo dobrze. Dawno nie było mi tak dobrze i pragnę z tobą się pożegnać. Mnie zjada jakaś dziura. Z jakiegoś powodu to, co się ze mną dzieje, jest bardzo wstydlive. Nie wiem, czy cokolwiek zostanie ze mnie na samym końcu. Powiedz, ile ja mam lat?

\* Ty skończysz niedługo pięćdziesiąt dwa... \* A ty?

\* Ja mam dwadzieścia trzy.

\* Dobrze. Woda ostygła, dolej jeszcze gorącej... Ja teraz nie jestem niczego i nikogo pewna. Niekiedy przychodzą obcy ludzie, a niekiedy to znajomi... A bywa tak, że jest Wasilisa, a w niej jeszcze ktoś... Ja i siebie nie jestem pewna... Ty o tym wiesz.

\* Nie, mamusiu, ja nic o tym nie wiem...

\* Dobrze, niech będzie. Ja chciałam ci powiedzieć, że oto w tej chwili ja to jestem ja,

a ty \* to ty, i ja ciebie bardzo kocham. I ja teraz się z tobą pożegnam. A potem namydl mnie... A potem wyjeżdżaj...

Tania chciała czemuś zaprzeczyć, ale nie mogła poruszyć językiem, ponieważ wszystko co by powiedziała, to byłyby tylko żałosne, nic nie znaczące słowa.

Namydliła matce włosy, lekko odchyliwszy głowę, żeby mydło nie dostało się do oczu, pomasowała skórę głowy i połała strumieniem z prysznicą, by zmyć pianę...

Wymyła wszystkie obwisłe fałdy szczupłego ciała, wytarła do sucha, posmarowała kremem dla dzieci. Potem włożyła długą, flanelową koszulę i odprowadziła matkę do łóżka. Było około dziewiętej wieczorem. Niezadługo wrócił Paweł Aleksiejewicz \* tego dnia miał wieczorne wykłady w Instytucie Doskonalenia Lekarzy. Tania już była spakowana. Zjedli razem kolację i Paweł Aleksiejewicz odprowadził Tanię z dzieckiem na dworzec.

Moskiewski okres w życiu Tani się zakończył.

19.

Podczas swego ostatniego pobytu w obozie szczęściarz Goldberg ani jednego dnia nie spędził na ogólnych robotach, od razu został sanitariuszem w obozowym szpitalu. Zarządzająca szpitalem, starsza i rozleniwiona do niemożliwości jak senna mucha, spychała na niego połowę swoich obowiązków. Niezależnie od swej demoralizacji, spędziwszy dwadzieścia lat w placówkach medycyny obozowej, mniej niż jakakolwiek inna gałąź medyczna zasługującej na tę nazwę, zarządzająca słabo broniła Ilji Iosifowicza przed zwierzchnikami, ale co najmniej dwa razy udało jej się uchronić go od przeniesienia do robót ogólnych.

Gdyby na jej miejscu był mężczyzna, Ilja Iosifowicz nie wytrzymałby, niezależnie od jej wstawiennictwa, takiej ospałej obojętności w stosunku do chorych, skłonności złodziejskich i drobnych podłości, ale godziło go z zarządzającą współczucie, przewyższające wszystkie jego zasady: zarządzająca stale trzymała przy sobie dwudziestoletnią córkę\*debilkę, którą bała się samą zostawiać w domu, i jej biografia \* gorzka, sowiecka, nie do pozbycia się, która jak niepogrzebany trup szła za nią w

ślad...

Jego umiłowanie prawdy, demonstrowane publicznie, nieprzyzwoite jak łąta na tyłku, milczało, być może, po raz pierwszy w życiu. Przez ponad dwa lata, kiedy to z obowiązku ciągnął kierat sanitariusza i pomocnika zarządzającej, Ilja Iosifowicz ani razu nie urządził jej gwałtownej „dyskusji”, nie zdemaskował, nie rzucił kubkiem, nie warknął... Przy pożegnaniu powiedziała mu słowa, które go zadziwiły i nawet zawstydziły: okazała się mądrzejsza i lepsza, niż sądził. A być może, sprawa polegała właśnie na tym, że obecność Ilji Iosifowicza z jego niemodną wielkodusznością i śmieszną szlachetnością, traktowaną zazwyczaj jako nieprzemijająca głupota, wpłynęła na podciągnięcie jej \* choć na krótko \* do jego poziomu i dlatego niezdarnie wypowiedziała nieśmiałe słowa, godne przedśmiertnej spowiedzi, a potem zapytała, w czym może mu pomóc... Po czym usiadła grubym tyłkiem na swoim obitym czerwonym pluszem krześle i przez następnych dwadzieścia lat pełniła swoją smutną służbę, ponieważ trzeba było karmić córkę\*debilkę i posyłać coś niecoś owdowiałej siostrze z kupą dzieci, której mąż dawno temu zaginął w rodzimym systemie...

Słowem pożegnał się Ilja Iosifowicz z Jelizawietą Gieorgijewną Witte (a on to już dawno po tamtej stronie) i wymaszerował za bramę, która zamknęła się za nim. Pośpieszył na stację z drobną kwotą pieniędzy i zaświadczeniem o zwolnieniu... Miejscowy pociąg zatrzymywał się na tej nie istniejącej na mapach stacji późnym wieczorem, a prawdę mówiąc, nawet nie stawał, tylko przyhamowywał i w chwili, gdy zdawało się, że stanie, już ruszał... I tutaj, do drewnianego budynku prawie nie istniejącej stacji, na godzinę przed nadejściem pociągu, zajrzała Jelizawiet Gierogijewna Witte, „kupa”, jak nazywał ją po cichu Goldberg i wsunęła Ilji Iosifowiczowi zawiniątko zjedzeniem. Zeszyt, zszyty z pojedynczych kartek, był włożony pomiędzy bochenek chleba i dwie puszkę tuszonki...

\* Moralny fundament jest naruszony, Pasza. Moralne zasady życia, moralne zasady nauki... Ale żyję \* Goldberg trzymał kościstą rękę na zeszyt, zszytym z kartek, które przedtem istniały oddzielnie, a zostały zebrane razem dopiero w przeddzień uwolnienia.

Znowu po trzech latach siedzieli obaj w gabinecie Pawła Aleksiejewicza, przyjaciele, teraz spokrewnieni dzięki kaprysowi dzieci, u których niczego nie można zrozumieć poza tym, że dziewczynka Jewgienija, ich wspólna wnuczka, jest zdrowiutka, mieszka w Leningradzie z Tanią i długowłosym jazzmanem, który z wielkim zadowoleniem wziął na siebie niełatwe obowiązki ojca... Starzy pili najprzód wznosząc toasty, a potem po prostu podnosząc szklanki w górę powyżej nosa i zatrzymując rękę na chwilę:

\* Zdrowie...

\* Najgorsza dziura, Pasza, najzapadłejszy kąć... Jednakże zarządzająca sprowadzała dla mnie czasopisma z uniwersytetu w Nowosybirsku. Amerykańskie, niemieckie, francuskie... Jeszcze z lat trzydziestych... Wiesz Pasza, ja jedno łgarstwo chyba ukróciłem, które powstało już po zamknięciu Instytutu Medyczo\*Genetycznego. Moja książka jest nie tyle dla uczonych, co dla lekarzy o takiej specjalności, która jeszcze nie istnieje... Podręcznik \* nie podręcznik... Tak, raczej wprowadzenie do genetyki medycznej...

Paweł Aleksiejewicz wziął do ręki butelkę, była już lekka... Jak ja oklapłem, jednakże... Iljuszka taki bohaterski: chudy, szyja jak u oskubanego koguta, nawet łysina się pomarszczyła i skąd on czerpie siłę, energię...

Minęło trochę ponad dwa tygodnie od pojawienia się Goldberga w Moskwie. Przez ten czas zdążył się spotkać z dziesiątkiem kolegów, zorientował się w przebiegu procesu naukowego i ucieszył z poważnego poziomu intelektualnego \* chociaż nie zauważył wielkich osiągnięć \* odwiedził dwa wydawnictwa, przedstawił projekt napisanej już przez niego książki i zrozumiał, że na szybką jej publikację nie może liczyć. Upadek Chruszczowa, który się dokonał w czasie odsiadki przez Ilję Iosifowicza ostatniego wyroku, był dla niego ważny z jednego tylko powodu, oznaczał bowiem ostateczne pokonanie Łysenki z jego poplecznikami. Najbardziej istotnym wydarzeniem podczas jego nieobecności było powstanie Instytutu Genetyki. Naturalnie, w pierwszym rzędzie udał się tam do nowego dyrektora, znajomego z lat przedwojennych, solidnie przygotowanego genetyka, znanego w młodości pod przydomkiem „Bonia”, pochodzącym od Bonapartego...

Przez pierwsze czterdzieści minut spotkania Goldbergowi nie zamykały się usta, obficie sypał swoje perły przecież nie przed wieprzem... Osobnik, który siedział naprzeciwko, patrzył na niego zimnymi, niebieskimi oczami, wyposażony w stalowe szczęki, żelazny uchwyt i twardą jak diament żądzę zaszczytów, odpowiadającą młodzieńczemu przewisku... Ale mieli też obaj ze sobą sporo wspólnego: wybitnych nauczycieli, złe pochodzenie \* jeśli żydowski handlarz drzewem mógł się równać z syberyjskim fabrykantem \* doświadczenie z obozów i wspaniałe umysły... Dyrektor słuchał z największą uwagą, ale ani jednym słowem, ani poruszeniem brwi nie zdradzał swojego stanowiska.

Dopiero po czterdziestu minutach Goldberg poczuł ogromne zlodowacenie, które dotarło do niego po długim, ustawionym w literę „T” stole, od strony łysego kurdupła, zasiadającego w buddyjskiej, nieruchomej pozie za biurkiem pośrodku wielkiego gabinetu, w samym centrum odnowionej nauki o genetyce.

Goldberg zamilkł, porażony niedobrym przeczuciem. Milczał również dyrektor. Umiał robić pauzę, Goldberg \* nie.

Ilja Iosifowicz powstrzymał potok swoich wynurzeń, dotyczących medycyny genetycznej od najbardziej ogólnych założeń organizacyjnych, związanych z dawnym projektem Pawła Aleksiejewicza, dotyczącym utworzenia ośrodków genetyczno\*konsultacyjnych, po najbardziej abstrakcyjne pomysły, dla realizacji których potrzeba byłoby ze trzydziestu lat...

Przerywając sam sobie, zdecydowanym tonem zapytał:

\* Kola, dasz mi laboratorium?

Dyrektor z twarzy przypominał trochę Napoleona: drobne rysy, pełny podbródek, miękko przepływający w krótką, masywną szyję. Przy wyjątkowej ważności \* mało ważna twarz... Mózg jego pracował w napięciu, ale na twarzy żaden wyraz się nie pojawiał. Odmówić, ale odwlekając, pozwolić temu gwałtownemu durniowi, żeby sam się zorientował, że „tak” w pewnych okolicznościach oznacza jedynie inną postać „nie”, czy też od razu dźgnąć go nożem... I dotąd byli sobie wrogami, a będą jeszcze bardziej zajadłymi \* o tym dyrektor dobrze wiedział. Z jego strony nie było tu żadnego wyrachowania, chodziło jedynie o osobistą satysfakcję. Dlatego

przedłużył jeszcze na jakiś czas niczym nie ubarwioną pauzę \* jego aspiranci w takich chwilach dostawali skurczów „niedźwiedziej choroby” \*

i błysnąwszy w pseudouśmiechu nowymi, zbyt białymi sztucznymi zębami i przemyślawszy kilka wariantów z odcieniem różnie wyskalowanej \* obrazu, odpowiedział:

\* Nie, Ilja, ty mnie absolutnie nie jesteś potrzebny...

To wszystko Ilja Iosifowicz powtórzył swemu przyjacielowi.

\* Okazało się, Paszka, że jemu nie jest potrzebny nikt, ani ja, ani Sidorow, ani Sokołow, ani Sacharow. Niepotrzebna mu Szura Prokofjewa, Bielgowski, Rappaport, Timofiejew\*Riesowski w szczególności. Przyjmuje same płotki, najemników i romantyczną młodzież, żółtodzioby. A teraz wracam, mój drogi, do początku naszej rozmowy. A więc \* moralne podstawy są podkopane. Nauka bez moralnych zasad okazuje się czymś gorszym i bardziej niebezpiecznym od pozbawionej moralności ciemnoty...

W tym momencie Paweł Aleksiejewicz się ożywił:

\* Właśnie, właśnie, Ilja, to stała twoja tendencja, wszystko wrzucasz do jednego worka i płaczesz się w pojęciach. Nie może istnieć moralna ciemnota. Moralnym może być słabo wykształcony lub w ogóle niewykształcony człowiek, jak nasza Wasilisa. Z twoich słów wynika, że nauka jest antytezą ciemnoty. To błędne rozumowanie. Nauka \* to sposób organizacji wiedzy, ciemnota, nieuctwo \* wyrzeczenie się wiedzy. Ciemnota to nie brak wykształcenia, a nastawienie. Paracelsus, na przykład, wiedział mniej o budowie ciała człowieka, aniżeli dzisiaj wie szeregowy lekarz, ale w żadnym przypadku nie można go nazwać nieukiem. On wiedział o względności poznania. Ciemnota nie zakłada niczego poza własnym poziomem, dlatego nie może być moralna. Ona nienawidzi wszystkiego, co jest dla niej niedostępne. Odrzuca wszystko, co wymaga nateżenia sił, starań, zmiany punktu widzenia. Zresztą, co dotyczy nauki, to nie sądzę, by nauka miała wymiar moralny. Poznanie nie zawiera w sobie aspektu moralnego, to tylko ludzie mogą być niemoralni, a nie fizyka czy chemia, a tym bardziej matematyka...

Goldberg zaśmiał się, z kącików ust wyjrzały ostatnie, zachowane przedtrzonowe

zęby:

\* Paszka, ty być może, masz rację, ale mnie takie racje nie odpowiadają. Jeżeli jest postęp, zwiększa się pomyślność społeczeństwa to znaczy, że taka nauka, nastawiona na osiągnięcie pewnego względnego dobra jest moralna, a taka, która z tym dobrem w ogóle się nie liczy, niech przepadnie!

\* No, wybacz \* Paweł Aleksiejewicz rozłożył ręce. \* Jeśli kierować się twoją logiką, to nauka może być marksistowsko\*leninowska, stalinowska, burżuazyjna, a nawet chłopsko\*robotnicza! Daj spokój!

Zagadali się do północy, szczegółowo rozpatrując naukę jako całość, przede wszystkim teorię i praktykę, niedawną przeszłość i świetlaną przyszłość. Szydzili, wymyślali sobie nawzajem, śmiali się i wypili do dna drugą butelkę. A nad ranem Ilja Iosifowicz klepnął się po łysinie i zwymyślał samego siebie:

\* Stary dureń ze mnie, przecież nie zadzwoniłem do Walentyny!

Spróbował do niej zatelefonować. A ona siedziała przez cały ten czas na brzeżku krzesła, obejmując swój wzdęty brzuch, który wyrósł od czasu jej trzydniowego spotkania z mężem w obozie i obmyślała dokładny plan swoich działań na dzień jutrzejszy i na następny. Jako pierwszy krok należało pojechać rano do Pawła Aleksiejewicza, u którego telefon nie odpowiada \* pewnie jest rewizja i nie pozwalają mu podnosić słuchawki, potem do rejonowego oddziału służby bezpieczeństwa, a potem do adwokata. A może od razu do adwokata... A najważniejsze, podstawową część rękopisu książki trzeba niezwłocznie odebrać od maszynistki i gdzieś dobrze schować...

Ilja Iosifowicz podniósł słuchawkę \* sygnału w telefonie nie było.

\* Twój telefon się popsuł, nie ma sygnału. Ja pojedę. Ona tam umiera z niepokoju. Walentyna, wiesz, Pasza, jest w siódmym miesiącu... \* Goldberg jak gdyby się usprawiedliwiał...

Paweł Aleksiejewicz próbował go zatrzymać, była prawie piąta rano. Ale dopiero, gdy nieugięty kolega zatrzasnął za sobą drzwi, Paweł Aleksiejewicz uświadomił sobie, że miła, niezbyt zgrabna Walentyna urodzi dziecko nie czyjeś tam, ale starego, przygarbionego i wychudzonego Ilji i że rozmowy rozmowami, ale rzecz nie w nauce

i nie w tym czy jest ona moralna, czy nie bardzo, a najważniejsze polega na tym, że wtuliwszy nosek w skrzyżowane dłonie, pokryty puszką, śliski od mazi, nie mający jeszcze pigmentu i dlatego żółtawobezbarwny, skupiony i sam w sobie doskonały niemowlak pływa w swoim pierwszym, ciasnym domu, w macicy Walentyny \* dziecko starości, ale i miłości, ze wszystkimi jej fizjologicznymi atrybutami \* pocałunkami, objęciami, erekcją, frykcją i ejakulacją... Paweł Aleksiejewicz westchnął: jądra, kora nadnerczy... androgeny, kilka rodzajów sterydów... próbował przypomnieć sobie wzór testosteronu... I z tej samej przyczyny \* aktywności gruczołów wewnętrznego wydzielania \* w Ilji Iosifowiczu aż buzuje zainteresowanie moralnymi podstawami gnoseologii, a jego, Pawła Aleksiejewicza, który zdusił swoje hormony, trapi jedynie osobisty niepokój o Tanię, wnuczkę Żenię, o żonę Helenę, którą on zostawi na opiece Tomy i Wasilisy w najbliższą sobotę, kiedy pojedzie do Pitra, by odwiedzić swoje drogie dziewczyny...

20.

Życie w Leningradzie od razu wydało się Tani bardziej stylowe, z interesującą przeszłością i jakoś lepiej urządzone pod każdym względem \* i ulice, i przedmioty, i ludzie byli chyba wyposażeni w wysoki ciężar właściwy. Przeszłość przezierała z każdego miejsca i trzeba było być leniwym nicponiem w rodzaju miłego Toli Aleksandrowa, żeby przez dwadzieścia lat stawiać gorącą patelnię na stoliku od garnituru mebli i nie zainteresować się, do kogo on wcześniej należał. A należał do Zinaidy Gippius, która mieszkała właśnie w tym pokoju po przyjeździe jako młoda dziewczyna ze swoim młodym mężem. Miasto było przepiękne dzięki swej nieprzemijającej historii, ale ślady po „patelniach” były też wszędzie obecne i od tego robiło się smutno. Smuć się jednak nie było kiedy: mała istotka nie pozwalała. Ranek i cały dzień wypełniała krzątanina, a wieczorem rozpoczynało się życie artystyczne. Znaleziona została ciocia Szura, która za nieduże pieniądze zostawała z Żenią na wieczór, a nieraz i na noc. Natomiast Tania z Siergiejem chodzili w gości, biegali po kafejkach, których



mnóstwo powstało w ostatnim czasie, popijali, palili po trochu, tańczyli. Siergiej występował od czasu do czasu. Ich Trio nie tylko się nie rozpadło, lecz przeciwnie, stawało się coraz bardziej znane w kręgach młodzieżowych, ale ten rozgłos, oczywiście, nosił charakter towarzyski i półoficjalny.

W ciągu swojej drugiej petersburskiej zimy Tania odczuwała straszną senność i odrętwienie, czego nie mogła przezwyciężyć i od grudnia do lutego spała razem z małą Żenią po dwanaście godzin na dobę. A kiedy zimowa ciemność nieco ustąpiła, Tania podjęła energiczne działania i już w lutym udało jej się wynająć niezłe wyposażoną pracownię. Zamierzała rozpocząć tam wyrabianie oryginalnej biżuterii z drutu i tanich syberyjskich kamieni, wydobywanych na Uralu przez przyjaciela\*geologa.

Córeczka Tani była obdarzona cudownym usposobieniem, bawiła się sama ze sobą, nigdy się nie nudziła. Wystarczało dać jej do rąk zabawkę, łyżkę, sznureczek, a ona w najzabawniejszy sposób całymi godzinami przyglądała się, badała, próbowała brać do buzi, chowała, wyciągała, kręciła i każdemu przedmiotowi okazywała wielkie zainteresowanie. Siergiej pokochał małą w jak najbardziej naturalny sposób, tak jak kiedyś Paweł Aleksiejewicz samą Tanię i mało osób spośród przyjaciół wiedziało, że Żenia nie była córką Siergieja, a Tania żoną. Problemem małżeństwa para się nie zajmowała. Oficjalnie, szczerze mówiąc, oboje nie byli wolni: on był żonaty z Połuektową, Tania zamężna za Goldbergiem. Jedynym kłopotem, który mógł zaistnieć, był brak meldunku u Tani. Mogło to być przeszkodą przy podejmowaniu pracy, czy też korzystaniu z polikliniki. Ale Tania do żadnej stałej pracy się nie wybierała i była w pełni zdrowia. A gdyby coś się stało z córeczką, to wsiadłaby natychmiast do pociągu i nazajutrz oddała chore dziecko w najlepsze ręce na świecie... Ale nic takiego się nie zdarzało, nawet katar.

Tania wstawiała wcześniej jak kobiety pracujące, karmiła Żenię, pakowała potrzebne rzeczy i już dość ciężką dziewczynkę, ubraną w futerko, czapkę i inne ubranka, które należało ubierać dzieci w tej epoce, kiedy nie było jeszcze puchowych kombinezonów i higroskopijnych pampersów, wsadzała do wózka i w każdą pogodę jechała z lewego brzegu na plebejską stronę Piotrogradzką, gdzie udało jej się

wynająć pracownię na lewym brzegu Newki, obok domu artysty malarza Matiuszyna, o którym wtedy jeszcze nie miała pojęcia, ale wkrótce zapoznała się i z tymi dziwnymi źródłami awangardy, które zawsze wytryskały z tutejszych bagien.

Droga z domu do pracowni trwała nie mniej, niż godzinę i stanowiła przyjemny spacer, po którym Żenia spała z godzinkę w przyciasnym wózku. Tania robiła grube, celowo grube ozdoby z czarnymi paciorkami z gagatu i dymnymi topazami, zamierzając wprowadzić na nie modę w lewobrzeżnej dzielnicy wśród pretensjonalnych swoich rówieśnic, miłośniczek petersburskiego jazzu. Pamiętała, że w dzieciństwie towarzyszyło jej takie zjawisko: gdy wkładała coś na siebie, zaraz koleżanki z klasy szły w jej ślady... Dlatego pierwsze, co należało zrobić, to naczepić na siebie jak najwięcej ozdób własnej roboty, udzielać się na różnych imprezach i czekać na nabywców.

W południe przychodził Siergiej, po spełnieniu porannych obowiązków: spaceru z psami i ćwiczeń na saksofonie \* i przynosił jakieś jedzenie, kupione w garmazerni i kefir dla Żeni. Chociaż Żenia miała już ponad rok, lubiła jedzenie dla niemowląt i wyraźnie wolała płyny od czegoś stałego. Tania stawiała czajnik na kuchence elektrycznej, Siergiej zaparzał herbatę. Fama głosiła, że robił to lepiej od innych. Zjadali obiad po studencku. Siergiej po petersbursku nazywał bułką biały chleb, a do jedzenia podchodził ostrożnie i oszczędnie \* blokada miasta pozostawiła uraz, choć jego, chorego malca wywieziono po lodzie z miasta w tamtym roku... A potem szedł na spotkanie ze swymi kolegami, albo grać, albo po prostu się objął, pił po trochu, albo też spędzali dzień razem aż do wieczora. Wtedy kładł się na przybrudzonej kozetce i bawił się z Żenią.

Ich wspólne obiady kończyły się zabawami, nie sprzyjającymi spokojnemu trawieniu: Siergiej podrzucał podrygującą mix w rękach Żenię, starając się ułoić rytm jej ruchów i wydawał ustami przerywany dźwięk trąbki, Tania wystukiwała młoteczką swój roboczy beat, metalem o metal, a Siergiej cieszył się, że w całą ich egzystencję świadomie wkraczał rytm, wszystko było przeniknięte muzyką, a oni sami tworzyli takie wspaniałe trio, w którym zachowane były role tworzącego tło, instrumentu wiodącego i podporządkowanego \* jak w prawdziwym zespole

jazzowym, a nawet przestrzeń akustyczna dzieliła się na oddzielne nisze, jak trzy głosy melodyczne w nowo\*orleańskich dixielandach.

\* Mamy świetną jam session \* oświadczył Siergiej Tani, a ona, wykonawszy kolejną serię uderzeń, zaprzeczyła:

\* Nie, mamy wspaniałą rodzinną pozytywkę, pełną muzyki.

\* Co ty, w pozytywce muzyka jest martwa...

\* Tak, masz rację \* natychmiast zgodziła się Tania. Oboje nie myśleli o swoim szczęściu, jak nie myślała o nim

błogosławiona para w nieskończenie pięknym ogrodzie, nie zatroskana ani o chleb powszedni, ani o zdrowie, ani o rachunek bankowy. Nawet sprawa mieszkania ich nie niepokoiła \* mieszkali bezpłatnie w bogatym mieszczańskim domu w zamian za okazywaną właścicielce usługę: karmienie i wyprowadzanie na spacer dwóch głupich, pięknych chartów. Było z nimi trochę roboty, ale Siergiej już do niej przyzwyczajony, wiedział, gdzie się kupuje kości, jakie dodaje się do nich mięso, gdzie nabywa witaminy. Dwa ogromne garnki wciąż stały na kuchni i zdarzało się, że Tania z Siergiejem nakładali sobie z „psiego” garnka trochę tego jedzenia, dodawszy uprzednio soli.

Problemy, niezależnie od nieprawdopodobnej idylli, oczywiście istniały. Najpierw klimat. Zimny. Albo też jak zdobyć w nocy butelkę wódki?. Od taksówkarza? Skoczyć na lotnisko? Albo ustrój polityczny... Niesprzyjający i po części niebezpieczny. Ale z drugiej strony \* wszędzie jest jakiś ustrój, a tam, gdzie go nie ma, są albo górskie urwiska, albo dzikie zwierzęta z jadowitymi węzami. I inne niewygody...

Wszystkim było źle, ale tym ludziom z lat sześćdziesiątych żyło się dobrze. W to trudno uwierzyć, potrzebne byłyby ważne dowody, zeznania świadków, relacje współczesnych. Z powodu upływu tylu lat wiele rzeczy zatarło się w pamięci i każdy pamięta głównie swoje własne przeżycia: Goldberg \* obozową żonę, Paweł Aleksiejewicz powolne oddalanie się Heleny od żywych ludzi w jej jakimś dziwnym, pośrednim stanie, Toma \* kolejki po produkty spożywcze, w których trzeba było stać niezależnie od skromnych przydziałów, przynoszonych przez Pawła Aleksiejewicza.

Inni zapamiętali wprowadzenie wojsk do Czechosłowacji. Przeszukania, areszty, konspirację. Wysłanie Gagarina w kosmos. Radiokrzykliwość i telekołowaciznę. Pamięć o ciasnocie życia, strachu, rozpuszczonym w powietrzu jak cukier w herbacie.

A tym, grającym żyło się świetnie. Dzięki swej lekkomyślności nie bali się codziennie, raczej tylko chwilami. Ale ocknąwszy się ze strachu, brali w ręce swą zbawczą muzykę, która nie dość powiedzieć, iż sprawiała, że stawali się wolnymi, ale sama w sobie była po prostu wolnością. W tym miejscu właśnie leżał „dział wodny” pomiędzy Siergiejem a jego rodzicami. Z tej właśnie przyczyny odrzucało ich od siebie, marksistowsko\*leninowskiego tatuśka i tatuśkowego muzykującego syna\*chuligana. Byli dla siebie nawzajem kwasem siarkowym... Dziecięce przywiązanie, miłość rodzicielska poskwierczały i uszły z gryzącym dymem, a w wypalonej dziurze nie powstał ani żal, ani współczucie...

Rodzice Siergieja byli już z nim od dawna na wojennej stopie. Ojciec nie mówił o nim inaczej, jak szumowina i odszczepieniec. Matka też nie mogła wybaczyć synowi zdrady, chociaż wyjaśnić, co właściwie zdradził i z kim, nie potrafiła. To śmieszne, ale przecież chyba nie z muzyką! Od podwórkowych przyjaciół Siergieja matka dowiedziała się, że Siergiej ma córkę. Pragnęła zgody, ale z obawy przed mężem nie miała odwagi zrobić pierwszego kroku. Siergiej czuł do rodziców odrazę, silniejszą od nienawiści. Nie widział już ich od ośmiu lat, od śmierci babci, a z domu się wyniósł zaraz po skończeniu szkoły.

\* W nich nie ma nic ludzkiego. Wszystko o czym myślą, mówią, co robią \* to jedno nieprzerwane kłamstwo. Nic ludzkiego \* wstrząsało nim, gdy o nich mówił.

Matka przysłała do nich w gości była koleżankę Siergieja z tej samej klasy, Ninę Kostikową, dziewczynę z ich wspólnego podwórka, zakochaną w Siergieju od pierwszej klasy. Powierzyła jej misję doprowadzenia do rodzinnego spotkania:

\* Co tobie, tak ci trudno? \* wstawiała się za matką Nina. \* Pokaż im Żenię.

\* A ty jej powiedz, że dziecko nie jest moje i ona się uspokoi. \* Wziął dziewczynkę na ręce, przytulił jej czoło do swego i zabuczał: UUU... Żenia zaczęła skakać z radości.

\* Powiedz, że mi ją przyniesiono w podołku, w podołku szlafroka \* i zaśmiał

się głośno, jak gdyby jego dowcip był błyskotliwy.

Tania uniosła brwi:

\* Nie podoba ci się mój szlafrok? Dobrze, następne przyniosę ci prosto do rąk...

Tania nie zapominała o następnym dziecku. Już kilka razy wydawało jej się, że zaszła w ciążę, ale były to pomyłki. Córeczkę swoją bardzo kochała, ale chciała też mieć synka i w tym jej pragnieniu był jakiś dziwny upór, jak gdyby była zobowiązana urodzić go dla jakichś wyższych celów. Od strony życiowej drugie dziecko byłoby nieroztropnością, ale nie mniejszą było również pierwsze. To, co się określa podstawami materialnymi, właściwie nie istniało. Chociaż pieniądze wpływały do domu dzięki koncertom Sierioży, a i Paweł Aleksiejewicz, odwiedzający co miesiąc czy półtora swoje dzieci, zawsze zostawiał jakieś środki. Tani z lekka ciążyła ta sytuacja, ale miała nadzieję, że niedługo sama zacznie zarabiać. Oboje jednakże wykluczali katorgę codziennej niewolniczej pracy, uważając, że pieniądze na utrzymanie powinny się rodzić dzięki wolnemu koncertowaniu...

Tania w tym czasie coraz głębiej pogrążała się w żywiole muzyki, zdobyła dla siebie flet blokowy i w tajemnicy przed Sieriożą po cichu sobie pogrywała. Instrument był biedniutki, ale miał wzruszający, dziecięcy dźwięk... Tania nie opuszczała ani jednego koncertu Tria Siergieja, chodziła też z nim słuchać innych zespołów jazzowych, których sporo powstało w Pitrze. Grających w postawie stojącej muzyków nie było aż tak wielu, wszystkich ich się znało. Bożyszczem Siergieja w tym czasie był Herman Łukjanow. Pochodził z Moskwy, miał ukończone konserwatorium, reprezentował zupełnie inny styl, był raczej snobem \* występował we fraku, grał na wielu instrumentach, w tamtych latach przede wszystkim na skrzydłowce i przy tym był interesującym kompozytorem. Później Siergiej rozczarował się do niego, zachwycił się Czekasinem... A w ogóle to wszyscy wariowali na punkcie Coltraina i Colemana. Świętowali każde ukazanie się nowej płyty, Siergiej urządzał nawet rocznice pierwszego przesłuchania. Z Garrikiem przyglądali się każdej nucie, dyskutowali nad każdym zwrotem, każdym współbrzmieniem, wszystkimi opuszczeniami i przełomami, każdą przerwą w dobrze

znanej logice dźwięków. Tanię daleko bardziej interesowała żywa muzyka, aniżeli jej wielogodzinne analizowanie, rozumiała w pełni o co chodzi, jej muzyczne wykształcenie, chociaż niezbyt wysokie, było pomocne.

Najszczęśliwszą okolicznością była zgodność wszystkich komponentów ich życia, które zazwyczaj z trudem współistnieją, a bywa też, że rozszarpują człowieka na wszystkie strony. U Tani linia miłości, rodziny, twórczości i życia codziennego były ściśle spójne i dzień powszedni mijał w sposób „muzyczny”, według tych samych zasad, według których powstaje utwór muzyczny, na przykład, symfonia. Bawiła ją ta analogia i wczesnym rankiem, kiedy Siergiej jeszcze spał, a Żenia szczebiotała w łóżeczku, Tania zajmowała się allegro z sonaty, wzajemnym oddziaływaniem na siebie dwóch tematów, w którym temat pierwszy, Siergiej a, z początku był silniejszy i obszerniejszy, a potem poddawał się i ustępował dziecięcemu, gaworzącemu, radosnemu. Andante łowiła nieraz na ciemnej ulicy, pchając przed sobą wózek i trzyczęściowa jego forma zbiegała się z geografią ulic, tak że ostatnia część, przyznać należy, najbardziej niewyraźna, zaczynała się już na stronie Piotrogradzkiej. W pracowni na początku muzyka cichła \* Tania rozbierała dziecko, poiła wodą z butelki, wysadzała na nocniczek i układała w wózku na przedobiedni sen. Po czym wypalała swego pierwszego papierosa i podchodziła do warsztatu. Tutaj doganiało ją scherzo, ono ją zabawiało, z lekka podganiało, przyśpieszało i tak dochodziło do finału, który przechodził w rondo i następowało powtórzenie, delikatne połączenie z rannym tematem, związanym ze śpiącym Siergiejem, który przychodził w porze obiadowej. Dzwonek do drzwi i takie sympatyczne powtórzenie materiału: abacadae...

Sezon muzyczny zaczynał się na wiosnę. Tania chciała pojechać z Siergiejem na festiwal jazzowy do Dniepropietrowska, a potem na Krym. Pod koniec zimy zdążyły im obrzydnąć dwa\*trzy kluby jazzowe w mieście, a z najlepszym z nich, „Kwadratem”, stosunki się popsuły. Siergiej nie chorował na przerost ambicji, był spokojny, życzliwy, ale Garrik od czasu do czasu wchodził w jakiś głupi konflikt z którymś z bardziej znanych muzyków jazzowych w mieście, to z Gołouchinem, to z Lisowskim. Tania, która już w tym czasie była nieźle zorientowana w środowisku

jazzowym i znała wielu muzyków, uważała, że Siergiej powinien się rozstać z Garrikiem. Obaj grali świetnie, ale Garrik nie dawał Siergiejowi tego stopnia swobody, do którego on już dorósł. Siergiej wciąż coraz więcej komponował. Garrik patrzył na jego próby z pobłażaniem, podśmiewał się i kiedyś po pijanemu powiedział twardo i jednoznacznie:

\* Dopóki grasz u mnie, gramy moją muzykę...

Siergiej rozżalił się, Tania jeszcze bardziej. Wydało jej się, że przyszedł moment, kiedy powinna się włączyć i naprawić sytuację. Zimą Siergieja zapraszano do „Dixielandu”. Można przecież grać i z innymi, nie jeden Garrik na świecie...

Zadzwoiła do ojca i zapytała, czy nadal ma ochotę zabrać Żenię na lato. Jeśli tak, to ona przyjechałaby z Żenią na trochę do Moskwy, żeby miała ze wszystkimi zdążyć się oswoić...

W połowie maja Paweł Aleksiejewicz spotkał Tanię z dzieckiem na Dworcu Leningradzkim. Wszystkie swoje sprawy służbowe miał zakończyć w tym miesiącu. Teraz chciał tylko jednego: zostać na lotnisku z wnuczką, karmić ją kaszą z rana, prowadzić na spacer, odgadywać jej niewyraźne słowa i pierwsze myśli. Kobiety w jego rodzinie coraz bardziej podupadały: Helena niechętnie podnosiła się z fotela, Wasilisa zmarniała, jej wzrok, niezależnie od udanej operacji, był bardzo słaby. Toma pomagała mu ile mogła, ale jej wieczorna nauka zabierała mnóstwo czasu. Paweł Aleksiejewicz dziwił się po cichu, że właśnie Toma z jej średnimi uzdolnieniami tak pilnie się uczy, podczas gdy Tania siedzi gdzieś w suterenie, coś majstruje swymi zręcznymi rękami i pozostawia w kompletnej beczynności swoją tak zdatną głowę... Wnuczka, którą odwiedzał w marcu, nie zapomniała go, wyciągnęła rączki i podstawiła policzek do pocałowania. Pocałował śmietankową buzię i nappełnił się gorącym powietrzem jak sterowiec.

Tania spędziła w domu cały tydzień. Zrobiła wielkie sprzątanie, we wszystkich kątach. Umyła okna. Była bardzo serdeczna dla Wasilisy, zaprowadziła ją do łaźni: innego sposobu mycia się Wasilisa nie uznawała, a chodzić sama do łaźni bała się od czasu, kiedy upadła tam na kamienną posadzkę. Toma rzadko zgadzała się na jej odprowadzenie. W dodatku Wasilisa nie uznawała kąpieli innego dnia niż w sobotę, a

na soboty Toma zwykle miała własne plany. Łaźnia znajdowała się nieopodal, na Sielezniówce. Wasilisa zawsze zabierała tam ze sobą własną miednicę, myjkę z łyka

\* gdzie ją dostawała? \*

śmierdzące dziegciowe mydło i zmianę bielizny. Po raz pierwszy w życiu Wasilisa korzystała z pomocy Tani. Najprzód Tania pomogła jej ściągnąć grube palto, nie schodzące z ramion. Potem nachyliła się i zdjęła całoroczne walonki. Wasilisa teraz jak prawdziwa wiejska staruszka nawet latem ubierała się po zimowemu. Już kilka lat temu przestała nosić pantofle... Wasilisa wykrzywiła usta i powiedziała, jakby ganiąc samą siebie:

\* No, moja pani, dożyłaś czegoś takiego...

Potem sama zręcznie rozpięła flanelowy szlafrok i zdjęła burą, połataną bieliznę. Jej nagość była tak samo nędzna, jak jej ubranie. Szare, pomarszczone ciało, długie, żylaste nogi całe w atramentowych żyłach i siateczce czerwonych naczyń, wyschnięta jak u pająka klatka piersiowa z wielkim krzyżem, prawie do pępka. Patrząc na nią było niezręcznie, ale jej wzrok był tak słaby, że nie zauważała spojrzenia Tani, zresztą przy całej swojej przyrodzonej wstydlivosti Wasilisa w łaźni zdejmowała z siebie wstyd razem z odzieżą. Między jej nogami Tania zauważyła różowo\*szary worek wielkości pięści, wyglądający dość odrażająco...

\* Wasiu, co ci tam zwisa na dole?

Wasilisa trochę się pochyliła, z lekka przysiadła i rozstawiwszy nogi, zrobiła prędki ruch, wtykając worek z powrotem do wnętrza.

\* Matka, Taniusiu, się oberwała... jeszcze w trzydziestym roku, wóz wyciągaliśmy... Ale to nic, nic... To nie boli...

Tania posadziła ją na ławce, podstawiła pod nogi miednicę z gorącą wodą, wzięła państwowy szaflik i zaczęła ją myć myjką z łyka. Wasilisa pojękiwała, pokaszliwała, wyrażając niebywale zadowolenie...

Okropność, co za okropność... Przez całe życie nas obsługiwała, taszczyła torby, myła okna, prasowała bieliznę ciężkim żeliwnym żelazkiem... Wsuwała wypadającą macicę i wdrapywała się na drabinkę... W domu u pierwszego w kraju ginekologa... Chyba trzeba powiedzieć ojcu?... Zgroza, zgroza... Tania stojąc w gumowych



wietnamskich klapkach na śliskiej podłodze, nacierając kościste, starcze plecy, mamrotała:

\* Boże i co z wami robić? Wasiu, no jak, ja chyba muszę wrócić do domu... Coście się tak zestarzeli?...

Było głośno, lała się woda i Wasilisa nie słyszała słów Tani.

„Koniec. Pobawiłam się, a teraz trzeba wracać do domu” \* powiedziała sobie Tania. I ogarnęła ją rozpacz na myśl o tej strasznej perspektywie życia w jej starym domu, pomiędzy opadającą z sił Wasilisa, a wyzutą z rozumu matką, z córką i z Sieriożą... Najgorsze do wytrzymania to przebijający się pomimo najstaranniejszego sprzątnięcia zapach starego moczu, kociego i ludzkiego, skisłego jedzenia, kurzu, śmieci, umierania... Biedny ojciec, jak on to wytrzymuje? I przypomniawszy sobie jego wyziębiony gabinet, stale stojącą między szafkami biurka pustą butelkę... Może by Tomę zwolnić z pracy i niech by się domem zajęła... \* ale od razu zrozumiała, że byłoby jej wstyd.

Kiedy Tania doprowadziła do domu omdlewającą prawie Wasilisę, posadziła ją w kuchni obok czajnika, decyzja już była podjęta: pojedzie teraz na daczę, przygotuje ją do letniego sezonu, umówi jakąś miejscową kobietę do pomocy w gospodarstwie, zawiezie tam wszystkich i zostawi do jesieni. A jesienią, po powrocie do miasta, przeniesie się do Moskwy... Z Siergiejem... To ostatnie stało pod znakiem zapytania... W końcu można by wynająć pokój... A jazz jest grany wszędzie!

21.

Toma nie lubiła dzieci. Nie lubiła dzieciństwa, własnego i wszelkiego, i wszystkiego, co było związane z rodzeniem dzieci. Żaden Freud nie był potrzebny, żeby wytłumaczyć jej głęboki wstręt do tej sfery życia, gdzie istnieje przyciąganie się płci, od niewinnego obmacywania po kątach do świńskiego sapania, towarzyszącego kopulacji, której świadkiem bywała od dzieciństwa. Matczyne łóżko z brudną pościelą, gdzie odbywały się miłosne misteria i gdzie dosięgła dozorczynię \* której imię już dawno zapomniano na podwórzu \* niezbyt chlubna

śmierć, było nocnym koszmarem Tomy. Za każdym razem, gdy Toma chorowała i miała wysoką gorączkę, wydawało jej się, że leży w ich rodzinnym barłogu.

Otwierała oczy: Helena Gieorgijewna siedziała obok jej łóżka z czystą, nakrochmaloną pościelą, robiła coś szarego czy beżowego grubym szydełkiem i ujrzawszy, że Toma się obudziła, poiła ją ciepłą herbatą z cytryną i wycierała spocone czoło... Wieczorem przychodził Paweł Aleksiejewicz i przynosił coś zabawnego \* kiedyś szklanego, przezroczystego zajączka, wielkości myszy. Później gdzieś się ten zajączek zgubił na lotnisku, albo ukradła go jedna z tamtejszych sąsiadek i było wielkie nieszczęście. Innym razem Paweł Aleksiejewicz przyniósł jej maleńkie pudełeczko z nożyczkami, pincetką i czymś ostrym, nie wiadomo do czego służącym. Przynosił podarunek, całował siedzącą obok Helenę Gieorgijewnę w głowę, a dla Tomy było całkiem oczywiste, że między tymi czystymi, pięknie pachnącymi i ładnie ubranymi ludźmi, niezależnie od tego, że byli mężem i żoną, nie mogło dochodzić do tej świńskiej obrzydliwości, z powodu której umarła jej biedna matka. Oni nawet spali w oddzielnych pokojach.

Wiele rzeczy, które Toma widziała w domu Kukockich, tłumaczyła sobie w najbardziej fantastyczny sposób, ale w danym przypadku się nie myliła: do żadnej takiej „obrzydliwości” między małżonkami nie dochodziło właśnie od chwili zamieszkania przez nią w ich domu...

Co się tyczy przyborów do manicure'u, to zachowały się do tej pory i nie straciły swego znaczenia. Kiedy dziewczynki chorowały, Paweł Aleksiejewicz przynosił drobne prezenty każdego wieczoru, te codzienne radości pozwalały łatwiej znieść chorobę. Kiedy chorowała Tania, Paweł Aleksiejewicz przynosił dwa podarunki, dla obu dziewczynek, i dla chorej, i dla zdrowej. Jednakże, gdy chorowała Toma, Tania nie dostawała nic...

Dlatego też Toma była przekonana, że Paweł Aleksiejewicz bardziej ją kochał, aniżeli Tanię. Pojęcie sprawiedliwości, kiedy wszystko odmierzane było równo według wagi, rozmiaru, ilości, zachowało się w niej od niemowlęstwa, chociaż częściowo później się zachwiało dzięki domysłowi, że nie wszystko jest takie proste. Ale Toma przedkładała zawsze sprawy proste nad skomplikowane...

W domu u Kukockich o sprawiedliwości jakoś się nie mówiło. Nic też nie było dzielone po równo. Przy obiedzie przewidziane były dwa kotlety dla każdej osoby, ale Tania często rezygnowała z drugiego. Wasilisa w ogóle mięsa nie jadła. Przez dłuższy czas Toma myślała, że jej nie daje się mięsa ze względu na sprawiedliwość, dlatego, że jest służącą. Później się wyjaśniło, że Wasilisa nie chce jeść mięsa.

Natomiast po kilku miesiącach, spędzonych w domu Kukockich, Toma wyśledziła, że Wasilisa ma swoje specjalne jedzenie, którego nikt inny nie spożywa: w jej komórce przechowywany był suszony biały chleb, pokrojony na kawałeczki, które Wasilisa jadła rankami, w tajemnicy przed wszystkimi. To znaczyło, że jakaś sprawiedliwość istniała i tutaj. Toma kiedyś zakradła się do tej komórki, znalazła owinięty w szmatkę chleb i spróbowała go \* był kompletnie bez smaku. Niczego szczególnego w nim nie było...

Żyjąc razem z matką i braćmi, Toma wciąż brała udział w podziale \* mali bracia zawsze chwyтали największe i najlepsze kęski, stale kłócili się z powodu jedzenia. Matka też kłóciła się z różnych przyczyn ze wszystkimi i kłótnie, a nawet bójkę zdarzały się właśnie z powodu niesprawiedliwości. U Kukockich wszystko odbywało się na przekór sprawiedliwości i to było zadziwiające, zwłaszcza w pierwszym okresie. Latem na dacy Paweł Aleksiejewicz zrzucił ze swego spodka pierwsze w tym sezonie truskawki na talerzyk Heleny Gieorgijewny, a ta ze śmiechem przesypywała jagody Wasilisie, która się złościła:

\* Nie będę jadła tych waszych przysmaków, dzieciom daj...

A Tania nie lubiła truskawek, tak jak kotletów i owoce, okrążywszy stół, trafiały na talerzyk Tomy...

Teraz, gdy w domu zjawiała się Żenia, Toma w końcu doświadczyła radości oddawania. Zabawne, że poczuła to po raz pierwszy na tym samym letnisku i z tymi samymi wczesnymi truskawkami, zebranych z własnej grządki. Było ich nie więcej niż dziesięć sztuk z plantacji Wasilisy, już czerwonych, ale nie w pełni dojrzałych.

Wasilisa z dumą postawiła je w niedzielę na stole:

\* Pierwszy zbiór, dla was...

Paweł Aleksiejewicz przydzielił wszystkim po dwie truskawki, a ostatnią, nieparzystą

dołożył Żeni. I znów, tak jak w dzieciństwie, Paweł Aleksiejewicz wziął jeden owoc do ust, a drugi podsunął Żeni. Mała wzięła do buzi owoce, śmiesznie się skrzywiła, ale zamlaskała z zadowolenia...

Wasilisa coś tam gderała, wydawało się, że truskawek też nie chce jeść z powodu postu. I wtedy, patrząc na gastronomiczną uciechę Żeni, wypisaną na umazanej sokiem buzi, Toma zrozumiała, że jej daleko przyjemniej jest patrzeć, jak zajada dziecko, aniżeli jeść samej...

Tak więc niezauważalnie Toma pokochała Żenię, swoją siostrzenicę, jak o niej mówiła...

Dziewczynka mieszkała u dziadka już drugi rok. Paweł Aleksiejewicz uważał, że dziecko powinno być u nich, dopóki Tania nie zorganizuje sobie swego życia.

Zeszłoroczny sezon letni przeciągnął się na cały rok. Tani wciąż nie udawała się przeprowadzka do Moskwy. Dość często przyjeżdżała tu na kilka dni. Dopiero teraz, na początku lipca, zaczęło się coś układać. Pawłowi Aleksiejewiczowi przed samym odejściem na emeryturę udało się załatwić jednopokojowe spółdzielcze mieszkanie w domu Akademii \* dla Tomy. Były pokój dziewczynek w ich mieszkaniu miał powrócić we władanie Tani, co prawda nie jej samej, ale z Siergiejem i z Żenią. Własne mieszkanie, zdobyte dzięki staraniom Pawła Aleksiejewicza i za jego pieniądze, wydawało się Tomie cudem z bajki. Dom jeszcze nie był wykończony, ale ona już jeździła kilka razy na daleki kraniec alei Lenina, chodziła wokół kończącej się budowy i nawet postąpiła chwilę przy przyszłej bramie. Podarowano jej majątek, własną wyspę i w jej głowie w związku z tym odbywała się nowa ocena otaczających ją osób pod

kątem stosunku do niej samej \* jej własna wartość, jak jej się zdawało, wzrosła niepomiarownie... Wśród koleżanek, a tym bardziej rówieśniczek, nieznała nikogo, kto mógłby pochwalić się podobnym skarbem. W dodatku nie mogła zrozumieć, dlaczego mieszkanie zbudowano dla niej, a nie dla Tani, rodzonej córki i to mającej rodzinę w pewnym sensie...

Oczywiście, że Pawłowi Aleksiejewiczowi przychodził do głowy taki pomysł. Nawet rozmawiał o tym z Tanią w czasie któregoś z jej pobytów w Moskwie. Od tego

właśnie zaczął, że zaproponował Tani zbudowanie dwupokojowego mieszkania dla niej i jej rodziny. Ale Tania nie wahała się ani chwili, odmówiła, jedynym powodem jej powrotu do Moskwy były „nasze staruszki, które podupadają coraz bardziej, ja przenoszę się po to, by nimi się opiekować”... Pawła Aleksiejewicza dotknęło nieco, że Tania zrównywała pobłażliwym słowem „staruszki” Helenę z Wasilisą...

Rozstawać się z Pitrem było trudno: Siergiej przeżywał okres jakiejś przerwy, próbował gry na coraz to innym instrumencie, to wygrywał niezwykle chromatyczny dwugłos na podwójnych piszczałkach własnej roboty, to ćwiczył grę na basethornie i w końcu \* na wzór wielkiego Rolanda Kirka \* przestawił się na całkiem egzotyczne muzykowanie na dwóch saksofonach jednocześnie. I wszystko to mu się udawało. Muzyczna droga wiała się bez przerwy i coraz częściej Siergiej wyławiał z tego dźwiękowego zgiełku swoją własną ścieżkę. Jedną z jego kompozycji, Czarne kamienie, Garrik po długim namyśle, zaczął grać...

Tania dużo pracowała, jej czarne kamyki wchodziły w modę, czemu sprzyjały przyjazdy na wakacje Połuektowej z Permu. Co prawda, na czas jej pobytu Siergiej z Tanią i Żenią musieli przenosić się do pracowni, ale szczerze mówiąc, Połuektowa na to nie należała: zazdrość była dla niej uczuciem nie znanym. Tania jej się nawet podobała, a w dodatku jej własne życie w Permie układało się coraz lepiej.

Prowadzone przez nią klasy uważane były za najlepsze, z repetytora przeszła na stanowisko choreografa, a romans z najzdolniejszym absolwentem szkoły dodał jej energii, odwagi i pewnej dobroduszości, zupełnie dla niej nie charakterystycznej... Tania podarowała jej parę swoich ozdób, a ona bardzo skutecznie zademonstrowała je w Teatrze Maryjskim, w którym tańczyła przed emeryturą i cały corps de ballet, podporządkowując się stadnemu instynktowi, stanął w kolejce po biżuterię od Tani, która ledwie nadążała z wykonaniem zamówień. Sama Tania też stała się modna, oboje z Siergiejem wciąż byli zapraszani na wszelkie imprezy, od premier teatralnych po prywatne koncerty w domach. Tania ubierała się teraz w krótkie, czarne suknie i nosiła długie, kasztanowe włosy, które rosły bardzo szybko: w ciągu dwóch lat zakryły jej ostro sterczące łopatki. Dzięki temu, że stale znajdowała się na pobrzeżu muzyki, jak na brzegu morza, jej ciało było skupione i nawet w pełnym bezruchu

niosło w sobie załęczek utajonego ruchu. Ale główne wydarzenie miało miejsce w ukryciu i w ciemności: Tania była w ciąży, niezmiernie się z tego cieszyła, ale nikomu oprócz Siergieja na razie się nie zwierzała, nawet Pawłowi Aleksiejewiczowi. Było postanowione, że na ostatnie dwa miesiące wolne od domowych obowiązków Tania pojedzie z Siergiejem na gościnne koncerty na Krymie i na Kaukazie, po zakończeniu występów pojedą oboje na Międzynarodowy Festiwal Jazzu w Krajach Nadbałtyckich, a potem, spakowawszy swój skromniutki dobytek i zakończywszy etap życia w Pitrze, przeniosą się do Moskwy, by tam urodzić syna, wychowywać Żenię i opiekować się starymi członkami rodziny.

Ta okoliczność, iż zapowiadały się ogromne trudności, Tanię jedynie mobilizowała: była tak pełna szczęścia i sił, tak nieulekła i lekkomyślna, że nawet nieco przynaglała czas. Co ani trochę nie przeszkadzało poczuciu rozkoszy każdego dnia...

Występy gościnne rozpoczęły się w Odessie i co było cudowne \* od tego samego Klubu dla Zagranicznych Marynarzy, gdzie Tania zobaczyła Siergieja po raz pierwszy. Tutaj urządzili więc umowną trzecią rocznicę ich związku. W Kurortnoje tym razem nie było koncertu, ale Siergiej z Tanią wynajęli samochód na cały dzień i tam pojechali. Żadnych zmian nie zauważyli, wszystko było takie samo: i pokryte pyłem, pomazane domki, i plantacje pomidorów. Po chwiejącej się drabinie zeszli na dół ku bezbarwnemu morzu, które w ciągu trzech lat jeszcze mocniej podmyło brzeg. Między dolną częścią drabiny a skarpą ziała niebezpieczna jama.

\* To nie dla będących „pod muchą” \* zauważyła Tania. Siergiej pospieszył jej z pomocą. Wzięła go za rękę, chociaż czuła się zupełnie pewnie.

Wykapali się i postanowili popatrzeć na wydmy. Szofer czekał na górze. Był to człowiek posepny i milczący i choć mieszkał w Odessie od urodzenia, stanowił żywe zaprzeczenie opinii o mieszkańcach tego miasta. Podrzucił ich do mierzei, do tego samego miejsca, w którym trzy lata temu ugrzązł samochód Garrika. Poszli na mierzeję. Dzień był powszedni, więc ludzi prawie nie było. Przy pamiętnych ruinach nikt się nie opalał, walały się tylko puste butelki, do połowy zasypane piaskiem. Upału, tego palącego i lepkiego upału jak wtedy, nie było. Wiał wiaterek od morza. Rozwiewał Tani czerwony sarafan, który włożyła specjalnie, żeby wszystko było jak

wówczas. Wykapali się nago, położyli na piasku, w półcieniu przy na wpół zrujnowanej budowli... Tania objęła Siergieja, on zareagował natychmiast. Teraz już wszystko było inaczej. Oboje wydorośleli i stali się ostrożni. Niemowlęcia, które pływało wewnątrz i zaczęło już się rozprostowywać, uderzając od środka to nóżką, to piąstką, bali się niepokoić i ich miłość, przejawiająca się pianissimo i legato, była już zupełnie inna, niż ta pierwsza, gwałtowna i szalona. Ale piękna była i ta, i tamta...

Położywszy sobie ręce Siergieja na brzuchu, Tania powiedziała mu na ucho:

\* Chłopak będzie duży, nie to co Żenia, pękata mała smerda... Później Siergiej wyjął z torby butelkę wina, dwa pomidory,

jajka, trochę zieleniny. Szczypior był zżółkły, zestarzały, chleb się pokruszył. Tania zaczęła żuć zwiedłe piórko szczypioru, posoliła skórkę od chleba, ugryzła. Jedzenie jej nie szło. Wypiła

dwa łyki wina i zebrawszy resztki, oboje udali się do samochodu. Podczas drogi Tania z nosa pociekła krew. Siergiej namoczył w wodzie limanu sarafan i przyłożył dość ciepły kompres. Krew szybko się zatamowała. Trzeba było się śpieszyć, wieczorem zaplanowany był występ.

Przyjechali na godzinę przed koncertem. Tanię mdliło, bolał ją tył głowy i mięśnie nóg. Była już ubrana w wieczorową sukienkę, zieloną na ramiączkach wesołą sukienkę, która już opinała się na brzuchu, ale w ostatniej chwili zdecydowała się zostać w pokoju hotelowym. Położyła się i zaraz zasnęła. Obudziła się jednak szybko z bólu. Położyła dłonie na brzuchu i spytała:

\* No, jak się masz?

Mały nie odpowiadał. Widać z nim było wszystko w porządku. Pewnie trzeba wziąć analginę... Ale po pierwsze, jej nie ma, a po drugie Tania wolałaby nie brać tabletek. Zanim wrócił Siergiej, znowu nastąpił krwotok z nosa.

\* Może wezwać lekarza? \* zaniepokoił się Siergiej.

Tania skrzywiła się, nie chciała mieć do czynienia z medycyną. Poprzednim razem w czasie ciąży nie znalazła nawet wolnej chwili na założenie karty medycznej, nie robiła żadnych przepisanych analiz i nawet trochę była dumna z tego, że uniknęła całego zamieszania, jakie współczesne kobiety wprowadzają wokół siebie w tak

naturalnej i zdrowej sytuacji, jak oczekiwanie dziecka...

Trochę później do pokoju zajrzeli Garrik i Tola, już trochę wstawieni, z dwiema butelkami, jedną zaczęta z winem i drugą zapieczętowaną z wódką. Tola nie uznawał wina, a Garrik z kolei miał silne poczucie stylu: uważał, że latem na południu wódkę pić może tylko najgorszy alkoholik. Co innego zimą...

\* Staruszek, ty mnie się nie podobasz \* oświadczył Garrik od progu. \* Nie tańczysz, nie skaczesz, a gorzko, gorzko płaczesz... Wy jak sobie chcecie, a ja wzywam Pogotowie...

Zdecydowanym ruchem podszedł do telefonu. Aparat był nieczynny.

Tania go powstrzymała:

\* Poczekamy do jutra... Wydaje mi się, że miałabym ochotę na herbatę z cytryną. I przynieście analginę, czort z nią...

Przynieśli jej herbatę, po analginie zrobiło się lepiej. Tania usnęła. Obudziła się o czwartej rano i dostała wymiotów. Tym razem Siergiej już nie czekał, pobiegł na dół do administracji i wezwał lekarza.

Starsza już lekarka, Żydówka, pobieżnie zbadła Tanię i powiedziała, że natychmiast zabierają do szpitala. Mówiła głosem poirytowanym, nawet grożąc i bardzo Tanię nie spodobała. Ale w mięśniach rwało, bolało w tyle głowy i ból obejmował ścianki brzucha.

Tania spróbowała się sprzeciwić, ale lekarka nie miała zamiaru jej słuchać niczym niemądrego dziecka i zwróciła się do Siergieja a:

\* Wątroba jest powiększona na trzy palce. Ja nie biorę na siebie takiej odpowiedzialności. Po co pan mnie wzywał, żeby porozmawiać? Jeśli chcecie otrzymać pomoc lekarską, trzeba zaraz wieźć ją do szpitala. Niech pan powie żonie, że może stracić dziecko.

Tania z jakiegoś powodu nie spodobała się lekarce, nie patrzyła nawet w jej stronę. Tanię zabrano i zaraz wszystko było na opak. W klubie pękła rura, klub zamknięto z przyczyn technicznych, koncert odwołano. Przez cały dzień mieli pełno kłopotów i Tola Aleksandrow z tego powodu popił solidnie, co samo w sobie nie byłoby takie straszne, ale w jakiejś piwiarni wziął udział w bójce i dostał porządnie w oko.



Siergiej biegał po trzy razy dziennie do szpitala, gdzie niczego nie mógł się dowiedzieć, w dodatku nie mógł zastać przez dwa dni lekarza prowadzącego: to wyszedł, to jeszcze nie przyszedł. Potem nadeszły wolne dni i lekarza prowadzącego nie było w ogóle, był jedynie dyżurny, którego też nie można było złapać: to jest na obiedzie, to został wezwany do ciężko chorego. Wszyscy współpracownicy wiedzieli dobrze, że się upił i w ogóle nie przyszedł do pracy.

Na oddział patologii nie wpuszczano, była tam wprowadzona kwarantanna. Wszystko się zatrzymało i zawisło w powietrzu, nawet pogoda się zepsuła, zaczął padać deszcz. Tania czuła się coraz gorzej, w pewnym momencie nawet się przestraszyła. Na lewym przedramieniu spostrzegła siniec i taka sama wybroczyna pokazała się na boku. W potylicy ból nie ustępował. Brzuch bolał w jakiś dziwny, palący niby metalem sposób. Przychodziły pielęgniarki, obmacywały, mierzyły ciśnienie... Temperatura nie była podwyższona. Ponieważ czuła się wciąż gorzej, Tania zdecydowała się po dwóch dniach wezwać ojca.

Dostała od sąsiadek kawałek papieru i ołówkę, i napisała do Siergieja, żeby zadzwonił do Moskwy i go sprowadził. Kartki wyrzucało się przez okno. W sobotę z rana Siergiej znalazł list od Tani, nabazgrany byle jak, krótki, pełen rozpaczy.

Pojechał natychmiast na pocztę i wysłał depezę do Pawła Aleksiejewicza.

Pod wieczór Siergiej przyszedł pod szpital z saksofonem. Zwykle odwiedzający wywoływali z dołu, z zakurzonego gazonu swoje Wiery i Gaiki, a te wywieszały z parapetów swoje nabrzmiałe mlekiem piersi i uśmiechy współtowarzyszek, które najgorsze już miały za sobą. Wśród dobrej dziesiątki miejscowych nowo upieczonych tatusiów, marynarzy, złodziejasków i handlarzy, Siergiej był jedynym szczupłym, długowłosym i trzeźwym osobnikiem. Ponadto nie przeżywał zbiorowej radości z narodzin dziecka, a trwogę i strach, który zagnieździł się gdzieś na dnie żołądka, ponieważ zablizniony dawno wrzód nie bolał wprawdzie, ale wysyłał złowieszcze sygnały...

Krzyczeć z dołu \* Tania leżała na drugim piętrze \* nie próbował. Wyjął instrument z pokrowca, przyłożył ustnik do warg i powiedział cicho:

\* Taniu...

Tania usłyszała, ale nie od razu mogła podejść do okna. Gdy podniosła się z łóżka, doznała zawrotu głowy i chwyciły ją mdłości. Ale żołądek od dawna był pusty, przetrzymała silne,

puste skurcze i dowlokła się do okna. W nogach ostro rwało przy każdym kroku, a brzuch robił wrażenie, jak by był napelziony ołowiem... Ukazała się w oknie, kiedy Siergiej już po raz trzeci wzywał ją przez metalowe, wąskie gardło „Taniu...”

Nie od razu ją poznał. Miała włosy związane w kok, taki sam jaki przez całe życie zdobił głowę jej matki. Szpitalno\*aresztancki chałat też sprawiał, że wydawała się obca i masywna... Pomachała mu ręką, to był gest Tani, niepodobny do innych. A Tania, patrząc na niego z góry, wracała do swych najmilszych chwil, kiedy to brał instrument do rąk i z sympatycznego, skromnego, młodego chłopca przekształcał się w muzyka zgodnie z tą samą zasadą, która człowieka i konia przekształca w jeźdźca, mężczyznę i broń \* w wojownika, kiedy całość, złożona z elementu ludzkiego i pozaludzkiego, przewyższa swoim znaczeniem każdy z nich z osobna.

Siergiej trzymał saksofon w rękach. Prawa była niżej, palce na klapkach, lewa wyżej na basach, przy zgięciu metalowego korpusu, podbródek przechylony do tyłu, a dolna warga wydęta... Tam wewnątrz jest delikatne zgrubienie od ustnika, można go dotknąć językiem... Trzymał w ręku saksofon, głupie w gruncie rzeczy zwierzę, wymysł mistrza, hybrydę z drewna i metalu z dodatkiem kawałka plastyku, nawet o kształcie nie najdoskonalszym, bo klapki niezbyt udatnie wyrastają mu z tułowia, a tuba zapewne jest zbyt ostro wygięta... Niemało było w rodzinie instrumentów dętych pięknych osobników: flet z jego dawną prostotą, wszyscy jego prostoduszni krewniacy od syringi do fletni, klonowy fagot z załączkową tubą i dziobo\*podobną główką, apteczny, ascetyczny puzon suwakowy, pedantycznie skrecony mosiężny kornet z głupim mechanizmem wentyli, zwinięta w ślimak uroczyista waltornia... A tuba oboju? Wywinięty do głębi duszy lejek trąbki? Saksofon, oczywiście, nie był najdoskonalszy, ale barwa jego głosu przekazywała odcienie czułości, uniesienia lub smutku człowieka, a oprócz tego grający i saksofon byli dla siebie rezonatorami. Siergiej i saksofon \* obu im razem udawało się wyrażać tyle, ile w pojedynkę Siergiejowi nigdy by się nie udało. Włożył ustnik pomiędzy napięte

wargi, zęby oparły się o powstałą przez lata fałdkę na wewnętrznej stronie dolnej wargi i aksamitno\* błękitne „la” powiedziało: zaczynamy!

I obaj, Siergiej i jego Selmer, zaczęli lekko, swobodnie, zupełnie nie kłopotząc się o to, co takiego ważnego mają powiedzieć Tani. To były Kroki giganta Coltraina i Tania natychmiast rozpoznała dźwięczącą wielkimi tercjami tę natężoną muzykę: do\*mi\*sol z krzyżykiem, gdzie klucz zmieniał się w jednym temacie trzy razy, ale Siergiej nie doszedł do końca, przeszedł na własne solo, potem wznosząc się pasażem wspinał się do góry, zatrzymał i wszedł raz jeszcze w ten obszar, gdzie możliwości saksofonu się kończą, a potem ostrożnie zszedł na dół bluesową gamą i Tania zaczęła poznawać coś jakby znajomego, wiele razy słyszanego... może Always say good\*bye Heiden, albo coś podobnego... albo muzykę Sierioży...

Tania przypomniawszy sobie, jak pisała do niego list trzy lata temu z Izby Porodowej w Pitrze, kiedy urodziła Żenię i jakie w nim były górnołotne zwroty: jak świetnie Siergiej rozumie się ze swoim instrumentem bez żadnych słów... A teraz, jeśli cała historia z jej chorobą zakończy się pomyślnie, Tania nigdy więcej nie będzie mówiła takich głupstw, ponieważ wstyd je mówić, kiedy istnieje sama muzyka, która nigdy nie mówi o głupstwach...

I dziś muzyka mówiła wyraźnie, surowo i ani trochę nie niedbale, jak mogłoby się to komuś wydawać, kto nie zna jej jasnego, przejrzystego języka: żegnajcie się... żegnajcie... na zawsze żegnajcie... a drobne dźwięki, ostre, zadziorne, metaliczne były równie bezlitosne, jak piękne...

Tania trzymała się rękami za brzuch, napęczniony bólem. Czyżby miał zginać ten malec ze złożonymi pod podbródkiem dłońmi, z miękkimi uszkami, zamkniętą jeszcze buzią, jasny, podobny do Sierioży, z górną wargą odrobinę zwisającą nad dolną... biedny Pawlik... nieurzeczywistniony Pawlik...

Siergiej nie zobaczył już więcej Tani żywej. Nie zobaczył jej też Paweł Aleksiejewicz, który przyjechał z letniska i zastał w drzwiach dwa telegramy \* jeden od Siergieja z prośbą o przyjazd, drugi, wysłany po dwóch dobach, z uwierzytelnionym podpisem naczelnego lekarza, zawiadamiający o śmierci Tatiany Pawłowny Kukockiej.

Po dwudziestu czterech godzinach Paweł Aleksiejewicz stał obok obitego cętkowaną blachą stołu i to była najbardziej gorzka chwila w jego życiu. Słaby płomień życia, zielonkawe odblaski pracującego serca, pomiar energii, wytwarzanej przez poszczególne organy \* to wszystko było już wyłączone. Była oliwkowo\*plastykowego koloru, opalona, z krwawymi wybroczynami na przedramionach i na łydkach, ze szwami z prosektorium, ujawniającymi ciężkie przestępstwo wobec natury, popełnione przez samozwańcych lekarzy. Protokół z przeprowadzonej sekcji już widział. Antydatowaną historię choroby też mu przedstawiono. Cały szpital \* od naczelnego lekarza po ostatnią pielęgniarkę \* zamarł z przerażenia. Oczekiwano kary. Doktor Kukocki na pierwszy rzut oka zorientował się, że diagnoza nie została postawiona, przez dwie doby po przywiezieniu chorej do szpitala żadnego leczenia nie podjęto, że niezbędne analizy zostały zrobione za późno, że ciąża spotęgowała zagrożenie i że uratowałyby to swoje dziecko z opresji, gdyby przyjechał z letniska nie we wtorek, a w ubiegły piątek... Podobieństwo Tani do matki było nieprawdopodobne i dręczące. Podobnie ćwierć wieku temu stał przed młodą Heleną, zagrożoną bliską śmiercią i w tej samej sylwetce widział kasztanowe, podwiązane włosy, cienkie nozdrza i brwi z kępkami włosów u nasady...

„Nigdy, nigdy Helena się o tym nie dowie” \* pomyślał i zaraz poraziła go błyskawiczna myśl: „czy nie dlatego Helena odeszła w swój pusty, zagadkowy, bezrozumny świat, by nie dowiedzieć się o tym, co od dawna przewidywało jej prorocze serce...”.

Paweł Aleksiejewicz przeszedł do gabinetu lekarza naczelnego i poprosił o zebranie wszystkich ordynatorów oddziałów.

Lekarz naczelny próbował się sprzeciwić, ale Paweł Aleksiejewicz spojrzął na niego po generalsku i ten ruszył do telefonu sekretarki z poleceniem pilnego zwołania wszystkich do niego. Po pięciu minutach w gabinecie siedziało sześciu lekarzy. Przed Pawłem Aleksiejewiczem leżał protokół sekcji zwłok i historia choroby.

\* Przypadek wymaga nadzwyczajnego rozpatrzenia \* powiedział Paweł Aleksiejewicz. Lekarze spojrzeli po sobie nawzajem. \* Ilość błędów, pomyłek i

przestępstw lekarskich przeszła wszelkie granice. Chorą z zakażeniem położono na oddziale patologii. Nie przeprowadzono ani biochemicznej analizy krwi, ani badania bakteriologicznego. Diagnoza nie została postawiona. Przypuszczam, że mamy do czynienia z chorobą Weila, Morbus Weili. Jeśli to jest leptospiroza, należy podjąć niezwłocznie odpowiednie kroki.

Anatomopatolog, niski, pokrzywiony człowiek ze Wschodu, z ufarbowanymi wąsami, strasznie się zaniepokoił:

\* Pozwólcie, kolego, nie mamy żadnych podstaw do takich wniosków. Pan czytał protokół, dano panu możliwość obejrzeć... \* trupa? ciało? na moment zaciął się wąsaty \* chorą. Jakie ma pan podstawy...

\* Gniazdowy rozpad z krwawieniem w mięśniach, wybroczynowa wysypka. Historia choroby nie odpowiada rzeczywistości. Nastąpiła intoksykacja. Zastrzyki dożylnie, o których tutaj się pisze, nie były robione. Ja obejrzałem żyły... Uważam, że leczenie w ogóle nie było prowadzone. Ale w tej chwili nie o tym mowa. W waszym szpitalu panuje zapalenie wątroby.

Paweł Aleksiejewicz zrobił wszystko, co zrobiłby w każdym innym przypadku:

zadzwoił do Miejskiego Wydziału Zdrowia, wezwał kierownika Stacji Sanitarnej\*Epidemiologicznej

i głównego epidemiologa. Miejskim lecznictwem zatrzęsło od góry do dołu, tak że nawet sprzątaczkę zaczęły myć ubikacje dwa razy dziennie, średni personel medyczny nie upijał się po nocach, a kuchnia wystrzegła się wynoszenia kradzionego mięsa i masła.

Paweł Aleksiejewicz spędził trzy dni w szpitalu, a czwartego dnia razem z Siergiejem, który wpadł w stan duchowego osłupienia i całkiem zaniemówił, wsiadł do pociągu. W wagonie bagażowym jechała cynkowa trumna z małym prostokątnym okienkiem, przez które widać było białą, grubo złożoną gazę.

Za ostatnie pieniądze Garrika \* Paweł Aleksiejewicz wydał wszystko, co miał przy sobie, Siergiej również \* kupili cztery butelki wódki. Tę ciepłą wódkę pili długo, powoli, po trochu, zagryzając kawałkami pokruszonych herbatników z torebki \* niczego innego nie było \* i milczeli... Potem Siergiej położył się na dolnej ławce,

objął futerał ze schowanym wewnątrz instrumentem i przespał całą drogę aż do Moskwy. Paweł Aleksiejewicz nie zmrużył oka przez trzydzieści sześć godzin, siedział naprzeciwko śpiącego młodego człowieka, patrzył na jego wymęczoną twarz. Miał jasną skórę, czerwonawy odcień leżał na powiekach, na nozdrzach. Płowy, rzadki zarost przebijał się przez delikatną skórę policzków, tworząc drobniutkie ropne pryszczki... Drgały mu spieczone usta. Pogładził przez sen bok futerału i coś zamamrotał, ale Paweł Aleksiejewicz dobrze nie usłyszał. Myślał o tym, jak zmieniliby się ich życie, gdyby jeszcze dwóch mężczyzn pojawiło się w domu, ten młody i miły, i tamten, któremu nie było sądzone się urodzić... Myślał też o tym, co właściwie się stało z jego córką: od tego momentu, kiedy ruchliwe krętki z miejscową stęchlą wodą dostały się do żołądka, wessały w śluzówkę, z krwioobiegami rozeszły się po całym ciele, zagnieździły się w dobrze utlenionych mięśniach

i swoim jadem zatrwały krew do tego stopnia, że biedna wątroba i bez tego już obciążona dzieckiem nie była w stanie jej oczyścić... Teraz już niepotrzebne było Pawłowi Aleksiejewiczowi żadne wspomagające wewnętrzne widzenie: przekłety obraz, ordynarny i wyraźny jak rysunek w elementarzu, stał mu wciąż przed oczami... Wszystko zostało załatwione. Witalik Goldberg czekał na nich na Dworcu Kurskim. Na Niemieckim cmentarzu już był przygotowany grób, o dwa kroki od grobu doktora Gaaza.

Tam byli pochowani dziad i pradziad Pawła Aleksiejewicza, a teraz, naruszając naturalną kolejność, spoczęła tam Tania. Nikogo oprócz ojca, męża i ukochanego Tani nie było na tym pogrzebie.

Siergiej chciał od razu wyjechać, ale Paweł Aleksiejewicz poprosił go, żeby został. I Siergiej się zgodził. Mieszkanie było puste, jak to latem, zakurzone. Paweł Aleksiejewicz dał mu jakąś tabletkę. Wypili trochę wódki, a potem Siergiej położył się na kozetce Tomy. Do tego pokoju za kilka miesięcy mieli się przenieść razem z Tanią, Żenią i małym synkiem.

W Pitrze Siergiej nikogo nie zawiadomił o swoim powrocie. Od razu pojechał do pracowni. Kluczy do niej nie miał, zostały w Odessie razem z rzeczami Tani. Lekko wyważył drzwi. W pracowni panował nieporządek, pozostawiony przez nich przed wyjazdem. W zlewie stał nieumyty dzbanek do kawy, w imbryczku do herbaty zakwitła pleśń. Czarna sukienka Tani wisiała na drewnianym ramiączku na ścianie. Pantofle na wysokich szpilkach, w których Tania stawiała się o pół głowy wyższa od niego, jeden na drugim, stały obok wąskiej kozetki... W przeddzień wyjazdu byli zaproszeni na wieczór do młodego reżysera, który zamierzał zaprosić Siergieja do pracy nad jakimś nieokreślonym, nęcącym przedstawieniem... Boże, pościel na kozetce też nie była uprzątnięta, pasiaste prześcieradło zwisało z jednej strony, a jedyna poduszka, którą podczas snu przeciągali każde na swoją stronę, zachowała wygniecenia...

Siergiej dotknął twarzą poduszki, poraził go zapach, jej zapach. Ona była tu jeszcze. Na białej poszewce widniał skręcony spiralnie jej ciemny włos. Pod poduszką leżały zwinięte, krótkie czarne majteczki. Siergiej położył się w ubraniu na kozetce i zasnął. Obudził się po jakimś czasie, popił wody z kranu, zrobił siusiu do zlewu: ubikacja była na klatce schodowej, jedna na cztery mieszkania w suterenie, również zamknięta. Klucz wisiał na gwoździu przy wejściu do pracowni, ale Siergiej sądził, nie wiadomo czemu, że został on wśród rzeczy Tani w Odessie.

Znów położył się do snu, tym razem rozebrany. Zapach Tani zaostrzał się za każdym razem, kiedy wstawał i wracał z powrotem do łóżka. Wszystko co po niej zostało \* to zapach i zwitek nylonowych fig. Pielęgnował te ostatki przez nieokreśloną ilość dni i nocy. Zasypiał, budził się. Pił z kranu, siusiał do zlewu. Jeść mu się nie chciało. Nie nakarmiony żołądek zachowywał bierność.

W końcu wylazł spod kołdry i usiadł przy roboczym stoliku Tani. Przejrzał narzędzia, rozpoczęte prace. Metal nie mówił mu nic o Tani. Ale gdy otworzył pstrokate, blaszane pudełko z czarnymi kamieniami, to długo nie mógł się od nich oderwać. One jak gdyby zachowały dotyk jej rąk \* gładki, uwarstwiony agat, czarnogranatowy magnetyt, chropowaty czarny nefryt i najbardziej lubiany, przezroczysty obsydian...

Wziął dwa pierwsze lepsze i wsunął do kieszeni w dżinsach. Potem chwycił futerał i wyszedł z pracowni. Drzwi kołysały się w futrynie, zamek był uszkodzony. Siergiej wrócił, znalazł młotek ciesielski z łapką do gwoździ i duży gwóźdź. Wbił z zewnątrz gwóźdź w ramę od drzwi i zagiął go młotkiem tak, by drzwi wydawały się zamknięte. Potem schował młotek pod wycieraczką, żeby było czym wyciągnąć gwóźdź, kiedy wróci. Przeleciała mu przez głowę dziwna myśl: czy w ogóle tu wróci?

Połueltowa, którą wszyscy uważali za powszechnie znaną ladacznicę \* Siergiej o tym wiedział, że co prawda, suczka z niej, ale jednak człowiek \* zakładała, że on ugrzązł w Moskwie. Garrik zadzwonił do Pitra jeszcze z Odessy i zawiadomił wszystkich o śmierci Tani. Powiedział też, że Siergiej pojechał do Moskwy z trumną. Wszyscy jego przyjaciele byli przekonani, że tam został.

Klucze od mieszkania Połueltowej prawdopodobnie zgubił, w każdym razie zadzwonił do drzwi, niepewny, czy mu

otworzą. Otworzyła gospodyni we własnej osobie, była w pełnym makijażu i miała polakierowane czarne włosy z baletowym koczkiem na czubku głowy.

\* Pan do kogo? \* zapytała i zacięła się. Nie poznała Siergieja w pierwszej chwili. Był chudy, z długą szczecinią lub raczej rzadką brodą, blady z żółtaczkowym odcieniem, wyglądał na kogoś w stanie głębokiej niepoczytalności. Grey skoczył do niego, by polizać po twarzy... Stał w drzwiach obojętnie, jak gdyby przyszedł tutaj bezwiednie, sterowany pilotem automatycznym...

Połueltowa wydała krótki okrzyk, a potem zawrzeszczała swoim nieładnym, wysokim głosem, zasypała go głupimi, pośpieszonymi słowami:

\* A ty co, nie mogłeś zadzwonić? Ja dziś wyjeżdżam. Do czorta, jak wszystko to głupio wypadło. Nie mów nic! Ja wiem o wszystkim. Tylko nie o tym... Psy zabieram ze sobą i koniec. Dlaczego nie telefonowałeś, czupiradło? Ja wynajęłam mieszkanie. Może było lepiej zostawić je dla ciebie? Nie śmiej nic mówić!

Objęła go za ramiona \* swój chłopak, choć nie wiadomo, kto to jest: uczeń, dawny kochanek, kuzyn czy przyjaciel... Tak zawsze z nią było, mimo stylu nigdy nie było kogoś solidnego, praktycznego, zamożnego... Wygląda na to, że teraz taki ktoś się



pojawia... Żeby tylko nie zapeszyć... Żadnego artyzmu, tylko to, czego trzeba.

Griemin, Griemin. Prawdziwy generał...

Pogładziła Sieriożę po brudnych, nie czesanych, zmierzwionych włosach, które nawet nie były spięte gumką, bo gdzieś się zapodziała. Poklepała go po plecach, odepchnęła:

\* Idź do łazienki. Ja przygotuję ci coś do zjedzenia. Siergiej przeszedł do łazienki, puścił wspaniały, z dużą siłą tryskający z kranu strumień wody i zdał sobie sprawę, że się nie mył chyba jeszcze od wyjazdu z Odessy... Położył się w gorącej, ledwie dającej się wytrzymać wodzie i zapłakał...

A ścierwo Połuektowa telefonowała w tym czasie do swego generała w Permie i piskliwym, tak nie pasującym do jej mocnego, wojowniczego ducha głosem zawiadamiała go o zmianie planów: spotykać jej nie trzeba, ona zwraca bilet i zostaje co najmniej na tydzień. Jej były mąż, który tylko co owdowiał, zwałił się jak śnieg na głowę i trzeba będzie nim się zająć, dlatego, że w takim stanie ona nie może zostawić go samego...

Syberyjski generał kiwał głową, krótko potakiwał „tak, tak, tak” i dziwił się, jaka to porządna, silna, prawdziwa baba mu się trafiła, nie szkodzi, że baletnica z płaską, twardą piersią i muskularnymi jak u rekruta plecami. I omdlewał gdzieś od dołu, ponieważ takiej baby nigdy nie miał w życiu i nawet się nie domyślał, że takie bywają...

Połuektowej nie wystarczyło tygodnia. Pomęczyła się z Siergiejem prawie miesiąc. Karmiła go, podawała lekarstwa, nastawiała jego ulubioną muzykę, wyprawiała na spacer z psami \* a on stopniowo przychodził do siebie i zaczął grać. I tego samego dnia, kiedy po długiej przerwie miał wystąpić w klubie, Połuektowa pofrunęła do swego siwowłosego generała, który \* choć wzrostu trochę mu poskąpiono \* pod każdym innym względem był najlepszym mężem nawet dla primabaleriny i podczas ponadplanowego oczekiwania podjął ostateczną decyzję, by skończyć ze swoim wdowieństwem i ożenić się z wyjątkową, wybitną kobietą, z przeszłością ladacznicy i przyszłością wielkiej damy w regionie o powierzchni równej piętnastu Belgiom,

ośmiu Francjom i pięciu Republikom Niemiec, razem wziętym...

23.

Siemion Kuryłko, mieszkaniec Rupczyna, funkcjonariusz milicji w randze starszego sierżanta, miał nocny dyżur w komisariacie i dał w kość zatrzymanemu. Nie więcej niż zwykle, w miarę, ale ten nad ranem umarł. Okazał się być pracownikiem muzeum. I właśnie z powodu tego wbitego w wąskie spodnie pedała, mizernego wypierdka, zaczęły się dla Siemiona takie nieprzyjemności, że całe jego życie się przekrzywiło. Wyrzucono go z milicji, mówiąc: dziękuj Bogu, że nie dostałeś wyroku... Żona go zostawiła, wyjechała z córką do Karelii. Potem umarła matka, która jako jedyna go podtrzymywała, nie wspominając o tym, że również karmiła. Po tym wszystkim Siemion zachorował: w ataku wściekłości porozbijał toporem nowo urządzony plac zabaw dla dzieci, domek do wspinania się, piaskownicę i drewnianego, wyrzeźbionego niedźwiedzia. Przy powalonym niedźwiedziu został ujęty i zawieszony na oddział psychiatryczny. Leczone go prawie rok i zwolniono do domu, do Kupczyna. Podczas choroby sąsiedzi go okradli, zabrali kołdry i radiodbiornik „Spidole”, który miał jeszcze z dobrych czasów.

Siemion przesłużył w milicji osiem lat, zaraz po wyjściu z wojska i żadnego innego zawodu nie miał. Dostał rentę inwalidzką, ale bardzo niską. Dobrze, że nie pił, bo renty ledwie starczało na jedzenie. Miał dobry apetyt, nieproporcjonalny do renty. W szpitalu bardzo utył i więcej teraz potrzebował. Tak myślał, że chudy nie potrzebuje tyle jedzenia, co gruby. Poszedłby do jakiejś roboty, na przykład do zmilitaryzowanej ochrony, ale tam nie przyjmowano usuniętych z milicji. Zgłosił się kiedyś do drukarni na ładowacza, ale i stamtąd go zwolniono i to za głupstwo: tam nie wolno było palić, a on wciąż popalał sobie z przyzwyczajenia. Raz go nakryto, drugi, trzeci i kierownik oddziału, młody chłopak, świeżo po studiach, taki sam obciśnięty spodniami paskudnik, jak tamten z muzeum, wyrzucił go.

I znowu Siemion został na lodzie. I wtedy ogarnęła go straszna złość na tę wychudzoną młodzież, na tych wszystkich mądrali, którzy całe życie mu zapaprali. I

wziął wtedy Siemion szpicak, cienki, ostry, grubszy od szprychy, cieńszy od pilnika. Od dawna go przechowywał u siebie w domu, jeszcze z czasów służby w milicji, odebrał go od zatrzymanego złodziejaska. Dlaczego go zachował \* sam nie wiedział. Wsunął w rękaw, ostrze wsadził pod pasek od zegarka. Zegarek był zepsuty, od dawna nie chodził, ale tym razem się przydał. Dobrze się złożyło.

Siemion mieszkał niedaleko cmentarza Ofiar Dziewiątego Stycznia, w alei o tej samej nazwie, w obszernym podwórzu, które tworzyły trzy jednopiętrowe domy\*baraki, w odległości dwudziestu minut od stacji kolejki elektrycznej.

Pierwszego maja 1961 roku, w ulubiony świąteczny dzień, kiedy w milicji pełno spraw po uszy: pijaństwo, bójki z użyciem noża, wesola hulanka, dokonał swego pierwszego bojowego wypadu. Przeszedł pieszo do stacji, wszedł do pociągu i dojechał do Dworca Witebskiego. Stąd skręcił w lewo na aleję Zagorodną i nie śpiesząc się, przyglądając się przechodniom, poszedł w kierunku Instytutu Technologicznego. Tutaj w przegrodzonym wykopem przechodnim podwórzu i z tego powodu nie pełniącym czasowo swojej funkcji \* ludzie zaglądali na podwórze, dochodzili do wykopu i wracali z powrotem do bramy, przez którą weszli \* Siemion usiadł na ławce i siedział do samego wieczora, ponieważ ciągle nie układała się dobrze jego sprawa: to ludzie szli kupa, to pojedynczy człowiek nie był w tym typie, jaki był mu potrzebny. Dopiero po godzinie ósmej wszedł pedał, chudy, kudłaty, w wąskich spodniach i z cienką teczuszką. W dodatku pijany. Nie szukał przejścia na inną ulicę, potrzebne mu było ustronne miejsce, ciemny kąt, żeby wylać z siebie szybko przepływające piwo. I kiedy już wyciurkał wszystko w tym odpowiednim miejscu, Siemion podszedł do niego z tyłu i wsadził szpicak akurat gdzie trzeba, trochę z boku, między żebra. Na początku lekko się zaciął, jak gdyby natrafił na mocną błonę, ale potem poszedł jak po maśle... Tam i z powrotem. Chłopak nawet nie zdążył się obrócić, jęknął, trafił nosem w ścianę i osunął się. Siemion nawet nie zwrócił uwagi na teczkę, wytarł starannie szpicak w kuchenną szmatę, którą przewidująco zabrał ze sobą z domu, wsunął do rękawa, pod pasek do zegarka i wyszedł z podwórza tym nowym krokiem, nie uginającym się, sztywnym, którym zaczął się poruszać po leczeniu w szpitalu...

Następny wypad bojowy odbył się Siódmego Listopada i też się udał. Teraz Siemion już wiedział, że w przyszłym roku na Pierwszego Maja uczci to święto w taki sposób, w jaki pragnie jego dusza: dźgnie szpicakiem paskudnego, chudego pedała, plugawego parcha...

Przez kolejne trzy lata chodził do tamtego przechodniego podwórza. Wykop już dawno został zasypany. Ludzie nie płynęli tędy falą, ale sączyli się strumyczkiem. W jasne majowe dni gęściej, w ciemne listopadowe rzadziej. Siemionowi sprzyjało szczęście \* raz chłopak niósł bukiet kwiatów, innym razem magnetofon, jeszcze innym dwa związane ze sobą pudełka z tortami. O niektórych już nawet zapomniał. Na początku śledził takiego osobnika \* z miejsca rozpoznawał ten typ. Potem go doganiał, przylepiał się na chwilę, prawą ręką chwycił go za ramię, a lewą wbijał. Był leworęczny, w szkole nauczono go używać prawej ręki, więc pisał prawą, inne rzeczy mógł wykonywać obiema, ale lewą było poręczniej.

Już zebrało się ich siedmiu. Kiedyś w kolejce do sklepu usłyszał przypadkiem babską rozmowę o tym, że w mieście pojawił się zabójca, którego już od dziesięciu lat władze nie mogą znaleźć, a on, ten maniak, zabija tylko w dni świąteczne, oznaczone w kalendarzu na czerwono i że w czasie różnych świąt morduje mężczyzn, a Ósmego Marca, raz w roku, koniecznie kobietę. Siemion najpierw się zdziwił, a dopiero po kilku dniach skapował, że to była mowa o nim. Przesadziły, oczywiście, co do ilości lat i co do świąt. Ale w gruncie rzeczy prawidłowo. Po dwóch tygodniach, przechodząc obok swojej dawnej pracy, zauważył na wielkim arkuszu papieru napis: „Poszukuje się...”. Były tam naklejone trzy zdjęcia, dwóch mężczyzn i jednej baby\*oszustki, z nazwiskami, a zamiast czwartego był zamieszczony portret pamięciowy. Tylko tyle miał ten portret wspólnego z Siemionem: ostre łuki brwiowe i głowa krótko ostrzyżona.

Tym razem Siemion się przestraszył, ukrył się, nie wychodził z domu przez tydzień, dopóki nie zjadł ostatniej nitki makaronu. Zbliżał się już listopad, postanowił w tym roku nie wychodzić z domu w dniu Siódmego Listopada. Poszukiwanie jego osoby nie tylko go wystraszyło, ale też i rozjątrzyło. Siódmego i ósmego przesiedział w domu, ledwie wytrzymując, aż mu się ręce trzęsły. Dziewiątego jednak wyszedł. I

przeprowadził całą operację bardzo dobrze i udatnie. Chłopak nie miał niczego specjalnego w rękach, ale miał bikiniarską bródkę i był typowym gnojkiem... Samopoczucie Siemiona po bojowym wypadzie zawsze się poprawiało. Teraz pracował nawet po trochu jako ładowacz w sklepie meblowym. Jedyne przed dniami świątecznymi zaczynał się niepokoić i przypominać sobie, gdzie schował szpicak. Chował go na ogół w domu, za każdym razem w innym miejscu, pewnego razu jednak zapomniał gdzie \* cały dom przetrząsnął, zanim go znalazł. A schował po prostu pod ceratą na stole, w miejscu, gdzie stół jest przysunięty do ściany... Postanowił teraz obchodzić święta o dwa, trzy dni wcześniej, albo później... W milicji wszędzie siedzą durnie, o tym Siemion już dobrze wiedział... Jeśli każe im się łapać w święta, to innego dnia się nie ruszą...

W listopadzie 1966 roku przyszła kolej na numer dziesiąty. Ale Siemion zaziębił się w tym czasie. Kaszlał, łamało go w kościach, odkładał więc wypad już nie przez trzy dni, ale prawie przez cały tydzień. Pomyślał nawet, że może w ogóle ten raz przepuści. Ale jakoś nie udało się przepuścić. Ciągnęło go na polowanie. Dopiero piętnastego włożył swój bezcenny zegarek, przygotował szpicak i wyszedł z domu, kiedy było jeszcze jasno, po trzeciej. Dojechał, jak zwykle do Dworca Witebskiego i poszedł po alei Zagorodnej. Nie skręcił jednak w kierunku Instytutu Technologicznego, ale w inną stronę, w aleję Moskiewską...

Słabo znał Leningrad, urodził się w Kupczynie i rzadko przyjeżdżał do miasta. Matka obiecywała zawsze: pojedziemy do miasta... W latach szkolnych jeździł kilka razy na wycieczki. Służba wojskowa też wypadła mu na wsi, w obwodzie Kurskim, na kolonii, tak że nie był on mieszkańcem miasta, ani wsi, ale przez całe życie okolic podmiejskich. Nie zaprzęgał nigdy konia, ale też nie chodził na stadion... Przed służbą w milicji nie potrafił prawidłowo przejść przez ulicę i do tej pory w miejscach nieznanymi z lekka się gubił...

Aleja Moskiewska doprowadziła go do placu. Popatrz}'! na dom na skraju \* na tabliczce było napisane „Plac Pokoju”. Ludzie tłoczyli się na ulicy, mieściło się tu dużo sklepów. Plac był jakiś nieregularny, wychodziło na niego sporo małych uliczek. Skręcił w jeden z zaułków, który był węższy i spokojniejszy, i pomyślał, iż

źle się stało, że nie poszedł w stronę Instytutu Technologicznego, tam już wszystkie miejsca były mu znane. Jednak zaułek, po którym teraz szedł, ogólnie biorąc, był odpowiedni. Siemion zaglądnął do jednego podwórka, do drugiego \* były w kształcie studni. Przechodnie podwórko jakoś się nie trafiało... Wtedy wszedł do obszernego podsienia i stanął przy drzwiach byłej dozorcówki, wychodzącej na wysoką bramę w kształcie łuku. Na solidnie zamkniętych drzwiach widniał skromny napis: „Skup rzeczTf używanych”. Z rzadka pojawiali się przechodnie, dobrego pola widzenia jednak nie było, przyjrzeć się komuś jak należy nie było można. W dodatku najczęściej przechodziły stare kobiety z torbami. Przyszło mu do głowy, że w święta na ulicach jest więcej młodych ludzi, a w dni powszednie \* same podstarzałe kobiety. Wtedy zrobił inaczej: zaczął spacerować po zaułku od rogu do rogu, zanim nie dostrzegł „swojego”. Szedł z naprzeciwka. Siemionem aż wstrząsnęło \* był akurat taki jak trzeba... Tych dziewięciu, których spotkał wcześniej, nie liczyło się po prostu w porównaniu z nim. Ubrany w dżinsową kurjtkę, trochę zbyt obszerną, wychudzony, typowy pracownik muzeum. Jasne włosy związane po babsku w koński ogon, dyndały mu na plecach. Szedł powoli, niemrawo. Nawet jego buty Siemion zdążył zauważyć \* były jakieś szczególne, nie zwykłe buciki... Niósł w rękę walizeczkę, ale też jakąś szczególną, nie taką, jak u innych ludzi. Siemionowi aż dech zaparło. To było jak miłość od pierwszego wejrzenia, jak płomienne olśnienie. Takiego mocnego wrażenia Siemion jeszcze nie doświadczał. I nie wchodziła tu w grę w tym momencie żadna nienawiść, o władnęło nim uniesienie myśliwego, zachwyconego pięknem zwierzyny...

Ale zwierzyna posuwała się dość powoli i cały czas towarzyszyli jej przechodnie. Siemion szedł teraz o kilka kroków za nim. Zechciało mu się raz jeszcze popatrzeć na jego twarz, przeszedł więc na drugą stronę ulicy, wyprzedził go i zaszedł od przodu. Tamten miał małą, lisią mordkę, był zamyślony. „Ty pedale, ja zaraz cię urządzę...”. Siemion znów ustawił się z tyłu za nim. Minęli jedno podsienie i podczas gdy zbliżali się do następnego, ze stróżówką w łukowatej bramie, Siemion zdążył wszystko przygotować i wyciągnąć koniec szpicaka spod rzemyka od zegarka. Gdy się zrównali z tym podsieniem, Siemion chwycił prawą ręką chłopca za ramię, a lewą ze

szpicakiem pchnął ostro. Dżinsowa kurtka przyhamowała na sekundę zagłębianie się ostrza, ale Siemion wprawną i doświadczoną ręką wyczuł, że wchodzi gładko, zwykły opór skrzypiącej z lekka pod ostrzem międzyżebrowej tkanki został pokonany i szpicak wśliznął się głębiej płynnie, miękko, ale sprężyste...

Chłopiec jęknął, rzucił się jakby do góry, a potem zaczął padać na twarz, ale Siemion nie dał mu upaść, obiema rękami chwycił za ramiona i zaciągnął do podsienia.

Chłopiec wciąż się słaniał, ale Siemion włókł go w głąb, chciał zostawić na podwórzu, żeby z ulicy nie było widać leżącego ciała. W tej chwili drzwi dozorcówki się otworzyły, stanął w nich wysoki, przyzwoicie wyglądający mężczyzna i z zainteresowaniem popatrzył na Siemiona.

Siemion rzucił chłopca i wyskoczył z podsienia, pobiegł przed siebie po wyludnionym zaułku, bez żadnego planu, mając tylko jedno w głowie: nie zdążyć wyciągnąć szpicaka...

Dwie okoliczności uratowały życie Siergieja. Pierwsza \* szpicak pozostał w sercu. Druga \* przyzwoity z wyglądu mężczyzna, który wyszedł na próg, dyrektor skupu, w przeszłości był felczerem. Trzymając Siergieja w powietrzu, krzyknął przez otwarte drzwi, by wezwano Pogotowie i natychmiast dano mu plaster... Lekarze, którzy ratowali Siergieja ze stanu klinicznej śmierci i zaszywali przebite na wskroś osierdzie, powtarzali później Siergiejowi:

\* To cud, Sierioża, cud. Jeden przypadek na milion...

Siergiej prosił, by oddano mu szpicak, ale to nie było możliwe, stał się on bowiem dowodem rzeczowym i nawet mu go nie pokazano.

Siemion został aresztowany na trzeci dzień. Oskarżono go o dwadzieścia sześć zabójstw, z czego trzy z gwałtem. Przyznał się do „swoich”, pozostałych nie brał na siebie, zaprzeczał. Ale tak już postanowiono na górze, żeby go obciążyć wszystkimi, nie wyjaśnionymi przez milicję zbrodniami. Dostał karę najwyższą, którą wykonano po pół roku. Nikt nie wystąpił z apelacją, nie przeprowadzono też ekspertyzy psychiatrycznej...

1.

Za każdym razem, kiedy Żenia stawiała przed wejściem do mieszkania, w którym spędziła dzieciństwo, doznawała bardzo złożonych uczuć: rozrzewnienia, gniewu, smutku i czułości. Z drzwi oblaża farba, miedziana tabliczka z nazwiskiem zmarłego dziadka zmeńniała. Obok drzwi, ku zdenerwowaniu sąsiadów, już drugi rok stało zepsute krzesło, na którym leżał stos paczek, zawierających jakieś barachło, własność Tomy. Panował nastrój komunalnego wnętrza i ubóstwa.

Żenia nie miała kluczy od tamtej pory, kiedy wymieniono stary zamek. Tak jakoś wyszło, że kluczy jej nie pozbawiono, ale po prostu zapomniano dać" nowe. Żenia poprosiła o nie pewnego razu, ale tego nie zauważono... Zadzwoiła do drzwi. Toma, kulejąc i postukując laską, szła po korytarzu. Znowu ją, biedną, zaatakowało zapalenie stawów.

\* Żeniu, to ty?

Otworzyła i zakrzyknęła:

\* Jaka zrobiłaś się okrągła!

Z pokoju babci wyjrzał Michaił Fiodorowicz ze swoim zapachem „Szypru”, potu i dlaczegoś starej skóry...

Jaka jestem jednak dla nich niesprawiedliwa \* skarciła siebie Żenia. \* W niedziele oni nie śmierdzą, kąpią się w soboty".

Wewnętrzny uśmiech Żeni lekko zaznaczył się na wargach:

\* Dzień dobry, Michaile Fiodorowiczu.

Dopóki służył w wojsku, witał jako pierwszy oficerów starszych rangą. Teraz w cywilu, kiedy podpułkowników wokół nie było, sam decydował, kogo powinien witać pierwszy: dyrektora, zastępcę do spraw gospodarczych (zastępca do spraw naukowych sam pierwszy się kłaniał), kierownika polikliniki, do której należał...

Michaił Fiodorowicz kiwnął głową z godnością:

\* Dzień brry...

Imienia Żeni nie wymienił. Nadal stał w drzwiach. To było jakieś niezwykajne.



Żenia zdjęła po kolei buciki, pochylając się znad swego wypukłego brzucha to z lewej, to z prawej strony. Ze wstrętem wsunęła na nogi stare, pozaszywane grubo kaptcie i skierowała się przez korytarz do pokoju babki. Toma powstrzymała ją:

\* Żeniu, u nas były przenosiny. Rozynowie oddali nam dużą szafę biblioteczną, ona tam nie weszła. Trzeba było postawić ją tutaj... Kolekcja Michaiła Fiodorowicza akurat się w niej zmieściła, a babcię przenieśliśmy do pokoju Wasilisy...

Żeni krew uderzyła do głowy. Nie kijem go, to pałką... wyrzucili jednak babcię do komórki...

\* Jak to? \* Żeni z wściekłości zadrżał podbródek. Kolekcja Michaiła Fiodorowicza była idiotyczna: wycinki z gazet i czasopism, dotyczące lotnictwa...

\* A jaka to dla niej różnica, ona nawet tego nie zauważyła. Tam jest cicho, spokojnie. Kufer Wasilisy wynieśliśmy, postawiliśmy dla niej krzesło. Ona może tam nawet jadać. Zmarła Wasilisa zawsze tam jadała.

Michaił Fiodorowicz wciąż stał w drzwiach pokoju babci, gotów stanąć w obronie Tomy.

Żenia opanowała się i nic nie powiedziała. Poszła do kuchni, nie zaglądając nawet do pokoju, który jeszcze w zeszłym tygodniu był pokojem babci, a zresztą był nim zawsze... Przeszła przez kuchnię i otworzyła drzwi do komórki. Tam po śmierci Wasilisy niczego nie zmieniano. Dwie duże ikony, znane z dzieciństwa, znajdowały się nadal na miejscu: Matki Bożej Kazańskiej i Eliasza Proroka. Ta ostatnia, albo rozrąbana toporem czerwonoarmisty w niepamiętnych czasach, albo pęknięta ze starości. Grubo sklejona szczelina przechodzi po lecącym na dół czerwonym płaszczu, oddzielając go od smagłej ręki... Ach, gdzie jesteście, wy pomocnicy bezradni?

Babcia siedziała na wiedeńskim krześle z wyciętym siedzeniem, zwrócona twarzą ku maleńkiemu okienku, wychodzącemu na ślepa ścianę z cegieł. Pod krzesłem stało wiadro. W komórce cuchnęło moczem i starczą słabością. Jedna szara kotka spała na kołdrze, leżącej na tapczanie. Druga siedziała na kolanach u Heleny Gieorgijewny. Palce Heleny z nierówno obciętymi paznokciami spoczywały na przegowanym boku kotki. Żenia ucałowała rzadziejące włosy z dwiema falami na skroniach, gdzie młoda

Lenoczka wpinała szpilki. Staruszka pogładziła kotkę po boku.

\* Dzień dobry, babuniu. Dlaczego ty tutaj... \* zaczęła Żenia z bólem, ponieważ rozumiała, że lepiej będzie zamilczeć w tej wstydlivej, niemożliwej sytuacji. \* Zaraz będziemy się kąpać...

Staruszka bez słowa pogłaskała ją po rękę. W kuchni lała się woda, dźwięczały noże. Toma wszystko dzieliła z mężem po połowie, domowe prace również. Cztery kartofle też obierali we dwójkę, dwa ona i dwa on. To dla zachowania rodzinnej sprawiedliwości.

Żenia poszła do łazienki. W kuchni mimochodem zobaczyła, że Toma z Michailem Fiodorowiczem przebierali kaszę gryczaną \* z kartoflami już się uporali.

W łazience był zwykły bałagan, nie do opisania. Na sznurkach wisiała mokra bielizna. Sobota była dniem kąpieli, przez pół dnia się przygotowywali, przez pół dnia myli. A potem odpoczywali \* przy herbacie, konfiturach i piernikach.

Patriarchalny styl życia. Wszystko na poważnie. W niedzielę rano, do przyjścia Żeni, odbywało się pranie w miniaturowej pralce, którą Michał Fiodorowicz kupił na potrzeby swojej małej rodziny. Babci paskudnej bielizny prać w tej pralce nie pozwalał \* brzydził się.

Żenia wyciągnęła spod wanny miednicę. Z cynkowego baczka z przekrzywioną pokrywką wyjęła stare szmaty, kawałki prześcieradeł, wszystko zamoczone, zabrudzone. Pampersy, które Żenia kiedyś kupowała, nie były używane. Toma twierdziła, że są syntetyczne, a wyrobów syntetycznych Michał Fiodorowicz nie uznawał.

Żenia już od dawna przestała przynosić cokolwiek dla babci. Toma wszystkie nowe rzeczy zabierała, mówiąc:

\* Oj, Żeniu, ależ piękna koszula, jak do trumny...

W takich chwilach Żenia nie wiedziała, komu powinna bardziej współczuć, czy biednej babci z upośledzoną psychiką, która jej umożliwia niezauważanie tego, z czym nie da się walczyć, czy cioci Tomie z mysią twarzyczką, z nie zginającym się od artrozy kolaniem, szczęśliwą ze swego małżeństwa, dumną ze swej przeszłości, terażniejszości i przyszłości, w kierunku której robiła powolne i zdecydowane kroki.

Pisała teraz rozprawę kandydacką o wirusowych chorobach wieczniezielonych roślin... i czuła się duchową spadkobierczynią swego znakomitego wychowawcy, Pawła Aleksiejewicza Kukockiego. Może tak było rzeczywiście...

Żenia zdjęła wszystko z taboretu \*ławeczki, na której sadzała babcię do kąpeli. Stare miednice jedna w drugiej, słoiki, wystrzępione myjki. Ale sknerstwo!...

Zamoczyła babcine szmaty, odwracając nos, w dużej miednicy i wsunęła ją na razie pod wannę. Po myciu będzie pranie. Wymyła wannę. Krany ciekły, spod wanny sączyła się woda. Wszystko było zniszczone, ale naprawiane z wynalazczym podejściem. Michaił Fiodorowicz był geniuszem w dziedzinie podwiązywania sznurkiem, okręcania drucikiem, wymyślania zatyczek i łat. Ciekawe, czym się zajmował w tym swoim lotnictwie?

Wreszcie wszystko gotowe. Woda trochę gorętsza niż trzeba, ostygnie jednak, póki Żenia będzie babcię rozbierała. Do wody w ostatniej chwili wlała odrobinę szamponu, żeby była piana. Toma nie używa takich rzeczy, które Żenia przynosi. Oboje z Michaiłem Fiodorowiczem z szamponów nie korzystają, nie znoszą wyrobów zagranicznych. Patrioci. Ani mydła, ani lekarstw, ani ubrań. I zawsze cytowane jest to samo powiedzenie \* to nasze, krajowe... Co za ubóstwo!...

Żenia podniosła babcię z krzesła:

\* Chodźmy, babuniu, wszystko gotowe.

Helena Gieorgijewna posłusznie wstała. Plecy proste, nogi szczupłe, długie, na starość trochę pokrzywione... Żenia ją objęła za kruche ramiona i poprowadziła. Babcia szła całkiem dobrze, przeszkadzał jej tylko podarty kapeć, w którym zadzierała się odklejona podeszwa. Nie mniej, niż trzy pary nowych leżały u Tomy. Ale pazerność!...

Weszły do łazienki. Babcia wskazała palcem na zasuwkę, Żenia zasunęła. Powolne rozbieranie się. Babcia jak gdyby chce pomóc Żeni, ale jednocześnie się sprzeciwia. Szarpie dziurkę w szlafroku. Zapomniała, jak się odpina guzik. Stara się przypomnieć, ale nie może.

Żenia pomaga się rozebrać.

Licho wie, jakie Toma ma pomysły, po co wymyśliła te idiotyczne gumki pod

kolanami? Dlaczego nie można włożyć pampersa, albo w końcu podłożyć pieluszkę?  
Jest rozebrana.

\* Teraz podnieś nogę. Prawą. Trzymaj się za mnie. Brzuch przeszkadza Żeni, bardzo przeszkadza.

\* Teraz drugą...

Helena Gieorgijewna lekko podnosi swoje długie nogi. Stopy okropne. Paznokcie pokryte żółtoszarą grzybicą. Kostka przy dużym palcu powiększona. Skąd się mogą wziąć odciski u człowieka, który przez dwadzieścia lat nie nosi niczego innego poza kapciami? Helena Gieorgijewna stoi w wannie w wodzie do kolan i nie wie, jak ma usiąść. Figura \* szkielet, bardzo zgrabna, cienka w talii, boki spadziste. Piersi maleńkie, zupełnie nie obwisłe, sutki o świeżym wyglądzie. Brzuch podciągnięty, pępek ukryty w fałdzie poprzecznej. Jeszcze jedna fałda \* to poprzeczny szew pod pępkiem. Ciało nieowłosione, białe, wszystko pomarszczone jak zmięta bibułka do papierosów. Twarz też biała. Trochę włosów rośnie na podbródku. Przedtem Żenia usuwała je pincetką, a teraz zaczęła przystrzygać nożyczkami. Mało ma czasu na wszystko. Bardzo mało czasu. „A jak urodzi się dziecko, to w ogóle nie mam pojęcia, jak będę mogła zdążyć... Pewnie trzeba ją będzie zabrać do nas na Profsojuzną, jak tylko ojciec przeniesie się do nowego mieszkania. W starym mieszkaniu ojca, z dwoma przyległymi pokojami, możemy wszyscy się pomieścić. Ale Toma może jeszcze stawać sztorcem...”

\* Siadaj, kochana, siadaj \* Żenia popycha leciutko babcię w plecy. Babcia ostrożnie siada. Żenia kieruje na nią wodę z prysznica. Babcia aż wzdycha z zadowolenia. Zaraz nastąpi to, ze względu na co Żenia przyjeżdża tutaj już dziesięć lat. Od tego momentu, kiedy zmarł dziadek, a ona przeniosła się do ojca.

\* Dziękuję, dziecinko \* mówi Helena Gieorgijewna. Toma jest przekonana, że Helena Gieorgijewna straciła

w ogóle zdolność mówienia. Ale to nieprawda. Ona mówi. Ale tylko tutaj, w zamkniętej na zasuwkę łazience, kiedy Żenia sadowi ją w ciepłej wodzie. Między nimi istnieje jakaś niezrozumiała bliskość. Żenię wychowywał dziadek. Babcia asystowała w milczeniu, delikatnie jej pilnowała. Od kiedy Żenia pamięta, babcia

zawsze była chora. I zawsze kochały się nawzajem \* jeśli w ogóle może istnieć miłość bez słów, bez czynów, zawieszona w powietrzu, na niczym praktycznym nie oparta. Żenia gładzi ją po głowie:

\* No i co, dobrze ci?

\* Rozkosznie... Boże, jaka rozkosz... Na Syberii chodziliśmy do łaźni wszyscy razem

\* Paweł Aleksiejewicz, Tania, Wasilisa... Były tam miotełki... Śniegu całe masy... Pamiętasz?

„Ciekawe, za kogo mnie bierze?” \* myśli Żenia. Ale to w istocie nie ma żadnego znaczenia. Raz na tydzień Helena mówi kilka słów. Na policzonych kilka minut odradza się jej łączność z otaczającym światem.

\* Dlaczego się przeniosłaś do tej komórki? \* pyta Żenia.

\* Do komórki? Ach, jaka to różnica... Niech tam... \* I poufnym tonem: \* A dlaczego Tani nie przyprowadziłaś? \* Ocknęła się i zmieszała.

Żeni najbardziej było ciężko w tych chwilach, kiedy czuła, że babcia przeżywa zmieszanie i zakłopotanie. Żenia namydliła gąbkę i przesunęła ją wzdłuż wystającego kręgosłupa. Co jej odpowiedzieć? Czasami Żeni się zdawało, że babcia bierze ją za swoją zmarłą córkę. Zapewne tak było, ponieważ poprzez zagmatwane wypowiedzi przewijało się imię Tani, którego używała czasem w stosunku do niej... Ale zdarzało się też, że babcia zwracała się do niej „mamo”...

\* Woda jest jeszcze dobra? Nie ostygła?

\* Nie, nie, bardzo dobra... Dziękuję, dziecinko. \* Pomyślała chwilkę i powiedziała szeptem: \* Dzisiaj na mnie krzychał jakiś mężczyzna.

\* Michaił Fiodorowicz? On krzychał?

\* Ależ nie, co ty, on na coś takiego by sobie nie pozwolił. Krzychał ktoś obcy.

Żenia odchyliła lekko głowę babci do tyłu, położyła rękę na czole:

\* Umyjemy głowę. Zmruż oczy, żeby mydło się nie dostało. Helena Gieorgijewna posłusznie zamknęła oczy. Podczas

gdy Żenia myła jej głowę, Helena nabierała garścią wody i polewała sobie ramiona, łapała wodę palcami, bawiła się jakby, jak bawią się dzieci, tylko bez pływających plastikowych kaczuszek i stateczków... Potem powiedziała nieoczekiwanie:

\* Ty na Tomkę się nie gniewaj, to sierota.

Żenia już opłukała wymytą głowę, uniosła do góry skręcone włosy i przypięła je szpilką, żeby nie przeszkadzały.

\* A ja kim jestem? A ty? Wszystkie jesteśmy sierotami. Nie rozumiem \* dlaczego nad nią mamy się specjalnie roztkliwiać.

\* Głowa... w głowie zupełna pustka. Trudno mi \* poskarżyła się Helena  
Georgijewna.

\* Ze mną jest podobnie \* przyznała Żenia. \* Wczoraj cały dom wywróciłam do góry nogami, prawie trzy godziny szukałam dowodu osobistego. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie go schowałam. Wstań, babuniu, proszę. Opłuczę cię prysznicem i będzie gotowe...

Żenia pomogła Helenie Georgijewnie wyjść z wanny, wytarła ją rozłażącym się ze starości prześcieradłem kąpielowym, kremem dla dzieci posmarowała nogi, fałdy w pachwinach, odparzenia, grożące przekształceniem się z czasem w odleżyny, włożyła czystą koszulę i czysty szlafrok. Zawiązała na głowie turban z ręcznika i przetarłszy ręką zapocone lustro, podała babci, żeby się w nim przejrzała:

\* Zobacz, jaka jesteś ładna.

Helena Georgijewna pokręciła głową i się zaśmiała. Tam w lustrze widziała zupełnie inny obraz...

2.

W następną niedzielę Żenia nie mogła przyjechać. W przeddzień mąż odwiózł ją do Izby Porodowej. W czasie tych popołudniowych niedzielnych godzin, kiedy zazwyczaj Żenia rozczesywała i suszyła siwe, nie kręcące się już włosy Heleny, nastąpiło rozwarcie ujścia macicy i zaczęło się wypychanie płodu: główka dziecka przedostała się do płaskiego wejścia do małej miednicy. Jeszcze wciąż stanowili całość \* Żenia i dziecko. Fale skurczów i rozkurczów mięśni były równomierne, ale już zbliżał się moment, kiedy dziecko zaczynało samodzielnie wykonywać pierwsze ruchy...

Żenia krzyczała, kiedy ból był nie do wytrzymania, potem była chwila przerwy i ból wracał znowu... „Na pewno, gdyby dziadek żył, zrobiłby cośkolwiek, żeby tak nie bolało...” \* myślała w tych momentach, kiedy była w stanie myśleć. To była wspólna, ciężka praca \* jej, dziecka i położnej, której twarzy wcale nie zapamiętała. Zapamiętała natomiast jej władczy i życzliwy głos: oddychaj głębiej... połóż ręce na piersi... licz do dziesięciu... nie trzeba się natężyć... a teraz pokrzycz, pokrzycz... dobrze...

Narodziny człowieka to najmniej doskonały ze wszystkich naturalnych mechanizmów wydawania na świat potomstwa. Żadne zwierzę aż tak nie cierpi. Bolesność, długi czas trwania, czasem zagrożenie życia rodzącej \* to znak szczególnej pozycji człowieka na tym świecie. Dwunogiego, z wyprostowanymi plecami, patrzącego przed siebie, mającego pełną swobodę ruchu rąk \* jedyne stworzenia, uświadamiającego sobie związek pomiędzy poczuciem i narodzinami, miłością cielesną i tą inną, znaną jedynie człowiekowi. Niektórzy sądzą, że to zadośćuczynienie za pionową postawę człowieka, inni \* że to kara za grzech pierworodny.

Dziecko już przygięło główkę, tak że małe ciemiączko ukazało się pierwsze, troszkę ją przekreśliło i wyprostowawszy główkę przesunęło się pod łuk łonowy. Żeni pociemniało w oczach, ból był straszny. Położna poklepała ją po boku:

\* Mamusiu, wszystko dobrze... jeszcze tylko trochę cierpliwości. \* I rzuciła uwagę do kogoś z obecnych: ułożenie potylicowe przednie.

Łzy i pot zalewały twarz Żeni. Ukazała się główka. Dziecko obracało się ramionami i położna, uchwyciwszy obiema rękami mokrą, wydłużoną nieco główkę, wyciągała przednie ramię...

3.

Helena zadrzemała, siedząc na swoim wiedeńskim tronie z poniżającą dziurą w środku. Przyśnił jej się sen: w jasny, wiosenny dzień, kiedy liście już się pokazały, ale każdy pojedynczy liść

był mały, blady, nie nabrał jeszcze koloru, ona idzie po ulicy Wielkiej Bronnej, skręca w zaułek Triochprudny, podnosi głowę i widzi, że na ostatnim piętrze, na półokrągłym ozdobnym balkoniku, pod półkolistym oknem jej starego mieszkania jest pełno ludzi. Chce zobaczyć, kto tam stoi i nagle znajduje się na poziomie balkonu, nawet trochę wyżej od balustrady i widzi, że w głębi, na rozkładanym łóżku leży jej dziadek, bardzo stary, z niezupełnie żywą twarzą, obok niego babcia Jewgienija Fiodorowna, Wasilisa, mama, ojciec, młodzi bracia i wszyscy na nią czekają, żeby jej przekazać coś ważnego i radosnego, A oprócz swoich Miakotinów i Nieczajewów, w uchodzącym gdzieś w dal rozszerzającym się klinem tłumie, poznaje postawnych, łysych Kukockich z ich miło wyglądającymi żonami, twerską rodzinę Tomy, brodatych Żydów z Torą na czole. Było dziwne, jakim sposobem tylu ludzi mieści się na małym balkoniku, robi ich się coraz więcej i nagle pośród nich pojawia się dwoje nowych \* młody człowiek, wysoki, z gęstą grzywą włosów, z niezbyt gładką skórą i z wydętymi wargami i dziewczyna, podobna do Tani, czy do Żeni lub do Tomki, z niemowlęciem na ręku. Ta para znajduje się w samym centrum tej geometrycznie niewiarygodnej kompozycji i Paweł Aleksiejewicz bierze niemowlę na ręce i odwraca je twarzą do Heleny... Na tym niemowlęciu skupia się cała radość świata, i światło, i sens. Jak gdyby w słoneczny dzień weszło jeszcze jedno słońce... niemowlę należy do nich wszystkich, a oni \* do niego. Helena Gieorgijewna płacze z wielkiego szczęścia i trochę się dziwi, ponieważ jednocześnie odczuwa słony smak swoich łez i swoją całkowitą bezcielesność...

4.

Witalij tego samego dnia wieczorem pojechał do Centrali

Telegraficznie\*Telefonicznej \* z jakichś względów wolał z domu nie telefonować do Ameryki. Połączono go bardzo szybko, Ilja Iosifowicz podniósł słuchawkę i usłyszał głos syna \* szybki, rzeczowy, bez zwykłego wstępu w rodzaju „dzień dobry, co u was słychać?":

\* Żenia urodziła syna. Winszuję ci prawnuka. \* Bez dodatkowych komentarzy.



Zdażył to wszystko załatwić w ciągu jednej minuty. Natomiast do Leningradu nie mógł się dodzwonić przez dwadzieścia minut. Powiedział Siergiejowi, że wszystko jest w porządku, urodził się chłopczyk i nie było żadnych komplikacji przy porodzie.

\* Czy mogę przyjechać? \* zapytał Siergiej.

\* Zadzwoń do Żeni, gdy ona wróci ze szpitala. Uzgodnisz to z nią.

Nie żywił szczególnej sympatii to tego długowłosego muzyka i nawet był trochę zazdrosny o Żenię. Co ich ze sobą łączyło, było absolutnie niezrozumiałe... Siergiej też nie wiedział, co go wiązało z tą dziewczyną, która przez parę lat była mu córką. Nie zastanawiał się nad tym. Wziął instrument i zagrał swoją dawną kompozycję \* Czarne kamienie...

5.

Ilja Iosifowicz dawno już postanowił, że pojedzie do Moskwy, gdy urodzi mu się prawnuk. Wiza była gotowa. Walentyna na początku kategorycznie się sprzeciwiała, ale potem ustąpiła pod warunkiem, że pojedą razem. Pozostawało tylko zamówić bilety. Ich starsza córka, która się urodziła w cztery miesiące po przyjsciu na świat Żeni, mieszka oddzielnie. Młodszej, szesnastoletniej, wywiezionej z Rosji jako małe dziecko, nigdy jeszcze samej nie zostawiali: była bojaźliwa, dość dziwna, kochała koty i rybki w akwarium. Zdecydowali, że wyjdzie jej na dobre, jeśli przez dziesięć dni będzie musiała poradzić sobie samodzielnie. Był pewien kłopot z pracą Walentyny, która wykłada na Uniwersytecie Harvarda i nie mogłaby tak od razu dostać urlopu. Ale ona kończy swój kurs za trzy tygodnie. A sam Ilja Iosifowicz jest od dawna już na emeryturze i chociaż jest honorowym członkiem z dziesięciu rozmaitych towarzystw i kolegów redakcyjnych, może wyjechać w każdej chwili. Przez trzy ostatnie lata czyta Torę po niemiecku i po angielsku, i uskarża się na to, że rodzice w dzieciństwie nie posłali go do chederu. Uczyć się hebrajskiego mając osiemdziesiąt sześć lat nie jest łatwo. Z drugiej jednak strony trudności go nie przerażają. Takiego rozmówcy, jakim był Paweł Aleksiejewicz nie ma i nigdy już nie

będzie miał. Często z nim rozmawia w myśli i nawet się kłóci. Chociaż trzeba przyznać, że następuje zbliżenie między nimi: Ilja Iosifowicz jest skłonny uznać istnienie Najwyższego Rozumu i nosi się z ideą, że Biblia jest wielkim, zaszyfrowanym, kosmicznym posłaniem Najwyższego Rozumu do całej ludzkości. Ale ludzkość jeszcze nie dojrzała do tego, by ten szyfr zrozumieć.

Z Giennadijem, który mieszka w Nowym Jorku, stale stara się rozpatrywać problemy teologiczne, ale ten woli zdecydowanie wszelkie wschodnie wymysły, poczynając od kuchni chińskiej, kończąc na karate. Dowiedziawszy się, że Żenia urodziła syna i że ojciec w związku z tym wybiera się do Moskwy, zaniepokoił się:

\* Taka podróż w twoim wieku? Poślij jej lepiej pieniądze... Ja też jestem gotów...

Ale Ilja Iosifowicz odparł twardo:

\* Nie uczcie mnie, jak mam żyć! Dziewczyna ma dziadka, ja mam prawnuka.

Szkoda, że Paszka tego nie doczekał...

KONIEC